

JASON
BOURNE
POWRACA
W NAJNOWSZEJ
POWIEŚCI

ERIC VAN LUSTBADER

ROBERT

LUDLUM

IMPERATYW BOURNE'A

O książce

U wybrzeży Szwecji łowiący ryby Jason Bourne - kto uwierzy, że wybrał się tam na ryby?! – wyciąga z wody mężczyznę z raną postrzałową. Nieznajomy nie pamięta ani swojego nazwiska, ani dlaczego znalazł się w tym miejscu. Nie pamięta właściwie nic.

Tak jak kiedyś Jason Bourne. Ten sam film, tylko w innej obsadzie.

Czy to może być przypadek? Bourne musi znaleźć odpowiedź na to pytanie – nie z ciekawości, lecz z konieczności. Żeby uratować własne życie. I życie milionów ludzi.

Pomaga mu w tym Rebeka, agentka Mossadu, która naraziła się własnej organizacji i jest ścigana przez byłych kolegów.

Meksyk, Paryż, Liban... Autor serwuje czytelnikom prawdziwy tour po najpiękniejszych i najniebezpieczniejszych miejscach świata. A Bourne nie jest już celem, ale świetną i skuteczną bronią.

ROBERT
LUDLUM

ERIC VAN LUSTBADER

IMPERATYW BOURNE'A

Z angielskiego przełożył
JAN KRAŚKO



Wydanie elektroniczne

ROBERT LUDLUM

(1927-2001)

Amerykański aktor, producent teatralny i pisarz. Zagrał w ponad 200 filmach telewizyjnych. Jako pisarz zadebiutował późno – mając 41 lat powieścią **Dziedzictwo Scarlattich**. Od tej książki zaczęła się oszałamiająca kariera literacka twórcy gatunku nazwanego „thrillerem spiskowym”. Za jego życia ukazały się 24 powieści, sprzedane w ponad 300 milionach egzemplarzy, wśród nich tak znane jak **Tożsamość Bourne’a**, **Krucjata Bourne’a**, **Mozaika Parsifala** i **Protokół Sigmy**. Pośmiertnie – kilkanaście następnych, z których większość powstała na podstawie pozostawionych przez niego notatek i szkiców. Proza Ludluma była wielokrotnie ekranizowana, najślawniejszy jest cykl filmów z Mattem Damonem w roli śmiertelnie niebezpiecznego agenta Jasona Bourne’a.

ERIC VAN LUSTBADER

Jest autorem ponad 25 bestsellerowych powieści, tłumaczonych na 20 języków i sprzedanych w 40 milionach egzemplarzy. Ukończył socjologię na Columbia College. Zanim zawodowo zajął się pisaniem, był producentem muzycznym i nauczycielem. Jest zafascynowany kulturą Wschodu.

Tego autora

RĘKOPIS CHANCELLORA
PROTOKÓŁ SIGMY
KLĄTWA PROMETEUSZA
PIEKŁO ARKTYKI
CZWARTA RZESZA
KRYPTONIM IKAR
STRAŻNICY APOKALIPSY
MOZAIKA PARSIFALA
IMPERIUM AKWITANII

Jason Bourne

TOŻSAMOŚĆ BOURNE'A
DZIEDZICTWO BOURNE'A
SANKCJA BOURNE'A
MISTYFIKACJA BOURNE'A
CEL BOURNE'A
ŚWIAT BOURNE'A
IMPERATYW BOURNE'A

Dynastia Matarese

TESTAMENT MATARESE'A
SPADKOBIERCY MATARESE'A

Paul Janson

DYREKTYWA JANSONA
ODYSEJA JANSONA

Wkrótce

RAPORT TARQUINA

Tytuł oryginału:
THE BOURNE IMPERATIVE

Copyright © Myn Pyn LLC 2012
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2015

Polish translation copyright © Jan Kraśko 2015

Redakcja: Beata Kaczmarczyk

Zdjęcie na okładce: © Paul Gooney/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-156-0

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, [88em](#)

Spis treści

[Podziękowania](#)

[Prolog](#)

[Księga pierwsza](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Księga druga](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Księga trzecia](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Epilog](#)

[Przypisy](#)

Podziękowania

Podziękowania należą się mojemu kuzynowi Davidowi Schifferowi za to, że zapoznał mnie z najnowszymi metodami ścigania terrorystów i handlarzy narkotyków, mojemu przyjacielowi Kenowi Dorphowi za jego unikalne spojrzenie na Bliski Wschód i odkrywczymi opowieściami o obcych krainach. Dziękuję także mojej żonie Victorii za redaktorskie sugestie i umiejętności korektorskie.

Szczególne podziękowania składam Carlosowi Fuentesowi. Pod wpływem jego cudownej powieści *Wola i fortuna* wysłałem Bourne'a w podróż do Meksyku, którą uzupełniłem i poszerzyłem o moje osobiste doświadczenia oraz wiadomości z pierwszej ręki.

Prolog

Sadelöga, Szwecja

Wyszła z mgły, a on wciąż biegł, tak jak biegł od wielu godzin, wielu dni. Waliło mu serce, umysł miał przesycony gorzkim poczuciem zdrady, czuł się tak, jakby od tygodni był sam. Sen nie wchodził w grę, odpoczynek należał do przeszłości.

Nie wiedział nic oprócz tego, że wyszła z mgły zaraz po tym, jak nabrał całkowitej pewności — który to już raz? Trzynasty? Piętnasty? — że udało mu się wymknąć. Ale nie, znowu tu była, podążała za nim jak mityczny anioł śmierci, nieprzejednany i niezniszczalny.

Jego życie ograniczało się teraz do ich dwojga. Nie istniało nic innego, nic, tylko oni, śnieg i lód, ściana bieli, na której widniały delikatne jak muśnięcia pędzlem kreseczki rybackich chat, ciemnoczerwonych z białymi zdobieniami, małych i przysadzistych, zawierających tylko to, co niezbędne. Podziwiał ten rozsądek.

Mgła paliła jak ogień, zimny ogień, który pełznąc po kręgosłupie, chwycił za kark, tak jak chwyciła go ona — kiedy? Kilka dni, tydzień temu? Wtedy, gdy byli razem w łóżku, gdy była zupełnie kimś innym, kochanką, kobietą, która szybko odkryła, co zrobić, by zadrzał i rozpułnął się z rozkoszy.

Na wpół ślizgając się po dużym zamarznętym jeziorze, potknął się i upuścił pistolet. Już miał się za nim rzucić, gdy usłyszał trzask pękającej gałązki, czysty i ostry jak dźgnięcie nożem.

Dlatego zapomniawszy o broni, pobiegł dalej w kierunku kępy chwiejących się na wietrze sosen. Jego twarz oprószył puszysty śnieg, pokrywając brwi i szczeciniasty zarost — pozostałość po długiej ucieczce przez kontynenty. Chciał obejrzeć się przez ramię i sprawdzić, gdzie jest jego prześladowczyni, lecz nie śmiał tracić ani chwili.

Podążała jego tropem aż z Libanu. Spotkał ją w gęstym od papierosowego dymu zatłoczonym barze w Dahr El Ahmar, chociaż teraz gotów był przyznać, że to ona spotkała jego, że każdy jej gest, każde wypowiedziane słowo zostały zaplanowane. Teraz, gdy wiedział już, że albo ucieknie, albo zginie, wszystko było aż nadto oczywiste. Zmanipulowała go, wykorzystwała — jego, wytrawnego zawodowca.

Jakim cudem tak łatwo dał się podejść? Ale wiedział, dobrze wiedział: aniołowi śmierci nie można się oprzeć.

Przystanął wśród sosen, wydmuchując obłoki pary. Było przenikliwie zimno, ale pod zimową kurtką moro czuł, że żywcem płonie. Powiódł wzrokiem po labiryncie czarnych pni, przywarł plecami do najbliższego i wrócił myślą do hotelu, do cuchnącego potem i seksem pokoju, wspominając chwilę, gdy ugryzła go w wargę i zacisnąwszy zęby, syknęła:

— Wiem. Wiem, czym jesteś.

Nie „kim”, tylko „czym”.

Wiedziała. Popatrzył na miasto splątanych gałęzi, dżunglę sosnowych igieł, w której się ukrył. Niemożliwe. Skąd wiedziała? Mimo to...

Znowu trzask pękającej gałązki. Drgnął i obrócił się powoli wokół własnej osi, wszystkimi zmysłami próbując ustalić źródło dźwięku. Gdzie była? Śmierć mogła nadejść w każdej chwili, ale wiedział, że nie będzie szybka. Znał za dużo tajemnic, które pragnęła poznać, w przeciwnym razie zabiłaby go już podczas jednej z ich zwierzęcych schadzek, nocy, które wciąż przyprawiały go o rozkoszne drżenie, chociaż teraz już wiedział, jak blisko był wtedy śmierci. Bawiła się nim — może dlatego, że gdy się kochali, odczuwała taką samą przyjemność jak on. Roześmiał się bezgłośnie i wykrzywił twarz, drapieźnie obnażając zęby. Co za głupiec! Oszukiwał się, że coś ich łączy, nawet w obliczu najbardziej oczywistych dowodów, że tak nie jest. Jak potężny urok musiała na niego rzucić! Zadrżał, przykucnął, przywarł plecami do szorstkiego pnia i skurczył się w sobie.

I nagle miał tego dość, ucieczka go nagle zmęczyła. Nie, to właśnie tutaj, w tej zamarzniętej dziczy przyjdzie mu podjąć walkę, chociaż nie miał pojęcia, jak ocaleć na tym polu śmierci. Z tyłu dobiegał natarczywy szum morza. Zapach wodorostów, powietrze gęste od soli i fosforu — na Sadelödze Bałtyk był zawsze w zasięgu ręki.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch, coś jak cień rzucającej się na haczyku ryby. Jest tam! Widziała go? Chciał się poruszyć, lecz ręce i nogi miał jak z ołowiu. Nie czuł stóp. Powoli odwrócił się i mignęła mu na linii drzew.

Przystanęła i przekrzywiła głowę, jakby intensywnie nadśluchiwała, jakby słyszała jego oddech.

Mimowolnie przesunął językiem po spuchniętej dolnej wardze. Przypomniała mu się wystawa japońskich drzeworytów, dzieł dostojnych, pogodnych i uspokajających — z wyjątkiem jednego, tak słynnego, że wszyscy o nim słyszeli, chociaż mało kto widział je na

własne oczy. Teraz wisiało przed nim: obraz kobiety wijącej się z niewysłowionej rozkoszy w giętkich ramionach kochanka-ośmiornicy. Właśnie tak o niej myślał, o niej, o swojej prześladowczyni. W tym dusznym, gorącym pokoju hotelowym poznał głębię — a może wyżyny — ekstazy, jakiej doświadczała kobieta z drzeworytu. Nie, nie żałował tego. Nigdy przedtem nie wyobrażał sobie, tym bardziej się nie spodziewał, że ktoś może dać mu aż tyle przyjemności, ale ona dała i był jej za to wdzięczny, choć za chwilę mogła go zabić.

Drgnął. Nadchodziła. Chociaż jej nie słyszał, chociaż zginęła w labiryncie drzew, czuł, że jest coraz bliżej, że w jakiś niewytłumaczalny sposób ją do siebie przyciąga. Dlatego siedział i czekał, aż się ukáže, zastanawiając się, co wtedy zrobi.

Zostało mu niewiele czasu. Sekundy mijają powoli, jakby rozplływały się w wodzie rozbijającej się o skały za kępą sosen. Słyszał, jak go nawołuje, cicho i łagodnie, tak jak wtedy, gdy złączeni, gdy spleceni w ekstazie leżeli na łóżku. Po plecach przeszedł go dreszcz. Umieścił się między nogami i nie chciał ustąpić.

Ale... Miał w zanadrzu kilka sposobów, zaskakujących sztuczek, dzięki którym mógł wyjść z tego cało.

Spuścił głowę i powoli podciągnął kolana do piersi. Musiało się rozpadać, bo przez baldachim najeżonych szpilkami gałęzi przebijało się coraz więcej białych płatków. Z zielonych cienie zrobiły się grafitowe, ciemnoszare, i jeszcze bardziej w nich utonął. Pokrywał go śnieg, lekki jak trzepot anielskich skrzydeł. Waliło mu serce, czuł puls z boku szyi.

Wciąż żyję, pomyślał.

Wyczuł jej obecność, gdy prześlizgnęła się między pniami sosen. Rozszerzyły mu się nozdrza, jak zwierzęciu, które zwietrzyło zapach innego zwierzęcia. Tak czy inaczej, polowanie dobiegało końca. Ogarnęło go coś w rodzaju ulgi. Wkrótce będzie po wszystkim.

Była teraz tak blisko, że słyszał, jak krok za krokiem jej buty miażdżą ostrożnie cienką jak pajęczyna skorupę zamarznętego śniegu. Przystanęła niecałe dwa metry dalej. Padł na niego cień, ten sam, który towarzyszył mu od wielu tygodni podczas daremnej ucieczki na północ i północny zachód.

„Wiem, czym jesteś”, powiedziała, musiała więc wiedzieć, że działa sam. Że nie będzie mógł do nikogo zadzwonić, gdy zagrozi mu niebezpieczeństwo, gdy zagrozi mu ona. Odcięto go od stada, dlatego nie było szans, żeby ktoś ich zaalarmował, czy — co gorsza — zaczął się czepiać, gdyby schwytano go i poddano intensywnemu przesłuchaniu.

Ale ona też wiedziała o tajemnicach drzemiących w najmroczniejszych zakamarkach jego umysłu, sekretach, które chciała stamtąd wydobyć jak mięso ze szczypiec homara.

Ośmiornica i homar. Określenia te pasowały do nich bardziej niż jakiegokolwiek inne, tradycyjne.

Znowu wypowiedziała jego imię, lecz tym razem zabrzmiało to kategorycznie, podniósł więc głowę i spojrzał jej w oczy. Celowała w jego prawe kolano z pistoletu bojowego EAA Witness.

— Dość uciekania — powiedziała.

Kiwnął głową.

— Dość.

Przyjrzała mu się z dziwną życzliwością.

— Przepraszam za usta.

Zaśmiał się krótko i oschle.

— Zdaje się, że potrzebowałem gwałtownej pobudki.

Oczy miała koloru i kształtu dojrzałych oliwek, wyraźne na tle śródziemnomorskiej cery i mocno ściągniętych do tyłu czarnych włosów. Spod kaptura wystawało jedynie kilka niesfornych kosmyków.

— Dlaczego to robisz? Dlaczego? — spytała.

— A ty?

Roześmiała się cicho.

— To proste. — Miała rzymski nos, delikatne kości policzkowe i duże usta. — Bronię bezpieczeństwa mojego kraju.

— Kosztem innych krajów.

— Czy nie tak brzmi definicja patriotyzmu? — Pokręciła głową. — Ale ty nie masz o tym bladego pojęcia.

— Jesteś bardzo pewna siebie.

Wzruszyła ramionami.

— Taka się urodziłam.

Delikatnie się poruszył.

— Powiedz mi coś. O czym myślałaś, kiedy się kochaliśmy?

Leciutko zmienił jej się uśmiech, lecz nie odpowiedziała.

— A teraz mów — zażądała. — Wszystko o Jihad bis saif.

— Nie — odparł. — Po moim trupie.

Uśmiechnęła się jeszcze inaczej, tak jak wtedy w Dahr El Ahmar, tajemniczym uśmiechem przeznaczonym, jak myślał, tylko dla niego. I miał rację, pomylił jedynie kontekst.

— Nie masz ojczyzny, nie masz we krwi ani odrobiny lojalności. Dopilnowali tego twoi szefowie.

— Każdy jakiegoś ma — zaproponował. — Chociaż wmawiamy sobie, że jest inaczej.

Gdy zrobiła krok w jego stronę, rzucił w nią nożem, który przyciskał do boku. Stała blisko i nie zdążyła zrobić uniku. Zaczęła reagować w chwili, gdy ostrze przebiło parkę z ocieplającej włókniny i utkwilo w prawym ramieniu. Obróciła się o czterdzieści pięć stopni, a wraz z nią obrócił się pistolet. Kiedy opuściła rękę, runął na nią i powalił na plecy. Przygniótł ją całym ciężarem ciała, wbił w śnieg, w pokrytą sosnowymi igłami zamarznąłą ziemię.

Mocno uderzył ją w szczękę. Pistolet leżał w śniegu, trochę dalej. Szybko otrząsnęła się po ciosie i zepchnęła go z siebie. Przetoczył się na bok i zanim zdążyła się poruszyć, chwycił za rękojeść noża i wbił ostrze głębiej. Zacisnęła zęby, ale zamiast krzyknąć, czubkami palców dźgnęła go w tchawicę. Zakrztusił się, gwałtownie zakasłał i cofnął rękę. Wtedy szybko wyciągnęła nóż z rany. Wąskie ostrze spłynęło ciemną, połyskliwą krwią.

Odchylił się do tyłu, padł na ziemię, chwycił pistolet, podniósł go i wycelował. Kiedy się roześmiała, pociągnął za spust, raz, drugi i trzeci. Broń była nienabita. Co ona knuła? Gorączkowo myślał, a ona sięgnęła za pazuchę i wyjęła glocka, dwudziestkę. Cisnął w nią bezużytecznym pistoletem, wstał, odwrócił się i puścił pędem przed siebie, biegnąc na oślep w stronę morza. To była jego jedyna szansa.

W biegu rozpiął i zrzucił kurtkę, bo pociągnęłyby go na dno. Woda na pewno jest lodowata, tak zimna, że będzie miał tylko pięć, sześć minut, żeby dopłynąć w bezpieczne miejsce, bo potem mróz przeniknie go do kości i znieczuli. Jeszcze później niska temperatura sparaliżuje go, a w końcu zabije.

Wystrzał i kula świsnęła mu tuż obok prawego kolana. Potknął się, wpadł na drzewo, ale odbił się i pobiegł dalej, coraz głębiej i głębiej w las, coraz bliżej i bliżej wody, której szum atakował go jak nadciągająca armia. Zostawiając za sobą obłoki pary, parł naprzód.

Pierwszy błysk skrzężonej się wody podniósł go na duchu i ułatwił mu oddychanie. Minąwszy linię drzew, popędził przez zaśnieżoną trawę, wgrzającą się kępkami między nagie skały stromego brzegu.

Już tam prawie był, gdy poślizgnął się na grudce błota i gdy druga kula, która miała trafić w ramię, musnęła jego skroń. Obrócił się, wyrzucając w bok ramiona, i z zalanymi krwią oczami pobiegł na oślep dalej, aż dotarł na skraj lądu i runął w lodowate głębiny.

•••

Jason Bourne siedział na środkowej ławce małej łodzi rybackiej i rytmicznie poruszając wędką, spoglądał na rozrzucone wokół skute lodem wysepki. Mieli nadzieję coś złowić, pstrąga morskiego, szczupaka, może okonia.

— Nie przepadasz za tym, co? — spytał Christien Norén.

Bourne otrzepał się i burknął coś pod nosem. Gwałtowna śnieżycą minęła równie szybko, jak się rozpętała. Niebo było lodowate, szare i przytłaczające.

— Nie ruszaj się — upomniał go Christien, niedbale trzymając wędkę. — Ryby straszysz.

— To nie ja. — Bourne zmarszczył brwi i spojrzał na poprzecinaną brązowo-zielonymi pasmami wodę. Przesuwały się w niej jakieś cienie, tańcząc w rytm niesłyszalnej melodii. — To coś innego.

— Oho! — Christien się roześmiał. — Podwodny spisek wychodzi wreszcie na światło dzienne!

Bourne podniósł wzrok.

— Po co mnie tu zabrałeś? Ty też nie przepadasz za wędkowaniem.

Christien długo przyglądał mu się bez słowa. W końcu powiedział:

— O spiskach najlepiej rozmawia się na otwartej przestrzeni.

— Na odludziu. Stąd ta wyprawa.

Christien kiwnął głową.

— Z tym że Sadelöga to nie odludzie.

— Ale łódź i morze już tak.

— To prawda.

— Wiem, że knujesz coś z don Fernandem i obyś miał dobre wytłumaczenie. Z tego, co dowiedziałem się w Waszyngtonie od Petera Marksa...

— Jest źle — przerwał mu Christien. — Nawet bardzo źle. Dlatego...

Bourne uciszył go, przecinając ręką mroźne powietrze. Wskazał za burtę, wodę, która wybrzuszyła się nagle jak płetwa grzbietowa wielkiej ryby. Na powierzchnię coś wypływało, coś dużego.

— Boże święty! — wykrzyknął Christien.

Rzuciwszy wędkę, Bourne wychylił się za burtę i chwycił wyplute przez morze ciało.

Księga pierwsza

Rozdział 1

— Same pogłoski, insynuacje, przeczucia i przypuszczenia. — Prezydent Stanów Zjednoczonych rzucił na stół oprawiony w bawołą skórę codzienny raport służb wywiadowczych.

Sekretarz Christopher Hendricks, szef Departamentu Obrony, przytrzymał teczkę ręką.

— Z całym szacunkiem, panie prezydencie — powiedział — myślę, że to coś więcej.

Prezydent przeszył spojrzeniem swego najbardziej zaufanego sojusznika.

— Twoim zdaniem to prawda.

— Tak.

Prezydent wskazał raport.

— Jeśli w ciągu mojej długiej, skomplikowanej kariery politycznej w ogóle się czegoś nauczyłem, to na pewno tego, że prawda niepodparta faktami jest bardziej niebezpieczna niż kłamstwo.

Hendricks zabębnił palcami w okładkę raportu.

— Ale dlaczego? — Zadał to pytanie bez cienia urazy, jakby naprawdę chciał się dowiedzieć.

Prezydent ciężko westchnął.

— Bo bez faktów pogłoski, insynuacje, przeczucia i przypuszczenia rodzą mit. A mit wgryza się w ludzką psychikę jak robak, ciągle rośnie, wreszcie staje się czymś nienaturalnie wielkim, trwałym i nieusuwalnym. Tak powstał nadczłowiek Nietzscheho.

— I uważa pan, że mamy do czynienia z takim właśnie przypadkiem.

— Otóż to.

— Że ten człowiek nie istnieje.

— Tego nie powiedziałem. — Prezydent obrócił się z fotelem, oparł łokcie na błyszczącym blacie biurka i z miną człowieka rozsądnego złożył dłonie jak do modlitwy.

— Po prostu nie wierzę w plotki, nie wierzę, że mógł to zrobić. Że jest do tego zdolny. Nie, w tej chwili w to nie wierzę.

Zapadła cisza. Zza okna Gabinetu Owального, spod żelbetonowych barier strzegących tej świętej ziemi, dochodził przez chwilę szum dmuchawy do liści. Hendricks spojrział w tamtą stronę, ale żadnych nie dostrzegł. Cóż, wszelkie prace wykonywane w Białym Domu i na otaczającym go terenie zawsze były tajne.

Odchrząknął.

— Niemniej mam niezachwiane przekonanie, że człowiek ten stanowi duże zagrożenie dla kraju.

Przy oknie stał maszt z amerykańską flagą z pomarszczonymi jak woda gwiazdami. Prezydent miał przymknięte oczy, oddychał równo i głęboko. Ktoś, kto go nie znał, pomyślałby pewnie, że zasnął.

Po chwili wskazał raport i sekretarz przesunął go w jego stronę. Prezydent otworzył teczkę i zaczął przebijać się przez gęsto zapisane akapity.

— Opowiedz mi o firmie.

— Treadstone działa bez zarzutu.

— Dyrektorzy są na bieżąco?

— Tak.

— Za szybko odpowiedziałeś. Cztery miesiące temu Petera Marksa omal nie zabiła bomba podłożona w jego samochodzie. Prawie w tym samym czasie Soraya Moore została ranna w równie tragicznych okolicznościach w Paryżu.

— Zrobiła, co do niej należało.

— Nie bądź taki przewrażliwiony. Po prostu wyrażam swój niepokój.

— Obydwoje przeszli stosowne badania medyczne i psychologiczne, z pozytywnym rezultatem.

— Bardzo się cieszę, naprawdę. To wyjątkowi ludzie.

— To znaczy?

— Przestań. Nie znam żadnego dyrektora służby wywiadowczej, który regularnie działałby w terenie.

— Tak to u nas robimy. To bardzo mała firma.

— Z założenia, wiem. — Prezydent zrobił pauzę. — A jak się sprawuje Dick Richards?

— Integruje się z zespołem.

Prezydent kiwnął głową. W zamyśleniu postukał palcem w dolną wargę.

— Dobrze — powiedział w końcu. — Jeśli musisz, zaprzęgnij do tego Treadstone, Marksa, Moore i Richardsa. Ale... — Ostrzegawczo podniósł palec. — Codziennie będziesz składał mi sprawozdania z ich postępów.

Chcę faktów, Chris, przede wszystkim faktów. Daj mi dowód, że ten biznesmen...

— Stanowi poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju.

— Wszystko jedno, jak to nazwiesz. Dasz mi dowód, że zasługuje na naszą uwagę, albo twój cenny personel zajmie się innymi niecierpiącymi zwłoki sprawami. Jasne?

— Tak, panie prezydencie. — Hendricks wstał i wyszedł z gabinetu jeszcze bardziej zatroskany niż wtedy, gdy tam wchodził.

• • •

Kiedy przed trzema miesiącami Soraya Moore wróciła z Paryża, zastała zupełnie inną firmę. Po pierwsze, ponieważ zostało naruszone bezpieczeństwo Treadstone — po wybuchu podłożonej w podziemnym garażu bomby, w którym ucierpiał Peter — siedzibę przeniesiono z Waszyngtonu do Langley w Wirginii. Po drugie, pojawił się tam wysoki, chudy jak szczapa, łysiejący mężczyzna o ujmującym uśmiechu.

— Kto mnie wygryzł? — spytała teatralnym szeptem Petera, swego współpracownika i bliskiego przyjaciela.

Marks parsknął śmiechem, objął ją i przytulił. Wiedziała, że chce ją zapytać o szefa Muchabaratu, egipskiego wywiadu wojskowego, Amuna Chaltuma, który zginął podczas jej misji w Paryżu. Posłała mu ostrzegawcze spojrzenie i ugryzł się w język.

Wysoki chudzielec wychynął ze swojego boksu i podszedł bliżej. Wyciągnął rękę i przedstawił się. Dick Richards. Idiotyczna kombinacja imienia z nazwiskiem, pomyślała Soraya.

— Cieszę się, że pani wróciła — zaczął przyjaźnie.

Przyjrzała mu się nieufnie.

— Niby dlaczego?

— Od pierwszego dnia pracy dużo o pani słyszałem, głównie od dyrektora Marksa. — Rozciągnął usta w uśmiechu. — Jeśli pani chce, z przyjemnością zapoznam panią ze sprawami, nad którymi aktualnie pracuję.

Soraya milczała z przyklejonym do twarzy uśmiechem i wreszcie skinął im głową. Gdy odszedł, spojrzała na Petera.

— Dick Richards? Naprawdę?

— Richard Richards. Brzmi jak z *Paragrafu 22*.

— Co ten Hendricks wyczynia?

— To nie jego robota. Przydzielił go nam prezydent.

Soraya zerknęła na pochylonego nad komputerem Richardsa.

— Mamy w Treadstone wtykę?

— Możliwe — odparł Marks. — Plusem jest to, że podobno świetnie wykrywa i usuwa szpiegowskie programy komputerowe.

Soraya pytała żartem, ale Peter odpowiedział całkiem poważnie.

— A więc co się stało? Prezydent przestał nagle ufać Hendricksowi?

— Myślę — szepnął jej do ucha Marks — że po tym, co się nam przydarzyło, zaczął mieć co do nas wątpliwości.

• • •

W końcu pokonali traumę, którą przeżyli przed czterema miesiącami. Długo trwało, zanim Soraya odważyła się wspomnieć o Amunie. Tak jak się spodziewała, Peter przez cały ten czas okazywał jej nieskończoną cierpliwość. Wiedział, że powie mu, kiedy będzie gotowa.

Właśnie zadzwonił Hendricks, wzywając ich na nagłą naradę, i chociaż mieli jeszcze godzinę, zgodnie i bez słowa sięgnęli po kurtki.

— Za czterdzieści minut masz odprawę — przypomniała Peterowi pulchna blondynka imieniem Tricia, kiedy byli w drzwiach. Ale on tylko mruknął coś pod nosem, myśląc już o czymś innym.

Wyszli z biura, potem z budynku, przeszli na drugą stronę ulicy, od swego ulubionego sprzedawcy na skraju parku kupili kawę i bułeczki cynamonowe, po czym pochyleni schronili się pod niepewnym zadaszeniem z nagich gałęzi drzew. Stali tyłem do siedziby firmy.

— Najbardziej okrutne jest to — powiedziała Soraya — że ten Richards jest bystry. Moglibyśmy wykorzystać jego wiedzę.

— Gdybyśmy tylko mu ufali.

Soraya upiła łyk kawy, która trochę ją rozgrzała.

— Moglibyśmy go odwrócić.

— I wystąpić przeciwko prezydentowi.

Wzruszyła ramionami.

— To coś nowego?

Peter roześmiał się i objął ją ramieniem.

— Brakowało mi ciebie.

Soraya zmarszczyła czoło, oderwała zębami pokaźny kęs bułeczki i zaczęła go w zadumie żuć.

— Długo siedziałam w Paryżu.

— Wcale ci się nie dziwię. To miasto trudno zapomnieć.

— Śmierć Amuna mną wstrząsnęła.

Peter był na tyle rozsądny, że zachował swoją opinię dla siebie. Przez jakiś czas szli w milczeniu. Mały chłopiec puszczał z ojcem latawca w kształcie skrzydlatego Batmana. Obaj się śmiali. Mężczyzna obejmował syna ramieniem. Latawiec wzbijał się coraz wyżej.

Soraya popatrzyła na nich i zadarła głowę. W końcu powiedziała:

— Kiedy dochodziłam do siebie, często myślałam: Co ja właściwie robię? Czy tak chcę spędzić resztę życia? Tracąc przyjaciół, tracąc... — Urwała i przez chwilę nie mogła mówić.

Żywiła do Amuna silne, choć sprzeczne z sobą uczucia. Przez jakiś czas myślała nawet, że go kocha, ale w końcu doszła do wniosku, że się myliła. Odkrycie to jeszcze bardziej podsyciło poczucie winy. Gdyby go nie poprosiła, gdyby jej nie kochał, nigdy nie przyjechałby do Paryża. I wciąż by żył.

Straciwszy apetyt, oddała kawę i resztę bułki bezdomnemu na ławce, który podniósł wzrok i lekko zaskoczony podziękował jej skinieniem głowy. Kiedy odeszli trochę dalej, wyszeptwała:

— Peter, nie mogę siebie znieść.

— Jesteś tylko człowiekiem.

— Oj, przestań.

— Nigdy przedtem nie popełniłaś żadnego błędu?

— Tak, jestem tylko człowiekiem — przyznała ze spuszczoną głową.

— Ale źle oceniłam sytuację i nie chcę, żeby to się kiedykolwiek powtórzyło.

Milczała tak długo, że Marks się zaniepokoił.

— Chyba nie zamierzasz odejść?

— Zastanawiam się, czy nie wrócić do Paryża.

— Serio?

Kiwnęła głową.

Peter zmienił się na twarzy.

— Poznałaś kogoś.

— Może.

— Tylko nie Francuza. Powiedz, że to nie Francuz.

Soraya bez słowa popatrzyła na wznoszący się coraz wyżej latawiec.

Marks roześmiał się.

— To wracaj — powiedział. — Nie, zostań. Proszę.

— Nie chodzi tylko o to. Tam, w Paryżu, zdałam sobie sprawę, że ciągle trzymamy się cienia, jak pajak sieci, i że życie to jednak coś więcej.

Peter pokręcił głową.

— Chciałbym wiedzieć, co...

Nagle ugięły się pod nią nogi. Zachwiała się i byłaby upadła, gdyby nie rzucił bułki i kawy, która rozlała się u ich stóp, i jej nie podtrzymał. Zaniepokojony zaprowadził ją do ławki, gdzie usiadła, pochyliła się i ukryła twarz w dłoniach.

— Oddychaj — powiedział z ręką na jej plecach. — Oddychaj.

Kiwnęła głową i zrobiła, co kazał.

— Co się dzieje, Sorayo?

— Nic.

— Nie kituj specjalście od kitu.

Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze.

— Nie wiem. Od wyjścia ze szpitala mam zawroty głowy.

— Byłaś u lekarza?

— Po co? Są coraz rzadsze. To pierwszy od dwóch tygodni.

— No i masz... — Próbując uspokoić Sorayę, Peter głaskał ją po plecach. — Musisz natychmiast pójść...

— Przestań traktować mnie jak dziecko.

— To przestań się tak zachowywać. — Złagodniał mu głos. — Martwię się o ciebie i nie wiem, dlaczego tak beztrosko do tego podchodzisz.

— Dobrze — mruknęła. — Pójdę.

— Ale nie teraz — dodał, choć tylko półzartem. — Pójdiesz dopiero wtedy, kiedy...

Soraya roześmiała się i w końcu podniosła wzrok. W kącikach jej oczu błyszczały łzy.

— Na tym właśnie polega mój dylemat. — Pokręciła głową. — Nigdy nie zaznam spokoju.

— Aha, chcesz powiedzieć, że na to nie zasługujesz.

Spojrzała na niego i ze słabym uśmiechem wzruszyła ramionami.

— Może powinniśmy wyjaśnić sobie, dlaczego oboje zasługujemy na odrobinę szczęścia. Może skupmy się na tym?

Wstała, odtrącając jego rękę, i ruszyli z powrotem. Bezdomny skończył śniadanie, które mu zafundowała, i spał na boku pod rozłożonym „Washington Post”.

Przechodząc obok niego, słyszeli, że głośno chrapie, jakby nic go nie obchodziło. I może, pomyślała Soraya, naprawdę tak jest.

Zerknęła z ukosa na Petera.

— Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Marks pojaśniał na twarzy.

— Wiesz — odparł z uśmiechem — ja też często się nad tym zastanawiam.

•••

— Zniknęła? — powtórzył dyrektor. — Jak to zniknęła?

Nad jego głową widniało aktualne credo Mossadu, fragment z *Przypowieści Salomona*: „Gdy nie ma umiejętnego kierownictwa, naród upada; lecz gdzie jest wielu doradców, tam jest bezpieczeństwo”¹.

— Po prostu — wyjaśnił Dani Amit, szef Biura Wywiadu. — Mimo naszych licznych wysiłków nie możemy jej namierzyć.

— Ale musimy. — Dyrektor potrząsnął kudłatą głową i wyraźnie wzburzony ściągnął czerwonobrazowe usta. — Rebeka jest kluczem do całej misji. Bez niej utkniemy w martwym punkcie.

— Rozumiem, panie dyrektorze. Wszyscy to rozumiemy.

— W takim razie...

W bladoniebieskich oczach Daniego Amita zagościł bezbrzeżny smutek.

— Po prostu nie wiemy, co robić.

— Ale jak to możliwe? Jest jedną z nas.

— W tym problem. Za dobrze ją wyszkoliliśmy.

— Gdyby tak było, znaleźliby ją nasi ludzie, którzy przeszli takie samo szkolenie. To, że do tej pory im się nie udało, świadczy, że Rebeka jest inna, lepsza od nich. — Nagana była wyraźna i ostra.

— Boję się, że... — zaczął Dani Amit.

— Nie znoszę tego wyrażenia — przerwał mu szorstko dyrektor. — Sprawdzaliście w liniach lotniczych?

— Ślepy zaułek. Nie kontaktowała się z nimi od półtora miesiąca, od tego incydentu w Damaszku. Jestem przekonany, że jej przełożony nie wie, gdzie się podziewa Rebeka.

— A jej telefon?

— Wyrzuciła go albo wyłączyła GPS.

— Znajomi, krewni?

— Wszystkich przesłuchano. Jestem pewny tylko jednego: nikomu o nas nie powiedziała.

— Naruszenie tego protokołu...

Dyrektor nie musiał kończyć. W Mossadzie obowiązywały żelazne zasady. Rebeka pogwałciła najważniejszą.

Dyrektor odwrócił się i zamyślony spojrział w okno swojego biura na najwyższym piętrze wygiętego szklanego gmachu w Herzlii. Po drugiej stronie miasta był ośrodek szkoleniowy Mossadu i letnia siedziba premiera. Dyrektor przyjeżdżał tu, ilekroć wpadał w melancholię, bo wówczas przypominająca mrowisko kwatera główna w śródmieściu Tel Awiwu przytłaczała go i denerwowała. Tymczasem tutaj była fontanna na środku okrągłego podjazdu i klomby pełne pachnących przez cały rok kwiatów, nie wspominając już o pobliskim porcie z flotyllą żaglówek kołyszących się łagodnie na wodzie. W tym lesie masztów było coś kojącego nawet dla Amita, jakby ich obecność dowodziła, że w świecie, gdzie w ułamku sekundy wszystko mogło się zmienić, istnieje jednak coś trwałego.

Dyrektor uwielbiał żeglować. Ilekroć tracił agenta, co, na szczęście, nie zdarzało się zbyt często, wypływał w morze sam na sam z wiatrem i smutnym krzykiem mew. Nie odwracając się, rzucił ostro:

— Znajdź ją, Dani. Dowiedz się, dlaczego nie posłuchała rozkazów. Dowiedz się, co wie.

— Nie mogę...

— Ona nas zdradziła. — Dyrektor odwrócił się gwałtownie i nachylił w stronę Amita, aż fotel zaprotestował, piszcząc pod jego ciężarem. Z każdego wypowiedzianego słowa biła siła i władza. — To zdrajczyni. I tak ją potraktujemy.

— *Memune*, nie wiem, czy dobrze jest wyciągać pochopne wnioski — powiedział Amit, tytułując go ich wewnętrznym mianem, „pierwszego pośród równych”.

Kulo odporne i przeciwbombowe szyby były pokryte folią odbijającą światło i uniemożliwiająca zdalny podsłuch, co sprawiało, że każdy czuł się tu trochę jak pod wodą. Oczy dyrektora błyszczały w świetle stojącej na biurku lampy jak oczy głębinowej ryby zwabionej przez reflektor pletwonurka.

— Wiem, że to twój ulubiony projekt, ale pora przyznać się do błędu. Nawet gdybym chciał rozstrzygnąć wątpliwości na jej korzyść, brakuje nam czasu. Możemy nie zdążyć zapobiec groźbie. Jesteśmy starymi przyjaciółmi i towarzyszami broni. Nie chcę nasyłać na nią Duvdevanu.

Widmo użycia elitarnej jednostki Izraelskich Sił Specjalnych, wyspecjalizowanej w tajnych operacjach na obszarach

zurbanizowanych, zawisło nad Amitem jak miecz Damoklesa. Już samo to, że dyrektor zagroził wprowadzeniem jej do akcji, aby zmusić go do zrobienia czegoś, czego zrobić nie chciał — o czym dyrektor doskonale wiedział — świadczyło, jak wielkie znaczenie ma Rebeka dla bezpieczeństwa ich kraju.

— Kogo wyślesz? — rzucił dyrektor swobodnym tonem, jakby pytał o żonę i dzieci Amita.

— A jej wyjątkowe umiejętności, przydatność dla...

— Zdrada wszystko przekreśliła, nawet jej niezwykły talent. Musimy założyć, że odkryła coś, co kazało jej zejść do podziemia. Co będzie, jeśli zechce sprzedać te informacje komuś, kto da najwyższą...

— Niemożliwe! — wybuchnął Amit.

Dyrektor przyglądał mu się przez chwilę spod wpolprzymkniętych powiek.

— Śmiem twierdzić, że do dzisiejszego dnia byłeś przekonany, iż niemożliwe jest również to, że mogłaby nagle zniknąć. — Odczekał kilka sekund. — Prawda?

Amit spuścił głowę.

— Prawda.

— No więc... — Dyrektor splótł palce. — Kto to będzie?

— Ilan Halevy — odparł Amit z ciężkim sercem.

— Babilończyk. — Dyrektor pokiwał głową. Był pod wrażeniem: Ilan zyskał swój przydomek operacyjny po tym, jak niemal w pojedynkę doprowadził do likwidacji irackiego projektu zaawansowanych systemów uzbrojenia. Podczas pościgu zabił ponad dwunastu agentów wroga. — Nareszcie przechodzimy do konkretów.

Dyrektor lubił konkrety, była to jedna z cech, za które go podziwiano. Nie przepadano za nim za jego nieugiętość, jednak to właśnie dzięki niej, dzięki temu, że trzymał ich wszystkich żelazną ręką już od pięciu lat, Mossad mógł żeglować bezpiecznie przez wzburzone wody międzynarodowego szpiegostwa i przeprowadzać tajne operacje na terytorium wroga, dokonując zatwierdzonych przez rząd egzekucji przy ograniczonych do minimum stratach własnych. Śmierć każdego agenta była dla niego fizycznym ciosem, dlatego ilekroć któregoś tracił, odczuwał potrzebę wypłynięcia w morze. Morze koło smutek i oczyszczało umysł.

— Wyślesz go...

— Natychmiast — odparł Amit. — Zna Reбекę jak mało kto.

— Z wyjątkiem ciebie.

Amit wiedział, do czego dyrektor pije, ale nie miał ochoty wdawać się w dyskusję.

— Osobiście zapoznam go z sytuacją. Będzie wiedział to co ja.

Skłamał i podejrzewał, że jego stary przyjaciel dobrze o tym wie, na szczęście dyrektor pominął to milczeniem. Bo jak mógł powiedzieć Babilończykowi wszystko o Rebecce? Nie zamierzał aż tak jej zdradzać, nawet gdyby miał stracić przychylność szefa. Skłamał, aby uniknąć bezpośredniego rozkazu, który nakazywałby mu ujawnienie Babilończykowi wszystkich związanych z Rebeką tajemnic. Moralny wybór, przed jakim by wtedy stanął, oznaczałby jego koniec, a w najlepszym wypadku koniec skutecznej pracy w Mossadzie.

Zapisał fotel i dyrektor znowu spojrzął na port. Kto wie, o czym myślał.

— W takim razie wszystko ustalone — powiedział tak, jakby mówił do siebie. — Załatwione.

Amit wstał i cicho wyszedł. Dalsza rozmowa była zbędna.

Na korytarzu szalała klimatyzacja. Amit przystanął i na chwilę znieruchomiał, jakby zablądził. Czasem, zależnie od okoliczności, dyrektor zapraszał go na łódź i siedząc obok siebie, opłakiwali wtedy agenta lub agentkę, dobrych znajomych, którzy oddali życie za bezpieczeństwo kraju. Amit wiedział, że znowu będzie musiał przejść przez ten konieczny rytuał, tym razem po śmierci Rebeki.

Rozdział 2

Ocknął się w lodowatej wodzie, czarnej jak noc. Wlewała mu się do nosa, piekła w nozdrza, czuł, że lada chwila zaleje gardło, a potem płuca. Topił się, po prostu się topił. Zrzucił buty i poszperał w kieszeniach, pozbywając się kluczy, portfela i zwiłka koron, pozbywając się wszystkiego, co go obciążało. Mimo to wciąż szedł na dno.

Pewnie by krzyknął, ale bał się otworzyć usta, bo wdarłaby się do nich woda. Dlatego odbił się od dna, gwałtownie otrząsnął i dygocząc, walcząc ze spazmatycznym skurczem rąk i nóg, spróbował przedrzeć się przez lodowatą głębinę ku powierzchni.

Coś chwyciło go za ramiona, coś chciało unieruchomić, więc otworzył oczy i spojrzał w wodny półmrok. Znowu ożył strach. Był na dnie morza, topił się i miał halucynacje.

Ktoś powiedział:

— Już dobrze. Jesteś bezpieczny. Nic ci nie grozi.

Chwilę to trwało — chwilę, która ciągnęła się jak wieczność. Zacisnęły się na nim kleszcze potwornego lęku. Znowu usłyszał czyjś głos, ale słowa te nie miały sensu. Sensu nie miała również ta dziwna jasność, to, że znowu mógł oddychać, dwóch pochylonych nad nim mężczyzn, którzy też normalnie oddychali, co wyglądało absurdalnie, bo byli przecież pod wodą.

— Światło — powiedział ten drugi. — On myśli... Zapal światło.

Zapłonęło jaskrawe światło i zmrużył oczy. Czy to możliwe, żeby na dnie morza płonęło coś tak oślepiającego? Gdy powtórzyli to samo po raz trzeci, słowa przebiły się wreszcie przez pancierz lęku i zdał sobie sprawę, że normalnie oddycha, że oddycha tak jak oni, co musiało znaczyć, że już się nie topi.

W tej samej chwili poczuł ból głowy i lekko się skrzywił. Ale przynajmniej rozluźniły mu się mięśnie. Przestał się wyrywać i dał się położyć. Pod plecami poczuł coś miękkiego, suchego i stałego — materac — i wiedział już, że nie jest na dnie morza, że nie umrze, patrząc bezradnie w rozkołysaną nicość.

Głęboko westchnął i wyprostował nogi, a wtedy ktoś opuścił i uwolnił jego ręce. Spojrzał na pływające w górze twarze i zadrżał na myśl, że zaraz znowu zamknie się nad nim woda. Już nigdy nie wypłynie łodzią w morze ani nawet nie będzie skakał przez załamujące się fale, co lubił robić jako dziecko. Zmarszczył brwi. Naprawdę lubił? Zrobił wielki wysiłek, żeby to sobie przypomnieć, i dotarło do niego, że nie pamięta swojego dzieciństwa. Zmarszczył brwi jeszcze bardziej. Jak to możliwe?

Jego uwagę przykuła twarz jednego z mężczyzn.

— Nazywam się Christien — mówił. — A pan?

Pytanie padło w kilku językach, ale chociaż je znał, nie miał pojęcia skąd. Nie pamiętał, żeby się któregoś uczył.

— Nazywam się... — zaczął odruchowo i umilkł.

— Tak? — spytał Christien. — Co się stało?

— Nie wiem. — Rozejrzał się po pokoju, czując, że zaraz wpadnie w panikę. — Nie pamiętam swego imienia.

Christien wyprostował się, odwrócił i powiedział coś do mężczyzny stojącego w cieniu po prawej stronie. Nie było widać jego twarzy, ale po chwili podszedł bliżej.

— Nie pamięta pan swego imienia?

Nie, nie pamiętał. Pokręcił głową i pulsujący ból momentalnie powrócił.

— Co pan pamięta?

Próbował coś sobie przypomnieć, ale oblał go tylko zimny pot. Zmarszczył czoło. Nie pamiętał nic, dosłownie nic.

— Spokojnie — powiedział ten drugi. Wyglądało na to, że przejął pałeczkę od Christiena.

— Kim pan jest?

— Mam na imię Jason. Jest pan w prywatnej klinice w Sztokholmie. Byliśmy z Christienem na rybach, kiedy pan wypłynął. Wciągnęliśmy pana do łodzi i samolotem przywieźliśmy tutaj. Miał pan anoksję i hipotermię.

Powiniennem go spytać, co to znaczy, pomyślał, jednak ku swemu zdumieniu stwierdził, że doskonale wie. Obliznął usta. Christien nachylił się, sięgnął po karafkę, nalał wody do plastikowego kubka i włożył do niego zagiętą słomkę. Nacisnął pedał i górna część łóżka podjechała do góry.

Ręka, kubek i pierwszy łyk. Zaszło mu w gardle, jakby nigdy w życiu nie pił.

— Co się... stało? — spytał.

— Postrzelono pana. Kula drasnęła lewą skroń.

Odruchowo podniósł rękę i dotknął grubej warstwy bandażu. Już wiedział, dlaczego boli go głowa.

— Wie pan, kto i dlaczego do pana strzelał?

— Nie — odparł. Dopił wodę i gestem poprosił o jeszcze.

Christien sięgnął po karafkę, a Jason spytał:

— Wie pan, gdzie pana postrzelono, gdzie wpadł pan do wody?

Wpaść do wody, pomyślał i zadrżał.

— Nie.

Christien podał mu kubek.

— Na Sadelödze.

— Mówi to panu coś? — dopytywał się Jason. — Pamięta pan tę wyspę?

— Nie, zupełnie. — Już miał pokręcić głową, lecz w porę się powstrzymał. — Przepraszam, ale ja naprawdę nic nie pamiętam.

To wyraźnie zainteresowało Jasona.

— Zupełnie nic?

Oderwał usta od słomki.

— Nic. Ani gdzie się urodziłem, ani kim jestem, ani kim są moi rodzice, ani co robiłem... Mówił pan, że gdzie?

— Na Sadelödze — odpowiedział Christien.

— Może byłem tam na rybach, tak jak wy.

— Wątpię, żeby ktoś łowił ryby z pistoletem w ręku, a na Sadelödze nikt nie poluje. — Nie, był pan tam z całkiem innego powodu.

— Chciałbym wiedzieć z jakiego — powiedział szczerze.

— Jest jeszcze coś. Nic pan przy sobie nie miał. Ani portfela, ani paszportu, ani kluczy, ani pieniędzy.

Myślał przez chwilę.

— Wszystko wyrzuciłem, buty też. Pewnie leżą na dnie morza. Chciałem się odciążyć, robiłem wszystko, żeby wypłynąć na powierzchnię.

— Pamięta pan to?

— Chyba tak... Tak, pamiętam.

— Mówił pan, że ma pan w głowie zupełną pustkę.

— Ale to pamiętam. To i nic więcej. — Spojrzał na Jasona. — Nie pamiętam, jak mnie wyciągaliście ani jak tu przyjechalśmy. Pamiętam tylko pierwsze chwile w wodzie i panikę, która mnie wtedy ogarnęła. Ale nie wiem, jak i dlaczego się tam znalazłem.

Jason pogrążył się w zadumie.

— Może powinniśmy zabrać pana na Sadelöge, kiedy pan wydobrzeje...

— Zgodziłby się pan? — dodał Christien.

Z jednej strony myśl o powrocie na miejsce, gdzie wpadł do wody, przerażała go, z drugiej zaś, nieodparcie, wprost rozpaczliwie pragnął dowiedzieć się, kim jest. W końcu spytał:

— Kiedy jedziemy?

• • •

— I co o tym myślisz?

Bourne podniósł wzrok. Siedzieli na dole, w holu prywatnej kliniki należącej do firmy Christiena. Na Staligatan panował duży ruch, ale grube szyby skutecznie tłumili hałas. Na niebie zbierały się chmury, jak przed bitwą. Znowu zanosilo się na śnieg. Mebel był nowoczesny, praktyczny i typowo szwedzki: niska sofa obita wzorzystą tkaniną w lekko przytłumionych kolorach, centralny punkt jednego z kilku miejsc do rozmowy.

— Przypomina mi mnie — odparł Jason.

Christien kiwnął głową.

— To samo pomyślałem, chociaż jego amnezja jest prawie całkowita.

— Jeśli mówi prawdę.

— Jasonie, on wyraźnie cierpi. Masz powody w to wątpić?

— Drasnęła go kula. To nie turysta. Poza tym zna wszystkie pięć języków, którymi do niego mówiłeś.

— Więc jest poliglotą. Co z tego?

— Tak jak ja.

— Ty jesteś profesorem lingwistyki porównawczej...

— Byłem. Kiedyś.

— On też może być.

— To co tam robił z raną od kuli?

— *Touché*.

— Trzeba sprawdzić, czy nie jest z naszej branży.

Christien posłał mu sceptyczne spojrzenie.

— Tylko dlatego, że jest poliglotą?

Bourne westchnął.

— Posłuchaj, jeśli to nie szpieg, nie mamy się czym martwić. Ale zważywszy na to, co mi powiedziałeś...

Christien rozłożył ręce.

— Dobrze, więc co proponujesz?

— Upłynie trochę czasu, zanim będzie mógł jechać na Sadelöge.

— Co z tego? W tym stanie nic z niego nie wyciągniemy.

— Nieprawda. Możemy poddać go serii testów.

Christien pokręcił głową.

— Jakich?

Bourne przesunął się na brzeg sofy i nachylił się ku niemu.

— Sam stwierdziłeś, że facet zna pięć języków, chociaż nic o tym nie wiedział. Dowiedzmy się, z czego jeszcze nie zdaje sobie sprawy.

• • •

Z narady u Hendricksa wyszli z mieszanymi uczuciami.

— Ten Nicodemo to jakiś duch — mruknęła Soraya. — Nie lubię uganiać się za duchami.

— Z jakiegoś powodu Hendricks chce go wyeliminować — powiedział Peter. — Ma na tym punkcie obsesję, nadał sprawie najwyższy priorytet. Mimo to nie przedstawił żadnych informacji, nawet niesprawdzonych, że Nicodemo może planować atak na amerykańskich urzędników państwowych lub zwykłych obywateli w kraju czy za granicą. Moim zdaniem to śliska sprawa. Kukułcze jajo, w dodatku bardzo polityczne.

— Nie przyszło mi to do głowy.

— Bo jedną nogą wciąż jesteś w Paryżu — powiedział ze śmiechem.

— Tak myślisz?

Wzruszył ramionami.

— Dziwisz się?

W holu panowała cisza, nie licząc monotonnego szumu dochodzącego z otworów wentylacyjnych wysoko na ścianach. Na końcu korytarza mignął Sorai zmierzający w ich stronę Richards. Jęknęła w duchu. Facet był jak pijawka.

Wskazała go ruchem głowy.

— Jeśli sobie nie zaufamy, będzie dupa blada.

— Czytasz w moich myślach. À propos twojego odejścia...

— Nie mówmy o tym, nie teraz. — Westchnęła. Tak, to był jednak Richards, na pewno. — Dobra, ten Nicodemo. Czy to dla nas ważne?

— Jeśli założymy, że chodzi o jakieś polityczne rozgrywki, to nie bardzo. Nie przyszedłem tu, żeby podawać Hendricksowi herbatkę.

— Chyba już wiem, co powiemy naszej sierotce Marysi.

Gdy spotkali się w połowie korytarza, Soraya uśmiechnęła się szeroko.

Richards podał Peterowi kartonową teczkę.

— Pomyślałem, że zechce pan rzucić na to okiem — powiedział grzecznie.

— Dzięki. — Marks otworzył teczkę i bez większego zainteresowania zaczął przeglądać jej zawartość.

Soraya spojrzała na Richardsa i wetknęła mu do ręki skąpe dossier Nicodema, które dostali od Hendricksa.

— Chcielibyśmy, żeby go pan prześwietlił — powiedziała — sprawdził, czy mamy na niego coś konkretnego i do jakiego stopnia człowiek ten zagraża amerykańskim interesom za granicą.

Peter podniósł wzrok i przeszył ją spojrzeniem, na co Soraya odpowiedziała swoim najśłodszym uśmiechem.

— Dobrze by było — ciągnęła — gdyby rzucił pan to, co pan teraz robi, skupił się na tej sprawie i powiedział nam, co pan o tym sądzi. Jeśli będzie pan potrzebował pomocy, proszę zwrócić się do Tricii. — Machnęła ręką w stronę pulchnej blondynki.

— Świetnie. — Nie życząc sobie żadnej pomocy, Richards poklepał cienką teczkę wierzchem dłoni. — Natychmiast się do tego zabiorę.

— Brawo, tak trzymać! — pochwaliła go Soraya. — Do roboty, Numerze Jeden.

— To ze *Star Treka*, tak? — Richards uśmiechnął się krzywo. — Nie zawiodę pani, pani kapitan. — Odwrócił się na pięcie i pomaszerował do swojego boksu, żeby poszperać w sieci.

Peter zmarszczył brwi.

— To było wyrachowane i złośliwe.

Soraya wzruszyła ramionami.

— Odwali za nas kawał roboty i nie będzie wchodził nam w paradę. Co w tym złego?

•••

Słyszając za plecami ich stłumiony śmiech, Dick Richards zmienił zdanie co do swoich odczuć. A może tylko wyobraził sobie, że się z niego śmiali? Wiedział jednak na pewno, że prawdziwa jest ich pogarda. Gdy przyszedł tu na polecenie prezydenta, dyrektor Marks, chłodny, lecz

pomocny, był całkiem w porządku. Atmosfera zaczęła psuć się dopiero wtedy, kiedy z urlopu zdrowotnego wróciła dyrektor Moore. Marks i Moore: pogląd na ich temat mógł wyrobić sobie jedynie na podstawie pogłosek, biurowych plotek oraz — co było elementem najmniej pewnym — na podstawie agencyjnych mitów, które przesłaniały wszystko, jak dym przesłania prawdziwe zarysy ładu.

Prezydenckie rozkazy były jasne i wyraźne. Uwagę głównego lokatora Białego Domu zwróciły osiągnięcia Richardsa w NSA, Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. To, że udało mu się złamać kod źródłowy potwornego Stuxnetu, najbardziej złośliwego spośród dotychczas wymyślonych robaków, pierwszego, który zyskał miano broni cybernetycznej i który przez wiele miesięcy opierał się najlepszym analitykom i specom od zabezpieczeń sieciowych. Jego odmiany skutecznie wyssały informacje na temat amerykańskich systemów uzbrojenia, w tym tych najbardziej zaawansowanych, na temat tajnych baz, inicjatyw militarnych zarówno w Iraku, jak i w Afganistanie oraz celów, jakie miały zaatakować bezzałogowe drony w zachodnim Pakistanie. To właśnie on jako pierwszy zrozumiał, że zhakowano superbezpieczne tokeny, którymi posługiwali się tajni agenci federalni. Odkrył źródło przecieku i je zlikwidował.

Był niczym Einstein układający równanie na prędkość światła. A przynajmniej tak opisał go prezydentowi Mike Holmes, jego były szef z NSA. Teraz pracował wyłącznie dla prezydenta i bezpośrednio mu podlegał. Układ ten był bezprecedensowy i, co naturalne, wzbudzał zazdrość wśród członków prezydenckiego gabinetu, którzy nie tolerowali jego obecności, nie wspominając już o jego cybernetycznych triumfach. Siadając w fotelu i spoglądając na ekran monitora, pomyślał, że wszystko sprowadza się do jednego, do tego, że nikt go nie rozumie. Odkrył, że ludzie nienawidzą i boją się wszystkiego i każdego, kto stanowi dla nich zagadkę.

W tym niespokojnym obozie byli teraz jego nowi szefowie. Szkoda. Zaczynał już lubić dyrektora Marksa i gdyby któreś z nich dało mu szansę, polubiłby może i dyrektor Moore. Ktoś inny byłby pewnie zły za ten jaskrawy brak wzajemności, ale jego umysł funkcjonował inaczej. Richards wiedział, również z doświadczenia, że najlepszym sposobem na to, by nie tylko przetrwać, ale i zrobić karierę w Treadstone, służąc przy okazji prezydentowi, jest sprawić, by dyrektorzy zmienili o nim zdanie.

Otworzył cienką teczkę, którą dała mu Soraya Moore, zaczął czytać gęsto zapisaną kartkę i natychmiast zrozumiał, że są to tylko informacje

niesprawdzone i fragmentaryczne, ulotny szum z terenu. Mimo to istniało prawdopodobieństwo, choć niewielkie, że w samym sercu tego przedstawienia z dymem i lustrami leży coś prawdziwego i dotąd niezbadanego. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że jeśli uda mu się to wydobyć i odczytać, jego nowi zwierzchnicy zaczną postrzegać go w nowym świetle. A tego pragnął jak niczego innego. Tego potrzebował. Potrzebował rozkazów pana.

Włączył przeglądarkę, zatańczył palcami na klawiaturze i zaczął szukać mitu.

•••

Rebeka patrzyła na ponury, lecz piękny bezkres zatoki Hemviken. Siedziała przy stoliku z widokiem na morze w Utö Wärdshus, jedynej restauracji na tym południowym archipelagu, pijąc kawę i oszczędzając prawe ramię. Nóż uciekiniera przebił jedynie mięsień. Ktoś inny zganiłby siebie za porażkę, za to, że nie zdołał odeprzeć ataku — ktoś inny, ale nie ona. Ona nauczyła się zapominać, niczego nie żałować, a już na pewno niczym się nie zadrećcać. Żyła teraźniejszością, myślała tylko o niebezpiecznej przyszłości i o tym, jak jej dożyć bez narażania się na zbyt wielkie straty.

Gdy wchodziła do restauracji, jej wprawne oczy naliczyły szesnaście stolików, z których zajęte były tylko trzy. Przy pierwszym siedziało dwóch starszych mężczyzn — jeden na wózku — powoli i z namysłem grających w szachy. Drugi zajmował stary marynarz o chropowatych rękach koloru ugotowanych szczypiec homara — ten palił małą fajkę, czytając lokalną gazetę. Przy trzecim dostrzegła kobietę w ciąży i jej pięcio-, może sześćioletnią córeczkę. Fachowo oceniła, że żadna z tych osób nie stanowi zagrożenia i szybko o nich zapomniała.

Po tym, jak jej cel zniknął pod wodą, ignorując ranę, spędziła prawie godzinę na poszukiwaniach. Mimo wysiłków, mimo że twardo opierała się morskim prądom, mimo prawie odmrożonych palców u nóg, nie zdołała go znaleźć. Było to zarówno niefortunne, jak i przerażające. Mogłaby pójść o zakład, że kula tylko musnęła jego głowę. Jeśli nie zabiła go ona, chciała wiedzieć, czy nie zabiła go również lodowata woda. Potrzebowała tego, co skrywał jego mózg, i przeklinała siebie w duchu za to, że w ogóle pociągnęła za spust. Powinna była wskoczyć za nim do wody. Pod wodą obezwładniłaby go bez większego trudu, nie

miała co do tego żadnych wątpliwości. A tak cel zniknął, a wraz z nim informacje wywiadowcze, które mogły ją ocalić.

Machinalnie dosypała cukru do kawy i wypła łyk. Teraz będzie ścigana przez własnych ludzi. Nikt lepiej od niej nie wiedział, jak bezwzględny i nieustępliwy potrafi być Mossad, gdy jego zwierzchnicy nabiorą przekonania, że któryś z agentów zdradził. Bardzo by chciała, żeby można było załatwić to inaczej, lecz dobrze знаła pułkownika Ariego Ben Davida i wiedziała, że nie uwierzy w jej nieprawdopodobną opowieść. Nie miała dokąd pójść. Zgoda, był taki ktoś, ale wyszkolono ją tak, że nie chciała mieszać w to nikogo spoza Mossadu.

Usłyszała głos kelnerki, odwróciła się i skrzywiła. Rana z Damaszku wciąż się nie zagoiła i niemal każdy ruch górnej połowy ciała przypominał Rebecę, że wciąż tam jest.

— Jeszcze kawy? — spytała z uśmiechem kobieta.

Wyglądała jak walkiria. Rebeka wyobraziła ją sobie, jak w pełnej zbroi walczy w decydującej bitwie zmięchu bogów albo — co było bardziej prawdopodobne — jak wychylona za burtę wciąga do łodzi sieć z porannym połowem. Kiwnęła głową i odwzajemniła uśmiech.

Spojrzała na zatokę i zobaczyła, że nadciąga sztorm. Bardzo dobrze. Gęstniejący mrok pasował do jej nastroju. Upiła kolejny łyk kawy, dodała więcej cukru i pomyślała, jak bardzo zmieniło się jej życie, odkąd podczas jednego ze swoich regularnych lotów do Damaszku poznała Jasona Bourne'a. Pracowała wtedy pod przykryciem stewardesy i chociaż było to ledwie przed sześcioma tygodniami, zdawało się, że od tamtego czasu upłynęły wieki. Tak, zmiana była radykalna. Ścigali tego samego terrorystę, Semida Abdul-Qahhara, i podczas walki oboje zostali ranni: ona zarobiła cios nożem w bok, Bourne — kulę w ramię. Mimo to przerzucił ją skradzionym helikopterem przez południową granicę do Libanu, a potem, za jej namową, posadził maszynę w obozie Mossadu w Dahr El Ahmar.

Nie miała pojęcia, gdzie Bourne teraz jest ani czy w ogóle zechce z nią rozmawiać. Ostatecznie to ona skierowała go do ośrodka dowodzonego przez Ben Davida. Nietrudno zgadnąć, że obarcza ją winą za to, co wtedy zaszło.

Nie, nawet gdyby zdołała go namierzyć, nie mogła do niego pójść ze swoimi podejrzeniami, chociaż załęgły się w niej już wtedy, gdy dochodziła do siebie w Dahr El Ahmar. Zdradziła go. Była jego wrogiem. Czy mógł myśleć inaczej? Po tym wszystkim?

No i oczywiście ją też zaczęto podejrzewać, bo przecież to ona sprowadziła go do obozu. Pułkownik Ben David nie należał do ludzi wybaczących — prawdę mówiąc, nie mógł sobie na to pozwolić — ale zmienił do niej stosunek tak bardzo, że najpierw nią to wstrząsnęło, a potem zasmuciło. Była odporna na metody postępowania obowiązujące w jej świecie, lecz nic, czego dotychczas doświadczyła, nie mogło jej na to przygotować. Pułkownik natychmiast ją skreślił, całkowicie i ostatecznie. Zachował się bardziej jak urażony kochanek niż jak dowódca. Dopiero później, po tym jak uciekła, bo postanowiła zareagować na podsłuchaną w obozie wiadomość i rozpoczęła pościg za celem, dopiero wtedy zrozumiała, jakimi darzył ją uczuciami. Patrząc wstecz, zdała sobie sprawę, że nigdy nie była dla niego tylko agentką. Oczywiście teraz było już za późno, by cokolwiek zrobić, nawet gdyby chciała.

Sztorm cisnął w okno pierwszymi garściami śniegu z taką siłą, że zaskoczona drgnęła. Okno zadygotało i zatrzeszczało na wietrze. Rebeka odwróciła się i właśnie wtedy go zobaczyła, szczupłego mężczyznę przy stoliku w pobliżu drzwi, na drugim końcu sali. Zobaczyła go i wiedziała już, że wszystko stracone.

• • •

— Jeden człowiek. Pojedynczy człowiek. — Christien spojrzał na Bourne'a. — Nazywają go Nicodemo, ale bardziej znany jest jako Dżin, Który Oświeśla Drogę.

— Który Oświeśla Drogę?

— Czujka, forpoczta, przednia straż.

— Czyli ktoś, kto załatwia sprawy.

Christien kiwnął głową.

Bourne spojrzał w okno. Było przedpołudnie. Chmury nadciągały z północy jak morskie fale. Wiał porywisty wiatr, który od czasu do czasu atakował okna śniegiem. Wyczerpany przeżyciami bezimienny mężczyzna — Jason nazywał go w myślach Alefem — zapadł w sen. Choć niechętnie, postanowili zrobić przerwę w przesłuchaniu.

— Opowiedz mi o nim. Dlaczego tak bardzo was niepokoi?

Restauracja zajmowała najwyższe piętro ultranowoczesnego gmachu z chromu i zielonego szkła przy Kommendörsgatan w Östermalm, eleganckiej dzielnicy Sztokholmu, niedaleko domu Christiena.

— Powiem ci wszystko, co wiem, chociaż, szczerze mówiąc, niewiele tego jest. Nie wiadomo, skąd pochodzi. Niektórzy twierdzą, że jest Portugalczykiem, inni, że Boliwijczykiem, jeszcze inni przysięgają, że Czechem. Tak czy inaczej, pojawił się dosłownie znikąd. Przez jakiś czas, dziesięć lat temu, był pośrednikiem inwestycyjnym Core Energy. Firma się wtedy rozrosła, przekształciła w międzynarodowy koncern, coś w rodzaju potężnego zakładu energetycznego skupującego i sprzedającego wszelkie rodzaje energii. Nie wiadomo, czy wciąż z nimi współpracuje ani w jaki sposób. W porównaniu z nim Tom Brick, prezes zarządu Core Energy, jest jak otwarta księga. Urodził się w Londynie, w dzielnicy World's End, i ukończył Londyńską Szkołę Biznesu. Ale niech nie zwiedzie cię brak tytułów naukowych, gość ma łeb.

— Wróćmy do Nicodema.

— W tym problem. Wygląda na to, że Nicodemo jest nierozzerwalnie związany z Core Energy.

— To terrorysta — zauważył Jason — a Core Energy jest legalnie działającą firmą, liderem na wschodzących rynkach energii odnawialnej i nieodnawialnej.

— I właśnie to nas najbardziej niepokoi, to od miesięcy próbujemy zbadać. Doszliśmy z don Fernandem do wniosku, że lada dzień Core Energy zawrze układ, który całkowicie zmieni sytuację i da im tak wielką przewagę na rynku energetycznym, że ich dochody wzrosną dziesięciokrotnie.

Bourne wzruszył ramionami.

— Interes to interes.

— Ale nie wtedy, kiedy pociąga za sobą śmierć i zniszczenie.

— I tu na scenę wydarzeń wkracza Nicodemo, tak?

Christien kiwnął głową.

— Tak uważamy.

— Jesteście pewni, że on w ogóle istnieje?

— Jak to?

— Słyszałeś o Domenicu Scarfo?

— Nie.

— W latach czterdziestych i pięćdziesiątych był słynnym bossem filadelfijskiej mafii. Za plecami nazywano go Małym Nickym, bo miał metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, ale jego pełne nazwisko brzmiało Nicodemo Domenico Scarfo.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Bourne odsunął na bok menu.

— Spotykam się z tym nie pierwszy raz. Wymyśla się nazwisko i tworzy legendę, którą najpierw podsycą się mit, a potem dodaje się do tego jeszcze plotki i bajdy, czasem nawet morderstwa popełniane przez grupę ludzi pracujących dla tych, którzy wymyślili nazwisko.

Christien wziął ciepłą bułeczkę z koszyka na środku stołu i zaczął smarować ją masłem.

— Jeśli wierzyć moim źródłom, tak było i z tobą.

— Owszem, w taki sam sposób stworzono tożsamość Jasona Bourne'a. — Jason wypił łyk świeżego soku pomarańczowego.

Christien nabrał łyżką porcję dżemu z borówek.

— Ale teraz jesteś nim naprawdę.

— Tak, jestem. Tożsamość to potężny obraz, który często zaczyna żyć własnym życiem, co może mieć niezamierzone konsekwencje. Gdybym jednak nie stracił pamięci...

Zamyślony Christien kiwnął głową.

— Wracamy do naszego Alefa. Rozumiem. — Ugryzł kawałek bułki, spojrzał na kelnera, który wyrósł przy stoliku, przeniósł wzrok na Bourne'a i uniósł pytająco brwi.

Jason zamówił jajecznicę, surowego łososia peklowanego w soli z cukrem i koperkiem, grzanki i kawę.

— Poproszę to samo — rzucił Christien.

Kiedy kelner odszedł, Bourne nachylił się ku niemu i spytał:

— Który z was wymyślił, że Tom Brick stworzył Nicodema, by omijać prawo bez konsekwencji dla siebie i swojej firmy? Ty czy don Fernando?

— Nicodemo istnieje, wierz mi.

Bourne podniósł wzrok.

— Widziałeś go? Poznałeś?

— Don Fernando go poznał, tak twierdzi. — Christien powołał się na don Fernanda Hererrę, swojego dawnego wspólnika, przemysłowca, bankiera i przyjaciela, z którym Jason miał kiedyś do czynienia.

— Nawet jeśli w to uwierzę, na pewno wiemy tylko to, że don Fernando poznał kogoś, kto się za niego podaje. To jeszcze nie dowód, że Nicodemo istnieje.

— Powinienem uczyć się od ciebie cynizmu.

— To, co jednemu wydaje się cynizmem, dla drugiego jest rozważą. À propos Hererry: gdzie on teraz jest? Chciałbym z nim porozmawiać, bardzo by mi to pomogło.

— Wyjechał.

— To za mało — rzucił Bourne.

Podano jedzenie. Milczeli, dopóki kelner nie odszedł i nie zaczęli jeść.

— Chodzi o to — powiedział Christien — że don Fernando prosił mnie, bym zachował to w tajemnicy.

Jason odłożył widelec i usiadł prosto.

— Posłuchaj, musisz się wreszcie zdecydować. Chcecie, żebym wam pomógł, czy nie?

— Tak czy inaczej, będziesz miał do czynienia z narastającym zagrożeniem. Core Energy zmusiła nas do zastosowania podstępu, inaczej nie udałooby się nam wykupić udziałów kopalni ziem rzadkich Indigo Ridge w Kalifornii. Gdybyśmy tego nie zrobili, Ameryka poniosłaby olbrzymie straty. Nie mogliśmy do tego dopuścić. Ale Core Energy działa wszędzie. Kupuje metale ziem rzadkich: uran, złoto, srebro i miedź, kupuje kopalnie podstawowych metali w Kanadzie, Afryce i Australii. Za dziesięć, dwadzieścia lat wartość tych surowców gwałtownie wzrośnie, bo kraj po kraju, bo cały świat będzie musiał zrezygnować z maszyn napędzanych ropą, węglem, a nawet gazem ziemnym. Ropa powoli się kończy. Węgiel? Jeśli z niego nie zrezygnujemy, będziemy dusili się w rakotwórczym dymie, który jest plagą każdego miasta w Chinach, Indiach i Tajlandii. Panele słoneczne są mało wydajne, a jeśli chodzi o tak modne ostatnio turbiny wiatrowe, budowa i eksploatacja każdej z nich wymaga stu osiemdziesięciu dwóch kilogramów metali ziem rzadkich. Poza tym nie postawisz wiatraka na dachu samochodu ani samolotu. Do budowy samochodowych silników hybrydowych też używa się metali ziem rzadkich, jeśli zaś chodzi o samochody elektryczne, to jak myślisz, skąd się bierze prąd? — Christien pokręcił głową. — Tak, Nicodemo przewidział, jakiej energii będziemy potrzebowali w przyszłości.

— Ale na czele Core Energy stoi Tom Brick.

— Tak, Brick jest publiczną twarzą firmy. Niewykluczone jednak, że Nicodemo nim steruje. Właśnie tego chce się dowiedzieć don Fernando. Jeśli to prawda, Nicodemo może swobodnie działać poza prawem. Don Fernando uważa, że to pierwszy przedstawiciel nowej generacji terrorystów. Łapówki, wymuszenia, szantaż: może ubijać interesy w cieniu, w szarej strefie, tam gdzie Core Energy nigdy by się nie zapuściła. Nie kieruje się ani religią, ani ideologią. Zawładniesz rynkiem głównych surowców energetycznych przyszłego stulecia i masz u stóp cały świat. Jednym pociągnięciem zdusisz wolny handel, zagroźisz gospodarce i bezpieczeństwu każdego kraju. W dzisiejszych czasach nikt

nie stworzy porządnej armii bez broni, której budowa jest zależna od ziem rzadkich.

— Dokąd pojechał don Fernando?

Teraz z kolei Christien odłożył sztucce i wytarł usta.

— Jasonie, don Fernando nie bez powodu prosił mnie, bym zachował to w tajemnicy. Bał się, że za nim pojedziesz.

— Dlaczego? — Bourne nachylił się w jego stronę. — Gdzie on jest? Mów.

Christien westchnął.

— Mamy do rozwikłania własne tajemnice...

— Teraz nie ma już odwrotu. Mów.

Długo mierzyli się wzrokiem, jak podczas pojedynku. W końcu Christien spuścił głowę. Wziął nóż i widelec i zaczął jeść. Nie odrywając oczu od talerza, w przerwie między kolejnymi kęsami powiedział:

— Don Fernando pojechał szukać Dżina, Który Oświeśla Drogę.

• • •

Rebeka uregulowała rachunek, wstała i ruszyła do drzwi. W ostatniej chwili skręciła i usiadła przy stoliku, który jakiś czas temu zajął szczupły mężczyzna.

— Koniec świata — rzucił oschle.

Przyjrzała mu się uważnie.

— Bez przesady.

— Przynajmniej dla nas.

— Dla Żydów?

— Dla Żydów też.

Miał bardzo delikatne ręce, mlecznobiałe, z kłykcami tak ostrymi, jakby lada chwila miały przebić skórę. Czarne oczy, rzadkie włosy nieokreślonego koloru, wyraziste rysy twarzy, cienkie usta, sztyletowaty nos — widziała go tylko raz, przed laty, gdy po ukończeniu szkolenia wezwano ją do głównej kwatery Mossadu w Tel Awiwie. Cichy niczym śmierć patrzył, jak Dani Amit, szef Biura Wywiadu, przydziela jej pierwsze zadanie. Ale zapamiętała go, zwłaszcza jego twarz. Miał na imię Ze'ev — po hebrajsku „wilk” — chociaż wątpiła, żeby się z nim urodził.

— Masz szczęście, że cię znalazłem — powiedział.

— Naprawdę? — Przekrzywiła głowę.

Ze'ev upił łyk kawy i zrobił to niemal ze smakiem.

— Spuścili ze smyczy Babilończyka.

Rebeka nawet nie drgnęła, ale poczuła, że oplatają ją macki lęku. Szybko się z nich wyślizgnęła, żeby lęk nie przeszedł w nagi strach.

— Dlaczego?

— Co ty, do diabła, knujesz? — spytał Ze'ev.

W pierwszej chwili pomyślała, że celowo zignorował jej pytanie, lecz natychmiast zdała sobie sprawę, że jednak odpowiedział. Musiała wstrząsnąć Tel Awiwem do tego stopnia, że jej szefowie zareagowali tak, jak zareagowali. Pokręciła głową.

— Nie rozumiem cię. Robiłaś karierę, miałaś nienaganny przebieg służby. I nagle sprowadzasz do Dahr El Ahmar Bourne'a, nagle pokazujesz mu najtajniejszy...

— Ocalił mi życie. Wykrwawiłabym się na śmierć. Nie mieliśmy dokąd pójść.

Ze'ev usiadł prosto i przyjrzał się jej uważnie. Zastanawiała się, o czym myśli.

— Miałaś dostęp do tajnych informacji. Wiedziałaś, co tam robimy.

Bez słowa spojrzała mu prosto w oczy.

— Mimo to...

— Tak, mimo to.

Ze'ev westchnął.

— Pułkownik Ben David pragnie twojej krwi. Twojej i oczywiście Bourne'a.

— Nie wiedziałam, że czuje do niego aż taką antypatię.

— Twierdzisz, że bezzasadnie?

Zastanawiała się przez chwilę.

— Chyba nie. Ale wtedy, w tej trudnej sytuacji, nie miałam pojęcia, że...

— Jedno wiedziałaś na pewno: ośrodek w Dahr El Ahmar działa w najściślejszej tajemnicy. Bourne uciekł. Bourne wie...

— Nie wiadomo, co wie — warknęła. — Przebywał w obozie niecałe piętnaście minut. Był ranny, walczył o życie. Nie miał czasu na...

— Po pierwsze, jest dobrze wyszkolonym agentem, wszystko widzi i wszystko słyszy. Po drugie wie co najmniej tyle, że Dahr El Ahmar istnieje. Po trzecie, uciekł helikopterem, co znaczy, że przeleciał nad ośrodkiem.

— Co jeszcze nie znaczy, że się zorientował. Był zbyt zajęty, bo Ben David kazał zestrzelić helikopter pociskiem ziemia—powietrze.

— Według pułkownika, a wiem to z dobrego źródła, już sama obecność Bourne'a w ośrodku wystarczyła, żeby go skazać. Zostały pogwałcone wszelkie zasady bezpieczeństwa. A zaraz potem znikasz z naszych radarów. Chyba rozumiesz, co sobie pomyśleli.

— Jedno nie ma nic wspólnego z drugim.

— Wiedziałem, że to powiesz. Oni nigdy tego nie kupią, ani oni, ani ja. Szczerze.

Rebeka odgarnęła włosy.

— Posłuchaj...

— Spuścili ze smyczy Babilończyka — powtórzył Ze'ev. — Nasłali go na ciebie. — Ciężko westchnął. — Można go powstrzymać tylko w jeden sposób.

— Odpada — powiedziała. — Nawet mnie o to nie prosź.

Ze'ev wzruszył ramionami.

— W takim razie rozmawiam z trupem. Szkoda. — Rzucił na stolik pieniądze i wstał.

— Zaczekaj.

Spojrzał na nią tak, że coś w niej umarło.

— Usiądź. — Gorączkowo myślała.

Ze'ev zawahał się, ale zrobił to, o co prosiła.

— Chcę... — Nagle przestraszyła się i urwała. Przyrzekła sobie, że nikomu nie powie, co się stało w Dahr El Ahmar. Uciekła wzrokiem w bok i ogarnięta niepewnością zagryzła wargę.

— Tak? — Ze'ev nachylił się ku niej.

Coś w tonie jego głosu — pojednawczym, jakby naprawdę się o nią martwił — kazało jej na niego spojrzeć. To ta chwila, pomyślała. Zaufać mu czy nie. Teraz albo nigdy. Oczywiście mogła też wybrać zupełnie inną drogę.

Próbując się uspokoić, wzięła głęboki oddech, ale nic nie powstrzymałoby niemal bolesnego pulsowania jej serca. Znowu dała o sobie znać nie do końca zagojona rana w boku.

— Posłuchaj — powiedział Ze'ev. — Ktoś taki jak ty ucieka z dwóch powodów. W dzisiejszych czasach możemy zapomnieć o ideologii. Cóż więc nam zostało? Pieniądze i seks. — Rebeka milczała i przyjrzał się jej ze współczuciem. — Będę zgadywał, zaryzykuję. W twoim życiu zaszła ostatnio tylko jedna zmiana: Jason Bourne. Mam rację?

Boże, pomyślała. On myśli, że zdradziłam Mossad na prośbę Jasona. Ale może uda jej się to wykorzystać.

Gwałtownie wstała, pchnęła drzwi i uderzył ją w twarz podmuch burzy. Stała pod zadaszeniem, które chroniło przed siekącym śniegiem, ale nie przed wichurą.

Chwilę później wyczuła, że Ze'ev stanął obok niej.

— Widzisz? — Na wyjąłym upiornie wietrze musiał podnieść głos. — Tu nie ma dokąd iść.

Długo milczała, wreszcie wypuściła powietrze.

— Masz rację — powiedziała, starając się przybrać lekko zawstydzoną minę. — To Bourne.

Ze'ev zmarszczył brwi.

— Czym cię przekonał? Co zrobił?

— Spędziłam z nim dwie noce w Damaszku. — Spojrzała mu prosto w oczy. — Jak myślisz?

• • •

Życie w Treadstone było dla niego trudne. Przejście z NSA, gdzie wszyscy czcili go i podziwiali, nawet sam prezydent, do instytucji, w której był dosłownie pariasem, źle na niego działało. To i jego podwójna, dwulicowa rola. Nie był stworzony do takiej pracy — w przeciwieństwie do prawdziwych agentów nie miał nerwów ze stali. Z takim czymś trzeba się po prostu urodzić, to rzecz nie do wyuczenia. Tak naprawdę był tchórzem. Żył z tą poniżającą świadomością, odkąd skończył trzynaście lat, kiedy to na obozie letnim poznał znęcającego się nad słabszymi chuligana, który zawładnąwszy całym domem, bezlitośnie go dręczył. Zamiast odpowiedzieć przemocą na przemoc, znosił to bez słowa, a na koniec tego straszliwego lata wyciągnął do niego rękę i powiedział: „Bez urazy, okay?”. Tamten odpowiedział mu szyderczym uśmiechem. Wspomnienie to prześladowało Richardsa przez całe dorosłe życie, w najróżniejszych formach. Czasem udawało mu się zamaskować swoje prawdziwe „ja” osiągnięciami intelektualnymi — czasem, choć nie zawsze, a już na pewno nie teraz, w środku nocy, gdy nawet skrzące się złościście miasto nie potrafiło wygnać z jego serca poczucia bezradności.

Przesiedział przed komputerem całe popołudnie, wieczór i pół nocy, robiąc przerwy tylko po to, by opróżnić pęcherz i szybko zjeść hamburgera z fast foodu, który leżał mu teraz na żołądku jak stężała gula. Nie odrywając oczu od ekranu monitora, otworzył szufladę,

odkręcił nakrętkę buteleczki, wrzucił do ust garść tabletek na nadkwasotę i niechętnie je rozgryzł. Wciąż udawał, że próbuje namierzyć ducha ze skąpego dossier, które dali mu szefowie, dla kawału, jak podejrzewał. Kolejne poniżenie do jego bogatej kolekcji. Z drugiej jednak strony, odkrycie, że Marks i Moore nie interesują się aż tak bardzo Nicodemem, było dość pokrzepiające. Rozkaz musiał przyjść z samej góry, najpewniej od sekretarza obrony Hendricksa, który próbował go namierzyć. Richards nie miał pojęcia, kim jest Nicodemo, lecz wiedział o nim dużo więcej niż ktokolwiek z Treadstone.

Skupił się na serii chińskich cyberataków na instytucje rządowe i wojskowe, a także na serwery dostawców usług i sprzętu wojskowego z całego świata, ataków, których celem było wykradzenie tajnych informacji. To właśnie nad tym pracował przez cały dzień i wieczór. Przenikając przez cybernetyczne zapory, rozszyfrowując zaszyfrowane pliki, włamując się na zabezpieczone jak skarbiec strony internetowe, rzucając do boju pluton specjalnie podrasowanych trojanów i robaków, dzięki którym łatwo zyskał dostęp do stron rosyjskich, rumuńskich, serbskich i wreszcie chińskich, kilka razy był pewien, że na coś wpadł. Ale okazało się, że każdy ślad jest ślepym zaułkiem albo fałszywym tropem i po ośmiu godzinach pracy wrócił do punktu wyjścia. Chociaż niezupełnie. Wiedział już, gdzie nie należy szukać, a wiedza ta była znakomitą bronią, którą mógł wykorzystać najpierw do zmiany parametrów poszukiwań, a potem do ich zawężenia.

Wstał, przeciągnął się i podszedł do kuloodpornego okna. W szybie tkwiły malutkie czujniki wysyłające sygnały, które skutecznie zagłuszały każde urządzenie podsłuchowe. Spojrzał na opustoszałe ulice. Z rzadka przejeżdżał nimi jakiś samochód osobowy albo ciężarówka. Jak od trujących kwiatów, w jego głowie znowu zaroilo się od nieproszonych myśli o ojcu i ojczymie. Ojciec zostawił matkę, gdy straciła wzrok. On sam miał wtedy cztery lata. Wiele lat później, kiedy wytropił go, wykorzystując swoje umiejętności komputerowe, okazało się, że ojciec nie przyznaje się nawet do tego, iż go spłodził. Z kolei ojczym pojawił się w ich pokancerowanej rodzinie tylko po to, żeby wysysać z matki pieniądze. Naśmiewał się z niej, regularnie zdradzał ją z haremem kochanek. Kiedy Richards próbował powiedzieć to matce, ta nie tylko mu nie uwierzyła, ale i wpadła w złość, wyrzucając mu, że nie chce zaakceptować jej nowego męża. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że o wszystkim wiedziała i że bojąc się samotności, coraz głębiej i głębiej pogrążała się w wymyślonej przez siebie rzeczywistości.

Szybko wrócił do biurka. Stojąc przy oknie, czuł się jak zwierzę w klatce, jak zwierzę uwięzione za murami nowoczesnego zamku Treadstone. To, że tak naprawdę więzi go własne życie, docierało do niego jak przez mgłę. Nieświadomie poszedł w ślady matki. Bardziej rzeczywisty stał się dla niego internet, ten nieustannie zmieniający się, zawsze fascynujący twór.

Rozprostował i z trzaskiem wyłamał palce, po czym ułożył je na klawiaturze. Potrzebował czegoś bardziej konstruktywnego. Postanowił sfabrykować trochę informacji o Nicodemie, informacji, które mógłby przekazać swoim szefom w zamian za bardziej łaskawe spojrzenie. Znowu ogarnęła go znajoma desperacja, znowu zapragnął, żeby przełożeni go polubili. Ze wstydu zapłonęły mu policzki.

Wziął głęboki oddech. Skup się. Zrób to, w czym jesteś dobry. Wystarczy mały sukces i od razu poczujesz się lepiej. Znaleźć pojedynczego człowieka w kipiącym kotle internetu jest bardzo trudno, dobrze o tym wiedział. Ale wiedział również, że nikt i nic — nawet duch — nie jest samotną wyspą. Tak jak każdy, Nicodemo musiał mieć współpracowników, znajomych, rodzinę, innymi słowy, jakąś infrastrukturę. Nawet jeśli do tej pory nie zaistniał w sieci, to oni na pewno zaistnieli. Poza tym zarabiał pieniądze, według skrawków informacji z dossier, bardzo duże pieniądze. Pieniądze zaś nie istniały w próżni: skądś pochodziły, dokądś płynęły. Miejsca te były dobrze ukryte, lecz istniały, a prowadzące do nich drogi były równie rzeczywiste jak te w prawdziwym świecie. Ale nie, żadna z tych rzeczy nie odnosiła się do Nicodema, tyle już o nim wiedział.

Spokojnie, myślał, czując, że przyspiesza mu puls. Znajdzie do niego drogę okreśną. Wrócił do żałośnie skąpych informacji z dossier, czytając je w nowym świetle i szukając początku wydumanej podróży przez internet.

Jego palce zatańczyły na klawiaturze, jakby żyły własnym życiem i chwilę później pogrążył się w swoim ukochanym wirtualnym wszechświecie.

Rozdział 3

— Problem w tym, że pani leciała.

— To znaczy? — Soraya pokręciła głową. — Nie rozumiem.

Doktor Steen spojrział na nią znad teczki z wynikami badań EEG i MRI. — Była pani ranna, prawda? W Paryżu.

— Tak.

— I tam panią leczono.

— Tak.

— Nie ostrzeżono pani przed ryzykiem związanym z lataniem?

Soraya czuła bicie swojego serca. Biło o wiele za szybko, jakby wyrwało się z klatki piersiowej i utknęło w gardle.

— Myślałam, że nic mi nie jest.

— Ale jest. — Doktor Steen obrócił się z fotelem i włączył monitor. Na ekranie widniał obraz jej mózgu uzyskany metodą rezonansu magnetycznego. Lekarz wskazał go ruchem głowy. — Ma pani krwiniaka podtwardówkowego. Pani mózg krwawi.

Sorayę przeszedł zimny dreszcz.

— Widziałam wyniki poprzedniego badania. Niczego takiego nie wykryto.

— Tak jak mówiłem, leciała pani samolotem.

Steen odwrócił się przodem do niej, ale obraz pozostał na ekranie jak potworne memento.

Lekarz złożył dłonie na biurku. Był mężczyzną w średnim wieku, który wolał golić głowę, niż walczyć z łysieniem.

— Podejrzewam, że... Nazwijmy to rozdarciem. Otóż podejrzewam, że rozdarcie było mikroskopijne. Dlatego poprzednie badanie niczego nie wykryło. Ale potem wsiadła pani do samolotu i... — Rozłożył ręce.

Soraya pochyliła się do przodu. Strach ustąpił miejsca gniewowi.

— Dlaczego ciągle sugeruje pan, że to moja wina?

— Bo nie powinna była pani...

— Niech pan się wreszcie zamknie. — Powiedziała to cicho, lecz tak dobitnie, że Steen wzdrygnął się i oniemiał. — Czy rozmawia pan tak ze wszystkimi pacjentami? Co z pana za człowiek?

— Jestem lekarzem...

— Właśnie. Nie człowiekiem. Mój błąd.

Obserwował ją uważnie, czekając, aż się uspokoi.

— Panno Moore, moje rozległe doświadczenie w dziedzinie neurochirurgii nauczyło mnie, że nie warto upiększać diagnozy. Im szybciej pacjent zrozumie, w jakim jest stanie, tym szybciej możemy zabrać się razem do pracy i go wyleczyć.

Soraya odczekała chwilę, żeby nad sobą zapanować, lecz jej serce wciąż dudniło jak pociąg, który wyrwał się spod kontroli. Nagle skrzywiła się, czując ostry ból w głowie. Doktor Steen natychmiast wyszedł zza biurka i stanął u jej boku.

— Panno Moore?

Soraya potarła skroń.

— Dość tego. — Lekarz podniósł słuchawkę. — Pojedzie pani do szpitala, i to natychmiast.

— Nie. — Chwyciła go za rękę. — Nie. Proszę.

— Chyba nie rozumie pani powagi...

— Praca to moje życie.

— Panno Moore, w pani mózgu wzrasta ciśnienie. Dopóki go nie zmniejszymy, może pani zapomnieć o normalnym życiu. Nie mogę pozwolić...

— Już przeszło. Ból minął. — Posłała mu słaby uśmiech. — Naprawdę. Nic mi nie jest.

Steen rozejrzał się i przystawił sobie krzesło.

— Dobrze — powiedział. — Co się dzieje?

— Gdzie się podział nasz surowy lekarz?

— Na chwilę odstawiłem go na półkę. — Steen pozwolił sobie na lekki uśmiech. — Pacjentka mnie potrzebuje.

— Potrzebowałam pana, kiedy tylko tu przyszłam. — Soraya zamilkła. Słyszała, jak dzwoni telefon w recepcji, słyszała czyjś podniesiony głos. Potem znowu zapadła cisza.

Doktor Steen dotknął jej nadgarstka, żeby przywrócić ją do rzeczywistości.

— To problem czysto fizyczny. Ale nie możemy go rozwiązać, dopóki nie rozwiążemy pozostałych.

Powoli podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

— Boję się — szepnęła.

Lekarzowi ulżyło.

— Tak myślałem, to zupełnie normalne. Mogę pani pomóc...

— Nie o siebie.

Steen spojrział na nią skonsternowany.

— Boję się o moje dziecko. Jestem w ciąży.

•••

— Jak się pan czuje? — spytał Bourne, wchodząc do pokoju Alefa.

— Lepiej, przynajmniej fizycznie.

Już siedział. Próbował czytać „International Herald Tribune”, którą ktoś mu dał, ale chyba miał z tym problemy.

Bourne postawił czarną skórzaną dyplomatkę i zerknął na stronę wypełnioną notowaniami giełdowymi, wynikami kwartalnymi i doniesieniami o fuzjach przedsiębiorstw.

— Trudno panu skupić wzrok, prawda?

Alef wzruszył ramionami.

— Raz widzę ostro, raz nieostro. Lekarze mówią, że to normalne.

— Znalazł pan tu swoją firmę?

— Co? — Alef roześmiał się nerwowo. — Nie, nie, próbowałem tylko poćwiczyć oczy na małym druku.

Bourne odłożył gazetę, otworzył dyplomatkę i położył mu na kolanach pistolet. I zanim Alef zdążył otworzyć usta, spytał:

— Co to jest?

Mężczyzna podniósł broń.

— Glock dziewiętnaście, kaliber dziewięć milimetrów. — Wysunął magazynek, zobaczył, że jest pusty. Spojrział wzdłuż lufy. Jak zawodowiec.

Jason zabrał pistolet, jednocześnie podając mu drugi.

— A to?

— CZ-USA siedemdziesiąt pięć B.

— Ile nabojów w magazynku?

— Dziesięć.

Bourne podał mu kolejny, o wiele mniejszy.

— A ten pan zna?

Alef obrócił broń w rękę.

— Para-Ordnance Warthog, WHX dziesięć czterdzieści pięć R. Czterdziestkapiątka. Szkielet ze stopu, dziesięć nabojów typu ACP, spust pojedynczego działania. — Zdumiony podniósł wzrok. — Skąd ja to wszystko wiem?

Zamiast odpowiedzieć, Jason zabrał pistolet i rzucił mu na kolana czasopismo otwarte na dużym, szczegółowym zdjęciu.

— *Skażycie pożałsta, czto zdies' izobrażeno.*

— To dragunow SVD ze składaną kolbą i polimerowym wykończeniem. — Alef przesunął palcem po zdjęciu. — Samopowtarzalny karabin wyborowy.

— *Choroszaja wintowka, płochaja, kakaja?* — spytał Bourne.

— Bardzo dobry. Jeden z najlepszych.

Jason przeszedł na angielski.

— Co jeszcze może pan powiedzieć? Strzelał pan z takiego?

— Czy strzelałem? — powtórzył skonsternowany Alef. — Nie... Nie wiem.

— A z glocka czy para?

Alef pokręcił głową.

— Nic, zupełna pustka.

— Natychmiast je pan rozpoznał.

— Tak, wiem, ale... jaki cudem? — Potarł skronie. — Co to, do diabła, znaczy?

Bourne schował broń do walizeczki.

— To znaczy — odparł — że pora sprawdzić, czy powrót na Sadelögę nie wróci panu pamięci.

•••

— Mam coś dla ciebie — powiedział Peter, gdy przeszła przez bramkę bezpieczeństwa w siedzibie Treadstone. — Najświeższa wiadomość: nasz chłoptaś twierdzi, że Dżin, Który Oświeśla Drogę to jednak nie duch, że istnieje.

— Naprawdę? — Soraya zdjęła kurtkę i skrzyła w stronę biura.

— Tak. — Marks szedł obok niej. — Co więcej, chłoptaś wie, jak mu na imię. Oczywiście to nic pewnego, rozumiesz, ale... Otóż ten dżin to Nicodemo.

— Hm. — Soraya rzuciła kurtkę na ogrzewany parapet i usiadła przy biurku. — Może powinniśmy z nim pogadać?

— Nie teraz. Nie chcę go rozpraszać. Jest pochłonięty pracą. — Peter zerknął w stronę boksu Richardsa. — Chyba siedział nad tym całą noc.

Soraya wzruszyła ramionami i wzięła plik teczek z przegródki na dokumenty przychodzące. Były to transkrypcje nocnych meldunków od

agentów z Bliskiego Wschodu, z Syrii, Libanu, Somalii i tak dalej. Otworzyła pierwszą teczkę i zaczęła czytać.

Marks odchrząknął.

— Jak było u lekarza?

Podniosła wzrok, uśmiechnęła się i odparła:

— Badania nic nie wykazały. To tylko zmęczenie. — Westchnęła. — Mówi, że za wcześnie wróciłam do pracy.

— I ma rację. Nie jesteś sobą.

— Nie? A kim?

Chciała obrócić to w żart, ale Peter się nie roześmiał.

— Idź do domu. Odpocznij.

— Nie chcę. Po tym wszystkim, po tym wymuszonym leżakowaniu, najlepszym lekarstwem będzie praca.

— Nieprawda. Twój lekarz też tak uważa. Weź parę dni wolnego. Najlepiej połóż się i nie wstawaj.

— Peter, wiesz, że w domu całkiem oszaleję.

Położył rękę na jej ręce.

— Nie każ mi wciągać w to Hendricksa.

Popatrzyła na niego i kiwnęła głową.

— Dobrze, ale niech to zostanie między nami.

— Też tak wolę — powiedział z uśmiechem.

— Jeśli zdarzy się coś ważnego, natychmiast dasz mi znać.

— Oczywiście.

— Dzwoń na komórkę. Stacjonarny znowu padł.

— Jasne — rzucił, ciesząc się, że ustąpiła.

— Dobra. — Soraya głęboko odetchnęła. — Skończę tylko ten raport. Przejrzę go i ci przyniosę. — Gdy wstał, cicho dodała: — I uważaj na Richardsa.

Marks nachylił się nad biurkiem.

— Masz to jak w banku. — Podszedł do drzwi i przystanął.

— Tylko zrób to, okay?

— Okay.

Odprowadziła go wzrokiem do drzwi, potem przeczytała raport, napisała na marginesie kilka uwag, zebrała papiery i kiedy zaczęła je układać, zauważyła teczkę z meldunkami agentów pracujących w Egipcie. Znowu przypomniał jej się Amun i natychmiast zapiekły ją oczy. Zła i nieszczęśliwa wytarła łzy wierzchem dłoni.

Kilka razy głęboko odetchnęła, wstała i zaniósła raporty Peterowi. Schodząc na dół, zerknęła na zegarek. Prawie dwunasta. Wyjęła

komórkę i wybrała numer Delii Trane, specjalistki od materiałów wybuchowych z ATF². Kiedy pracowała w CI, prowadziły razem kilka spraw i bardzo się zaprzyjaźniły.

— Jak się masz, Rayu?

— Muszę się z tobą zobaczyć. Zjesz ze mną lunch?

— Dzisiaj? Jestem umówiona, ale odwołam. Coś się stało?

Ustaliły miejsce i godzinę i Soraya rozłączyła się. Nie chciała rozmawiać dłużej przez telefon. Czterdzieści pięć minut później weszła do Jaleo, hiszpańskiej restauracji przy Siódmej NW, i zobaczyła, że Delia czeka już przy stoliku obok okna. Uśmiechnęła się szeroko na jej widok i pomachała ręką.

Matka Delii była kolumbijską arystokratką z Bogoty i przekazała córce ognistą krew swoich przodków. Mimo jasnych oczu Delia obdarzona była oliwkową cerą, tak jak jej przyjaciółka, ale na tym podobieństwa się kończyły. Miała niezwracającą uwagi twarz, chłopięcą figurę, krótko obcięte włosy i silne ręce — jej rzeczowość i bezceremonialność w pracy były legendarne, ale w obecności Sorai zachowywała się zupełnie inaczej.

Wstała i objęły się na powitanie.

— Mów. Opowiadaj.

Soraya przestała się uśmiechać.

— Dlatego chciałam się z tobą zobaczyć.

Usiadły naprzeciwko siebie. Soraya zamówiła Krwawą Mary bez alkoholu, a Delia — Caipirinhę, koktajl z cachaçą, brazylijską wódką z trzciny cukrowej.

Soraya powiodła wokoło wzrokiem, ciesząc się, że sala się wypełnia i gwar otacza je jak ściany.

— Lekarz zdziwił się, że nic nie widać, chociaż to początek drugiego trymestru. Powiedział, że zwykle jest bardziej spostrzegawczy.

— Mężczyźni i ciąża — prychnęła Delia. — Co oni wiedzą?

— U mojej matki było widać dopiero w piątym czy szóstym miesiącu, ze mną może być tak samo.

Zamilkły wśród narastającego zgiełku, bo gości przybywało, a ci, którzy już siedzieli, byli coraz głośniejsi. Szczególnie drażnił je ich śmiech, piskliwy i nieprzyjemny.

Delia wyczuła, że przyjaciółka jest coraz bardziej zdenerwowana, i wzięła ją za rękę.

— Posłuchaj: nie pozwolę, żeby coś wam się stało, ani tobie, ani dziecku.

Soraya uśmiechnęła się, lecz jej uśmiech szybko przygasł.

— Przyszły wyniki badań. To krwihak podtwardówkowy.

Delia wstrzymała oddech.

— Duży?

— Nie, ale trochę przecieka. I kiedy ciśnienie... — Soraya uciekła wzrokiem w bok. — Steen chce mnie operować. Wywiercić mi dziurę w głowie.

Delia jeszcze mocniej ścisnęła jej rękę.

— No jasne. Chirurdzy zawsze chcą kroić i cerować.

— Może mieć rację.

— Pójdiesz do drugiego lekarza. A jeśli będzie trzeba, to i do trzeciego.

— Wyniki rezonansu są jednoznaczne. Nawet dla mnie.

— Krwiaki podtwardówkowe goją się czasem samoistnie.

— Mój też by mógł. — Soraya szybko zamrugła. — Niestety, wsiadłam do samolotu. To go podrażniło i...

Delia dostrzegła w jej oczach strach.

— Co teraz?

Soraya głęboko wciągnęła i wypuściła powietrze.

— Kobiety w ciąży operuje się tylko w nagłych przypadkach, bo płód jest narażony na podwójne niebezpieczeństwo, przez znieczulenie i sam zabieg. — W jej oczach błyszczały łzy. — Jeśli dzieje się coś złego...

— Przestań, wszystko będzie dobrze.

— Jeśli dzieje się coś złego — ciągnęła z uporem Soraya — najważniejsza jest matka. W razie komplikacji usuwają ciążę.

— Boże...! — Bezradny okrzyk Delii utonął w restauracyjnym gwarze. Nagle rozchmurzyła się. — Ale po co tak myśleć?

— Muszę tak myśleć. Wiesz dlaczego.

Delia nachyliła się ku niej.

— Jesteś pewna?

— Wszystko policzyłam. Dni i cykle menstruacyjne nie kłamią, przynajmniej moje. Wiem, kto jest ojcem, nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

— W takim razie...

— Właśnie.

Do stolika podeszła kelnerka i podniosły wzrok.

— Czy już się panie zdecydowały?

•••

Otrzymałszy zadanie od Daniego Amita, Ilan Halevy, znany jako Babilończyk, poleciał z Tel Awiwu do Bejrutu z argentyńskim paszportem, zgodnie ze stworzoną przez Mossad legendą. W Bejrucie wsiadł do prywatnego samolotu i udał się do Sydonu, gdzie czekał na niego jeep, którym dojechał do obozu w Dahr El Ahmar.

Gdy wprowadzono go do namiotu, Ben David właśnie się golił. Pułkownik nie odwrócił się, ale zerknął na niego w lusterku, po czym znowu zajął się swoimi sinawymi od zarostu policzkami. Od jego lewego oka do koniuszka ucha biegła dopiero co zagojona krwawa blizna. Mógłby zrobić sobie operację plastyczną, lecz nie zrobił.

— Kto wie, że tu jesteś? — spytał bez wstępów.

— Nikt — odparł Babilończyk.

— Nawet Dani Amit?

Babilończyk przyjrzał mu się bez słowa. Już odpowiedział.

Pułkownik odłożył brzytwę, kiwnął głową i zmył z twarzy resztki kremu.

— Dobrze. W takim razie możemy porozmawiać. — Starannie wytarł brzytwę, zamknął ją i sięgnął po ręcznik. Dopiero wtedy odwrócił się i spojrzał na swojego gościa. — Zabijanie ci służy.

Babilończyk powoli rozciągnął usta w uśmiechu.

— Też się cieszę, że cię widzę.

Objęli się krótko, lecz mocno i szybko się cofnęli, jakby nigdy do tego nie doszło. Mieli rozmawiać o interesach, a były to interesy śmiertelnie poważne.

— Dostałem zlecenie na Rebekę.

W oczach Ben Davida pojawiło się coś mrocznego — pojawiło się i natychmiast zniknęło.

— Wiem, co to dla ciebie znaczy — ciągnął Babilończyk.

— Wiesz ty i tylko ty.

— Dlatego przyjechałem. — Babilończyk przyjrzał mu się z nieukrywaną ciekawością. — Co mam zrobić?

— Wypełnić rozkaz.

Babilończyk przekrzywił głowę.

— Naprawdę?

— Tak — odparł pułkownik. — Jak najbardziej.

— Wiem, co do niej czujesz.

— A wiesz, czym jest dla mnie ten projekt?

— Wiem. Oczywiście.

— W takim razie znasz moje priorytety.

Babilończyk zmrużył oczy.

— Musiała cię nieźle wkurzyć.

Ben David odwrócił się i zaczął układać przybory toaletowe w regulaminowym porządku.

Babilończyk obserwował go przez chwilę.

— Nerwica natręctw dopada cię tylko wtedy, kiedy jesteś wzburzony.

Pułkownik znieruchomiał i opuścił rękę.

— Nie zaprzeczaj — dodał Babilończyk. — Za dobrze cię znam.

— A ja znam ciebie. — Ben David stanął przodem do niego. — Nigdy nie zawiodłeś.

— To nie do końca prawda.

— Ale wiemy o tym tylko my dwaj.

Babilończyk kiwnął głową.

— Fakt.

Pułkownik podszedł krok bliżej.

— Rebeka zadała się z Jasonem Bourne'em.

— Aaa... — mruknął Babilończyk. — Dani Amit nie poinformował mnie o tej komplikacji.

— Bo o tym nie wie.

Babilończyk przyglądał mu się przez chwilę.

— Dlaczego mu nie powiedziałaś?

— Bourne to nie jego zasrany interes.

— Nie jego, czyli twój.

Ben David podszedł jeszcze bliżej.

— Teraz i twój.

— Dlatego mnie tu ściągnąłeś.

— Kiedy tylko się dowiedziałem.

— Aha. A konkretnie, jak się dowiedziałeś? O ile mi wiadomo, sprawę zna tylko Dani Amit i szef.

Na twarzy pułkownika zagościł uśmiech.

— Tak jest lepiej. Dla nas wszystkich.

Wydawało się, że Babilończyk to kupił.

— A więc chcesz dopaść Bourne'a.

— Tak.

— A Rebeka?

— Co Rebeka? — spytał ostro Ben David.

— Wiem, co do niej czujesz...

— Zajmij się tym, co ważne. Amit nie może cię podejrzewać. Musisz wypełnić zadanie.

Babilończyk zrobił współczującą minę.

— To musi być dla ciebie bardzo trudne.

— O mnie się nie martw — warknął pułkownik. — Nic mi nie będzie.

— A więc wszystko zgodnie z planem.

— Co do joty.

— W takim razie pójdę już.

— Tak by było najmądrzej.

Gdy Babilończyk wyszedł, Ben David przyjrzał się sobie w lustrze. Potem podszedł bliżej i rzucił w nie brzytwą. Lustro się roztrzaskało, a wraz z nim jego odbicie.

Rozdział 4

Mężczyzna, rosły, krzepki i lekko przygarbiony, przypominał niedźwiedzia. Ubrany w szyty na miarę garnitur z delikatnego, lekko błyszczącego materiału, który kosztował więcej niż roczne zarobki wielu jego podwładnych, stał na słonecznym placu Zgody. Otaczający go zewsząd nieustanny jazgot turystów brzmiał jak stukot stada dzięciołów. Niekończąca się rzeka pojazdów wiła się wokół betonowej wyspy jak śmierć, strumień samochodów, które wciąż uciekały, by w pewnej chwili kogoś przejechać, by wbić go w jezdnię i pojechać dalej. Pomyślał o swojej przegranej młodości, o czasach, gdy nie wiedział jeszcze, kim jest, gdy nie wiedział, jak wykorzystywać swoją wewnętrzną siłę. O bezpowrotnie straconych latach.

Paryski plac Zgody był jego ulubionym miejscem spotkań ze względu na bliskość śmierci, zarówno tej współczesnej, jak i dawnej. To tu podczas słynnych rządów terroru ścięto na gilotynie Marię Antoninę wraz z wieloma innymi, winnymi i niewinnymi. *Règne de la Terreur*. Nazwa ta brzmiała cudownie we wszystkich językach.

Odwrócił się i zobaczył kobietę o niemożliwie długich nogach przechodzącą przez ulicę; właśnie zmieniło się światło i weszła na jezdnię wraz z tłumem turystów. Ona też go dostrzegła, lecz całkowicie ignorowała do chwili, gdy znalazła się po drugiej stronie liczącego sobie trzy tysiące trzysta lat obelisku sławiącego faraona Ramzesa II. Podarowany Francji w 1829 roku przez wicekróla Egiptu Muhammada Alego, stał początkowo przed wejściem do świątyni w Luksorze. Jako taki był niezwykle wprost skarbem. Mężczyzna myślał o tym, podczas gdy rozfalowane tłumy turystów omywały obelisk ze wszystkich stron, nie racząc zaszczyć go nawet przelotnym spojrzeniem. Właśnie tak przemijała codziennie historia świata, właśnie tak ginęła w powodzi wyziewów z internetu, w milionach smartfonów i iPadów. Życie Britney Spears, Angeliny Jolie i Jennifer Aniston było dla tych nowych mas ciekawsze niż życie Marcela Prousta, Richarda Wagnera czy Wiktora Hugo, nawet jeśli wiedziały one, kim byli ci wspaniali ludzie.

Miał ochotę splunąć, ale uśmiechnął się tylko i przebił przez tłum na zachodnią stronę obelisku, gdzie stała Martha Christiana. Ręce w kieszeniach awangardowego rozkloszowanego płaszcza od L'Wrena Scotta, do tego podkreślająca kształty dolnej połowy ciała długa, wąska śliwkowa spódnica z zamszu od tego samego projektanta — nie odwróciła się, gdy stanął u jej boku, tylko pochyliła głowę w jego stronę.

— Miło cię widzieć, przyjacielu — powiedziała. — Minęło dużo czasu.

— Stanowczo za dużo, *chérie*.

Jej pełne usta wykrzywiły się lekko w tajemniczym uśmiechu.

— Pochlebiasz mi.

Mężczyzna roześmiał się krótko.

— Nie ma takiej potrzeby.

Miał rację: Martha była kobietą uderzająco piękną, ciemnowłosą i ciemnoką, Latynoską z urody i temperamentu. Mogła być ognista, mogła być zadziorna. W każdym razie wiedziała, kim jest. A była panią siebie, co podziwiał, próbując jednocześnie ją poskromić. Jak dotąd bezskutecznie, z czego w sumie się cieszył. Gdyby zdołał złamać jej ducha, nie byłaby tak użyteczna. W rzadkich chwilach próżności zastanawiał się często, dlaczego wciąż do niego wraca. Nic na nią nie miał, nie mógł jej do niczego zmusić — stwierdził to już podczas ich drugiego spotkania. Odpędził mroczne myśli i skupił się na teraźniejszości, na sprawie, która go tu sprowadziła.

Martha opierała się plecami o potężny obelisk. Stała, krzyżując drobne, delikatne kostki u nóg. Była w mocno błyszczących butach od Louboutina.

— Kiedy byłem młody — zaczął mężczyzna — wierzyłem w koncepcję nagrody, jakby życie było sprawiedliwe i z góry ustalone, jakby nie mogło mi rzucać kłód pod nogi. I co? Ponośłem porażkę za porażką. Przegrywałem do bólu głowy, aż zrozumiałem, że się oszukuję. Nic nie wiedziałem o życiu.

Wyjął papierosa, poczęstował ją, wziął jednego dla siebie. Przypalił najpierw jej, potem sobie. Pochylając się, poczuł zapach jej perfum z cytrusową i cynamonową nutą. Coś w nim zadrżało. Cynamon kojarzył mu się bardzo erotycznie, tak, zwłaszcza cynamon. Zalała go fala intymnych wspomnień, lecz szybko je odpędził. Wyprostował się i wypełnił płuca nikotyną, dystansując się od przeszłości.

— Zrozumiałem, że życie próbuje mną kierować — ciągnął — chce dać mi nauczkę, dzięki której nie tylko przetrwam, ale i odniosę sukces. Zdałem sobie sprawę, że muszę wyzbyć się dumy, stawić czoło

niedopuszczalnym przeszkodom i pokonać je, zamiast się od nich odwracać. Przebić się: oto droga do sukcesu, nie tylko mojego.

Martha Christiana wsłuchiwała się w każde słowo z powagą i w milczeniu. Właśnie to mu się w niej podobało. Nie była kobietą egocentryczną i zawsze słyszała to, co ważne. Cecha ta wyróżniała ją spośród innych. Była taka jak on.

— Ilekroć godzimy się z czymś, z czym pogodzić się nie da — powiedziała — następuje zmiana. Zmień się albo giń. To najważniejsza teza, z którą oboje się zgadzamy, prawda? A kiedy zmiany się zsumują, dochodzi do metamorfozy. I nagle jesteśmy inni.

— Bardziej, niż moglibyśmy przypuszczać.

Martha spojrzała na rzędy kasztanowców wzdłuż szerokich, idealnie prostych Pól Elizejskich.

— No i tak. Znowu czekamy, aż nadejdzie cień.

— Przeciwnie — powiedział. — To my jesteśmy cieniem.

Stłumiła śmiech.

— Masz rację.

Palili przez chwilę bez słowa, spokojnie i w miłej atmosferze, nie zważając na przelewające się fale ludzi i samochodów. W oddali widać było Łuk Triumfalny, lśniący jak jej buty.

Mężczyzna rzucił w końcu niedopałek i rozgniół go butem.

— Samochód jest?

— Gotowy do drogi, jak zwykle.

— Świetnie. — Mężczyzna oblizał usta. — Mam problem.

Zawsze tak zaczynał rozmowę o interesach. Ten rytualny początek go uspokajał. Problemów miał dużo, ale rzadko dzwonił do Marthy Christiany, by pomogła mu się z nimi uporać. Jej wyjątkowe talenty wykorzystywał tylko do takich, z którymi nie poradziłby sobie nikt inny.

— Mężczyzna czy kobieta? — spytała.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni i podał jej zdjęcie.

— Hm, przystojny drań. — Wykrzywiła usta. — Mogłabym się z nim zabawić.

Roześmiał się i wyjął z kieszeni pendrive.

— Tu masz wszystkie niezbędne informacje, chociaż wiem, że i tak go sprawdzisz.

— Czasem to robię. Lubię znać wszystkie nuty, nawet te mało ważne.

— Spojrzała na niego. — A gdzie ten don Fernando Herrera obecnie przebywa?

— Jest w podróży. — Mężczyzna obnażył zęby koloru kamieni do madżonga. — Szuka mnie.

Martha uniosła brwi.

— Nie wygląda na zabójcę.

— Bo nim nie jest.

— Więc czego chce? I dlaczego postanowiłeś go zlikwidować?

Mężczyzna westchnął.

— Chce wszystkiego. Chce odebrać mi coś, co jest dla mnie cenniejsze niż życie.

Martha odwróciła się do niego z zatroskaną twarzą.

— To znaczy co, *guapo*?

— Moją spuściznę. — Głośno wypuścił powietrze nosem. — Wszystko, co mam, wszystko, co jeszcze zdobędę.

— Nie pozwolę mu.

Mężczyzna uśmiechnął się jasnym, drżącym uśmiechem i wierzchem dłoni musnął jej rękę, leciutko jak motyl skrzydłem.

— Kiedy skończysz, przyślę kogoś po ciebie. Będę potrzebował cię do czegoś specjalnego.

Martha odpowiedziała mu uśmiechem i odepchnęła się plecami od obelisku.

— Zajmę się nim — powiedziała.

— Wiem — odparł, nie przestając się uśmiechać.

• • •

— Ta sprawa z Bourne'em, ta wasza współpraca — mówił Ze'ev — to czysta głupota. Przyniesie ci śmierć, Ben David już tego dopilnuje.

Rebeka zamokła.

— Przyjechałeś aż z Tel Awiwu, żeby mi to powiedzieć?

— Próbuję ci pomóc. Naprawdę tego nie widzisz?

Zmrużyła oczy w blasku słońca, które przebijało się przez chmury po szybko oddalającej się burzy. Szli przez zasy świeżego śniegu. W oddali, jak przedłużenie stromej kamienistej plaży, lśniło perłowe morze. Spacerowali, chyba krążyli. Na to przynajmniej wyglądało. Krajobraz był pocętkowany niebieskimi dachami małych domków. Tu i ówdzie ktoś odgarniał śnieg z prowadzącej do drzwi ścieżki. Rebeka chciała wrócić na Sadelögę, ale Ze'ev wszystko utrudniał. Wiedziała, że musi w jakiś

sposób wykorzystać jego niespodziewany przyjazd, a miała bardzo mało czasu.

— Próbuję zrozumieć, co będziesz z tego miał.

Ze'ev strzelił kostkami palców. Był bez rękawiczek. Ręce miał białe jak u trupa. Chociaż stacjonował w Tel Awiwie, należał do ludzi pułkownika Ben Davida. Już samo to sprawiało, że był niebezpieczny. Ale jeśli wierzyć w to, co usłyszała w Dahr El Ahmar, istniały jeszcze inne powody, by mu nie ufać.

— Miał z czego? — spytał.

— Jestem gotowa się założyć, że jeżeli mi pomożesz, dyrektor czy Amit nie spojrzą na to łaskawym okiem.

Ze'ev poruszał białymi jak kreda palcami. Demonstracja siły czy ostrzeżenie?

— Żaden z nich o tym nie wie i nigdy się nie dowie.

Posłała mu sceptyczne spojrzenie i westchnął.

— Dobrze, więc jest tak. Ilan Halevy dostał awans i się na mnie uwziął.

Ilan Halevy, Babilończyk.

— Dlaczego?

Ze'ev głośno prychnął, jak koń, któremu za mocno ściągnięto wodze.

— Próbowałem wyrzucić go z Mossadu. To było na początku jego służby. Wydał mi się nieobliczalny: szkolono go, ale i tak robił wszystko po swojemu.

— Okazuje się, że nie miałeś racji.

Ze'ev kiwnął głową.

— Nigdy mi tego nie zapomniał. Nie spocznie, dopóki mnie nie skreślą. Dopiero wtedy będzie zadowolony.

— On nie zna takiego pojęcia.

— Tak, mimo to...

— Dobrze, a więc nienawidzicie się aż do bólu. Co to ma wspólnego ze mną?

— Chcę, żeby zawalił.

— Chyba nie tylko.

— Nie. Chcę, żeby zawalił spektakularnie i żeby nie mógł się z tego wywinąć.

Rebeka przyglądała mu się przez chwilę.

— Aha, masz jakiś plan.

Na twarzy Ze'eva pojawił się cień uśmiechu. Pojawił się i natychmiast zniknął.

— Przecież nie da się go zawrócić, sam mówiłeś.

— Tak, to by była kompletna strata czasu. Nie, zwabimy go na Sadelögę.

— I?

— I będziemy czekać.

•••

Waszyngtońska redakcja „Polityki Jak Zwykle” mieściła się przy ulicy E. Jadąc na piętnaste piętro z garstką ubranych w garnitury mężczyzn, rozmawiających o opcjach, wezwaniach do uzupełnienia depozytów i strategiach Forex, próbowała o niczym nie myśleć. Kiedy tylko drzwi się otworzyły, wysiadła i podeszła prosto do wygiętego w podkowie biurka z sękatego drewna klonowego i nierdzewnej stali.

— Jest Charles? — spytała.

— Tak, panno Moore — odparła recepcjonistka Marsha z czysto zawodowym uśmiechem na ustach. — Zadzwoń do niego, zechce pani usiąść.

— Dziękuję, postoję.

Marsha lekko skinęła głową i wybrała numer wewnętrzny. Soraya stała krok od niej, mimo to słyszała tylko niewyraźny szmer głosu. Czekając, rozejrzała się po recepcji, chociaż dobrze ją знаła. Wszędzie wisiały laminowane tabliczki upamiętniające agencyjne osiągnięcia, w tym te wyróżnione Nagrodami Peabody’ego i Pulitzera za publikacje online. Jej wzrok nieuchronnie zatrzymał się na błyskotliwym artykule, który Charles napisał przed dwoma laty, analizie działania potężnej, lecz mało znanej syryjskiej komórki terrorystycznej. Nic dziwnego, ponieważ to właśnie wtedy zwróciła na niego uwagę. Zadzwoiła z prośbą o ujawnienie chociaż niektórych źródeł, lecz niewiele wskórała.

Jak zwykle wyczuła jego obecność i z uśmiechem na pełnych ustach podniosła głowę. Wysoki i szczupły, miał bujną czuprynę przedwcześnie posiwiałych niesfornych włosów. I jak zwykle był nienagannie ubrany w granatowy garnitur, koszulę w gołębi kolorze i stonowany krawat z wzorzystym nadrukiem.

Skinął na nią, kiedy tylko ją zobaczył, lecz w jego uśmiechu było coś minorowego, coś, czego nie mogła zidentyfikować i co zasiało w niej ziarno niepokoju. Zaczęła wątpić w słuszność swojej decyzji. Coś

nakazywało jej odwrócić się, wsiąść do windy i już nigdy nie szukać jego towarzystwa.

Mimo to podeszła bliżej, a on położył jej lekko rękę na plecach i poprowadził ją korytarzem do narożnego gabinetu. Zanim tam weszli, zobaczyła tabliczkę na ścianie po prawej stronie drzwi: CHARLES THORNE ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO.

Drzwi się zamknęły.

Muszę załatwić to jak najszybciej, pomyślała, zanim stchórzę.

— Charles...

— W samą porę. — Uciszył ją gestem ręki i starannie zasunął zasłony. — Sorayo, zanim cokolwiek powiesz...

Boże, pomyślała, tylko nie to. Zaraz z tym wyskoczy: „Sorayo, kocham moją żonę”. Nie, proszę, tylko nie teraz.

— Muszę powiedzieć ci coś w największej tajemnicy. Rozumiesz?

No i się zaczyna. Głośno przełknęła ślinę.

— Tak, oczywiście.

Nabrał powietrza i wypuścił je z cichym świstem.

— FBI wszczyna przeciwko nam śledztwo.

Drgnęło jej serce.

— Przeciwno nam?

— Przeciwno „Polityce”, to znaczy przeciwko Marchandowi. — Marchand był wydawcą. — Davidoffowi. — Redaktorowi naczelnemu. — I przeciwko mnie.

— Nic nie... Nie rozumiem. — Poczula nieprzyjemne pulsowanie w skroniach. — Dlaczego? Co wam zarzucają?

Przesunął ręką po twarzy.

— Stosowanie nielegalnego podsłuchu. U ofiar przestępstw, znanych celebrytów, nowojorskiej policji, u kilku polityków. — Zawahał się i w jego oczach pojawił się ból. — U ofiar zamachu na World Trade Center.

— To jakiś żart?

— Niestety nie.

Zalała ją fala gorąca, jakby zaraziła się jakąś tropikalną chorobą.

— Czy... to prawda?

— Musimy... — Zakaszlał i odchrząknął. — Musimy się rozstać.

— Ale... — Dzwoniło jej w uszach. — Jak mogłeś...

— To nie ja, Sorayo. Przysięgam, że to nie ja.

Nie odpowie na moje pytanie, pomyślała. Nic nie powie. I patrząc mu w oczy, znowu usłyszała jego głos: „Musimy się rozstać”. Cofając się chwiejnie, wpadła na krzesło i usiadła, szybko i twardo.

— Sorayo?

Nie wiedziała, co powiedzieć, nie wiedziała nawet, co myśleć. Walczyła o normalny oddech. W ułamku sekundy cały jej świat stanął na głowie. Nie mogą się rozstać. Nie teraz. To było nie do pomyślenia. Przypomniła jej się lunch, który jadła z Delią dzień po tym, gdy się z nim spotkała.

— Oszalałaś? — Delia wytrzeszczyła oczy. — Charles Thorne? Poważnie? Wiesz, kim jest jego żona?

— Wiem. Oczywiście, że wiem.

— I mimo to... — Delia urwała z niedowierzaniem.

— Nie mogliśmy się powstrzymać.

— Oczywiście, że mogliście. — Delia wpadła w gniew. — Jesteście dorosłymi ludźmi.

— Dorośli czasem tak robią, Deel. Dlatego nazywa się to...

— Przestań. — Podniosła ręce. — Boże, nawet nie wymawiaj tego słowa.

— Nie wiem, czy to coś zmieni, ale to nie jest jednorazowy skok w bok.

— Oczywiście, że tak. — Delia powiedziała to trochę za głośno. Zmitygowała się i wściekłym szeptem dodała: — Cholera jasna, im dłużej to będzie trwało, tym gorzej!

Soraya wzięła ją za rękę.

— Nie bądź zła. — Przyjaciółka jej nie słuchała, a jeśli słuchała, to nieuważnie. — Ciesz się razem ze mną.

„Im dłużej to będzie trwało, tym gorzej”.

— Sorayo? — powtórzył Thorne. Zobaczył jej twarz i zrobił przerażoną minę.

No i tak, pomyślała, wracając do strasznej rzeczywistości. Właśnie doszło do najgorszego. Teraz musiała mu powiedzieć. Inaczej nigdy nie będą razem, inaczej ich związek się rozpadnie, to był jedyny sposób.

Otworzyła usta, ale jej umysł się zbuntował. Chcesz zrobić z niego pionek do gry, z własnego dziecka? Czując, że wzbiera w niej fala obrzydzenia, pochyliła się, chwyciła kosz na śmieci i zwymiotowała.

— Boże. — Thorne podbiegł do niej. — Źle się czujesz?

— Nie za dobrze — odparła chrapliwym szeptem.

— Wezwę taksówkę.

Machnęła ręką.

— Zaraz mi przejdzie.

Musiała mu powiedzieć, wiedziała, że nie ma wyboru, ale gdy żołądek znowu podjechał jej do gardła, gdy znowu się zakrztusiła, pomyślała: nie, nie dzisiaj. Muszę mieć dzień wytchnienia.

•••

Godzinę przed wyjazdem z Alefem na Sadelögę miał sen. Postrzelono go i wrzucono do wzburzonego czarnego morza, lecz zamiast stracić przytomność, tak jak przed laty na Morzu Śródziemnym, wciąż odczuwał ból: raził go jak prąd, zmieniając głowę w silnik elektryczny, w którym doszło do krótkiego spięcia.

Walcząc w ciemności, zdawał sobie sprawę, że nie jest sam. Z otchłani coś wypływało, coś długiego i cienkiego, potworny wąż morski. Owinął się wokół niego, rozwarł najeżony kłami pysk i zaatakował. Bourne próbował z nim walczyć, odpychał go i odtrącał, lecz z każdą mijającą sekundą tracił siły, które rozmywały się w atramentowej wodzie. I podczas gdy on coraz bardziej słabł, wąż potężniał, aż wyprostował górną część ciała, rozdziawił pysk i powiedział: „Nigdy się nie dowiesz, kim jestem. Po co ciągle próbujesz?”.

Sploty rozluźniły się i potwór odpłynął, mimo że Bourne, targany nieznośnym pragnieniem poznania prawdy, chciał go zatrzymać. Wtedy się obudził.

Nagi i zlany potem zrzucił kołdrę, otworzył drzwi do łazienki i wszedł pod prysznic. Lodowata woda grzmotnęła go jak pięść, ale tego właśnie chciał, by zapomnieć, jak najszybciej uciec przed wijącymi się mackami snu. To wszystko śniło mu się nie pierwszy raz. Koszmar zawsze kończył się tak samo. Wiedział, że wąż to jego przeszłość drzemiąca w najgłębszych otchłaniach nieświadomości, przeszłość zwijająca się i rozwijająca, lecz wciąż nieznana. I jeśli wierzyć potworowi, pozostanie taka na wieki.

Ogolił się, ubrał, usiadł na brzegu łóżka i przez telefon satelitarny zadzwonił do Sorai. Umówili się, że będą się regularnie kontaktować i układ ten dobrze się sprawdzał. Często wymieniali się informacjami, z korzyścią dla obojga.

W Waszyngtonie był środek nocy i pewnie ją obudził.

— Wszystko gra? — spytał. — Dobrze się czujesz?

— Tak. Po prostu miałam ciężki dzień.

Twierdziła, że nic takiego się nie dzieje, ale natychmiast wyczuł, że nie mówi całej prawdy. Uparcie dążył, dopóki nie wyznała, że dały o sobie znać skutki wstrząśnienia mózgu, jakiego doznała w Paryżu, zapewniła jednak, że jest pod stałą opieką lekarza. Nic więcej nie chciała powiedzieć. Potem wspomniała o Nicodemie, a on streścił jej swoją rozmowę z Christienem, nadmieniając, że Nicodemo jest w jakiś sposób powiązany z Core Energy, a konkretnie z jej szefem, Tomem Brickiem.

— To znaczy, że on naprawdę istnieje? — spytała, gdy skończył.

— Christien i don Fernando tak uważają. Poszperasz trochę i poszukasz dla mnie czegoś o Core Energy i Bricku?

— Jasne.

— Uważaj na siebie.

Zawahała się i odrzekła:

— Ty też.

Półtorej godziny później, gdy niebo na wschodzie lekko pojaśniało i gdy ostatnie kłaczkę nocy zbiły się w grudy jak brud w rynsztoku, on i Alef jechali już samochodem Christiena w kierunku Sadelögi.

— Kiepsko pan wygląda — zauważył Alef, kiedy skręcili na autostradę i popędzili przed siebie na złamanie karku.

Bourne nie odpowiedział. Co kilka sekund zerkał w górne lustro, zapamiętując marki, modele i rozlokowanie jadących za nimi pojazdów.

Alef odruchowo spojrział w boczne.

— Spodziewa się pan towarzystwa?

— Jak zawsze.

Alef roześmiał się krótko.

— Tak, znam to uczucie.

Bourne przyjrzał mu się uważnie.

— Tak?

— Ale co?

— Powiedziałem, że spodziewam się towarzystwa, a pan powiedział, że zna to uczucie. Skąd pan je zna?

Alef bezradnie pokręcił głową.

— Nie mam pojęcia.

— To niech pan pomyśli!

Bourne prawie krzyknął i Alef drgnął.

— Nie wiem. Po prostu znam. — Znowu spojrział w lustro. — Nie widzę nic podejrzanego.

— Przynajmniej na razie.

Alef kiwnął głową, zgadzając się z jego oceną.

— Mam dobre przeczucia. Co do Sadelögi.

— Myśli pan, że odzyska pan pamięć.

— Tak. Jeśli cokolwiek ma mi pomóc... — Urwał i resztę drogi pokonali w milczeniu.

Czekała na nich łódź Christiena, ta sama, do której wciągnęli go, łowiąc ryby. Ktoś ją wyczyścił. W środku nie było ani śladu krwi.

Bourne kazał mu wsiąść, odwiązał linę, odepchnął się nogą i wskoczył do środka. Odpalił silnik i powoli ruszyli. Powietrze było mokre i ciężkie. Tuż nad wodą wisiał miejscami całun mgły. Gdy zbliżyli się do wyspy, Alef zaczął się rozglądać.

— Widzi pan coś znajomego? — spytał Bourne. Było bardzo zimno i jego oddech zamieniał się w obłoczki pary.

Alef pokręcił głową.

Kilka minut później Jason zwolnił.

— Tu pana wyłowiliśmy. Nie mógł pan być w wodzie bardzo długo, więc gdzieś tutaj pana postrzelono. — Zwolniejszy jeszcze bardziej, ustawił łódź burtą do brzegu. — Niech pan da znać.

Alef był wyraźnie poruszony, jak ktoś, kto jest coraz bliżej własnej śmierci. Bourne znał to uczucie. Przez macki mgły widać było atakujące brzeg kawały lodu. Minęło ledwie kilka dni, a temperatura spadła co najmniej o dziesięć stopni. Mróz uciszył nawet towarzyskie mewy. Każdy oddech sprawiał ból.

— Sam nie wiem... — powiedział żałośnie Alef. — Nie wiem. — I nagle poderwał głowę jak myśliwski pies. — Tam! — Zadrzał. — Tam! Bourne skrzył do brzegu.

• • •

— Śledziłeś ją! — Delia popatrzyła na niego z niedowierzaniem. — Na miłość boską, to twoja przyjaciółka!

— Wiem — odparł Peter — ale...

— Jesteście niemożliwi. — Pokręciła głową. — Nieludzczy.

— Tak, Soraya jest moją przyjaciółką i dlatego ją śledziłem.

Delia sceptycznie prychnęła. Byli w jej biurze. Kiedy tylko zadał pierwsze pytanie, zamknęła nogą drzwi.

— Co robiła w redakcji „Polityki”?

— Jezu — mruknęła. — A nie spytasz mnie, o czym rozmawialiśmy podczas lunchu?

— Przypuszczam, że o czymś, co ma związek z jej wizytą u lekarza.
Wciąż kręcąc głową, Delia wycofała się za biurko.
— Nie wiem, co sobie myślisz, ale...
— Dlatego proszę cię, żebyś mi powiedziała.
— Musisz spytać ją, nie mnie.
— Ona nie chce o tym rozmawiać.
— Pewnie ma dobre powody i musisz to uszanować.
— Właśnie o to chodzi. — Peter zrobił krok w jej stronę. — Chyba przestała logicznie myśleć.
Delia rozłożyła ręce.
— Nie wiem, co ci...
— Czuję, że ma kłopoty. I proszę, żebyś pomogła mi pomóc jej.
— Nie. Prosisz mnie, żebym zawiodła jej zaufanie. — Skrzyżowała ręce. — Nie zrobię tego, cokolwiek powiesz czy zrobisz.
Długo patrzył na nią bez słowa.
— Bardzo mi na niej zależy. Naprawdę.
— To odpuść sobie. I wracaj do pracy.
— Chcę jej pomóc.
— To bardzo względne określenie. Jeśli nie zostawisz jej w spokoju, skończy się to płaczem.
— Nie bardzo rozumiem...
— Bez względu na to, co Soraya teraz przeżywa, nie chce się tym z tobą dzielić. — Delia uśmiechnęła się zimno. — To byłby koniec waszej przyjaźni. Już rozumiesz?

• • •

Alef wygramolił się z łódki, zanim zdążyli dobić do zaśnieżonego brzegu.

— Zaczekaj! — krzyknął Bourne. Zaklął, wyłączył silnik i popędził za nim.

— Tam są sosny i jezioro. — Alef powiedział to jakby do siebie. — Gdzieś tam, tam... — Miał szeroko otwarte oczy, gwałtownie poruszał głową.

Bourne był tuż-tuż i przebiwszy się przez małą kępę sosen, zobaczył jezioro. Było zamrożone.

— Pamiętam, że przez nie przechodziłem — wyszeptał Alef.

— Powoli, spokojnie. Co pan tu robił?

— Nie wiem. Przechodziłem przez jezioro albo... — Wszedł na lód. —
Albo próbowałem uciec.

— Przed kim? — drążył Bourne. — Kto pana ścigał?

— Jezioro. — Alef zadrżał. — To przeklęte jezioro.

•••

Z amnezyjnej mgły wypływają fragmenty wspomnień i w jego głowie rozpętuje się elektryczna burza. Widzi siebie, słyszy swój szybki oddech, widzi szczupłą sylwetkę człowieka, który pędzi za nim sprężystym krokiem, jak na łyżwach. Nagle pustka, wspomnienia gasną niczym lampa i czuje, że się potyka. Po chwili jest już na kolanach, a jego nemezis wciąż się zbliża, szybko i niepowstrzymanie, więc wstaje, odwraca się i celuje, lecz znowu się potyka. Pistolet zatacza łuk i ląduje na lodzie. Chce tam podbiec i go podnieść, ale nie ma czasu. W popłochu ucieka.

Wspomnienia napierają na niego jak szturmująca armia, to wyraźne, to zamglone. W przerwach, poza jego zasięgiem, rozpościera się czarna, zamglona otchłań amnezji, która wysysa z niego życie. Wypełniający go smutek przeradza się w panikę, bo szrapnele wspomnień przeszywają go tak szybko i zaciekle, że przytłoczony i zdezorientowany popada w chwilowy obłąd.

•••

Alef zamrugał i wrócił do rzeczywistości.

— Dobrze. — Przystanąwszy w cieniu sosen na skraju płaskiej lśniącej równiny, Bourne popchnął go w stronę brzegu, gdzie cumowała łódź. — Na dzisiaj wystarczy.

— Nie! Tam jest moje życie! Muszę je odzyskać! — Alef wyrwał mu się i wpadł na lód, ale zanim zdążył zrobić kolejny krok, Bourne chwycił go i wciągnął z powrotem między drzewa.

— Nie może pan tam iść. Teren jest za bardzo odsłonięty, zbyt niebezpieczny.

— Niebezpieczny?

Jason potrząsnął nim lekko, żeby się skupił.

— Postrzelono pana, pamięta pan? Ktoś pana ściga.

— Jasonie... — Alef spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami. — Przecież ja nie żyję. Nie rozumiesz? Nikt mnie już nie ściga.

Bourne zdał sobie sprawę, że wyprawa na Sadelögę była błędem, że się pospieszyli. Alef tracił kontakt z rzeczywistością.

— Wróćmy do łodzi i porozmawiajmy spokojnie.

Alef zawahał się, popatrzył w dal, ale skinął głową.

— Dobrze.

Jednak kiedy tylko Bourne go puścił, popędził w stronę jeziora, ślizgając się po lodowej tafli na niezdarnie rozstawionych nogach i szeroko rozkładając ręce, żeby nie stracić równowagi i nie upaść.

Jason rzucił się w pościg, zerkając to na niego, to na otaczające jezioro drzewa, gdzie mógł ukryć się choćby pułk wojska. Wiatr ciskał mu w twarz kawałki lodu. Podniósł rękę, żeby osłonić oczy, i wtedy usłyszał ostry trzask, huk, który targnął powietrzem i ucichł, zanim udało mu się go w pełni zarejestrować. W powietrze buchnęła fontanna lodowych odłamków, bo snajper oddał jeszcze dwa strzały i kule wyłupały głęboką rozpadlinę krok przed Alefem.

Bourne powalił go i osłonił własnym ciałem, popychając jednocześnie w stronę zagłębienia. Na tafli powstała pajęczyna pęknięć. Jason próbował się cofnąć, pociągnąć Alefa za sobą, lecz przygniotły ich kule. Po chwili rozległ się głęboki jęk: lód pękł. Wpadli do wody i zaskakująco silny prąd wessał ich w zimny mrok.

Rozdział 5

Woda wdarła mu się do nosa i zapiekło go w nozdrzach. Nic dziwnego, że lód nie wytrzymał — to było słone jezioro. Musiał upuścić pistolet, żeby chwycić Alefa, który tonął szybciej niż on. Zrobił przewrotkę, obrócił się głową do dołu i mocno pracując nogami, przyspieszył jak wystrzelona z kuszy strzała.

W ciągu kilku sekund zimno przeniknęło przez kurtkę i buty. Serce waliło mu jak młotem, bo mróz zagrażał ciepłocie ciała. Kiedy temperatura zacznie spadać, będzie za późno. Nie zdoła przebić się z powrotem przez lodowatą wodę, nie wspominając już o holowaniu Alefa.

W ciemności nie ma kierunków. Bourne, doświadczony płetwonurek, dobrze wiedział, że nawet wytrawni zawodowcy łatwo tracą orientację podczas nocnych nurkowań albo w innych niesprzyjających warunkach, ulegając na przykład narkozie azotowej. Ekstremalne zimno jest równie niebezpieczne, ponieważ spowalnia umysł i podsuwa błędne decyzje. A w lodowatej głębinie każda taka decyzja mogła mieć fatalne skutki.

Pękały mu płuca, nie czuł już palców u nóg, a te u rąk zdawały się grube i niezdarne. Dudniło mu w głowie. Zrobił jeszcze jeden rozpaczliwy ruch, chwycił Alefa za kołnierz i pociągnął go ku powierzchni. Odwrócił się głową do góry i rytmicznie pracując nogami, spróbował skupić się na terażniejszości, bo znowu naszły go wspomnienia, bo znowu przypomniał sobie, jak się topił, co wtedy wywołało amnezję.

Jednak trzymanie się terażniejszości, zmuszanie ciała do nadludzkiego wysiłku, a umysłu do maksymalnej wydajności przychodziło mu z coraz większym trudem. Na Morzu Śródziemnym też nie miał gdzie się schronić, teraz jednak był dalej, dużo dalej na północ. Chociaż wciąż młócił nogami wodę, chociaż wciąż holował Alefa, powoli i ukradkiem zaczynało zalewać go spokojne ciepło, popadał w coraz głębszy letarg. Ale skoro tak, skoro zrobiło się cieplej, czy nie były to wody Morza Śródziemnego? Tak, na pewno. Postrzelono go, wyrzucono

za burzę niedaleko Marsylii i... Nagle ujrzał siebie w mrocznym cieniu dżungli. Stał za klęczącym na ziemi mężczyzną ze związanymi na plecach rękami. Trzymał służbową czterdziestkępiątkę, widział, jak przystawia lufę do jego podstawy czaszki, widział, jak pociąga za spust. I widział, jak Jason Bourne pada martwy na trawę.

Chciał krzyknąć. Przeszedł go lodowaty dreszcz. Zgiął się wpół i gwałtownie wyprostował, próbując odpędzić koszarne wizje. Spojrzał w górę i na tle bezkresnej czerni dostrzegł jasny krąg. Wyjście!

Zerknął w dół, zobaczył ściągniętą, białą jak papier twarz Alefa i to go zdopingowało, wyrwało z letargu i uwolniło od morskich koszmarów. Młócąc wodę z nowymi siłami, zauważył, że krąg się rozszerza, że robi się coraz jaśniejszy. Wreszcie wypłynął na powierzchnię i łapczywie nabrał powietrza do palących płuc. Musiał mocniej chwycić nieprzytomnego Alefa, bo im dalej wyciągał go na lód, tym jego ciało stawało się cięższe.

Ale wciąż myślał nie do końca trzeźwo i raz po raz Alef zsuwał się z powrotem w czarną toń. Wreszcie powoli i boleśnie, kosztem resztek sił, udało mu się wygramolić z przerębli i odwrócić. Potem centymetr po centymetrze zaczął wywlekać Alefa z wody, chwytając go najpierw za kołnierz, potem pod pachy, wreszcie za pasek, aż w końcu ułożył go na lodzie.

Był wykończony. Zimno i koszar dawno pogrzebanych wspomnień wysały z niego całą energię. Upadł na plecy i skupił się na oddychaniu, chociaż cichy głos w jego głowie krzyczał, żeby poszukać schronienia, żeby zdjąć przemoczone ubranie, zanim przymarznie do ciała.

Wtedy padł na niego jakiś cień, a gdy podniósł głowę, zobaczył stojącego nad nim mężczyznę. W opuszczonej ręce trzymał pistolet. To on strzelał? Więc gdzie ma karabin? W lesie? Spowolniony umysł wciąż nie funkcjonował jak należy.

— Nie musisz się przedstawiać, Bourne. — Mężczyzna ukląkł. — Wiem, kim jesteś. — Uśmiechnął się i przytknął mu lufę pistoletu do skroni.

Jason próbował podnieść rękę, ale częściowo zamrożone ubranie było ciężkie jak zbroja. Nie mógł poruszyć nawet palcami.

Mężczyzna trzasnął skrzydełkiem bezpiecznika.

— Szkoda, że nie zdążyliśmy się poznać.

Huk wystrzału przetoczył się po jeziorze jak zwielokrotniony echem opętańczy wrzask. Do lotu zerwało się stadko wystraszonych mew. Przerażliwie krzyżąc, poszybowały w mocno zachmurzone niebo.

•••

— Nie potrafię ich rozgryźć.

— Co to, do diabła, znaczy? — spytał prezydent. — Jest pan moimi oczami i uszami.

Dick Richards założył nogę na nogę.

— Wydaje mi się, że problemem nie są Marks i Moore, tylko sekretarz Hendricks.

Prezydent łypnął na niego znad biurka. W Gabinetcie Owalnym panowała głęboka cisza. Nawet słyszalne od czasu do czasu kroki, głosy sekretarek i asystentów były stłumione, jakby dochodziły z dużej odległości, a nie zza zamkniętych drzwi.

— Nie musi mi pan mówić, co jest moim problemem, Richards.

— Nie, panie prezydencie, oczywiście, że nie. Ale Treadstone podlega Hendricksowi.

Prezydent uniósł brwi.

— No i?

— Marks i Moore wypełniają jego rozkazy.

Prezydent odwrócił się wraz z fotelem do okna.

— Czy w ogóle czegoś się pan dowiedział?

Richards odczekał chwilę, porządkując myśli.

— Oboje są bardzo inteligentni, inteligentni na tyle, żeby trzymać mnie na dystans. Mimo to popełnili błąd, myśląc, że przydzielili mi to zadanie tylko po to, żeby coś mi przydzielić.

Prezydent odwrócił się i spojrzał na niego spod przymrużonych powiek.

— To znaczy?

— Czy wie pan, że to ludzie z Treadstone stworzyli tożsamość Jasona Bourne'a?

— Richards, wystawia pan moją cierpliwość na ciężką próbę.

— I że Bourne naprawdę istniał? Był najemnikiem, którego zabito za zdradę swojego oddziału.

Prezydent zmarszczył brwi.

— To są informacje objęte klauzulą tajności poziomu Omega. Skąd pan, do diabła, o tym wie?

Richards zastanawiał się przez chwilę, czy nie przeszarżował, próbując mu to wytłumaczyć.

— Nie, nie, nie ma żadnego przecieku, jeśli o to panu chodzi. Główny archiwista poprosił mnie, żebym sprawdził, czy w ich nowym algorytmie nie ma dziur. — Lekceważąco machnął ręką, próbując zminimalizować wagę tego nie do końca prawdziwego wyjaśnienia. Nie chciał, żeby ktoś zaczął w tym grzebać, to na pewno. — W każdym razie sprawdzam, czy ten Nicodemo jest postacią prawdziwą, czy fikcyjną i robię postępy. Na razie mogę powiedzieć tylko tyle, że to niemożliwe, aby jeden człowiek miał aż tak duże wpływy.

Prezydent usiadł prosto.

— Richards, pan nic nie rozumie...

— Całkiem możliwe, że to twór złożony z wielu postaci.

— Pieprzyć Nicodema! — syknął prezydent. — On mnie nie interesuje, to duch wymyślony przez Hendricksa. Interesują mnie Peter Marks i Soraya Moore!

Richards pokręcił głową.

— Nie rozumiem.

— Ta Moore awanturowała się najpierw w Centrali Wywiadu, a teraz oboje awanturują się w Treadstone.

— Ale na pewno nie zagrażają naszemu bezpieczeństwu. Wciąż nie rozumiem, jaki...

— Oboje dobrze znają Jasona Bourne'a, ty głupcze! Ma na nich toksyczny wpływ, dlatego nie można im ufać! — Zdawało się, że ostrość tego stwierdzenia wstrząsnęła nim tak samo jak Richardsem. Zabębnił palcami w biurko i już spokojniejszym tonem głosu dodał: — Są jego znajomymi, więc muszą być z nim w kontakcie.

Chwilę trwało, zanim Richards przegrupował szyki.

— A więc chodzi panu o Bourne'a.

— A jak pan myśli, po co umieściłem pana w Treadstone? Bourne nie przestrzega żadnych zasad ani regulaminów. Robi, co chce. Nie możemy na to pozwolić.

— Słyszałem, że kiedyś nam pomógł.

Prezydent machnął ręką.

— To tylko pogłoski, nie wiadomo, czy prawdziwe. Mówi się o wszystkim, tylko nie o tym, co Bourne knuje, a niech mi pan wierzy, że knuje. Chcę wiedzieć co. Każdy, kto żyje na krawędzi, poza kontrolą, nie tylko zagraża naszemu bezpieczeństwu, ale i naraża na niebezpieczeństwo naszą politykę zagraniczną. A trzeba jeszcze pamiętać o jego rozchwianym stanie psychicznym. Chryste, przecież on miał amnezję! Bóg wie co jeszcze może zrobić. Nie. — Energicznie

pokręcił głową. — Musimy skończyć z nim raz na zawsze. Podejście bezpośrednie zawiodło, nigdy nie dobierzemy mu się tak do skóry. Wytropić go? Stracilibyśmy tylko czas. Poza tym Hendricks nie podziela moich obaw, więc wypadł z gry.

Aha, poróżniliście się, pomyślał Richards. Hendricks akceptuje nieszablonowe działania, a ty najwyraźniej nie. I nagle uświadomił sobie, że rozpaczliwie chce stanąć po stronie zwycięzcy. Choć raz w życiu.

Prezydent gwałtownie wstał i podszedł do zwiniętej flagi Stanów Zjednoczonych przy oknie.

— Niech pan zapomni o Nicodemie. To w najlepszym wypadku zasłona dymna, dezinformacja, miraż, który stworzyli nasi wrogowie, żebyśmy biegali w kółko. Teraz już pan rozumie?

— Tak, panie prezydencie, ale nie mogę przestać szukać. Moi przełożeni zaczęliby coś podejrzewać.

— Więc niech pan zachowa pozory i dalej grzebie w internecie, żeby do tego nie doszło. A tak naprawdę niech pan szuka Bourne'a.

Chciał wypełnić powierzoną mu misję i zdobyć zaufanie Petera i Sorai, lecz cały plan wziął w łeb — Richards był coraz bardziej zły, że prezydent go tak traktuje. Czyż nie miał być jego pupilkiem? Czyż nie po to ściągnięto go z NSA, żeby wykonał to specjalne zadanie? Odkrycie, że prezydent go okłamał, że zataił przed nim prawdziwy charakter misji, doprowadziło Richardsa do wściekłości. Srać na to, pomyślał. Od tej chwili każdy sobie rzepkę skrobie.

Z drugiej strony, zawsze tak było. Roześmiał się w duchu, cierpko i zjadliwie.

Do końca rozmowy z przyklejonym do twarzy uśmiechem kiwał głową i grzecznie mu potakiwał. Ale tak naprawdę wcale go nie słuchał. Obmyślał już nową strategię działania, strategię, na której skorzystałby tylko on. Wyrzucał sobie, że wcześniej na to nie wpadł.

•••

Wróciwszy do Treadstone, poszedł prosto do gabinetu Marksa i zobaczył, że przy jego biurku siedzi Soraya Moore, że siedzi tam i pracuje na jego komputerze. Zaskoczyło go to i zaniepokoiło, ponieważ w uszach wciąż pobrzmiwało mu echo słów prezydenta, że ona i Peter to awanturnicy. Korzystanie z czyjegoś komputera było źle widziane

w każdej branży, a w tajnych służbach wydawało się to nie do pomyślenia. Teraz już rozumiał, dlaczego obydwójce utrzymywali kontakt z Bourne'em.

Niepewnie przystanął w progu i Soraya podniosła wzrok.

— Tak? O co chodzi?

— Szukam... Szukałem dyrektora Marksa.

— I zamiast niego znalazł pan mnie. — Wskazała mu krzesło. — Niech pan siada. No więc?

To, że znowu się zawahał, uświadomiło mu, jaki wzbudza w nim strach. Szczerze mówiąc, nigdy dotąd nie spotkał takiej kobiety, dlatego czuł się w jej obecności bardzo nieswojo.

Soraya westchnęła.

— Siadaj. Ale już!

Richards usiadł, a raczej przysiadł na brzeżku krzesła. Fizyczna niewygodność jeszcze bardziej potęgowała jego wewnętrzny niepokój.

— Powie pan coś, czy będzie pan siedział tu jak ropucha na kłodzie drewna?

Obserwował ją nieruchomo i nieufnie. Dopiero wtedy przypomniało mu się, że wciąż ściska w ręku teczkę z wydrukiem tego, co do tej pory udało mu się znaleźć o Nicodemie. Położył ją na biurku i przesunął w jej stronę. Zaintrygowało go to, że ani słowem nie wspomniała, co robi w gabinecie swojego kolegi dyrektora, dlaczego korzysta z jego komputera. Do jego terminalu też miała dostęp? Każdy pracownik Treadstone miał osobisty kod, którym logował się do służbowego komputera. Drugiego potrzebował, by zalogować się do laptopa, a trzeci wydano tym, którzy dostali najnowszy model tabletu.

Soraya przyglądała mu się dużymi, wodnistymi oczami. To, że była piękna, bardzo pociągająca i jednocześnie miała wielką władzę, niewyobrażalnie go wkurzało. Nie odrywając od niego wzroku, wzięła teczkę i otworzyła ją.

— Co to jest?

Niespodziewane pytanie jeszcze bardziej go zdenerwowało. Po co pytała, skoro wystarczyło zerknąć?

Chrapliwie wciągnął powietrze.

— Dyrektor Marks i pani daliście mi zadanie i zrobiłem znaczne postępy...

— Słucham.

Wydruk. Dlaczego nie spojrzysz na wydruk? Richards odpędził tę natrętną myśl.

— Jeśli zechce pani spojrzeć...

— Wydruk jest bezosobowy i bez kontekstu. Proszę opowiedzieć mi o tym własnymi słowami.

A więc to tak, pomyślał i odchrząknął.

— Jest coraz bardziej oczywiste, że Nicodemo nie istnieje *per se*. Z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że to sprytny konstrukt stworzony na wzór tożsamości Bourne'a.

— „Coraz bardziej oczywiste”? „Z dużym prawdopodobieństwem”? — powtórzyła, nie łakomiąc się na przynętę. — Nie lubię takich określeń. Nie są podparte faktami, nic nie znaczą.

— Właśnie nad tym pracuję — powiedział, zastanawiając się, co zrobić, żeby zaczęła mówić o Bournie.

— Nie, siedzi pan tu i rozmawia ze mną. — Przekrzywiła głowę. — Proszę mi powiedzieć, dlaczego przyszedł pan z tym do Petera, a nie do mnie?

Rozstawia miny, pomyślał. Otacza się polem minowym. Muszę stąpać bardzo ostrożnie, by nie domyśliła się, że wiem, co knuje. Mógłby powiedzieć, że słyszał od Marksa, iż wzięła parę dni wolnego, co w sumie było prawdą, choć nie do końca. Po prostu podsłuchiwał ich rozmowę. Podsłuchiwał, czyli węszył. Nie, nie mogła przyłapać go na kłamstwie ani nawet na niedomówieniu.

— Pierwszą osobą, którą tu poznałem, był dyrektor Marks. Współpracowałem z nim przez kilka tygodni, raz bardziej ściśle, raz mniej, a potem... Potem wróciła pani i... — Zawiesił głos, a ona wzruszyła ramionami. Doskonale zdawała sobie sprawę, że cały czas trzyma go na dystans, że jest dla niej jak robak w jabłku.

— Rozumiem. — Nawet nie spojrzawszy na wydruk, odłożyła teczkę i odchyliła się do tyłu. — A więc przyszedł pan poużalać się na mnie Peterowi, tak?

Natychmiast dostrzegł swój błąd i przeklął w duchu. Wyczuł, że zaprzeczając, tylko pogorszyłby swoją sytuację. Że Soraya pogardza wszelkimi formami słabości, czy to prawdziwej, czy pozornej.

— Pani dyrektor, proszę dać mi chwilę. Palnąłem gafę, wsadziłem palce w szprychy i nie wiem, jak je wyjąć. — Lekko się uśmiechnęła i trochę mu ulżyło. — Jestem gruboskórny. Przedtem taki nie byłem, ale wie pani, jak jest w NSA.

— Czyżby?

— Szkolił się tam M. Errol Danziger, obecny dyrektor CI, dlatego myślę, że zna pani sytuację lepiej niż inni.

— Czy pracując w NSA, wyrobił pan sobie o nim opinię?

— Moim skromnym zdaniem to dupek. — Odpowiedź przypadła jej chyba do gustu, więc spróbował się odprężyć. — Jeśli czegoś się tam nauczyłem, to na pewno tego, że aby przeżyć, trzeba być twardym. Chcę przez to powiedzieć, że to, jak mnie pani traktuje, jest wyłącznie pani sprawą.

— Dziękuję.

Powiedziała to z ostrą ironią, więc dodał:

— Moim zadaniem jest dawać z siebie wszystko bez względu na to, jakie otrzymuję od pani polecenia.

— Ode mnie? Nie od prezydenta?

— Rozumiem, że mi pani nie ufa. Szczerze mówiąc, na pani miejscu też bym sobie nie ufał.

— Właściwie po co tu pana przysłał?

— Organizacje takie jak Treadstone miały kiedyś za dużą swobodę działania. Prezydent kazał mi monitorować...

— Czyli szpiegować.

— Nie, nie sądzę, żeby był do was wrogo nastawiony.

— Nie?

— Nie, jest po prostu ostrożny, to lepsze określenie.

Soraya uśmiechnęła się szyderczo.

— Rozumiem, że pan się z nim zgadza.

— Zgadzałem się, zanim tu przyszedłem. Ale teraz, widząc, czym się zajmujecie... — Nie dokończył, aby podkreślić wagę tego stwierdzenia.

— Słucham, niech pan mówi dalej.

— Robię, co mogę, żeby zdobyć wasze zaufanie.

— Aha.

— Im bardziej zagłębiam się w sprawę Nicodema, tym bardziej staje się skomplikowana. W końcu doszedłem do wniosku, że ten coraz większy mętlik, na który natykam się, gdziekolwiek bym szukał, jest celową zagrywką.

— Nic nie wzbudziłoby większych podejrzeń niż to, gdyby znalazł pan Nicodema od razu.

— Właśnie! To była pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy, kiedy przedzierałem się przez zewnętrzną warstwę. Ale, jak napisałem w raporcie, to coś więcej niż hakerska płatanina. To prawdziwy węzeł gordyjski. Im mocniej ciągnę za sznurek, tym bardziej się zaciska.

— A może to tylko doskonałe zabezpieczenie?

— Nie. To ślepy zaułek.

— Czyli?

— Ten węzeł ma tak właśnie wyglądać: jak doskonale zabezpieczenie. Ma zwabić zawodowych hakerów, którzy, w przeciwieństwie do mnie, wszędzie wietrzą spiski. Ale tak naprawdę to bzdura. Ta plątanina jest dziełem jakiegoś opętanego złem geniusza, wściekłość i wrzask nic nie znaczą.

— A więc uważa pan, że co? Że Nicodemo nie istnieje?

— Przynajmniej nie tak, jak nauczono nas o nim myśleć, a, być może, w ogóle.

— Dobrze. — Soraya rozłożyła ręce. — Załóżmy, że ma pan rację...

— Mam rację.

— W takim razie kto, do diabła, jest właścicielem Core Energy?

Richards szybko zamrugał.

— Słucham?

— Z wiarygodnego źródła wiem, że Nicodemo jest powiązany z Core Energy.

— Gdzie to pani słyszała? Szefem Core Energy jest Tom Brick.

Soraya dowiedziała się tego od Bourne'a, z którym, zgodnie z umową, od dawna była w stałym kontakcie telefonicznym, ale nie zamierzała tego mówić Richardsowi.

— Według tego źródła, Core Energy to sieć zakamuflowanych przedsiębiorstw zależnych, które na całym świecie kupują kopalnie i firmy energetyczne, dogadując się z Brickiem i wszystkimi legalnie działającymi właścicielami w sprawach, których ci nie tknęliby nawet pięćdziesięciometrowym kijem. Jeśli, jak pan twierdzi, Nicodemo nie istnieje, to kto, do diabła, zawiera z nimi te przestępcze umowy?

— Nie wiem...

— Ja też nie, chociaż bardzo chciałam się dowiedzieć. — Soraya zamknęła teczkę i przesunęła ją w jego stronę. — Cóż, niech pan wraca do kopalni, górniku Richards. Chce mi pan zaimponować, proszę wykopać coś użytecznego.

• • •

W głowie wciąż słyszał echo wystrzału, twarz obryzgała mu krew. Patrzył bezradnie na zaskoczony zabójcę. Sekundę później oczy tamtego zrobiły się szkliste i zwałił się ciężko na bok.

Po chwili padł na niego czyjś cień. Odwrócił głowę i zobaczył postać z pistoletem w ręku. Stojący pod słońce przybysz był tylko czarną sylwetką, mrocznym zarysem. Potem, gdy słońce schowało się za pędzącymi po niebie chmurami i gdy nieznajomy ukląkł, Bourne rozpoznał jego twarz.

— Rebeka — wychrypiał.

Uśmiechnęła się.

— Witaj wśród żywych, Bourne.

Spróbował się poruszyć i zatrzeszczał jak pękająca góra lodowa. Rebeka chwyciła pistolet za lufę i zaczęła odłupywać warstwę lodu, która zmieniła w zbroję jego kurtkę i spodnie.

— Lepiej zrobić to od razu, zanim na stałe przyłgnie do skóry. Miło cię widzieć. Uratowałeś mi życie i nie zdążyłam ci podziękować.

— Drobnostka — powiedział Jason — taką mam pracę. Co z Alefem?

Zmarszczyła brwi.

— Z kim?

— Z tym tu. Kilka dni temu wyłowilem go z morza.

— Aaa, z Manfredem Weavingiem. — Zerknęła w lewo. — Nic mu nie będzie. Dzięki tobie. Ale on też musi się ogrzać.

Bourne zaczynał odzyskiwać czucie w kończynach, lecz wciąż był straszliwie wyziębiony.

— Skąd go znasz? — spytał, szcękając zębami. — I co tu właściwie robisz?

— Ścigałam go od kilku tygodni, z Libanu aż tutaj. — Roześmiała się. — Pamiętasz Liban?

— Jak się miewa pułkownik Ben David?

— Jest wkurzony jak niedźwiedź na drzewie.

— I bardzo dobrze.

— Szczerze cię nienawidzi.

— To jeszcze lepiej.

Spojrzała na niego z drwiącym uśmiechem i pomogła mu usiąść.

— Trzeba was ogrzać.

Jason spojrzał na leżącego we krwi mężczyznę.

— A ten to kto?

— Ze'ev Stahl. Człowiek Ariego Ben Davida.

Bourne podniósł wzrok.

— Zabiłaś swojego?

— To długa historia. — Rebeka ruchem głowy wskazała Weavinga. — Lepiej już chodźmy. — Szyderczo wykrzywiła usta. — Nie wiem jak ty,

ale on jest zbyt cenny, żeby zamarznąć na śmierć.

•••

Peter Marks siedział w nieoznakowanym samochodzie, racząc się snickersem. Nie znosił obserwować i aby sprostać tego rodzaju zadaniom, musiał mieć ciągły dostęp do słodyczy. Ponieważ dzień był wyjątkowo ciepły, otworzył okna, by pooddychać powietrzem, w którym wyczuwało się już wiosnę. Czekał, słuchał najciekawszych fragmentów nagrania z gabinetu.

Soraya: Z wiarygodnego źródła wiem, że Nicodemo jest powiązany z Core Energy.

Richards: Gdzie to pani słyszała?

Zadowolony kiwnął głową. Musiał to jej oddać. Soraya była prawdziwym fachowcem. Kiedy przedstawiła mu swój plan, liczył na to, że sam pogada z Richardsem, ale go przekonała.

— Po pierwsze — powiedziała — nie będzie się spodziewał, że mnie tam zastanie, nie wspominając już o tym, że zobaczy mnie przy twoim biurku. Po drugie, na mój widok blednie ze strachu. Nie wie, czy opłuc mnie, czy zaprosić na kawę. Kiedy ze mną rozmawia, widzę, że ma na mnie chrapkę. Mogę to wykorzystać i zagrać mu na nerwach.

Okazało się, że doskonale go rozgryzła.

Delektując się ostatnim kęsem snickersa, zerknął na zegar na desce rozdzielczej. Zaimprovizowane spotkanie w gabinecie zakończyło się przed kwadransem. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch przed wejściem do siedziby Treadstone i podniósł wzrok. Bingo! Nadchodził Richards. Zbiegł szybko schodami i skręcił w lewo, na strzeżony, elektronicznie monitorowany parking.

Kiedy wsiadł do samochodu, uruchomił silnik i odjechał, Peter wrzucił jedynkę i powoli włączył się do ruchu, trzymając się na długość samochodu od niego.

Myślał, że Richards skręci na Key Bridge i pojedzie do Waszyngtonu, ale on wybrał przeciwny kierunek, tak że minawszy rozległe przedmieścia Arlington, znaleźli się wśród pofałdowanych wzgórz Wirginii, tak soczyście zielonych wiosną i latem, czerwonych jesienią, a teraz brązowych, śpiących w zimowym chłdzie.

Zjechawszy z autostrady, minęli kilka sennych wiosek i osiedli, eleganckich enklaw odseparowanych długimi połączeniami parków i kępami drzew na skraju pól golfowych i kortów tenisowych.

Blackfriar Pike, łagodne wzniesienie, a za nim szeroka dolina. Droga znowu wspięła się na wzgórze i Peter pomyślał: naprawdę tam jedziesz?

W oddali, po lewej stronie, zobaczył gruby ceglany mur otaczający Czarnego Mnicha, najstarszy i wciąż najbardziej ekskluzywny klub w okolicy, skutecznie odpierający ataki garstki równie bogatych konkurentów, klubów, które powstały tu z biegiem lat. Czarny Mnich przyjmował tylko najbardziej wpływowych polityków, lobbystów, dziennikarzy i dziennikarki, przedsiębiorców i prawników, poczynając oczywiście od prezydenta i wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych.

Soraya: Z wiarygodnego źródła wiem, że Nicodemo jest powiązany z Core Energy.

Richards: Gdzie to pani słyszała?

Puścił ten fragment jeszcze raz, skupiając się na pytaniu, którego Dick Richards nie zadałby, gdyby nie był tak poruszony. „Gdzie to pani słyszała?” To go zdradziło. Wiedział o Core Energy, ale zatrzymał tę informację dla siebie. I teraz Peter jechał za nim, żeby dowiedzieć się dlaczego. Według Sorai, Bourne podejrzewał, że Nicodemo jest powiązany z Core Energy. A z tego, co Peter właśnie usłyszał, wynikało, że Jason ma rację. Jak zwykle.

Richards skręcił na podjazd i zatrzymał się obok wartowni stojącej złowieszczo przed bramą zamkniętą dla niewprowadzonych i niezaproszonych.

Peter nie był członkiem Czarnego Mnicha, zresztą nie przyjęto by go, nawet gdyby chciał. Niemniej musiał się tam dostać. Wylegitymowanie się nie wchodziło w rachubę. Równie dobrze mógłby ogłosić swój przyjazd przez megafon.

Minął wartownię i gdy zniknęła za zakrętem, zjechał na pobocze, na pas trawy oddzielający mur od asfaltu. Mur był gruby, zwieńczony szerokim, ozdobnym betonowym pasem, w idealnie równych odstępach najeżonym czarnymi szpikulcami z kutego żelaza w kształcie stylizowanych kwiatów lili.

Wysiadł, wszedł na dach samochodu i stamtąd wdrapał się na mur. Prześlizgnął się bokiem między szpikulcami i zeskoczył, lądując na ugiętych nogach za chudym, wiotkim drzewem judaszowca

kanadyjskiego, pierwszym zwiastunem wiosny, który zakwitał pod koniec zimy.

Znalazł się na terenie klubu i poczuł się nieswojo. Miejsca takie jak to nigdy go nie pociągały, a przynależna im głęboko zakorzeniona pogarda dla ludzi jego pokroju sprawiała, że było to terytorium obce i wrogie.

Myślał o tym, wstając i ruszając w stronę drogi, którą musiał przejechać Richards. Minąwszy kilku tenisistów, którzy wychodzili z krytej hali tenisowej, niemal natychmiast zobaczył jego wóz i trochę mu ulżyło; musiano go zatrzymać na wartowni, pewnie dlatego, że Richards nie należał do klubu i nie był umówiony z prezydentem.

Domek trenerów. Przed wejściem przycupnęły rzędy wózków golfowych, sennie czekających, aż promienie wiosennego słońca zwabią tu pierwszych patałachów. Wsiadł do najbliższego, uruchomił silnik i pojechał równolegle do krętej dwupasmowej drogi, rozdzielającej teren klubu na pół, którą sunął powoli samochód Richardsa. Upewniwszy się, że wóz zmierza w stronę siedziby klubu, piętrowego budynku w stylu kolonialnym, skręcił i pojechał na skróty drogą, która zaprowadziła go na żwirowy podjazd otaczający budynek jak fosa. Porzuciwszy wózek, wszedł tam, ruchem głowy pozdrawiając tych, którzy na niego zerknęli.

W klubie było mniej więcej tak, jak się spodziewał: wyłożone drewnem eleganckie miejsca do rozmowy i odpoczynku, drewniane belki i wsporniki, kryształowe żyrandole, głębokie skórzane fotele i sofy w wielkiej sali przechodzącej w jadalnię po lewej stronie. Na wprost, za rzędem olbrzymich przeszklonych drzwi, była wielka weranda, gdzie stały kosztowne wiklinowe fotele i szklane stoliki i gdzie uwijali się kelnerzy, serwujący dżin z tonikiem, whisky z wodą sodową i miętowe koktajle członkom klubu gawędzącym o notowaniach giełdowych, bentleyach, pozwach i apelacjach. Peter omal nie dostał mdłości.

Nagle pojawił się Richards i jak w scenie z kiczowatego filmu z Sydneyem Greenstreetem z lat czterdziestych przystanął w cieniu rosnącej w doniczce palmy. Peter rozejrzał się, ale nie, prezydenta nie było, nie dostrzegł również agentów Secret Service, którzy na pewno kręciliby się dyskretnie po sali, przemawiając do mankietów swoich wykrochmalonych białych koszul.

Żeby nie stracić Richardsa z oczu, podszedł bliżej i zobaczył, jak jego cel zmierza w stronę kilku wysokich tapicerowanych foteli i siada przodem do mężczyzny, któremu widać było jedynie czubek głowy. Mężczyzna miał siwe włosy — stojąc tam, gdzie stał, Peter mógł powiedzieć o nim tylko tyle. Postanowił okrążyć powoli salę w kierunku

przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, ale kiedy już, już miał zobaczyć jego twarz, ktoś poklepał go w ramię. Peter odwrócił się i zobaczył wpatrujące się w niego stalowe oczy, szpiczasty nos i cienkie usta bez śladu życzliwości, nie mówiąc już o poczuciu humoru. Chciał się cofnąć, lecz mężczyzna dźgnął go w bok czymś ostrym: czubkiem sprężynowca.

— Panująca tu atmosfera jest dla pana toksyczna. — Miał zaczesane do tyłu ciemne włosy opadające na kołnierz koszuli. Niezbyt modne, przynajmniej jak na stolicę. Mówił z lekkim akcentem, którego Peter nie potrafił umiejscowić. — Wyjdźmy na dwór, dobrze?

— Wolałbym zostać — odparł Peter i drgnął, gdy przebiwszy ubranie, nóż ukłuł go w bok.

Stalowe oczy złodowaciały.

— Boję się, że w tej kwestii nie ma pan wyboru.

Rozdział 6

— Każdą historię można opowiedzieć z dwóch różnych punktów widzenia — zauważyła Rebeka.

— Chyba że są trzy albo cztery — odparł Bourne.

Rebeka uśmiechnęła się.

— Wypij swój grog.

Jason, już w czystym ubraniu, przykucnął przy kominku i spojrzał na Alefa albo — według Rebeki — Manfreda Weavinga leżącego na materacu, który Rebeka przytасzczyła z sypialni. Szybko i profesjonalnie, tak jak przedtem ubranie Bourne'a, rozcięła jego zamarznąłą kurtkę, przebrała go w koszulę i spodnie z dużej cedrowej skrzyni u stóp łóżka i owinęła wełnianym kocem w paski. Weaving oddychał normalnie, ale był nieprzytomny, tak jak wtedy, gdy Jason po raz drugi wyciągnął go z wody. Przed powrotem na brzeg jeziora Rebeka zaciągnęła Ze'eva do przerębli i zepchnęła w lodowatą otchłań. Poszedł na dno jak obciążony pasem balastowym płetwonurka.

— Powinniśmy zawieźć Weavinga do szpitala.

Rebeka usiadła po turecku obok Jasona.

— To nie byłoby zbyt mądre.

— Pozwól przynajmniej, żebym zadzwonił do mojego znajomego, do Sztokholmu. Przyśle samochód i...

— Nie. — Powiedziała to stanowczo, bez cienia nagany w głosie. Dobrze wiedziała, że to ona tu rządzi.

Bourne wypił łyk gorącego grogu. Był mocno zaprawiony ponadczterdziestoprocentowym skandynawskim aquavitem, który palił w gardle i żołądku. Momentalnie zrobiło mu się cieplej. Żałował, że nie może uraczyć nim Weavinga.

— A jeśli umrze?

— Dałam mu antybiotyk. — Rebeka pochyliła się i podniosła dół koca. — Ale niewykluczone, że trzeba będzie obciąć mu parę palców.

— Kto to robi?

— Ja. — Poprawiała koc i spojrzała na Jasona. — On musi żyć, gram o bardzo wysoką stawkę.

— Właśnie miałem cię o to spytać.

Byli w chacie rybackiej o rzut kamieniem od brzegu jeziora. Rebeka wynajęła ją na miesiąc za olbrzymie pieniądze, czym zagwarantowała sobie milczenie i usłużność właściciela. Codziennie uzupełniał zapasy w lodówce i spiżarni, słał łóżko i zamiatał podłogę. Nie wiedziała o tym ani jego żona, ani dzieci. Co bynajmniej nie uchroniło jej przed Ze'evem, który znalazł ją, tak jak — o czym dobrze wiedziała — znajdzie ją Babilończyk.

— Nie możemy tu zostać. — Podała mu talerz z chlebem, serem i mięsem na zimno. — Zaczekamy tylko, aż dojdiesz do siebie.

— A Weaving?

— On tak szybko nie wydobrzeje. — Spojrzała na okrytego kocem mężczyznę niemal tęsknym wzrokiem. — Ale jeśli zaczekamy, aż odzyska przytomność, żadne z nas może nie wyjść z tego żywe.

Jason jadł. Był głodny jak wilk.

— Kto przyjdzie?

— Ben David kogoś wysłał. Ze'ev mówił, że już tu jedzie.

— Widzę, że bardzo mu ufałaś. — Bourne dopił grog.

Rebeka stłumiła śmiech.

— Właśnie. Łgał jak najęty. — Ostrzegawczo podniosła palec. — Ale to logiczne, że Ben David kogoś na mnie nasłał, na mnie i na ciebie. A jeśli to naprawdę Babilończyk, cóż, lepszych w Mossadzie nie ma.

Jason jadł i myślał.

— Czego od ciebie chciał?

— Ze'ev? Zaoferował mi pomoc, jednak od razu się domyśliłam, że chodzi mu o Weavinga. Myślałam, że nie żyje, ale... — Pokręciła głową. — Schrzaniałam to. Weaving zaczął uciekać i wystrzeliłam. Celowałam w ramię.

— Spudłowałaś. — Bourne wytarł usta i zerknął na nieprzytomnego mężczyznę. — Wyłowilem go z morza i przywiozłem tu, żeby wróciła mu pamięć.

Rebeka poderwała głowę, pojaśniały jej oczy.

— Jak to?

— Twoja kula drasnęła go w skroń. Rana i szok, jaki przeżył, kiedy wpadł do wody i omal nie zamarznął na śmierć, wywołały amnezję.

— Amnezję? — Rebeka osłupiała. — Boże, więc on nic nie...

— Nic a nic, nie zna nawet swojego nazwiska. — Jason odstawił kubek. Zadrżał, chociaż było mu ciepło. — Pamięta jezioro, to, że przez nie biegł. Chyba zaczynał przypominać sobie, że go ścigałaś, ale wtedy pojawił się Ze'ev. — Spojrzał na nią. — Skoro Ze'ev go szukał, dlaczego zaczął strzelać?

— Też się nad tym zastanawiam.

— Może od początku o to mu chodziło?

Rebeka zmarszczyła brwi.

— Tak, to możliwe. Z drugiej strony, źle poustawiałam pionki na szachownicy, naraziłam na niebezpieczeństwo wielu ludzi...

— Ale znasz prawdę, musiałaś widzieć to samo co ja. Tam, w Dahr El Ahmar.

Przez jej twarz przemknął cień strachu.

— A więc widziałaś...

— Po tym jak wystartowałem i uciekłem przed rakieta, przeleciałem nad obozem.

— Ktoś o tym wie?

— Nie. Dobrze wiesz, że nikomu nie służę.

— Jesteś jak ronin, samuraj bez pana. Ale musisz mieć znajomych, kogoś, komu ufasz.

Jason gwałtownie wstał i stanął nad Weavingiem.

— Dlaczego jest taki cenny?

— Bo ma cenny umysł. — Rebeka podeszła do niego. — To skarbnica nieoszacowanych wprost informacji.

— Informacji? Jakich?

Zawahała się lekko.

— Myślę, że jest członkiem siatki terrorystycznej Jihad bis saif.

— Dżihad z mieczami... Nigdy o niej nie słyszałem.

— Ja też nie, ale...

— Masz na to jakiś dowód?

Dotknęła opatulonego jak noworodek Weavinga, który leżał nieprzytomny przy ogniu.

— Rozmawiałam z nim.

— Kiedy?

— W lesie, po przeprawie przez jezioro. Spotkaliśmy się i trochę pogawędziliśmy. — Wskazała swoje ramię. — Ale potem dźgnął mnie nożem.

Bourne zaniósł pusty talerz do sąsiadującej z pokojem kuchni i wstawił go do zlewu.

— To tylko domysły — rzucił.

— Weaving wie, co Mossad robi w Dahr El Ahmar.

— A więc Ben David miał znakomity powód, żeby nasłać na niego Ze'eva.

— Wie dużo więcej.

Jason wrócił do pokoju.

— To bez sensu. Nawet nazwisko może mieć fałszywe. Bardziej prawdopodobne jest to, że to tylko legenda.

— Tak jak legenda Jasona Bourne'a?

— Nie. Ja jestem Bourne'em.

— A przedtem?

Pomyślał o monstrualnym wężu morskim czyhającym w najgłębszych zakamarkach podświadomości.

— Kiedyś nazywałem się David Webb, ale nie wiem już, kim był ten człowiek.

• • •

Wychodząc z klubu, czuł, że po boku ścieka mu strużka krwi, plamiąc koszulę.

— Szybciej — rzucił półgłosem mężczyzna o stalowych oczach. — Albo poleje się więcej krwi.

Peter, którego w ciągu ostatnich kilku miesięcy porwano i omal nie zabito, który został ranny w zamachu bombowym, miał dość pomiatania. Mimo to szedł posłusznie ze swoim prześladowcą szerokimi schodami i minawszy po drodze zmierzających do klubu graczy w swetrach i czapkach, dał się zaprowadzić za budynek.

Tam mężczyzna wepchnął go w kępę starannie wypielęgowanych azalii, za którymi rozciągał się labirynt z sięgającego głowy gęstego bukszpanu. Nawet o tej porze roku, gdy rośliny jeszcze drzemały, bukszpan wydzielał specyficzny zapach kociego moczu.

Kiedy skryli się przed wzrokiem tych, którzy mogliby tamtędy przechodzić, mężczyzna o stalowych oczach spytał:

— Czego tu chcesz?

Znowu ten dziwny akcent. Peter odchylił głowę, jakby zobaczył węża podnoszącego łeb na leśnym poszyciu.

— Wiesz, kim jestem? — spytał.

— W tej chwili to nieważne. — Mężczyzna przekręcił czubek noża w jego boku. — Ważne jest to, co tu robisz.

— Przyjechałem na lekcję tenisa.

— W takim razie zaprowadzę cię do domku trenerów.

— Byłbym wdzięczny.

Mężczyzna obnażył zęby.

— Sranie po ścianie. Śledzisz Richardsa.

— Nie wiem, kto to... — Peter skrzywił się z bólu, bo czubek noża dotknął żebra.

— Za chwilę trener nie będzie ci już potrzebny — syknął mu do ucha tamten. — Bardziej przyda ci się wizyta w szpitalu.

— Nie podniecaj się tak.

— A jeśli przebiję płuco, nawet szpital ci nie pomoże. — Czubek noża zazgrzytał na kości. — Rozumiesz?

Peter kiwnął głową.

— A teraz powiesz mi, dlaczego śledzisz kogoś, kogo jakoby nie znasz.

Peter wciągał i wypuszczał powietrze, oddychał powoli, głęboko i równo. Serce waliło mu jak młotem, we krwi krążyło coraz więcej adrenaliny.

— Richards u mnie pracuje. Za wcześnie wyszedł z biura.

— I dlatego za nim pojechałeś?

— Ma dostęp do wrażliwych, ściśle tajnych materiałów. Taką mam pracę, muszę...

— Nie dzisiaj — przerwał mu mężczyzna. — Nie teraz i nie w tym przypadku.

— Skoro tak mówisz...

Peter przygotowywał się psychicznie, próbując się jednocześnie odprężyć. Spowolnił oddech, przestał myśleć o bólu i o tym, że traci coraz więcej krwi. Skupił się tylko na tym, co musiał zrobić. I to zrobił.

Szybkim ruchem opuścił rękę i lewym przedramieniem uderzył przeciwnika w nadgarstek. Jednocześnie wygiął górną połowę ciała i łokciem prawej grzmotnął go w nos. W tym samym momencie poczuł krótki, piekący ból w boku, bo czubek noża przesunął się po żebrze, rozcinając skórę. Potem rozgorzała walka i o tym zapomniał.

Mężczyzna upuścił nóż i czubkami palców uderzył go w splot słoneczny. Peter wypuścił powietrze, wziął oddech i jak futbolista odepchnął go wyprostowaną ręką. Napastnik cofnął się odruchowo, z jego nosa buchnęła krew. Wtedy Peter zrobił krok do przodu, wbił mu

kolano w krocze i gdy przeciwnik zgiął się wpół, zdzielił go pięścią w kark. Mężczyzna upadł i znieruchomiał.

Peter podniósł nóż, ukląkł, przytknął zakrwawiony czubek ostrza do jego tętnicy szyjnej i przewrócił go na plecy. Mężczyzna stracił przytomność. Peter szybko go obszukał, znajdując kluczyki samochodowe, cienki portfel z metalowej siatki z ośmiuset dolarami, prawo jazdy i dwie karty kredytowe na nazwisko Owena Lincolna. Znalazł również rumuński paszport niejakiego Florina Popy. Bardzo go to rozbawiło. Popa, po rumuńsku „pop”, było bardzo popularnym nazwiskiem, odpowiednikiem amerykańskiego Smitha.

Patrząc na mężczyznę o stalowych oczach, wiedział na pewno tylko tyle, że, po pierwsze, napastnik nie nazywa się Lincoln ani Popa i po drugie, że pracuje dla kogoś, z kim był tu umówiony Richards. Słowem, wiedział za mało. O wiele za mało.

•••

Sekretarz Hendricks miał naradę z Mikiem Holmesem, prezydenckim doradcą do spraw bezpieczeństwa i szefem Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Spotkanie na wysokim szczeblu. W sumie najwyższym. Soraya weszła do Białego Domu dzięki specjalnej przepustce. Po kilku coraz bardziej szczegółowych kontrolach zaprowadzono ją do zachodniego skrzydła, gdzie usiadła na kunsztownie zdobionym krzesełku w stylu królowej Anny naprzeciwko jednego z urzędników z biura prasowego Holmesa, konkretnie autora jego przemówień, którego znała z widzenia. Mężczyzna siedział ze spuszczoną głową i pisał coś na laptopie. Raz wstała, żeby wziąć sobie kawy z bogato zastawionego kredensu, potem znowu usiadła. Nie zamienili z sobą ani jednego słowa.

Czterdzieści minut później drzwi otworzyły się i na korytarz wyszła grupka mężczyzn. Wszyscy mieli szkliste oczy, żaden nie otrząsnął się jeszcze z wrażenia, jakie wywarł na nich Gabinet Ovalny. Hendricks rozmawiał półgłosem z Holmesem. Awansował ze stanowiska, które — za jego rekomendacją — objął po nim ten drugi i pewnie dzielił się z nim właśnie swoją mądrością. Zobaczył ją, gdy wstała i prawie się z nią zrównał. Sprawiał wrażenie zaskoczonego. Podniósł palec, każąc jej zaczekać, aż skończy rozmawiać ze swoim protegowanym.

Soraya pochylała się i odstawiła filiżankę na kredens. Prostując się, skrzywiła się z bólu, który przeszył jej głowę. Momentalnie oblał ją zimny pot, więc odwróciwszy się tyłem, wytarła wierzchem dłoni czoło i górną wargę. Serce waliło jej jak oszalałe, ale nie wiedziała, czy ze strachu o swoje życie, czy o życie nienarodzonego dziecka. Instynktownie położyła rękę na brzuchu, jakby chciała ochronić je przed tym, co działo się w jej głowie. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie zdoła, nie do końca. Każde dostępne rozwiązanie było najeżone niebezpieczeństwami.

— Soraya?

Drgnęła. Hendricks stał tak blisko, że bała się, iż zobaczy jej szarą jak popiół twarz, że wszystkiego się domyśli. Ale nie, w jego uśmiechu nie dostrzegła ani cienia podejrzeń. Był po prostu zdziwiony i trochę zaintrygowany.

— Co pani tu robi?

— Czekam na pana.

— Mogła pani zadzwonić.

— Nie, nie mogłam.

Zmarszczył brwi.

— Nie rozumiem.

— Musimy porozmawiać. Na osobności, w bezpiecznym miejscu. — Była przerażona, że tak szybko i ciężko oddycha.

— Proszę pojechać ze mną na następne spotkanie.

Ujął ją lekko za łokieć i wyprowadził z zachodniego skrzydła, potem z Białego Domu, na parking, gdzie czekał robiony na zamówienie opancerzony cadillac escalade. Agent Secret Service otworzył tylne drzwi. Hendricks dał jej znak, by wsiadła i usiadł obok niej. Gdy drzwi się zamknęły, nacisnął ukryty guzik i wyrosło przed nimi przepierzenie, które odcięło ich od szofera i bystrookiego ochroniarza na przednim siedzeniu.

Brama i ulica. Świat oglądany przez przyciemnione kuloodporne szyby był rozmyty i niewyraźny.

— Tu jesteśmy całkowicie bezpieczni — powiedział Hendricks. — O co chodzi?

Soraya wzięła głęboki oddech, próbując spowolnić puls, który galopował jak stado wystraszonych koni.

— Panie sekretarzu, z całym szacunkiem, ale chcę wiedzieć, co się, kurwa, dzieje.

Hendricks zastanawiał się przez chwilę. Biały Dom został już za nimi i jechali teraz ulicami stolicy.

— Pani dyrektor, pomijając oksymoroniczne użycie słów „z całym szacunkiem” i „kurwa” w tym samym zdaniu, myślę, że musi pani przedstawić mi więcej konkretów.

Zjeżył się, lecz dzięki temu skupił na niej swoją uwagę, a o to jej właśnie chodziło.

— Dobrze — powiedziała, naśladowując jego szorstki, oficjalny ton głosu. — Zatem bez owijania w bawełnę: odkąd poinformował pan nas o tym Dżinie, dzieją się dziwne rzeczy.

— To znaczy? — Hendricks strzelił palcami. — Szczegóły poproszę.

— Po pierwsze, odkryłam, że istnieje ścisły związek między Nicodemem i Core Energy. Nie wiem tylko, na czym polega. Szefem Core Energy jest Tom Brick.

Sekretarz spojrział na popielate miasto za oknem.

— Brick — powtórzył. — Nie słyszałem. Tak jak o... Jak nazywa się ta firma?

— Core Energy.

No proszę, pomyślała. Hendricks kłamie. Miał genialną pamięć, było wykluczone, żeby nie pamiętał, co powiedziała przed sekundą. Musiał znać tę nazwę. Bricka też znał? Jeśli tak, dlaczego kłamał?

Przejechali przez Key Bridge, znaleźli się w Wirginii i cadillac przyspieszył. Zastanawiała się, dokąd jadą.

Sekretarz westchnął.

— To wszystko?

— Nie, jest jeszcze ten Richards...

— Zapomnij o nim — przerwał jej z pogardą Hendricks. — To kompletne zero.

— Kompletne zero, które szpieguje dla prezydenta.

Sekretarz drgnął.

— Jak to szpieguje?

— Może nie szpieguje, ale...

— Ale co? — Znowu strzelił palcami. — Szczegóły, pani dyrektor, szczegóły.

Powiedzieć mu? I nagle pomyślała: dobrze by było zobaczyć, jak zareaguje. Już otwierała usta, gdy limuzyna zwolniła i skręciła w kierunku wjazdu na cmentarz. Minęli wysoką żelazną bramę i wjechali powoli w wąską aleję przecinającą nekropolię. Na jej końcu skręcili w prawo, przejechali trzy kwatery i łagodnie się zatrzymali.

•••

Chwyciwszy Florina Popę za kostki u nóg, Peter zaciągnął go głębiej w gąszcz, za gęsty bukszpanowy żywopłot. Gdy go układał, Popa zgubił but. But odbił się od ziemi i coś z niego wypadło. Peter zmrużył oczy, przykucnął, podniósł to i uważnie obejrzał. Klucz. Na pewno nie do hotelowego pokoju ani do samochodu, był za mały. Ale mógł pasować do szafki czy samoobsługowego schowka.

Schował go do kieszeni, włożył Popie but, następnie, aby zatrzeć ślady, jakie pozostawił na ziemi, przewrócił go na bok i ułożył w pozycji embrionalnej. Potem wyprostował się, cofnął, powiódł wokoło wzrokiem, wyszedł z roślinnego labiryntu i ruszył w kierunku domku trenerów. W środku po prawej stronie wisiała tablica z listą zatrudnionych i ich dniami pracy. Peter przyjrzał się jej, potem obszedł domek, wszedł do szatni i przystanął przed rzędem szafek. Każdą opatrzone plakietką z nazwiskiem. Pozbawione okien wąskie pomieszczenie było opustoszałe. Peter pochylił się nad szafką jednego z trenerów, który tego dnia nie pracował, i sforsował zamek. Szybko się przebrał, przypiął do piersi identyfikator i wyszedł wejściem dla pracowników.

Krótki spacer i znowu klub. Szybkim, pewnym krokiem wszedł schodami na werandę, a z werandy do znanej już sali. Natychmiast spojrzął w stronę foteli, gdzie widział Richardsa i tajemniczego mężczyznę, ale nikogo tam nie było. Z klubowego telefonu zadzwonił do wartowni i okazało się, że Richards wyjechał, podczas gdy on przebierał się w szatni. Odłożył słuchawkę. Nieznany mężczyzna musiał teraz szukać Popy, bo ludzie tacy jak on czuli się bez ochroniarza nadzy. Co więcej, jeśli znał się na psychologii, nie mając pojęcia, gdzie podział się goryl, facet zaczynał się pewnie denerwować. Peter okrążył powoli salę, wypatrując samotnego mężczyzny rozglądającego się wokoło z narastającym zniecierpliwieniem. Przy toalecie czekał starszy pan. Miał srebrzyste włosy jak ten, z którym rozmawiał Richards. Może... ale nie, z toalety wyszła równie leciwa kobieta. Uśmiechnęła się do niego i odeszli, przyjaźnie gawędząc. Żona. Nikogo innego tam nie było.

Minawszy kilku klubowiczów, wyszedł na rozległy taras. Jedna trzecia stolików tonęła w promieniach słońca i te były zajęte. Wszystkie pozostałe, te w cieniu, wciąż czekały na gości. Idąc dalej, zobaczył plecy

mężczyzny, który pochylał się do przodu z rękami zaciśniętymi na balustradzie z kutego żelaza. On też miał siwe włosy.

Peter podniósł głowę jak pies, który zwietrzył trop. Odpiął identyfikator i zaczął kelnera przechodzącego obok z tacą zastawioną pustymi szklankami.

— To mój pierwszy dzień, szukam klientów — powiedział. — Widzisz tego gościa? Wiesz, kto to jest?

Kelner zerknął w stronę balustrady.

— Jasne. To Tom Brick. Wieloryb, cholera. — Skonsternowany Peter zmarszczył brwi, więc kelner dodał: — Szasta pieniędzmi. Każdy chce go obsługiwać, wszyscy się o to biją. Daje dwudziestopięcioprocentowe napiwki. Przygruchasz go, stary, i będziesz miał forsy jak lodu.

Peter podziękował mu i kelner zajął się swoimi sprawami.

Peter znowu przypiął identyfikator i zaczął niespiesznie okrążyć taras, dzięki czemu miał czas przyjrzeć się celowi. Brick był młodszy, niż można by się spodziewać, niedawno przekroczył trzydziestkę. Ani przystojny, ani brzydki miał twarz o zupełnie niepasujących do siebie rysach, jakby złożono ją z części zapasowych. Na wierzchu jego lewej dłoni widniał tatuaż, sznur z węzłami.

Musiał wyczuć jego obecność, bo odwrócił się, zanim Peter doszedł do balustrady. Miał dziwnie ruchliwe oczy, które zdawały się oglądać go ze wszystkich stron naraz.

Peter pozdrowił mężczyznę skinieniem głowy.

— Wymarzony dzień na tenisa, prawda? — zapytał.

Jedno oko zerknęło na identyfikator, drugie uważnie go obserwowało.

— Pan zna się na tym lepiej. — Tak jak przez nikogo nieopłakiwany świętej pamięci Florin Popa, mówił z akcentem. Ale ten akcent był brytyjski. — Pan tu nowy?

— Rozumiem, że nie gra pan w tenisa.

Wzrok Bricka powędrował w kierunku wciąż opustoszałego osiemnastego dołka.

— Nie, gram w golfa. Szuka pan klientów, panie... — Znowu zerknął na identyfikator. — Bowden? Kiepsko pan się do tego zabiera.

Peter zaklął w duchu. Fatalnie to rozegrał. Wycofał się wewnętrznie i niczego nie komentując, zaczął opracowywać plan awaryjny, który — teraz już to wiedział — powinien był wcielić w życie, zanim się w ogóle odezwał.

Już otwierał usta, by ponownie nawiązać z nim kontakt, gdy Brick odwrócił się i cicho spytał:

— Kim pan, do diabła, jest?

Zaskoczony Peter wskazał identyfikator.

— Nazywam się Dan Bowden.

— Takiego wała. Znam Bowdena. — Brick stanął krok od niego z oczami twardymi jak kryształ. — Pora się przedstawić, panie kolego. Albo pan to zrobi, albo wezwę ochronę i każę pana zatrzymać.

• • •

— Proszę tu zaczekać — rzucił szorstko Hendricks i wysiadł. Wraz z ochroniarzem przeszedł powoli między nagrobkami, w końcu się zatrzymał. Stał ze spuszczoną głową, podczas gdy ochroniarz, jak zwykle wypatrując kłopotów, czuwał kilka kroków za nim.

Soraya otworzyła drzwi i wysiadła. Między nagrobkami przemykał lekki wiatr, niosąc z sobą przyprawiający o zawrót głowy pierwszy zapach wiosny. Soraya obeszła samochód i ostrożnie przestąpiła nad kopczykiem ziemi. Ochroniarz zauważył ją i pokręcił głową, ale ona szła dalej, by w końcu zobaczyć nagrobek, przed którym przystanął sekretarz: AMANDA HENDRICKS, KOCHAJĄCA ŻONA I MATKA.

Ochroniarz podszedł do sekretarza i szepnął mu coś do ucha. Hendricks zerknął przez ramię i skinął głową. Ochroniarz dał jej znak, by się zbliżyła.

Gdy stanęła obok Hendricksa, ten powiedział:

— W cmentarzach jest coś uspokajającego. Jakby było tu nieskończenie dużo czasu na rozmyślanie, zastanawianie się i wyciąganie wniosków.

Soraya milczała, wyczuwając, że nie musi nic mówić. Rozmyślanie o śmierci najbliższych to prywatna i tajemnicza chwila. Co nieuchronne, przed oczami stanął jej Amun. Zastanawiała się, gdzie go pochowano, pewnie gdzieś w Kairze. I czy kiedykolwiek będzie jej dane odwiedzić jego grób, a jeśli tak, co będzie wtedy czuła. Gdyby go pokochała, wszystko potoczyłoby się inaczej. Wyzbyłaby się wyrzutów sumienia, przynajmniej częściowo. Ale to, że go zostawiła, a nawet pogardzała nim za jego paskudne uprzedzenie do Żydów, zwłaszcza do Aarona, rozděło jej poczucie winy do monstrualnych rozmiarów.

— Straciła pani kogoś w Paryżu, prawda? — spytał Hendricks, jakby czytając w jej myślach.

Zalała ją fala wstydu.

— Nie powinno było do tego dojść.

— Do czego? Do jego śmierci czy waszego romansu?

— Ani do jednego, ani do drugiego.

— To już przeszłość, Soraya. Wszystko skończyło się w Paryżu i niech tam zostanie.

Popatrzyła na nagrobek.

— Pan tak może?

— Zwykle tak. — Sekretarz myślał przez chwilę. — Ale są takie dni, kiedy... — Nie dokończył, lecz nie musiał. Widać było, że cierpi. Odchrząknął. — Trudność polega na tym, że nie pozwalamy odejść temu w zapomnienie. A bez zapomnienia nie ma spokoju.

— A pan? Znalazł pan spokój?

— Tylko tutaj, pani dyrektor. Tylko tutaj.

Kiedy w końcu odwrócił się od grobu żony, powiedziała:

— Dziękuję, że mnie pan tu przywiózł.

Machnął ręką. I gdy w towarzystwie ochroniarza ruszyli do samochodu, spytał:

— Wracając do naszej rozmowy. To już wszystko?

— Nie. — Zerknęła na niego kątem oka. — Chodzi o Richardsa. Richards skłamał. Wiedział o Core Energy, wiedział, że jest w to zamieszany Nicodemo.

Sekretarz zatrzymał się jak wryty.

— Wiedział? Skąd?

Soraya wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia. Ale internet nie ma przed nim tajemnic. — Zrobiła pauzę. — Ale może jest inny powód.

Hendricks wciąż stał nieruchomo jak posąg. Bardzo wyraźnie, starannie rozdzielając słowa, spytał:

— Powód? Jaki? Słucham.

Już miała odpowiedzieć, gdy ostry ból głowy pozbawił ją wzroku i słuchu. Pochyliła się do przodu i nasadą dłoni ucisnęła skroń, jakby nie chciała, żeby jej mózg wylał się na czyjś nagrobek.

— Soraya? — Byłaby upadła, gdyby Hendricks jej nie podtrzymał. — Soraya!

Ale ona już go nie słyszała. Ból przeszył ją niczym rozdwojona błyskawica, przesłaniając wszystko oprócz ciemności, którą powitała jak

błogosławieństwo.

Rozdział 7

— Trzeba go przenieść — powiedziała Rebeka, wyglądając przez okno.

Szybko zapadała ciemność. Wstawały cienie, sinawe jak duchy. Świat chwiał się i kołysał.

— Dopiero kiedy odzyska przytomność. — Bourne ukucnął przy Weavingu, którego twarz wciąż była blada i woskowata. Sprawdził mu puls. — Jeśli zrobimy to teraz, może umrzeć.

Rebeka odwróciła się od okna.

— A jeśli tu zostaniemy, może nas znaleźć Babilończyk.

Jason podniósł wzrok.

— Boisz się go?

— Widziałam, jak pracuje. — Podeszła bliżej. — On jest inny. Codziennie żyje śmiercią, to jego jedyna towarzyszka.

— Jak Gilgamesz.

— Prawie. Z tym że on kocha śmierć, on się nią upaja.

— Mnie obchodzi tylko Weaving.

— Zgoda, mnie też. Dlatego musimy zaryzykować, założyć, że przetrzyma podróż. Bo ze spotkania z Babilończykiem na pewno nie ujdzie z życiem.

Bourne mocno uderzył Weavinga w twarz, w jeden policzek i drugi. Napłynęła krew i skóra zaczęła odzyskiwać naturalny kolor. Weaving zakasłał, spazmatycznie poruszył rękami. Jason pochylił się, rozwarł mu usta i wyciągnął język, żeby go nie odgryzł.

Weaving zadrżał, przeszedł go silny dreszcz, drgnęły mu ręce i nogi. Potem otworzył oczy i chwilę później skupił wzrok.

— Jason? — spytał cichym, cienkim głosem.

Bourne kiwnął głową. Jednocześnie dał znak Rebecce, żeby się ukryła, bojąc się, żeby Weaving nie zobaczył jej, nie zaczął hiperwentylować i znów nie stracił przytomności.

— Nic ci nie grozi. Jesteś bezpieczny.

— Co się stało?

— Wpadłeś do wody.

Weaving szybko zamrugał i oblizwał spierzchnięte usta.

— Ktoś strzelał i...

— On już nie żyje.

— On?

— Nazywał się Ze'ev Stahl. — Jason przyjrzał się jego twarzy. — Mówi ci to coś?

Weaving widział go, lecz patrzył w głąb siebie. Bourne rozumiał, i to boleśnie, co działo się w jego głowie: był to rozpaczliwy skok w grzęzawisko amnezji, desperacka próba wyłowienia choćby pojedynczego wspomnienia, miejsca czy nazwiska, doświadczenie rozdzierające serce i duszę, które osłabiało i pozbawiało tchu, bo każdy był wtedy sam, zupełnie sam, jakby odcięto go od świata chirurgicznym skalpelem. Jason zadrzał.

— Tak — odparł w końcu Weaving. — Chyba tak. — Wyciągnął do niego rękę. — Pomóż mi.

Bourne pomógł mu usiąść. Weaving znowu oblizwał usta i spojrzał w ogień.

— Gdzie jesteśmy?

— W rybackiej chacie, niecałe dwa kilometry od jeziora. — Jason dał znak Rebecce, żeby przyniosła szklankę wody.

— Drugi raz uratowałeś mi życie. Nie wiem, jak ci dziękować.

Bourne wziął szklankę od Rebeki.

— Opowiedz mi o Stahlu.

Weaving powiódł wokoło wzrokiem, ale Rebeka zdążyła cofnąć się w cień. Wyglądało na to, że wraz z siłami stracił całą ciekawość. Trzęsącą się ręką wziął szklankę i łapczywie wypił połowę.

— Powoli — powiedział Jason. — Dwa razy zmartwychwstałeś. To wystarczy, mało kto by z tego wyszedł.

Weaving wciąż patrzył w ogień, jak na talizman, który może mu wrócić pamięć.

— To było w Dahr El Ahmar, tyle pamiętam.

Kątem oka Jason zobaczył, że Rebeka daje mu znak. „Spytaj go, co tam robił”, powiedziała bezgłośnie.

— A dokładnie? Gdzie w Dahr El Ahmar?

— Chyba w jakimś barze. Tak, w barze. Bardzo zatłoczonym. I zadymionym. Grała głośna muzyka rockowa...

— Podszedł do ciebie? Rozmawialiście?

— Nie, chyba nie wiedział, że tam jestem.

— Był z kimś?

— Tak... Nie. — Weaving w skupieniu zmarszczył brwi. — Obserwował kogoś. Ukradkiem, dyskretnie. — Spojrzał na Jasona. — Wiesz jak.

— Wiem.

— Dlatego poczułem... sam nie wiem, że coś mnie z nim łączy. Że obydwaj żyjemy na krawędzi, w cieniu.

— Kogo obserwował? Pamiętasz?

— O tak. Doskonale. Bardzo piękną kobietę. Emanowała seksem. — Dopił wodę i tym razem zrobił to powoli. — Była... Nie wiem, w każdym razie przyciągała mnie jak magnes. — Przez jego usta przebiegł cień uśmiechu. — No jasne. Stahl się nią interesował.

Rebeka wychyliła się z ukrycia.

— A więc go znałeś? — spytał Bourne.

— Nie, nie. — Weaving znowu zmarszczył czoło. — Chyba miałem go śledzić w tym barze. Kobietę śledziłem tylko dlatego, że ją obserwował. Pomyślałem, że będzie najlepszym źródłem, że coś mi o nim powie. A potem, nie wiem, jakby rzuciła na mnie urok.

Jason wyprostował się, analizując te informacje. Uznał, że nadeszła pora spytać o coś, co, przynajmniej w tej chwili, najbardziej go ciekawiło.

— Przypomniałeś sobie swoje nazwisko?

— Oczywiście — odparł Weaving. — Nazywam się Harry Rowland.

• • •

— Ma zapaść! — krzyknął sanitariusz do zespołu czekającego na nich przed wejściem na oddział nagłych przypadków Wirginijskiego Centrum Medycznego.

Używając swoich wpływów, Hendricks zadzwonił do nich z samochodu, więc gdy karetka z piskiem opon zatrzymała się na podjeździe, byli już gotowi do działania. Cadillac stanął tuż za nią.

Hendricks szybko wysiadł i pobiegł za wózkiem, który minąwszy rozsuwane drzwi, potoczył się korytarzami pachnącymi chorobą, lekami, nadzieją i strachem. Patrzył, jak lekarze podłączają Sorayę do szpitalnej aparatury, by postawić wstępną i chyba najważniejszą diagnozę. Doszło do przyciszonej wymiany zdań. Sekretarz stanął krok bliżej, żeby usłyszeć, co mówią, ale rozmawiali żargonem i nic z tego nie rozumiał.

Podjąwszy decyzję, powieźli Sorayę dalej. Pospieszył za nimi, lecz zatrzymano go przed drzwiami z napisem SALA OPERACYJNA.

Pociągnął lekarza za rękaw.

— Co się dzieje? Co jej jest?

— Obrzęk mózgu.

Przeszedł go zimny dreszcz.

— To coś poważnego?

— Dowiemy się, kiedy ją otworzymy.

Przerażony Hendricks osłupiał.

— Chcecie rozłupać jej głowę? A badania? A rezonans magnetyczny?

— Nie ma na to czasu. Musimy myśleć też o dziecku.

Sekretarz poczuł, że usuwa się spod niego podłoga.

— O dziecku? Ona jest w ciąży?

— Przepraszam, panie sekretarzu, ale muszę już iść. — Lekarz nacisnął metalowy guzik i drzwi się otworzyły. — Poinformuję pana, jak tylko się czegoś dowiem. Ma pan telefon?

— Będę tutaj — odparł wstrząśnięty Hendricks. — Zaczekam, aż powie mi pan, że nic jej nie grozi.

Lekarz zniknął za drzwiami, w tajemniczym królestwie, gdzie rządzą chirurdzy. Sekretarz odwrócił się i podszedł do Willisa, ochroniarza z sił specjalnych, który czekał na niego z kawą i kanapką.

— Tędy, panie sekretarzu. — Zaprowadził go do najbliższej poczekalni. Jak zwykle kazał ją opróżnić, tak że byli tam zupełnie sami.

Hendricks zadzwonił do Petera Marksa, lecz od razu włączyła się poczta głosowa, co znaczyło, że Peter jest w terenie, bo tylko wtedy wyłączał komórkę. Po zastanowieniu poprosił Willisa, żeby ten zdobył dla niego numer waszyngtońskiego oddziału Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej i Materiałów Wybuchowych. Wybrał go i poprosił do telefonu Delię Trane. Rozmawiał z nią krótko i niecierpliwie. Powiedziała, że już jedzie. Była spokojna i pozbierana, a tego właśnie potrzebowała teraz Soraya — szczerze mówiąc, on też. Zadzwonił jeszcze w kilka miejsc, odbył kilka poważnych, tajnych rozmów i trochę się uspokoił.

Usiadł przy tanim laminowanym stole i gdy jak zawsze czujny Willis wycofał się pod drzwi, postawiwszy przed nim kubek i talerz, stwierdził, że nie jest głodny. Rozejrzał się po poczekalni, która była żalną namiastką przytulnego pomieszczenia. Między tapicerowanymi krzesłami i sofami stały stoliki, na stolikach lampy. Ale wszystko było

tak tanie i sfatygowane, że jedynym uczuciem, jakie budziło, był smutek. Jak przedsiónek czyśćca, pomyślał.

Upił łyk kawy i skrzywił się. Była gorzka.

— Przepraszam, panie sekretarzu — powiedział jak zwykle usłużny Willis. — Już poprosiłem kogoś o prawdziwą.

Hendricks z roztargnieniem machnął ręką. Jeszcze nie doszedł do siebie po dwóch wstrząsach, jakie zaserwował mu lekarz. Soraya miała zapaść i nosiła w łonie dziecko. Jak to się, do diabła, stało? Dlaczego nic o tym nie wiedział?

No cóż, powód był oczywisty. Za bardzo — można by powiedzieć nawet obsesyjnie — absorbował go mityczny Nicodemo. Prezydent nie wierzył w jego istnienie i potępiał to, że on, szef Departamentu Obrony, poświęca tyle pieniędzy i czasu na coś, co, według niego, było „najgorszym rodzajem dezinformacji”. Hendricks mógłby pójść o zakład, że jego niechęć do sprawy Nicodema podsycił Holmes ze swoją wredną gadaniną. Nie było dnia, by nie żałował, że pomógł mu awansować.

Jedno musiał wszakże przyznać: Holmes odkrył, że Nicodemo może być jego piętą achillesową, bronią, za pomocą której może nareszcie odebrać mu Treadstone. Po tym, jak prezydent powołał go na stanowisko doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, okazało się, że Holmes jest uzależniony od władzy. „Powiększać i konsolidować” — takie oto hasło przyświecało jego karierze i dość skutecznie je realizował. Na razie nie zdołał przejąć Treadstone, ponieważ firma podlegała Hendricksowi, ale pożądał jej z niemal religijną żarliwością. Pod tym względem dobrali się jak w korcu maku, ponieważ obydwaj mieli na tym punkcie obsesję. Zaciekle się na ten temat ścierali, stawiając przed firmą sprzeczne cele. Hendricks wiedział, że jeśli uda mu się wykurzyć Nicodema i pojmać go lub zabić, pozbędzie się Holmesa raz na zawsze. Wygra ciężką bitwę i szef Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego nie będzie już sączył trucizny do prezydenckiego ucha.

Jeśli jednak instynkt go zawodził, jeśli Nicodemo rzeczywiście był tylko mitem albo, co gorsza, wyrefinowaną formą dezinformacji, jego kariera się skończy, Holmes dostanie to, o czym marzył, i firma będzie wykorzystywana do innych, znacznie mroczniejszych celów.

Polowanie na Nicodema było w istocie walką o jej duszę.

•••

— Harry — spytał Bourne — pamiętasz, gdzie się urodziłeś?

Alef kiwnął głową; Jason znowu przechrzczył go w myślach.

— W Anglii, w Dorset. Mam trzydzieści cztery lata.

Bourne'owi złagodniał głos, jakby byli przyjaciółmi, którzy spotykają się po latach rozłąki.

— Gdzie pracujesz?

Alef popatrzył na niego bezradnie.

— Nie wiem.

— Ale pamiętasz, że pojechałeś do Libanu, do Dahr El Ahmar, żeby zdobyć informacje o Ze'evie Stahlu, tak?

— Tak. Może uprawiałem... szpiegostwo przemysłowe?

— Stahl był z Mossadu.

— Co takiego? Z Mossadu? Co ja bym robił...

— Harry, opowiedz mi o Manfredzie Weavingu.

Alef nachmurzył czoło.

— Nie wiem, kto to jest. Dlaczego pytasz? Powinienem go znać?

Jason zaryzykował i dyskretnie zerknął na Rebekę, lecz Alef to zauważył. Musiał odwrócić się o sto osiemdziesiąt stopni, żeby ją zobaczyć. Kiedy to zrobił, rozszerzyły mu się oczy i zadrżał.

— Co ona tu robi?

Rebeka wyszła z ukrycia i Bourne położył mu rękę na ramieniu.

— Nic ci nie robi. To ona zastrzeliła Stahla na jeziorze, kiedy omal nie zmarzliśmy na śmierć.

— Jak się masz, Manny — rzuciła Rebeka.

Chociaż patrzyła prosto na niego, Alef rozejrzał się, jakby kogoś szukał.

— O czym ona mówi? Kto to jest Manny?

— Ty — odparła Rebeka. — Manfred Weaving.

— Bzdura. — Alef robił wrażenie autentycznie skonsternowanego. — Nazywam się Harry Rowland. Z tym nazwiskiem się urodziłem i nigdy go nie zmieniałem.

— Możliwe, że jednak zmieniałeś — powiedział Bourne.

— Co? Jakim cudem...

— Twoja siatka. — Rebeka przykucnęła obok nich. — Jihad bis saif. Jaki macie cel?

Rowland już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, gdy usłyszeli jakiś odgłos. Nieco przytłumiony ginął w szumie fal niskiego przyboju, lecz był to na pewno chrzęst skórzanych butów na śniegu, bardzo blisko domu.

Rebeka bezgłośnie poruszyła ustami: „Znalazł nas”.

— Ale kto? — spytał Rowland.

W tym momencie z trzaskiem otworzyły się drzwi.

Rozdział 8

Martha Christiana namierzyła don Fernanda Hererę bez najmniejszego trudu. Przyjąwszy zlecenie, zaszła się z laptopem w paryskim hotelu i przez osiem godzin surfowała po internecie, szukając informacji. Podstawowe znalazła w ciągu kilku sekund. Hererra, najmłodszy z czworga rodzeństwa, urodził się w Bogocie w 1946 roku i studiował w Anglii, w Oksfordzie, gdzie ukończył ekonomię. Wróciwszy do Kolumbii, zaczął pracować w przemyśle naftowym i robił karierę tak szybko, że wkrótce założył własną firmę, by wykupić tę, która go wypromowała. Tak zgromadził pierwszą fortunę. Nie było jasne, w jaki sposób trafił do międzynarodowej bankowości, ale z tego, co przeczytała, Aguardiente Bancorp był jednym z trzech największych banków poza granicami Stanów Zjednoczonych.

Dalsze poszukiwania przyniosły więcej informacji. Przed pięcioma laty mianował Diega, swojego jedyne go syna, prezesem prestiżowej filii Aguardiente w Londynie. Diego zginął w tajemniczych okolicznościach, Martha nie zdołała jednak ustalić, konkretnie w jakich; wszystko wskazywało na to, że został zamordowany, możliwe, że przez wrogów ojca, chociaż to też nie było oczywiste. Don Fernando mieszkał obecnie w Sewilli, w dzielnicy Santa Cruz, ale miał również domy w Londynie, Kadyksie i... w Paryżu.

Przejrzawszy dostępne w internecie informacje, Martha wstała, poszła do łazienki, odkręciła kurki i wzięła gorący prysznic.

Kiedy wyszła, miała już gotowy zarys planu działania. A gdy się wytarła, wysuszyła włosy i umalowała się, plan był szczegółowo dopracowany. Wzięła płaszcz i wyszła z hotelu. Samochód już na nią czekał, jego potężny silnik mruczał radośnie na chłodnym powietrzu. Szofer otworzył drzwi i wsiadła.

Don Fernando mieszkał na Île Saint-Louis, jednej z dwóch wysp na Sekwanie, na jej zachodnim krańcu, w apartamencie z zapierającym dech w piersi widokiem na Panteon i wieżę Eiffla na lewym brzegu, na katedrę Notre Dame na sąsiedniej Île de la Cité i na najwyższe gmachy na brzegu prawym.

Odkryła, że Herrera jest niewolnikiem własnych przyzwyczajień. W każdym mieście miał swoje ulubione bary, kawiarnie, bistra i restauracje. W Paryżu na śniadanie chodził do Le Flore en l'Île, na lunch do Yam'Tcha, a na kolację do L'Agassin. Ponieważ na lunch było już za późno, a na kolację za wcześnie, kazała szoferowi przejechać przed paryską siedzibą Aguardiente Bancorp. Pod prysznicem rozważyła plusy i minusy wszystkich tych miejsc i z takich czy innych powodów, zbyt niezręcznych lub oczywistych, wszystkie odrzuciła. W gazecie wyczytała, że w Sainte-Chapelle na Île de la Cité odbędzie się tego wieczoru koncert muzyki kameralnej Bacha, jedna z licznych imprez artystycznych, które urządza się w tej wspaniałej kaplicy. Koncert rozpoczynał się wcześnie, tak aby przez olśniewający witraż w zachodnim skrzydle mogły wpaść do środka ostatnie promienie zimowego słońca.

Wybrała kaplicę z kilku powodów. Po pierwsze, tak jak don Fernando uwielbiała Bacha. Doskonale znała jego twórczość i doszła do wniosku, że tworzył dzieła matematycznie uporządkowane, co musiało przypaść do gustu bankierowi. Po drugie, będąc w Paryżu, Herrera zawsze chodził tam posłuchać dobrej muzyki: Sainte-Chapelle należała do jego ulubionych miejsc. Po trzecie, kaplica była dość mała i ludzie siedzieli tam blisko siebie. Dzięki temu mogłaby łatwo go wypatrzeć i w zupełnie naturalny sposób się z nim zapoznać. Muzyka, architektura, Bach, religia: miałyby również wiele tematów, by wciągnąć go do rozmowy zarówno niewinnej, jak i stymulującej.

Tak, pomyślała, gdy wysiadłszy z samochodu, ruszyła do odległej o kilka przecznic kaplicy. Mądrze wybrałam. Stała przed wejściem, w przesuwał się powoli koleje, i wypatrzyła go, gdy dochodził do drzwi. Ucieszyła się: dzieliło ich tylko sześć osób. Tego wieczoru włożyła sukienkę od Alexandra McQueena, jedną ze swoich ulubionych, obcisłą, granatową, z dekoltem w kształcie litery V i paskiem, do tego czarne botki do kostek na koturnach. Chciała się wyróżniać, ale nie za bardzo.

Składane krzesła ustawiono w idealnie równych rzędach i ludzie siadali na nich w zupełnej ciszy, niemal z nabożnością, jakby przyszli na mszę, a nie na koncert kwartetu smyczkowego. Może dlatego, pomyślała, że Bach i msza to prawie jedno i to samo. Czytała gdzieś, że jego muzyka najbardziej zbliża do Boga, zwłaszcza tych, którzy go lubią.

Zajęła miejsce trzy rzędy za Hererrą. Świetnie, przez cały czas będzie mogła mieć go na oku. Siedział między starszym od siebie mężczyzną i kobietą dobrze po czterdziestce. Nie wiedziała, czy ich zna, ale wkrótce

przestało mieć to znaczenie, przynajmniej podczas koncertu. Niemal mistyczny Bach wywoływał w słuchaczach bardzo różne reakcje. W niej budził wspomnienia: o spowitej mgłą latarni morskiej u wybrzeży Gibraltaru, w której się urodziła, o ojcu, szorstkim i ogorzałym, który wiecznie majstrował przy nieustannie obracającym się reflektorze, o bladej, wątłej matce cierpiącej na tak silną agorafobię, że nigdy nie wychodziła z domu. Patrząc nocą w gwiazdy, dostawała zawrotów głowy.

Kwartet grał, płynęła muzyka, surowa i precyzyjna, i oczyma wyobraźni Martha zobaczyła, jak ucieka, jak zostawia swoich dysfunkcyjnych rodziców i zakrada się na pokład statku płynącego z Gibraltaru do Afryki Północnej, do Marrakeszu, gdzie przez dziewiętnaście miesięcy żyła na ulicy, sprzedając się głupim turystom jako dziewczica — robiła to wiele razy, bo po tym pierwszym kupowała świeżą kozią krew u rzeźnika. Potem trafiła do bogatego Marokańczyka, który zmusił ją, by została jego konkubina. Więził ją w swoim domu i brał gwałtownie, nierzadko brutalnie, gdy tylko poczuł wolę bożą, co zdarzało się często.

Pogłębił jej wykształcenie w dziedzinie literatury, matematyki, filozofii i historii. Nauczył ją również patrzeć w siebie, medytować, wyzbywać się wszelkich myśli i pragnień i w tym transcendentnym stanie widzieć Boga. Podarował jej świat, wiele światów. Wiedza, którą jej przekazał, otworzyła jej w końcu oczy i Martha zrozumiała, jak straszliwą cenę musi za to płacić. Trzy razy próbowała uciec ze swego pachnącego perfumami więzienia i trzy razy ją pojmano. Za każdym razem wymierzano jej większą, potworniejszą karę, ale była na to przygotowana i się nie ugięła. Przeciwnie, gdy kochali się pewnej nocy, usiadła na nim, chcąc poderżnąć mu gardło potajemnie przemyconym kawałkiem szkła. Oczy zaszły mu mgłą, jakby zobaczył na jej twarzy nadchodzącą śmierć. Wydał dźwięk podobny do tego, jaki wydaje duży zegar szafkowy. A ona rozłożyła szeroko ręce, jakby wzywała na pomoc Boga. Nagle wbił w jej ramiona zakrzywione jak szpony palce, jakby chciał pociągnąć ją za sobą w otchłań, i umarł na rozległy zawał. Wtedy zabrała wszystkie pieniądze, jakie tylko mogła znaleźć, i nie dotykając niczego, co mogłoby naprowadzić kogoś na jej ślad, uciekła z Marrakeszu, by już nigdy tam nie wrócić.

Wspomnienia nie należały do miłych, ale były jej wspomnieniami i po latach usilnych prób wymazania ich z pamięci pogodziła się z tym, że stanowią część jej osobowości, nawet jeśli znaną tylko jej samej.

Czasami, samotnie i w ciemności, słuchała Bacha na iPodzie, żeby przypomnieć sobie, kim jest i skąd przyszła. Potem medytowała, wyzbywając się wszelkich myśli i czekając, aż wypełni ją Bóg. Osiągnięcie tego stanu kosztowało ją dużo czasu i bólu. Ale po tych introspektywnych sesjach zawsze czuła się jak nowo narodzona. I gotowa do kolejnego zadania.

Koncert dobiegł końca. Publiczność wstała, bijąc brawo i domagając się bisów. Muzycy wyszli zza kulis, gdzie słuchali zasłużonego aplauzu, wzięli instrumenty i zagrali krótki, żwawy utwór. Znowu wybuchły oklaski i koncert się skończył, tym razem na dobre.

Siedząca obok Hererry kobieta pochyliła głowę w jego stronę, powiedziała coś, a on odpowiedział. Była bardziej dostojna niż ładna i elegancko ubrana. Bez wątpienia paryżanka, i to z urodzenia.

Ludzie zaczęli powoli wychodzić, krok za krokiem sunąc między rzędami krzeseł i rozmawiając o koncercie. Martha szła przez chwilę za słuchaczami ze swojego rzędu, potem trochę zwolniła, tak aby spotkać się w przejściu z towarzyszącą Herrerze kobietą.

— *Le concert vous a-t-il plu? J'aime Bach, et vous?* — spytała. — Podobał się pani koncert? Uwielbiam Bacha, a pani?

— *En fait, non* — odparła kobieta. — *Je préfère Satie.*

Dziękując Bogu za okazję, Martha zwróciła się do Hererry:

— *Et vous, monsieur, préférez-vous aussi Satie?*

— *Non.* — Don Fernando uśmiechnął się pobłażliwie do swojej towarzyszki. — Przedkładał Bacha nad wszystkich kompozytorów. Oczywiście z wyjątkiem Stephena Sondheima.

Martha odrzuciła do tyłu głowę i roześmiała się dźwięcznie, demonstrując długą szyję i jedwabistą skórę dekoltu.

— Tak — powiedziała. — *Follies* to mój ulubiony musical.

Dopiero teraz Herrera otaksował ją wzrokiem. Byli już w rozbrzmiewającym echem marmurowym korytarzu, który prowadził prosto na ulicę. Martha skinęła im przyjaźnie głową i poszła przodem.

Jezdnia lśniła w lekkiej mżawce. Martha przystanąła, postawiła kołnierz, wyjęła papierosy i zaczęła szukać zapalniczki. Zanim zdążyła ją znaleźć, tuż przed jej twarzą wykwitł płomień, więc nachyliła się i już po chwili głęboko zaciągnęła się dymem. Wydmuchała go, podniosła wzrok i zobaczyła Hererrę. Był sam.

— Gdzie pańska towarzyszka?

— Była umówiona.

Martha uniosła brwi.

— Naprawdę?

Bardzo ładnie się śmiał. Głośno, swobodnie, z głębi trzewi.

— Nie. Odprawiłem ją.

— Zatem to pańska pracownica.

— Tylko znajoma, nic więcej.

„Nic więcej” — podobało jej się, jak to powiedział, bez najmniejszego lekceważenia, zwyczajnie i rzeczowo, dając jej do zrozumienia, że zmieniły się okoliczności i że łatwo przystosowuje się do nowych.

Wyjął cygaro.

— Pozwoli pani?

— Oczywiście — odparła. — Lubię zapach dobrych cygar.

Przedstawili się sobie.

— Czy był pan w Eisenach? — spytała, gdy odprawiał precyzyjny jak toccata rytuał przycinania i przypalania. W Eisenach urodził się Jan Sebastian Bach.

— Muszę wyznać, że nie. — Cygaro już się paliło. — A pani?

— Byłam. Jako studentka pojechałam zobaczyć Wartburg, zamek, gdzie Marcin Luter przetłumaczył na niemiecki Nowy Testament.

— Pisała pani pracę o Lutrze?

Roześmiała się.

— Tak, ale jej nie skończyłam. Miałam za bardzo buntowniczą duszę. — Tak jak on w młodości. Pomyślała, że to pokrewieństwo ich połączy. I się nie pomyliła.

— *Mademoiselle* Christiana...

— Martha.

— Dobrze, zatem Martho. Czy da się pani zaprosić na kolację?

— *Monsieur*, prawie pana nie znam.

Uśmiechnął się lekko.

— Można to bardzo łatwo naprawić, nie uważa pani?

•••

— Nieważne, jak się nazywam — oświadczył Peter. — Richardsa ktoś śledził.

Brick miał nieruchome oczy.

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Poważnie? — Peter popatrzył na siedzących przy stolikach ludzi. — Gdzie pana goryl?

— Goryl?

— Owen. — Peter strzelił palcami. — Jak mu tam...

Oczy drgnęły, pojawił się w nich niespokojny cień.

— Co z nim?

— Lepiej panu pokażę.

Brick oderwał się niechętnie od barierki.

— O co tu właściwie chodzi?

Peter nie odpowiedział. Wyszli, minęli domek trenerów i zaprowadził go do bukszpanowego labiryntu, gdzie leżał Florin Popa.

Brick zatrzymał się jak wryty.

— Co się dzieje, do kurwy nędzy?

— Zimny trup. — Bezlitosnym wzrokiem Peter patrzył, jak Brick pochyła się nad ciałem ochroniarza. — Grozi panu niebezpieczeństwo. Rozsądniej by było, gdybyśmy się stąd zmyli.

Brick spojrzał na niego z ręką na ramieniu Popy.

— Wal się, kolego. Nigdzie z tobą nie pójdę.

Peter z powagą kiwnął głową.

— W porządku. Niech pan radzi sobie sam.

Ruszył z powrotem, ale Brick zawołał:

— Chwila! Kim ty właściwie jesteś i dla kogo pracujesz?

• • •

Bourne chwycił z kominka płonące polano i rzucił nim w stronę drzwi. Polano zasyczało, buchnęło ogniem i wściekle sypiąc iskrami, trafiło końcem w ramię intruza. Mężczyzna zrobił szybki półobrót i odtrącił je ręką, ale przyjmując taką pozycję, ułatwił atak Bourne'owi, który natychmiast się na niego rzucił. W tej samej chwili wybuchła za nim gwałtowna szamotanina, bo Rebeka próbowała odciągnąć Rowlanda w bezpieczne miejsce.

Intruz zadał Jasonowi kilka ciosów w plecy, odchylił go do tyłu, zrzucił z siebie i uderzył w splot słoneczny. Potem chwycił go za kołnierz i cisnął nim o ścianę. Bourne zdarł z niej jakąś rycinę i gdy tamten chciał zaprawić go z byka, roztrzaskał mu ją na głowie. Posypało się szkło. Jason chwycił długi, szpiczasty odłamek i nie zważając na ból — szkło rozcięło mu wewnątrz dłoni — uderzył nim jak nożem.

Celował w szyję, ale chybił i odłamek utkwiał tamtemu w plecach. Intruz rzucił się na niego tak szybko, że obydwaj upadli, a wtedy tamten

błyskawicznie otworzył nóż sprężynowy, wziął zamach i zadał cios. Bourne przetoczył się na bok i czubek ostrza utknął w szparze między deskami starej podłogi. Nie tracąc czasu na jego wyjmowanie, napastnik sięgnął po inną broń.

•••

Babilończyk — Rebeka od razu go poznała i kiedy tylko Bourne ruszył do ataku, zajęła się Weavingiem, wciągając go do kuchni, w cień szafek i kredensu.

Szepnęła: „Na miłość boską, leż tu”, wzięła z drewnianego stojaka dwa noże do patroszenia ryb i jeden schowała za pasek. Z drugim w ręku wróciła do pokoju, by zobaczyć, jak Babilończyk, wciąż z kawałem szkła sterczącym z zakrwawionych pleców, bierze zamach składanym sztyletem.

Szła zwinnie i bezszelestnie, trzymając nóż przed sobą. Jego ostrze było zakończone paskudnym hakiem. Gdyby udało jej się go wbić i mocno szarpnąć do tyłu, ciężko by go zraniła.

Jego siła i żywotność były legendarne. Jeśli nie czuł, że ma w plecach kawał szkła, nie poczuje i noża, chyba że będzie miała szczęście i trafi w jakiś ważny organ albo trzewia, bo wtedy mogłaby wypruć z niego flaki. Tak duży wpływ krwi spowolniłby nawet jego.

Ale chociaż poruszała się cicho i ukradkiem, wyczuł jej obecność i w ostatniej chwili ustawił się bokiem, przyjmując jednocześnie dwa silne ciosy Bourne’a. Szybki jak błyskawica wyrzucił lewą rękę, rozczapierzonymi jak macki palcami złapał ją za nadgarstek, ścisnął i przekręcił. Zazgrzytały kości. Rebeka straciła oddech, jej mózg utonął w blasku przeraźliwego światła. W tej samej chwili Babilończyk wyrwał jej nóż i z rozmachem ciął. Chciał rozplatać jej szyję. Ocalała tylko dzięki szybkiemu refleksowi. Ostrze przecięło sweter i bluzkę, otwierając jaskrawoczerwoną poziomą ranę tuż nad piersiami. Rebeka głośno sapnęła i upadła na plecy.

•••

Słyszając towarzyszące walce wręcz głucho stęknienia, odgłosy uderzeń i szybkie oddechy, Harry Rowland — teraz nie miał już żadnych wątpliwości, że tak się nazywa — poczuł, iż w jego umyśle coś się

otwiera. Ignorując rozkaz Rebeki, wyczołgał się z kuchni i momentalnie, spokojnym wzrokiem zawodowca, ogarnął chaotyczną sytuację. Coś odkleilo się w nim i opadło. Obudziwszy się w sztokholmskiej klinice, na kilka dni utknął w świecie jak ze snu, ale teraz znowu widział wszystko jasno i wyraźnie.

Nie myśląc, wstał, podbiegł do kominka, chwycił szczypce do drewna i zwinnie ominąwszy Rebeke, podszedł do Bourne'a i nieznanego mężczyzny zmagających się w śmiertelnej walce. Przyjrzał się im uważnie, najpierw jednemu, potem drugiemu. Wszystko zdawało się spowolnione, wszystko oprócz jego umysłu, który ożywszy, pracował teraz gorączkowo i na najwyższych obrotach. Powracały wspomnienia, rozbłyskując jak ławice srebrzystych ryb wypływających z głębin, jedno po drugim, szybko i gwałtownie, lecz we właściwym porządku. Zrozumiał nagle tyle dotychczas niejasnych rzeczy, czuł się tak, jakby ktoś rozsuwał grube kotary, warstwa po warstwie pokazując mu jego życie sprzed wypadków na zamrożonym jeziorze. Nie wszystko widział, w tkaninie wciąż było wiele dziur, brakujących fragmentów i ślepych zaułków, które intrygowały i ciekawiły, ryb, które prześlizgnąwszy się między palcami, powracały do niezgłębionej otchłani. Niektóre myśli wciąż nie miały sensu, lecz pewne nakazy miały i to właśnie one ożywiły go i pchnęły do działania.

Podniósł wysoko szczypce i ze świstem opuścił je na głowę Bourne'a.

Księga druga

Rozdział 9

— Żyjemy w świecie informacji przepływających nieustannie przez serwery, sieci, intranety oraz internet...

Charles Thorne robił notatki na iPadzie, nagrywając jednocześnie każde słowo wypowiedziane przez Maceo Encarnaciona.

— Szybko stajemy się kulturą cyfrową, kulturą chmur — ciągnął Maceo. — Każdego dnia ilość informacji rośnie w postępie wykładniczym i to gwałtownie rozszerzające się tsunami, całe, w takiej czy innej formie może zostać odczytane i wykorzystane przez kogoś z zewnątrz, kogoś, kto nas podsłucha, podpatrzy czy włamie się do naszego komputera...

Wywiad odbywał się w jednym z pomieszczeń redakcyjnych „Polityki” i notując, Thorne poczuł nagle, że w jego kieszeni wibruje komórka. Zignorował to i skinął głową, zachęcając Encarnaciona do mówienia. Załatwienie wywiadu z właścicielem i prezesem zarządu SteelTrap kosztowało go wiele miesięcy skomplikowanych negocjacji z kilkunastoma jego podwładnymi. SteelTrap, gigantyczna firma specjalizująca się w zabezpieczeniach sieciowych, była anomalią w świecie biznesu — wielka, potężna i odnosząca sukcesy, jednocześnie całkowicie prywatna, tym samym od nikogo niezależna. Nikt nie znał jej wewnętrznej struktury.

W końcu mu się poszczęściło. Maceo Encarnación, który był akurat w drodze z Paryża do Mexico City, gdzie część licznego zespołu SteelTrap pracowała w jednej z należących do niego pałacowych rezydencji, zgodził się z nim porozmawiać, czekając, aż obsługa naziemna zatankuje jego prywatny odrzutowiec. Zażądał tylko jednego: żadnych zdjęć. To Thorne’a nie zaskoczyło, ponieważ przygotowując się do wywiadu, odkrył dziwną rzecz: w sieci nie było fotografii Macea, ani jednej. Okazał

się mężczyzną wielkim jak niedźwiedź i, co kuriozalne, zupełnie pozbawionym włosów. Thorne zastanawiał się, czy ogolił je celowo, czy jest to wada wrodzona. Zapisał w iPadzie kolejną ciekawostkę: Encarnación ani razu nie spojrział prosto na niego. Jego oczy były w ciągłym ruchu, jak zderzające się z sobą szklane kulki.

— W dzisiejszych czasach — mówił — nie jest bezpieczny żaden skrawek informacji, bez względu na to, jak mały i dobrze ukryty. Wszystkie można wykraść. I niektórzy to robią. To niepodważalny fakt. W każdej godzinie dnia ktoś włamuje się na zabezpieczone firewallami strony internetowe. To najnowsza, najbardziej niszczycielska forma terroryzmu. Walka z nim jest jak boskie powołanie. To moja praca. Tym się zajmuję. — Umilkł i powiódł wokoło bezbarwnymi oczami. Kciukiem i palcem wskazującym trzymał okulary przeciwsłoneczne, jakby w każdej chwili był gotów je włożyć. — W czasach internetu tak właśnie powstają fortuny.

Komórka ponownie zawibrowała i Thorne ponownie to zignorował.

— Proszę mi opowiedzieć, jak zainteresował się pan zabezpieczeniami sieciowymi.

Na ustach Encarnaciona zagościł uśmiech, bardzo słaby, lecz straszliwie niepokojący.

— Pewnego dnia wszystko straciłem, cały kapitał, który zgromadziłem, kupując i sprzedając akcje spółek przez internet. Włamano się na moje konto i okradziono mnie. — Znowu ten wieszczący apokalipsę tajemniczy uśmiech, jak na pysku wielkiego, wygłodniałego drapieżnika. — Pieniądze zniknęły w bezdennej rosyjskiej otchłani.

— Rozumiem.

— Nie — odparł Encarnación — nie rozumie pan. — Zakołysał okularami. — Walczyłem z pokusą, chciałem tam pojechać i odszukać tych, którzy ukradli moją własność, ale wiedziałem, że jeśli to zrobię, Rosja pożre mnie żywcem.

Komórka zawibrowała po raz trzeci i Thorne ściągnął usta.

— To znaczy?

— To znaczy, że byłem wtedy zupełnym ignorantem i gdybym tam pojechał, już nigdy bym nie wrócił.

Thorne nie mógł się powstrzymać i cicho się roześmiał.

— Brzmi to trochę... nie wiem, melodramatycznie.

— Tak — zgodził się z nim Encarnación. — Ma pan rację. — Odpowiedział uśmiechem natrętnym jak wibrowanie komórki

w kieszeni Thorne'a. — Ale to szczerą prawdą. Czy był pan w Moskwie?

Thorne nie chciał, żeby wywiad zmienił się w przesłuchanie.

— Tak, byłem.

— W interesach?

— Nie. Ale słyszałem, że...

— Aha, słyszał pan — przerwał mu Encarnación, odbijając piłeczkę.

— Jeśli nie był pan w Moskwie, jeśli nie robił pan tam interesów, nie ma pan o niczym pojęcia. — Pokręcił zupełnie łysą głową, którą Thorne nazywał w duchu czaszką. — Pieniądze, łapówki, skorumpowani politycy, wymuszenia: oto jak wygląda prawdziwa Moskwa.

— Myślę, że można by to powiedzieć o każdym wielkim mieście.

Encarnación spojrział na niego tak, że Thorne zmałał, poczuł się kimś gorszym i słabszym.

— Moskwa jest inna. Wyjątkowa. Dlaczego? Bo same pieniądze tam nie wystarczą. Ludzie, z którymi musimy robić interesy, chcą czegoś więcej. Wie pan czego? Pragną zabłysnąć w oczach prezydenta. Podlizują mu się do tego stopnia, że jeśli negocjacje nie idą po ich myśli, bez wahania każą strzelić kontrahentowi w tył głowy albo, jeśli chcą się trochę rozerwać, otrują go plutonem długo po tym, jak wyjedzie z tego szczurzego gniazda.

„Jezu Chryste!”, zanotował Thorne. „Otrucie plutonem”.

Encarnación nawet nie mrugnął.

— Postanowiłem znaleźć jakiś sposób i odzyskać pieniądze. W tamtych czasach rosyjskie władze były zupełnie bezużyteczne, o włamaniach do internetu wiedziały jeszcze mniej niż teraz...

Thorne poczuł się jak w obecności zmartwychwstałego barona von Münchhausena, legendarnego gawędziarza, choć miał nieodparte wrażenie, że opowieść Encarnaciona jest jak najbardziej prawdziwa.

— I tak powstała SteelTrap.

— Właśnie.

— I było to...

— Siedem lat temu.

— Czy odzyskał pan pieniądze?

Na twarzy Encarnaciona pojawiło się coś diabolicznego.

— Z odsetkami.

Thorne chciał go spytać o szczegóły, ale komórka zawibrowała po raz czwarty. Gniewnie zmarszczył brwi, lecz zwyciężyła ciekawość. Przeprosił swojego rozmówcę, wyszedł na korytarz i wyjął telefon. Cztery SMS-y od Delii Trane. Znał ją, spotkali się kilka razy. Dwukrotnie

jedli razem kolację, ona, Soraya i on, i był jej wdzięczny, że zechciała ich wtedy kryć.

Zadzwoń jak najszybciej.

Jeszcze bardziej zmarszczył brwi. Jednego SMS-a mógłby zignorować, ale nie cztery. Przewinął listę kontaktów, wybrał jej numer i przytknął komórkę do ucha. Odebrała po pierwszym sygnale.

— Gdzie jesteś?

— A jak myślisz? — Gniew odżył ze zdwojoną siłą. — Cholera jasna, właśnie robię wywiad z...

— Soraya ma kłopoty.

Na dźwięk jej imienia Thorne rozejrzał się po korytarzu. Mijali go redaktorzy i dziennikarze. Głupki i lizusy, którzy nic nie wiedzieli o grożącym im śledztwie. Wszedł do pustej sali konferencyjnej.

— Charles?

Soraya mówiła mu „Charlie”, Delia nigdy. Zamknął drzwi. Zapadła ciemność.

— Jakie kłopoty? — Miał wystarczająco dużo swoich. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował...

— Jest w szpitalu.

Na ułamek sekundy zamarło mu serce.

— W szpitalu? — powtórzył jak idiota. — Dlaczego? Co się stało?

— Była ranna w Paryżu. Miała wstrząśnienie mózgu. Lot samolotem pogorszył jej stan.

— Co takiego? Na miłość boską...

— Ma krwiaka podtwardówkowego. Jej mózg krwawi.

Thorne poczuł, że musi usiąść.

— Charles?

— Jak... — Ścisnęło go w krtani. Gwałtownie zakaszłał, spazmatycznie przełknął ślinę. — Jak się czuje?

— Źle. Musieli ją operować.

— Czy ona... — Nie mógł wymówić tych słów.

— Nie wiem. Jestem w Wirginijskim Centrum Medycznym w Arlington, ale operacja jeszcze się nie skończyła.

Thorne pomyślał o Maceo Encarnacionie, który czekał na niego kilka kroków dalej, podczas gdy Delia jeszcze bardziej utrudniała mu życie. Chciał jej wybaczyć, lecz nie mógł.

— Muszą zmniejszyć ciśnienie w czaszce — mówiła — powstrzymać krwotok. Operacja jest podobno stosunkowo prosta, ale wystąpiły komplikacje.

Chryste, pomyślał, więc to jeszcze nie koniec?

— Jakie?

— Charles, Soraya jest w ciąży.

Thorne drgnął jak porażony prądem.

— Co takiego?

— Nosi twoje dziecko.

• • •

Zanim szczypce zdążyły opaść, Bourne podniósł rękę. Chwycił je, skierował na ramię Babilończyka, kopnął Rowlanda w kolano i przetoczył się na bok. Rowland zachwiał się, lecz wciąż kurczowo ścisnął szczypce. Jason wyprowadził cios i trafił go w szczękę. Głowa odskoczyła do tyłu, zagrzechotały zęby, lecz szczypce pozostały w rękach i Bourne nie mógł się od niego odwrócić. W tej samej chwili Babilończyk kopnął go w kostkę u nogi i Jason runął na podłogę, pociągając za sobą Rowlanda.

• • •

Rebeka musiała stracić na chwilę przytomność, bo kiedy się ocknęła i wytarła zakrwawioną twarz, zobaczyła, że Bourne, Rowland i Babilończyk tarzają się na podłodze. Z trudem wstała, wyrwała Rowlandowi szczypce, chwyciła go za kołnierz i odciągnęła od tamtych.

— Kretyn! — warknęła. — Co ty wyprawiasz?

Rowland odwrócił się i uderzył ją mocno w twarz.

— Nie masz pojęcia, w co wdepnęłaś.

Rebeka otrząsnęła się i chciała mu oddać, ale zablokował cios, po czym nasadą dłoni błyskawicznie zadał jej aż trzy i osunęła się na kolana.

Pochylił się nad nią.

— Cała rzecz sprowadza się do jednego — wysyczał. — Wszystko mi się przypomniało, rozumiesz? Wszystko.

Próbowała wstać, lecz ją przytrzymał. Wydawało się, że wraz z pamięcią odzyskał zwinność i siły. Znowu był mężczyzną, z którym

kochała się w dusznym, gorącym pokoju hotelowym w Libanie, rywalem, z którym bawiła się w kotka i myszkę i grała w trzy kubki.

Boleśnie wykręcił jej rękę.

— W Dahr El Ahmar wygrałaś. Ale teraz przegrasz.

•••

Pozbywszy się Rowlanda, Bourne mógł skupić całą uwagę na Babilończyku. W samą porę. Halevy owinął jego szyję potężnymi rękami i gwałtownie szarpnął, chcąc skrócić mu kark. Bourne obrócił się szybko i zyskawszy kilka sekund, uderzył go łokciem w nerki.

Babilończyk głucho stęknął i Jason, uderzywszy jeszcze raz, chwycił ze stołu kamienną popielniczkę i zdzielił go w tył głowy. Trysnęła krew, Halevy runął na plecy. Pękł tkwiący w nich szklany odłamek.

Myśląc, że intruz ma dość, Bourne zaczął wstawać. Wtedy Babilończyk błyskawicznie usiadł, uderzając go czołem w czoło. Oszołomiony Jason opadł na kolana i Halevy pociągnął go do kominka. Chociaż obficie krwawił, chociaż przyjął kilka silnych ciosów w nerki, które obezwładniłyby każdego innego przeciwnika, wciąż dysponował niewiarygodnym zapasem sił.

Bourne poczuł gorąco na czubku głowy. Babilończyk chciał wrzucić go do ognia. Włókł go po podłodze, kominek był coraz bliżej. Jason wyprowadził kilka ciosów, lecz na próżno. Zobaczył buchające z paleniska iskry i wiedział już, że kończy mu się czas.

Sięgnął za głowę, chwycił płonące polano i nie zważając na ból, wbił je w pierś napastnika. Ubranie momentalnie zajęło się ogniem, rozszedł się swąd spalonego materiału.

Jason nie czekał, już wstał, już biegł. W kuchni zobaczył Rebeke, której udało się skrepować Rowlanda. Wskazał tylne drzwi, wypadli na mroźną noc i popędzili do łodzi. On zgarnął garść śniegu, żeby złagodzić ból pokrytych pęcherzami dłoni, ona wepchnęła Rowlanda na pokład i odpaliła silnik. Jason rzucił cumy, za rufą zakotłowała się czarna woda i zniknęli w gęstniejącym mroku.

•••

— Nie pracuję dla nikogo — łągał gładko Peter. — A przynajmniej nie na stałe.

Brick uważnie go obserwował.

— Wolny strzelec?

— Otóż to.

Jechali nowiutkim samochodem Bricka, jaskrawoczerwonym audi A8. Prowadził Peter, zastępując świętej pamięci Florina Popę. Prezes Core Energy kazał mu usiąść za kierownicą, żeby mieć go na oku, bo wciąż mu nie ufał. Przedtem wstąpili do domku trenerów, gdzie Peter przebrał się w swoje ubranie. On się przebierał, a Brick, opierając się o metalową szafkę, patrzył na niego jak zboczeniec w toalecie, nawet wtedy, gdy przyciszonym głosem rozmawiał z kimś przez telefon.

— Skąd mam wiedzieć, że to nie ty śledziłeś Richardsa?

— Znikąd. — Peter myślał najszybciej, jak umiał.

— Jeśli nie ty, to kto? I kto zabił Popę?

Na jego wyraźne polecenie Peter jechał bocznymi drogami.

— Peter Marks. Pracuje tam, gdzie Richards.

— Podejrzewał go?

Peter skręcił w prawo i niemal natychmiast w lewo. Arlington, starannie wypielegnowane trawniki i zaciszne enklawy z domami miliarderów zostały w tyle i teraz roztaczały się przed nimi pofałdowane wzgórza, gęste lasy i wilgotne wąskie doliny bardziej wyludnionej części stanu.

— Następny krok to zemsta — powiedział Peter. — W przeciwnym razie, po tropach Richardsa trafią do ciebie i już nigdy nie spuszczą cię z oka.

— Ty poważnie?

— Jak najbardziej. Chcesz wiedzieć, co robiłem w Czarnym Mnichu? Dobrze. Pilnowałem cię. — Widząc, że Brick zeszywniał, ciągnął dalej: — Pilnowałem cię, bo chcę się u ciebie załapać na robotę. Mam dość pracy na własną rękę. Brak gwarancji stałego zatrudnienia, brak oszczędności...

— Czasy są ciężkie — rzucił pogrążony w zadumie Brick.

— I będą jeszcze cięższe.

Brick myślał jeszcze przez chwilę i nagle rozkazał:

— Stań.

Peter zjechał na trawiaste pobocze dwupasmówki i wrzucił luz.

Kiedy tylko samochód się zatrzymał, Brick strzelił palcami i warknął:

— Portfel.

Peter sięgnął do wewnętrznej kieszeni.

— Tylko powoli, kolego.

Peter zamarł z rozpiętą kurtką.

— To sam go wyjmij.

Brick posłał mu lodowate spojrzenie.

— Szybciej.

Peter włożył rękę do kieszeni ukrytej za tą, w której miał prawdziwe dokumenty, i ostrożnie, dwoma palcami, wyjął portfel. Podał go Brickowi.

Ten położył portfel na lewej dłoni, otworzył go powoli prawą i dopiero wtedy spojrzał na prawo jazdy.

— Anthony Dzunga. — Podniósł wzrok. — Co to za nazwisko?

— Ukraińskie. — Ci od przykrywek zawsze uważali, że lepiej jest wymyślić takie, które wymaga wyjaśnień. I mieli rację.

Oczy Bricka były teraz jak szparki.

— Nie wyglądasz na Ukraińca.

— Moja mama była piękną Holenderką z Amsterdamu.

— Nie pochlebiaj sobie — mruknął Brick. — Nie jesteś aż taki ładny.

— Uspokojony przejrzał pozostałe dokumenty, karty kredytowe, karty uprawniające do bezpłatnego wejścia do kilku muzeów, a nawet, co zabawne, niezapłacony mandat za przekroczenie dozwolonej prędkości.

— Wolisz Anthony czy Tony?

Peter wzruszył ramionami.

— Zależy, czy gadam z przyjacielem, czy wrogiem.

Brick roześmiał się.

— Dobra. Zatem wyskakuj, Tony, podrzucę cię do miasta. Jutro o pierwszej bądź w klubie.

— A potem?

Brick spoważniał.

— Potem zobaczymy, do czego się nadajesz.

• • •

Po tym, jak przeprosił swojego gościa, mężczyznę znanego światu jako Maceo Encarnación, Thorne wybiegł z redakcji, ten wziął palto i niespiesznie poszedł do windy.

Czekając, wprawnym okiem obserwował panujący w redakcji uporządkowany rozgardiasz, ludzi i ich skupione twarze, pewny krok i wypięte piersi. Najbardziej rzucało się w oczy poczucie wyższości i bezpieczeństwa — wiedział, że już wkrótce miało ono rozmyć się jak

dym w chaosie, który ogarnie wszystkich i każdego zatrudnionego tu pracownika.

Chaos skojarzył mu się z Moskwą, z historią, którą zaczął opowiadać Thorne'owi i której zakończenia Thorne nigdy nie usłyszy. Dzięki zmyślnym algorytmom, szczegółowo opracowanym przez niego i jego zespół, wytropił złodziei, którzy włamawszy się na jego konto, wyskali pieniądze, by ukryć je w zakamarkach przerażającego rosyjskiego świata przestępczego. Po starannych przygotowaniach spędził w Moskwie dokładnie trzy dni. Zanim wrócił, na dnie rzeki Moskwy spoczęły dwa obciążone własną bronią trupy z wytrzeszczonymi z niedowierzania oczami. Jeśli zaś chodzi o pieniądze, nie tylko je odzyskał, ale i ograbił złodziei w taki sam sposób, w jaki oni ograbili jego.

Gdy otworzyły się błyszczące od chromu drzwi windy, wszedł i stanął obok długonogiej blondynki o imponujących biodrach. Przepadał za ładnymi biodrami i pośladkami.

— Dzień dobry — powiedział, pławiąc się w blasku jej szerokiego uśmiechu.

• • •

W rybackiej chacie panował gorączkowy ruch, ponieważ Babilończyk próbował jak najszybciej zedrzeć z siebie ubranie i ograniczyć spustoszenie, jakie ogień siał na jego ciele. Potykając się i krzywiąc z bólu, wpadł do łazienki, odkręcił kurek z zimną wodą i wszedł pod prysznic. Omal się nie zadławił, bo natychmiast buchnął dym. Ale lepsze to, niż odchodząca płatami skóra. Dym szybko zmienił się w parę.

Ugasiwszy płomienie, zdarł z siebie resztki spalonej bielizny i wyszedł z kabiny. Był szczupły i długoręki jak pływak długodystansowy, same mięśnie, twarde i napięte pod jędrną, opaloną skórą.

Dużą część piersi, szyi i ramion pokrywały oparzenia, dlatego nie chciał używać ręcznika. Stanął przed lustrem i przyjrzał się odłamkowi szkła w plecach. Trochę to trwało, ponieważ łzawiły mu oczy. Wiedział, że będzie miał blizny, zwłaszcza na szyi, ale był za dobrze wyszkolony, by o tym myśleć. Dlatego zajął się tym, co musiał zrobić najpilniej, i dokładnie, z chirurgiczną dokładnością, obejrzał ranę.

Chociaż górna część odłamka odpadła, kawałek wciąż wystawał na tyle, że można było go uchwycić. Oparł się o umywalkę i patrząc przez ramię w lustro, wymacał szkło. Nabrał powietrza i wypuścił je, powoli i do końca. Wtedy mocno pociągnął i odłamek wyszedł. Rana wezbrała krwią, lecz była czysta i wiedział, że krwotok szybko ustanie.

Ociekając różową wodą, wrócił do kuchni, otworzył tylne drzwi i nagi rzucił się na śnieg. Zimno powinno zmniejszyć opuchliznę i stępić ból. Gdy miał dość, przewrócił się na plecy, aby znieczulić ranę od szkła.

Po kilku minutach wstał, wszedł do kuchni, poszperał w szafkach i znalazł torebkę sodы oczyszczonej. Zdjął z półki miskę, wsypał do niej proszek i zmieszał go z wodą, uzyskując gęstą pastę. Potem, oddychając przez zaciśnięte zęby, zaczął nakładać ją na oparzenia, aż pokryła je jak balsam chroniący rany i przyspieszający proces gojenia.

W łazience znalazł tubkę kremu przeciwbakteryjnego i kilka tabletek silnego antybiotyku na receptę, które zostawiła Rebeka. Na buteleczce widniało jej nazwisko i sztokholmski adres. Soda podziałała i ból powoli ustępował. Za jakiś czas powtórzy kurację śniegiem.

Połknął dwie tabletki i popił piwem z lodówki. Wyciągnął z podłogi nóż i zaczął chodzić tam i z powrotem jak gniewny, drapieżny tygrys, ciche, okrutne zwierzę. Chodził tak, aż poczuł, że wracają mu siły.

Jeszcze raz spojrzął na buteleczkę z antybiotykiem i uśmiechnął się, nie mógł się powstrzymać. Sztokholmski adres Rebeki. Poprzysiągł sobie, że dopadnie ich i tym razem zabije wszystkich.

Rozdział 10

— Lubi pani filmy? — spytał don Fernando przy śniadaniu składającym się z croissantów i kawy. Jedli w Le Flore en l'Île.

— Oczywiście — odrzekła Martha. — Kto nie lubi?

Po kolacji umówili się na śniadanie. Nie zaprosił jej do siebie poprzedniego wieczoru. Zastanawiał się, czy była rozczarowana.

— Ale stare filmy. Klasykę.

— Klasykę lubię nawet bardziej. — Upiła łyk kawy, którą podawano tu w dużych, grubych kubkach. Za oknem wznosił się zaokrąglony tył katedry Notre Dame, majestatyczny i delikatny, z przyporami rozłożonymi jak skrzydła. — Jednak wiele starych filmów nie zalicza się do tej kategorii, chociaż niektórzy tak uważają. Widział pan *Nie oglądaj się teraz?* Tam, gdzie przestaje być absurdalny, jest zupełnie niezrozumiały.

— Myślałem o *Aniele zagłady* Buñuela.

Pokręciła głową. Jej oczy błyszczały w porannym świetle.

— Tego nie widziałam.

Gdy go jej streścił, podsumowała:

— A więc dom jest dla nich potrzaskiem, tak jak dla nas życie. Klóć się, kochają, są znużeni i znudzeni. Niektórzy umierają. To nie jest sztuka — prychnęła. — To egzystencja!

— Ma pani rację.

— Myślałam, że Buñuel był surrealistą.

— Tak naprawdę był satyrykiem.

— Szczerze mówiąc, nie widzę w tym filmie niczego zabawnego.

Don Fernando Herrera też nie widział, ale nie to było ważne. Pomyślał o filmie Buñuela, ponieważ Martha Christiana była aniołem zagłady. Wiedział, kim i czym jest. Bywał już w towarzystwie takich kobiet. Wiedział również, że znowu będzie. Jeśli ta go nie zabije.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Martha jest złowieszczą wysłanniczką. Że wynajął ją Nicodemo. To dodało mu otuchy. Był coraz bliżej. Poruszył piekło na tyle skutecznie, by kazano go zabić.

Uśmiechnął się do swojego anioła i powiedział:

— Kiedy oglądałem ten film pierwszy raz, siedziałem obok Salvadora Dalego.

— Naprawdę? — Przekrzywiła głowę. Była w kostiumie od Chanel w kolorze wstającego świtu i rozpiętej pod szyją żółtomaślanej błyszczącej jedwabnej bluzce. — Jak wyglądał?

— Nie wiem, widziałem tylko te okropne wąsy.

Dźwięczny śmiech Marthy był delikatny i gładki jak jej bluzka.

— Mówił coś?

— Dali zawsze odzywał się tylko po to, żeby zaszokować. W każdym razie w miejscach publicznych.

Jej ręka pokonała dzielącą ich niewidzialną barierę i palce ujęły palce.

— Prowadzi pan ciekawe życie.

Wzruszył ramionami.

— Niektórzy prowadzą ciekawsze. Inni nudniejsze.

W skośnych promieniach słońca jej oczy błyszczały jak ręcznie cięte drogie kamienie.

— Chciałabym poznać pana lepiej. Dużo lepiej.

Uśmiechnął się szerzej. Jest dobra, pomyślał. Lepsza niż inne. Ale po Nicodemie nie spodziewał się niczego innego.

— Byłoby mi miło — odparł. — Nie wie pani, jak bardzo.

•••

Delia czekała na Thorne'a w izbie przyjęć. Od dziesięciu minut obserwowała ludzi wchodzących i wychodzących wielkimi szpitalnymi drzwiami. Piła kwaśną kawę, którą nieopatrznie kupiła w automacie na piętrze, gdzie operowano Sorayę.

Poznała ją przed dziewięciu laty, gdy Soraya pracowała jeszcze u Martina Lindrosa, w CI. Wciąż pamiętała, jak bardzo czuła się wtedy samotna, niepewna tego, kim jest, niepewna swojej orientacji seksualnej, sfery życia, której bardzo się bała. Przez jakiś czas myślała, że jest zupełnie aseksualna. Soraya to odmieniła.

Pewnego dnia wysłano ją w teren; miała rozbroić bombę znalezioną w pobliżu budynku Sądu Najwyższego. Soraya była tam wraz z kilkoma agentami FBI, próbując ustalić, kto ją podłożył i czy mają do czynienia z zawodowcem, czy z domorosłym terrorystą. Obie możliwości były równie przerażające.

Mechanizm bomby okazał się trudny do rozgryzienia, co wskazywało na zawodowca. Gdy przystąpiła do pracy, wszystkim kazano cofnąć się na bezpieczną odległość. Została tylko Soraya.

— Uciekaj stąd — powiedziała Delia.

— Nikt nie powinien być sam — odparła Soraya.

— Jeśli mi się nie uda i to wybuchnie...

Soraya spojrzała jej w oczy.

— Zwłaszcza na końcu. — I nagle uśmiechnęła się rozbrawiająco. — Ale poradysz sobie, zobaczysz.

Z zamyślenia bezpardonowo wyrwał ją Thorne, który wszedł do izby przyjęć.

— Już po operacji — powiedziała, widząc, że jest zdenerwowany. — Miała spokojną noc. Nic więcej nie wiem.

Korytarzem wyłożonym linoleum poszli w stronę szpitalnych wind.

— To, co mówiłaś przez telefon...

— To prawda — odrzekła, domyślając się, o co pyta.

— Nie ma wątpliwości?

W jego oczach widziała emocje, których nie umiała jeszcze nazwać.

— Myślisz, że z iloma mężczyznami sypiała? — Posłała mu gniewne spojrzenie. — Ale teraz naprawdę powinieneś skupić się na niej.

— Wiem — rzucił rozkojarzony. — Oczywiście.

Drzwi windy otworzyły się, wypuszczając pasażerów. Weszli i Delia nacisnęła guzik drugiego piętra. Jechali w milczeniu. W kabinie pachniało środkiem odkażającym, słodkim aż do mdłości zapachem choroby i sączącymi się wydzielinami starców.

— Uprzedzam, że jest tam sekretarz Hendricks — oznajmiła, gdy wysiedli.

— Cholera. I co ja mu powiem?

— Wszystko przemyślałam. Zostaw to mnie.

Cichym korytarzem doszli do metalowych drzwi prowadzących na oddział chirurgiczny.

Thorne wskazał je ruchem głowy.

— To tam?

— Tak.

Oblizwał usta. Był bardzo niespokojny.

— Jeszcze się nie obudziła? To chyba niedobrze.

— Nie bądź takim czarnowidzem — mruknęła poirytowana Delia. — Jest pod dobrą opieką.

— Ale jeśli...

— Cicho!

Minęli ochroniarza i weszli do poczekalni.

Hendricks siedział w kącie przed telewizorem, na którego ekranie bezgłośnie leciały wiadomości CNN. Rozmawiał przez komórkę, notując coś w małym notesie na kolanie. Gdy weszli, ledwie podniósł wzrok. Delia spojrzała na tłustą warstewkę na powierzchni kawy i z obrzydzeniem wrzuciła kubek do kosza na śmieci.

Zanim zdążyli usiąść, Hendricks skończył rozmawiać, podniósł głowę, zobaczył Thorne'a i zaskoczony zareagował dopiero teraz.

— Wiadomo coś? — spytała Delia, gdy wstał i podszedł bliżej.

— Nie. — Spojrzał na jej towarzysza. — Pan Thorne? Charles Thorne?

— Trafiony, zatopiony — odparł Thorne, zanim zdał sobie sprawę, że już wkrótce słowa te mogą nabrać zupełnie innego znaczenia.

Krótko uścisnęli sobie ręce.

— Muszę przyznać — powiedział Hendricks — że pańska obecność wprawiła mnie w lekką konsternację.

— Soraya jest naszą wspólną przyjaciółką — wyjaśniła z uśmiechem Delia. — Wpadłam na niego dziś rano i uparł się, żeby przyjść.

— To bardzo miło z pańskiej strony — rzucił z roztargnieniem Hendricks. — Przyda się jej każde wsparcie.

— Nie chcę, żeby była sama, kiedy się obudzi... — dodała Delia.

Jakby na umówiony znak do poczekalni wszedł jeden z chirurgów. Popatrzył na nich i powiedział:

— Mam wiadomości.

• • •

Tom Brick i Peter jechali na południe, w głąb Wirginii. Niebo przesłaniały niespokojne chmury; świecące poprzedniego dnia słońce było tylko wspomnieniem. Siedzący za kierownicą czerwonego audi Brick skręcił w Ridgeway Drive, drogę w kształcie zgiętego palca, przecinającą gęste kępy drzew, zza których od czasu do czasu widać było dachy dużych domów. Za kolejnym, jak się okazało, ostatnim już zakrętem w lewo, droga się skończyła, przechodząc w pętlę, przy której stały cztery domy rozdzielone gęstym lasem.

Brick skręcił na podjazd po prawej stronie, wysypywany żwirem i dobrze utrzymany. Po jego obu stronach rosły wysokie iglaki, za którymi główna droga zniknęła tak, jakby w ogóle nie istniała. Znaleźli się

w zupełnie odseparowanym świecie odcięci od wszystkich i wszystkiego.

Audi zatrzymało się, Brick wysiadł i przeciągnął się. Peter poszedł w jego ślady, przypatrując się okazałemu domowi z cegły i kamienia, solidnemu jak zamek. Parter, piętro, wystające okapy, duże okna, taras na wspornikach — klasyczny postmodernizm.

Brick wbiegł na zadaszone schody.

— Idziesz, Tony?

Pamiętając, że jest teraz Anthonym Dzungą, Peter kiwnął głową i ruszył do drzwi. Parter był jasny i przestronny, meble niskie i nowoczesne, białawe jak oczyszczone z mięsa kości.

— Napijesz się czegoś?

Przypomniał sobie, po co tu przyjechał. Brick był tym, do kogo przybiegł Richards, dowiedziawszy się od Sorai, że Nicodemo jest powiązany z Core Energy.

„Gdzie to pani słyszała? — spytał. — Szefem Core Energy jest Tom Brick”.

No i teraz Peter — a raczej Anthony Dzunga — miał Bricka przed sobą. On i Soraya byli pewni, że Richards pobiegnie do prezydenta, któremu, jak zakładali, podlegał. Ale nie, natychmiast poleciał do Toma Bricka. Co tu się, do diabła, działo? Czyżby był potrójnym agentem i pracował i dla prezydenta, i dla niego?

Salon miał kształt litery L. Brick skręcił w lewo, do barku, Peter poszedł za nim, by po kilku krokach gwałtownie się zatrzymać. W krótszym końcu salonu stał mężczyzna na lekko rozstawionych nogach. Był bez marynarki i Peter zobaczył rękojeść glocka wystającą z kabury pod jego lewą pachą.

— Tony, przywitaj się z Bogdanem.

Peter milczał. Język przykleił mu się do podniebienia. Nachmurzony Bogdan stał obok zwykłego drewnianego krzesła z oparciem, które zupełnie nie pasowało do tego wymuskanego designerskiego wnętrza. Na krześle, tyłem do Petera, siedział związany mężczyzna.

— No więc? — rzucił od barku Brick. — Na filmach pytają zwykle: czym się trujesz?

Peter nie musiał widzieć twarzy skrępowanego mężczyzny, wiedział, że to Richards.

Nie słysząc odpowiedzi, Brick odwrócił się ze staromodną szklanką w ręku.

— Ja piję irlandzką whisky. Należę dwie.

Rozpaczliwie próbując połapać się w sytuacji, Peter ani drgnął, tymczasem gospodarz nalał whisky i podał mu szklankę. Trącił ją swoją i wypił.

— *Cent'anni*, jak mówią w mafii. — Roześmiał się, poszedł za jego wzrokiem i wskazał krzesło. — Chodź. Chcę ci coś pokazać.

Peter niechętnie ruszył za nim do Richardsa i pilnującego go złowrogiego Bogdana. Krzesło stało za linią okien. Jakby ktoś miał ochotę się tu zakraść. Nie licząc oczywiście jego, Petera.

— Powiedziałeś, że chcesz u mnie pracować — zaczął Brick ciepłym, swobodnym tonem, jakby siedzieli w klubie, rozmawiając o golfie. — Ciężka sprawa. Bardzo uważam, kogo przyjmuję do pracy, i nie biorę nikogo z ulicy. Widzisz, na tym polega mój dylemat. Jestem ci wdzięczny, bo dostarczyłeś mi cennych informacji, ale cóż, znalazłem cię na ulicy.

Wypił łyczek whisky, rozproszając ją językiem po wnętrzu ust, przełknął i uśmiechnął się przyjaźnie.

— Ale podobasz mi się. Jestem pod wrażeniem twojego stylu, dlatego powiem ci, co zrobimy. — Wyjął glocka z kabury Bogdana i ręką do przodu podał go Peterowi. — Chcesz załatwić Petera Marksa, szefa Dicka. Podziwiam twoją inicjatywę, ale nie sądzę, żeby zabicie kogoś takiego było mądrym posunięciem. Nie chcemy rozpętywać burzy, prawda? — Zapraszającym gestem podał mu pistolet i Peter niechętnie wyciągnął rękę. — Nie, myślę, że dużo lepszym rozwiązaniem będzie zdusić to w zarodku, ukreślić temu łeb: czyż nie tak mówią Amerykanie? Trzeba po prostu zabić tego, kto za dużo wie. Genialny ruch, prawda? I oto jest, siedzi przed tobą, czekając, aż spadnie przysłowiowy topór. — Uśmiechnął się i lekko pchnął Petera w stronę krzesła. — Nie chcielibyśmy go zawieść, prawda?

• • •

Gdy zza wschodniego horyzontu wychynęła leniwie różowawa wstęga, byli już pod Sztokholmem.

Drogę z wyspy na ląd pokonali prawie po ciemku, ale Bourne, który poznał zatokę podczas wyprawy z Christienem, doprowadził ich bezbłędnie do samochodu, którym przywiózł tu Rowlanda. Wrzucili go na tylne siedzenie. Rebeka usiadła obok niego, Jason za kierownicą.

Teraz, kilka godzin później, już na przedmieściach Sztokholmu, Bourne zjechał z autostrady, skręcił w lewo i zatrzymał się kilka sennych ulic dalej, przed opustoszałym placem, który właśnie szykowano pod zabudowę. Plac był otoczony starą, rozchwierutaną siatką.

Jason odwrócił się i rozkazał:

— Wyciągnij go.

W pierwszej chwili Rebeka chciała zaprotestować, ale się rozmyśliła. Otworzyła drzwi od strony krawężnika i wyciągnęła Rowlanda na blade światło wstającego dnia. Bourne zgasił silnik, wysiadł, obszedł samochód, chwycił tamtego za kołnierz i poprowadził w stronę wysokiej do pasa dziury w siatce.

— Co chcesz zrobić? — spytała Rebeka.

Pochyliwszy Rowlandowi głowę, Jason przeprowadził go przez dziurę, potem przeszedł przez nią sam. Wtedy Rowland rzucił się do ucieczki. Bourne ruszył w pościg. Ponieważ Rowland odmroził sobie dwa palce u nogi, biegł jak paralytyk i Jason bez trudu go dogonił. Uderzył go w tył głowy i uciekinier opadł na kolana. Klęczał, kiwając się do przodu i do tyłu, jakby stracił zmysł równowagi.

Rebeka podeszła bliżej.

— Nie bij go. Odzyskał pamięć, jest nam potrzebny.

— On nic nie powie. — Bourne uderzył go jeszcze raz. — Prawda, panie kolego? — Kiedy Rowland pokręcił głową, grzmotnął go między łopatki. Niedoszły uciekinier wydał zwierzęcy jęk i runął twarzą w śnieg. Jason pochylił się i podciągnął go na klęczki jak pokutnika.

— Co ty chcesz zrobić? — powtórzyła zaniepokojona Rebeka.

— Cicho.

Mordercza wściekłość ogarnęła Bourne'a nie tylko dlatego, że Rowland próbował go zabić, że — sądząc po tym, co zrobił w rybackiej chacie — ktoś go na niego nasłał, ale i dlatego, że Rowland odzyskał pamięć, w przeciwieństwie do niego. Odkąd wrzucono go do Morza Śródziemnego, wciąż nie wiedział nic o swoim poprzednim życiu. To prawda, udało mu się wtopić w tożsamość Jasona Bourne'a — i teraz naprawdę nim był — ale wciąż był kimś bez przeszłości, bez domu czy miejsca, które mógłby nazwać swoim. Unosił się w powietrzu bez żadnego zaczepienia, bez cumy, wiecznie czegoś szukał, nie wiedząc nawet czego. Tymczasem on, Rowland, według Rebeki, nasłany na niego przez Jihad bis saif, odzyskał wszystko, co stracił, gdy draśnięty w skroń

jej kulą wpadł do wód zatoki. Uderzył go jeszcze raz. Gdzie ta sprawiedliwość! I jeszcze raz. Chciał sprawiedliwości!

— Bourne... Bourne, na miłość boską! — Rebeka chwyciła go za rękę i powstrzymała.

Jason kopnął Rowlanda w nerki i poczuł wielką satysfakcję, gdy tamten zwał się na bok jak kłoda.

Wściekłość minęła i pozwolił Rebecce przejąć pałeczkę. Przeszyła go wzrokiem, przykucnęła i pomogła Rowlandowi wstać. Ale nie mogąc tego znieść, Jason kopnął go w tył kolan, znowu posyłając go na klęczki. Rebeka wyprostowała się i zrobiła krok w jego stronę.

— Nasłali go, próbował mnie zabić — powiedział Jason, zanim zdążyła otworzyć usta.

— On jeden? — Chciała, by spojrzał jej w oczy, ale on uciekł wzrokiem w bok. — Myślisz, że nie wiem, co się dzieje?

— A co się ma dziać? — mruknął ponuro. Czuł się wypluty, wypalony i gorszy.

— Nie wiesz? Załóżmy na chwilę, że jednak wiesz. — Podeszła jeszcze bliżej i zniżyła głos. — Co zyskasz, robiąc z niego miazgę? To nieproduktywne. — I aby upewnić się, że to do niego dotarło, powtórzyła: — Nieproduktywne.

Rozchmurzyły mu się oczy i kiwnął głową. Rebeka uśmiechnęła się niepewnie.

— Więc pogadajmy z nim. Może razem wyciągniemy z niego coś, czego nie wyciągnęliśmy oddzielnie.

Przykucnęli i Rowland spojrzał na nich zapuchniętymi, zaczerwienionymi oczami.

— Jihad bis saif. Wiem, że dla nich pracujesz — zaczęła Rebeka, nie wierząc, że Jason rozpocznie przesłuchanie tak, jak trzeba. — A tym, co zrobiłeś, zdradziłeś nam, że kazano ci zabić Bourne'a.

— Nie wiemy tylko dlaczego — wtrącił Jason.

Rowland zakołysał głową. Obliznął pokryte zakrzepłą krwią usta.

— Dlaczego ktoś miałby chcieć cię zabić, Bourne?

Rebeka spojrzała na Jasona.

— Zagrożasz ich siatce. — Przeniosła wzrok z powrotem na Rowlanda. — Dlaczego?

Popatrzył na nią nabiegłymi krwią oczami.

— Wszystko przez ciebie. Zauroczyłaś mnie. Te noce w Dahr El Ahmar... Zapomniałem o swojej misji. — Przekrzywił głowę. — Jak to zrobiłaś? Nie rozumiem. Jaki czar na mnie rzuciłaś?

— Taką mamy pracę, Harry. — Rebeka delikatnie położyła rękę na jego udzie. — Ta gra pozorów zadziałała w dwie strony. Ja też dałam się podejść. Nie miałam pojęcia, że należysz do Jihad bis saif. Nie wiedziałam do samego końca.

Rowland znowu oblizwał usta. Nie mógł oderwać od niej oczu.

— Jak to się stało? Byłem taki ostrożny. Co mnie zdradziło?

Rebeka pogłaskała go po udzie i wykorzystując błagalną nutkę w jego głosie, spytała:

— Dlaczego Bourne wam zagraża? Dlaczego zagraża Jihad bis saif?

— Jihad bis saif... — powtórzył szyderczo Rowland. — Nic o nas nie wiecie. — I co dziwne, omal się nie roześmiał.

— To oświeć nas — rzucił Bourne najpierw po arabsku, potem po pasztuńsku. Rowland milczał. — Jihad bis saif nie istnieje, prawda?

— Och, istnieje, istnieje...

Pełen satysfakcji uśmiech zmiotła mu z twarzy pięść Jasona. Oberwał w szczękę, cicho pisnęła i odskoczyła mu głowa. Byłby upadł, ale Bourne przytrzymał go i otwartą dłonią zdzielił w policzek, raz i drugi, aż Rowland spojrzał na niego trzeźwym wzrokiem.

— Chyba ci nie wierzę. — Mocno ścisnął mu szczękę. — Dość tego. Gadaj, co wiesz, albo...

W tym momencie nad dachami domów pojawił się helikopter.

— Policja? — Świt miał barwę ostrygi i Rebeka zmrużyła oczy.

— Nie ma żadnych emblematów. — Bourne wstał, chwycił Rowlanda za kołnierz i postawił go na nogi.

Helikopter leciał w ich kierunku. Wyraźnie próbował ich namierzyć.

— Lepiej się ukryjmy.

Ale zanim zdążyli cokolwiek zrobić, maszyna zawisła nad nimi, zaterkotał karabin maszynowy i z ziemi buchnęły fontanny brudnego śniegu. Na wszystkie strony poleciały kawałki lodu i bryły świeżej ziemi. Jason chciał pociągnąć za sobą Rowlanda, lecz ogień, którym tamci próbowali ich rozdzielić, był zbyt intensywny. Strzelec lub strzelcy nie dali im wyboru. Popędził z Rebeką w stronę sterty cegieł i kamieni ze zburzonego budynku.

Jeszcze raz spróbował dosięgnąć Rowlanda, lecz uniemożliwił mu to miażdżący ostrzał. Helikopter wykonał lekki obrót, ale zamiast się wznieść, gwałtownie przyspieszył i poleciał prosto na nich. I znowu otworzył ogień, tym razem wyraźnie celując w Bourne'a. Jason dał nura pod deski, lecz te, rozszczepione kulami, momentalnie poszły w drzazgi. Nie chcąc narażać Rebeki, musiał poszukać schronienia gdzie indziej,

przetoczył się więc, byle dalej od miejsca, gdzie się ukryła. Ponieważ strzelano do niego, było oczywiste, że helikopter należy do siatki Rowlanda i że tamci go rozpoznali.

Maszyna znieruchomiła jakieś sześć metrów nad ziemią. Otworzyły się drzwi, a po chwili opadła drabinka sznurowa. Rowland wstał, chwiejnym krokiem pobiegł w jej stronę i złapał się szczebla, zanim Jason zdążył schować się za kolejną stertą desek.

Strzelcy zaczęli wciągać drabinę i gdy Rowland znalazł się w zasięgu ich rąk, chwycili go pod pachy. Helikopter ustawił się bokiem do miejsca, gdzie ukrył się Bourne, i otworzył ogień, tym razem krótkimi, lecz zjadliwymi seriami. Desek już prawie nie było. Jason musiał znowu zmienić miejsce, a tym samym się odsłonić.

Kule szły jego tropem, były coraz bliżej. I wtedy usłyszał syreny. Ktoś wezwał policję. Zobaczył migające światła i sznur radiowozów, które wypadłszy zza rogu, pędziły w stronę placu.

Ci w śmigłowcu też je dostrzegli. Puścili serię w miejsce, gdzie Jason ukrywał się kilkanaście sekund wcześniej, a potem maszyna przechyliła się na burtę, uniosła i w coraz głośniejszym ryku syren zniknęła na tle wschodzącego słońca.

Rozdział 11

— Skończyliśmy — powiedział chirurg. — Pani Moore jest w sali pooperacyjnej.

W poczekalni rozległo się zbiorowe westchnienie ulgi.

— Jak się czuje? — spytał sekretarz Hendricks.

— Zmniejszyliśmy ciśnienie i zatamowaliśmy krwotok. Czegoś więcej dowiemy się za dwadzieścia cztery godziny.

— Co to, do diabła, znaczy? — wypalił Thorne.

Delia szybko stanęła między nim i lekarzem.

— Co z dzieckiem?

— Monitorujemy jego stan. Nie tracimy nadziei. — Chirurg był blady. Wykończony. — W każdym razie najbliższe godziny będą krytyczne zarówno dla płodu, jak i dla matki.

Delia nabrała powietrza.

— Więc nie można wykluczyć... interwencji.

— W tej chwili nie można wykluczyć niczego — odparł chirurg. Popatrzył na nich i dodał: — Kiedy się obudzi, dobrze by było, gdyby zobaczyła przyjazną twarz.

Hendricks zrobił krok do przodu.

— Chciałbym...

— Z całym szacunkiem, panie sekretarzu — przerwała mu Delia — ale jeśli pana zobaczy, od razu pomyśli o Peterze, a jego tu nie ma, prawda?

— Nie, nie ma. — Hendricks spojrzał na lekarza. — Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, bardzo bym chciał do niej zajrzeć.

Chirurg skinął głową. Było widać, że nie chce mu pozwolić, ale się go boi.

— Ale tylko na chwilę, panie sekretarzu.

• • •

— Przepraszam — powiedział, pochylając się nad leżącą na wznak Sorayą. — Za dużo od ciebie żądałem.

Spojrzała na niego wielkimi, czarnymi, zamroczonymi oczami i bezgłośnie wypowiedziała tylko trzy słowa: „Taką mam pracę”.

Sekretarz uśmiechnął się i odgarnął kosmyk wilgotnych włosów z jej czoła. Z boku obandażowanej głowy biegła rurka. Podłączono ją do aparatury monitorującej rytm serca, puls i ciśnienie krwi. Była blada i osłabiona, lecz żyła.

— Praca to jedno — powiedział. — Ale jej skutki to zupełnie co innego.

Była wciąż otępiała po narkozie, mimo to w jej oczach pojawił się wyraz zaskoczenia.

— Już pan wie.

Kiwnął głową.

— Lekarze mówią, żeby się nie martwić. Dziecku nic nie grozi.

Po jej policzku spłynęła łza.

— Thorne i ty... Kazałem ci przekroczyć nieprzekraczalną granicę...

— To ja — szepnęła cichutko. — To ja zdecydowałam.

Westchnął ze zboląłą miną.

— Sorayo...

— Niczego nie żałuję — powiedziała.

Do pokoju zajrzał lekarz i kazał mu wyjść.

• • •

Gdy tylko Hendricks znalazł się w poczekalni, w jego kieszeni zawibrowała komórka. Spojrzał na ekran.

— Prezydent. Muszę jechać.

— Jak ona się czuje? — spytała zatroskana Delia.

— Jest osłabiona, ale chyba dobrze. — Hendricks poszukał wzrokiem palta. Podał mu je ochroniarz. — Ma pani numer mojej komórki. Proszę mnie informować.

— Oczywiście.

Włożył palto.

— Cóż. Bardzo mi ulżyło.

Tak jak przez cały ranek, Delia znowu wróciła myślą do pierwszego spotkania z Sorayą. Po tym, jak rozbroiła bombę i przekazała ją

technikom, wróciły do swoich zajęć. Ale pod koniec dnia zadzwonił telefon. Soraya zaprosiła ją na drinka.

Spotkały się w zadymionym barze, gdzie pachniało piwem i bourbonem.

Wzięła ją za rękę.

— Nigdy czegoś takiego nie widziałam. — Spojrzała jej w oczy. — Masz dłonie artystki.

Delia oniemiała. Pod jej dotykiem poczuła mrowienie, które przebiegło od palców aż po ramię. Ogarnęło górną część ciała i gdy dotarło tam, gdzie dotarło, stwierdziła, że wcale nie jest aseksualna. Nie pamiętała, o czym mówiły, ale udało jej się skupić dopiero wtedy, gdy po kilku kieliszkach przeniosły się do pobliskiej restauracji i zaczęły rozmawiać o sobie i swojej pracy. Obie uważały się za outsiderki. Nie lubiły chodzić w stadzie i niechętnie nawiązywały nowe znajomości, chociaż aby szybko awansować, zwłaszcza w Waszyngtonie, trzeba było należeć do tyłu klubów, do ilu tylko się dało.

— Tak jak nam wszystkim — powiedziała Hendricksowi, chociaż strach, jaki ogarnął ją po jego telefonie, jeszcze nie minął.

• • •

Cisza, chociaż gdzieś daleko zaszczekał pies. Bezruch, chociaż gdzieś w pobliżu zawarczał silnik samochodu.

— No więc?

Wzrok Bricka przeszył go jak sztylet.

— Do dzieła!

Peter ujął podbródek Richardsa i podniósł mu głowę, tak że mogli spojrzeć sobie w oczy.

— Tak, to prawda — powiedział. — Chcę pracować w twojej firmie.

Po oczach Richardsa poznał, że słyszał każde wypowiedziane przy nim słowo. I wie, że Peter jest dla Bricka Tonym. Jeśli trzeźwo myślał, wiedział również, że Peter działa pod przykryciem. Jednak prawdopodobnie był potrójnym agentem. Po czyjej chciał opowiedzieć się stronie, ale tak naprawdę, w głębi serca? Nadeszła pora się tego dowiedzieć.

Cofnął rękę, wyjął z pistoletu magazynek i zobaczył, że jest pusty. Zajrzał do komory: tkwił w niej nabój. Miał zabić Richardsa jedną kulą?

Spojrzał na zaciekawionego Bricka.

— Kazaleś mi działać. — Oddał pistolet Bogdanowi, wciąż ponuremu, jakby miał pretensję, że nie będzie mógł wyżyć się na Richardsie. Jak pies, który musi się codziennie wybiegać, on musiał codziennie komuś przyładować.

Peter odwrócił się do Bricka, który przyglądał mu się przez chwilę, by nagle wybuchnąć gromkim śmiechem.

— Rany — wykrzyknął cockneyem — masz jaja jak meduzy!

Peter zamrugał.

— Jak co?

— Meduzy-arbuzy — odezwał się niespodziewanie Bogdan. — Cockneye rymują, tacy już są.

Brick wskazał Richardsa.

— Dobrze, rozwiąż naszego chłoptasia — polecił Bogdanowi swoim normalnym, wykwinnym akcentem. — A potem bądź tak dobry i rozejrzyj się trochę. Sprawdź, czy na pewno jesteśmy sami. Chcę, żeby było nam miło, przytulnie i wygodnie.

Gdy Bogdan rozwiązywał sznur, Richards siedział nieruchomo jak posąg, nie drgnął, kiedy nabiwszy magazynek, ochroniarz z trzaskiem włożył go do rękojeści glocka. Podniósł się powoli dopiero wtedy, kiedy Bogdan wyszedł i usłyszeli, jak zamyka frontowe drzwi. Wstał i zachwiał się jak nowo narodzone źrebię.

Widząc to, Brick podszedł do barku i nalał mu whisky.

— Z lodem?

— Tak. — Richards nie patrzył na niego, tylko na Petera. W jego oczach było coś błagalnego, milcząca prośba o wybaczenie.

Stojąc tyłem do barku, Peter bezgłośnie wyszeptał: „Zaufaj mi”. Ku jego wielkiej uldze Richards leciutko skinął głową. Czy to znaczyło, że on może zaufać jemu? Nie wiedział, było na to za wcześnie. Ale mina Richardsa potwierdzała jedno: tak, był podwójnym agentem i pracował zarówno dla prezydenta, jak i dla Bricka. Peter miał ochotę skrócić mu kark, lecz się powstrzymał. Potrzebował odpowiedzi. Dlaczego ten dureń grał w tak niebezpieczną grę? Co chciał zyskać Brick?

Brick podał Richardsowi szklanę.

— Do dna, chłopie! — rzucił wesoło. Przeniósł wzrok na Petera. — Nigdy bym nie pozwolił, żebyś wpakował mu kulę w łeb. — Słyszac to, Richards omal nie zakrztusił się whisky. — Nie, ten drań jest zbyt cenny. Wiesz dlaczego?

Peter zrobił zaciekawioną minę.

— Dlatego że jest zimnym, wyrachowanym specem od łamania kodów. Prawda, Dick?

Richard miał zażawione oczy. Kiwnął głową.

— I tym się zajmuje w Core Energy? — spytał Peter. — Łamaniem kodów?

— Szpiegostwo przemysłowe szerzy się jak ebola, a w firmie naszej klasy to diabelnie poważna sprawa, wierz mi. — Brick wypił łyk whisky. Była pierwszorzędna. — Potrzebujemy kogoś z jego umiejętnościami. — Klepnął Richardsa w plecy. — Tacy fachmani są rzadcy jak kurze zęby!

Richards zdołał wykrzesać z siebie łzawy uśmiech.

— Anthony Dzundza, poznaj Richarda Richardsa.

Peter i Richards z powagą uścisnęli sobie ręce.

— Dobra — rzucił Brick. — No to pogadajmy.

Gdy ruszyli w stronę niskich, kanciastych sof za krótszą odnogą salonu, z rozpoznania wrócił Bogdan. Krótco skinął głową Brickowi, który od tej pory kompletnie go ignorował.

— Żądam przeprosin — powiedział Richards, gdy Peter i Brick usiedli.

— Przestań jęczeć. — Brick machnął ręką. — To cholernie męczące. Siadaj.

Ale Richards nie usiadł. Stał z opuszczonymi rękami i zaciśniętymi pięściami, łypiąc gniewnie na swojego szefa. Jednego z kilku, pomyślał Peter.

— Na miłość boską! — prychnął w końcu Brick. Zerknął na Petera i teatralnym szeptem powiedział: — Czego się nie robi, żeby uszczęśliwić podwładnych. — Spojrzał na Richardsa. — Przepraszam, że musiałeś zaliczyć próbę Bogdana, ale chciałem sprawdzić Tony'ego. To chyba normalne.

— Nie dla mnie!

— Teraz naprawdę jesteś męczący. — Brick ciężko westchnął. — Dobrze, na koniec miesiąca dostaniesz małą premię. Czy to wystarczająca rekompensata?

Richards nie odpowiedział. Usiadł daleko od nich, najdalej, jak tylko śmiał.

— Wiesz, to ciekawe — ciągnął Brick — ale Dick nigdy mnie nie zawiódł. Ani razu. To poważne osiągnięcie. — Spojrzał Peterowi prosto w oczy. — Masz się nad czym zastanawiać, Tony, masz do czego dążyć. Wszyscy potrzebują jakiegoś celu — dodał z uśmiechem.

— Mam silną motywację wewnętrzną, Tom.

Brick zmarszczył brwi.

— Nikt tak do mnie nie mówi.

Peter milczał. Zapadła cisza, im dłuższa, tym bardziej niezręczna.

W końcu Peter powiedział:

— Nie przepraszam, dopóki nie popełnię błędu.

— To był błąd.

— Nie, bo nie ustaliliśmy podstawowych zasad.

Brick przekrzywił głowę.

— Chcesz, żebyśmy je przedstawili i porównali?

— Nie, bo wiem, czyje byłyby lepsze.

Peter chciał go sprowokować, lecz Brick tylko się roześmiał. Pogroził mu palcem.

— Już wiem, dlaczego od razu cię polubiłem. — Spojrzał w sufit, jakby rozmyślał nad tajemnicą gwiazd na nocnym niebie. Gdy opuścił głowę, miał zupełnie inną minę. Angielski trefniś zniknął.

— Czasy się zmieniły — oświadczył. — Ciągłe się zmieniają, ale teraz zmieniły się na naszą korzyść. Wydarzenia nie kłamią, nie ma już woli kompromisu. Innymi słowy, społeczeństwo składa się z tygrysów i owieczek. Tak było zawsze, tyle że zmiana, ta na naszą korzyść, sprawiła, że wszystkie tygrysy osłabły. W przeszłości były mściwe; żeby to zrozumieć, wystarczy spojrzeć na historię wojen. Teraz jednak są nie tylko mściwe, ale i uparte. Okopały się. To dobrze dla nas. Upór jeszcze bardziej je osłabia, dlatego łatwiej nimi manipulować i je dyskredytować. Co znaczy, że wszystkie pasące się na łąkach owieczki tego świata nie mają już przywódców i można je ostrzyć. Są gotowe. — Uśmiechnął się. — A strzyc będziemy my.

Boże święty, pomyślał Peter, w co ja wdepnąłem? I z obojętną miną spytał:

— Konkretnie jak?

— Nie przedkładajmy nożyc nad fryzjera, staruszku. Najpierw musimy zająć pozycje.

Peter kiwnął głową.

— Zgoda. Doskonale to rozumiem. Ale kogo masz na myśli, mówiąc „my”?

Kiedy tylko zamknął usta, od razu spostrzegł, że popełnił błąd.

— Dlaczego pytasz? — Brick nachylił się ku niemu jak drapieżnik, który zwietrzył zdobycz. Był spięty i czujny. Peter musiał coś zrobić, żeby rozładować nerwową atmosferę.

— Lubię wiedzieć, dla kogo pracuję.

— Pracujesz dla mnie.

— Dla Core Energy.

— Dostaniesz oficjalną posadę, tak, oczywiście.

— Ale nie będę tam pracował.

— A chciałbyś? Po co? Znasz się na energii? — Machnął ręką, jakby chciał zatrzeć ostatnie słowa. — Nieważne, nie po to chcę cię zatrudnić.

— Rozumiem, że Richardsa też nie po to zatrudniłeś.

Brick wykrzywił usta w uśmiechu.

— Bądź dalej bezczelny i gwarantuję ci, że prędzej czy później wywiniesz orła. — Nagle złagodniał mu głos. — Pozwól, że cię o coś spytam, Tony. Jeśli będziesz robił, co do ciebie należy, już nigdy nie zadam ci tego pytania: czy cel uświęca środki?

— Czasami — odparł Peter. — Ludzie, dla których świat jest czarno-biały, są w błędzie. Życie to pasmo różnych odcieni szarości, a każdy z nich rządzi się swoimi prawami i zasadami.

Brick postukał w usta czubkiem palca.

— Nieźle, staruszk. Całkiem nieźle. Jak dotąd nikt tego tak nie ujął. Ale nieważne. Tu, gdzie teraz jesteś, sprawy mają się inaczej. Tu nie ma celów. Tu są tylko środki. Bo my chcemy, bo my żądamy rezultatów. Jeśli jakieś środki są nieskuteczne, stosujemy inne. Nadażasz? Celów nie ma — powtórzył. — Są tylko środki.

— Lubię filozofię, ale ta nie pomaga mi w zrozumieniu tego, co robicie.

— Aha, widzę, że potrzeba przykładu. — Brick podniósł palec. — Dobrze. Zatem weźmy niedawne trzęsienie ziemi i tsunami, które zmusiło Japonię do zamknięcia czterech reaktorów atomowych, kluczowych dla zaopatrzenia kraju w energię elektryczną. Przez wiele miesięcy w Tokio i innych dużych miastach racjonowano prąd. Nawet w największych tokijskich gmachach, siedzibach najbardziej prestiżowych korporacji, musiano ustawić klimatyzację na dwadzieścia siedem stopni Celsjusza. Wiesz, jak to jest pracować w takiej temperaturze? W garniturze i krawacie? Przepisowe stroje poszły w ką, japońskie tabu kulturowe, fetyszystyczne do granic możliwości, przestało być tabu. Teraz kraj ten stoi przed perspektywą cofnięcia się do o wiele kosztowniejszych i o wiele bardziej zanieczyszczających środowisko paliw kopalnych. Alternatywą jest siedzenie bez ruchu w zupełnych ciemnościach. Całkowita katastrofa ekonomiczna. W tym momencie pojawia się my i nasza tania energia. Czy japoński rząd mógł powiedzieć „nie”? Przyjęli naszą propozycję z otwartymi

ramionami. Tak jak mówiłem, to tylko przykład, ale bardzo pouczający. Nasza firma zapewni im stałe zaopatrzenie we względnie tani prąd.

— Dobrze, rozumiem — powiedział Peter. — Ale w Japonii mieliście po prostu fart, to był przypadek, którego nikt nie mógł przewidzieć.

— Tak to wyglądało, prawda? — Na twarzy Bricka zagościł leniwy uśmiech. — Prawda jest jednak taka, że to nie natura doprowadziła do stopienia rdzeni reaktorów. To był błąd człowieka. Reaktory miały dwanaście lat. Ich mechanizm chłodzenia awaryjnego opierał się na elektryczności, zamiast na dużo nowocześniejszych systemach grawitacyjnych, które zalewają rdzenie wodą nawet wtedy, kiedy zabraknie prądu.

Peter pokręcił głową.

— Dalej nie rozumiem.

— Wykorzystaliśmy ludzką chciwość, staruszku. Inspektorzy z komisji atomowej i najważniejsi oficjele z ich firmy dostali... hm... powiedzmy, że małą premię za to, że w odpowiednim momencie odwrócili wzrok.

Chwilę trwało, zanim Peter zrozumiał całą potworność tego, o czym mówił Brick. Gdy pojął prawdę, poczuł zawroty głowy i zrobiło mu się niedobrze.

— Chcesz powiedzieć... — Był tak wstrząśnięty, że zabrakło mu słów. — Chcesz powiedzieć, że to Core Energy wywołała tę katastrofę?

— Aż tak daleko bym się nie posunął — odparł Brick. — Ale na pewno się do niej przyczyniliśmy. I chociaż to prawda, że na przykład we Francji osiemdziesiąt procent energii elektrycznej pochodzi z reaktorów atomowych i że jak dotąd nie znaleźliśmy jeszcze sposobu na ich unieszkodliwienie, tak jak zrobiliśmy to w Japonii, prawdą jest również to, że kraj ten, tak jak prawie cała Europa, czerpie gaz z rosyjskiego gazociągu. Jak myślisz, co by się stało, gdyby gazociąg ten zamknięto albo gdyby kilka jego fragmentów wyleciało w powietrze? Co by się stało, gdyby krwawe powstania starannie wyreżyserowanej arabskiej wiosny doprowadziły do blokady Kanału Sueskiego albo zatoki Akaba? Katastrofa czyni okazję. Rozumiesz, do czego zmierzam? Wszystkie firmy chcą kontrolować podaż. Nasza chce kontrolować popyt. Dlatego jesteśmy najlepsi.

Peter musiał mieć zaszokowaną minę, bo Brick szybko dodał:

— Nie, nie, spokojnie, Core Energy jest poza wszelkimi podejrzeniami. Mamy... jak by to nazwać... Mamy coś w rodzaju tajnej grupy specjalnej, która się tym zajmuje, to znaczy, tworzy okazje do

dalszego rozwoju firmy. I właśnie do niej będziesz należał, staruszk. Po co innego miałbym cię zatrudniać?

• • •

Bourne wyjrzał z zagłębienia pod stertą poszatkowanych kulami desek i zobaczył, że większość radiowozów zawraca, próbując dogonić helikopter. Ale jeden radiowóz i karetka jechały prosto na nich. Policjanci musieli wypatrzeć dziurę w siatce i wiedzieli już, którądy on, Rebeka i Rowland dostali się na plac.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Rebeka. Wygrzebywała się z ruin naprędce zbudowanej fortecy z kamieni i cegieł. Wystawił głowę i gdy go dostrzegła, wskazał stertę desek. Zrozumiawszy jego bezgłośny sygnał, wychynęła z ukrycia i czujnie rozejrzała się. Tymczasem on przekopywał się już przez warstwę gruzu i śmieci. Natrafił palcami na dwie puszkę i wyciągnął je z ziemi.

Policjanci byli coraz bliżej i wiedział, że już za chwilę zaroi się od nich na całym placu. Nie mogli ich schwytać; ani on, ani Rebeka nie mogli zostać przesłuchani jako główni świadkowie albo, co gorsza, podejrzani. Użycie broni palnej było w Szwecji bardzo poważnym przestępstwem. Aresztowano by ich i śledztwo ciągnęłoby się w nieskończoność.

Podbiegła do niego Rebeka.

— Nie znalazłam niczego łatwopalnego — szepnęła.

— A ja tak. — Pokazał jej wgniecione puszkę. Były w dwóch trzecich puste, ale zostało w nich wystarczająco dużo farby.

On podważył wieczka, ona wyjęła zapalniczkę. Jason zrobił z desek coś w rodzaju komina i ustawił w nim puszkę, żeby ogień złapał ciąg. Rebeka podpaliła farbę i ukryli się za stertą sztachet. Deski były suche i niemal natychmiast stanęły w ogniu.

Zauważywszy płomienie i dym, policjanci i sanitariusze przeszli przez dziurę w siatce i pobiegli w tamtą stronę. Jason i Rebeka byli już pięćdziesiąt metrów dalej.

— Świetny pomysł, ale jeszcze nie uciekliśmy — zauważyła Rebeka.

Nisko pochylony i niewidoczny Bourne biegł przodem wokół placu, aż dotarli do ogrodzenia. Wtedy wcisnął jej do ręki kawał drewna i rzucił:

— Kop.

Podczas gdy ona kopała, on próbował podważyć i odgiąć siatkę. Nie chciała ustąpić.

— Przestań — rozkazał.

Stanął przed słupkiem i kopnął go mocno dwa razy. Słupek przechylił się i siatka utworzyła coś w rodzaju rampy. Chwytając się jej zakrzywionymi palcami, weszli na nią i zeskoczyli.

Potem pobiegli.

• • •

— Problem w tym, że tak długo zwlekała — powiedział doktor Steen. Spojrzał na Delię jak na skończoną idiotkę. — Zwlekała i symptomy się zaostrzyły. Gdyby posłuchała mojej rady...

— Ale nie posłuchała — przerwała mu szorstko Delia. Lekarze patrzyli na wszystkich z góry i tego nie znosiła. — Co teraz?

Doktor Santiago, główny chirurg i szef zespołu, który operował Sorayę, odchrząknął.

— Poszukajmy jakiegoś bardziej zaciszego miejsca, dobrze?

Na świętą ziemię za dużymi metalowymi drzwiami, gdzie jak na odległym brzegu rozciągało się królestwo sal operacyjnych i pooperacyjnych, wprowadziła Delię i Thorne'a pielęgniarka. Teraz weszli do jednej z nich, małej, pustej i klaustrofobicznej. W powietrzu unosił się silny zapach środka odkażającego.

— No więc? — Delia bała się, że usłyszy zaraz coś, co będzie stało w sprzeczności z tym, co powiedziano im przedtem. — Jakie są rokowania?

— Mówiąc krótko — odparł Santiago — miała obrzęk mózgu i doszło do niewielkiego krwotoku. Zatomowaliśmy go i odciągamy nadmiar płynu. Robimy, co możemy. Musimy poczekać, aż organizm zrobi resztę.

— Czy ze względu na płód ryzyko jest większe?

— Mózg to coś bardzo skomplikowanego.

— Na miłość boską, nie może pan po prostu powiedzieć?

— Boję się, że tak.

— Dużo większe?

— Trudno powiedzieć. — Doktor Santiago wzruszył ramionami. Był przystojnym mężczyzną o czarnych oczach i orlim nosie. — To... komplikacja, bez której byłoby nam łatwiej.

— Jestem pewna, że Soraya tak nie uważa. — Zapadła niezręczna cisza. Delia celowo odczekała kilka sekund i dodała: — Chcę ją zobaczyć.

— Oczywiście.

Steenowi i Santiago wyraźnie ulżyło, że to już koniec przesłuchania. Lekarze nie znoszą czuć się bezradni, a jeszcze bardziej nie lubią się do tego uczucia przyznawać.

Gdy wyszli, Delia spojrzała na Thorne'a.

— Wejdę pierwsza.

Thorne kiwnął głową. Już się odwracała, gdy powiedział:

— Posłuchaj, chcę, żebyś wiedziała... — Urwał, nie mogąc dalej mówić.

— Jeśli masz coś do powiedzenia, powiedz to jej. Dobrze?

Thorne znowu kiwnął głową.

Czekał na nią doktor Santiago. Uśmiechnął się lekko i gestem ręki wskazał jej kierunek.

— Tędy.

Poszli korytarzem, który zdawał się odrębnym bytem, samodzielnie oddychającą istotą. Santiago zatrzymał się przed wejściem zasłoniętym kotarą i stanął z boku.

— Pięć minut — ostrzegł. — Ani sekundy dłużej.

Jej serce waliło jak młotem. Jej serce cierpiało. Nie mogąc wyobrazić sobie, co czeka na nią za zasłoną, rozsunęła ją i weszła do pokoju.

Rozdział 12

— Twój wóz...

— Jest zarejestrowany na firmę mojego znajomego — przerwał jej Bourne. — Odpowie na wszystkie pytania policji.

Rebeka zerknęła przez ramię. Nikt za nimi nie jechał.

— Mam tu małe mieszkanie. Możemy zaszyć się tam, dopóki nie postanowimy, co dalej.

— Mam lepszy pomysł.

Jechali przez dzielnicę mieszkaniową, której ulice szybko wypełniały się samochodami, bo coraz więcej ludzi wstawało i szło do pracy. Bourne wyjął telefon i mimo wczesnej pory zadzwonił.

— W coście się, do licha, wplątali z Alefem? — zabrzączał mu w uchu głos Christiena. — Wydzwania do mnie policja.

— Alef odzyskał pamięć. Nazywa się Harry Rowland, przynajmniej tak twierdzi. Nie mogłem nic zrobić.

Jason opowiedział mu pokrótce, co zaszło na Sadelödze. Wspomniał o Rebecce, nie chcąc jednak bardziej tego komplikować i wzbudzać podejrzeń przyjaciela, powiedział tylko, że jest jego znajomą.

— Cholera jasna... Ale jesteście cali?

— Tak. Musimy jakoś namierzyć ten helikopter.

— Nic wam nie grozi?

Bourne zauważył małą kawiarnię, otwartą już na śniadanie.

— Nie, na razie nie. Jesteśmy na starówce.

Christien kazał im tam zostać i poczekać, aż po nich przyjedzie.

Weszli do kawiarni czujni i ostrożni. Rozejrzeli się, stwierdzili, że w kuchni są drugie drzwi, i usiedli przy stoliku w głębi sali, żeby widzieć wszystkich wchodzących i wychodzących.

Gdy zamówili, Jason poprosił:

— Powiedz mi, jak waszemu rządowi udało się założyć ośrodek badawczy w Dahr El Ahmar.

„Ośrodek badawczy”, Rebeka zeszywniała.

— A więc wiesz.

— Myślałem, że to tymczasowa wysunięta placówka Mossadu w Libanie. — Bourne zaczekał, aż kelnerka postawi na stoliku kawę i słodkie bułeczki. — Uciekając skradzionym w Syrii helikopterem, zdałem sobie sprawę, że to nie jest obóz wojskowy. Że Mossad ochrania tam jakiś ośrodek.

Rebeka posłodziła kawę.

— Co widziałeś?

— Najpierw siatkę kamuflażową, a kiedy zszedłem niżej, ukryty pod nią budynek, coś w rodzaju bunkra. Trwają tam jakieś doświadczenia, dlatego muszę zadać sobie pytanie, dlaczego przeprowadzacie je na terenie Libanu, a nie w Izraelu, gdzie byłoby dużo bezpieczniej.

— Myślisz, że bezpieczniej? — Rebeka przekrzywiła głowę. — A czy nasi wrogowie szukaliby w Libanie izraelskiego ośrodka badawczego?

Jason podniósł wzrok.

— Fakt.

— Sam widzisz.

— Dobrze, co jest w tym bunkrze? Nad czym pracujecie?

Troje gości weszło, jeden wyszedł. Rebeka zamieszała kawę i upiła łyk. Widząc tylko swoje myśli, spojrzała w przestrzeń między Jasonem i drzwiami, jakby zastanawiała się, co dalej. W końcu spytała:

— Słyszałeś o SILEX-ie?

Bourne pokręcił głową.

— W przemyśle paliw atomowych od kilkudziesięciu lat krąży teoria, że U-235, izotop wykorzystywany w prętach paliwowych ze wzbogaconego uranu, da się uzyskać za pomocą laserów. Długo uważano, że to niemożliwe, bo wszystkie eksperymenty i projekty kończyły się kląpą albo okazywały się zbyt kosztowne. Ale w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym dwóch fizyków nuklearnych wymyśliło SILEX: separację izotopów poprzez wzbudzenie laserem. Amerykanie położyli na tym łapę i wciąż nad tym pracują. W Dahr El Ahmar wymyśliliśmy podobną metodę. Badamy ją w tajemnicy, obawiając się, że terroryści albo kraje takie jak Iran mogłyby wykraść poufne dane i wykorzystać je do budowy broni.

Jason zmarszczył brwi.

— A więc Rowland pojechał do Dahr El Ahmar, żeby wykraść waszą technologię.

— Ja też tak myślałam. Ale Harry nic o tym nie wiedział. Nie znał prawdziwego przeznaczenia ośrodka, nie miał pojęcia, że prowadzimy

tam jakieś badania. Nie, on szukał ciebie i, co zakrawa na ironię, ścigając go, podałam mu cię jak na tacy.

— Nic nie wiedziałas.

Rebeka zrobiła smutną minę.

Przed kawiarnią wolniej niż inne przejechał długi czarny samochód. Mogło to znaczyć wszystko lub nic. Nie odrywali wzroku od przeszkłonych drzwi. Weszły i usiadły dwie starsze panie. Wstał i wyszedł mężczyzna w garniturze z iPadem pod pachą. Młoda matka z dzieckiem rozglądała się w poszukiwaniu wolnego stolika. Po sali krążyły trzy kelnerki. Minęło kilka minut i nie wydarzyło się nic szczególnego. Rebeka odprężyła się.

— Mówiąc ci o tym, dużo ryzykuję.

— Pułkownik Ben David i tak jest przekonany, że znam tajemnicę Dahr El Ahmar. Pytanie tylko, dlaczego ktoś nasłał na mnie Rowlanda.

— Myślisz, że jedno ma coś wspólnego z drugim?

— Dopóki nie poznamy celów tego ugrupowania, nie można tego wykluczyć.

— A żeby je poznać, musimy znaleźć Harry'ego.

Jason kiwnął głową.

— Tylko że nasz jedyny trop zwiął helikopterem.

Rebeka zmarszczyła czoło.

— I co teraz? Jak...

Urwała, bo w drzwiach stanęło dwóch policjantów, którzy zaczęli przyglądać się gościom.

• • •

Siedząca obok don Fernanda Hererry Martha Christiana przywykła do balansowania na linie, a w głębi ducha nawet to lubiła. Ale odkąd zaczęła przyjmować zlecenia, po raz pierwszy nie była pewna, na czym stoi. Don Fernando okazał się większym wyzwaniem, niż się spodziewała.

Po pierwsze, był enigmą. Po drugie, nie zachowywał się jak żaden inny starszy mężczyzna. Tryskał energią i nie miał nic wspólnego z tymi, którzy utknęwszy w przeszłości, nie potrafili ogarnąć coraz bardziej skomplikowanych technologii teraźniejszości. A już na pewno nie bał się jeszcze bardziej wymagającej przyszłości. Z doświadczenia wiedziała, że wyczerpawszy zapasy energii twórczej, starsi mężczyźni spoczywają na

laurach, patrząc, jak śmiga obok nich zupełnie niezrozumiała teraźniejszość. Tymczasem jego znajomość najnowszych technologii była nie tylko wszechstronna, ale i wprost oszałamiająca.

Jeśli zaś chodzi o sprawy podstawowe, stwierdziła, że jest czarujący, doskonale wykształcony i niezwykle inteligentny. Przyciągał ją jak słońce planetę. Wytworzyła się między nimi intymna więź, co upajało ją i niepokoiło. Pławiła się w tym jak w tropikalnym morzu. W jego obecności czuła się szczęśliwa. I czując się szczęśliwa, coraz bardziej nadwątlała szanse na skuteczne wypełnienie misji. Wiedziała o tym, mimo to trwała w swoim zachowaniu. Reakcja ta była jej zupełnie obca, a tym samym tajemnicza.

I jeszcze coś: don Fernando przypominał jej czasy sprzed Marrakeszu, zanim uciekła z domu. Z czasów, gdy szalejące sztormy i ściany wody waliły się z furją na skalny cypel, na którym, niczym potężny szpikulec, stał jej dom. A może pomyślała o tym, ponieważ leciała z nim na Gibraltar?

— Chciałbym zaprosić cię na kolację — powiedział rano.

— Do jakiej restauracji? — spytała. — Jak mam się ubrać? — Była w obcisłej czarnej spódnicy, szamerowanym bolerku i jedwabnej białej bluzce, spiętej pod szyją owalną broszką z onyksu.

— To niespodzianka. — Zaskrzyły mu się oczy. — A jeśli chodzi o ubranie, to, co masz na sobie, będzie w sam raz.

Niespodzianką był odrzutowiec czekający na płycie prywatnego lotniska na przedmieściach Paryża. Powiedział jej, dokąd lecą, dopiero wtedy, gdy przemknąwszy przez pas, oderwali się od ziemi.

Z bijącym sercem spytała:

— Ale co tam jest?

— Zobaczysz.

A teraz wylądowali. Czekała na nich limuzyna z szoferem. Kiedy tylko wsiedli, limuzyna ruszyła i pojechali wzdłuż wybrzeża, które znała aż za dobrze. Dwadzieścia minut później zobaczyła latarnię na skalnym cyplu, gdzie spędziła młodość.

— Nie rozumiem. — Spojrzała na niego. — Dlaczego mnie tu przywiozłeś?

— Jesteś na mnie zła?

— Nie wiem, skąd... Nie wiem. Nie, po prostu...

Stanęli. Latarnia górowała nad nimi jak wieża.

— Teraz jest zautomatyzowana, już od lat — powiedział, gdy wysiedli. — Ale wciąż działa, wciąż pełni swoją funkcję, jak kiedyś.

Obeszli latarnię od zachodu i zaprowadził ją do odległego o kilkaset metrów grobu. Przystanęła i przeczytała napis na kamieniu. To był grób jej ojca.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— A jednak jesteś na mnie zła. Chyba popełniłem błąd. — Delikatnie ujął ją za łokieć. — Chodź. Natychmiast stąd odjedziemy.

Ale ona nie ruszyła się z miejsca i z taką samą delikatnością zabrała rękę. Podeszła bliżej i stanęła dokładnie naprzeciwko grobu. W ocynkowanym pojemniku były kwiaty, lecz ktoś zostawił je tu dawno temu. Uschły i straciły wiele płatków.

Spojrzała na kamień, pod którym spoczywał jej ojciec. I nagle, zaskakując tym samą siebie, przyklękła i dotknęła ziemi. Po błękitnym niebie sunęły chmury. Latały nawołujące się ptaki. Podniosła głowę, zobaczyła gniazdo bielika i pomyślała o rodzinie i domu.

Nie wiedzieć czemu, jej ręka powędrowała do broszki. Odpięła ją, wykopała płytkie zagłębienie obok kamienia i włożyła ją tam. Potem powoli, niemal nabożnie, zasypała zagłębienie ziemią i przytknęła do niej rękę, czując, że broszka bije pod jej dłonią jak serce.

— Chcesz wejść do środka? — spytał don Fernando, gdy wstała.

— Nie. Moje miejsce jest tutaj.

Kiwnął głową, jakby dobrze to rozumiał. Ale zamiast ją zdenerwować, gest ten, dowód łączącej ich więzi, dodał jej otuchy. Wzięła go pod rękę i wrócili na skalny cypel. Morze burzyło się pod nimi i pienilo na granitowych zębach.

— Kiedy byłam dzieckiem — powiedziała — często tu przychodziłam. Rozbijająca się o skały woda wyglądała jak kruche szkło. Myślałem wtedy o mojej rodzinie. Byłam smutna.

— Dlatego odeszłaś.

W samochodzie, gdy oddalali się powoli od wybrzeża i złowrogiej latarni, spytała:

— Jak się dowiedziałeś?

— W dzisiejszych czasach można dowiedzieć się wszystkiego — odrzekł z uśmiechem.

Nie powiedziała nic więcej. Nieważne, jak poznał jej historię, ważne, że ją znał. I kolejne zaskoczenie: nie była z tego powodu nieszczęśliwa. Nie musiała go o nic prosić, po prostu wiedziała, że dochowa tajemnicy.

Spojrzała w okno i jak śpiący, który budzi się z przyjemnego snu, by stawić czoło surowej rzeczywistości, uświadomiła sobie, że ma tego człowieka zabić. Myśl ta była teraz zupełnie absurdalna, Martha

Christiana wiedziała jednak, że nie ma wyboru. Ilekroć brała zlecenie od Maceo Encarnaciona, wybór po prostu nie istniał. Nigdy.

Odpędziwszy od siebie te trudne myśli, stwierdziła, że z Castle Road skręcają w nieznaną jej część Gibraltaru. Kilka wąskich uliczek dalej zobaczyła trójkątny park, w którym rosły smukłe jak ołówek cyprysy i palmy. Otworzyła przyciemnione okno i usłyszała szelest kołyszących się na wietrze liści. Po niebie przemknęło stadko białych mew. Gdy wjechali na podjazd i zatrzymali się przed wspartym na kolumnach portykiem, w słońcu zalśnił kryty czerwoną dachówką dach.

— Gdzie my jesteśmy? — spytała.

Don Fernando bez słowa wprowadził ją na kamienne schody. Weszli do dużego, przestronnego holu, gdzie dominowały kryształowy żyrandol i wysoka mahoniowa lada, za którą siedziała młoda kobieta, z wprawą odbierając telefony i pisząc coś na komputerze.

To siedziba jakiejś firmy, pomyślała Martha. Pewnie jego.

Don Fernando pochylił się i podał kobiecie kartkę, którą ta delikatnie rozłożyła, jak ważny dokument. Przebiegła ją wzrokiem, zerknęła na niego, potem na nią. Podniosła słuchawkę telefonu i powiedziała kilka słów. Po chwili skinęła im głową i z uśmiechem wskazała podwójne drzwi wahadłowe.

Czekała tam kobieta w uniformie, nieco starsza od niej. Miała splecione z przodu ręce, jak zakonnica, i gdy ruszyli w jej stronę, odwróciła się i poprowadziła ich wyłożonym grubą wykładziną szerokim korytarzem z licznymi zamkniętymi drzwiami, na którego ścianach wisiały zdjęcia pokazujące, jak Gibraltar zmieniał się z biegiem lat. Nie zmieniła się jedynie stara jak świat wielka skała.

W końcu się zatrzymali. Kobieta wskazała drzwi i powiedziała:

— Proszę się nie spieszyć. — I zanim Martha zdążyła o cokolwiek spytać, poszła z powrotem w stronę głównego holu.

Don Fernando spojrział na nią z zagadkową miną.

— Gdybyś mnie potrzebowała, będę tu czekał.

Już otwierała usta, by coś powiedzieć, ale zrozumiała, że nic nie wskóra. Zrezygnowana otworzyła ciężkie drzwi i weszła do pokoju.

• • •

— Szukają nas? — szepnęła Rebeka. — Jakim cudem? Nie wiedzą, jak wyglądamy.

— Wiedzą nie wiedzą, ale tu są. Szukają kogoś, kto uciekł z placu budowy.

— Kogoś, kto podejrzenie wygląda albo próbuje się ukryć.

Bourne zerknął na nią znad kawy.

— Uderz mnie.

Spojrzała mu w oczy i znalazła w nich odpowiedź, której szukała. Nachyliła się nad stolikiem, spoliczkowała go i wstała, przewracając krzesło.

— Ty draniu! — krzyknęła.

Policjanci spojrzeli na nich, tak jak wszyscy pozostali goście i kelnerki, które stanęły jak wryte.

— Uspokój się — powiedział Bourne, nie ruszając się z miejsca.

— Uspokój się? Jak mogłeś? I to z moją własną siostrą!

Jason wstał i rozpoczął się drugi akt przedstawienia.

— Mówiłem, żebyś się uspokoiła!

— Jak śmiesz mówić mi, co mam robić! — Rebeka potrząsnęła głową.
— Nie masz prawa!

— Mam! — Bourne chwycił ją za rękę.

Rebeka próbowała się wyszarpnąć, ale za mocno trzymał.

— Puszczaj, draniu!

Kontakt fizyczny przeważył szalę. Policjanci wstali i podeszli do ich stolika.

— Ta pani chce, żeby pan ją puścił — powiedział starszy.

— Niech się pan nie wtrąca — warknął Jason.

— Proszę ją puścić, i to natychmiast! — Młodszy policjant zrobił groźnie krok do przodu i Bourne zabrał rękę.

— Nic pani nie jest? — spytał ten starszy. — Chce pani złożyć skargę?

— Chcę tylko stąd wyjść — odparła Rebeka, łypiąc spode łba na Bourne'a. Wzięła kurtkę i torebkę, odwróciła się i wyszła. Wszyscy odprowadzili ją wzrokiem.

Starszy policjant skupił uwagę na Jasonie.

— Proszę zapłacić i wyjść. I niech pan trzyma się od niej z daleka. Słyszysz pan?

Bourne spuścił głowę, rzucił na stół kilka koron i wyszedł. Kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi, kawiarnia ożyła. Policjanci usiedli, by dopić kawę i natychmiast zapomnieć o incydencie.

Spotkali się za rogiem. Rebeka parsknęła śmiechem.

— Jak twój policzek?

— Mam nadstawić drugi?

Rebeka roześmiała się jeszcze głośniej. Chociaż spędzili razem trochę czasu, nie przeżyli zbyt wielu beztrudnych chwil. Po drugiej stronie ulicy Bourne zobaczył Christiena stojącego obok najnowszego modelu czarnego volvo. Palił krótkie cygaro i obojętny na wszystko oglądał paradę młodych kobiet w zimowych kurtkach.

Uważając na samochody, Jason i Rebeka przeszli przez jezdnię. Christien uśmiechnął się do nich, zwłaszcza do Rebeki, otworzył drzwi i zaprosił ich do środka. Ona usiadła z tyłu, on z przodu. Silnik pracował, więc od razu ruszyli, wciskając się w lukę między przejeżdżającymi wozami.

— Dowiedziałem się czegoś o tym helikopterze. — Christien był zbyt inteligentny, aby wypytywać Jasona o Rebeke. Wystarczyło mu to, co usłyszał przez telefon. — Okazało się, że to żaden problem. Nie ma ich zbyt wielu z takimi oznakowaniami. Ścisłej mówiąc, jest tylko jeden.

— Co to za oznakowania? — spytała Rebeka.

Christien zerknął na nią w górnym lusterku.

— Właśnie to jest najbardziej interesujące. — Podał Bourne'owi teczkę ze zdjęciami w wysokiej rozdzielczości. Rebeka nachyliła się ku nim między siedzeniami, żeby lepiej widzieć. — Mamy dostęp do kamer miejskich. — Christien skręcił w Prästgatan i zwolnił w gęstniejącym ruchu. — Kazałem je powiększyć i wyostrzyć komputerowo. Przejrzyjcie je, sami zobaczycie dlaczego.

W teczce były cztery zdjęcia dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. W procesie powiększania i wyostrowania straciły kolor, ale Jason i Rebeka natychmiast rozpoznali helikopter, z którego do nich strzelano i którym uciekł Rowland. Zresztą widać go było na drugim zdjęciu, w oknie w bocznych drzwiach maszyny. Bourne spojrzał na trzecie.

— „Kungliga Transport” — przeczytała Rebeka. — Wygląda na zwykły komercyjny helikopter.

— Tak — zgodził się z nią Christien — ale nim nie jest. Spójrzcie na ostatnie zdjęcie. Na ogon za tylnym śmigłem.

Jason przerzucił zdjęcia. Ostatnie było powiększone jeszcze bardziej. Podniósł je do światła.

— Logo jakiejś korporacji — skonstatował — ale nie mogę odczytać nazwy.

— Jest zbyt małe nawet teraz. — Zatrzymali się na światłach i Christien postukał w nie palcem. — Widzicie ten kształt? Jest dość niezwykły, dlatego przepuściliśmy zdjęcie przez najnowszy program

identyfikacyjny i komputer wypluł wynik. Helikopter należy do SteelTrap.

— Zabezpieczenia internetowe — powiedziała Rebeka. — Najwyższa półka.

— Właśnie. A skoro już mowa o najnowszych programach: oni wyprzedzają wszystkich o lata świetlne.

— Tylko dlaczego próbują mnie zabić i jednocześnie ratują Rowlanda? — Bourne spojrział na Rebeke. — Mówiłaś, że on należy do siatki terrorystycznej, tak?

— Której? — spytał Christien.

— Jihad bis saif — odparła Rebeka. — W Dahr El Ahmar podsłuchałam pułkownika Ben Davida. Myślał, że jestem nieprzytomna.

— Z kim rozmawiał? — spytał Jason.

— Nie wiem. — Rebeka rozparła się na siedzeniu i skrzyżowała ręce. — Ale jedno jest pewne: wygląda na to, że SteelTrap produkuje nie tylko zabójczo skomplikowane oprogramowanie komputerowe.

— Nie? — spytał Christien. — A co jeszcze?

— Zabójców — mruknął Bourne.

Rozdział 13

Widząc staruszkę siedzącą przy dużym panoramicznym oknie, Martha Christiana zobaczyła siebie. Pokój był skromnie umeblowany i jeszcze skromniej ozdobiony. Znajdowało się tam ledwie kilka przedmiotów osobistych: grzebień, szczotka do włosów ze srebrną rączką, mała poźółkła latarnia morska z kości słoniowej, stojąca samotnie na skalnym cyplu, i wyblakłe zdjęcie pięknej, lecz wątłej kobiety z tulącą się do jej nóg dziewczynką. To wszystko. Pokój wypełniała tak głęboka samotność, że zabrakło jej tchu.

Matka i ona. Przeszła przez pokój i wzięła zdjęcie do ręki. Staruszka nawet się nie odwróciła. Za zdjęciem stało drugie. Przedstawiało szczupłego mężczyznę w dwurzędowej kurtce o marynarskim kroju obok wyciętego jak z kryształu klosza na szczycie latarni. Chociaż oświetlało go jaskrawe słońce, było widać, że żyje we własnym świetle, w którym istnieje tylko oślepiający promień reflektora.

Martha przyjrzała się fotografii ojca, lecz jej nie podniosła. Nawet jej nie dotknęła. W głębi serca czuła, że by ją zbecześciła, chociaż nie wiedziała dlaczego. W końcu postawiła zdjęcie matki i podeszła do staruszki. Kobieta patrzyła w okno, na rozległy trawnik, kępę palm i szare budynki po drugiej stronie ulicy. Widok był nieciekawym, ale ona oglądała go z całkowitym, niemal przerażającym skupieniem. Martha wątpiła, żeby matka patrzyła na trawę, drzewa czy budynki, które pewnie nic jej nie mówiły. Siedziała spięta i lekko pochylona do przodu, jakby miała przed sobą teleskop, przez który można zajrzeć w przeszłość.

— Mamo — powiedziała Martha drżącym głosem. — Co tam widzisz?

Na dźwięk jej głosu staruszka zaczęła kiwać się do przodu i do tyłu. Była chuda jak patyk. Jej białawe kości prześwitywały miejscami przez cienką niczym bibułka skórę. Błada twarz błyszczała jak zimowe słońce.

Martha stanęła na wprost niej. Chociaż matka miała głęboko zapadnięte policzki i twarz zniszczoną przez czas, ból i tęsknotę, było w niej coś, co się nie zmieniło. Martha poczuła dotkliwe ukłucie w sercu.

— Mamo, to ja, Martha. Twoja córka.

Staruszka nie chciała lub nie mogła podnieść wzroku. Tkwiła w przeszłości. Martha zawahała się i wzięła ją za kościstą rękę. Dłoń była chłodna jak marmur. Martha popatrzyła na sine żyły, wypukłe, jakby chciały przebić się przez skórę. Potem spojrzała jej w oczy, szare i zamglone jak chmury targane przez walczące z sobą wiatry.

— Mamo?

Oczy poruszyły się leciutko, ale nie, matka jej nie poznała. Jakby Martha w ogóle nie istniała. Tak jak przez tyle lat rodzice nie istnieli dla niej. A teraz, po śmierci ojca i pod koniec życia matki, nie zostało jej nic. Była jak wrzucony do morza kamień, który tonie, nie pozostawiając po sobie nawet najdrobniejszej fali.

Trzymając ją za rękę, przez jakiś czas stała nieruchomo jak strzegąca Gibraltaru skała. Raz matka rozchyliła usta i wyszeptała coś niezrozumiałego. Potem zamilkła i mimo jej próśb, już tego nie powtórzyła. Zapadła cisza. Lata minęły, odeszły i były teraz jak opadnięte liście, kruche i martwe.

Odzyskawszy oddech, Martha zwolniła uścisk i puściła jej rękę. Podeszła do drzwi, chociaż prawie nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi. Otworzyła je i zobaczyła don Fernanda cierpliwie czekającego na korytarzu. Otworzyła drzwi szerzej.

— Wejdz — powiedziała. — Proszę.

•••

— No i tak, staruszkę. — Brick rozgryzł dużą oliwkę, wyssał z niej papryczkę, którą wciągnął do ust jak drugi język, aby rozgnieść ją zębami na pomarańczową miazgę. — Mam dla ciebie robotę. Gotowy?

— Jasne — odparł Peter. — Choćby zaraz.

— Zuch chłopak.

Peterowi mocniej zabiło serce. Nie miał pojęcia, co Brick dla niego szykuje, choć na pewno nie było to nic miłego. Ale jeśli się powiedziało A, trzeba powiedzieć B. I kontynuując tę myśl, dodał w duchu: komunały nie powstają bez powodu.

Siedzieli w kuchni wirginijskiego domu Bricka. Na stole stało kilka półmisek z jedzeniem, włoskim salami i mortadela, kawałkami sera pecorino, chrupiącym chlebem i oliwkami. Stała tam również ciemnozielona butelka oliwy i cztery butelki ciemnego belgijskiego

piwa, w tym dwie już puste. Dick Richards odjechał przed godziną z Bogdanem, który miał go podrzucić w pobliże siedziby Treadstone.

Brick wytarł usta, wstał, podszedł do kredensu, otworzył szufladę, poszperał w niej, znalazł to, czego szukał, wrócił do stołu i usiadł.

— Więc gdzie mam jechać? — spytał Peter.

— Nigdzie.

— Nigdzie?

— Zostaniesz tutaj. — Brick położył na stole małe pudełko.

— Co to?

— Żyletki.

Peter otworzył pudełko. Rzeczywiście, były w nim cztery żyletki. Ostrożnie wyjął jedną.

— Nie pamiętam, kiedy widziałem je ostatni raz.

— Tak, pochodzą z ubiegłego wieku.

Peter roześmiał się.

— To nie żarty, trzeba uważać — zganił go Brick. — Żle na nie spojrzysz i obetną ci palec. Są specjalnie ostrzone.

Peter schował żyletkę do pudełka.

— Nie rozumiem.

— Łatwizna, staruszk. Zostajesz. I czekasz. Bogdan kogoś tu przywiezie. Przedstawi ci go i trochę pogadacie, wszystko ślicznie i cacy. Bogdan da ci znak, a wtedy... — Brick ruchem głowy wskazał żyletki.

— Co takiego? — Peter poczuł, że żołądek podjeżdża mu do gardła. — Mam go zabić żyletką?

— Jak chcesz, możesz czterema. Śmiało, nie krępuj się.

Peter przełknął ślinę.

— Nie sądzę, żeby...

Brick pochylił się do przodu, chwycił go za nadgarstek i ścisnął jak kleszczami.

— Gównu mnie obchodzi, co sądzisz. Po prostu to zrób.

— Jezu Chryste... — Peter z trudem zwalczył panikę, która omal go nie zdradziła. Przeklął siebie w duchu. Myśl. Myśl! — To odludzie — powiedział. — Nie prościej by było z pistoletu?

— Zastrzelić kogoś z małej odległości może każdy gówniarz i ulicznik. — Brick zrobił z ręki pistolet i przytknął palec do skroni Petera. W okamgnieniu zmieniła mu się twarz. Uśmiechnął się szeroko i rozwarł uścisk. — Chcę zobaczyć, z jakiego materiału jesteś zrobiony, staruszk. Co w tobie siedzi, czy mogę ci zaufać i powierzyć poważniejsze zadanie. — Wstał. — Chcesz dla mnie pracować? To twój

wybór. Szansa na złoty pierścień. — Puścił do niego oko i uśmiech zniknął. — Nie spieprz tego, dobra?

•••

Soraya należała tylko do jednego stowarzyszenia, do klubu pokerowego w ratuszu. Ale to też łączyło ją z Delią, ponieważ obie były nieśmiałe, lecz niezwykle ambitne, zwłaszcza w pokerze. Dlatego zaproszenie do gry o wysokie stawki ucieszyło Delię i umocniło jej przyjaźń z Sorayą. To właśnie tam, podczas tych kameralnych spotkań przy zielonym stoliku, w gronie najbardziej znanych waszyngtońskich polityków, poznała ją najlepiej, tam też uporządkowała swoje uczucia i napięcie seksualne stopniowo ustąpiło miejsca głębokiej, trwałej przyjaźni. Uświadomiła sobie, że owszem, Soraya pociąga ją, lecz nie jako kochanka. Ku swojej wielkiej uldze wkrótce odkryła również, że Soraya nie jest ani lesbijką, ani biseksualistką, dlatego ich przyjaźni nie groziły żadne komplikacje. Natomiast Soraya zaakceptowała ją taką, jaką była. I pierwszy raz w życiu, bez wahania i wstydu, Delia pokazała komuś, jaka jest naprawdę. Soraya nigdy jej nie osądzała, w zamian za co ona otworzyła przed nią serce i umysł.

Teraz przysunęła krzesło, usiadła przy łóżku i wzięła ją za rękę. Soraya otworzyła oczy. Miała niebieskawe powieki, jak posiniaczone. Wyglądała jak ktoś, kogo niedawno pobito.

— Cześć, Rayu.

— Deel...

Leżała w płataninie rurek. Spod bandaży na skroni wciąż wystawał dren. Ohyda, pomyślała Delia, próbując dyskretnie odwrócić wzrok. Za późno.

— Chyba nie powinnaś dawać mi lustra. — Soraya się uśmiechnęła, lecz był to uśmiech krzywy, groteskowy i przez jedną przerażającą chwilę Delia bała się, że podczas operacji uszkodzono jej nerwy kontrolujące pół twarzy. Ale gdy Soraya zaczęła mówić, okazało się, że to tylko zmęczenie i skutki narkozy.

— Jak się czujesz?

— Tak jak wyglądam. Chyba nawet gorzej.

Teraz z kolei uśmiechnęła się Delia.

— Już dobrze. Już wszystko dobrze.

— Hendricks mówi, że dziecku nic nie jest.

— Tak. Nie ma żadnych problemów.

Soraya odprężyła się i westchnęła.

— Lekarze mówili, kiedy stąd wyjdę?

Delia roześmiała się.

— Bo co? Już ci się spieszy do pracy?

— Mam coś do zrobienia.

Delia nachyliła się ku niej.

— Teraz musisz zrobić jedno: wydobrzeć dla siebie i dziecka. — Ścisnęła jej rękę. — Posłuchaj, coś zrobiłam. Coś, czego nie chciałaś. Ale pomyślałam, że w tych okolicznościach... Powiedziałam Charlesowi o dziecku.

Ogarnięta poczuciem winy Soraya zamknęła oczy. Wiedziała jednak, że musi iść dalej, krok po jakże nieprzyjemnym kroku.

— Przepraszam — ciągnęła Delia. — Naprawdę. Ale bałam się o ciebie. Uznałam, że ma prawo wiedzieć.

— Zważywszy na twoją kryształową przyzwoitość, Deel, mogłam się tego spodziewać. Nie umiałam trzeźwo myśleć. Powinnam była wiedzieć. — Ale wiedziała. Wiedziała i liczyła na przyzwoitość przyjaciółki. — Gdzie Charlie?

— Na korytarzu. Dziwię się, że tak długo tu siedzi.

— Jego żona wie?

Delia zrobiła minę.

— Ann Ring zaszła się na Kapitolu. Dniami i nocami pracuje nad swoimi senatorskimi poprawkami do przyszłorocznego budżetu Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

— Skąd wiesz?

— Czytam gazety. One też jej nie lubią.

— A kto lubi? Może tylko jej wyborcy. No i oczywiście „The Beltway Journal”.

— Zaraz powiesz, że nie rozumiesz, dlaczego się z nią ożenił.

Soraya wykrzywiła usta w namiastce uśmiechu.

— To ona ożeniła się z nim. Jest jak tornado, nic jej nie zatrzyma. Charlie nie mógł odmówić.

— Mógł, jak każdy dorosły.

— Może, ale nie on. Oczarowała go.

— Tak jak czaruje wielu konserwatywnych Republikanów, jest w tym dobra. Mogłaby pozować do rozkładówki w „Playboyu”.

— Gdyby tylko zechciała. Mielibyśmy ją z głowy.

— No nie wiem — mruknęła Delia. — Mam przeczucie, że wykorzystaliby to na swoją korzyść.

Soraya roześmiała się i ścisnęła jej rękę.

— Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Delia odwzajemniła uścisk.

— Nie mam pojęcia.

— Posłuchaj, chcę porozmawiać z Charliem.

Delia nachmurzyła czoło.

— Myślisz, że to dobry pomysł?

— To ważne — powiedziała z naciskiem Soraya. — Muszę...

Nagle wytrzeszczyła oczy i głośno wciągnęła powietrze. Jej palce zmieniły się w szpony, ciało wygięło się w łuk. Monitory, do których była podłączona, oszalały. Delia zaczęła przeraźliwie krzyczeć i do pokoju wpadł blady jak ściana Thorne.

— Co się stało? — Patrzył to na nią, to na Sorayę. — Co się stało?

Delia słyszała już mlask gumowych podeszew na korytarzu, czyjeś podniesione, zaniepokojone głosy.

— Pomocy! — krzyknęła. — Ratujcie ją! Na pomoc!

• • •

Weszli po cichu do wynajmowanego przez Rebekę mieszkania przy Sankt Eriksgatan w Kungsholmen. Mieściło się na drugim piętrze domu dalej niż przecznica od morza. Christien czekał na nich w samochodzie wraz z Sovardem, swoim ochroniarzem i posłańcem, którego zgarnęli z ulicy w umówionym miejscu.

Jason i Rebeka sprawdzili bezszelestnie pokoje, zaglądając do wszystkich szaf, za zasłony, a nawet pod łóżko. Upewniwszy się, że teren jest czysty, Rebeka weszła do łazienki i uklękła na wyłożonej terakotą podłodze.

— Ile zachomikowałaś? — spytał Bourne.

— Sporo. W każdej kryjówce mam mały skarbiec. Niebezpiecznie jest nosić przy sobie tyle pieniędzy.

Jason ukląkł obok niej, ostrożnie wydłubał ze szczelin silikonowe fugi, a wtedy ona podważyła płytkę. Leżał pod nią gruby zwitek banknotów: koron, euro i amerykańskich dolarów.

Rebeka schowała zwitek do kieszeni i wstała.

— Chodźmy. Ciarki mnie tu przechodzą.

Wyszli z mieszkania i pobiegli na dół tonącymi w półmroku schodami.

•••

Ilan Halevy, zwany Babilończykiem, siedział za kierownicą wynajętego samochodu, zaparkowanego w strategicznie wybranym miejscu po drugiej stronie ulicy, przecznicę od domu, w którym Rebeka wynajmowała mieszkanie. Czekał od wielu godzin, ale godziny były dla niego jak minuty. Wydawało się, że czekał na coś przez całe życie. Jako dziesięcioletni chłopiec czekał, aż rozwiodą się rodzice, jako czternastolatek na śmierć szkolnego łobuza, którego posłał do szpitala. Wkrótce potem czekał na pociąg, który z głębokiej prowincji miał zawieźć go do stolicy, najwspanialszego, najbardziej ruchliwego i zakręconego miasta, gdzie chciał zapaść się pod ziemię. Znowu zabił, ale tym razem na własnych warunkach. Dobrze wybrał, bogatego amerykańskiego biznesmena, z którym wdał się w rozmowę w barze najbardziej wytwornego hotelu w mieście. Z pieniędzmi i dokumentami w kieszeniach ogolił brodę i kupił dwa najlepsze garnitury w butiku Brioniego w tym samym hotelu, płacąc za nie kartą kredytową Amerykanina. Nigdy dotąd nie widział na własne oczy karty kredytowej, tym bardziej z niej nie korzystał.

Niedługo potem w naturalny sposób wtopił się w przestępczy świat Tel Awiwu i wyrobił sobie nazwisko, szybko, bezlitośnie i bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Przypuszczał, że właśnie dlatego wpadł w oko Ben Davidowi. Mimo to zachował stosowną czujność, gdy pułkownik skontaktował się z nim pierwszy raz. Ale z czasem nawiązała się między nimi nić porozumienia. Chociaż nie ulegało wątpliwości, że blisko z sobą współpracują, nikt nie mylił tego z przyjaźnią, zwłaszcza ich szefowie.

Babilończyk westchnął, tęskniąc za szalarną i pysznym baranim tłuszczem skapującym na kopczyk izraelskiego kuskusu. Nie znosił północnej Europy, zwłaszcza Szwecji. Nie podobały mu się ich kobiety, niebieskookie blondynki pielęgnujące ohydny aryjski ideał supermena. Wśród szwedzkich modelek nie było ani jednej, której z przyjemnością nie kopnąłby w tę doskonale wyrzeźbioną twarz. Zdecydowanie bardziej wolał ciemnoskóre, ciemnowłose amazonki o śródziemnomorskich rysach.

Pogrążony w tych gorzkich rozmyślaniach zobaczył, że przed obserwowanym przez niego domem zatrzymuje się nowiutkie volvo. Wsiadła z niego Rebeka, wysiadła i ruszyła prosto do drzwi. Już chwycił za klamkę, gdy wtem dostrzegł podążającego za nią Bourne'a.

Dlaczego, do diabła, wciąż są razem? Ona z nim pracuje? Rozwścieczony zacisnął zęby i opadł na oparcie fotela. Znowu musiał czekać. Stan ten był mu dobrze znany, ale czasami, tak jak teraz, doprowadzał go do furii.

•••

Na autostradzie E4 zjechali do zatoki, gdzie była stacja benzynowa i fast food. Od krótkiej wizyty w mieszkaniu Rebeki jechali ciągle na północ i Bourne zastanawiał się dokąd.

Gdy tylko zaparkowali, z dala od innych samochodów, Sovard, ochroniarz i posłaniec w jednej osobie, podał swojemu szefowi cienką kopertę. Christien przekazała ją z kolei Jasonowi.

— Wasze bilety — powiedział.

Rebeka wzięła swój z pewnym wahaniem.

— Dokąd?

Christien wyjął z dyplomatki iPad, dotknął ekranu i puścił film.

— Tym razem szwedzkie zamięłowanie do podglądania bardzo się nam przydało.

Było widać, że film składa się z kilku na chybcika zmontowanych fragmentów z kamer rozmieszczonych w różnych miejscach. Początkowo nie działo się nic ciekawego, ot, asfalt i ubrani w kombinezony robotnicy w słuchawkach, jeżdżący tam i z powrotem małymi elektrycznymi wózkami. Lotnisko Arlanda.

I nagle silny podmuch powietrza, który rozpędził ich na wszystkie strony. Na ekranie ukazał się helikopter SteelTrap powoli siadający na ziemi. Niemal natychmiast otworzyły się drzwi i wysiadło z niego trzech mężczyzn. Jednym z nich był Harry Rowland. Przecisnąwszy się między kolegami z lewej strony na prawą, szybko zniknął z kadru.

Przebitka z kamery w innej części lotniska: trzech mężczyzn wchodzących na pas startowy. Choć ujęcie zrobiono z daleka, po ich kroku łatwo można było poznać, że jest to trójka z helikoptera. Cekał na nich prywatny odrzutowiec dalekiego zasięgu. Przedstawiciel urzędu

imigracyjnego sprawdził ich paszporty, podstemplował je i wskazał dostawione do samolotu schody.

Kolejna przebitka, ta sama scena sfilmowana z innego kąta, w zbliżeniu, sądząc po trzęsącym się obrazie, prawdopodobnie przez teleobiektyw: jeden po drugim mężczyźni pochylają się i znikają w brzuchu maszyny.

I ostatnie ujęcie: pędzący po pasie samolot nabiera prędkości. Gdy oderwał się od ziemi i zniknął z ekranu, Christien zatrzymał film i schował iPad.

— Wieża w Sztokholmie zażądała od pilota planu lotu — powiedział. — Lecą do Mexico City przez Barcelonę. — I z uśmiechem dodał: — Tak się przypadkiem składa, że Maceo Encarnación, właściciel SteelTrap, ma tam swoją główną rezydencję.

— Dobra robota — pochwalił go Bourne.

— Polecicie samolotem AeroMexico, dokładnie tą samą trasą co oni, ale mają dwugodzinną przewagę. Jasonie, wiem, że masz paszport. A pani, Rebeko?

— Nie wychodzę bez niego z domu — odparła z kpiącym uśmiechem.

— Świetnie. W takim razie załatwione.

Christien wrzucił bieg, wrócili na autostradę i pojechali na lotnisko.

• • •

Sovard wracał ze stanowiska kontroli bezpieczeństwa, dokąd odprowadzał gości Christiena, gdy jakiś mężczyzna spytał go, która godzina. Zerkając na zegarek, poczuł straszliwy ból w karku. Kiedy pochylił się do przodu, mężczyzna chwycił go pod pachy i zawlókł do biura rzeczy znalezionych. Biuro już nie pracowało, w środku było ciemno i pusto. Na wpół sparaliżowany Sovard nie miał pojęcia, jak napastnik otworzył drzwi. Tak czy inaczej, posadził go na podłodze i oparł o stos walizek, toreb i plecaków. Sovard usiadł, ale zachwiał się, ponieważ stracił poczucie równowagi. Pochyliwszy się, zobaczył krwawe blizny na szyi mężczyzny. Gdy chciał się wyprostować, ten uderzył go w uszy tak mocno, że Sovard przewrócił oczami. Miał mdłości, nie mógł pozbierać myśli, a już na pewno nie był w stanie myśleć o ucieczce.

— Mam mało czasu. — Mężczyzna dotknął splotu nerwów za jego prawym uchem i w mózgu Sovarda wytrysnął gejzer bólu. — Dokąd oni lecą?

Sovard spojrział na niego tępym wzrokiem. Z kącika jego ust spływała na koszulę strużka śliny. Była różowa od krwi.

— Spytam cię tylko jeszcze jeden raz. — Babilończyk ucisnął palcem jego tętnicę szyjną. Ucisnął i puścił. — Masz dziesięć sekund na odpowiedź. Potem będę to powtarzał, doprowadzając cię na granicę utraty przytomności, aż zaczniesz błagać, żebym cię zabił. Szczerze mówiąc, chętnie bym to zrobił, ale myślę altruistycznie, myślę o tobie.

Powtórzył zabieg dwa razy, zanim Sovard podniósł trzęsącą się rękę. Miał dość. Babilończyk pochylił się do przodu. Wtedy Sovard otworzył usta i powiedział dwa słowa.

• • •

Osiemdziesiąt minut później Bourne i Rebeka sadowili się wygodnie w fotelach w pierwszej klasie, biorąc od stewardesy gorące ręczniki i przyjmując poczęstunek w postaci kieliszka szampana.

— Nie tęsknisz? — spytał Jason, odprowadzając kobietę wzrokiem.

— Za lataniem? — odparła ze śmiechem Rebeka. — Przestań, to było w innym życiu.

Jason spojrział w okno. Załoga skończyła ostatnie przygotowania i zajęła swoje miejsca. Ryknęły potężne silniki, samolot potoczył się na początek pasa. Kapitan ogłosił, że są drudzy w kolejce do startu.

— O czym myślisz, Jasonie? — spytała cicho Rebeka.

Pierwszy raz zwróciła się do niego po imieniu. Spojrział na nią. W jej oczach zobaczył dziwną łagodność — niemal bezbronność — jakiej nigdy w nich nie widział.

— O niczym.

Przyglądała mu się przez chwilę.

— Nigdy nie zadajesz sobie pytania, czy nie pora z tym skończyć?

— Z czym?

— Nie wygłupiaj się. Wiesz z czym.

— Skończyć i co dalej?

— Zaszyć się na jakiejś słonecznej wyspie, bawić się, pić piwo, jeść świeżo złowioną rybę, kochać się, spać...

Samolot zwolnił i skręcił na pas obramowany dwoma zwięzającymi się w oddali rzędami żółtych świateł.

— A potem?

— Potem powtórzyć wszystko od początku.

— Żartujesz.

Zamilkli. Pilot zwolnił hamulce, maszyna drgnęła i pomknęła po pasie. Wystartowali, schowało się podwozie i wznieśli się wyżej.

Rebeka oparła głowę o zagłówek i zamknęła oczy.

— Oczywiście, że żartuję.

•••

Podczas posiłku odsunęła tacę, rozpięła pas, wstała i zrobiwszy przejście dla stewardesy, poszła na przód kabiny. Tam przystanęła i gdy nie weszła do toalety po tym, jak zgasło światelko z napisem ZAJĘTE i w drzwiach stanęła kobieta w średnim wieku, Bourne ruszył za nią. Melancholia zdawała się spowijać ją jak ostry zapach palących się liści.

Stanęli obok siebie w ciasnym pomieszczeniu, dotykając się ramionami. Długo milczeli, wreszcie Rebeka spytała:

— Byłeś w Meksyku?

— Chyba tylko raz.

Objęła się wpół, szukając schronienia w swoich własnych ramionach.

— Prawdziwe węzowisko. Podobno wspaniałe, ale węzowisko.

— W ciągu ostatnich pięciu lat jeszcze bardziej się tam pogorszyło.

— Kartele skrzyknęły się z Kolumbijczykami i przestały się ukrywać.

Obracają tak wielkimi pieniędzmi, że potrafią przekupić nawet najuczciwszych polityków i policję. Handel narkotykami wyrwał się spod kontroli. Jeszcze trochę i handlować będzie cały kraj, a rząd nie chce albo nie zamierza zatamować tej narastającej fali. Zresztą jeśli ktoś z władz wystawi głowę, próbując nad tym zapanować, natychmiast mu ją obcinają.

— Trudno jest płynąć pod prąd.

— Chyba że ma się młot Thora.

Cisza spłynęła na nich jak z czystego nieba, po którym lecieli. Bourne wsłuchiwał się w cichy, spokojny oddech Rebeki, jakby leżeli obok siebie w łóżku. Mimo to aż do bólu zdawał sobie sprawę, że jest bardzo daleko, daleko od niej i od wszystkich innych. Nagle zrozumiał, co próbowała z niego wyciągnąć. Czy nie był zdolny do głębszych uczuć? Doszedł do wniosku, że każda śmierć, każde kolejne rozstanie stopniowo uodparniały go, aż w końcu całkowicie znieczuliły, tak że jedyną sensowną rzeczą, jaka mu pozostała, było ostrożne stąpanie w ciemności. Nie było dla niego ucieczki i Rebeka dobrze o tym

wiedziała. To dlatego wspomniała o zalanej słońcem wyspie. Ale on nie mógł wyjść z ciemności, to nie wchodziło w rachubę. Tyle lat spędził, krążąc po jej tajemniczych zakamarkach, że słońce tylko by go oślepiło. Uświadomił sobie, że właśnie to ją zasmuciło, pogrążyło w melancholii. Czy dlatego, że zobaczyła w nim siebie, czy dlatego, że sama chciała uciec, tego jeszcze nie wiedział.

— Powinniśmy wracać.

Z roztargnieniem kiwnęła głową. Wyszli z toalety i skręcili w przejście. Wtedy zobaczył Ilana Halevy'ego w naciągniętej na czoło czapce z wąskim daszkiem, który siedział w ostatnim rzędzie pierwszej klasy, czytając „Financial Timesa”. Babilończyk spojrział na niego znad gazety i posłał mu szelmowski uśmiech.

Rozdział 14

— Co znaczy, że nie mogę jej zobaczyć?

— Ona ma zapaść, Charles. — Delia oparła dłonie na jego piersi i wypchnęła go z pokoju.

Thorne stanął pod ścianą, patrząc, jak mijają go spiesznie lekarze i pielęgniarki z błyszczącymi wózkami z nierdzewnej stali.

Odprowadził ich wzrokiem. Miał rozchylone usta, z trudem oddychał.

— Co się dzieje? — spytał.

— Nie wiem — odparła Delia.

— Byłaś tam. — Spojrzał na nią niespokojnym wzrokiem. — Musisz coś wiedzieć.

— Rozmawialiśmy i po prostu zasłabła. Nic więcej nie wiem.

— A dziecko? — Thorne oblizał usta. — Co z dzieckiem?

Delia najeżyła się.

— Aha, już wszystko rozumiem.

— Co rozumiesz?

— Dlaczego tu jesteś. No jasne. Chodzi o dziecko.

Thorne był skonsternowany — a może to niepokój widziała na jego twarzy?

— O czym ty mówisz?

— Jeśli dziecko umrze, wszystkie twoje kłopoty znikną.

Thorne oderwał się od ściany z rozwścieczonymi oczami.

— Co cię, do cholery, napadło?

— Dziecko umiera i nie masz kłopotów z Ann, tak? Nie musisz się tłumaczyć, jakby Soraya w ogóle nie istniała, twój romans jest tylko odległym wspomnieniem, masz z głowy prasę i blogerów, którzy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę szukają brudów i skandali.

— Zwariowałaś! Zależy mi na niej. I to bardzo. Dlaczego nie chcesz przyjąć tego do wiadomości?

— Bo jesteś cynicznym, zapatrzonym w siebie sukinsynem.

Thorne wziął głęboki oddech i spróbował się pozbierać. Zwęziły mu się oczy.

— Myślałem, że będziemy mogli zostać przyjaciółmi.

— Nie, miałeś nadzieję, że uda ci się mnie przekabacić. — Delia roześmiała się szyderczo. — Wal się, Charles.

Odwróciła się i podeszła do doktora Santiago, który właśnie wychodził z pokoju.

— Jak ona się czuje?

— Jest stabilna — odparł lekarz. — Ale przenosimy ją na OIOM.

Delia wyczuła, że tuż za nią stanął Thorne. Niemal słyszała, jak nadstawia ucha.

— Co się stało?

— Powstał mały skrzep. To rzadkie, ale czasem się zdarza. Usunęliśmy go i dostaje teraz środek na zmniejszenie krzepliwości krwi. Odstawimy go, kiedy tylko uznamy, że nic jej nie grozi.

— Jej — powtórzyła Delia. — A dziecku?

— Najważniejsza jest dla nas pani Moore, jej życie. Poza tym płód...

— Dziecko — poprawiła go Delia.

Doktor Santiago przyjrzał się jej z zagadkowym wyrazem twarzy.

— Tak, dziecko. Przepraszam panią.

Delia patrzyła, jak lekarz znika w głębi korytarza. Była smutna i załamana.

Thorne westchnął.

— Skoro już wyjaśniliśmy sobie, jak między nami jest, wyłożę karty na stół.

— Kiedy wreszcie zrozumiesz, że w dupie mam twoje karty?

— Ciekawe, czy Amy też.

Delia odwróciła się na pięcie.

— Coś ty powiedział?

— Słyszałaś. — Wyzwanie w jego głosie było prawie namacalne. — Mam zapis wiadomości z poczty głosowej, twojej i Amy Brandt.

— Co takiego?

— Zaskoczona? To prosta sztuczka hakerska. Wystarczy program podszywający się pod dzwoniącego. Omija hasło i załatwione: mamy dostęp do każdej komórki, twojej też.

— A więc skopiowałaś...

— Tak, wasze wszystkie wiadomości. — Thorne nie potrafił ukryć szyderczego uśmiechu. — Niektóre są bardzo namiętne.

Spoliczkowała go tak mocno, że się zachwiał.

— Bijesz jak facet, wiesz?

— Jak ty możesz z tym żyć?

Thorne roześmiał się cicho.

— To brudna robota, ale ktoś musi ją wykonywać.

Przyjrzała mu się nieufnie.

— Chcesz czegoś, to mów.

— Ty masz coś na mnie, ja mam coś na ciebie. — Wzruszył ramionami. — Po prostu warto o tym pamiętać.

— Mam to gdzieś...

— Ale Amy nie ma. W tym zawodzie nie może mieć, prawda? Musi być ostrożna. Wielu rodziców nie chciałoby, żeby ich dzieci uczyła lesbijka.

Delia zastanawiała się, co odpowiedzieć, lecz w tym momencie dwie pielęgniarki wywiozły Sorayę z pokoju. Minęły ich i skręciły w stronę OIOM-u. Zapadła cisza.

— Tak więc proponuję zawieszenie broni — dokończył Thorne.

— Czy kiedykolwiek ci na niej zależało, chociaż przez chwilę?

— Jest świetna w łóżku.

— Co się stało? Ann już ci nie wystarczy?

— Ann uprawia seks ze swoją pracą. W łóżku jest zimna jak ryba.

— Bardzo ci współczuję — rzuciła lodowato Delia.

Thorne uśmiechnął się krzywo.

— Ja tobie też. — Chwycił się za krocze. — Nie wiesz, co tracisz.

•••

Maceo Encarnación patrzył w okno. Samolot krążył nad miastem, podchodząc do lądowania, i Encarnación zobaczył znajomą chmurę wyziewów, która wisiała nad ciągnącą się kilometrami metropolią jak brudny dywan. Ten niemal nigdy nieznikający obłok był dziełem geograficznego zbiegu okoliczności i nieokiełznanych miazmatów współczesnego postępu. Mexico City, zbudowane na ruinach wielkiego azteckiego miasta Tenochtitlan, tonęło w swojej własnej przyszłości.

Kiedy wysiadłszy z samolotu, Encarnación stanął na schodach i wciągnął powietrze, pierwszym zapachem, jaki dotarł do jego nosa, był odór ludzkich ekskrementów, którymi nawożono tu wiele upraw. Na ulicznych targowiskach owoce i warzywa leżały na gołej ziemi, a psy i dzieci sikały na nie i srały bez najmniejszych konsekwencji.

Wsiadł do opancerzonego SUV-a. Silnik już pracował, więc natychmiast ruszyli. Jego wytworny dom w kalifornijskim stylu

kolonialnym, z pseudobarokowymi kamiennymi oknami, ogrodem i wyłożonymi drewnem stylowymi korytarzami, stał przy ulicy Castelara w Colonia Polanco, ledwie kilometr od parku Chapultepec i Muzeum Narodowego. Zbudowano go z bladożółtego kamienia i *tezontle*, czerwonej skały wulkanicznej zdobiącej wiele miejscowych gmachów.

Ziemia, na której go postawiono, należała do najdroższych w mieście, ale ponieważ potężny Narodowy Instytut Sztuk Pięknych, którego Encarnación — nie bez powodu — był wpływowym członkiem, wyłączył ten teren spod zabudowy, nie można tu było wznosić wieżowców, podobnie jak w Lomas de Chapultepec czy Colonia Santa Fe.

— Witamy w domu, don Maceo. Brakowało nam pana.

Siedzący obok niego mężczyzna był niski i przysadzisty jak ropucha. Miał wojowniczo zakrzywiony aztecki nos i zaczesane do tyłu wypomadowane czarne włosy, gęste i błyszczące jak końska grzywa.

Nazywał się Tulio Vistoso i był jednym z trzech najpotężniejszych baronów narkotykowych w Meksyku, ale wszyscy oprócz Encarnaciona nazywali go Aztekiem.

— Musimy napić się tequili, don Tulio — powiedział przyjaźnie Maceo. — I podzielić się nowinami.

Aztek natychmiast wzmógł czujność.

— Jakież problemy?

— Problemy są zawsze. — Encarnación powachlował się ręką. — Ważny jest poziom trudności, jaki stwarzają, gdy się je rozwiązuje.

Aztek potwierdził tę prawdę cichym chrząknięciem. Był w czarnym lnianym garniturze, eleganckiej koszuli *guayabera* i sandałach ze skórzanej plecionki w kolorze wypolerowanego mahoni. Za kierownicą siedział ochroniarz Encarnaciona. Beznamiętny uzbrojony goryl obok niego był człowiekiem Azteka.

Po tej krótkiej wymianie zdań zamilkli i już się nie odezwali. Obydwaj wiedzieli, jaką wartość ma milczenie i rozmowa o interesach w odpowiednim miejscu i czasie. Nie należeli do ludzi porywczych. Działali dopiero wtedy, gdy nadeszła stosowna pora.

Znajome ulice, aleje i place przesuwwały się za oknem jak smuga barw okraszona kakofonicznym hałasem. Po ozdobionych sztukaterią ścianach restauracji i tawern pięły się kiście bugenwilli, sunące jezdnią autobusy buchały dymem. Minęli plac Santo Domingo okupowany przez *evangelistas* z wielkimi, starymi maszynami do pisania, którzy w imieniu miejscowych analfabetów pisali listy miłosne, kondolencje,

proste umowy, które wystarczyło tylko wyjaśnić i podpisać, dostarczane ustnie nakazy eksmisji i krótkie pisma, czasem pełne jadu i nienawiści. Błyszcący SUV manewrował zwinnie w morzu pomalowanych na jaskrawe kolory szybkich taksówek, ciężarówek i autobusów pełnych cuchnących mężczyzn, kobiet, dzieci i zwierząt. Przy akompaniamencie nieustannie dzwoniących katedralnych dzwonów sunął przez gęste, wyboiste, rozkołysane miejskie grzęzawisko, zmierzając w kierunku pięknej i czystej Colonii Polanco i stojącej w niej willi otoczonej murami, sosnami i elektrycznymi zasiekami.

Choć piękna i pełna kunsztownych ozdób z kutego żelaza i wspaniałych spiralnych ornamentów, była zbudowana jak forteca, co w tym nękanym przez przestępczość mieście było koniecznością nawet dla niego. Ale wznosił tę fortecę nie dla obrony przed potężnymi baronami, tylko dla ochrony przed nieustannie zmieniającym się krajobrazem politycznym Meksyku, niestabilnym jak ruchome piaski. Przez te wszystkie lata widział, jak reżimowe przewroty pociągnęły za sobą wielu, zbyt wielu jego niezwyrodnionych ponoć przyjaciół. Poprzysiął sobie, że jemu to się nie przydarzy.

Była pora *la comida*, teatralnego lunchu w mieście Azteków, posiłku traktowanego z taką samą powagą jak święta i niemal równie religijną żarliwością. Zaczynała się o wpół do trzeciej i często trwała do szóstej. Grillowane mięso z ostrymi papryczkami *pasilla*, gęsty, kwaskowaty gulasz z białych jak cukier węgorków, ryba z grilla, gorące tortille prosto z ognia, kurczak w ostrym *mole*, no i oczywiście kilka butelek starej tequili — długi stół w jadalni don Macea aż trzeszczał pod ciężarem talerzy, waz i półmisek.

Usiedli naprzeciwko siebie, wznieśli toast tequilą koloru sherry, a potem zaczęli jeść, by nasycić ogromny apetyt, przynajmniej chwilowo. Obsługiwała ich Anunciata, ponętna córka Marii Eleny, wieloletniej kucharki Encarnaciona. Dostrzegłszy w niej coś wyjątkowego, zwolnił ją z obowiązku poznawania tajemnic smażenia papryki i sporządzania setek odmian wybornych sosów, aby poznała tajniki rewolucjonizujących cyberprzestrzeni nowych technologii. Umysł miała równie gibki jak ciało.

Gdy napełnili brzuchy, gdy uprzątnięto ze stołu i podano kawę i cygara, Anunciata przyniosła dwa duże kubki gorącej czekolady przyprawionej chili, którą zaczęła ubijać na pianę tradycyjną drewnianą trzepaczką zwaną *molinillo*. Była to najważniejsza część rytuału. Meksykanie wierzą, że potężny duch napoju mieszka w pianie.

Postawiwszy przed nimi kubki, dziewczyna zniknęła równie bezszelestnie, jak się pojawiła, pozostawiając ich samych, by mogli knuć swoje makiaweliczne plany.

Aztek był w dobrym nastroju.

— Powoli, powolutku, jak włosy wypadające z głowy starca, prezydent przekazuje nam władzę.

— Rządzimy całym miastem.

— Tak. — Don Tulio przekrzywił głowę. — Nie sprawia to panu radości?

— Przeciwnie. — Encarnación w zadumie upił łyk czekolady. Dopiero teraz, gdy spróbował tego wspaniałego napoju, naprawdę poczuł, że jest w domu. — Ale zdobycie kontroli i jej utrzymanie to dwie różne sprawy. To, że uda nam się jedno, nie gwarantuje, że podołamy drugiemu. Ten kraj trwa i będzie trwał, don Tulio. My zmienimy się w pył, a Meksyk pozostanie. — Podniósł palec jak nauczyciel w klasie. — Nie wolno przeciwko niemu występować, nie wolno popełniać tego błędu. Każdy rząd można obalić, każdy reżim zastąpić innym. Ale sprzeniewierzyć się Meksykowi, stanąć z nim do walki, próbować rzucić go na kolana? To mrzonka, przejaw nieposkromionej pychy, fatalny błąd, który pogrzebie każdego bez względu na jego władzę.

Aztek, który nie bardzo rozumiał, do czego Encarnación pije, rozłożył ręce; poza tym nie był pewny, co znaczy „mrzonka”.

— Czy to jakiś problem?

— Owszem, ale nie ten. O tym możemy porozmawiać kiedy indziej.

— Don Maceo delectował się przez chwilę smakiem piany, słodkim i ostrym. — Tak — powtórzył, oblizując usta. — Ten jest zupełnie inny.

Z kieszeni na piersi wyjął długopis i mały notes. Napisał coś, wyrwał kartkę, złożył ją na pół i położył na stole. Don Tulio spojrział na niego, spuścił wzrok, wziął kartkę, rozłożył ją i przeczytał.

— Trzydzieści milionów dolarów? — spytał.

Encarnación obnażył zęby.

— Jak to możliwe?

Don Maceo upił łyk czekolady, zamieszał ją w ustach językiem, przełknął i spojrział w sufit.

— Właśnie dlatego prosiłem, żeby czekał pan na mnie na lotnisku. Tak, gdzieś między Comitán de Dominguez i Waszyngtonem zniknęło trzydzieści milionów.

Aztek odstawił kubek. Był bardzo zdenerwowany.

— Nie rozumiem.

— Nasz partner twierdzi, że zapłacono mu fałszywymi pieniędzmi. Wiem, sam nie mogłem w to uwierzyć, dlatego zamiast jednego, wysłałem tam aż dwóch specjalistów. Okazało się, że to prawda. Trzydzieści milionów dolarów, które w Comitán de Dominguez rozpoczęły podróż jako prawdziwe, dojechały na miejsce jako fałszywe.

Aztek chrząknął.

— Jak na to wpadli?

— To są specyficzni ludzie, don Tulio. Mają bardzo duże doświadczenie w fałszowaniu pieniędzy.

Aztek obliznął usta i skupiony zmarszczył czoło.

— To kilka tysięcy kilometrów — powiedział. — Pieniądze wiele razy przechodziły z rąk do rąk. — Leżące na południu Meksyku Comitán de Dominguez było wielkim centrum dystrybucyjnym, gdzie przez Gwatemalę trafiały kolumbijskie narkotyki. — To znaczy, że jest wśród nas złodziej.

Encarnación grzotnął pięścią w stół tak mocno, że przewrócił się kubek i gorąca czekolada chlusnęła na koronkowy obrus, prezent, który jego babka ze strony ojca dostała w ślubnym prezencie. Aztek wytrzeszczył oczy i zamarł.

— Złodziej — powtórzył don Maceo. — Tak, don Tulio, trafił pan w samo sedno. W dodatku bardzo sprytny złodziej. Zdrajca! — Błyszczały mu oczy, trzęsła się ręka, z trudem panował nad gniewem. — Dobrze pan wie, do kogo należą te pieniądze. Załatwienie tej transakcji kosztowało mnie pięć lat najbardziej delikatnych, frustrujących i wykańczających nerwowo negocjacji. Ci ludzie muszą otrzymać pieniądze w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, inaczej umowę i wszystko to, nad czym tak usilnie pracowałem, szlag trafi. Czy ma pan pojęcie, ile musiałem się nagimnastykować, zanim mi zaufali? To są *Dios de diablos*, don Tulio! Im nie przemówisz do rozsądku. Ich decyzje są nie do podważenia. Tu nie ma miejsca na targi, przetargi i opóźnienia. My jesteśmy związani z nimi, oni z nami. Dopóki śmierć nas nie rozłączy. *Comprende, hombre?*

Grzotnął w stół pięścią jeszcze raz i znowu zabrzączały filiżanki i spodeczki.

— Nie może do tego dojść, nie w moim domu! Czy to jasne?

— Jak najbardziej, don Maceo. — Aztek wiedział, że to już koniec lunchu. Wstał. — Proszę się nie niepokoić, problem będzie rozwiązany.

Encarnación odprowadził go wzrokiem drapieżnika, który spogląda na przyszłą ofiarę.

— W ciągu dwudziestu czterech godzin przyniesie mi pan trzydzieści milionów dolarów i głowę zdrajcy. Oto, jakiego żądam rozwiązania. Inne nie wchodzi w rachubę.

Aztek popatrzył na niego mętnymi jak u martwej ryby oczami i skinął głową.

— Będzie pan je miał, don Maceo.

•••

Dojechawszy w pobliże siedziby Treadstone, Bogdan zaparkował przy krawężniku, ale gdy Richards chciał wysiąść, chwycił go za ramię.

— Dokąd to? — spytał.

— Do pracy — odparł Richards. — Już i tak za długo mnie nie było. — Spojrzał na jego zakrzywione jak rzeźniczy hak palce. — Puszczaj.

— Pójdiesz, kiedy ci pozwolę. Pora trochę popracować.

— Popracować? Ja pracuję przez cały czas.

— Nie — odparł Bogdan. — Ty śpisz. A teraz będziesz tworzył. Dam ci szczegółowe polecenia. Wypełnisz je co do joty. Zrobisz to, co ci powiem, dokładnie, a nie mniej więcej. Jasne?

Richards, który poczuł, że jego wnętrzości wypełnia nagle woda, niepewnie kiwnął głową.

— Oczywiście.

— To nie będzie łatwe. — Bogdan nachylił się ku niemu. — Ale co w życiu jest łatwe?

Richards znowu skinął głową, jeszcze bardziej niepewnie niż przedtem. Nie spodziewał się tego. Chociaż był potrójnym agentem, do tej pory jego życie toczyło się względnie gładko, według schematu, do którego bez trudu się przystosował. Uświadomił sobie, że dał się uśpić fałszywemu spokojowi i poczuciu bezpieczeństwa. Bogdan miał rację, przez cały ten czas spał. A teraz stanął nad otchłanią, nad niezbadaną głębiną, gdzie czyhały mogące go pożreć potwory.

— Co... — Słowa uwięzły mu w gardle. Oblizał usta, jakby chciał nadać im większy poślizg. — Co mam zrobić?

— Wpuścić trojana do waszej sieci.

— Intranet Treadstone jest dobrze zabezpieczony, firewalle natychmiast go znajdą.

— Tak, zgadza się. — Bogdan drapieźnie błysnął oczami. — Ale jeśli będziesz sprytny i nie dasz się złapać, twoi szefowie każą ci go usunąć.

Richardsowi bardzo się to nie podobało.

— I?

— I zrobisz swoje, jak zwykle szybko i skutecznie. Zaimponujesz im. Wrzucisz trojana do kwarantanny, po prostu go zniszczysz. — Bogdan nachylił się jeszcze bardziej i Richards poczuł stęchły zapach cebuli w jego oddechu. — A kiedy będziesz go niszczył, wpuścisz do sieci wirusa, który usunie wszystkie pliki na ich serwerach.

Richards zmarszczył brwi i pokręcił głową.

— I co to da? Nie dostanę się do archiwum. Archiwum nie ma połączenia z serwerem głównym. Nawet jeśli system zostanie wyczyszczony, ściągnie się pliki z archiwum i w ciągu dwunastu godzin wszystko będzie działało.

— Musi zadziałać po dwudziestu czterech.

— Chyba... — Richards z trudem przełknął ślinę. Było mu zimno, jakby miał wysoką gorączkę. — Chyba sobie poradzę.

— Oczywiście. — Bogdan uśmiechnął się szeroko: inaczej cię pożrę, mój drogi. — Dwadzieścia cztery godziny. Tyle potrzebujemy.

Rozdział 15

Peter myślał, że Brick z nim zostanie, ale ten, wydawszy mordercze rozkazy, wyjechał. Peter pochodził trochę po wielkim domu, potem usiadł w fotelu i wyjął klucz, który wypadł z buta Florina Popy w bukszpanowym labiryncie w Czarnym Mnichu.

Podniósł go do światła i zaczął obracać, przyglądając się uważnie każdemu centymetrowi kwadratowemu. Klucz był mały, z pokrytą niebieskim tworzywem okrągłą główką, podobny do tych do publicznych schowków sprzed jedenastego września, gdy jeszcze istniały. Nie było na nim żadnych oznakowań, ale Peter doszedł do wniosku, że coś musi go wyróżniać.

Jedną z żyłek, którymi miał pokroić kogoś, kogo przyprowadzi Bogdan, rozciął gumową osłonę. Rozchylił ją, zdjął i przeżył rozczarowanie. Obie strony główki były czyste. Ale obróciwszy klucz, dostrzegł napis wyryty na obrzeżu: REKURSJA.

Teraz zobaczył klucz w nowym świetle i pomyślał, że być może nie jest to jednak klucz do schowka.

Natrafiwszy na istotny ślad, nie chciał już zostawać w domu Bricka i zastanawiać się, co zrobić, żeby nie zabić kogoś, kogo zabić zdecydowanie nie chciał. Wstał, podszedł do drzwi i stwierdził, że są zamknięte. Zamknięte były również tylne. I okna. W szyby wtopiono małe druciki, czujniki systemu alarmowego, który włączyłby się, gdyby którąś zbił.

Okna na piętrze też były zamknięte i zabezpieczone, z tym że te w sypialniach robiły wrażenie mniejszych. Zszedł do kuchni, poszperał w szufladach, ale nic w nich nie znalazł. Za to w szafie odkrył skrzynkę z narzędziami, w której leżał diament do cięcia szkła. Wbiegł na górę, wybrał okno wychodzące na rozłożysty dąb i przeciągnął diamentem wzdłuż brzegu ramy. Ostrze narzędzia wbiło się głęboko w szkło. Potem zrobił identyczne nacięcia wzdłuż dwóch kolejnych boków. Odłożywszy diament, podszedł do łóżka, zdjął poszwę z poduszki, owinął nią lewą rękę, wrócił do okna i powoli, ostrożnie naciął czwartą krawędź.

Z palcami prawej ręki na szkle, uderzył w szybę osłoniętą dłonią. Szyba się poruszyła. Uderzył jeszcze raz, tym razem trochę mocniej, i szkło wysunęło się z ramy. Wtedy chwycił je palcami, żeby nie wypadło i się nie rozbiło. Obrócił je i aby nie przerwać drucika, położył na płask. Potem ostrożnie przecisnął się przez pustą ramę, stanął tyłem do ściany i wskoczył na rozwidlone gałęzie dębu. Zachwiał się niebezpiecznie, objął rękami konar i się przytrzymał. Odzyskawszy równowagę, rozejrzał się, zszedł na najniższą gałąź i skoczył. Od ziemi dzielił go niecały metr.

Wyjął z bokserek komórkę, zadzwonił do Treadstone, powiedział im, gdzie jest, i poprosił o samochód. Potem wyszedł z zaułka, szukając drogi, której nazwę mógłby podać kierowcy.

•••

Wystarczyły trzy telefony, by odkryć, że *Rekursja* naprawdę istnieje i że jest to łódź cumująca na stanowisku 31 w Dockside Marina przy Water Street numer 600. W tym czasie kierowca zdążył już podrzucić go do samochodu, który zostawił za ogrodzeniem Czarnego Mnicha. Czterdzieści minut później Peter wjechał na portowy parking.

Przez chwilę siedział, obracając klucz w ręku i wsłuchując się w tykanie stygnącego silnika. Potem wysiadł i poszedł na pomost, przy którym cumowały łodzie. Większość została zabezpieczona na zimę brezentem. Niektóre stanowiska były puste, bo łodzie przewieziono do suchego doku i szczelnie zafoliowano. Na niektórych uwijali się wędkarze, którzy rozmieszczali sprzęt, zmywali węzłem pokład, zwijali liny, czyścili siedzenia i mosiężny reling. Peter skinął im z uśmiechem głową i poszedł dalej. Musiał pamiętać, że w porcie życie zwalnia i że nie wolno się tu spieszyć.

Było dziwne, że Florin Popa, zwykły ochroniarz, miał łódź. Ale zważywszy na to, jak starannie ukrył klucz, może wcale nie był jej właścicielem. Może tylko z niej korzystał.

Peter szedł pomostem, aż dotarł do stanowiska numer 31. *Rekursja* okazała się jedenastometrową łodzią motorową Cobalt z wewnętrznym silnikiem. Sądząc po otwartym pokładzie i rozmieszczeniu siedzeń, nie była to łódź wędkarska, tylko wycieczkowa. Peter przytrzymał się drewnianego pachołka i wskoczył na pokład. Najpierw sprawdził, czy nikogo na nim nie ma. Łatwo mu to poszło, ponieważ na pokładzie nie

było kabiny ani żadnych innych zamkniętych przestrzeni, nie licząc malutkiego, ciasnego pomieszczenia na dziobie.

Wyjął kluczyk i spróbował włożyć go do stacyjki. Ale kluczyk wszedł tylko do połowy. Nie pasował. Peter wyjął go i rozpoczął dokładniejsze poszukiwania, zdejmując poduszki z siedzeń nad schowkami, otwierając mały schowek naprzeciwko fotela pasażera, ciągnąc za metalowy pierścień, którym otworzył następny, nieco większy — na próżno. Na pokładzie nie było żadnego otworu, do którego pasowałby klucz.

Nad miastem zapadał zmierzch, wody przystani smagał zimny wiatr. Peter usiadł na rufie i patrząc w dal, zastanawiał się, co przegapił. „Rekursja” — taki napis wyryto na kluczu. Zlokalizował *Rekursję*, był na jej pokładzie. Dlaczego nie mógł znaleźć niczego, co klucz miał otwierać?

Rozważał ten denerwujący problem przez kwadrans. Zrobiło się ciemno, zapłonęły światła i musiał skapitulować, przynajmniej na razie. Zadzwoił do Sorai do domu i rozłączył się, przypomniawszy sobie, że ma zepsuty telefon. Wybrał numer jej komórki, ale od razu włączyła się poczta głosowa. Zostawił jej krótką, z konieczności enigmatyczną wiadomość i schował telefon.

W domu zrobił kolację z resztek z poprzedniego dnia, ale prawie nic nie zjadł. Potem chodził po mieszkaniu, z roztargnieniem dotykając różnych przedmiotów i gorączkowo myśląc. W końcu, uznawszy, że jest zmęczony i podminowany, włożył płytę do odtwarzacza i obejrzał kilka odcinków serialu *Mad Men*, co go trochę uspokoiło. Zaczął wyobrażać sobie, że jest Donem Draperem, tylko że nazywa się Anthony Dzundza. Roger Sterling był Tomem Brickiem, Peggy Sorayą, a Joan trenerką z siłowni, którą od miesięcy próbował poderwać.

• • •

Letarg i bezwład.

— Tak to się kończy? — spytała Martha, patrząc na to, co pozostało z jej matki.

— Dla niektórych. — Don Fernando podszedł bliżej. — Dla rozbitych i cierpiących.

— Nie zawsze cierpiała.

— Zawsze. — Gdy Martha się odwróciła, dodał jej otuchy uśmiechem.

— Urodziła się z wadą mózgu, coś w nim było nie tak. W tamtych

czasach lekarze nie potrafili tego zdiagnozować, ale nawet dzisiaj niewiele można zrobić.

— A leki?

— Młodą kobietę leki zmieniłyby w zombie. Tak byłoby lepiej?

Matka poruszyła się niespokojnie, miauknęła jak kot i Martha zaprowadziła ją do łazienki. Spędziły tam kilka minut. Don Fernando podszedł do toaletki, podniósł zdjęcia i przyjrzał się im uważnie — im, a raczej dziewczynce, jaką Martha kiedyś była. Miał niezwykłą umiejętność odgadywania ludzkich dziwactw na podstawie starych fotografii.

Otworzyły się drzwi i odstawivszy zdjęcia, pomógł Marcie zaprowadzić matkę do łóżka, na którym usiadły. Staruszka była wyczerpana, całkowicie wycofana, jakby już spała.

Weszła pielęgniarka, lecz Martha odprawiła ją gestem ręki. Rozumiejąc się bez słów, położyli staruszkę do łóżka. Gdy Martha odgarniała włosy z jej wychudzonej twarzy, matka spojrzała na nią i w jej oczach rozbłysły malutkie iskierki, tak że można było przez chwilę uwierzyć, że ją poznała. Ale cień uśmiechu zniknął tak szybko, jakby nigdy go nie było.

Kiedy matka zamknęła oczy i odpłynęła w nieprzebyty gąszcz umysłu, Martha usiadła na brzegu łóżka.

— Wszyscy tak kiedyś skończymy.

— Albo młodo umrzemy. — Don Fernando wykrzywił usta. — Z wyjątkiem mnie, oczywiście. — Kiwnął głową. — Nikt nie wyjdzie stąd żywy.

— *Five to One*. — Martha rozpoznała werset piosenki Doorsów.

— Mam słabość nie tylko do Bacha i Jacques'a Brela.

Martha odwróciła głowę.

— Jak mogę ją zostawić?

— Już ją zostawiłaś. — Martha spojrzała na niego, lecz zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, dodał: — To nie krytyka, to zwykłe stwierdzenie faktu. — Podszedł bliżej. — A faktem jest, że tu jest jej lepiej. Potrzebuje opieki, a ci ludzie się nią opiekują.

Martha odwróciła się i spojrzała na twarz śpiącej matki. Coś się wydarzyło. Nie widziała już w niej siebie.

• • •

Kiedy w końcu Peter zasnął, śniła mu się łódź pędząca pełnym gazem prosto na niego, podczas gdy on rozpaczliwie próbował odpłynąć na bok, żeby nie posiekała go wirująca śruba. Rano, gdy szykując płatki na śniadanie, ospale wlewał mleko do miseczki w wesołe paski, doznał olśnienia.

Włączył laptop, wygooglował hasło „rekursja” i przeczytał, że jest to „proces definiowania funkcji lub obliczania z wielokrotnym zastosowaniem tego samego algorytmu”. Nic mu to nie mówiło, kiedy jednak sprawdził pochodzenie tego słowa, okazało się, że *recursio* znaczy po łacinie „przybiec z powrotem lub powtórzyć część jakiejś procedury”, jak na przykład podczas mycia głowy: namydlić, spłukać, powtórzyć.

Pomyślał wtedy, że, być może, uda mu się wypatrzeć rekursję na *Rekursji*. Sęk w tym, że dokładnie ją przeszukał i nic nie znalazł. Ale może warto by było przeszukać najbliższą okolicę?

Wziął prysznic, ubrał się w rekordowym tempie, pojechał na przystań, wbiegł na pomost i wskoczył na pokład cobalta. Wszystko wyglądało jak poprzedniego dnia. Powoli obszedł łódź, wyglądając za burty. Za lewą, dziobem i rufą niczego nie znalazł i myślał, że z prawą będzie podobnie, ale sięgnąwszy pod dolny odbojnik, wymacał przywiązaną od spodu linę.

Coraz bardziej podekscytowany zaczął ją wyciągać, przebijając rękami, aż zobaczył, czym jest obciążona: była to wielka, wyłożona gumą wodoszczelna torba, bardzo ciężka, dlatego z trudem zawłókł ją na rufę. I tak, była zamknięta. Gdy włożył kluczyk i przekręcił go w prawo, kłódka ustąpiła.

Kiedy ją zdjął, wierzch torby rozwarł się jak paszcza rekina. W środku leżały paczki banknotów, pięciuset- i tysiąc dolarowych. Widok zaparł mu dech w piersi. Odruchowo rozejrzał się na wszystkie strony, mrużąc oczy w porannym słońcu i upewniając się, czy nikt go nie obserwuje. Ale nie, nikogo nie zobaczył. Kilku wędkarzy, których minął po drodze, już odpłynęło. Przystań opustoszała.

Liczył pieniądze pół godziny, sumując wartość pakietów, z których każdy — co szybko odkrył — zawierał tyle samo banknotów. Skończywszy, nie mógł uwierzyć, jak wielka fortuna przed nim leży.

Boże, pomyślał. Trzydzieści milionów dolarów!

• • •

Bourne i Rebeka wysiedli z samolotu z podążającym za nimi Babilończykiem.

— Stąd nie ma wyjścia — syknęła Rebeka. — Jesteśmy w potrzasku.

— Przed nami jeszcze odprawa celna i paszportowa. — Jason zdawał sobie sprawę, że Halevy trzyma się pięć, sześć osób za nimi. Musiał tam stać, żeby mieć ich na oku.

— Rozdzielmy się — zaproponowała Rebeka. Ustawili się już w kolejce do stanowiska odprawy pasażerów pierwszej klasy, więc wyjęła i otworzyła paszport.

— Właśnie tego się po nas spodziewa — odparł Bourne. — Dziel i rządź. Tacy jak on tak już mają.

Krok za krokiem przesuwali się w stronę namalowanej na podłodze białej linii, która wyznaczała miejsce, gdzie należało przystanąć przed okazaniem paszportu.

— Masz lepszy pomysł? — spytała Rebeka.

— Zaraz będę miał. Za chwilę.

Bourne powiódł wzrokiem po twarzach pasażerów: mężczyźni, kobiety, dzieci w różnym wieku, rodziny z wózkami i akcesoriami, bez których nie obejdzie się żadne niemowlę czy trochę starszy maluch. Trzy rozchichotane nastolatki z plecakami w kształcie misia, które odtańczyły krótki taniec zwycięstwa, kobieta na wózku, trzylatka, która odłączywszy się do matki, zawędrowała w tłum ludzi, a ci śmiali się i klepali ją po głowie.

— Trzeba zrobić tak, żeby coś zaczęło się dziać.

— Ale co? — dopytywała się Rebeka, mimo to poszła za nim, gdy ruszył w kierunku wijącej się przez halę dłuższej kolejki pasażerów klasy ekonomicznej.

Przystanął przy kobiecie na wózku linii lotniczych. Była w eleganckim różowym kostiumie od Chanel, a gęste czarne włosy miała ściągnięte mocno do tyłu i upięte w skomplikowany kok. Jason pochylił się i powiedział:

— Nie powinna pani stać w kolejce. Pomogę pani.

— Jest pan bardzo miły.

— Tim Moore — ciągnął Bourne, podając nazwisko z paszportu, którego aktualnie używał.

— Constanza. — Twarz kobiety świadczyła o tym, że podczas toczonych przed wiekami bitew krew Olmeków zmieszała się z krwią hiszpańskich konkwistadorów. Jej skóra miała kolor miodu, a z jej wyrazistego oblicza, niemal okrutnego, biło ponadczasowe piękno. —

Naprawdę nie wiem, dlaczego mnie tu zostawili. Stewardesa kazała mi chwilę poczekać i już nie wróciła.

— Proszę się nie martwić — powiedział Bourne. — Moja żona i ja przeprowadzimy panią raz-dwa.

Pchnął wózek i ruszyli na czoło kolejki pasażerów pierwszej klasy.

— Halevy nie spuszcza nas z oka — szepnęła Rebeka.

— Niech sobie patrzy. Nic nie może zrobić.

Constanza przekrzywiła głowę, spoglądając na nich pytająco.

— Co pan mówi?

— Że będę potrzebował pani paszportu.

— Naturalnie. — Byli już przy stanowisku odprawy. — Proszę.

Bourne podał trzy paszporty urzędnikowi. Ten otworzył je i przyjrzał się ich twarzom.

— Ta pani jest Meksykanką. Powinniście państwo stanąć w tamtej kolejce.

— *Señor* i *señora* Moore są ze mną — powiedziała Constanza. — Jak pan widzi, nie mogę się bez nich obejść.

Urzędnik chrząknął.

— Przyjechali państwo w interesach czy dla przyjemności? — spytał znudzonym głosem.

— Jesteśmy na urlopie — odparł Bourne takim samym tonem.

Paszporty zostały podstemplowane, Jason pchnął wózek i znaleźli się w hali odbioru bagażu. Przez cały czas trzymali się Constanzy, podczas gdy bezradny i wściekły Babilończyk chodził nerwowo tam i z powrotem.

Za stanowiskiem kontroli bezpieczeństwa czekał na nich jej szofer, krzepki Meksykanin o malutkich świńskich oczkach, okrągłej jak księżyc dziobatej twarzy i zachowaniu troskliwego wujaszka. Rozłożył piękny błyszczący wózek i bez najmniejszego wysiłku posadził na nim swoją podopieczną.

— Manny — powiedziała Constanza, gdy szli do wyjścia — to jest *señor* Moore i jego żona Rebeka. Byli tak uprzejmi, że pomogli mi przejść przez odprawę. To bardzo mili ludzie, co w dzisiejszych czasach jest prawdziwą rzadkością. Prawda?

— Ma pani rację, *señora* — zgodził się z nią usłużnie Manny.

Constanza podniosła głowę.

— Panie Moore, muszę was ugościć. W aucie jest mnóstwo miejsca, a ponieważ zbliża się pora lunchu, zapraszam do siebie. Wsiadajcie, nalegam.

Nie żartowała, mówiąc, że w samochodzie jest mnóstwo miejsca. Jej „autem” okazał się hummer, limuzyna z robionym na zamówienie wnętrzem, wygodna jak salon.

— Proszę mi powiedzieć, czym się pan zajmuje? — spytała, gdy wsiedli i dołączyli do strumienia uciekających z lotniska samochodów. Duże piersi, talia osy, długie nogi: miała ciało, za które większość dwudziestoletnich kobiet dałaby się zabić.

— Import-eksport — odparł bez wahania Bourne.

— Rozumiem. — Constanza zerknęła na Rebeke, która akurat patrzyła przez ramię na wejście do hali głównej lotniska. — Uwielbiam ludzi z tajemnicami.

— Słucham? — Rebeka szybko odwróciła głowę.

— Acevedo Camargo, mój świętej pamięci mąż, składał się z samych tajemnic. — Uśmiechnęła się chytrze. — Czasem myślę, że dlatego się w nim zakochałam.

— Acevedo Camargo — powtórzył Jason. — Słyszałem to nazwisko.

— Na pewno. — Constanza spojrzała na Rebeke i rozbłysły jej oczy. — Tak jak wielu Meksykanów, mój zmarły mąż dorobił się na handlu narkotykami. — Wzruszyła ramionami. — Nie wstydzę się tego. Fakty są faktami, poza tym lepsze to, niż kłaniać się w pas obcokrajowcom. — Machnęła ręką. — Bez urazy, ale jestem u siebie i mogę mówić, co chcę i kiedy chcę.

Uśmiechnęła się dobrotliwie.

— Musicie mnie zrozumieć. Acevedo był dobrym człowiekiem, jednak w Meksyku dobrzy ludzie często umierają. Acevedo odwrócił się od handlu narkotykami. Został politykiem, zaczął walczyć z tymi, dzięki którym stał się multimilionerem. Odwaga czy głupota? Pewnie jedno i drugie. Zabili go za to, zastrzelili na ulicy, gdy szedł z biura do opancerzonego samochodu, zasypali go gradem kul. Nikt nie mógł go uratować, nawet gdyby miał dwunastu ochroniarzy, zamiast trzech. Tego wieczoru wszyscy zginęli. Pamiętam, że słońce było czerwone jak czapka torreadora. Tak, Acevedo był prawdziwym torreadorem.

Zmęczona wspomnieniami opadła na oparcie fotela. Jechali autostradą Circuito Interior, zmierzając na zachód.

Rebeka skrzyżowała spojrzenie z Jasonem.

— Tak mi przykro...

— Dziękuję — powiedziała Constanza — ale to zbyteczne. Zakochując się w nim, dobrze wiedziałam, jakie czeka mnie życie. — Wzruszyła ramionami. — Co można zrobić, kiedy pożądanie spleta się

z przeznaczeniem? Życie w Meksyku składa się w równej mierze z biedy, beznadziei i łajna. To niekończące się pasmo porażek. Przepraszam za obcesowość, lecz mieszkam tu wystarczająco długo, by wiedzieć, że owijanie w bawełnę jest nudne.

Jej dłoń, szczupła, elegancka, połyskująca lakierem na paznokciach i klejnotami pierścionków na palcach, zakreśliła kółko w powietrzu.

— A ponieważ życie jest takie, jakie jest, zrobimy wszystko, żeby tylko podnieść twarz z błota. Ja wybrałam Aceveda. Wiedziałam, kim i czym jest. Nie ukrywał tego przede mną, nie chciał i nie mógł. Z biegiem lat zaczęłam mu doradzać. Oczywiście nikt o tym nie wiedział. Na takie kobiety krzywo się tu patrzy. — Uśmiechnęła się, niemal rzewnie. — Zamiast dzieci dałam mu jeszcze więcej pieniędzy. Nie nadawałam się do kucharzenia i niańczenia. Od razu mu to powiedziałam. Mimo to kochał mnie i pożywał. Taki dobry człowiek. Tyle rozumiał. Nie potrafił tylko przeżyć. — Westchnęła. — Był bardzo inteligentny, ale nie pojmował, że nie ma żadnego znaczenia, kto łamie prawo i grabi, rząd czy przestępcy.

Podniosła głowę i uśmiechnęła się buńczucznie.

— Patrząc wstecz, jestem pewna, że wiedział, iż go zabiją. Miał to gdzieś. Chciał robić to, co robił. — Na jej ustach znowu wykwitł ten enigmatyczny uśmiezek. — Tak jak mówiłam, był odważny i głupi.

Zjechali z autostrady, skręcili w Rio Consulado, a potem w Paseo de la Reforma. Gdy przekroczyli granicę Dystryktu Federalnego, domu dwudziestu dwóch milionów ludzi, Constanza znowu skupiła uwagę na Jasonie i Rebecie.

— *Dios mio* — powiedziała, gdy przebijali się przez zatłoczone uliczki Starego Miasta. — Ciągle opowiadam o sobie, a tak bardzo chciałabym usłyszeć coś o was.

• • •

— Więc do kogo należysz? — spytał don Fernando.

Martha Christiana oderwała kawałek maślanego croissanta, próbując skupić się na jedzeniu.

— Dlaczego miałabym do kogoś należeć?

— Pragnę tego wszystkie kobiety.

Martha upiła łyk café au lait z grubej białej filiżanki wielkości małej miseczki.

— A kobiety niezależne?

— Zwłaszcza one! — podkreślił z entuzjazmem don Fernando. — Niezależność musi być z czymś powiązana, inaczej nic nie znaczy. Nie ma przeciwwagi. Usycha i zmienia się w rozgoryczenie.

Siedzieli przy okrągłym szklanym stoliku o misternie rzeźbionych nogach z kutego żelaza, jednym z kilkunastu w mieszczącej się na dachu restauracji z widokiem na ruchliwy gibraltarski port i turkusowe wody Morza Śródziemnego. Błękitne niebo było upstrzone pogodnymi chmurami. Jej włosami poruszała odświeżająca bryza. Było już późno, gdy wyszli z pokoju, gdzie spała zamknięta w swoim umyśle matka. Martha musiała z kimś porozmawiać, chociaż początkowo się wstydziła. Ale kiedy położyli staruszkę do łóżka, ku swemu zdziwieniu stwierdziła, że wstyd wyparował jak mgła na słońcu.

Spojrzała na jego wyrazistą, pociętą zmarszczkami i opaloną twarz. Zobaczył jej minę i szeroko rozłożył ramiona.

— No co? Kocham kobiety.

— Nic na to nie wskazuje, przynajmniej w tej chwili.

— W takim razie źle mnie zrozumiałaś. — Pokręcił głową. — Nikt nie wybiera samotności, nikt nie chce.

— Ja tak.

— Nie — odparł. — Nieprawda.

— Proszę, nie mów mi tylko, czego chcę.

— Przepraszam — powiedział, bynajmniej nie chcąc jej przeprosić.

Podano jajka, *papas bravas* i *salsę verde*. Przez jakiś czas jedli w milczeniu. Narastało napięcie. W chwili gdy zrozumiała, że don Fernando milczy celowo, ten powtórzył:

— No więc? Do kogo należysz?

Uśmiechnęła się leciutko, lecz ukryła to, zgarniając żółtko ziemniakiem i wkładając go do ust. Nareszcie zrozumiała, o czym rozmawiają i dlaczego przywiózł ją na Gibraltar. W zamyśleniu przełknęła.

— Dlaczego pytasz?

— Bo kiedy do mnie przysłaś, byłaś aniołem śmierci — odparł spokojnie. Dostrzegł błysk w jej oczach, jej delikatnie, prawie niezauważalnie rozszerzone źrenice. — I zastanawiam się teraz — dodał — czy mamy to już za sobą.

— A jeśli nie?

— To musisz mnie zabić — odrzekł z uśmiechem.

Odchyliła się do tyłu i wytarła usta.

— A więc wiesz.

— Na to wygląda.

— Od kiedy?

Wzruszył ramionami.

— Od samego początku.

— I pozwoliłeś mi działać?

— Bo mnie intrygujesz.

Przyjrzała mu się poważnie i nagle roześmiała się.

— Chyba wychodzę z wprawy.

— Nie. Nie chcesz dłużej być sama. Chcesz przynależeć.

— Należę do Maceo Encarnaciona.

Pokręcił głową.

— Nie, moja droga, to iluzja.

— Zaraz powiesz mi pewnie, że iluzja stworzona przez niego.

— Nie, to iluzja, którą stworzyłaś sama. — Wiedząc, że Martha przepada za świeżo wyciśniętym sokiem z czerwonych pomarańczy, napełnił jej wysoką, wąską szklankę. — Maceo Encarnación nie ma takiej władzy. — Zrobił pauzę, jakby się nad czymś zastanawiał. — Chyba że mu ją dałaś.

Ponownie wzruszył ramionami i spotkali się wzrokiem.

— Ale nie, jesteś na to za silna. To nie ulega wątpliwości.

— Skąd wiesz? — spytała.

Odpowiedział jej samymi oczami.

— Pracuję dla niego od wielu lat. Zaczęłam po... — Chciała powiedzieć: „po długiej serii mężczyzn, którzy mnie wykorzystywali i którym nie pozostawałam dłużna, po tym, jak uciekłam z Marrakeszu”, ale ugryzła się w język. Nie, o tych latach poniżenia nie mogła opowiedzieć nawet jemu, mężczyźnie, któremu — dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę — zaufała, co ją zdumiewało, ponieważ była pewna, że nigdy nie zaufa żadnemu. Łącznie z Maceo Encarnacionem, który hojnie płacił za jej usługi, tak jak zapłacił za wyszkolenie. „Jesteś urodzoną zabójczynią — powiedział kiedyś. — Musisz tylko podszlifować swoje umiejętności i poszerzyć ich gamę”. O wzajemnym zaufaniu nigdy nie rozmawiali. Zawsze łączyły ich układy ściśle finansowe, nic więcej. Ale fakt pozostawał faktem: nigdy nie przeszło jej przez myśl, żeby go zdradzić. Aż do teraz.

Don Fernando Herrera, mężczyzna, który siedział naprzeciwko niej, patrząc w głąb jej duszy, wszystko zmienił, przewrócił jej życie do góry nogami, zmusił ją do złamania wszystkich zasad, jakie sobie narzuciła.

Ale z drugiej strony, może wcale tak nie było. Może był tylko emisariuszem i wręczył jej klucz. Reszta zależała od niej, tak jak dawał jej do zrozumienia. To ona otworzyła drzwi i wkroczyła do zupełnie nowego świata. Nie mówił jej, co ma robić ani co czuć — próbował tylko powiedzieć, że już podjęła decyzję.

Nie musiała pytać, wiedziała, że don Fernando tak to widzi i była mu za to wdzięczna. O takim mężczyźnie zawsze marzyła, wmawiając sobie, że nigdy go nie spotka, że ktoś taki po prostu nie istnieje.

A jednak...

Spojrzała na rozkołysane łodzie, na zwinięte żagle i suszące się sieci na pokładzie tych, które niedawno wróciły z morza. Na granitowe głazy wystające z wody jak ramiona wielkoluda.

— Kiedy byłam mała — powiedziała — myślałam, że mieszkam na końcu świata. — Zrobiła pauzę, bojąc się mówić dalej. A potem zrobiła krok i weszła do jasno oświetlonego pokoju. — Myliłam się. To był początek.

Rozdział 16

Constanza Camargo mieszkała w Colonia Polanco, na rogu Alejandro Dumas i Luis G. Urbina. Z jej przesłoniętego żaluzjami okna Bourne widział kanciasty sztuczny staw w parku Lincolna i geometryczne kępy gęstych drzew, za którymi biegła ulica Castelara. Wnętrze kolonialnej rezydencji było ciepłe i wygodnie urządzone, bardzo przytulne, a nawet intymne dzięki obfitości rzeczy osobistych, zdjęć i pamiątek ze wszystkich zakątków świata.

— Ktoś tu lubi Indonezję — zauważył, gdy wchodzili do jadalni z sufitem poprzecinanym belkami z ciemnego drewna. Ściany były wyłożone ciemnozieloną tapetą w abstrakcyjne leśne wzory, a przeszklone drzwi prowadziły na wewnętrzny dziedziniec, gdzie dominowały drzewo cytrynowe i betonowa fontanna w kształcie dwóch wyskakujących z wody delfinów. Do ścian z bladego kamienia przywierały macki różowych i fioletowych bugenwilli.

— To ja — powiedziała Constanza. — Na Jawie weszłam o wschodzie słońca na szczyt buddyjskiej świątyni Borobudur. A po południu usłyszałam głosy muezinów rozbrzmiewające echem w zbrązowiełej od słońca dolinie. To było niesamowite. Od razu się zakochałam.

Gdy usiedli przy stole na kozłach z grubym blatem, otoczyli ich służący. Jeden niósł wazę z gulaszem, drugi półmisek z mięsem, trzeci tequilę, wino i źródlaną wodę. Lunch serwowano metodycznie, niemal rytualnie.

Constanza spojrzała na nich z tym samym błyskiem w oczach.

— Opowiedziałam wam moją historię, a teraz wy musicie opowiedzieć swoją.

— Przyjechaliśmy tu, bo kogoś szukamy — wypalił Bourne, zanim Rebeka zdążyła otworzyć usta.

— Aha. — Constanza uśmiechnęła się. — A więc nie na urlop.

— Niestety, nie.

Constanza zaczęła, aż służąca naleje jej na talerz gęstego wieprzowego sosu.

— To coś nagłego i pilnego, prawda?

— Dlaczego tak pani uważa? — spytała Rebeka.

— Moja droga, myśli pani, że nie widziałam tego ponuraka w hali przylotów? Może i się starzeję, ale jeszcze nie zdziecinniałam!

— Chciałabym być tak spostrzegawcza, kiedy będę w pani wieku.

— Pochlebstwem załatwi pani wszystko. — Constanza puściła do niej oko. — Jak myślicie, dlaczego zaproponowałam wam podwózkę? — Nachyliła się ku nim i konspiracyjnym szeptem dodała: — Chcę wziąć w tym udział.

— W tym?

— W tym, co knujecie. W czym chce wam przeszkodzić ten okropny ponurak z lotniska.

— Skoro już rozmawiamy otwarcie — powiedział Bourne — ten ponurak chce nas zabić.

Constanza zmarszczyła brwi.

— I miałabym do tego dopuścić?

Rebeka pokręciła głową.

— Nie szokuje to pani?

— Mnie już nic nie zaszokuje, nie po tym, co przeżyłam. — Constanza spojrzała na Jasona. — Nic nie jest szokujące dla kogoś, kto pracuje w imporcie-eksporcie. Mój mąż zajmował się tym przez wiele lat! — Złożyła ręce, zapominając o jedzeniu. — Dlatego powiedzcie, co możecie, a postaram się pomóc wam znaleźć tego, kogo szukacie.

— Nazywa się Harry Rowland — powiedział Bourne.

— Albo Manfred Weaving — dodała Rebeka.

— Przykrywki i pseudonimy. — Oczy Constanzy rozbłysły. — O tak, znam się na tym. Kiedy jeździliśmy za granicę na początku naszego małżeństwa, Acevedo używał ich cały czas.

— Wiemy coś, co może ułatwić nam zadanie. Niewykluczone, że ten człowiek pracuje dla SteelTrap.

Twarzą Constanzy coś zawładnęło, coś potężnego, mrocznego i nieprzyjemnego. Spojrzała na Bourne'a, potem na Rebekę.

— To zabrzmiało przesadnie, a nawet melodramatycznie. Celowo. — Oczy pociemniały jej od tajemnic, których wolała nie wyjawiać. — Dam wam radę. Zapomnijcie o tym Rowlandzie czy Weavingu. Zapomnijcie o całej tej sprawie. I najbliższym samolotem opuśćcie Meksyk.

• • •

Po długiej niespokojnej nocy, podczas której Charles Thorne ścigał ją w labiryncie wilgotnych korytarzy, cuchnących środkami znieczulającymi i śmiercią, Delia obudziła się we własnym łóżku z koszmarным bólem głowy, którego nie złagodziły nawet trzy tabletki ibuprofenu. Włączyła komórkę, by sprawdzić, czy nie dzwoniła do niej pielęgniarka z OIOM-u, chociaż wiedziała, że nie dzwoniła. Jedna wiadomość na poczcie głosowej i dwa SMS-y od Amy, która pytała, co słycać. Amy i Soraya nie przepadały za sobą, co bardzo ją smuciło. Początkowo nie mieściło się jej to w głowie, ale Amy była o nią zazdrosna i chociaż Delia wiele razy zapewniała ją, że w jej przyjaźni z Sorayą nie ma nic fizycznego, że Soraya jest stuprocentowo heteroseksualna, Amy jej nie wierzyła. „Dużo na ten temat czytałam — powiedziała w jednej ze swoich nie najlepszych chwil — i wiem, jak rozbuchany jest homoseksualizm w świecie arabskim. Zepchnięto go do podziemia, jest dobrze zakamuflowany, co jeszcze bardziej wzmaga różne chętki”. Cokolwiek by Delia mówiła, Amy trwała przy swoim zdaniu, dlatego w końcu przestała z nią o tym rozmawiać i temat stopniowo umarł śmiercią naturalną.

Wzięła prysznic, ubrała się i zjadła coś w McDonalddie dla zmotoryzowanych, ale zupełnie nie czuła smaku i równie dobrze mogłaby zjeść tekturowe opakowanie hamburgera.

W pracy zajęła się analizowaniem budowy podwójnie zabezpieczonego, piekielnie skomplikowanego zapalnika. Gdy w końcu spojrzała na zegarek, okazało się, że minęły dwie godziny. Wstała, przeciągnęła się i przeszła się po laboratorium, żeby oczyścić umysł.

Na próżno. Wciąż prześladowały ją natrętne myśli i wciąż wściekała się na Thorne'a. Oczywiście najbardziej martwiła się o Sorayę, chociaż teraz zupełnie się w tym pogubiła i nie rozumiała, co pchnęło przyjaciółkę w ramiona tego potwora. Może heteroseksualiści po prostu tak mają, pomyślała z rozbawieniem i rozgoryczeniem. Thorne ją poniżył. Co gorsza, pozwolił mu na to.

Wróciła do biurka, lecz nie mogąc się skupić, wzięła kurtkę i pojechała do szpitala. Czuła, że musi tam być, że to ważne, zwłaszcza teraz, kiedy Soraya jest nieprzytomna i bezbronna.

Zmęczona i straszliwie głodna wpadła na OIOM, a kiedy pielęgniarka powiedziała jej, że stan Sorai nie uległ zmianie, zeszła do mieszczącej się w podziemiach kantyny, załadowała tacę bezsensowną mieszanką dań, zapłaciła i usiadła przy laminowanym stoliku. Jadła, patrząc na wielki

zegar ścienny i myśląc o przyjaciółce. Miała nadzieję, że z każdym oddechem Soraya dochodzi do siebie.

Boże, modliła się w duchu, bądź przy niej, uchronij ją przed chorobą, daj zdrowie jej i dziecku.

Od szpitalnej klimatyzacji piekły ją oczy i skóra. Wiedziała, że powinna wyjść, pójść na spacer, może nawet obejść cały kwartał, ale nie mogła się do tego zmusić. Czekwała na telefon. Czekwała na dobre wieści.

I wreszcie nadeszły. Kiedy zawibrowała komórka, Delia podskoczyła na krześle i nie odrywając telefonu od ucha, z bijącym jak oszalałe sercem popędziła na górę. Zaczekać na windę? Nie, to za długo — wpadła na schody i biegnąc, pokonując po dwa stopnie naraz, myślała: tak trzymaj, Rayu, tak trzymaj!

Nacisnęła duży guzik na ścianie, otwierający automatyczne drzwi, i weszła na OIOM. Po obu stronach szerokiego przejścia ciągnął się rząd boksów z zasłoniętymi wejściami, z których dochodziło elektroniczne popiskiwanie, pogwizdywanie i westchnienia podtrzymującej życie aparatury, czasem słyszała czyjś oddech.

Szybko minęła boksy dla chorych z kardiologii i oparzeniówki. Soraya leżała w ostatnim po prawej stronie. Jej pielęgniarka, młoda kobieta ze ściągniętymi do tyłu włosami, spojrzała na nią z z troskaniem.

— Obudziła się — powiedziała, widząc zaniepokojoną minę Delii. — Przed chwilą badał ją doktor Santiago i jego kolega. Byli zadowoleni z jej stanu.

Delia czuła się tak, jakby stała na rozżarzonych węglach.

— Jakie są rokowania?

— Obydwaj wyrażali ostrożny optymizm.

Delia odetchnęła, miała wrażenie, że w jej piersiach pękł wielki balon.

— A więc najgorsze już za nią?

— Tak, tak myślę. — Pielęgniarka posłała jej typowe dla pielęgniarek spojrzenie, które mogło nic nie znaczyć. — Zrobiła niezwykle postępy, ale ma przed sobą długą drogę.

— Chciałabym ją zobaczyć.

Kobieta skinęła głową.

— Tylko proszę jej nie przemęczać. Wciąż jest bardzo słaba, a jej organizm pracuje za dwoje.

Już miała się odwrócić, gdy Delia spytała:

— Czy ktoś ją odwiedzał?

— Teraz? Nie. Zadzwoiłam do pani zaraz po wyjściu lekarzy.

— Dziękuję.

— W razie potrzeby proszę mnie wezwać. Będę przy monitorach.

Delia rozsunęła zasłonę i weszła do środka. Soraya póleżała na wysokim szpitalnym łóżku, podłączona do zdumiewającej baterii maszyn i aparatury. Na widok przyjaciółki pojaśniała jej twarz.

— Deel... — Podniosła rękę i na chwilę zamknęła oczy, czując ciepły dotyk jej dłoni. — Wróciłam z zaświatów.

— Podobno. — Delia uśmiechnęła się szczerze. Raya wyglądała dużo lepiej niż zaraz po operacji. Jej policzki, poprzedniego dnia trupio blade, znów przybrały ciemnoróżową barwę. — Było ciężko, ale najgorsze za tobą.

Soraya też się uśmiechnęła i Delia wybuchła płaczem.

— Co się stało? Deel, co się stało?

— To przez twój uśmiech. Tak dobrze go znam, tak bardzo kocham.

— Delia pochyliła się i czule wyczuwała ją w policzki, na europejska modłę. — Teraz już wiem, że wróciłaś. Wszystko będzie dobrze.

— Chodź. Usiądź przy mnie.

Delia przysiadła na brzegu łóżka, wciąż trzymając ją za rękę.

— Przez cały czas coś mi się śniło, wiesz? — powiedziała Soraya. — Że jestem w Paryżu z Amunem, że nie zginął. Że jestem z Aaronem. I że Charlie tu jest. — Spojrzała na nią przytomniejszymi już oczami. — On tu jest?

— Nie, poszedł. — Delia uciekła wzrokiem w bok, potem znowu spojrzała na Sorayę. — Powiedział, że dziecko wszystko zmienia i że cię nie zostawi.

— Innymi słowy, źle go oceniałaś.

— Chyba tak. — Delia nie zamierzała mówić przyjaciółce, że Thorne jej groził.

— To dobrze. Bardzo dobrze. — Soraya ścisnęła jej rękę. — Zrobiłaś dokładnie to, co chciałam.

Delia podniosła głowę.

— Jak to?

W uśmiechu Sorai widać było cień skruchy.

— Wykorzystałem cię, Deel. Byłam u niego przed szpitalem, ale to, czego chciałam, napawało mnie tak wielką odrazą, że nic mu nie powiedziałam. Wolałam, żebyś ty to zrobiła. Nie bądź na mnie zła.

— Nie jestem, jak bym mogła? — Delia pokręciła głową. — Ale nic z tego nie rozumiem.

— Dasz mi wody?

Delia wstała i nalala wody do plastikowego kubka. Soraya wypila ją łąpczywie. Oddala jej pusty kubek i powiedziala:

— Muszę go jakoś zatrzymać, rozumiesz?

— Nie, nic a nic.

Soraya roześmiała się cicho i położyła rękę na brzuchu.

— Zobacz. Poruszyło się.

Delia położyła dłoń obok jej dłoni i czując, że dziecko kopie, też się roześmiała. Potem usiadła prosto.

— Dobrze. A teraz mów, co nas wszystkich łączy, ciebie, mnie i Thorne'a.

Soraya przyglądała się jej przez chwilę. W końcu powiedziala:

— Mój związek z Charliem to tylko pozory.

Delia niemo pokręciła głową.

— To interes — dodała Soraya.

— Romans z Thorne'em to interes? — Delia przeżyła wstrząs. — Żartujesz?

— Chciałabym. — Soraya westchnęła. — Dlatego się z nim zadałam.

— Uśmiechnęła się. — Tyle mogę ci powiedzieć. Mam wyrzuty sumienia, że cię wykorzystałam.

— Jezu Chryste, Rayu... — Delia nie dowierzała własnym uszom. Lecz nagle to, co zawsze uważała za bezsensowne, nabrało innych wymiarów. — Szczerze mówiąc, nigdy nie mogłam zrozumieć, co w nim widzisz.

— Tajemnice, Deel. Tajemnice. Rządzą moim życiem, dobrze wiesz.

— Tak, ale on? Wskoczyć mu do łóżka, żeby...

— To licząca setki lat tradycja. Spytaj Kleopatrze, Lukrecję Borgię, Matę Hari.

Delia ujrzała przyjaciółkę w zupełnie innym świetle.

— A dziecko?

Soraya błysnęła oczami.

— To nie jego.

— Że co? Przecież mówiłaś, że...

— Wiem, co mówiłam. I Charlie musi tak myśleć. — Pogłaskała się po brzuchu. — Ojcem jest Amun.

Delii zakręciło się w głowie, jakby zupełnie straciła orientację w tym nowym świecie. Soraya zrzucała z siebie jedną skórą po drugiej.

— A jeśli zażąda testu na ojcostwo?

— A jeśli powiem o nas jego żonie?

Delia spojrzała na nią innymi oczami, ze zdumieniem i czymś jeszcze.

— Rayu, przerażasz mnie.

— Och, Deel, nie chciałam. Jesteś moją przyjaciółką. Jesteśmy sobie bliższe niż siostry. Nawet Peter nie wie tego, co ci właśnie powiedziałam. Spróbuj zrozumieć, proszę.

— Bardzo chcę, naprawdę. Jednak to pokazuje, że nigdy się nikogo nie zna, bez względu na to, jak blisko się z nim jest.

— Ale my jesteśmy blisko. — Soraya wyciągnęła do niej rękę. — Posłuchaj: po powrocie z Paryża zrozumiałam, że w życiu liczą się nie tylko tajemnice. Przedtem miałam jedynie to. — Roześmiała się. — Oczywiście nie licząc ciebie. — Błyskawicznie spoważniała. — Ale teraz mam dziecko i kiedy pomyślałam, że miałabym wykorzystać je jako broń przeciwko Charlesowi, zrobiło mi się niedobrze. To ohydne, czuję się zbrukana, jakbym przekroczyła jakąś obrzydliwą granicę. Nie, nie mogę wykorzystać w ten sposób własnego dziecka. Nie chcę, żeby tak żyło. Zasluguje na coś więcej niż cienie i mrok. Zasluguje na słońce i dzieci w swoim wieku. A nie na matkę, która ciągle zerka przez ramię.

Delia nachyliła się i pocałowała ją w policzek.

— To dobrze, Rayu. Czekałam, aż dojdiesz do tego wniosku, odkąd powiedziałaś mi, że jesteś w ciąży.

Soraya uśmiechnęła się.

— No i doszłam.

— Musisz powiedzieć Peterowi.

— Już powiedziałam, tak jakby.

— Naprawdę? I jak to przyjął?

— Jak to Peter. Jest rozsądny. Rozumie.

Delia kiwnęła głową.

— Tak, Peter jest w porządku. — Zmarszczyła brwi. — A co powiesz Thorne'owi?

— Nic. Nie muszę ci chyba mówić, jaki to człowiek.

Delia wzdrygnęła się z obrzydzenia, wspominając ich potworną, poniżającą rozmowę, jej kulminacyjny moment, gdy Thorne złapał się za krocze, mówiąc: „Nie wiesz, co tracisz”.

Korciło ją, by powiedzieć przyjaciółce, co zrobił, że włamał się do jej komórki i skopiował miłosne wyznania z poczty głosowej, ale ugryzła się w język. Nie chciała denerwować Sorai, nie, kiedy była w tym stanie, nie, kiedy była gotowa wkroczyć w nową fazę życia i zostawić za sobą cały ten podejrzany szajs.

Dlatego uśmiechnęła się i zdusiła w sobie rozgoryczenie.

— Nie, nie musisz. Ostatnio poznałam go dużo lepiej. — Pocałowała Sorayę w policzek. — Nie martw się, będę trzymać buzię na kłódkę.

•••

— Ale ponieważ wiem, że nie posłuchacie mojej rady — ciągnęła Constanza Camargo — muszę wam pomóc, nie mam wyboru.

— Oczywiście, że pani ma — powiedziała Rebeka.

Constanza powoli pokręciła głową.

— Wciąż nie pojmujecie istoty naszego życia. Liczy się przeznaczenie, tylko przeznaczenie. Nie da się tego wyjaśnić ani zrozumieć bez przykładu. Zatem przykład.

La comida wreszcie się skończyła i przeszli do pięknego jak klejnot salonu, wyłożonego mahoniem i przywodzącego wspomnienia z dawnych, dużo bogatszych lat. Constanza usiadła wygodnie na swoim wózku ze splecionymi na kolanach rękami. Gdy przemówiła, jakby cofnął się czas, bo zobaczyli, jak piękna i pełna życia była w wieku dwudziestu, trzydziestu lat.

— Maceo Encarnación nie tylko odebrał życie mojemu mężowi. Odebrał mi również nogi. Było tak. — Wyjęła płaską srebrną papierośnicę, otworzyła ją, poczęstowała ich cygaretkami, a gdy podziękowali, poczęstowała się sama. Nieodstępujący jej na krok Manny pstryknął zapalniczką. — Mam nadzieję, że dym wam nie przeszkadza. — Powiedziała to tak, jakby nie miała zamiaru zrezygnować z poobiedniej przyjemności.

Pałała w zadumie przez długą chwilę, w końcu zaczęła:

— Jak już mówiłam, życie w Meksyku toczy się na kołach przeznaczenia. Ważne jest również pożądanie, w końcu jesteśmy Latynosami, ale w ostatecznym rozrachunku pożądanie tylko przeszkadza. Acevedo odkrył to, gdy zmienił konie. Miał być baronem narkotykowym, takie było jego powołanie. Sprzeniewierzył się mu i zginął. Ten błąd powinien być stać się dla mnie nauką, ale zaślepiło mnie pragnienie zemsty, odcięło mnie od przeznaczenia i w końcu odjęło mi nogi. Było tak: po tym, jak zastrzelono mojego męża, wezwałam jego najwierniejszych współpracowników, Kolumbijczyków, którzy zawdzięczali mu nie tylko swój byt, ale i życie. Przybyli tu i na mój rozkaz wyruszyli, by zabić podłego Maceo Encarnaciona.

Constanza zaciągnęła się głęboko i dym wystrzelił z cygaretki jak pocisk.

— Byłam głupia — ciągnęła. — Źle oceniłam, a raczej nie doceniłam jego władzy. Bo chronią go niemal mistyczne siły, może nawet sami bogowie. Zwolennikom mojego męża obcięto głowy, a potem Encarnación przyszedł po mnie.

Uderzyła pięścią w swoje bezwładne nogi.

— Oto rezultat. Nie, nie zabił mnie. Dlaczego? Nie wiem tego po dziś dzień. Może uznał, że kalectwo będzie dla mnie karą odpowiedniejszą niż śmierć. Ale bardziej prawdopodobne jest, że zrobił to z czystego okrucieństwa.

Machnęła ręką, jakby jej dalsze życie nie miało znaczenia.

— To jest przestroga, panie Moore, a nie próba wzbudzenia współczucia. — Spojrzała na Rebekę. — Teraz już widzisz, moja droga, jak obracają się wielkie koła przeznaczenia. To ono was do mnie przywiodło, na pewno nie bez powodu. Przywiodło i połączyło się z moim pragnieniem zemsty. Dało mi do ręki broń, Rebeko, bo ani przez chwilę nie wierzyłam, że jesteś żoną pana Moore'a. — Uśmiechnęła się. — Tak jak nie wierzyłam, że pan Moore to pan Moore. — Przeniosła wzrok na Bourne'a. — Nie przywiózłby pan żony do Meksyku, szanowny panie, nie na taką misję. Równie dobrze mógłby pan pozwolić jej wejść do legowiska tygrysa.

Ostrzegawczo podniosła palec.

— Tak, tak, nie dajcie się zwieść: targnąć się na życie Maceo Encarnaciona to tak, jak wkroczyć na terytorium dzikiego tygrysa. Nie będzie litości, nie będzie drugiej szansy. Jeśli się wam poszczęści, będzie tylko śmierć. — Zgasła cygaretkę. — Jeśli jednak będziecie mieli dużo, bardzo dużo szczęścia i jeśli zachowacie wyjątkową ostrożność, kto wie, może wrócicie z tym, czego wszyscy troje pragniemy.

Rozdział 17

Tulio Vistoso przybył do Waszyngtonu z niespokojnym umysłem i żądzą mordy w sercu. Czy Florin Popa naprawdę nie mógł upilnować tego, co on, don Tulio, tak sprytnie przechwycił na niebezpiecznej stromej trasie w kanionie Sumidero pod Tuxtla Gutiérrez, zabierając prawdziwe trzydzieści milionów dolarów i zastępując je fałszywymi banknotami, podrobionymi tak doskonale — był tego absolutnie pewien — że nikt nie miał prawa odróżnić ich od oryginalnych? A jednak Popa zawiódł, a jego życie będzie stracone, jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin nie udobrucha don Maceo i jego świętych, wszechpotężnych kupców.

Wciąż pomstował na tę koszmarną fuszerkę, gdy przyjechawszy na przystań, zobaczył, że na cumującej przy stanowisku 31 łodzi roi się od policjantów. Wstrząśnięty stwierdził po chwili, że nie tylko od policjantów. Byli tam również *federales*. Wyczuwał ich na kilometr. Zawsze chodzili tym równym, miarowym krokiem, jak konie na pokazie. Patrzył na nich przerażony. Łódź była dobrze strzeżona, odgradzona żółtą taśmą z napisem MIEJSCE PRZESTĘPSTWA.

Jezu Chryste i wszyscy święci, co się tu stało? Rozejrzał się odruchowo, jakby Popa czaił się gdzieś w pobliżu. Gdzie on, do diabła, był? Don Tulio struchlał. Czyżby Popa uciekł z trzydziestoma milionami dolarów? Z trzydziestoma milionami należącymi do niego? Myśl ta napawała go trwogą. A może, co gorsza, znaleźli je *federales*? Aresztowali Popę? W rozpaczliwej próbie jak najszybszego odzyskania pieniędzy, trzęsącą się ręką szybko napisał kilka SMS-ów do swoich podwładnych.

Miał ochotę wyrywać sobie włosy z głowy. Jego rozgorączkowany umysł podsuwał mu jedno krwawe rozwiązanie za drugim, ale powstrzymały go pozory ogłady. Odwrócił się na pięcie i odszedł. Wytarł ręką czoło. Mimo chłodu pocił się jak mysz.

Na parking wjechał jakiś samochód i wysiadł z niego młody mężczyzna. Potrącił go, wchodząc spieszenie na pomost i zmierzając prosto do stanowiska 31. Aztek wyczuł coś niezwykłego i odwrócił się.

Tak, rzeczywiście. Federalne mrówki uwijające się na pokładzie łodzi powitały go z uniżeniem: przyszedł *el jefe*. To zainteresowało go do tego stopnia, że zamiast uciec, postanowił zostać, nie rzucając się nikomu w oczy. Znaczyło to, że musi zawrócić i wejść na pomost. Wypatrzywszy opustoszałą łódź, oddaloną od *Rekursji* i zamieszania na jej pokładzie, wszedł do niej i udając, że coś robi, zaczął obserwować nowo przybyłego.

Miał szczęście, ponieważ dzięki temu, że na przystani panował spokój i że po wodzie głos niesie bardzo daleko, mógł podsłuchać strzępki rozmów. Tym sposobem ustalił, że *el jefe* nazywa się Marks. Odwróciwszy się w stronę parkingu, odszukał wzrokiem samochód, którym tamten przyjechał. Był to biały chevrolet cruze. Don Tulio wdrapał się z powrotem na pomost, poszedł tam niespiesznym krokiem i zapisał numer rejestracyjny. Potem wrócił na łódź i układając sobie w głowie plan kolejnych działań, znowu skupił uwagę na Marksie.

Z doświadczenia wiedział, że najlepszą drogą do zwycięstwa jest spotkanie z szefem wrogów. Ale spotkanie z *federales*, zwłaszcza na ich własnym terenie, było ryzykowne i jako takie wymagało dokładnego przemyślenia. Wiedział również, że podczas konfrontacji z *jefe* Marksem będzie miał tylko jedną szansę, dlatego musiał ją dobrze wykorzystać. Nie bał się niebezpieczeństwa. Żył z nim na co dzień, bo już jako dziesięciolatek grasował po ulicach Acapulco. Pokochał morze, zanim jeszcze zaczął skakać ze skał, popisując się za pieniądze *gringo*. Skakał z najwyższych, nurkował najgłębiej, najdłużej wytrzymywał pod wodą. Wzburzone morze było jego ojcem i matką, napawało go spokojem, którego nie mógł zaznać gdzie indziej.

Został królem skoczków i zaczął pobierać działkę od ich zarobków. Trwałoby to pewnie w nieskończoność, gdyby pewnego dnia jakiś *gringo* nie oskarżył go, że przeleciał jego nastoletnią córkę. To, że sama tego chciała, nie miało żadnego znaczenia w obliczu olbrzymiego bogactwa jej ojca i tego, że władze miasta gotowe były zrobić wszystko, byle tylko Acapulco utrzymało status światowego centrum turystycznego.

Udało mu się wyprzedzić policję, uciec na północ i zniknąć bez śladu w olbrzymim Mexico City. Ale nigdy nie zapomniał, że *gringo* zmarnował mu życie, bo kochał ocean i rozpaczliwie za nim tęsknił. Mijały lata i stopniowo zaczął żyć nowym. Najpierw został anarchista. Potem, mając dość trawiącej rząd korupcji, gwałtownie wyładowywał wściekłość na wszystkich tych, którzy mieli stałą pracę. W końcu zmądrzał, przystał do kartelu narkotykowego i zaczął po trupach robić

karierę, co bardzo imponowało jego szefom, dopóki nie rozkazał swoim popiecznikom ściąć im głowy maczetami.

Od tej chwili, już jako *jefe*, systematycznie konsolidował swoją władzę z szefami innych karteli. W społeczeństwie czuł się nie najlepiej. Nie umiał sterować po zdradzieckich wodach politycznych stolicy, dlatego zawarł sojusz z Maceo Encarnacionem, na czym obydwaj skorzystali.

A teraz, wciąż udając, że coś robi, wyteżył słuch i dzięki sprzyjającym wiatrom dowiedział się, że Popa nie żyje. *Jefe* Marks, który go zabił, przypadkiem znalazł klucz. Ten pieprzony klucz, pomyślał z przenikającą do kości wściekłością. Marks ma ten pieprzony klucz! Ale gdy nieco ochłonął, w jego głowie zrodziła się myśl inna, pełna nadziei: Marks ma klucz, ale to jeszcze nie znaczy, że znalazł trzydzieści milionów. Po niej przyszła kolejna, równie pocieszająca: gdyby *federales* znaleźli pieniądze, to czego by tam tak gorączkowo szukali?

Gotując się ze złości, po raz siedemnasty związał tę samą linę. Zauważywszy, że *federales* powoli kończą, zszedł do kabiny, usiadł w niewygodnym wąskim fotelu i zaczął liczyć nity w podłodze. Cierpliwie czekał. Zanim tamci zeszli wreszcie z pokładu *Rekursji* i poszli na parking, przystań spowiły wieczorne cienie. Wsłuchał się w warkot odpalanych silników. Kiedy odgłos, który przypominał strzelającą na patelni kukurydzę, w końcu ustał, nadeszła pora.

Aztek wychynął z kabiny i spojrzął na *Rekursję*. Zdawało się, że na łodzi nikogo nie ma, oparł się jednak pokusie i nie wszedł na jej pokład. Chociaż zegar odmierzający ostatnie godziny jego życia bezlitośnie tykał, don Tulio wiedział, że niemądrze by było ryzykować wszystko, idąc tam za dnia. Lepiej okazać cierpliwość i poczekać, aż zapadnie noc. Dlatego położył się i natychmiast zasnął głębokim, spokojnym snem.

• • •

— O północy — powiedziała Constanza. — Manny po was przyjdzie.

Gdy się z nimi pożegnała, poszli do swoich pokojów w skrzydle dla gości. Ale niemal natychmiast odwiedziła go Rebeka.

— Zmęczony? — spytała, stając w progu.

Pokręcił głową.

Minęła go, podeszła do okna, objęła się i popatrzyła na dziedziniec. Bourne stanął obok niej. Słyszeli szum wiatru wśród palm. Świecił

księżyc w pierwszej kwadrze i w jego blasku widzieli poruszające się liście drzewa cytrynowego.

— Myślisz czasem o śmierci? — spytała. Nie odpowiedział, więc mówiła dalej: — Ja myślę cały czas. — Zadrżała. — Może przez to miasto. Meksyk jest nią przesiąknięty. Aż ciarki przechodzą. — Spojrzała na niego. — A jeśli z tego nie wyjdziemy?

— Wyjdziemy.

— A jeśli nie?

Wzruszył ramionami.

— To umrzemy w ciemności — odpowiedziała sobie sama.

Poruszyła się niespokojnie.

— Obejmij mnie. Mocno. — Gdy to zrobił, dodała: — Dlaczego nie czujemy tak jak inni, głęboko, całym sercem? Dlaczego nasze uczucia są płytkie jak woda omywająca wodę? Co nam jest?

— Robimy to, co robimy — odparł cicho — tylko dlatego, że jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. Nie mamy odwrotu. Jest tylko jedno wyjście i żaden z tych, którzy są w tym dobrzy, nie chce z niego skorzystać.

— Aż tak bardzo to kochamy?

Bourne milczał. Odpowiedź była oczywista.

Stali tak, aż ktoś dyskretnie zapukał do uchylonych drzwi. Przyszedł Manny.

•••

— Nieważne, jak się nazywa — powiedział, wioząc ich jaskrawo oświetlonymi ulicami. — Mówią na niego *el Enterrador*. Grabarz.

— To nie przesada? — rzuciła Rebeka z tylnego siedzenia hummera.

Manny spojrzał na nią w lusterku i pokazał zęby w uśmiechu.

— Zaczekajcie, aż go zobaczycie.

Migające światła, stojące półkrygiem radiowozy, potem oślepiające reflektory i sześciu policjantów tłukących pałkami kilkunastu nastolatków uzbrojonych w sprężynowce i rozbite butelki po piwie.

— Kolejna spokojna noc w Mexico City — powiedział z ironią Manny.

Jechali dalej, przez Zona Rosa, przez starówkę, zdawało się, że przez pół miasta, które niczym ośmiornica pełzło przez równinę w kierunku olbrzymiego wulkanu Popocatepetl, złowieszczy jak aztecki bóg.

Widzieli pożary, nastające na siebie gangi, słyszeli hałaśliwą muzykę wylewającą się z nocnych klubów, zachodnie techno i meksykańską

rancherę, widzieli okrutne bójki, czasem słyszeli odgłosy wystrzałów. Mijały ich samochody z pijanymi nastolatkami za kierownicą, z robionymi na zamówienie głośnikami, z których ryczał rap albo *cumbia* — koszmarny nocny scenariusz nie miał końca.

Ale wreszcie dotarli do Villa Gustavo A. Madero i gdy Manny zwolnił, ciemnymi śpiącymi ulicami hummer wtoczył się do centrum miasta w mieście. Drzewa, czarne na tle mgliście rozjarzonej linii horyzontu, otaczały ich jak prehistoryczny świat, aż bocznymi uliczkami dojechali do serca serc: do Cementerio del Tepeyac.

— No jasne — rzuciła Rebeka, aby rozładować nieznośne napięcie. — Jak grabarz, to i cmentarz.

Ale Manny nie poprowadził ich do krypt, tylko do bazyliki Matki Boskiej z Guadalupe. Bez trudu otworzył drzwi i wpuścił ich do środka.

Pięknie pomalowane misterne wnętrze tonęło w blasku pozłacanych żyrandoli oświetlających cherubiny rozsiane po kopulastym suficie. Manny został w progu, gestem ręki kierując ich do środkowego przejścia. Jednak na długo przed tym, jak doszli do ołtarza, ktoś przed nimi wyrósł: mężczyzna z wąsami i szpiczastą brodą. Przewiercił ich wzrokiem czarnych oczu, jakby chciał wejrzeć im w serce.

Był blady, wyglądał jak duch i mówił tak cicho, że musieli się nachylić, by cokolwiek usłyszeć.

— Przychodźcie od Constanzy Camargo. — To nie było pytanie. — Chodźcie.

Odwracając się, podwinął szerokie rękawy habitu, odsłaniając przedramiona, muskularne, żyłaste i pokryte tatuażami przedstawiającymi trumny i nagrobki, pięknymi i przerażającymi.

• • •

Według swego nieomylnego wewnętrznego zegara, Aztek obudził się tuż przed czwartą rano. Był głodny. Nieważne. Miał trzydzieści milionów powodów, żeby zignorować ssanie w żołądku. Znalazł pokrytą gumą wodoodporną latarkę i wyszedł na pokład.

Daleko za wodą skrzyły się światła Waszyngtonu. Spojrzał na *Rekursję*. Nikogo. Przystań była opustoszała. Mimo to zamarł, wsłuchując się w nocne odgłosy: cichy plusk omywających burty fal, skrzypienie masztów, pobrzękiwanie ocierającego się o nie takielunku

— te były normalne. Ale on próbował wyłowić inne: szmer kroków, przyciszone głosy, coś, co wskazywałoby na obecność ludzi.

Niczego takiego nie usłyszał i nareszcie odetchnął. Wskoczył na pomost, zerknął na tonący w ciemności budynek kapitanatu, cichym, zwinnym krokiem doszedł do stanowiska 31 i wreszcie znalazł się na pokładzie *Rekursji*.

Od razu wychylił się za sterburtę i sięgnął pod odbojnik. Nylonowa lina wciąż tam była! Zaczął wyciągać ją z szybko bijącym sercem. Ciężar był taki, jak trzeba, więc z każdym metrem wybieranej liny nabierał coraz większej pewności, że pieniądze tam są, że są bezpieczne.

Kiedy jednak wyciągnął całą i zapalił latarkę, zobaczył, że na końcu liny zwisa ołowiany obciążnik.

— Tego szukasz?

Odwrócił się, zobaczył *jefe* Marksa trzymającego wodoszczelną torbę, pustą i sflaczałą. Wszystko przepadło, trzydzieści milionów dolarów i jego życie: ogarnięty ostatnią falą morderczej furii rzucił się na swego prześladowcę, usłyszał ogłuszający huk i poczuł, jak kula przebija lewy biceps. Ale kula go nie powstrzymała i pędząc przed siebie z nisko pochyloną głową, uderzył Marksa tak mocno, że przelecieli przez reling i wpadli do zimnej, czarnej wody, która pozbawiła ich tchu.

• • •

— Chinatown? Naprawdę?

Charles Thorne usiadł przy laminowanym stoliku naprzeciwko wysokiego, szczupłego mężczyzny w błyszczącym chińskim garniturze, jednym z tych próbujących — choć nieudolnie — imitować amerykańskie.

— Spróbuj *moo goo gai pan* — powiedział Li Wan, gestykulując pałeczkami. — Jest naprawdę pyszne.

— Chryste — jęknął Thorne z kwaśną miną — jest czwarta rano. — Nie było sensu pytać go, co zrobił, żeby specjalnie dla niego restauracja pozostała otwarta aż do tej pory, godziny, o której ulicami Chinatown nie chodziły nawet koty. — Poza tym to nie jest chińska potrawa.

Li Wan wzruszył kanciastymi ramionami.

— Jesteśmy w Ameryce.

Thorne pokręcił głową, sięgnął po pałeczki i dźgnął nimi ryż.

— Spodziewałeś się pewnie wołowych ścięgien i rybich głów. — Li aż się wzdrygnął.

— Mój przyjacielu, za dużo czasu spędziłeś w Stanach.

— Ja się tu urodziłem.

Thorne zlizął glutaminian sodu z pałeczki.

— Właśnie o tym mówię. Pora zrobić sobie wakacje. Wrócić do ojczyzny.

— Chiny nie są moją ojczyzną. Urodziłem się i wychowałem w Waszyngtonie.

Li Wan, wybitny prawnik specjalizujący się w prawie własności intelektualnej, ukończył Uniwersytet Georgetown, co dowodziło, że jest rodowitym Amerykaninem. Mimo to Thorne nie mógł się powstrzymać i od czasu do czasu mu dogryzał, co było nieodłączną częścią łączących ich układów.

Zmarszczył czoło. Wbrew zapewnieniom Li, *moo goo gai pan* wcale mu nie smakowało.

— Jako outsider masz dostęp do wielu ich tajemnic.

— Kto powiedział, że jestem outsiderem?

Thorne przyjrzał mu się w zamyśleniu i zatrzymał przechodzącego obok kelnera, który przystanął z miną kogoś, kto mimo tak wczesnej pory ma coś lepszego do roboty. Dziennikarz wziął ze stolika zatłuszczone plastikowe menu i zamówił kurczaka generała Tso.

— Tylko żeby był przysmażony na chrupko — dodał, chociaż wątpił, by kelner go słuchał, a jeśli nawet, miał to gdzieś, dopóki Li nie przemówił do niego ostro po kantońsku, który tak płynnie opanować mógł jedynie prawdziwy mandaryn.

Kelner odszedł tak szybko, jakby paliły mu się spodnie.

Lin nalał do filiżanek herbaty chryzantemowej.

— Naprawdę, Charles, po tylu latach wypadałoby nauczyć się nie tylko kantońskiego, ale i mandaryńskiego.

— Po co? Żeby straszyć kelnerów w Chinatown? W dzisiejszych czasach do niczego innego się nie przydaje.

Li patrzył na niego z nieprzeniknioną twarzą.

— Ty to robisz celowo — powiedział Thorne. — Wiem. Znam cię.

Kelner przyniósł półmisek z kurczakiem, zerknął na Li i gdy ten skinął głową, prędko uciekł.

— Wystarczająco chrupki?

— Przecież wiesz. — Thorne włożył trochę mięsa do miseczki z ryżem.

Przez jakiś czas jedli w miłej ciszy, którą burzyło jedynie dochodzące z otwartej kuchni syczenie i skwierczenie. Ale nikt się tu teraz nie krzątał, nie pokrzykiwał ani nie przepychał. Ten niemal bezdźwięczny niezwykle spokój sprawiał, że restauracja zdawała się zapomniana przez Boga i ludzi.

W końcu, zaspokoiwszy pierwszy głód i przestawszy gorączkowo zapychać usta jedzeniem, Thorne powiedział:

— Znam cię od lat, ale wciąż nie rozumiem, jakim cudem outsiderowi takiemu jak ty powierzono...

— Sza... — przerwał mu Li.

Wycierając ręce w brudny fartuch, przeszedł obok nich kelner w drodze do toalety.

Li wskazał talerz Thorne'a.

— Wiesz, że generał Tso naprawdę istniał? Zuo Zongtang. Pochodził z dynastii Qing. Umarł w tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym roku. Mieszkał w prowincji Hunan. To dziwne, bo potrawa jest słodka, w przeciwieństwie do ostrych potraw z Hunan. Nie sporządzają takich ani w Changsha, stolicy Hunan, ani w Xiangyin, rodzinnym mieście generała. Więc skąd pochodzi? Niektórzy twierdzą, że pierwotnie nazywała się kurczakiem Zongtanga.

— Sala spotkań przodków — przetłumaczył Thorne.

— Właśnie. A skoro tak, nie ma nic wspólnego z naszym dobrym generałem. — Li wypił łyk herbaty. — Oczywiście Tajwańczycy twierdzą, że to oni ją wymyślili. — Odłożył pałeczki. — Podsumowując: nikt tego nie wie i nikt się nigdy nie dowie.

— Chcesz powiedzieć, że nikt nie może się dowiedzieć, w jaki sposób zostałeś zaufanym strażnikiem...

— Posłuchaj — przerwał mu Li gwałtownie i ostatecznie. — Mówię tylko, że w chińskiej kulturze każdy skutek ma wiele przyczyn i że większość z nich jest zbyt skomplikowana, by je w pełni zrozumieć.

— Może jednak zrozumieć — powiedział Thorne z pełnymi ustami. — Spróbujmy.

— Nie będę ci opowiadał o moim rodowodzie. Oczy wyszłyby ci na wierzch, zakręciłoby ci się w głowie. Powiem tylko, że należę do elity tych, którzy mieszkają poza Pekinem. A propos twojej sugestii, abym wrócił do ojczyzny, wiedz, że tutaj jestem o wiele bardziej przydatny dla władz.

— „Przydatny dla władz”. — Thorne uśmiechnął się krzywo. — Jedno z tych mglistych, typowo chińskich określeń.

Jak tenisista returnem, Li odpowiedział mu takim samym uśmiechem.

— Powiadają, że Pekin zbudowano w równej części z ruchomych piasków i cementu.

— A co władze myślą o tym, że sypiasz z Natashą Illion? — O Li Wanie i Natashy Illion, supermodelce izraelskiego pochodzenia, mówiono od ponad roku, co było rekordem, jeśli chodzi o przedstawicielki tego rzadkiego cieplarnianego gatunku.

Li puścił pytanie mimo uszu i patrząc, jak Thorne je, zaczął jeszcze chwilę, wreszcie powiedział:

— Rozumiem, że masz mały problem.

Pałeczki Thorne'a zamarły w połowie drogi do ust. Pokrył zmieszanie, odkładając je powoli i ostrożnie.

— Co słyszałeś?

— Dokładnie to, co ty. Przeciwno tobie i zespołowi redakcyjnemu „Polityki Jak Zwykle” ma zostać wszczęte śledztwo za nielegalny podsłuch. — Li przekrzywił głowę. — Czy nasza znamienita pani senator Ring już wie?

— Gdyby wiedziała — odparł zjadliwie Thorne — wyszłaby z siebie. Śledztwo jeszcze się nie zaczęło.

— Na razie.

— Ona nie może się dowiedzieć, pod żadnym pozorem. To byłby koniec.

— Owszem, koniec zarabiania kokosów. Ile milionów jest warta twoja żona?

Thorne spojrział na niego ponuro.

— Pani senator dowie się, kiedy tylko Departament Sprawiedliwości rozpocznie śledztwo — ciągnął Li. — Jeśli już się nie dowiedziała.

— Jeszcze nie, na sto procent.

— Tik-tak, Charles.

Thorne skrzywił się w duchu.

— Potrzebuję pomocy.

— Tak, Charles. To na pewno.

• • •

El Enterrador poprowadził ich apsydą na tył bazyliki, a potem krótkim, słabo oświetlonym korytarzem do plebanii pachnącej

kadzidłem, pastą do podłóg i ludzkim potem. Pod olbrzymią figurą Chrystusa na krzyżu leżały architektoniczne plany willi Maceo Encarnaciona przy ulicy Castelara.

— On tam będzie? — spytał Jason Constanzę Camargo, gdy rozmawiali wcześniej tego wieczoru. — Na pewno?

— Jeśli mówicie, że przywieziono go samolotem do Mexico City — odparła — to właśnie dlatego.

El Enterrador oprowadził ich po domu poziom po poziomie, pomieszczenie po pomieszczeniu.

— Parter i piętro — mówił szeptem — i co najważniejsze, piwnica. — Wyjaśnił dlaczego. — Dach jest zrobiony z tradycyjnych meksykańskich dachówek, nieszkliwionych, bardzo twardych. Na parterze są dwa wyjścia, od frontu i od tyłu. Na piętrze nie ma żadnego, nie licząc okien. Teraz piwnica... — Pokazał ją na planie długim, cienkim jak sztylet palcem.

Zdjął wierzchni arkusz, odsłaniając następny.

— Tak wyglądało to przedtem. Tu są modyfikacje, które Encarnación zrobił po przeprowadzce. — Dźgnął palcem papier. — Widzicie? Tutaj i tutaj. — Zerknął na nich zimnymi jak lód, czarnymi oczami. — Może to dla was lepiej. A może nie. Nie moja sprawa. Obiecałem Constanzie Camargo, że was wprowadzę. Reszta zależy od was.

Wstał i jego kaptur rzucił mroczny cień na rozłożone plany.

— Potem, jeśli wam się uda i zdołacie uciec, nie przychodźcie ani tutaj, ani do jej domu.

— Już z nią rozmawialiśmy — powiedziała Rebeka. — O tym, co będzie potem.

— Tak? — *El Enterrador* był wyraźnie zaintrygowany. — Proszę, proszę.

— Chyba nas lubi.

Mnich kiwnął głową.

— Na to wygląda.

— Skąd pan ją zna? — spytała Rebeka.

El Enterrador posłał jej złowieszczy uśmiech.

— Poznaliśmy się w niebie — szepnął. — Albo w piekle.

— To mi nic nie mówi.

— Jesteśmy w Meksyku, *señorita*. A Meksyk to wulkany, węże, bogowie, święte miejsca i obłęd. Mexico City też. Zbudowano je na pępku świata Azteków. Niebo spotyka się tu z piekłem.

— Możemy kontynuować? — przerwał mu Bourne.

Na usta fałszywego mnicha powrócił złowieszczy uśmiech.

— Niewierzący.

— Wierzę w to, co robię — odparł Jason. — Na pewno nie w gadaninę.

El Enterrador skinął głową.

— Pańska sprawa, ale... — Podał mu mały przedmiot. Była to malutka ludzka czaszka wysadzana kryształami. — Niech pan tego nie zgubi. Będzie pana chroniła.

— Przed czym?

— Przed Maceo Encarnacionem.

Bourne'owi przypomniły się słowa Constanzy Camargo: „Źle oceniłam, a raczej nie doceniłam jego władzy. Bo chronią go niemal mistyczne siły, może nawet sami bogowie”.

— Dziękuję — powiedział.

Wyraźnie zadowolony *el Enterrador* pochylił głowę.

— Zostaniemy tutaj? — spytała Rebeka.

— Nie. Ktoś zawiezie was do kostnicy. Tam zaczekacie na telefon.

— Na pewno zadzwonią akurat do tej? — spytał Jason.

— Na pewno.

Bourne kiwnął głową, wierząc mu na słowo.

Nierzucającymi się w oczy małymi drzwiami wyprowadzono ich na dziedziniec, za którym ciągnął się olbrzymi cmentarz, miasto w mieście. Czekał na nich karawan z cicho mrużącym silnikiem.

El Enterrador otworzył szerokie tylne drzwi i wszedł.

— *Vaya con Dios, mis hijos* — powiedział pobożnym głosem i zrobił znak krzyża.

Drzwi się zamknęły, karawan ruszył. Wyjechali z dziedzińca i pozostawiwszy za sobą bazylikę, zanurzyli się w labirynt mrocznych alejek, coraz bardziej zagłębiając się w mistyczne serce nekropolii.

Rozdział 18

Petera ogarnął chłód śmierci. Czuł na gardle zaciskające się palce. Mocno kopnął, lecz woda, gęsta jak muł, spowolniła atak. Szybko wsunął dłonie pod ręce napastnika i kiedy tylko nawiązały kontakt, ze wszystkich sił szarpnął do góry. Palce zniknęły, ale wciąż szli na dno.

Zaczął młócić wodę nogami, żeby jak najszybciej wypłynąć, lecz tamten złapał go za kostki i pociągnął w dół. Chryste. Nie musiał nabrać powietrza, nie dudniło mu w głowie, nie bolało go tłukące się w piersi serce?

Nie widział przeciwnika ani teraz, ani przedtem. Kiedy tylko zapalił latarkę, oślepiła go latarka tamtego. Potem nastąpił atak i obaj wpadli do wody.

Zanurzali się coraz głębiej i głębiej.

Zimno wysysało z niego siły. Kończyny miał jak z ołowiu. Nagle poczuł gwałtowny ucisk — ręka tamtego oplotła mu od tyłu szyję i zaczęła go dusić. Na oślep wymacał jego twarz, wbił mu kciuk w oko i pchnął, mocno, resztkami sił, i chociaż przeszkadzała mu woda, kontratak musiał być skuteczny, bo napastnik zabrał rękę.

Peter odwrócił się, żeby stawić mu czoło. Nic, kompletna ciemność. Nie miał pojęcia, jak głęboko ich wciągnęło, wiedział tylko, że jeszcze chwila i zabraknie mu powietrza.

Podkurczył nogi, ale zamiast kopnąć, co nie odniosłoby żadnego skutku, gwałtownie je wyprostował, trafiając przeciwnika obcasem w twarz. Wtedy wyciągnął do góry ręce i popłynął, żeby jak najszybciej zaczerpnąć tchu.

Myśląc tylko o tym, pracował nogami najmocniej, jak potrafił. Trwało to całą wieczność i mógł w tym czasie kilka razy stracić przytomność. Umysł opuścił ciało, oderwane fragmenty rzeczywistości łączyła jedynie nicość. Ale w końcu zobaczył w górze mglistą światłość kontrastującą z mrocznym kształtem rzucającym cień na coś, co — stwierdził to, gdy podpłynął bliżej — było powierzchnią wody.

Kiedy ją przebił, wyciągnęły się ku niemu czyjeś ręce, wyciągnęły się i go chwyciły. Silne, potężne — jego ludzie, zaalarmowani hukem

wystrzału, musieli wypatrywać go, odkąd tylko wpadli na pokład *Rekursji*.

Usłyszał stłumione stęknięcie, podniósł głowę i zobaczył dwie czy trzy twarze, między innymi twarz Sama Andersona, swojego zastępcy. Zobaczył również świecące się reflektory. Oślepiiony zmrużył oczy jak stwór z morskiej otchłani. Anderson odwrócił się, krzyknął, żeby skierować światło w bok i Peterowi ulżyło, gdy jego ludzie natychmiast to zrobili.

Wtedy poczuł, że coś ściska mu nogi i zaraz potem olbrzymi ciężar pociągnął go nieubłaganie w dół. Głośno krzyknął, zastanawiając się półprzytomnie, jak to możliwe, żeby po tak długim pobycie pod wodą tamten miał jeszcze siłę, by znowu wciągnąć go w głębinę.

Rozległy się krzyki skonsternowanych agentów, nad którymi górował głos Andersona spokojnie wydającego rozkazy. Kiedy ręce chwyciły go mocniej i przytrzymały, Anderson wyprostował się, wyjął pistolet, po czym strzelił w wodę.

Po czwartym wystrzale ciężar zniknął i Peter poczuł, że go wyciągają. Reling, pokład — owinięto go kocem. Na przystani roilo się od migoczących czerwonych świateł. Jedno z nich należało do karetki pogotowia. Dwóch krzepkich sanitariuszy przeniosło go na wózek.

— Anderson — wykrztusił głosem, który wydawał się drżący nawet jemu. — Zostawcie mnie, nigdzie nie jadę.

— Przykro mi, szefie, ale trzeba pana zbadać.

Wózek przeniesiono na pomost. Peter stwierdził, że jest przywiązany i bezradny. Anderson truchtał tuż obok. Wieźli go na parking, gdzie czekała karetka.

— Ten skurwiel wciąż tam jest. Trzeba go zidentyfikować. Zadzwoń po płetwonurków.

— Już to zrobiłem — odparł z uśmiechem Anderson. — Na razie trzy łodzie straży przybrzeżnej przeczesują port. Mają reflektory.

Zanim sanitariusze wsadzili Petera do karetki, Anderson położył mu komórkę na piersi.

— Kiedy brał pan kąpiel, miał pan pilny telefon z Departamentu Obrony.

Hendricks.

Sanitariusze zaczęli już go badać.

— Oddzwonię, gdy tylko mnie rozwiążą — powiedział Peter z sarkazmem. — Znajdź tego sukinsyna.

— Tak jest, szefie.

Zatrzaśnięto drzwi, ambulans ruszył. Anderson wrócił na pomost i zabrał się do pracy. Szef kazał mu znaleźć tego sukinsyna i zamierzał to zrobić.

•••

Wczesnym rankiem María Elena opuściła pilnie strzeżoną posiadłość przy ulicy Castelara, jak zwykle udając się do swoich ulubionych sklepów, by kupić coś na kolację. Była niewolnicą własnych przyzwyczajień. I przez całe życie pracowała tylko dla jednego pana. Maceo Encarnación zabrał ją z ulic Puebli, kiedy była straszliwie wychudzoną i niedożywną czternastoletnią dziewczyną, zabrał i wprowadził do swojego domu. Tak się przypadkiem złożyło, że miała wrodzony talent do gotowania, który rozkwitł po tym, jak podszlifowała go ówczesna kucharka. Od chwili, gdy sporządziła dla don Macea swój pierwszy posiłek, została jego ulubienicą. Wyniósł ją nad innych, tych, którzy służyli u niego dłużej, co oczywiście doprowadziło do tarć.

Później, patrząc na to ze swojego wysokiego stanowiska, zrozumiała, że chaos, który wybuchł w kuchni po jej awansie, został sprowokowany celowo. Maceo Encarnación chciał w ten sposób pozbyć się malkontentów i wichrzycieli, żeby nie stało się nic nieprzewidzianego i niemiłego. Kiedy wyrzucił ich z pracy, w domu zapanował jeszcze większy spokój niż przedtem. María Elena nie miała żadnych wątpliwości, że don Maceo jest geniuszem, że jak nikt inny potrafi manipulować ludźmi, nie tylko służbą. Była spostrzegawcza i widziała, jak rozmawia ze swoimi gośćmi, jak jednych zajmuje rozmową, jak innym schlebia, jak jeszcze innych poniża czy stawia im ultimatum. Robił to podstępem lub otwarcie, zależnie od ich osobowości, i zawsze osiągał swój cel.

Ostatecznie tak samo było ze mną, pomyślała, kupując świeże owoce, warzywa, chili, mięso, czekoladę i ryby. Znała wszystkich handlarzy, a oni znali ją i dobrze wiedzieli, u kogo pracuje. Nie trzeba dodawać, że zawsze podsuwali jej najlepszy towar, i to po bardzo zaniżonej cenie. Czasem dostawała od nich małe prezenty, dla siebie i córki. Cóż, ostatecznie była w ich świecie kimś ważnym, poza tym, chociaż miała już czterdzieści kilka lat, wciąż była kobietą piękną i pociągającą, nawet jeśli sama się za taką nie uważała, w przeciwieństwie do Anunciaty. W każdym razie mężczyźni w ogóle jej nie interesowali.

Po zakupach, jak zwykle przeszła się Avenida Presidente Masaryk, gdzie mieściły się najelegantsze designerskie butiki, w których często bywał Maceo Encarnación. Przed siedemnastu laty, zaraz po tym, jak urodziła Anunciatę, przyjechał do szpitala i podarował jej wysadzaną klejnotami bransoletę od Bulgarięgo. Przez wiele tygodni bała się ją włożyć, chociaż codziennie czule ją pieściła i co noc przed zaśnięciem kładła na poduszce.

Obejrzawszy kilka wystaw za solidnie zabezpieczonymi przed włamaniem oknami, porzuciła aleję, by udać się tam, dokąd tak naprawdę szła: do butiku Piel Canela przy ulicy Oscara Wilde'a 20. Stała przed oknem, patrząc na mięciutkie jak masło torebki, kopertówki, rękawiczki i paski kojarzące jej się z pięknymi wężami, o których śniła w młodości. Pożądanie płonęło w sercu i płucach Marii Eleny jak ogień, z którego powstał kiedyś Feniks, jej oczy powoli wezbrały łzami. Dokładnie na środku wystawy stała torebka, którą tak bardzo chciała mieć, a na podwójnej rączce leżały eleganckie rękawiczki. *Dulce de leche*, taki miały kolor, kajmakowy, zarówno torebka, jak i rękawiczki. María Elena pożądała ich tak bardzo, że drapało ją w gardle. Ale wiedziała, że nigdy czegoś takiego nie kupi. Po jej policzkach spłynęły strużki łez. Szlochała i szlochała. Nie chodziło o to, że nie miała pieniędzy. Pracowała u Maceo Encarnaciona bardzo długo, poza tym był dla niej bardzo hojny i mogłaby sobie pozwolić na taki prezent. Ale była dziewczyną z ulicy. Nie, nigdy tego nie kupi, tak jak nigdy nie odejdzie od Maceo Encarnaciona. Nawet po tym, co się stało.

Ostatnim przystankiem porannej wyprawy była La Baila przy Paseo de la Reforma, ledwie cztery ulice na południe od parku Lincolna. Piękna restauracja wyłożona kolorowymi meksykańskimi płytkami, gdzie serwowano pyszne prawdziwe jedzenie. Po latach udało jej się nawet wyprosić od właściciela i szefa kuchni w jednej osobie przepis na niesamowity sos *mole de Xico* składający się z trzydziestu składników.

Ponieważ poranek był ciepły, usiadła na zewnątrz, nie zważając na spaliny kłębiące się na ruchliwej ulicy. Gdy podszedł do niej Furcal, jej ulubiony kelner, zamówiła to, co zwykle: *atole*, napój z gotowanej kukurydzy, tego dnia przyprawiony sokiem z kaktusa, do tego *empanadas de plátano rellenos de frijol* i podwójne *espresso cortado*.

Wolna od domowych obowiązków miała chwilę tylko dla siebie — jej myśli mogły błądzić swobodnie, tak jak wtedy, gdy kładła się spać i tuż przed zaśnięciem. Tylko że w domu Maceo Encarnaciona, gdzie jego

władza i ręka mogła dosięgnąć ją o każdej godzinie nocy i dnia, nie była naprawdę wolna. Inaczej niż teraz, gdy siedziała samotnie w znajomej restauracji i gdy owiewało ją pełne sadzy powietrze, które z tajemniczą misją przysyłał tu wielki wulkan Popocatepetl.

Nieznana jej kelnerka z ciepłym uśmiechem postawiła na stoliku *atole*.

— Mam nadzieję, że będzie pani smakowało — powiedziała.

María Elena, jak zawsze uprzejma, podziękowała jej, upiła łyk, potem drugi, większy, skinęła głową i kelnerka — miała na imię Beatrice — odeszła.

Objęła palcami ręcznie robiony kubek. Miała teraz czas na przemyślenie skutków tego, co wyczytała w pamiętniku Anunciaty. Znalazła go przypadkowo przed tygodniem, kiedy sprzątała jej pokój. Córka musiała niechcący potrącić go nogą i wpadł pod łóżko. María Elena doskonale pamiętała chwilę, gdy trzymając go w rękach, zdała sobie sprawę, co to jest. W najdrobniejszych szczegółach pamiętała ten brzemienny w skutki moment, kiedy wszystko było jeszcze tak jak zawsze, jak przedtem. Mało brakowało i by go nie otworzyła. Pochyliła się nawet, żeby wsunąć pamiętnik pod łóżko, tam gdzie go znalazła. Co by się wtedy stało? Ocalałaby rzeczywistość, bo nic by jej nie rozerwało i nie zmieniło.

Ale ciekawość oplotła ją jak zły wąż. Mimo to María Elena wyciągnęła ręce, żeby odłożyć pamiętnik na miejsce. Jednak coś ją powstrzymało — wąż wiedzy zakazanej? — i zobaczyła, jak ręce cofają się, jak pamiętnik wysuwa się spod łóżka.

Nie wstała i zastanawiała się teraz dlaczego. Na kolanach, jakby się modliła, otworzyła go i przeczytała to, czego nigdy nie powinna czytać. Ponieważ pod koniec znalazła coś, co przeorało jej mózg. Krzyknęłaby, gdyby nie zatkała ust pięścią.

Anunciata — jej córka, jej jedyne dziecko — oddawała się regularnie Maceo Encarnacionowi. Z potwornymi szczegółami, używając słów palących jak ogień, opisywała ich pierwszy raz i wszystkie pozostałe spotkania. María Elena z trzaskiem zamknęła pamiętnik. Jej umysł wciąż płonął, lecz śmiertelnie zranione serce zmieniło się już w popiół.

Wyjęła z torebki kartkę, rozłożyła ją i zaczęła pisać starannym ciasnym pismem. Spływające po policzkach łzy kapały na papier. Nic to, było jej wszystko jedno. Jej serce przepełniały smutek i wstyd, ale to jej nie powstrzymało. Zawzięcie pisała i pisała, aż doszła do straszliwego

końca. Wtedy złożyła kartkę, nawet nie rzuciwszy na nią okiem. Po co miałyby to robić? Wszystkie słowa miała wyryte w sercu.

Opętana przez złego węża, dopiła napój i nie tknąwszy reszty, rzuciła na stolik kilka banknotów. Pospiesznie wróciła do butiku przy ulicy Oscara Wilde'a, pchnęła drzwi, ponaglana przez złego węża wyjęła kartę kredytową, którą płaciła za zakupy dla Maceo Encarnaciona, i poprosiła o swoją wymarzoną torebkę i rękawiczki. Gdy sprzedawczyni przeciągnęła kartę przez czytnik, ona pieszczotliwie przesunęła palcami po torebce i poprosiła, aby wraz z rękawiczkami zapakowano ją na prezent. Już po chwili zakup zniknął pod warstwą pastelowej krepiny, następnie został ostrożnie włożony do grubego pudełka z wypisaną złotym tuszem nazwą butiku po obu stronach. Sprzedawczyni przykryła pudełko pokrywką, owinęła je różowo-zieloną wstążką i zawiązała kokardę.

Potem podała jej sztywną karteczkę, na której María Elena napisała imię swojej ukochanej córki. Pod spodem dodała: „To dla Ciebie”.

Pogodziwszy się z odmienionym pragnieniem, wyszła ze sklepu na oślepiające słońce. Przystanęła na chodniku, nie mogąc zrobić ani kroku dalej. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa, lewą stronę klatki piersiowej przeszył ostry ból. *Dios*, co mi jest? I ten ohydny posmak w ustach. Co było w tym napoju?

Zakręciło się jej w głowie i upadła. Jak z oddali słyszała krzyki i tupot nóg, lecz odgłosy te brzmiały jak echo, jakby nie miały nic wspólnego z nią i tym, co się z nią działo.

Gdy leżąc na plecach, patrzyła w zamglone niebo, do jej oczu znowu napłynęły łzy, a ciałem znowu wstrząsnął szloch, tym razem dochodzący z trzewi, gdzie zły wąż zwijał się i rozwijał, wysuwając rozedrgany rozdwojony język. Jej uwięziony w bursztynie umysł, powoli gasnący na granicy nicości, powrócił do jedynej ważnej chwili, tej sprzed tygodnia, do chwili olśnienia.

To ona była winna tej katastrofie. Gdyby tylko jej powiedziała, ale nie, chciała zaoszczędzić córce wstrętnych szczegółów jej pochodzenia. A teraz znalazła te same szczegóły w pamiętniku własnej córki, dowiedziała się — Boże, dopomóż — że obie dzieliły to samo wielkie łoże z tym samym potwornym, wszechpotężnym mężczyzną, że zostały tak samo zbrukane. Maceo Encarnación był ojcem Anunciaty. A teraz był jej kochankiem.

To była jej ostatnia myśl, bo zaraz potem trucizna, którą wypiała wraz z napojem, zatrzymała jej serce.

•••

Martha Christiana pogrążyła się w zadumie. Wracali do Paryża i obok niej siedział don Fernando, czytając najnowsze wydanie „Robb Report”. Spojrzała przez okno na nieskończone błękitne niebo. Płynące pod nimi chmury były tak skłębione, że mogłaby się na nich położyć.

Musiała odpocząć. Odpocząć, zasnąć snem sprawiedliwego, głębokim i spokojnym. Wiedziała, że to niemożliwe. Don Fernando zadziwiał ją na każdym kroku. Po tym, jak odwiedziła grób ojca, jak zobaczyła, co stało się z matką, czy mogła dalej kroczyć drogą, którą kroczyła od lat? Ale niby jak miałabym z niej zboczyć? — pomyślała.

Odwróciła głowę.

— Chce mi się pić. Gdzie jest stewardesa?

— Wczoraj odesłałem wszystkich do Paryża — odparł don Fernando, nie podnosząc wzroku.

Martha powróciła do swoich myśli. Uświadomiła sobie, że straciła punkt zaczepienia w świecie, w którym — była tego pewna — nic nie mogło jej zaskoczyć. A teraz musiała stawić czoło czemuś, czego się nie spodziewała, i nie miała pojęcia, jak to rozegrać. Znowu czuła się jak mała dziewczynka, samotna i zagubiona, która chce tylko uciec w otchłań nieznanego. Kręciło jej się w głowie, jakby spadała z dużej wysokości. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak dogłębnie Maceo Encarnación ukształtował otaczający ją świat, środowisko, w którym funkcjonowała... jako kto? Jako jego żelazna pięść, marionetka tańcząca na sznurkach coraz to nowych zleceń. Śmierć, śmierć, śmierć, coraz więcej śmierci. Zahipnotyzował ją, wmówił jej, że nadaje się tylko do zabijania, że bez niego, bez kolejnych zleceń, bez pieniędzy, które jej płacił, jest niczym.

„Śmierć — powiedział kiedyś. — Żyjesz tylko dla tej chwili. Dlatego jesteś tak wyjątkowa. Tak unikalna. Dlatego tak bardzo cię cenię”.

Zobaczyła teraz wszystkie kłamstwa, które jej wcisnął, pochlebstwa, którymi mamił ją i lechtał jej ego, pieszcząc je słowami. Zobaczyła marionetkę tańczącą w takt granej przez niego melodii. Przeszył ją zimny wiatr i zadrżała wewnątrz.

— Co myślisz o tym falconie? — Don Fernando położył na jej kolanach magazyn z rozkładówką przedstawiającą najnowszy model prywatnego odrzutowca. — Falcon dwa tysiące S. Ten musi przejść gruntowny remont. Zastanawiam się, czy nie lepiej od razu kupić nowy.

— Mówisz poważnie? — Patrzyła nie na zdjęcie, tylko na niego. —
O tym teraz myślisz?

Wzruszył ramionami i zabrał czasopismo.

— Chyba nie przepadasz za samolotami.

— A ty chyba nie rozumiesz, co się dzieje. — Powiedziała to ostrzej,
niż zamierzała.

Don Fernando odłożył magazyn.

— Zamieniam się w słuch.

— Co my teraz zrobimy?

— To zależy wyłącznie od ciebie.

Rozdrażniona pokręciła głową.

— Naprawdę nie rozumiesz? Jeśli cię nie zabiję, Maceo Encarnación
zabije mnie.

— Rozumiem.

— Chyba nie. Nie ucieknę przed nim.

— Rozumiem i to.

— W takim razie co...

— Zamierzasz mnie zabić?

— Nie bądź śmieszny — prychnęła.

Don Fernando odwrócił się do niej w fotelu.

— Martho, tak wielkiej zmiany niełatwo dokonać.

— Nikt nie wie tego lepiej ode mnie. Widziałam, jak paskudnie to się
kończy. W ostatniej chwili ludzie...

— Rezygnują.

— Chociaż bardzo tego chcą.

— Bywa, że nie widząc wyjścia, zamiast kogoś zabić, odbierają życie
sobie.

Spojrzała na niego spokojnym wzrokiem.

— Mnie to się nie przydarzy.

Wzięła ją za rękę.

— Skąd ta pewność?

— W Gibraltarze wyjąłeś mi serce, zrobiłeś sekcję, usunąłeś każdy
chory kawałek i włożyłeś mi je z powrotem.

— Nie. Ty to zrobiłaś.

Uśmiechnęła się powoli.

— A kto podał mi skalpel?

Samolot zniżał lot, muskając chmury, i nagle w nie wpadł. Niebo
poszarzało, zrobiło się bezkształtne, jakby byli w powietrzu zupełnie

sami i zagubieni. Monotonny pomruk silników stał się ciszą, która otulała ich niczym całun.

— Niedługo lądujemy — powiedziała Martha. — Muszę do niego zadzwonić.

— Koniecznie.

— Co ja mu powiem?

— To, co chce usłyszeć. Że wykonałaś zdanie. Że Fernando Herrera nie żyje.

— Zażąda dowodów.

— To mu je dasz.

— Przekonujących dowodów...

— Będą przekonujące — zapewnił ją don Fernando.

Zmarszczyła brwi.

— Nie rozumiem.

Don Fernando rozpiął pas i wstał.

— Samolot nie wylądaje.

•••

Wody Acapulco były turkusowe, przejrzyste aż do skalistego dna. Skakanie z wysokich skał wymagało zarówno umiejętności, jak i żelaznych płuc. Aby przetrwać w głębinie, w jaką zanurzał się skoczek, aby wstrzymać oddech na tyle, by przeżyć samo zejście w otchłań, a potem wynurzyć się na spienioną powierzchnię, walcząc z podwodnymi prądami, wirami i falami przyboju, trzeba było długo ćwiczyć. I tak, mieć żelazne płuca.

W wieku jedenastu lat Tulio Vistoso był najlepszym skoczkiem w tym tonącym w słońcu mieście i potrafił wstrzymać oddech prawie na dziewięć minut. Kiedy skończył lat piętnaście, czas ten wydłużył się co najmniej o minutę.

Woda obok przystani była czarna jak węgiel, ale brak światła go nie odstraszył. Puścił nogi przeciwnika, gdy taflę zaczęły przeszywać kule — głupota nie popłaca. Na razie mu się nie udało, ale wiedział, że rozprawienie się z *jefe* Marksem jest tylko kwestią czasu. Nie, żeby Maceo Encarnación dał mu go dużo. Zresztą połowa już minęła. Musiał wrócić do Meksyku z czyjąś głową i przynajmniej z obietnicą zwrotu trzydziestu milionów dolarów.

Kiedy tylko palba ustała i *jefe* Marksa wciągnięto na pokład łodzi, Aztek przystąpił do działania. Wiedział, że za chwilę ludzie Marksa wyślą do wody pływaki. Zanim to nastąpi, musiał albo dobrze się ukryć w marinie, albo wyjść na brzeg. Nie mógł wypłynąć z przystani, ponieważ na pewno patrolowały ją łodzie straży przybrzeżnej. Poza tym musiał założyć, że *federales* wyznaczyli strefę bezpieczeństwa i otoczyli cały teren.

Dopłynął do jednego z oślizgłych słupów podtrzymujących pomost, ale od razu poczuł wytwarzane przez silniki wibracje. Zapłonęły potężne reflektory i światło zaalało wodę, rozpraszając mrok w miejscach, w których zamierzał się skryć. Teraz już wiedział, że nic z tego nie będzie. Nie mógł również ukryć się pod pomostem, w plątaninie wsporników i poprzecznych belek. Gdy na próbę wystawił głowę nad powierzchnię, doszło go dyszenie psów. Nie, pod pomostem na pewno go znajdą.

Pozostawało mu tylko jedno wyjście, to, z którego nie bardzo chciał skorzystać. Aby uniknąć sunącego po wodzie światła, zanurzył się ponownie i powoli, spokojnie, tak, aby nie wzbudzić najmniejszej fali, popłynął w stronę wąskiej szpary między pomostem i prawą burtą *Rekursji*. Płynął tak, aż znalazł się pod drugim odbojnikiem, tym większym.

Czubkami palców wymacał metalowy pierścień, pomalowany na taki sam kolor jak kadłub. Nie wiedząc, że pierścień tam jest, nikt by go nie zauważył. Ale *Rekursja* była przede wszystkim łodzią przemysłową i w jej kadłubie mieściło się wiele przemysłowych schowków. Ten biegł wzdłuż prawej burty, tuż nad linią wody. Przemycano w nim plastikowe woreczki wypełnione metyloamfetaminą albo heroiną, lecz w razie potrzeby mógł się w nim zmieścić człowiek. Problem polegał na tym, że schowek nie był całkowicie wodoszczelny, zwłaszcza gdy trafił tam ktoś jego wagi. Dlatego Aztek niechętnie rozważał tę opcję. Wstrzymać oddech na dziewięć minut to jedno, ale leżeć tam jak w trumnie, patrząc, jak schowek powoli wypełnia się morską wodą, to zupełnie co innego.

Mimo to trumna była jedynym wyjściem i don Tulio z niego skorzystał. Przekręcił pierścień, otworzył klapę i wcisnął się do środka. Wraz z nim do schowka dostała się woda, zalewając dno. Tulio szybko zamknął klapę i przekręcił pierścień jeszcze raz, tak aby nie było go widać od zewnątrz.

A potem z mocno bijącym sercem zaczął modlić się do Boga, którego porzucił przed laty i którego pamiętał tylko z imienia.

•••

Czterdzieści minut po przyjeździe do szpitala pozwolono mu usiąść, chociaż wciąż był podłączony do kroplówki z płynami nawadniającymi. Zadzwoił do Hendricksa i chyba go obudził.

— Gdzie pan, do diabła, był? — spytał zrzędliwie sekretarz.

Kiedy Peter powiedział, że udało mu się przeniknąć do Core Energy, że jej szef dobrowolnie się obciążył, że Dick Richards pracuje dla Toma Bricka i że idąc tym tropem, na pokładzie *Rekursji* znalazł trzydzieści milionów dolarów, Hendricks trochę złagodniał. Ale tylko na chwilę.

— Nie znoszę, kiedy oboje wypadacie z obiegu. Firma została bez szefów.

Zaniepokojony Peter zamarł.

— Jak to oboje?

— Soraya jest w szpitalu. Miała zapaść, operowano ją.

Wzburzony Peter omal nie wyrwał wenflonu z żyły.

— Jak się czuje?

— Z tego, co wiem, kryzys został zażegnany. Jest z nią Delia. Nie odstępuje jej na krok.

— W którym szpitalu leży?

— W tym samym, co pan, ale w pana stanie wątpię...

— Nic mi nie jest — warknął Peter, może trochę zbyt agresywnie. Zreflektował się i dodał: — Przepraszam, panie sekretarzu, ale po tej imprezie na przystani jestem trochę zdenerwowany.

— Rozumiem. Proszę informować mnie na bieżąco. Kiedy tylko zidentyfikujecie tego napastnika, chcę o tym wiedzieć. Jasne?

— Tak jest.

Hendricks milczał przez chwilę.

— Co do Richardsa... Zamierza go pan zgarnąć czy pozwolić mu działać?

Peter zastanowił się, myśląc to o Richardsie, to o Sorai.

— Proszę dać mi parę dni, zobaczymy, co knuje. Zwiąłem Brickowi i chcę zobaczyć, co teraz będzie.

— Szkoda, że nie wiemy, kogo miał pan zabić.

— Ja też żałuję. Choć niewykluczone, że to była tylko podpucha. Brick lubi mieszać ludziom w głowie. Miałem tego dość, poza tym był ten klucz.

— Rozumiem. Jednak od tej chwili zakładamy, że Richards jest potencjalnym zagrożeniem.

— Absolutnie. Ale gdybyśmy mogli zdobyć dzięki niemu mocne dowody przeciwko Brickowi, nie chciałbym stracić takiej okazji.

— Dobrze — zgodził się niechętnie Hendricks. — Gdyby potrzebował pan wsparcia...

— Natychmiast zadzwonię.

— Koniecznie. Tymczasem przydzielam panu ochronę.

— Nie, wykluczone. Z całym szacunkiem, panie sekretarzu, ale nie mogę wykonywać swojej pracy z kimś, kto będzie deptał mi po piętach. Nie jestem gryziptiórkiem. Dam sobie radę.

Zapadła cisza.

— Panie sekretarzu?

— Peter, na miłość boską. Niech pan na siebie uważa. — Hendricks odłożył słuchawkę.

• • •

— Macie dwa wyjścia — powiedział pracownik kostnicy. — Spać na podłodze albo w trumnie.

— Ładny jedwab — rzuciła Rebeka, sunąc ręką po brzegu trumny.

— Mięciutki jak chmurka. — Mężczyzna był blady i chudy. Miał zapadniętą pierś, cienkie wąsy, napuchnięte kobiece usta, delikatne jak porcelana ręce i polakierowane paznokcie. Przedstawił się jako Diego de la Rivera.

— Jak chcecie — dodał. — Tak czy inaczej, kiedy nadejdzie pora, dam wam znać.

— Ktoś od Encarnaciona na pewno tu zadzwoni? — spytał Bourne.

— Nie „ktoś” — odparł de la Rivera. — Jestem pewien, że będzie to sam Maceo.

— Dlaczego?

De la Riverze drgnęły usta.

— Bo jestem mężem jego siostry.

Bourne poczuł się nieswojo.

— Krew nie jest tu gęstsza od wody?

De la Rivera rozciągnął usta w szyderczym uśmiechu.

— Maceo Encarnación to nie moja krew. Śpi na pieniądzach, mimo to traktuje siostrę jak sukę. — Splunął na podłogę. — A mnie? Lubi podsylać mi trupy, myśli, że mnie to poniża. „Interesują cię wyłącznie moje pieniądze”, mówi, a ja chcę tylko, żeby traktował nas jak ludzi. A on? Nawet nie zaprasza nas do swojego domu, ani mnie, ani mojej żony. Więc co tu mówić o krwi? Dla mnie Encarnación może pocałować się w dupę. — Machnął ręką. — Dlatego jeśli dacie mu popalić, będę bił wam brawo.

Potem wyszedł, gasząc górne światło. Paliła się tylko lampa na biurku, bo pewnie nigdy jej nie gasił. Słysząc było monotonny szum dużych chłodni w piwnicy, który przenikał betonową podłogę jak duch.

— Chcesz się położyć? — Rebeka spojrzała na otwartą trumnę, potem na Jasona i omal nie roześmiała się, widząc jego minę. — Ja też nie.

Bourne rozłożył pod lampą szczegółowy plan miasta, który dostali od Grabarza, i zaczął mu się przyglądać.

— Wiadomo, co robimy po wejściu? — spytał. — Wszystko jasne?

— Najpierw Rowland, potem Encarnación.

Jason pokręcił głową.

— Najpierw Rowland, a potem wychodzimy.

— A Encarnación?

Bourne podniósł wzrok. W oczach Rebeki odbijało się światło lampy, tworząc wokół źrenic świetlistą aureolę.

— Wiesz, myślę, że... — powiedział cicho. — Myślę, że Jihad bis saif...

— Ukrywa się na widoku.

— Tak uważasz?

Rebeka kiwnęła głową.

— To część imperium Encarnaciona, musi tak być.

Bourne spojrzał na plan, na labirynt ulic.

— Bo?

— Przyjechaliśmy tu, przejechaliśmy przez miasto... Słyszałam, co mówi Constanza, i wiem.

— Mylisz się. Jihad bis saif to duch. Nie istnieje.

— A to, co podsłuchałam w Dahr El Ahmar?

— Dahr El Ahmar. To klucz, prawda? — Jason spojrzał na nią przez ramię. — Podsłuchałaś Ben Davida. Myślał, że jesteś nieprzytomna, tak?

— Tak.

— A jeśli wiedział, że podsłuchujesz?

Rebeka patrzyła na niego bez słowa.

— Zastanów się — ciągnął. — Ben David wiedział, że przywiozłaś mnie do Dahr El Ahmar, pilnie strzeżonej tajnej placówki Mossadu na terenie obcego kraju, w której prowadzi się jeszcze tajniejsze badania nad SILEX-em, wyodrębnianiem izotopów za pomocą stymulacji laserowej w celu szybkiego i wydajnego wzbogacania materiałów rozszczepialnych, tak aby nadawały się do budowy broni. I nagle pułkownik nie wie, czy może ci zaufać. Więc zastawia pułapkę. Rozmawia o Jihad bis saif w twojej obecności. Przestań. Dlaczego miałby to robić, kiedy byłaś w zasięgu jego głosu? Aż tak by zaryzykował? Bzdura. Nie, rozmawiał o tym, żeby zobaczyć, co zrobisz. I co zrobiłaś? Uciekłaś. Nic dziwnego, że wysłał za tobą Babilończyka.

Rebeka pokręciła głową.

— Nie. To niemożliwe.

— Możliwe — nie ustępował Bourne. — Znamy Ben Davida lepiej niż inni. Oboje widzieliśmy, na co go stać.

— Dobrze, a Rowland?

— Nasłał go Encarnación. To on chce mnie zabić. Widziałaś ten helikopter w Sztokholmie? Widziałaś.

Rebeka oddychała głęboko, próbując się pozbierać. Spojrzała na niego błyszczącymi oczami i lekko zadrżała.

— Myślałam, że jestem bystra.

— Daj spokój. Wszyscy popełniamy błędy.

— W Mossadzie nie miałam nikogo, komu mogłabym zaufać, i w końcu Ben David mnie zdradził.

— Myślę, że on patrzy na to z innej perspektywy.

Rebeka powoli odetchnęła.

— Co między wami zaszło? — zapytała. — To znaczy, przedtem.

Jason przyglądał się jej przez chwilę i aż za bardzo zdała sobie sprawę z obecności otwartych trumien, połyskujących w półmroku widmowych wysepek bladego jedwabiu. Nie wyglądały już ani miękko, ani pocieszająco.

— Zaraz po dojściu Mubaraka do władzy Egipt stracił kontrolę nad Synajem — zaczął Bourne. — Ale to pewnie wiesz.

Rebeka kiwnęła głową.

— Wtedy się poznaliśmy — ciągnął Jason. — Kontyngent SOI, Sił Obronnych Izraela, patrolował tamte tereny, polując na karawany Beduinów, którzy przemycali narkotyki, broń i niewolników z Erytrei do Izraela. Ben David wraz z pięcioma agentami Mossadu przyjechał tam, by sprawdzić pogłoski, że stoi za tym Mubarak albo ktoś z jego rządu,

kto dogadał się z ich przywódcami. Ja prowadziłem wtedy własne śledztwo, które po części dotyczyło SOI. Wystarczy powiedzieć, że mieliśmy sprzeczne cele.

— Pewnie mu się to nie podobało.

— Ano nie. Dlatego, jak to on, wymyślił coś na mnie i sprzedał to dowódcy kontyngentu. Skutek? Wojsko zaczęło mnie ścigać.

— Dzięki czemu osiągnął podwójny cel, bo miał z głowy i ciebie, i SOI, a także mógł bez przeszkód robić swoje. Sprytne.

— Nie za bardzo. Zwiąłem wojskowym, udając handlarza bronią i przyłączając się do jednej z karawan. Kiedy pułkownik ją zaatakował, byłem na miejscu.

Rebeka wskazała podłogę, proponując, żeby usiedli.

— No i?

— W życiu nie był tak zaskoczony. Przywódca karawany twierdził, że towar pochodzi z Pakistanu, Syrii i Rosji, a nie z Egiptu.

— Uwierzyłeś mu?

— Tak, nie miał powodu kłamać. Jeśli chodzi o mnie, oświadczył, że nadzoruję transport swojego towaru. Płacili mu rosyjscy handlarze bronią, tacy jak ten, którego udawałem, i komórki terrorystyczne powiązane z kolumbijskimi i meksykańskimi kartelami.

Jasonowi rozbłysły oczy.

— Informacje, jakie otrzymał Ben David, były albo niedokładne, albo miały go celowo zmylić. Tak czy inaczej, tracił tam tylko czas. Sęk w tym, że mi nie uwierzył. Kazał mnie rozstrzelać i prawie mu się udało.

— Ale uciekłeś.

— Dzięki moim nowym beduińskim przyjaciółom. Ben David wpadł w furję i poprzysiągł sobie, że wytropi mnie i zabije.

— Koniec opowieści?

— Tak. Kolejny odcinek zaczyna się, kiedy przylecieliśmy do Dahr El Ahmar.

— Cholera. Szkoda, że nie wiedziałam.

— Co by to zmieniło? Potrzebowałam lekarza. Placówka Mossadu była najbliższym schronieniem.

— Ostrzegłabym cię.

— Wystarczającym ostrzeżeniem był widok pułkownika.

— Poruszył niebo i ziemię, żeby cię odnaleźć. Z drugiej strony, napędziłeś mu strachu.

— Dostał to, na co zasłużył.

Rebeka spojrzała na zarys jego tonącej w mroku twarzy.

— Nigdy ci nie wybaczy.

— Wcale tego nie chcę.

— Będzie cię tropił.

Bourne uśmiechnął się krzywo.

— Nie on pierwszy. I nie ostatni.

— To musi być... — Rebeka urwała, jakby straciła głos albo jakby zabrakło jej odwagi.

— Co?

— Wybrałeś trudne życie.

— Myślę — powiedział cicho — że to życie wybrało mnie. Jestem tylko przypadkowym pasażerem.

— Nie. Ty coś zmieniasz.

— Może tylko pomagam zachować równowagę.

— Jak na jednego człowieka to aż za dużo.

Zajęci swoimi myślami umilkli, patrząc sobie w oczy i siedzieli tak, aż głośno zaskrzypiały drzwi. Zapłonęło górne światło i wszedł Diego de la Rivera.

— Zadzwoił. Już czas.

Rozdział 19

— Zwariowałeś! — wykrzyknęła Martha. — Chcesz powiedzieć, że oprócz nas w samolocie nikogo nie ma?

— Tak.

— Pilot i nawigator wyskoczyli na spadochronie...

— Trzy minuty temu. Lecimy na autopilocie.

— I chcesz rozbić samolot...

— Otóż to. — Don Fernando zdjął z palca gruby grawerowany pierścień z krwawym rubinem. — Znajdzie go ekipa ratownicza. Jest jedyny w swoim rodzaju. Dzięki niemu mnie zidentyfikują.

Martha, wciąż bez tchu, nie mogła uwierzyć w ten obłąkany plan.

— Ale nie znajdą ciała.

— Ależ znajdą.

Poszli na tył samolotu, gdzie jeden na drugim leżały trzy duże worki. Martha aż się wzdrygnęła.

— To żart, prawda?

— Rozepnij worki.

Don Fernando powiedział to śmiertelnie spokojnym głosem i po plecach przeszedł ją zimny dreszcz. Takim go jeszcze nie znała. Pochyliła się, drżącą ręką rozpięła leżący na wierzchu worek i zobaczyła bladą jak kreda twarz, czyjeś zwłoki.

— Trzech mężczyzn — powiedział don Fernando. — Pilot, nawigator i ja. Tak napiszą w raporcie.

Martha odwróciła się na pięcie.

— I co potem zrobisz? Zrezygnujesz z prezesury Aguardiente Bancorp?

— Więcej wiary, Martho. Chodź. Zostało mało czasu. — Zdjął z haka dwa spadochrony i podał jej jeden. — Chyba że chcesz zginąć w katastrofie?

— Nie wierzę, że to dzieje się naprawdę.

— A jednak się dzieje. — Włożył uprząż i zacisnął pasy na piersi. Widząc, że Martha się waha, zmarszczył brwi. — Masz wątpliwości?

— Nie rozumiem...

— To wyzbądź się ich i mnie zabij. Kończy ci się czas. Wypełnij zadanie. Wątpię, żeby udało mi się cię powstrzymać.

— Encarnación mówił, że chcesz mu wszystko odebrać.

— Co wiesz o jego imperium?

Pokręciła głową.

— W takim razie nie ma powodu, żeby jego uwagi miały na ciebie wpływ.

Przypomniało jej się spotkanie z Encarnacionem na placu Zgody, otaczający ich strumień samochodów, krzyki i śmiech niczego nieświadomych turystów. Spotkanie w cieniu gilotyny i rządów terroru.

— Ale miały.

— Zatem... — Don Fernando szeroko rozłożył ręce. Nie odpowiedziała, więc wziął od niej spadochron i zarzucił uprząż na jej ramiona. Ale gdy zaczął zapinać główny pas, chwyciła go za ręce.

— Zaczekaj.

Spotkali się wzrokiem.

— To ostatnia szansa, Martho — powiedział. — Musisz podjąć decyzję. Zostać z Maceo Encarnacionem albo zrobić pierwszy krok w nowy początek, o którym mówiłaś na Gibraltarze.

Zacisnął pas.

— Myślę, że twoją przeszłość zdominowali mężczyźni, za którymi ślepo podążałaś. — Zaprowadził ją do drzwi i położył rękę na dużej metalowej dźwigni, która je otwierała. — Iść tą drogą dalej albo wybrać inną. Wybór jest bardzo prosty.

— Twoim zdaniem to jest prosty wybór?

— Nazywaj go sobie, jak chcesz, ale to ty musisz go dokonać. — Złagodniał mu głos. — Nikt ci nie pomoże, Martho. Ja nie śmiałybym nawet próbować.

Wzięła głęboki oddech. Pomyślała o latarni morskiej, o grobie ojca, o matce zagubionej w świecie, gdzie jej córka wciąż była małą dziewczynką, częścią jej życia. Popatrzyła mu w oczy, chcąc coś w nich wyczytać, lecz mówił prawdę: nie zamierzał wywierać na nią żadnego wpływu. I nagle zdała sobie sprawę, że jest pierwszym mężczyzną w jej życiu, który nie chce nią manipulować.

Kiwnęła głową i położyła rękę na dźwigni.

— Pozwól — powiedziała.

Don Fernando roześmiał się i czule ją wycalował.

— Najpierw coś ci pokażę.

— Mówiłeś, że nie mamy czasu...

Poprowadził ją przejściem na przód samolotu, otworzył drzwi do kabiny i zobaczyła pilota i nawigatora, żywych, całych i zdrowych.

— Lepiej zapnijcie pasy, szefie — odezwał się pilot. — Za pięć minut lądujemy.

• • •

Charles Thorne przewracał się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Prawda była taka, że chociaż nienawidził i bał się Li Wana, łączyła ich długa seria tajemnic, którymi wymieniali się jak przez delikatną membranę. Byli kanałami informacyjnymi i potrzebowali siebie nawzajem. Thorne znowu się przewrócił, próbując znaleźć wygodną pozycję.

Co gorsza, zazdrościł Li Wanowi. Bo durzył się w Natashy Illion, izraelskiej supermodelce, jego kochance. I mógłby przysiąc, że Li o tym wie. Ilekroć się spotykali, Li zawsze prezentował ją tak, jakby stała na scenie w świetle reflektorów, tak to przynajmniej wyglądało. A ona, być może po to, by uwiarygodnić ten mały żart, zawsze wkładała najbardziej prowokujące designerskie stroje, suknie z sięgającymi pępka dekoltami albo topy z siateczki, na które Thorne zerkał ukradkiem, by zobaczyć jej małe, lecz idealne piersi z sutkami jak wisienki. Jęknął, wyobrażając sobie, że zamyka na nich usta.

Był pewny, że Li, a może i Natasha, naśmiewają się z niego podczas tych wspólnych wypadów do miasta, jakby był zwierzęciem w klatce, nieustannie dręczonym przez kraty.

Mimo zaciśniętych powiek widział świetliste cyferki budzika na stoliku nocnym. Minęła ledwie godzina, odkąd wrócił ze spotkania z Li w chińskiej restauracji. Kurczak generała Tso leżał mu na żołądku jak gula wosku, nieruchoma i niestrawna.

Znowu przewrócił się na bok, przetoczył na brzeg łóżka i usiadł. Nie było mowy, żeby zaznał wytchnienia we śnie, nie tego dnia, nie z pętlą nieubłaganie zaciskającą się na szyi. Oczywiście mógłby poprosić Sorayę o ochronę przed śledztwem i związanym z tym tsunami, lecz musiałyby wtedy wrócić do niej na kolanach, musiałyby płaszczyć się przed nią jak skruszony pokutnik. Na zawsze miałyby go w garści, a z gorzkiego doświadczenia wiedział, że potrafi być bezlitosna, kiedy uzna, że ktoś zrobił jej krzywdę. A co będzie, jeśli Soraya okaże się jego jedynym ratunkiem? Li przebąkiwał co prawda, że, być może, będzie w stanie mu

pomóc, ale Thorne wolałby już dać się przeciągnąć pod kilem statku, niż zostać jego dłużnikiem.

Nie, pomyślał, stawiając nogi na podłodze. Tylko dzięki Sorai zdoła uciec do portu, zanim śledztwo Departamentu Sprawiedliwości zatopi wszystkie okręty.

Nagle przypomniało mu się, że Soraya jest w szpitalu, że jest z nim w ciąży i to wystarczyło, żeby kurczak generała Tso poruszył się w żołądku gwałtownie i bardzo nieprzyjemnie.

Thorne zerwał się na równe nogi, przeciął sprintem sypialnię, wpadł do wyłożonej kafelkami łazienki i zwymiotował z taką siłą, że jego wnętrzności wywróciły się na drugą stronę.

• • •

Leżąc wygodnie między nieprawdopodobnie długimi nogami Natashy Illion, Li Wan sięgnął po komórkę, nacisnął guzik i wypełniające eter syki i szmery natychmiast zmatowiały. Sygnał pomknął siecią szyfrowanych podstacji przekaźnikowych przez cały kraj, potem przez Pacyfik, by w końcu trafić do Pekinu, gdzie przez kilka sekund obijał się nieprzytomnie między tajnymi odbiornikami nasłuchowymi. Biura Państwowego Zarządu Zbożowego mieściły się w masywnym gmachu Guohong w Centralnej Dzielnicy Rządowej. Chociaż na jego trzech najwyższych piętrach widniało to samo logo, PZZ, urzędnicy z tych niższych nie mieli tam prawa wstępu. Na piętra te można było wjechać oddzielną windą, do której wsiadało się w olbrzymim holu na parterze i która mknęła na górę, nie zatrzymując się po drodze. Pracownicy z pięter poniżej wiedzieli tylko tyle, że mieszczą się tam gabinety ministrów bezpośrednio podległych Politbiuru. Nikt nie chciał i nie miał zamiaru tam wchodzić, dla nich piętra te po prostu nie istniały.

Ale dla Li Wana i jemu podobnych w gmachu Guohong nie istniało nic poza nimi. Zatrudnionych tam pracowników nie interesowała bynajmniej produkcja zboża, kontyngenty czy roczne przydziały. Sygnał z telefonu, który Li wykonał tego ranka w Waszyngtonie, leżąc między jedwabistymi nogami Natashy Illion, dotarł ostatecznie do przestronnego gabinetu na najwyższym piętrze.

W Pekinie była szósta po południu, ale godzina nie miała żadnego znaczenia, ponieważ na piętrach tych pracowano dwadzieścia cztery

godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu.

Minister Ouyang stał w progu olbrzymiej otwartej sali, gdzie przy tysiącu pięciuset połączonych intranetem komputerach siedziało tysiąc pięciuset młodych chłopców w wieku od dziesięciu do dziewiętnastu lat. Chłopcy ci byli wybranymi przez chińskich wojskowych hakerami, którym postawiono tylko jedno zadanie: przebić się przez cyfrowe zapory i przeniknąć do sieci obcych rządów oraz międzynarodowych firm zaopatrujących je w najnowocześniejszą broń i technologie. Byli podzieleni na zespoły, z których każdy pracował nad innymi rodzajami trojanów, robaków komputerowych i wirusów, takich jak Stuxnet, Ginjerjar czy Stikyfingers. Gdyby ktoś spróbował namierzyć źródło tych ataków, po długich, żmudnych poszukiwaniach odkryłyby, że jest nim komputer należący do niejakiego Fi Xu Langa, skompromitowanego profesora ekonomii mieszkającego na wygwizdowie w prowincji Guangdong.

Minister był niezmiernie dumny z tej operacji, bardzo ją popierał i osobiście zorganizował. Informacje wykradzione z wielu różnych źródeł okazały się niezwykle cenne dla jego przyjaciela, generała Hwanga Liquna i dla chińskiej wojskowości.

Gdy w jego kieszeni zawibrowała komórka, opuścił swoich niewolników i wrócił do gabinetu na końcu korytarza. Usiadł przy hebanowym biurku inkrustowanym kością słoniową, na którym nie leżało nic zbędnego. Po jednej stronie stał rząd sześciu telefonów, a drugą zdobił gruby przycisk do papieru z rogu nosorożca. Dokładnie przed nim leżała otwarta kartonowa teczka z napisem ŚCIŚLE TAJNE. Minister — był w wieku pięćdziesięciu kilku lat — miał szlachetną pociągłą twarz dyrygenta albo choreografa, zaczesane do tyłu czarne włosy i szerokie inteligentne czoło. Palce jego rąk, długie i kościste, były równie zadbane jak twarz i włosy. Odbierając telefon, spojrzął na fotografię przypiętą do wewnętrznej okładki teczek z aktami: zrobione teleobiektywem czarno-białe zdjęcie. Cierpliwie czekając, aż połączą go z Li Wanem, nie odrywał od fotografii wzroku.

Gdy połączenie zostało wreszcie zaszyfrowane, powiedział:

— Mówcie. — Miał wysoki, płaczliwy głos, jak ukarane dziecko.

— Panie ministrze, sprawy przybrały nieoczekiwany obrót.

Ouyang przymknął oczy. Wyobraził sobie pokój, z którego dzwonił do niego agent. Na amerykańskim Wschodnim Wybrzeżu była piąta rano. Zastanawiał się, czy Li Wan jest sam, czy też ze swoją długonogą przyjaciółką.

— To może wyrzucić negatywny albo pozytywny wpływ na mój wieczór, obywatelu Li. Co się stało?

— Dzięki ludzkiej głupocie otwiera się przed nami niezwykła okazja.

— Mówicie o panu Thorne?

— Tak. On i kilku jego podwładnych z „Polityki Jak Zwykle” uwikłało się w skandal z włamaniami do telefonów komórkowych, dzięki którym przez dziewiętnaście miesięcy zdobywali materiały do sensacyjnych artykułów. Pismo podskoczyło w rankingach, ale Departament Sprawiedliwości wszczyna przeciwko nim śledztwo.

— Ten fakt nie jest mi nieznany. — Minister miał wtyczkę w departamencie. — Kontynuujcie.

— Od samego początku celem mojej misji było dotarcie do jego żony. Wymiana informacji z Thorne’em miała mi to jedynie ułatwić.

— Jako przewodnicząca nowo powstałej Komisji Budżetowej Bezpieczeństwa Krajowego, senator Ann Ring jest dla nas niezwykle cenna. — Ouyang wciąż patrzył na zdjęcie, jakby próbował zgłębić tajniki umysłu człowieka uchwyconego w kadrze przez jego agentów. — Ale jak dotąd — dodał uszczypliwie — zdołaliście nawiązać z nią jedynie przelotny kontakt.

— To się wkrótce zmieni. Thorne jest pod ścianą. Potrzebuje mojej, to znaczy, naszej pomocy. Moim zdaniem nadszedł czas wyciągnąć do niego rękę.

Minister odchrząknął cicho i delikatnie.

— W zamian za co?

— Za senator Ring.

— Miałem wrażenie, i to pod waszym wpływem, że jego małżeństwo nie wygląda tak dobrze, jak powinno.

Mocno akcentując to ostatnie słowo, minister — co było zupełnie obłąkane — sugerował, że małżeńskie kłopoty Thorne’a i jego żony mogą być winą Li Wana. Cały Ouyang. Li wyteżył umysł, aby skuteczniej nawigować po coraz to bardziej wzburzonych wodach.

— Te chwilowe niesnaski mogą zadziałać na naszą korzyść — powiedział.

Minister przesunął czubkami palców po twarzy mężczyzny na zdjęciu.

— To znaczy?

— Jestem przekonany, że gdyby do nich nie dochodziło, Thorne zwierzyłby się żonie i powiedział jej o śledztwie. Tymczasem twierdzi, że nie powiedział. Ale gdybym... gdybyśmy podsunęli mu jakieś

rozwiązanie, sposób na uniknięcie skutków skandalu, byłby nam wdzięczny. Ona również. Senator Ring jest przykładną kongresmenką o nieposzlakowanej opinii. Najmniejsza wzmianka o skandalu, nawet skandalu, w który uwikłałby się jej mąż, byłaby druzgocąca dla jej pozycji jako przewodniczącej Komisji Budżetowej Bezpieczeństwa Krajowego. A jeśli ustąpi ze stanowiska, wrócimy do punktu wyjścia. Stracimy cenny czas. Nie możemy zaczynać wszystkiego od początku, nie stać nas na to.

Nie, pomyślał Ouyang, na pewno nie, a głośno rzucił:

— Gardzę głupotą.

Li był na tyle mądry, że tego nie skomentował.

— Ratując Thorne'a, musielibyśmy się odsłonić i narazilibyśmy się na niebezpieczeństwo. — Brzmiało to tak, jakby Ouyang mówił do siebie, analizując wszystkie za i przeciw jego propozycji. — Jak dobrze wiecie, aktywa oddziela od pasywów bardzo cienka granica. — Wciąż nie odrywał oczu od twarzy, którą zdążył już dobrze poznać, twarzy, która nawiedzała go w snach, ciągnących się w nieskończoność koszmarach, która uparcie powracała, co doprowadzało go do furii.

— Rozumiem, panie ministrze. Ale wyszkoliłem go, a raczej wytresowałem. Jest naszym nieświadomym informatorem.

— A więc najlepszym z możliwych — przyznał Ouyang.

— Właśnie.

Twarz miała oczywiście nazwisko i znał je tak dobrze jak swoje. Nazwisko ohydne, nazwisko, które zamierzał wymazać z pamięci, jakby nigdy nie istniało.

— Długo i pracowicie go urabiałem — ciągnął Li. — Można uratować go przed nadciągającą burzą. — Powiedział to z niezachwianym przekonaniem.

— Macie moje pozwolenie, pod warunkiem że nie zostaniecie zdemaskowani i że nie zagrozi to naszym planom. — Minister przekrzywił głowę, skupiając uwagę na ważnej rozmowie i równie istotnym zdjęciu. — Nie zawiedźcie mnie, Li.

Li Wan zaczął uniżenie mu dziękować, a on postukał palcem w oczy mężczyzny na zdjęciu, najpierw w jedno, potem w drugie, jakby najpierw chciał go oślepić, a potem zabić. W uszach wciąż pobrzmiwało mu jego nazwisko.

Jason Bourne, Jason Bourne, Jason Bourne.

•••

— Hej.

— Hej. — Soraya uśmiechnęła się na jego widok i dźwięk znajomego głosu. Ale widząc przemoczone ubranie Petera, natychmiast spoważniała. — Co się stało?

— Miałem spotkanie z trzydziestoma milionami dolarów. — Peter przystawił sobie krzesło i zaczął opowiadać jej o sieci coraz wyraźniej łączącej Richardsa, Core Energy, Toma Bricka i Florina Popę, o ciągu wydarzeń, które doprowadziły go do milionów w wodoszczelnej torbie pod odbojnikiem *Rekursji*.

— Tylko co to wszystko znaczy? — spytała Soraya, wysłuchawszy tego wielowątkowego sprawozdania.

Peter pokręcił głową.

— Nie wiem, ale się dowiem.

— Co zrobisz z Richardsem?

To samo pytanie zadał mu Hendricks.

— Postanowiłem dać mu trochę luzu. Nie mam pojęcia, co knuje Brick, ale próbuje to załatwić za jego pośrednictwem.

— Brick nie będzie nic podejrzewał? Miałeś poczekać i kogoś zabić.

Peter pochylił się do przodu.

— Nie sądzę. Zrobiliby to tylko ostatni dureń. Myślę, że to była próba.

— Test na inteligencję.

— Brick mi nie ufa, w każdym razie nie do końca. — Wzruszył ramionami. — Z drugiej strony, niby dlaczego miałyby mi ufać? Zgoda, wylazłem z nory i zaoszczędziłem mu kłopotów, ale co z tego? Jeśli ma mnie przyjąć, musi mnie najpierw wymaglować, w tej branży to normalne.

— Więc skontaktujesz się z nim? Znowu?

Peter puścił do niej oko.

— No jasne. — Wstał. — Odpoczywaj. Musisz szybko stanąć na nogi.

•••

Don Tulio siedział w wynajętym samochodzie, patrząc, jak Sam Anderson ponownie wysyła do roboty swoich ludzi, którzy zdążyli już przetrząsnąć, przeczesać, a nawet zbagrować dno przystani. Właśnie wydawał rozkazy niejakiemu Sanseverinowi; Tulio znał to nazwisko

z podsłuchanych rozmów. Sanseverino kiwnął głową, poszedł na parking, wsiadł do samochodu *jefe* Marksa i pojechał do szpitala — Aztek za nim. Doskonale prowadził, umiał siedzieć komuś na ogonie, tak aby uniknąć wpadki.

A teraz patrzył, jak Sanseverino wchodzi szybko na urazówkę i znika w trzewiach szpitala. Nie miał zamiaru iść za nim gdzieś, gdzie na pewno byli ochroniarze i gdzie mógłby wpaść. Po co, skoro wystarczyło zaczekać, aż *jefe* Marks wyjdzie, wsiądzie do samochodu i odjedzie? Aztek chciał pojechać za nim i zrobić swoje. Kończył mu się czas, czekał na niego wycarterowany samolot do Mexico City.

Jeśli zaś chodzi o te trzydzieści milionów, wiedział już, że przepadły. Łapę położyli na nich *federales*, co znaczyło, że zniknęły jak dym. Obciążwszy głowę jednemu z podwładnych, którego sam wybrał, jego ludzie dwoili się i troili, aby zebrać tę kwotę. Równie mocno ciążyło Aztekowi pragnienie zrehabilitowania się w oczach don Macea. Widok głowy podwładnego musiał go trochę udobruchać, przynajmniej chwilowo. Ale na dobre uspokoił się dopiero wtedy, kiedy wraz z trzydziestoma milionami dolarów don Tulio przywiezie mu drugą i powie, do kogo należała.

Jeszcze raz sprawdził pistolet, Colt 911, i amunicję — naboje z wgłębieniem na wierzchołku. Położył broń na fotelu pasażera, obok noża rtęciowego, usiadł wygodnie i przymknął oczy. Nauczył się spać z na wpół otwartymi oczami, jak gad. Nic mu wtedy nie umykało. Umysł odpoczywał, zmysły pozostawały czujne. To właśnie dzięki tej umiejętności w porę zauważył, że ze szpitala wychodzą *jefe* Marks i ten drugi. Poszli prosto do samochodu. Wybuchła krótką sprzeczka, bo obydwaj chcieli prowadzić. W końcu *jefe* ustąpił i za kierownicą usiadł Sanseverino.

Don Tulio przekręcił kluczyk w stacyjce chwilę wcześniej, nim zrobił to agent. Wyjechał z parkingu, trzymając się w dyskretnej odległości za nimi, jadąc raz dalej, raz bliżej. Nucił skoczną *cumbię*, która kojarzyła mu się z poruszającymi się rytmicznie kształtnymi ramionami i silnymi nogami, spoconymi ciałami i pijanym od meskalu umysłem.

• • •

— Przykro mi, szefie — powiedział Sanseverino, biorąc zakręt. — Może prąd zniósł ciało, bo gdyby leżało na dnie, pletwonurkowie już by

je znaleźli. Pewnie gościa wessało i popłynął, dlatego Anderson kazał przeszukać większy krąg.

— Cholera jasna — syknął Peter. — Muszę ustalić, kto to jest, inaczej nie dowiem się, skąd się tam wzięło te trzydzieści milionów. Bez niego to martwy trop.

— Martwy to martwy — mruknął Sanseverino.

— Ale to jeszcze nie koniec.

Peter był w parszywym nastroju. Wszystko idzie dzisiaj jak po grudzie, myślał, bojąc się przyznać, jak bardzo martwi się o Sorayę. Poza tym nie podobało mu się, że tak się przed nim zamknęła. Zupełnie jak nie ona.

— Anderson powiedział, żeby wracał pan do domu. Wziął dzień wolnego i doszedł do siebie.

Peter pokręcił głową.

— Bez Sorai zaczyna brakować nam ludzi.

— Chyba jeździmy w kółko. Gdzie my właściwie...

— Weź głęboki oddech. — Peter wyjął komórkę. — Zaraz zobaczysz.

— Odszukał numer Delii na liście kontaktów i nacisnął guzik. Delia odebrała po kilku sygnałach.

— To ja — zaczął szorstko. — Musimy pogadać.

— Jestem...

— Natychmiast.

— Oho...

Peter uśmiechnął się zjadliwie.

— „Oho”, żebyś, kurde, wiedziała. Gdzie jesteś?

— W terenie.

— Przyjadę. — Strzelił palcami. — Adres.

• • •

Byli poza miastem, coraz bardziej oddalając się od Waszyngtonu i gęściej zaludnionej części stanu, i don Tulio szybko się zgubił. Samochód nie miał nawigacji, ale jego komórka miała. Wyjął ją jedną ręką i włączył.

Nie żeby ważne było, gdzie są, przynajmniej na razie. Nie mógł tylko stracić z oczu jadącego przed nim chevroleta ani dać się im zauważyć, gdy ruch jeszcze bardziej zmaleje. Znał kilka sprytnych sztuczek, na

szczęście nie musiał ich stosować, bo na drodze zawsze były ciężarówki, za którymi mógł się ukryć.

Zmrużył w słońcu okrutne azteckie oczy i dodał gazu. Utrzymanie stałej prędkości, dostosowanej do prędkości wozu *jefe* Marksa, nic by mu nie dało, bo od razu zwróciłyby na siebie uwagę. Ale pojawiając się i znikając w ich lusterku, stawał się prawie niewidzialny.

Jechali prawie od czterdziestu minut, gdy don Tulio zobaczył duży ceglany budynek po prawej stronie szosy: szkoła średnia w Silversun. Przed wejściem parkowało nieskładnie kilka samochodów. Wyteńczywszy wzrok, dostrzegł również kilka postaci w luźnych kurtkach z dużymi jaskrawożółtymi literami ATF na plecach.

Chwilę później wóz Marksa zwolnił — chciał zmienić pas przed skrętem w drogę do szkoły.

Teraz, pomyślał Aztek. Lepszej okazji nie będzie.

Przyspieszył i jak spod ziemi pojawił się tuż za ich samochodem. Dotknął guzika i opuścił szybę. Chevrolet przyspieszył. Don Tulio wziął z fotela pistolet, odbił w prawo i zaczął ich wyprzedzać.

Gdy zrównał się z chevroletem, mignęła mu blada twarz *jefe* Marksa, który ciekawie się mu przyglądał. Zobaczył wycelowaną w siebie lufę policyjnego glocka. Podniósł colta, oddał jeden, dwa, trzy strzały i ostro zahamował, by uniknąć odpowiedzi.

Chevrolet zatoczył się jak pijany, z piskiem opon skręcił i wszedł w kontrolowany poślizg, by zawrócić. To był znak. Aztek przyspieszył i pełnym pędem uderzył w bok samochodu od strony kierowcy, w oboje drzwi. Maskę jego wozu złożyła się w harmonijkę, wstrząs był tak silny, że zagrzechotały mu zęby.

Głowa odskoczyła Aztekowi do tyłu, eksplodowała poduszka, ale on był na to przygotowany i natychmiast chlasnął ją nożem. Zablokował się pas, więc ciął go jak maczetą, jak lianę w dżungli.

Chcąc jak najszybciej obejrzeć swoje dzieło, niecierpliwie kopnął drzwi. Metal zazgrzytał o metal i ustąpiły; miały wygięte zawiasy. Don Tulio wysiadł lekko oszołomiony brutalną siłą grawitacji.

Ruszył chwiejnie w stronę chevroleta i zobaczył Sanseverina. Lewą połowę jego ciała przygniatały mocno wgniecione drzwi. Owinięta sflaczałą poduszką głowa była przekrzywiona pod nienaturalnym kątem, jakby szukał czegoś na podłodze. Ale niczego nie szukał. Był martwy.

Aztek pochylił się i zajrzał do samochodu. Gdzie jest *jefe* Marks? Drzwi od strony pasażera były otwarte, szyba opuszczona, nie było

jednak ciała, ani żywego, ani martwego. Jak to możliwe? Przecież posłał w okno trzy kule, w dodatku z małej odległości. Z mniejszej nie mógł, nie z poruszającego się samochodu.

Zaalarmował go ledwo słyszalny szmer, więc szybko obszedł wóz i wtedy zobaczył Marksa, który — na to wyglądało — utknął przygnieciony własnym samochodem. Był przytomny.

— Jakim cudem? — spytał Aztek po angielsku. — Wpakowałem w ciebie trzy kule. I nawet cię nie drasnęły?

Marks podniósł wzrok.

— Mam kuloodporne szyby. — Jego głos brzmiał jak szelest liści.

— Kurwa!

— Kim jesteś?

— Tym, który przynosi ci śmierć. — Aztek podszedł chwiejnie bliżej. — Zwinąłeś moje trzydzieści milionów, łajzo.

— A ty? Komu je ukradłeś?

Don Tulio jedną ręką ścisnął nóż, drugą pistolet. Wycelował w jego głowę.

— Ponieważ za trzydzieści sekund będziesz trupem, zdradzę ci komu. Don Maceo Encarnacionowi.

— Pluję na niego — powiedział *jefe*. — Na ciebie też.

• • •

Błyskawicznie podniósł glocka, którego ukrywał pod samochodem, pociągnął za spust i wpakował kulę w serce stojącego przed nim mężczyzny. Ale zamiast jednego, usłyszał dwa wystrzały. Gdy mężczyzna zatoczył się do tyłu, Peter poczuł oślepiający ból. Chciał nabrać powietrza, zakasłał i gardło zalała mu krew. Zakrztusił się, nie mógł oddychać. Tracił siły i serce waliło mu jak młotem.

A więc tak to się kończy, pomyślał. I, co dziwne, nie miał nic przeciwko temu.

Rozdział 20

Przedświt miał barwę przypalonego karmelu. Jechali karawanem. Rebeka leżała nieruchomo na Jasonie. Byli w błyszczącej trumnie z drewna wiązowego, którą Maceo Encarnación zamówił dla Marii Eleny, swojej zmarłej kucharki. Obok kierowcy siedział Diego de la Rivera. Trumna na szynach z nierdzewnej stali była jedyną rzeczą w przestronnej ładowni karawanu. W oknach wisiały czarne zasłony.

— Zmarli zawsze jadą do kostnicy w trumnie — powiedział przed odjazdem de la Rivera. — Encarnación tak chce. Wzór i materiał są już wybrane. Ochroniarze mnie znają. Zajrzą do karawanu, ale nie będą zawracali sobie głowy podnoszeniem wieka. Zobaczycie.

I rzeczywiście. Zatrzymano ich przed bramą. Usłyszeli przytłumione głosy. Chwilę później otworzyły się tylne drzwi i znowu usłyszeli głosy, tym razem z mniejszej odległości. A potem drzwi się zamknęły. Ktoś roześmiał się grubiańsko, pozwolono im wjechać na teren posiadłości i pod kołami zachrząścił żwir. Z pogrzebową powolnością karawan wtoczył się na półokrągły podjazd i zatrzymał za domem.

Znowu głosy, tym razem mniej kłótlive. I znowu otwarto tylne drzwi. Trzasnęły zamki na stalowych szynach, Diego de la Rivera wraz kierowcą ponieśli trumnę do domu, prawdopodobnie do pokoju, gdzie wystawiono na pokaz ciało Marii Eleny.

Po pewnym czasie zatrzymali się. Trzy stuknięcia, potem dwa: znak, że podróż dobiegła końca. Podniesiono wieko i jak wampiry Rebeka i Bourne wyszli z trumny w mrocznym pokoju pachnącym perfumami i śmiercią.

Nie licząc zwłok nieszczęsnej Marii Eleny, de la Rivery i kierowcy, nikogo więcej tam nie było. Tak, znajdowali się w sypialni kucharki Encarnaciona. W pokoju roilo się od ozdóbek i bibelotów, półki uginały się od pomalowanych na jaskrawe kolory miniaturowych czaszek i szkieletów, które María Elena zbierała przez lata na festynach z okazji Dnia Zmarłych. Jej ciało leżało na białej bawełnianej narzucie obszytej ozdobną koronką. Szeroka olmecka twarz, duże piersi, szerokie biodra, wąska talia — była ładną kobietą. Ręce miała złożone na brzuchu.

Ubrano ją w żółtą sukienkę w czerwone maki i ten wesoły strój doskonale pasował do otaczających ją kolorowych czaszek i szkieletów z papier mâché.

— Za drzwiami stoi uzbrojony ochroniarz — powiedział szeptem de la Rivera. — Ten sam, który powitał nas przed domem. *Vaya con Dios*. Od tej chwili jesteście zdani na siebie.

Bourne chwycił go za łokieć.

— Jeszcze nie.

•••

Ochroniarz Encarnaciona spojrział na wychodzącego z pokoju de la Riverę.

— Zostawiłem coś w karawanie — powiedział zmieszany Diego.

Ochroniarz kiwnął głową.

— Pójdę z tobą.

Gdy ruszyli, Jason wychynął zza drzwi i zdzielił go w kark. Oszołomiony ochroniarz odwrócił się, a wtedy Bourne wymierzył mu mocny cios w skroń. Nieprzytomny mężczyzna osunął się na podłogę.

Jason zawlókł go do sypialni i zabrał mu SIG-a, którego wetknął za pasek spodni. Obszukał go, znalazł nóż rtęciowy i schował go do kieszeni. Otworzył szufladę komody, wyjął apaszkę i zakneblował nią ochroniarza. Potem związał mu ręce szalikiem, wepchnął go pod łóżko i zasłonił dolną częścią narzuty.

— *Vaya con Dios* — powiedział, gdy do pokoju wrócił de la Rivera. — Dopiero teraz.

On i Rebeka wyszli na korytarz, zamknęli drzwi i znieruchomieli, wsłuchując się w odgłosy domu i próbując wyłowić z nich szmer kroków, głosy, coś, co mówiłoby, że ochroniarze czuwają nie tylko na podjeździe, ale i w willi. Ale nie, oprócz radia, *Bésame mucho* Tina Rossiego w wersji z czterdziestego piątego roku, w domu nie było śladu życia.

Było bardzo wcześnie, dopiero co wzeszło słońce. Mogli spokojnie założyć, że najważniejsi mieszkańcy domu jeszcze śpią. Ale ktoś musiał już wstać, ktoś słuchał starej muzyki. Nagle kroki w korytarzu — szybko ukryli się w najbliższym pokoju, pozostawiając lekko uchylone drzwi.

Krętymi, szerokimi schodami z wypolerowanego na błysk drewna schodziła spieszenie piękna młoda kobieta w długim jedwabnym

szlafroku bogato haftowanym w kwiaty i pnącza. Widać było, że pod spodem jest naga. Sądząc po jej zbolalej minie, musiała to być córka Marii Eleny. Zniknęła za drzwiami pokoju matki. Chwilę później, gdy już wyszli z kryjówki, usłyszeli pełne rozpaczy zawodzenie.

— Biedactwo — szepnęła Rebeka.

Bourne odtworzył w myśli rozkład piętrowego domu, plan, który pokazał im *el Enterrador*. Na górze mieściły się apartamenty i zaintrygowany Jason zauważył, że córka kucharki nadeszła stamtąd, a nie z korytarza na parterze, gdzie według planu powinna być jej sypialnia. Poza tym miała na sobie szlafrok, który musiał kosztować więcej niż roczne dochody jej matki. Dziwne. Ale szybko odpędził te myśli i powoli, z maksymalnie wyostrzonymi zmysłami, weszli na schody.

Upewniwszy się, że nikogo na nich nie ma, bez żadnych incydentów przemknęli przez podest i wbiegli na górę. Piętro było podzielone na dwie części. W skrzydle zachodnim — po lewej stronie — mieściła się olbrzymia sypialnia Encarnaciona połączona z sybarycką łazienką i wyłożonym boazerią wielkim gabinetem. W skrzydle wschodnim — po prawej — były pokoje gościnne. I właśnie w tamtą stronę ruszyli ukradkiem, mocno pochyleni, trzymając głowy poniżej balustrady, aż doszli do rogu korytarza, w którym znajdowały się cztery pokoje.

Bourne dał Rebecce znak, że on sprawdzi te po lewej, a ona po prawej. Rebeka kiwnęła głową i weszła do korytarza. Jason obserwował ją przez chwilę i podszedł do pierwszych drzwi.

Przytknął do nich ucho, lecz usłyszał tylko szum klimatyzatora. Przekręcił gałkę i po cichu wszedł do środka. W oknach wisiały ciężkie kotary. W półmroku zobaczył zarys podstawowych mebli, łóżka, komody, biurka i krzesła. Łóżko było zasłane i nienaruszone. W powietrzu unosił się lekki zapach stęchlizny; nie było sensu zaglądać do łazienki.

Wróciwszy na korytarz, zobaczył Rebeke wychodzącą z pokoju naprzeciwko. Pokręciła głową: ona też nikogo nie znalazła. Poszli dalej i przystanęli przed drugą parą drzwi.

Słyszając ciche kroki na schodach, odwrócili się, przykucnęli i przywarli plecami do ściany. Na schody wchodziła piękna córka Marii Eleny, w ekstrawaganckim powiewającym szlafroku płynęła po nich jak na chmurce. Na podeście skręciła w lewo, do zachodniego skrzydła, i zniknęła za rzeźbionymi ciężkimi mahoniowymi drzwiami do sypialni Encarnaciona.

Bourne i Rebeka wymienili spojrzenia i zabrali się do pracy. Tak jak przedtem, Jason przytknął ucho do drzwi, ale tym razem usłyszał cichy szum wody. Dał znak Rebecce, powoli przekręcił klamkę i leciutko uchylił drzwi. Ta sypialnia też tonęła w mroku, lecz tutaj pościel była odrzucona, a na poduszce widniało wyraźne wgłębienie.

Bourne wślizgnął się do środka, Rebeka tuż za nim. Szumiał prysznic, drzwi do łazienki zostawiono uchylone. Jason na migi kazał Rebecce sprawdzić szafę, a sam podszedł do drzwi, przywarł plecami do ściany, otworzył je szerzej i wszedł do wypełnionej parą łazienki. W środku paliło się jaskrawe światło i w błyszczących białych płytkach igrały oślepiające refleksy.

Bourne wyciągnął ręce, zrobił krok i jednym ruchem zdarł zasłonę prysznicową. Leżąca się z prysznicą woda spadała w pustkę. W kabinie nikogo nie było.

Dopiero wtedy go olśniło. Odwrócił się na pięcie z głuchym warkotem i wpadł do sypialni. Rebeka, która właśnie otwierała szafę, spojrzała w jego stronę. W tym samym momencie z szafy runął na nią Rowland, który grzmotnął ją pięścią w bok, w miejsce, gdzie przed sześcioma tygodniami w Damaszku dźgnięto ją nożem. Zanim Jason zdążył wykonać jakikolwiek ruch, Rowland przytknął nóż do jej gardła. I wyszczerzył do niego zęby w drapieżnym uśmiechu. Wyglądał jak trupia czaszka.

Bourne wiedział, że Rebeka mogłaby uwolnić się na co najmniej kilka sposobów. Ale nie była w stanie. Rowland brutalnie wygiął do tyłu jej ciało, tak że dyszała jak wyrzucona na brzeg ryba. Na jej bluzce rozlewała się powoli czerwona plama.

Rowlandowi pociemniały oczy.

— Wśród użytecznych wiadomości, jakie zdobyłem, węsząc w Dahr El Ahmar, była też ta, w które miejsce ją raniono i jak ciężko.

Poruszył się nieznacznie, prawie niezauważalnie przesunął, ale Bourne nie mógł nic zrobić, ponieważ wciąż zasłaniała go Rebeka. Nagle uderzył ją znowu i syknęła z bólu. Krwawa plama natychmiast się powiększyła. Rowland patrzył na niego nabiegłymi krwią oczami.

— Puść ją — powiedział Jason.

— To prośba czy groźba? — Rowland pokręcił głową. — Ta ździra lazała za mną przez pół świata, a teraz polujecie na mnie we dwoje. — Znowu wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Widzisz, co się dzieje, kiedy komuś wraca pamięć? Tak, tak, wiem, kim jesteś, ty pieprzony amnezjaku. W sumie to ci nawet współczuję: żyjesz połową życia, dzień

i noc, we śnie i na jawie nosisz w sobie ten mroczny cień. Koszmar niewyobrażalnych wprost rozmiarów. — Rebeka poruszyła się i uderzył ją w to samo miejsce. Na podłodze zbierała się kałuża krwi. — Tylko ja wiem, jak to jest nie mieć przeszłości i nieustannie dryfować w teraźniejszości.

— Czego chcesz? — spytał Bourne, głowiąc się, jak powstrzymać Rowlanda, zanim zrobi Rebecę większą krzywdę.

— Chcę, żeby polowanie dobiegło końca. Chcę waszej śmierci.

Jason widział, że Rebeka zbiera resztki sił. Wiedział po co. Oczami dał jej znak, żeby zrezygnowała, żeby nic nie robiła. Mam plan, mówił. Zostaw to mnie. Ale zignorowała go, polegając na swoim wyszkoleniu i zabójczych treningach.

— Jest inne wyjście. — Bourne robił, co mógł, żeby odwrócić jego uwagę, tak aby Rebeka mogła zaatakować.

Potem nie potrafił ustalić, co poszło nie tak. Czy Reбекę spowolnił ból? Czy Rowland był za szybki? W każdym razie odwróciła się błyskawicznie, on błyskawicznie skontrolował i w chwili, gdy uderzyła go w podbródek, dźgnął ją nożem.

Zachwiał się, puścił ją, a ona zatoczyła się do tyłu z nożem po rękę w bok i padła Jasonowi w ramiona. Jason podniósł ją, wybiegł z pokoju i popędził korytarzem do piwnicy.

Rozkład willi wrył mu się w pamięć, a w tym, co mówił *el Enterrador*, widział obietnicę ucieczki. Z krwawiącą Reбекą na rękach mógł myśleć tylko o tym, żeby uciec z domu Encarnaciona i jak najszybciej zawieźć ją do szpitala.

Zbiegł na dół betonowymi schodami. Pstryknął włącznikiem i piwnicę zalało światło, wydobywając z mroku przestrzeń i to, czym była wypełniona. Znalazł latarkę w skrzynce z narzędziami. Podszedł do szafki z bezpiecznikami i wyłączył je, odcinając dopływ prądu do domu. Światło zgasło nie tylko w podziemiach, ale i w całej willi, dezaktywując przy okazji system alarmowy.

„Przez środek piwnicy biegnie kanał burzowy — powiedział *el Enterrador*. — Duży, bo mają tam wysoki poziom wód gruntowych”. Duży na tyle, by pomieścić człowieka.

W świetle latarki Bourne szybko znalazł wejście. Rebeka jęknęła, gdy położył ją na podłodze. Z jej boku wciąż sterczał nóż. Nie mógł go wyciągnąć, nie powodując silnego krwotoku. A gdyby przewiązał ranę, krwawiłaby jeszcze bardziej. Wcisnąwszy palce między pręty, spróbował podnieść kratę. Ani drgnęła.

Nagle usłyszał tupot nóg nad głową. Spojrzał na Rebeke, na zalany krwią beton. I już wiedział, że ci z góry trafią do nich jak po sznurku.

• • •

Charles Thorne to budził się, to zasypiał niespokojnym snem. Słyszając, że zamykają się frontowe drzwi, usiadł na łóżku. A może to tylko nocne zwidy? Ale nie, ktoś szedł do sypialni. Znał ten krok jak swój własny.

Wróciła żona.

— Obudziłam cię? — rzuciła od progu.

— Czy to ważne? — Nie otrząsnął się jeszcze ze snu.

— Chyba nie.

Ta krótka wymiana zdań świetnie ilustrowała ich związek. Gdy procesy chemiczne ustały, ich pełne gorącego seksu małżeństwo przekształciło się w zdominowane przez rutynę codziennego życia małżeństwo dla wygody.

Patrzył, jak żona wchodzi do sypialni, jak staje przy toalecie i zaczyna zdejmować biżuterię.

— Jest prawie siódma rano. Gdzie ty byłaś?

— Tam gdzie ty. W mieście.

Rozpięła i zdjęła sukienkę. Gdy zobaczył jej białe plecy, lekko połyskujące we wpadającym przez okno świetle, przypomniały mu się czasy, kiedy panujące między nimi napięcie seksualne było tak wielkie, że bez względu na to, gdzie byli, mogli myśleć tylko o jednym. A teraz czuł się tak, jakby oglądał zdjęcie. A teraz nie mógł na nią patrzeć, bo zawsze przypominało mu się to, co stracił.

Co się ze mną stało? — myślał. Jakim cudem tak bardzo zboczyłem z drogi? Naturalnie nie było na to odpowiedzi, poza jedną, zupełnie oczywistą: zdarzyło się życie, po prostu i zwyczajnie. Jedna decyzja, jedno malutkie wyżłobienie w skalnej ścianie pociągnęło za sobą lawinę, która lada dzień miała go zasypać.

Ann weszła nago do łazienki i zapaliła światło. Chwilę później, słysząc szum wody, Thorne wstał, podszedł do leżącej na podłodze sukienki i w padającym z łazienki świetle przeszukał boczne kieszenie, a potem otworzył torebkę.

Wtedy padł na niego cień. Zamarł.

— Pomóc ci? — W drzwiach łazienki stała żona. Obserwowała go zimno błyszczącymi gadzimi oczami.

A jednak nie weszła pod prysznic. Thorne zamknął oczy wściekły, że dał się podejść i wpadł w tak oczywistą pułapkę. Oczywistą, patrząc wstecz. Żywił do niej tak wielką nienawiść, że niemal czuł w ustach jej smak.

Oderwała się od drzwi łazienki.

— Zostaw moje rzeczy, ty żałosny sukinsynu.

Odsunął się szybko, gdy wyrwała mu z rąk torebkę.

— Chcesz wiedzieć, gdzie byłam? — Rozszerzyły jej się nozdrza, na twarzy malował się wyraz pogardy. — Na spotkanku z panem Li. — Widząc, że oczy niemal wyszły mu na wierzch, dodała z kąśliwym uśmiechem: — Tak, z twoim panem Li. — Otworzyła szufladę komody, schowała torebkę, a potem oparła się o wciąż otwartą szufladę, jakby chciała mu pokazać, że ta rozmowa ją nuży. — W tym sęk, że on nigdy nie był twoim panem Li. W każdym razie nie do końca.

— Jak... — Thorne'a sparaliżowało. Jego umysł nie potrafił sklecić dwóch logicznych myśli. — Skąd...

Żona roześmiała się cicho.

— Jak myślisz, kto zapoznał go z tą Izraelitką?

• • •

Bourne podbiegł do pudełka z narzędziami, chwycił łom i podważył nim kratę. Odciągnął ją na bok i oświetlił wnętrze szybu, aby sprawdzić, pod jakim biegnie kątem. Schodził pionowo w dół na dwa, dwa i pół metra, potem gwałtownie skręcał i lekko opadał. Jason włożył latarkę między zęby i podniósł Rebekę. Objął ją mocno, zsunął się w dół i huknął butami w dno.

Ułożył wygodniej Rebekę w ramionach, lecz nie zareagowała. Podniósł i oświetlił jej głowę — miała zamknięte oczy. Rana była głęboka i zastanawiał się, czy ostrze noża nie drasnęło albo nie przebiło jakiegoś ważnego organu. Nie sposób było powiedzieć. Spróbował zatamować krwotok, ale udało mu się tylko częściowo.

— Rebeko — szepnął. Powtórzył to głośniejszym głosem. Otworzyła oczy dopiero wtedy, gdy otwartą dłonią uderzył ją w policzek. — Nie mdlej, nie teraz. Wydostanę cię stąd. — Nie mogła skupić wzroku. — Już niedługo, wytrzymaj.

Ucieczka była teraz najważniejsza. Ostrożnie pokonał zakręt i coraz to łagodniejszym spadkiem ruszył przed siebie. W kanale cuchnęło

betonem, zbutwiałymi liśćmi i zgnilizną. Na dnie stała woda. Echo kroków ścigało ich w ciemności jak duch.

Podniósł głowę i powiódł światłem po stropie, szukając studzienki serwisowej — według *el Enterradora* powinna być mniej więcej trzysta metrów za murami posiadłości, w gęsto zadrzewionym parku Lincolna.

Kanał zaczynał się zwężać, o czym Grabarz go nie uprzedził. Jason szedł wolno, tym wolniej, że musiał nieustannie manewrować ciałem Rebeki, tak aby nie zahaczyło o ściany. Szedł, modląc się cicho, by nie straciła przytomności. Wciąż ani śladu studzienki. Nagle światło latarki zamigotało i zgasło. Zapadła ciemność. Po chwili latarka zapaliła się ponownie, lecz teraz dawała o wiele słabsze światło. Wysiadały baterie.

Bourne przyspieszył kroku, jednak kanał ciągle się zwężał i w końcu Jason musiał ułożyć sobie Rebeke na plecach. Czuł bicie jej serca, czuł jej nierówny oddech, coraz bardziej spazmatyczny, bo walczyła o każdy haust powietrza. Musiał natychmiast wydostać ją na zewnątrz, na dwór.

Krok po kroku parł naprzód, bo liczyła się teraz każda sekunda. Latarka znowu zgasła. Zapaliła się, ale po dłuższej przerwie, świecąc chybotliwie dużo słabszym światłem. Lecz w tym migotliwym blasku Jason dostrzegł zarys studzienki, pionowy szyb z wyjściem w parku.

Przyspieszył jeszcze bardziej, przemoczony, czołgając się, wlokąc na sobie Rebeke i do krwi ścierając ręce o beton. Półkoliste wejście do studzienki, połyskujące jak sierp księżycy na czarnym niebie, wabiło go przez chwilę, wskazując drogę, a potem zniknęło, bo latarka zgasła na dobre. Bourne pograżył się w ciemności.

• • •

— Natasha Illion? — Thorne poczuł się tak, jakby cały świat uciekł mu spod nóg. — Nie...

— Nie rozumiesz? — dokończyła z lodowatym uśmiechem Ann. — Biedny Charles. Powiedzmy, że Tasha i ja jesteśmy dobrymi przyjaciółkami, na tym poprzestańmy.

— Ty suko! — wykrzyknął Thorne i skoczył ku niej.

Ann Ring wyjęła rękę z szuflady. Trzymała w niej małego walthera PPK/S. Ale Thorne albo go nie dostrzegł, albo było mu wszystko jedno. Rozwścieczony rzucił się na nią z podniesionymi rękami, chcąc ją udusić.

Ann podniosła broń pewną ręką i pociągnęła za spust raz i drugi. Potężne pociski .32 APC przebiły ciało i rzuciły Thorne'em o ścianę z taką siłą, że się od niej odbił.

Wytrzeszczył oczy z szoku i niedowierzania. Nagle zalała go fala oślepiającego bólu, bezwładnie runął na żonę i przez chwilę obejmował ją jak wtedy, gdy byli ogarniętymi żądzą kochankami.

Otworzył i zamknął usta niczym ryba przebita strzałą z kuszy.

— Dlaczego... Dlaczego...

Ann patrzyła na umierającego męża z chłodnym, niemal naukowym zaciekawieniem.

— Jesteś zdrajcą, Charles. Zdradziłeś mnie i nasze małżeństwo, ale przede wszystkim swój kraj. — Thorne osunął się na kolana. — Wiesz, co knułeś z naszym czcigodnym panem Li? Czcigodnym w roli szpiega, oczywiście.

Thorne czuł, że nie zniesie już ani jednego wstrząsu. Lawina zeszła i całkowicie go pogrzebała.

— Żegnaj, Charles. — Ann odepchnęła go i zobaczyła krew na piersiach. Przeszła nad jego ciałem, wróciła do łazienki, weszła pod prysznic i zaczęła się dokładnie myć.

•••

Bourne parł przed siebie, oceniając odległość do wyjścia ze studzienki na podstawie powidoku, który wciąż drżał mu przed oczami. Kanał był teraz tak niski, że gdy leżąc na brzuchu, podnosił rękę, mógł sięgnąć stropu. W takiej pozycji dotarł do celu. Wymacał palcami krawędź studzienki i nabrał otuchy.

Ułożywszy Rebeke na dnie kanału, wsunął się do szybu, wyciągnął ręce i przeciągnął dłońmi po klapie wjazdu. Wyczuł jakieś wybrzuszenie: metalowy pierścień. Przekręcił go w lewo, pchnął klapę i zalało go światło i fala świeżego powietrza.

Wolność!

Ukucnął, podniósł Rebeke, wsunął ją do szybu i wypchnął na powierzchnię. Chwilę później wyszedł sam. Był jasny dzień. A wokoło drzewa, kępa drzew rosnących w idealnie symetrycznym kwadracie, po cztery z każdej strony.

Oslonił Rebeke własnym ciałem i podniósł głowę, nad słuchując odgłosów pościgu. Ale słyszał tylko odległy szum ulicy. Za wcześnie na

spacerowiczów. Byli sami.

Nachylił się nad Rebełą i stwierdził, że rana już ropyje. Spróbował zatamować krwotok szmatką, którą zabrał ze skrzynki z narzędziami, lecz natychmiast przesiąkła krwią. Trudna przeprawa przez kanał jeszcze bardziej pogorszyła stan dziewczyny. Ośluchał serce i płuca — było gorzej, niż myślał. Próbował ocenić, ile straciła krwi, i doszedł do wniosku, że więcej niż podczas ich lotu z Damaszku do Dahr El Ahmar. Miała ziemistą twarz i niemal bezbarwne oczy. Chciała coś powiedzieć, ale nie zdołała. Wiedział, że jeśli natychmiast nie zawiezie jej do szpitala, wykrwawi się na śmierć.

Otworzyła usta i powiedziała coś niezrozumiałego.

— Ciii, oszczędzaj siły — szepnął. — Szpital już niedaleko.

Podniósł głowę. Musiał znaleźć jakiś transport.

— Rebeko — powiedział — idę po samochód.

Wstał i zygzakując między drzewami, wyszedł z zielonej gęstwiny. Przeciął park i na jego skraju zobaczył parking. Ulicą jechały samochody. Przejechała taksówka. Pomyślał, że mógł ją zatrzymać, ale taksówkami jeździli często miejscowi gangsterzy, którzy napadali i rabowali niczego nie podejrzewających turystów. Przystanął obok jakiegoś samochodu. Już miał się do niego włamać, kiedy nadjechał radiowóz. Policjanci zauważyli go i radiowóz zwolnił. Bourne odwrócił się w drugą stronę. Radiowóz zwolnił jeszcze bardziej i stanął. Jason zaklął pod nosem.

Zza rogu wyjechała kolejna taksówka. Była wolna, więc pomachał ręką. Kątem oka zobaczył, że radiowóz rusza i odjeżdża. Gdy taksówka się zatrzymała, kazał kierowcy zaczekać i wrócił do kępy drzew. Kiedy niósł Rebełą przez park, znowu coś wymamrotała. Tym razem zbliżył ucho do jej ust. Otworzyła oczy, z trudem skupiła na nim wzrok i z wysiłkiem to powtórzyła. Czyjeś nazwisko.

Dotarli do taksówki. Kierowca odwrócił się, patrząc, jak Bourne układa Rebełą na tylnym siedzeniu i wsiada.

— *¿Qué pasa con ella?* — spytał.

— *Ponernos al Hospital General de Mexico* — rzucił Jason.

— Hej, ona zakrwawi mi całe siedzenie!

— Oberwała nożem. — Bourne nachylił się ku niemu. — *¡Vamos!*

Taksiarz skrzywił się, wrzucił jedynekę i włączył się do ruchu. Trzy ulice dalej Bourne spostrzegł, że jadą w złym kierunku. Szpital znajdował się w południowej części miasta, a jechali na północ. Już miał

coś powiedzieć, gdy kierowca skręcił w stronę rogu, gdzie nerwowo paląc papierosy, wałęsało się dwóch przysadzistych Majów.

Bourne rzucił się do przodu, objął ramieniem szyję taksjarza i mocno szarpnął. Jednocześnie wsunął wolną rękę pod jego kurtkę, wymacał kaburę i wyjął z niej pistolet.

— Do szpitala. — Przytknął lufę do skroni mężczyzny. — Bo pociągnę za spust.

— Wtedy stracę panowanie nad kierownicą — wycharczał taksjarz. — Zaryzykujesz? — Wciąż jechali w stronę jego współników i pokręcił głową. — Wątpię.

Jason pociągnął za spust i głowa taksówkarza eksplodowała w gejzerze krwi, fragmentów mózgu i kości. Samochód gwałtownie zarzucił, pędząc prosto na Majów. Zauważyli znajomą taksówkę i pozbyli się niedopałków, szykując się do pracy. Ale gdy wóz wpadł na krawężnik i podskoczył, z krzykiem rozpierzchli się na boki.

Jason zdążył już precyzyjnie przycisnąć się na przednie siedzenie. Otworzył drzwi, wypchnął martwego taksjarza, usiadł za kierownicą i mocno nią szarpnął, w ostatniej chwili omijając kilku przechodniów i unikając zderzenia z latarnią. Odbił w prawo, wrócił na jezdnię i zrobił widowiskowy nawrót przez rozdzielający ją pas zieleni.

Zapiszczały hamulce, roztrąbiły się klaksony, buchnął gniewny krzyk. Ale chwilę później całe to zamieszanie zostało za nimi, bo chaotycznie zmieniając pasy, pędzili już na złamanie karku w kierunku szpitala.

Jason zerknął w górne lustro i zobaczył bladą twarz Rebeki. Nie oddychała, była skąpana we krwi.

— Rebeko — powiedział. I z mocą powtórzył: — Rebeko!

Nie odpowiedziała. Jej nieruchome oczy patrzyły w pustkę. Bourne wdepnął pedał gazu, mknąc coraz bardziej zatłoczonymi ulicami, mijając nowoczesne gmachy i place otoczone ruinami starożytnej przeszłości, prosto w krwawy, siny od spalin meksykański świt.

Księga trzecia

Rozdział 21

Wewnętrzny alarm zabrzmiał dokładnie o 7.43. Anderson, zastępca Marksa, zadzwonił do Richardsa o 8.13, zaraz po tym, gdy okazało się, że technicy nie potrafią zidentyfikować trojana — nie wspominając już o poddaniu go kwarantannie i zniszczeniu — który pokonawszy zaporę, zaatakował wewnętrzne serwery Treadstone.

— Niech pan przyjeżdża — rzucił do słuchawki. — Natychmiast.

Richards, który siedział na brzegu łóżka, czekając na telefon i obgryzając do krwi paznokcie, zerwał się na równe nogi, ochlapał twarz wodą, chwycił płaszcz przeciwdeszczowy i wypadł z mieszkania. W drodze do pracy pozwolił sobie na pełny zadowolenia uśmiech.

Gdy czternaście minut później wszedł do biura, panował tam z trudem kontrolowany chaos. Jak dotąd nikomu nie udało się ustalić, w jaki sposób trojan zainfekował serwery i jakie wyrządził szkody, i właśnie to pytanie dominowało w dyskusjach toczących się w wydziale informatycznym.

Dołączywszy do naprędce skrzykniętej grupy operacyjnej, Richards usiadł przy terminalu i zaczął „tropić” trojana, którego sam stworzył i jak bombę zegarową zainstalował w intranecie Treadstone. Konstruowanie trojana było świetną zabawą, lecz jego zainstalowanie okazało się dużo trudniejsze, niż przypuszczał, i przeklinał siebie w duchu za to, że podczas swego krótkiego pobytu w firmie nie zainteresował się bardziej zawłościami zapory chroniącej system.

Popełnił błąd, zakładając, że firewall w Treadstone ma tę samą architekturę co te w Departamencie Sprawiedliwości i Pentagonie. Tamte dobrze znał, tymczasem ku swojej wielkiej konsternacji szybko odkrył, że ta to zupełnie inne zwierzę, zwierzę zbudowane z obcych mu algorytmów.

Wiele godzin łamał sobie głowę, próbując je rozgryźć. Za nic nie potrafił zrozumieć, na jakiej zasadzie funkcjonują. Zrozumiał o czwartej nad ranem. Aby to uczcić, najpierw poszedł do łazienki, żeby się wreszcie wysiusiać, a potem wyjął z lodówki piwo i szynkę. Zwijał plasterki jak cygara, maczał je w musztardzie i jeden po drugim jadł, popijając piwem. Jedząc, zastanawiał się, któredy mógłby precyzyjnie przecisnąć trojana przez firewall. Musiał to zrobić w taki sposób, żeby można było zwalić winę na kogoś z zewnątrz.

Umył ręce i wrócił do biurka, by rozpocząć trudny i bardzo delikatny proces przenikania przez zaporę Treadstone. Program, który opracował, był krótki, lecz potężny. Wprowadzony do sieci udawał serwer i wszystkie wygenerowane w Treadstone prośby o informację kierował do martwego zaułka, dzięki czemu panujący w wewnętrznej sieci ruch gwałtownie wyhamowywał, by w końcu zupełnie ustać.

A teraz, stukając w klawiaturę terminalu, musiał wprowadzić do sieci stworzonego przez siebie wirusa i jednocześnie wysłać do kwarantanny trojana. Było to równie trudne, jak wprowadzenie go do intranetu. Wszystko musiało wyglądać tak, jakby wirusa uaktywnił trojan, podczas tego zabiegu. Gdy o tym myślał, włosy jeżyły mu się na głowie, a jakby tego było mało, przysiadł się do niego Anderson.

— Jak idzie?

Richards mruknął coś pod nosem z nadzieją, że zastępca Marksa znudzi się i odejdzie. Ale on ani drgnął i wciąż gapił się w ekran, po którym śmigwały ciągi komputerowych algorytmów. W porównaniu z jego zmutowanym programem, Stuxnet był jak zeszłoroczny śnieg. Jego program, zaawansowana forma wirusa, składał się z najlepszych algorytmów Stuxnetu obudowanych zupełnie nową konstrukcją, znaną w jego kręgach jako Duqu, która — między innymi — wykorzystywała podrobione lub skradzione certyfikaty, aby zainstalować się w programie inicjującym, najważniejszej części każdego systemu operacyjnego. Stamtąd przekręcał każde polecenie.

— Jakies postępy?

Sfrustrowany i zdenerwowany Richards zacisnął zęby. Nie wiedział, że ktoś go będzie obserwował.

— Zidentyfikowałem trojana.

— Co teraz?

Z drugiej strony, pomyślał, Anderson nie zna się na programowaniu, więc co mogło wzbudzić jego podejrzenia?

— Kwarantanna.

— Trzeba go tam przenieść?

— Powiedzmy. — Przez te idiotyczne pytania nie mógł się skupić. — „Przenieść” to w tym świecie bardzo względny termin.

Anderson nachylił się ku niemu.

— Wytłumaczy mi pan?

Richards omal nie zawył. Praca na trzy fronty była nerwowa i bez tego.

— Może innym razem.

Anderson już miał zadać kolejne pytanie, gdy zadzwoniła jego komórka. Odebrał i przez chwilę słuchał bez słowa.

— Kurwa mać. — Im dłużej słuchał, tym bardziej marszczył czoło.

Richards zaryzykował. Zerknął na niego i spytał:

— Stało się coś?

Ale Anderson już siedł przez pokój. Porwał z krzesła płaszcz i wypadł z sali.

Richards wzruszył ramionami i zajął się swoim skomplikowanym sabotażem.

•••

— Muszę mieć zwłoki. — Szef Departamentu Obrony Hendricks rozmawiał przez telefon z Rogerem Daviesem, swoim asystentem. — Mężczyzny bez powiązań rodzinnych. Najlepiej notowanego włamywacza, tak by było idealnie. Poza tym przyślij tu czyścicieli. Trzeba wysterylizować mieszkanie. — Davies zaczął coś mówić, ale sekretarz mu przerwał. — Tak, rozumiem. Po prostu to załatw.

Hendricks rozłączył się i spojrzał z odrazą na ciało Thorne’a.

— Dobry strzał — mruknął. — Szkoda tylko, że nie znalazłaś innego wyjścia.

— Ja też żałuję. — Ann Ring stała obok niego w grubym szlafroku. Sekretarz był jej prowadzącym i po tym, jak do niego zadzwoniła, zastanawiała się, czy się nie ubrać, ale Hendricks za dobrze ją wyszkolił. Nie chciała niczego dotykać, dopóki nie przyjedzie z dalszymi rozkazami. — Jednak nie dał mi wyboru. Coś w nim pękło.

Hendricks wyjął rękę z kieszeni i wytarł czoło wierzchem dłoni. Kazał jej podnieść z podłogi sukienkę i sprawdził, czy nie ma na niej śladów krwi. Potem Ann powiesiła ją w szafie. Buty to inna historia. Znalazł na nich kilka plam, więc schował je do plastikowego worka na śmieci.

Przed wejściem do mieszkania włożył lateksowe rękawiczki i foliowe ochraniacze na buty.

Podniósł z podłogi pistolet i starannie go wytarł.

— Dasz sobie radę z Li? — spytał.

— Pracuję dla ciebie... ile? Szesnaście lat? — Ann kiwnęła głową. — Poradzę sobie bez problemu. — Zmarszczyła brwi. — Ale to nie on cię martwi.

— Nie — przyznał Hendricks — nie on. Martwi mnie ten, komu Li podlega.

Odwrócił się, nie chcąc patrzeć na Thorne'a, dopóki nie przyjedzie Roger ze zwłokami. Mógłby zlecić to zadanie każdemu ze swoich podwładnych, ale wiedział, że w ten sposób dochodzi do przecieków nawet w najtajniejszych organizacjach. Przekonał się, że im brudniejsza robota, tym ważniejsze było, żeby wykonać ją samemu. Ciężko westchnął.

— Struktura chińskich tajnych służb jest bardziej niż niejasna. Gdybyśmy wiedzieli, z kim mamy do czynienia, bardzo by nam to pomogło. — Spojrzał na nią. — I właśnie tego będę teraz od ciebie potrzebował, Ann. Biednego Charlesa nie mogliśmy o to prosić. — Oczywiście, że nie mogli. Thorne był tak zwanym niemym informatorem: przekazywał Li informacje, nie wiedząc, że są fałszywe. Zaślepiła go żądza władzy. Fatalnie dla niego, dobrze dla nich. Hendricks wiedział, że taka żądza skutkuje błędami oceny, błędami, które popełnił Thorne, zadając się z Li, żeby zdobyć materiały do sensacyjnych artykułów w „Polityce Jak Zwykle”. Niestety, ta faza operacji została przedwcześnie skrócona.

Całkiem możliwe, myślał sekretarz, że Ann źle pokierowała ich prywatnym życiem. Wzruszył w duchu ramionami. Kiedy się kimś manipuluje, takie ryzyko zawsze istnieje. Ludzie potrafią zachowywać się nieprzewidywalnie.

— Nie przejmuj się — powiedziała.

Jedno trzeba jej oddać, pomyślał. Ma lód w żyłach.

— Widzę, że się jednak przejmujesz.

— Sorayą.

— A tak, słyszałam. — Ann przekrzywiła głowę. — Jak się czuje?

— Omal nie umarła. — Powiedział to z większym uczuciem, niż zamierzał.

Ann przyjrzała mu się chłodno ze skrzyżowanymi rękami.

— Ale żyje, tak?

— Tak.

— W takim razie podziękujemy naszej szczęśliwej gwiazdce.

— Powinienem był wybrać...

— Wybrałeś ją, ponieważ najbardziej się do tego nadawała.

— Kiedy powiedziałaś, że twój mąż się w niej durzy.

— Dobrze wiesz, że nie dlatego. To, że Charles się w niej durzył, ułatwiło jej po prostu zadanie. Na pewno znalazłaby inny sposób, to wyjątkowo bystra dziewczyna. Poza tym z tego, co mi mówiłaś, lubiła przekazywać mu fałszywe informacje, bardzo ją to bawiło.

Hendricks kiwnął głową.

— Bezpośredni udział w demaskowaniu Li i jego współpracowników dawał jej dużo przyjemności.

— No właśnie. Widzisz? Masz wyrzuty sumienia tylko dlatego, że wylądowała w szpitalu.

Nie, pomyślał ze smutkiem sekretarz. Nie tylko. Najbardziej martwiła go jej ciąża. Zdawało się oczywiste, że nosiła dziecko Thorne'a. Jeśli tak, jak zareaguje na to Ann? Była jego najlepiej zakonspirowaną, dlatego najcenniejszą wtyczką. Nie mógł jej stracić, nie mógł sobie na to pozwolić, zwłaszcza że udało im się nawiązać bliski kontakt z Li Wanem.

Kim jest jego prowadzący? To pytanie dręczyło go najbardziej. Nie wiedziało tego żadne z osławionych źródeł Departamentu Obrony.

Skupił się na kwestiach bardziej praktycznych.

— Ann, zanim tu przyjadą, ubierz się i wyjdź. Masz dokąd pójść?

— Wynajmuję pokój w Liaison. Nocuję tam, kiedy muszę do późna siedzieć na Kapitolu.

— Dobrze. A jutro zaczniesz odgrywać rolę pogrążonej w żałobie wdowy.

— A co z Wanem?

— Zechce złożyć ci kondolencje. Zachęć go do tego, żeby zrobił to osobiście.

— To nie będzie łatwe. Jak sam widziałeś, jest bardzo ostrożny. Jeśli zaczniesz coś podejrzewać, nigdy nie dowiemy się, kto go prowadzi i czego chce.

— Masz rację. — Hendricks myślał przez chwilę. — Będziesz musiała dać mu coś, co rozwieje wszystkie podejrzania.

— To musiałyby być coś dużego, ważnego.

Hendricks kiwnął głową.

— Bez wątpienia. Daj mu jego dziewczynę.

— Co takiego? — Wstrząśnięta Ann osłupiała. — Nie możemy tego zrobić. Dobrze wiesz, że nie możemy.

— Masz lepszy pomysł?

Ann długo milczała.

— Boże — powiedziała w końcu — nie pisałam się na to.

— Pisałaś się, Ann. Pisałaś się.

Oblizwała usta. Zbladła.

— Manipulujemy czyimś życiem.

— Ale nie życiem cywilów. Wszyscy podpisaliśmy ten sam dokument.

— Krwią.

Sekretarz nie zaprzeczył.

Ann po raz ostatni zerknęła na zwłoki męża.

— Powiedz, kiedy stajemy się kimś zupełnie pozbawionym ludzkich uczuć?

— Lepiej już idź. — Hendricks nie miał na to odpowiedzi.

Cztery minuty później Ann Ring wyszła i przyjechali czyściciele. Zaraz potem Davies dostarczył zwłoki człowieka, który zastrzelił Charlesa Thorne'a podczas włamania. Hendricks włożył walthera do jego ręki i zacisnął palec na spuście. Kiedy Davies odpowiednio ułożył zwłoki i kiedy upewnili się, że wszystko wygląda jak należy, sekretarz zadzwonił do Erica Breya, dyrektora FBI, i beznamiętnie zawiadomił go o morderstwie.

•••

— Kurwa — wymamrotał Peter. — Ja żyję.

— Widzę, że jest pan rozczarowany, szefie — powiedział Anderson.

Czuć było lekkie wstrząsy i równomierne wibrowanie silnika. Peter potoczył wokoło wzrokiem.

— Jesteśmy w karetce — wyjaśnił Anderson. — To Delia pana znalazła. Kiedy wybuchła strzelanina, była w szkole. Od razu zadzwoniła.

Peter oblizwał usta.

— Co ze mną?

— Wszystko w porządku.

— Gdzie mnie postrzelił?

Anderson zerknął na siedzącego obok sanitariusza.

Peter poczuł, że opada mu żołądek.

— Nic nie czuję.

— Wstrząs. — Anderson miał kamienną twarz. — To nic nie znaczy.

— Ale ja nie czuję... — Peter spróbował wziąć się w garść. — Kula uszkodziła kręgosłup?

Anderson pokręcił głową.

Lepiej już zdechnąć, niż być kaleką, pomyślał Peter.

Zastępca położył mu rękę na ramieniu.

— Szefie, wiem, co pan myśli, ale na razie to nic pewnego. Niech pan się uspokoi. I się nie rusza. W szpitalu czekają chirurdzy. Niech pan pozwoli im zrobić swoje. Wszystko będzie dobrze.

Peter zamknął oczy, chcąc stłumić krzyk rozbrzmiewający w jego mózgu. Musiał skupić się na chwili obecnej. *Qué será, será*. Co będzie, to będzie.

— Ten, co mnie postrzelił. Kto to jest?

— Nie miał przy sobie żadnych papierów.

— Odciski palców, rentgen zębów, DNA...

— Już to sprawdzamy.

Peter znowu oblizwał usta.

— Jest coś jeszcze. Richards.

— Trzymam rękę na pulsie. Dziś rano była próba włamania do naszej sieci. Trojan. Natychmiast go wezwałem.

Peter zmarszczył brwi. Richards pracował dla Toma Bricka i Core Energy.

— To on mógł go wpuścić. Ten skurwiel jest bystry, mógł obejść zaporę.

— Też o tym pomyślałem. Umieściłem keyloggera w jego terminalu. Rejestruje każdy ruch klawisza na klawiaturze.

— Dobra robota, Sam. — Peter skrzywił się; zaczynał odczuwać ból. — Wciąż nie wiem, po co Brick chce się dostać do naszej sieci.

— Krok po kroku, szefie, spokojnie.

Anderson dał znak sanitariuszowi, ten wbił igłę w żyłę po wewnętrznej stronie łokcia i Peter poczuł, że zalewa go fala miłego ciepła.

— To ważne. — Mówił coraz bardziej bełkotliwym głosem. — Bardzo ważne...

— Dopilnuję tego, szefie — zapewnił go Anderson i dotrzymując słowa, kiedy tylko Peter zasnął, wyjął komórkę, aby wykonać pierwszy z wielu telefonów.

•••

Jadąc przez nieustannie bijące serce Mexico City i czując zapach krwi, Bourne nie zapomniał o Babilończyku. Ilan Halevy gdzieś tam był, w tym kolorowym wirze miasta: stał na jakimś placu i obserwował, jeździł tymi samymi pogrążonymi w chaosie ulicami i wykorzystując swoje kontakty oraz informatorów, próbował ponownie namierzyć swój cel.

Wolał myśleć o nim niż o Rebecce, której nie zdołał skutecznie ochronić i która umarła, nie ukończywszy misji ważnej dla niej na tyle, że zdezerterowała z Mossadu i zaatakowała sama.

Jej misja była teraz jego misją.

Jechał przez miasto z zapachem ognia i strachu w nozdrzach i szukał Babilończyka, pragnąc znaleźć go równie mocno, jak Babilończyk jego.

Zmierzał na wschód, w kierunku lotniska. Zauważywszy jaskrawy neon Superamy, skręcił w tamtą stronę. Na skrzyżowaniu Revolution 1151, Merceda Gomeza i Benita Juareza wjechał na olbrzymi parking, zaparkował na wolnym miejscu i wysiadł.

Otworzył bagażnik i znalazł tam kłęb szmat. Wziął jedną i dokładnie wytarł wnętrze taksówki. Potem spojrział na Reбекę. Miała rozdartą bluzkę. Pod bluzką zobaczył portfel z aluminiowej siatki. Chwycił go czubkami palców i wytarł krew. W środku był jej fałszywy paszport, pieniądze, które zabrała ze skrytki w wynajmowanym mieszkaniu w Sztokholmie, i delikatny srebrny naszyjnik z gwiazdą Dawida. Talizman. Nigdy mu go nie pokazywała. Zostawić to wszystko? To tak, jakby zostawił część Rebeki. Nie. Schował portfel. Nic więcej nie mógł dla niej zrobić. Pożegnał się z nią bez słowa, owinąwszy rękę szmatą, zamknął drzwi i ruszył do sklepu.

W łazience wyrzucił szmatę i zmył krew z rąk. Potem ściągnął zakrwawioną kurtkę i koszulę i poszedł na zakupy. Kupił czarne dżinsy, białą koszulę i ciemnoszarą marynarkę.

Wróciwszy na parking, szedł między rzędami samochodów, szukając starszego wozu. W pewnej chwili usłyszał gardłowy warkot motocyklowego silnika. Motor był duży, Indian Chief Dark Horse. Jechał tak powoli, że Bourne tylko odnotował go kątem oka, gdy jednak maszyna przyspieszyła, odwrócił się w jej stronę. Kierowcą był mężczyzna, ale lustrzany wizjer zasłaniał jego twarz. Odbijające się od

czarnego kasku promienie słońca strzelały jak oszalałe na wszystkie strony.

Motocykl jechał wzdłuż równoległego rzędu samochodów i Jason stanął przodem do tego, który sobie upatrzył. Wygiął druciany wieszak ze sklepu i wetknął jego zakrzywiony koniec między szybę i ramę. Trzasnął zamek. Bourne już miał otworzyć drzwi, gdy motocykl ukazał się ponownie, nadjeżdżając szybko z drugiej strony.

Jason stał przy samochodzie i obserwował go spokojnie. Kiedy maszyna była tuż-tuż, szarpnął klamką. Przednie koło uderzyło w otwarte drzwi z głuchym metalicznym stukotem i motocykl stanął dęba, jak koń. Zadarł tył i zrzucił kierowcę, który zrobił salto w powietrzu, przeleciał nad wgiętymi drzwiami i wylądował na dachu.

Gdy się zsunął, Jason pchnął go na samochód. Zdarł mu z głowy kask i zobaczył z bliska, jakich spustoszeń dokonał ogień na szyi Babilończyka.

Gdy Halevy zaatakował, Bourne wbił mu kolano w krocze i uderzył go pięścią w skroń. Babilończyk zatoczył się na bok, ale kiedy Jason go podtrzymał, wymierzył mu kopniaka w kolano, wyszarpnął się i grzmotnął go w brzuch. Bourne upadł, lecz tuż przedtem zdążył odwrócić się i uderzyć przeciwnika w nerki.

Halevy otworzył nóż i runął na niego z podniesioną ręką, chcąc poderżnąć mu gardło. Jason rozorał mu paznokciami poparzoną szyję i gdy z łzawiącymi z piekącego bólu oczami Babilończyk odchylił się do tyłu, uderzył jego nadgarstkiem o próg samochodu. Nóż zaklekotał na asfalcie i Bourne przygwoździł przedramieniem szyję Halevy'ego.

— Ouyang. — To nazwisko wyszeptała Rebeka przed śmiercią. — Gadaj.

Halevy przeszył go nienawistnym spojrzeniem.

— Ouyang? Kto to jest? A może co?

Bourne ucisnął splot nerwowy z boku jego szyi. Babilończyk obnażył zęby, oczy wyszły mu z orbit. Na jego czoło wystąpił pot. Lewa część twarzy miała kolor zakrzepłej krwi, była pomarszczona, nadpalona i wyżarta przez płomień, które poczerśniły skórę. Oddychał z coraz większym trudem.

— Ouyang — powtórzył Bourne.

— Skąd o nim wiesz?

Jason ponownie ucisnął splot i tym razem ciało Halevy'ego wygięło się w łuk, zadrżały napięte mięśnie. Z jego otwartych ust wydobywały

się chrapliwe odgłosy, przypominał tkwiące w potrzasku zwierzę gotowe odgryźć sobie nogę.

— Ben David się z nim dogadał.

— Nie dyrektor czy Dani Amit?

Babilończyk pokręcił głową, wydmuchując powietrze ustami, żeby się ochłodzić.

— To prywatna sprawa. To nie Mossad.

— To skąd o tym wiesz?

— Nie... — Halevy bezgłośnie zaskowyczał, gdy Bourne ucisnął splot po raz trzeci. Posiniała mu twarz. Zbladły nawet krwawe oparzenia pod jego ascetycznym zarostem. Spływał potem.

— Dobrze — wycharczał. — Dobrze... Ouyang jest wysokim urzędnikiem w MBP, Ministerstwie Bezpieczeństwa Państwowego. Ben David robi z nim jakieś interesy, ale przysięgam, że nie wiem jakie. Zwerbował mnie, miałem namieszać w Tel Awiwie, żeby dyrektor i Amit nie dowiedzieli się, co knuje. — Spojrzał na niego chytrze. — Ale Rebeka się dowiedziała, tak? To od niej wiesz o Ouyangu.

— Nieważne — odparł Bourne.

— Ważne, ważne. — Babilończyk uśmiechnął się boleśnie. — Pułkownik na nią leci, i to od dawna.

— Mimo to kazał ci ją zabić.

— Taki już jest. — Babilończyk wziął kilka chrapliwych oddechów. — Rozpołowiony, podzielony, ciągle podzielony jak nasz kraj, jak wszystkie kraje Bliskiego Wschodu. Kocha Rebeke. Tak, kazał ją zabić i nie wiem, ile musiało go to kosztować. — Znowu ten dziwny oddech, krótki i płytki. — Nie musisz mi wierzyć, ale cieszę się, że Rebeka żyje.

Bourne wstał, chwycił go za kołnierz, podniósł, zawlókł do taksówki i pchnął twarzą na szybę.

— Żyje? To przez ciebie i Ben Davida.

— To nie ja. Przecież wiesz, że to nie ja...

Babilończyk, odwrócił się błyskawicznie z czymś w rodzaju długiej igły w ręku. Jej mokro połyskujący czubek musiał być pokryty szybko działającą trucizną. Jason zasłonił się przedramieniem, czując, że igła przebija marynarkę i ociera się o skórę. Ale nie, nawet go nie drasnęła. Nasadą dłoni uderzył Halevy'ego w nos. Drugi cios trafił w gardło i zmiażdżył chrząstkę grdyki.

Uniknąwszy igły, zadał cios trzeci, otwartą dłonią w ucho. Babilończyk, ciężko dysząc i próbując wciągnąć do płuc powietrze, którego wciągnąć już nie mógł, osunął się na kolana. Mimo to wciąż

rozpaczliwie wymachiwał ręką, chcąc ugodzić przeciwnika igłą. Bourne przytrzymał go, kopnął w krocze, a gdy Halevy upadł, bił go, dopóki nie połamał mu wszystkich kości w klatce piersiowej.

•••

Wsiadł do samochodu, odpalił na krótko silnik i odjechał. Na międzynarodowym lotnisku Benita Juareza kupił bilet pierwszej klasy i poszedł poszukać czegoś do jedzenia. Babilończyk nie żył.

Czekając przy stoliku, wyjął wysadzaną kryształami malutką czaszkę, którą dostał od *el Enterradora* dla ochrony przed Maceo Encarnacionem. „Chronią go niemal mistyczne siły — powiedziała Constanza Camargo. — Może nawet sami bogowie”.

Podano jedzenie, ale stracił apetyt. Obracając czaszkę między palcami, myślał o tym, co przydarzyło mu się, odkąd przyjechał z Rebeką do Mexico City, i co w taki czy inny sposób wiązało się z Constanzą. Zastanawiało go coś jeszcze. Po co Rowland miałby ukrywać się w szafie, nie wiedząc, że nadchodzą? A więc wiedział. Tylko kto z taką dokładnością powiedział mu, gdzie są?

Patrzył na czaszkę i myślał o bogach — bogach współczesnej technologii. Położył ją na blacie i rozbił nasadą dłoni. Ostrożnie rozgarnął kawałki i znalazł wśród nich miniaturowy nadajnik. Zostawił go na stoliku. Chciał, żeby nadajnik wciąż wysyłał sygnał, jakby nic się nie stało.

Wstał, zapłacił za nietknięty posiłek i przez halę odlotów wyszedł na długoterminowy parking, żeby poszukać samochodu, którym mógłby wrócić do miasta.

•••

— Jest wiele sposobów na przeżycie własnej śmierci. — Don Fernando Herrera roześmiał się, widząc jej minę. — To tylko jeden z nich.

Wylądowali na rozległej łące na południe od Paryża. Nie było tam pasa startowego, rękawów lotniczych ani sali odpraw. Samolot zboczył z kursu i nadawszy rozpaczliwe wezwanie pomocy, zniknął z radarów Orly i lotniska Charles'a de Gaulle'a.

— Na tym świecie nie ma czarodziejów, Martho. Są tylko iluzjoniści. W naszym przypadku chodzi o to, aby stworzyć iluzję śmierci. Potrzebna jest do tego prawdziwa katastrofa, dlatego wylądowaliśmy, dlatego nikomu nic się nie stało.

— Zwłoki, które widziałam w samolocie, są prawdziwe.

Hererra kiwnął głową i podał jej kartonową teczkę.

— Co to?

— Zobacz.

Martha otworzyła ją i zobaczyła protokoły z sekcji zwłok trzech ciał wydobytych z wraku samolotu, który jeszcze się nie rozbił. Ciała były oczywiście spalone do stopnia uniemożliwiającego identyfikację, jednak ustalono ich tożsamość na podstawie kartoteki dentystycznej. Ciała Hererry, pilota i nawigatora.

Podniosła wzrok.

— A ich rodziny? Co im powiesz?

Don Fernando ruchem głowy wskazał dwóch mężczyzn, którzy właśnie wysiadali z samolotu. Silniki maszyny wciąż pracowały.

— Oni nie mają rodzin. Między innymi dlatego ich zatrudniłem.

— Ale jak...

— Mam przyjaciół w Pałacu Elizejskim. Będą kierowali śledztwem.

Podszedł do nich pilot.

— Ciała rozłokowane. Możemy zaczynać w każdej chwili.

Hererra spojrział na zegarek.

— Nie ma nas na radarach od siedmiu minut. Tak, zaczynajcie.

Pilot kiwnął głową i odwrócił się do stojącego z boku nawigatora. Nawigator trzymał w ręku małe czarne pudełko. Gdy nacisnął guzik, silniki zawyły, zwiększając obroty, aż wycie przeszło w przeraźliwy jazgot. Inny guzik zwolnił hamulce. Maszyna skoczyła do przodu i szybko nabierając prędkości, wpadła w drzewa na skraju łąki. Rozległ się ogłuszający huk. Zatrzęsła się ziemia, w niebo wystrzeliła kula ognia i czarnego oleistego dymu.

— Chodźmy. — Hererra poprowadził ich do dużego SUV-a z napędem na cztery koła, który przycupnął kilkadziesiąt metrów dalej. — Musimy się pospieszyć.

• • •

W świetle dnia Cementerio del Tepeyac, a zwłaszcza bazylika Matki Boskiej z Guadalupe, wyglądał zupełnie inaczej. Okrywający go meksykańską nocą złowieszczy całun zniknął, pozostawiając po sobie cieniutką warstwę religijności, w której bez wątpienia kryło się mnóstwo grzechów, zarówno tych powszednich, jak i śmiertelnych.

Zaparkowawszy skradziony samochód sto metrów dalej, Bourne przez kilka minut krążył wokół bazyliki. Karawan, który zawiózł ich do królestwa Diega de la Rivery, szwagra Maceo Encarnaciona, zniknął bez śladu. Bez śladu zniknął również tajemniczy fałszywy mnich, *el Enterrador*. Jason doskonale pamiętał tatuaże na jego przedramionach, trumny i nagrobki.

Staął przed wejściem i wślizgnął się do środka. Bazylikę wypełniały echa i zapach kadzidła. Pod niebo wzbijał się chór anielskich głosów. Zaczynała się msza. Bourne doszedł do końca apsydy i skręcił w korytarz prowadzący do zakrystii.

Był już prawie na miejscu, lecz przystanął, słysząc dobiegające z niej głosy. Jeden był kobiecym altem. Jason podszedł po cichu bliżej i przez lekko uchylone drzwi zobaczył fragment pokoju z wielkim krzyżem na ścianie. Wtedy w jego polu widzenia ukazała się właścicielka altu. Zdumiony stwierdził, że jest nią piękna młoda kobieta ze schodów w willi Maceo Encarnaciona, która rozpląkała się na widok ciała matki czekającego, aż zajmie się nim pracownik zakładu pogrzebowego. Pomyślał wtedy — teraz też — że to dziwne, iż kobieta schodzi z góry, gdzie mieściły się apartamenty i gdzie służba nie powinna się zapuszczać, w dodatku naga pod kosztownym szlafrokiem. A potem, wróciwszy na piętro, weszła do sypialni, gdzie pewnie czekał na nią Encarnación. Anunciata, córka Marii Eleny; słyszał, jak de Rivera wypowiada jej imię.

Co tu robiła? Krążyła nerwowo po pokoju i Bourne przesunął się lekko, żeby nie stracić jej z oczu. Chwilę później kobieta przystanąła przed zakapturzonym mężczyzną w habicie. Miał szpiczastą brodę — *el Enterrador*.

— Odpuść mi moje grzechy, ojciec — powiedziała cicho. — Mam zbrodnicze myśli i zamiary.

— Czy je zrealizowałaś? — spytał mnich chrapliwym szeptem.

— Nie, ale...

— W takim razie wszystko będzie dobrze.

— Nie wiadomo.

— Dlaczego?

— Bo ojciec nie wie, co odkryłam — odparła z rozgoryczeniem.

— Więc mi powiedz — syknął mnich z cichą groźbą w głosie.

Dziewczyna zadrżała i głośno wypuściła powietrze.

— Ufałam don Maceowi. Myślałam, że mnie kocha. — Gwałtownie zmienił jej się głos, był teraz głębszy i mroczniejszy.

— Możesz ufać mu dalej. Na pewno cię kocha.

— Pamiątka po mojej matce. — Rozłożyła kartkę i wcisnęła mu ją do ręki. — Encarnación sypiał z nią, zanim zaczął sypiać ze mną. Jest moim ojcem.

El Enterrador dotknął czubka głowy.

— Moje dziecko... — zaczął jak prawdziwy mnich. — Wygnani z rajy — ciągnął tym samym natchnionym głosem — wszyscy pochodzimy z mrocznego miejsca. To nasza spuścizna, nasza zbiorowa scheda. Wszyscy jesteśmy grzesznikami krążącymi po grzesznym świecie. Choć był to zdrotny związek, pamiętaj, że rodzice dali ci życie.

— A jeśli zdarzy się najgorsze i zajdę w ciążę?

— Musimy dopilnować, żeby nigdy do tego nie doszło, to oczywiste.

— Mogłabym obciąć mu *cojones* — dodała zjadliwie Anunciata. — Chętnie bym to zrobiła.

— Poznałem twoją matkę, kiedy tu przyjechała. Spowiadałem ją. Ufam, że pomogłem jej w tych trudnych chwilach, bo potrzebowała pomocy i nie miała się do kogo zwrócić. Teraz ty przychodzisz do mnie po pomoc i radę. Zatem radzę: idź do niego. Porozmawiaj z nim.

— Co myśmy zrobili! — Anunciata wstrząsnął dreszcz. — To potworny grzech. Ty, ojcze, powinieneś to wiedzieć najlepiej.

— Gdzie jest teraz Maceo?

— To ojciec nie wie? Wyjechał. Z Rowlandem, na lotnisko.

— Dokąd się wybierają? — spytał Bourne, wchodząc do pokoju.

Anunciata i mnich odwrócili się. *El Enterrador* był wyraźnie zaskoczony. Dziewczyna tylko zaciekawiona.

— Kim pan jest, *señor*? — spytała.

— Dziś rano byłem z Rebeką w domu don Macea.

— Więc...

Ale Jason już patrzył na mnicha.

— Powiniennem być teraz na lotnisku, prawda? O tym myślisz?

— Skąd miałbym...

— Wysadzana kryształami czaszka, którą mi dałeś. Znalazłem w niej nadajnik.

El Enterrador wyciągnął spod habitu cienki sztylet, ale Bourne pokręcił głową, pokazując mu pistolet, który odebrał gorylowi Encarnaciona.

— Odłóż to, Grabarzu.

Anunciacie rozszerzyły się oczy. Była jeszcze piękniejsza niż przedtem.

— On jest mnichem. Dlaczego nazywa go pan grabarzem?

— Taką ma ksywkę. — Bourne wskazał go ruchem głowy. — Pokaż jej tatuaże na przedramionach, mnichu.

— Tatuaże? — Anunciata osłupiała.

Grabarz milczał, nawet na nią nie spojrział.

Dziewczyna wyciągnęła rękę, podwinęła mu rękaw i sapnęła na widok misternych tatuaży.

— Co to jest? — Nie było widomo, do kogo skierowała to pytanie.

— Powiedz jej, Grabarzu — rzucił Bourne. — Ja też chciałbym wiedzieć.

El Enterrador przeszył go wzrokiem.

— Miałeś tu nie wracać.

— A ty miałeś mnie nie śledzić. A teraz mów prawdę.

— Prawdę o czym? — spytał szeptem Grabarz. — Maceo Encarnación poprosił mnie o pomoc, więc mu jej udzieliłem.

— Rebeka, ta kobieta, moja przyjaciółka, nie żyje. Połóż nóż na stole.

El Enterrador zawahał się, ale go posłuchał.

— Prawdę — powtórzył Jason. — Po to tu przyjechałem. A pani, Anunciato?

Dziewczyna pokręciła głową.

— Nie rozumiem...

— Proszę spytać jego. To on potrzebuje przebaczenia.

Anunciata znowu pokręciła głową.

— Rebeka i ja dostaliśmy się do willi Encarnaciona karawanem. Żeby to było możliwe, któryś z jej mieszkańców musiał umrzeć.

— Moja mama.

— Tak, pani mama. Ale skąd ktoś mógł wiedzieć, że umrze? — Jason przeniósł wzrok na mnicha. — Ktoś musiał. Co znaczy, że została zamordowana.

Oczy Anunciaty wezbrały łzami.

— Lekarz mówił, że miała atak serca. Na jej ciele nie ma żadnych śladów. Wiem, sama ubierałam ją do... do trumny.

— Trucizna nie zostawia zewnętrznych śladów — powiedział Bourne.
— A jeśli jest się sprytnym, można znaleźć taką, która nie zostawia również wewnętrznych. Myślę, że to ty ją zdobyłeś, Grabarzu. — Zerknął na Anunciatę. — Stąd jego ksywka.

Dziewczyna odwróciła się do mnicha.

— To prawda?

— Ależ skąd — prychnął szyderczo *el Enterrador*. — Sama myśl, że mógłbym skrzywdzić twoją matkę, jest absurdalna.

— Chyba że poprosił cię o to Maceo Encarnación.

— Zrobiłeś to? — Anunciata drżała, płonęły jej policzki.

— Już mówiłem, że...

— Mów prawdę! — krzyknęła. — Jesteśmy w kościele. Chcę prawdy!

Grabarz sięgnął po sztylet, ale ona była szybsza. A może go wyczuła. Chwyciła sztylet, zrobiła krok do przodu i jednym potężnym pchnięciem wbiła mu nóż w gardło.

Zaszokowany *el Enterrador* wytrzeszczył oczy z niedowierzania. Przytrzymał się biurka, żeby nie upaść, ale zdrętwiałe palce ześlizgnęły się z blatu i runął na podłogę w szybko powiększającej się kałuży krwi.

Rozdział 22

Należący do Komitetu Centralnego Pekinński Klub Ziemi i Nieba zbudowano ledwie osiem kilometrów na północny wschód od stolicy. Ale równie dobrze mogło to być osiemset. Tu, z dala od przemysłowego smogu, który wisiał nad miastem niczym zapowiedź wiecznego zmierzchu, niebo było czyste. Za prawie czterometrowej wysokości ogrodzeniem, przez które dla większego bezpieczeństwa płynął prąd, widać było niekończące się, idealnie równe rzędy kapusty, ogórków, papryki, wszelkich odmian fasoli, cebuli, szalotki, *gai lan*, *bok choy* i chili. Tym, co te warzywa wyróżniało i co pociągało za sobą konieczność zastosowania tak drakońskich środków bezpieczeństwa, było to, że uprawiano je organicznie, bez pestycydów, w nieskazitelnym warunkach. W północnej części klubu mieściła się farma mleczna, gdzie krowy żywiono całkowicie organiczną karmą, a mleko przetwarzano w sterylnych warunkach.

To właśnie do Klubu Ziemi i Nieba jechał rządową limuzyną minister Ouyang; bywał tam dwa razy w miesiącu. Wytwarzane w klubie produkty były wyłączną własnością państwa i mogli je spożywać tylko członkowie Komitetu Centralnego oraz ci z najwyższych ministrów, którzy — tak jak on — mieli do nich dostęp. W chińskim rządzie było dwadzieścia pięć poziomów władzy, a każdy miał prawo do ściśle określonego miesięcznego przydziału zdrowej żywności. Im ważniejszy minister, tym większy przydział. Ten feudalny system był spadkiem odziedziczonym po reżimie Mao, spadkiem i koniecznością, ponieważ w niektórych rejonach Chin zanieczyszczenie ziemi i powietrza zaczynało osiągać poziom krytyczny.

Ale tego dnia Ouyang jechał tam z zupełnie innego powodu. Gdy szofer wprowadził do czytnika elektroniczny kod i gdy otworzyła się wzmocniona wspornikami brama, minister zobaczył samochód. Stojący przy nim mężczyzna w mundurze polowym jadł ogórka, którego właśnie zerwał z pnąca.

Kiedy Ouyang wysiadł i podszedł bliżej, ujrzał czerwoną bliznę na jego twarzy.

— Pan pułkownik. — Świeciło ostre słońce, więc włożył ciemne okulary. — Dawno się nie widzieliśmy.

Ben David oparł się o samochód.

— Wie pan, wolę jednak izraelskie. — Ugryzł kawałek ogórka i zaczął go niespiesznie żuć. — Pustynne słońce coś w sobie ma.

Minister uśmiechnął się lodowato.

— Następnym razem niech pan przywiezie kilka swoich.

— Nie mówię, że te są złe.

— Co się stało z pańską twarzą? — spytał Ouyang, rażąco naruszając chińską etykietę.

Ben David przyglądał mu się przez chwilę.

— Kiepsko pan wygląda, panie ministrze. Nie pił pan przypadkiem waszego słynnego rozcieńzonego mleka, zaprawionego melaminą, żeby przeszło test na właściwą zawartość protein?

— Piję tylko mleko z naszej farmy — odparł zimno Chińczyk.

Pułkownik rzucił resztkę ogórka na ziemię i oderwał się od samochodu.

— Wie pan, co pomyślałem? Nienawidzimy się wzajemnie do tego stopnia, że nasza współpraca jest prawdziwym cudem.

Ouyang obnażył zęby w uśmiechu.

— Konieczność wymusza dziwne przymierza.

— Może. — Ben David wzruszył ramionami. — Więc jaka to konieczność wymusiła nasze spotkanie? Zbliżamy się przecież do kresu podróży.

Minister podał mu cienką teczkę.

Pułkownik otworzył ją, zobaczył zdjęcie Jasona Bourne'a i jego blizna jeszcze bardziej poczerwieniała. Rozwścieczony podniósł wzrok.

— Co to, kurwa, jest?

— Zna pan tego człowieka — stwierdził Ouyang z nieznośnym spokojem. — I to bardzo dobrze.

Ben David z trzaskiem zamknął teczkę.

— I dlatego kazał mi pan spędzić ponad dziewięć godzin w samolocie?

— Proszę potwierdzić, panie pułkowniku — drążył nieporuszony minister.

— Spotkaliśmy się parę razy — przyznał wymijająco Ben David.

— W takim razie nadaje się pan do tego zadania.

Pułkownik szybko zamrugał.

— Przydziela mi pan jakieś pieprzone zadanie?! Pan?!

Wysoko w górze leciał samolot, skrzące się w słońcu srebro tak odległe, jakby pochodziło z drugiego końca świata. Po ich lewej stronie sunął powoli traktor, orząc ziemię. Zmienił się wiatr i jej zapach gwałtownie się nasilił. Pod niebem na południowym zachodzie wisiał brązowy całun, tak gęsty, że przesłaniał nawet najwyższe gmachy stolicy.

— Proszę mi powiedzieć, panie pułkowniku, od kiedy pracujemy nad tym projektem?

— Przecież pan wie.

Minister pokiwał dwoma palcami lewej ręki.

— Niech pan zrobi mi przyjemność.

Ben David westchnął.

— Od sześciu lat.

— Według zachodnich standardów to długo. Ale według tych obowiązujących w Państwie Środka to bardzo krótko.

Pułkownik zrobił zniesmaczoną minę.

— Niech pan nie wyjeżdża mi z tymi bzdurami. To zwykły interes. Zawsze tak było. Nie chodzi o żadną politykę, ideologię czy inne pierdoły. Nie ma w tym nic mistycznego ani nawet tajemniczego. Połączył nas wspólny cel. Ten cel jest pierwszym i ostatnim na naszej liście. Pracowaliśmy przez sześć długich, żmudnych i niebezpiecznych lat. A teraz chcecie coś zmieniać. Nie lubię zmian.

— Pełna zgoda, panie pułkowniku — powiedział Ouyang. — Ale świat jest dynamiczny i ciągle zmiany leżą w jego naturze. Jeśli nasz projekt się do nich nie dostosuje, poniesiemy klęskę.

— Jaką klęskę? Przecież za dwa dni...

— Dwa dni to wieczność. — Ouyang postukał palcem w teczkę. — Ten wielce utalentowany Bourne chce nas powstrzymać.

Ben David cofnął się jak rażony piorunem.

— Skąd pan wie?

— Jestem w kontakcie z naszymi współpracownikami. W przeciwieństwie do pana.

— Kurwa! — Pułkownik trzasnął teczką w udo. — Chyba nie chce pan, żebym na niego zapolował?

— Nie ma takiej potrzeby — odparł minister. — Sam chętnie do pana przyjdzie.

• • •

Anielskie głosy powoli przybierały na sile, aż ich chór wypełniły całą bazylikę. Bourne spojrział na zakrwawione zwłoki *el Enterradora*.

— Musimy iść — powiedział.

Anunciata popatrzyła na rubinowe ostrze sztyletu, który wciąż ścisnęła w ręku.

— Nigdzie z panem nie pójdę. Brał pan w tym udział.

— Nie wiedzieliśmy, jak przemycą nas do willi. Moja przyjaciółka zginęła, bo Grabarz podrzucił mi nadajnik.

Patrzyli na siebie jak przez głęboką otchłań. Z winy Maceo Encarnaciona oboje kogoś stracili. Don stał się czymś w rodzaju magnesu, który ich do siebie przyciągnął.

Anunciata opuściła sztylet i kiwnęła głową.

Małymi drzwiami wyszli z zakrystii, przecięli fragment cmentarza otaczający bazylikę i dotarli do miejsca, gdzie Jason zaparkował samochód. Powoli ruszyli. Półtora kilometra dalej Bourne zjechał do krawężnika.

— Jeśli wiesz, gdzie są Encarnación i Rowland, musisz mi powiedzieć.

Dziewczyna popatrzyła na niego oczami koloru kawy. Nie było w nich ani cienia sprytu czy przebiegłości.

— Zabijesz ich?

— Jeśli będę musiał.

— Musisz. Nie ma innego wyjścia.

— Znasz Rowlanda?

Anunciata spuściła głowę.

— To ulubieniec Encarnaciona. Maceo strzeże go i traktuje jak syna. Wychowywał go prawie od dzieciństwa.

— Kim są jego rodzice?

— Tego nie wiem. Myślę, że jest sierotą, ale o tym nie rozmawiamy. Maceo zabronił.

— Czy Harry Rowland to jego prawdziwe nazwisko?

— On ma wiele nazwisk. To część mitu.

Bourne'a przeszedł zimny dreszcz.

— Mity?

— Maceo ma na tym punkcie obsesję. „Mity chronią”. Tak mówi. „Ktoś otoczony mitem jest bezpieczny, ponieważ mit stawia go ponad innymi, sprawia, że człowiek staje się nadczłowiekiem i ludzie się go boją”.

— Którym mitem otoczył Rowlanda?

Anunciata zamknęła na chwilę oczy.

— Główny mit Azteków mówi, że człowiek został stworzony po to, by żywić bogów, a jeśli nie będzie tego robił, bogowie ześlą na ziemię ogień, który zniszczy ludzi i wszystko to, co zbudowali. Bogowie karmią się świętą substancją w naszej krwi.

— Mówisz o azteckich ofiarach z ludzi.

— Tak. Kapłan wyrywał im serce i składał je w ofierze. — Anunciata spojrzała w okno: kobieta z koszem owoców na głowie, chłopiec na zdezelowanym niebieskim rowerze. — Tak było dawno temu. — Przeniosła wzrok z powrotem na Jasona. — Teraz ścina się głowy. — Wzruszyła ramionami. — Krew to krew, bogowie są zadowoleni.

— Ci sami bogowie, którzy pozwolili Hiszpanom pokonać swoich wiernych.

Na ustach dziewczyny wykwitł enigmatyczny uśmiech.

— Któż zgłębi ich zamiary? Meksyk przetrwał Hiszpanów. — Posłała mu prorocze spojrzenie. — Ważne jest jedno: walka Azteków o panowanie nad przeznaczeniem jest teraz naszą walką. Nadejście Chrystusa niczego nie zmieniło. Krew wciąż się leje, wciąż składa się ofiary, wciąż liczą się tylko przeznaczenie i pożądanie.

— Co ma z tym wspólnego Rowland?

— Jest przednią strażą, czujką.

— Dżinem, Który Oświeśla Drogę.

Anunciata wytrzeszczyła oczy.

— Ty wiesz! Tak, Rowland składa ofiary, które podsycają mit, stawiają go ponad innymi i sprawiają, że ludzie się go boją.

— Rowland to Nikodemo.

•••

— W dzisiejszym herbie Meksyku widnieje orzeł siedzący na pustynnym kaktusie i pożerający węża. — Maceo Encarnación zajmował miejsce naprzeciwko Nicodema w swoim prywatnym odrzutowcu, Bombardierze Global 5000. Lecieli już od jakiegoś czasu. — Te dwa stworzenia są fundamentem meksykańskiej i azteckiej kultury. Bóg słońca i wojny kazał ludziom zbudować swoje największe miasto tam, gdzie zobaczą orła pożerającego węża na kaktusie, pod którym spoczywa serce jego brata. Tak powstało Tenochtitlán, a wieki później Mexico City.

Encarnación spojrział na Nicodema, chcąc zobaczyć jego reakcję. Nicodemo nie znosił wykładów i patrzył na niego ze zwykłym sobie stoicyzmem.

— Opowiadam ci to — ciągnął don Maceo — bo jesteś outsiderem, Kolumbijczykiem. — Odczekał chwilę na wypadek, gdyby Nicodemo raczył odpowiedzieć, ale on wciąż milczał. — Uczymy się pożerać, aby nie zostać pożartymi. Czy nie taka jest prawda?

— Tak. — Nicodemo trochę się ożywił. Rozmowa o śmierci zawsze wyrwała go z zamyślenia. — Szkoda tylko, że to nie ja zabiłem Azteka.

— Tulio Vistosa był zdrajcą, którego szukałem. To on ukradł te trzydzieści milionów. — Encarnación stłumił śmiech. — Pieniądze podmieniono w ostatniej chwili. To bardzo zabawne, choć nie dla niego. Ukradł fałszywe i zostawił prawdziwe. — Pokręcił głową. — Żeby przechytrzyć tych bandziorów, trzeba wśród nich żyć. Być takim jak oni.

— Tak jak Acevedo Camargo.

Don Maceo ucieszył się, że Nicodemo go słucha.

— Constanza Camargo była pierwszorzędną śpiewaczką, kiedy ją poznałem. I jeszcze lepszą aktorką, ale nie chciała grać w filmach.

— Chciała więcej czasu spędzać z mężem.

— Powiedzmy. Była młoda i atrakcyjna. On był bogaty i charyzmatyczny. Od razu zawrócił jej w głowie. Miesiąc później wzięli ślub. Don Acevedo był wtedy baronem narkotykowym i władał południem kraju. Takie życie pociągało ją równie mocno jak inni mężczyźni, kochankowie, z którymi potajemnie się spotykała. Uwielbiała spiskować. Te wszystkie intrygi, które knuła za jego plecami! *Dios Mio*, ta kobieta łaknęła krwi.

— Była ambitna.

— Jak Lady Makbet. Pięknie rozegrała to z Bourne'em i Rebeką. Wymyśliłem tę rolę w sam raz dla niej.

Rebeka — na dźwięk tego imienia w oczach Nicodema coś rozbłysło.

— Miało być inaczej — powiedział. — To on miał zginąć, nie ona.

— Czynniki ludzki bywa nieprzewidywalny. Dlaczego dźgnąłeś ją nożem?

— Nie miałem wyjścia!

— Według mnie zawsze jest jakieś wyjście.

— Ale nie w takim momencie. W takim momencie włącza się czysty instynkt.

Nadeszła stewardesa o długich gibkich nogach. Stała przed Encarnacionem, nachyliła się i szepnęła mu coś do ucha. Don Maceo nie

odrywał oczu od jej obfitych piersi. Kiwnął głową i odeszła. Odprowadzili ją wzrokiem, podziwiając koliste ruchy jej kształtnych pośladków.

Encarnación westchnął, wyjął komórkę i wybrał numer.

— Ktoś po ciebie przyjedzie — powiedział do telefonu. — Będzie w Paryżu za godzinę.

— Don Fernando Herrera nie żyje — rzucił Nicodemo, ciesząc się, że może zmienić temat. — Jego samolot rozbił się pod Paryżem. Po co się tam zatrzymujemy? Powinniśmy lecieć dalej.

Don Maceo odwrócił komórkę i pokazał mu ekran z nagłówkami wiadomości.

— Martha Christiana ma przysłać mi raport koronera, który potwierdza, że Herrera rzeczywiście był w tym samolocie. Nie mam pojęcia, jak ona to robi, ale zawsze potrafi je zdobyć. Pięknie, prawda? Zdolna dziewczyna. — Schował telefon. — Pojedziesz do niej, kiedy tylko wylądujemy.

— Po co? — spytał Nicodemo. — Mam ją zabić?

— *Dios*, nie! — Encarnación był przerażony. — Martha jest dla mnie kimś wyjątkowym, rozumiesz?

— Nie sądzę, żeby ktoś taki istniał, ale co to za różnica?

Don Maceo przyglądał mu się przez chwilę jak niższej formie życia. Było oczywiste, że agentka Mossadu zdołała poruszyć w nim ukrytą strunę, co uważał za wyczyn prawie niemożliwy. Zastanawiał się, jak wpłynie na niego jej śmierć. Zabicie kogoś, kogo darzy się uczuciem, wymagało niezwykłego hartu ducha, wiedział o tym z doświadczenia. Nicodemo zabił wielu ludzi, większość z zimną krwią, niektórym patrząc prosto w oczy, by pochwycić tę nieuchwytną chwilę, gdy życie ustępuje miejsca śmierci, dusza ulatuje w cień, a pragnienie staje się przeznaczeniem. Encarnación odpędził te ponure myśli.

— Martha Christiana jest w Paryżu. Po prostu ją do mnie przywieź. I pamiętaj, traktuj ją jak damę.

— Jak damę — powtórzył Nicodemo i nieobecny wzrokiem spojrzął w okno.

— Co cię trapi? — spytał don Maceo, a gdy Nicodemo nie odpowiedział, dodał: — Moja córka mieszka na drugim końcu świata, jest zamężna i, mam nadzieję, szczęśliwa.

— Maricruz nic mnie nie obchodzi.

Ty nią gardzisz, pomyślał Encarnación.

— A co cię obchodzi? — Milczenie. Znowu ta Rebeka. — Rozumiem.

— Myślę o Bournie — oświadczył Nicodemo, kiedy cisza stała się nie do zniesienia.

— Dlaczego?

— Bourne to więcej niż zwykły problem. Może nas wykończyć.

— Uspokój się. — Wcale nie chodziło o Bourne'a i don Maceo dobrze o tym wiedział.

Zdenerwowany Nicodemo wciąż patrzył w okno. Mimo prędkości, z jaką lecieli, chmury mijały ich jak we śnie.

— Nie wiadomo nawet, czy Rebeka nie żyje.

Nareszcie przechodzimy do tematu, pomyślał Encarnación.

— Z tego, co mówisz, jest mało prawdopodobne, żeby przeżyła, nawet gdyby Bourne'owi udało się jakimś cudem zawieźć ją do szpitala. Ale jej nie zawiózł. Moi ludzie stali na czatach i gdyby ją gdzieś przyjęto, już bym o tym wiedział.

— Bourne jest przedsiębiorczy. Mógł pojechać do prywatnego lekarza.

— Sądząc z opisu rany, nie uratowałyby jej żaden lekarz. Potrzebny by był pełny zespół chirurgów, ale nawet wtedy... — Nie dokończył myśli. — Daj sobie spokój. To zamknięty rozdział.

— Ale nie rozdział z Bourne'em.

— Oczywiście, że nie.

— Nie rozumiem, dlaczego nie zostawiłeś mnie w Mexico City, żebym go załatwił.

— Załatwił? — powtórzył Encarnación. — Posłuchałem cię i spróbowaliśmy. Sam widzisz, jak to się skończyło. Rebeka nie żyje, a on jest na wolności. Trzeba teraz opracować nowy plan, dobry. Zrealizować go i dopilnować, żeby Bourne zginął. I właśnie zacząłem wcielać go w życie. Dzięki Anunciacie.

•••

Pod wieloma względami Richard Richards przypominał zegarmistrza. Różnica polegała na tym, że on pracował w cyberprzestrzeni, na nieskończonym obszarze, choć był to obszar bez wymiarów. Udało mu się przenieść trojana do kwarantanny i właśnie wszedł do sieci Core Energy, gdzie przechowywał wstępne kody potrzebne do aktywowania potężnego wirusa, którego jak kroplę atramentu wpuści do zbiornika pełnego zer i jedynek. Kody były zbyt skomplikowane nawet dla jego

pamięci, a za nic na świecie nie chciał ryzykować i kopiować ich na pendrive czy kartę SD. Poza tym atak musiał nadejść z zewnątrz, z Chin. Dlatego pozostawało mu tylko wprowadzić do intranetu fałszywy kod, który by na to wskazywał.

Mimo klimatyzowanego powietrza, buchającego z szybów pod sufitem, pot spływał mu po bokach i plecach. Siedział spięty, podniecony, ale i potwornie przerażony.

To była wielka próba, bilet do najwyższej ligi hakerskiej. Gdyby mu się udało, Tom Brick i Core Energy nie mogliby się bez niego obejść. A tego pragnął bardziej niż czegokolwiek innego. Praca dla rządu niszczyła mu duszę. Jego przełomowe osiągnięcia przypisywali sobie inni, zarabiał nędzne grosze, a prezydent traktował go jak pekińczyka, którego od czasu do czasu głaskał, ale któremu nie wolno było wskakiwać na sofę, gdzie na co dzień zasiadali ferujący wyroki panowie. Przeniesienie do Treadstone nieoczekiwanie poprawiło jego los. Chociaż Soraya i po trosze Peter traktowali go podejrzliwie i z pogardą, wcale im się nie dziwił. Ostatecznie miał ich szpiegować. Zasługiwał na to. Czuł jednak, że gdyby udowodnił, iż jest lojalny, obdarzyliby go zaufaniem.

To prawda, również Brick często traktował go jak psa, choć nie zawsze. No i płacił nieporównywalnie więcej, niż mogliby ci z rządu — nawet gdyby chcieli. Do tej pory próbował być wierny trzem panom, zżerało go jednak napięcie. Nie mógł tak dłużej żyć. Musiał się na któregoś zdecydować.

Tylko co z tym Peterem? Udało mu się przeniknąć do Core Energy? Skąd wiedział o Bricku? Jeśli miał wybierać strony, musiał postanowić, jak pograć z Marksem. Powiedzieć mu wszystko, co wiedział o Bricku, o Core Energy i tajnej organizacji, która też maczała w tym palce? A może powinien zdradzić Brickowi, kim jest naprawdę Peter? Gdyby nie pracował teraz w Treadstone, nie zastanawiałby się ani chwili. Ale firma pokrzyżowała mu szyki. Musiał przyznać, że mu się tu podoba. Nie wiadomo dlaczego, czuł się w Treadstone jak w sektorze prywatnym. Tutaj prawie nie było biurokracji, dzięki dyrektorom. No i tak znalazł się między młotem a kowadłem.

Pracował dalej, lecz ponieważ błądził myślami gdzie indziej, omal tego nie przegapił. Z najgłębszych zakamarków mózgu, tych najbardziej prymitywnych, gdzie drzemią komórki odpowiedzialne za instynkt przetrwania, nadszedł niemy sygnał, który momentalnie go otrzeźwił. Coś było nie tak. Natychmiast oderwał ręce od klawiatury. Patrząc na widniejące na ekranie kody, poczuł, że po plecach przechodzi go zimny

dreszcz. Przez długi czas nie robił zupełnie nic, patrzył tylko na ekran. Potem powoli cofnął ręce i jak modlący się pokutnik złożył je na kolanach.

Normalne odgłosy pracowitego dnia w Treadstone — przyciszone rozmowy, szum maszyn, ciche kroki — docierały do niego jak z dużej odległości. Gdy zadzwoniła komórka, drgnął.

— Richards? Tu Anderson.

Przepojone winą serce podskoczyło do gardła i na jedną straszliwą chwilę zupełnie je zatkało.

— Ttt... tak... — wydukał.

— Zrobił pan jakieś postępy?

— Od... odizolowałem trojana.

— Dobra robota.

— Tylko... tylko trudniej się go pozbyć, niż myślałem. Tam jest... Wygląda na to, że w trojanie jest jakiś mechanizm. — Kiedy tylko to powiedział, uświadomił sobie, że popełnił błąd.

— Co to, do diabła, znaczy? — zagrzemiał Anderson.

Richards chciał się jakoś zabezpieczyć, żeby po ataku wirusa nikt nie mógł obciążyć go winą, tymczasem tylko rozwścieczył przełożonego.

— Cholera jasna, Richards, jest pan tam? Niech pan odpowie!

— Już nad tym pracuję. Tylko że zajmie mi to trochę więcej czasu...

— Odizolował pan trojana, więc niech pan w nim nie grzebie. Nie chcę, żeby cały ten mechanizm uruchomił coś innego.

Ty durniu, zgromił się w duchu Richards.

— Ma pan odkryć, jak ten pieprzony trojan obszedł naszą zaporę, to absolutny priorytet. Jasne?

— Tak jest.

— Będę tam za godzinę. Liczę, że do tego czasu poznam już odpowiedź.

Richards trzęsącymi się rękami schował komórkę. Robił wszystko, żeby się uspokoić, ale jego umysł pracował tak chaotycznie, że ilekroć próbował zebrać myśli, czuł się tak, jakby kazano mu zapędzić stado kotów do zagrody. Odsunął krzesło, wstał i na sztywnych ze zdenerwowania nogach podszedł do najbliższego okna. Przytknął czoło do chłodnej szyby. Chyba miał gorączkę. Tak, skoczył w otchłań, niczego nie przemyślawszy, nie wiedząc, czy zniesie życie zdominowane przez fałsz i obłudę.

Oderwał się od okna, odwrócił z cichym jękiem i chwiejnym krokiem ruszył z powrotem do biurka. Miał wyznaczony termin, termin

niemożliwy do dotrzymania. Anderson będzie tu za niecałą godzinę. Do tego czasu musiał zrozumieć swoją sytuację i znaleźć jakieś wyjście.

Patrząc na ekran monitora, przeczesał rękami włosy. Co było nie tak? Zdawało się, że na każde naciśnięcie klawisza komputer reaguje z ledwo dostrzegalnym opóźnieniem. Otworzył Panel sterowania i sprawdził sprzęt, ale nie, nie dodano tam żadnych nowych kart. Menadżer urządzeń pokazał taki sam wynik. Kiedy jednak sprawdził poziom użycia CPU, zobaczył, że odkąd zaczął pracować, procesor wykazuje nietypowy wzrost aktywności. Krew uderzyła mu do głowy. Ktoś zainstalował w komputerze keyloggera, który rejestrował każde naciśnięcie klawisza.

Anderson, pomyślał z wściekłością. A to sukinsyn! Podrzucił mu keyloggera. A więc wszystko było zaplanowane, ukartowane. Ale skąd wiedział? Istniała tylko jedna odpowiedź: Peter Marks. Marks go zdradził, Marks nie wierzył, że Richards wyda im Bricka.

Ogarnęła go niepohamowana wściekłość. Aż się zatrzęsł. Spojrzał na niedokończoną sekwencję kodów na ekranie i pomyślał: walić to. Walić Marksa. Walić ich wszystkich.

Bez namysłu wyłączył keyloggera i prawie nie oddychając, przystąpił do pracy. Modlił się w duchu, żeby Anderson nie przyszedł za wcześnie.

Niecałe pięćdziesiąt minut później, sześć minut przed przyjściem Andersona, wprowadził ostatnią część kodu. Teraz wystarczyło tylko nacisnąć Enter. Wirus zaleje serwery Treadstone, unieruchomi całą sieć, zatka kanały komunikacyjne i zawiesi system operacyjny.

Richards wstał, wziął kurtkę i dźgnął palcem klawisz. Potem wyszedł z sali i zjechał windą na dół, by powrócić do życia u boku Toma Bricka.

• • •

W przydymionej dali niosło się wycie syren. Ich dźwięk nieustannie się zbliżał. Msza dobiegła końca. Ktoś znalazł ciało *el Enterradora*.

— Nie wiem, dokąd pojechali — mówiła Anunciata. — Ale znam kogoś, kto wie.

— Powiesz mi? — Bourne bacznie obserwował ulicę, wypatrując policyjnych radiowozów.

— Zaprowadzę cię do niego.

— Nie. Twoja rola już się skończyła. — Jason wyjął portfel Rebeki. — Musisz wyjechać. — Pamiątka po przyjaciółce pomoże komuś rozpocząć

nowe życie. Wiedział, że Rebeka by tego chciała.

Otworzył portfel i pokazał Anunciacie jego zawartość.

— Tu są pieniądze. To aż za dużo, żebyś mogła urządzić się gdzieś za granicą. I paszport. — Przerzucił kilka kartek. — Zdjęcie mojej przyjaciółki. Możesz się za nią podać. Jesteście mniej więcej tego samego wzrostu i wagi. Idź do dobrego salonu, skróć i pofarbuuj włosy. Zrób profesjonalny makijaż. To wystarczy.

— Moim domem jest Meksyk.

— A teraz ten dom przyniesie ci śmierć. Wyjedź. Jeszcze dzisiaj. Jutro będzie za późno.

Trzymając w ręku klucze do nowego życia, Anunciata podniosła wzrok. Miała łzy w oczach.

— Dlaczego to robisz?

— Bo na to zasługujesz.

— Nie wiem, czy będę miała dość sił...

— Twoja matka tego chciała.

Łez przybyło i spłynęły po policzkach. Żałosne wycie syren brzmiało jak zawodzenie.

— Musisz coś...

Jason czekał, zachęcając ją wzrokiem.

— Mów.

— Nie, nic. — Podniosła głowę. — Nieważne. Dziękuję — dodała z uśmiechem.

Bourne zamknął jej palce na portfelu.

— No to powiedz, z kim muszę się zobaczyć.

• • •

Salazar Flores był mechanikiem lotniczym. Obsługiwał głównie prywatne samoloty, w tym bombardiera global 5000 należącego do Maceo Encarnaciona. Jason znalazł go w hangarze warsztatowym na prywatnym lotnisku, gdzie, tak jak rano powiedziała mu Anunciata, samolot miał swoją bazę.

Flores okazał się niskim bystrookim mężczyzną w średnim wieku. Miał uwalane smarem obwisłe policzki, a jego wielkie jak bochny dłonie na stałe zmieniły kolor od płynów, których ciągle używał. Na widok Bourne'a zerknął niespokojnie w bok, wstał i wytarł ręce brudną szmatą, którą wyciągnął z tylnej kieszeni kombinezonu.

— W czym mogę pomóc? — spytał.

— Kupuję gulfstreama SPX — odparł Jason — i chciałbym go tu hangarować.

— Źle pan trafił. — Flores wskazał budynek po drugiej stronie pasa startowego. — Musi pan porozmawiać z Castillem. To on tu szefuje.

— Bardziej zależy mi na rozmowie z panem. To pan będzie zajmował się moim samolotem.

Flores otaksował go spojrzeniem.

— Skąd się pan o mnie dowiedział?

— Od Anunciaty.

— Naprawdę?

— Uhm.

— Jak się czuje jej mama?

— María Elena zmarła wczoraj.

Chyba zdał jakiś test, bo Flores kiwnął głową.

— Straszna tragedia, niewytłumaczalna.

Bourne nie zamierzał mu mówić, że wprost przeciwnie.

— Dobrze ją pan znał?

Flores zmrużył oczy.

— Muszę zapalić.

Wyszli z rozbrzmiewającego metalicznym echem hangaru, gdzie pracowało trzech innych mechaników, i stanęli z dala od pasa. Flores wyjął paczkę papierosów, wytrząsnął kilka, poczęstował Jasona i pstryknął zapalniczką.

Spojrzał na wysokie chmury, jakby szukał w nich jakiegoś znaku.

— Pan jest *gringo*, więc pewnie zna pan Anunciatę lepiej niż ja. — Powoli wypuścił dym. — María Elena miała ciężkie życie. Anunciata nie chciała o tym rozmawiać. — Wzruszył potężnymi ramionami. — Może nic nie wiedziała. María Elena bardzo ją chronił.

— Nie ona jedna. — Bourne'owi przypomniała się rozmowa między Anunciatą i Grabarzem, którą podsłuchał w zakrystii. — U Encarnaciona żyła jak w cieplarni.

— Nic o tym nie wiem. — Flores rozejrzał się, jakby ktoś od don Macea miał zaraz wyskoczyć z cienia jak duch.

Jason wzruszył ramionami.

— Pomyślałem, że dobrze je pan znał.

Flores po raz ostatni zaciągnął się dymem, rzucił niedopałek i rozgniótł go podeszwą buta.

— Muszę wracać do pracy.

— Wkroczyliśmy na niebezpieczny teren?

Mechanik przeszył go spojrzeniem.

— Nie wiem, czego pan chce, ale nie mogę panu pomóc.

— Ale to pomoże panu. — Bourne wyjął pięć studolarowych banknotów i rozłożył je w ręku jak wachlarz.

— *¡Madre de Dios!* — Flores wydał policzki i głośno wypuścił powietrze. — Czego pan chce?

— Tylko jednego. Dziś rano Maceo Encarnación dokądś poleciał. Chcę wiedzieć dokąd.

— Tego nie mogę powiedzieć.

Jason wetknął banknoty do kieszeni jego kombinezonu.

— Jestem pewien, że żonie i dzieciom przyda się nowe ubranie.

Wciąż zdenerwowany mechanik rozejrzył się, chociaż w zasięgu słuchu nie było nikogo, kto zwracałby na nich uwagę.

— Mogę stracić pracę... albo głowę. Co wtedy z nimi będzie?

Jason wetknął mu do kieszeni kolejne pięć banknotów.

— Kupi pan parę iPadów i będzie pan bohaterem.

Spocony Flores przeczesał ręką włosy. Na jego twarzy strach toczył walkę z chciwością. Wciąż się wahał. Nadeszła pora rzucić na stół ostatnią kartę.

— To Anunciata zasugerowała, żebym pana spytał.

Mechanik wytrzeszczył oczy.

— Ona...

— Chce, żeby mi pan powiedział. — Na początku pasa ustawiał się odrzutowiec. Ryknęły silniki. Bourne podszedł krok bliżej. — To ważne, *señor* Flores. Chodzi o śmierć Marii Eleny.

To nim wstrząsnęło.

— Jak to?

— Nie mogę powiedzieć i lepiej by było, żeby pan nie wiedział.

Mechanik oblizał usta, rozejrzył się jeszcze raz i skinął głową. Gdy samolot pomknął po pasie i w chmurze spalin wzbił się w powietrze, Flores nachylił się i szepnął mu do ucha jedno słowo.

•••

Martha Christiana odebrała telefon z lodowatym spokojem. Za godzinę samolot wylądaje, Encarnación przyśle kogoś po nią i wszystko się skończy. Wpadnie w sam środek wiru, z którego już się nie

wydostanie. Kiedy tylko wejdzie na pokład jego samolotu, znajdzie się w więzieniu — wyraźnie to czuła. Za dużo o nim wiedziała. Encarnación już jej nie wypuści, na pewno znajdzie jakiś sposób.

Z okna salonu don Fernanda popatrzyła tęsknie na eteryczną jak pajęcza sieć Notre Dame, zalany światłem reflektorów kamień, chłodny jak marmur. Był środek nocy, a ona nie spała. Don Fernando spał. Leżał na skraju dużego łóżka w sypialni. Zaciągnięte zasłony chroniły pokój przed światłem i miejskim hałasem.

W dole, na zachodnim krańcu Île Saint-Louis, rozbrzmiewały śmiech, dźwięki gitary, pijane głosy młodych ludzi, zabrzmiała chóralnie odśpiewana pijacka piosenka. Potem znowu rozległ się śmiech i czyjś krzyk. Wybuchła bójka, ktoś roztrzaskał butelkę po piwie.

Martha nie wyjrzała na ulicę. Nie chciała mieć nic wspólnego z czającą się tam brzydotą; dość zaznała jej w życiu. Powiodła wzrokiem po wygiętych jak anielska harfa ulotnych przyporach katedry, podziwiając ich prastary wdzięk. Była zmęczona, lecz nie chciało jej się spać — w jej zawodzie był to stan niemal permanentny.

Kiedy jej wzrok padał na coś pięknego, często wracała myślą do Marrakeszu, do piękna, którym otaczał się jej dobroczyńca, nauczyciel i ciemiężca. Był esteta. Nauczył ją doceniać wszystkie formy sztuki wnoszące do życia piękno i radość. „Dla mnie nie liczy się nic innego — powiedział kiedyś. — Bez sztuki, bez piękna, świat byłby brzydki, a życie najbrzydszym ze wszystkich bytów”. Myślała o tym, uciekając z jego dusznej, przytłaczającej willi-muzeum. Myślała o tym i potem, po każdym zabójstwie, po każdym koncercie czy wizycie w galerii, wysoko nad ziemią, lecąc samolotem, by wypełnić kolejne zadanie. Myślała o tym i teraz, kilka kroków od śpiącego za ścianą don Fernanda, bo znowu stanęła twarzą w twarz z pięknem i brzydotą świata. Brzydotą życia.

Zamknęła oczy i odcięła się od dźwięków z zewnątrz, by docierał do niej tylko szum krwi. Jak lekarz, słyszała bicie swego serca. Zakołysała się lekko i pogrążyła w głębokiej medytacji. Znowu była w Marrakeszu, wśród kadzideł, znowu widziała srebrne serwisy, misterne drewniane parawany, wyłożone kolorowymi płytkami podłogi i ściany, które zdobiły geometryczne wzory. Znowu była młoda i uwięziona.

Rozwarła powieki i zobaczyła, że ma na kolanach torebkę, że tuli ją do siebie jak pluszowego pudelka. Otworzyła ją, nie patrząc, i wyjęła coś, co wyglądało jak pudełko zapalek. Z boku widniał napis MOULIN ROUGE. W miejscu draski był cieniutki metalowy pręt. Podważyła go

paznokciem i pociągnęła, rozwijając czterdziestopięciocentymetrowej długości nylonową nić. Skonstruowała tę zabójczą broń sama, zgodnie z zasadami asasynów, członków starodawnej perskiej sekty, których celem było zabijanie niewiernych, chrześcijańskich rycerzy.

Wstała tak gwałtownie, że torebka zsunęła się z kolan i bezdźwięcznie spadła na dywan. Martha przeszła na bosaka przez salon i stanęła w progu drzwi, za którymi spał don Fernando.

Mówił, że różni się od innych mężczyzn, tych, których dotąd знаła, tych, którzy w taki czy inny sposób próbowali nią manipulować, naginać ją do swoich potrzeb, wykorzystywać jak nóż czy pistolet, aby pomogła im w zdobyciu władzy czy zemście.

Kiedy tylko weszła na pokład samolotu, don Fernando zaczął realizować swój plan, który miał ją odwieść od wykonania zadania. Grał na jej głęboko skrywanych uczuciach, kazał stawić czoło przeszłości, zmarłemu ojcu, obłąkanej matce. Zawiózł ją do domu, chcąc ją zmiękczyć, narzucić jej swoją wolę, bo po prostu pragnął żyć. A w drodze powrotnej jeszcze mocniej dokręcił śrubę, kłamiąc, okłamując ją raz po raz, aż w końcu wymusił na niej taką decyzję, na jakiej mu zależało: miała przerwać misję.

Ale ją nie tak łatwo było nabrać. Panowała nad emocjami dużo lepiej, niż myślał. Miała zadanie do wykonania: teraz widziała to wyraźnie, widziała te wszystkie łgarstwa, za którymi mężczyźni kryli się jak za zasłoną dymną. Nareszcie ujrzała ścieżkę, drogę, którą omijając kłamstwo, mogła raz na zawsze przejść na drugą stronę.

Wiecznie uwięziona.

Przekroczyła próg i weszła do sypialni. Don Fernando leżał bliżej drzwi, otulony głębokim cieniem. Podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Na jego patrycjuszowską twarz padło łagodne światło Paryża. Martha wyciągnęła rękę, dotknęła jego ramienia, a wtedy cicho chrapnął i przewrócił się na drugi bok. Idealnie.

Skupiając się na zadaniu, podniosła nylonową nić. Kiedy jej pole widzenia zawężało się do pojedynczego punktu, kiedy jedynym dźwiękiem, jaki słyszała, stało się rytmiczne bicie jej serca, myśl przerodziła się w czyn.

Martha ruszyła z doskonałym, morderczym rozmysłem.

Rozdział 23

Gdy tylko doktor Santiago wyjął dren z jej głowy i obandażował ranę, Soraya poczuła się tak, jakby z szarej krainy na wpół żywych wróciła do świata pełnego kolorów i obietnic. Wszystko odzyskało ostre krawędzie. Miała sokoli wzrok i słuch. Każda płaszczyzna, której dotykała, była jak nowa, podniecająco inna.

Kiedy wspomniała o tym lekarzowi, ten uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Witamy z powrotem.

Odkąd przyjęto ją do szpitala, po raz pierwszy była wolna, wolna od tych wszystkich podtrzymujących życie rurek i monitorów. Chodziła po pokoju na trzęsących się z wysiłku obcych nogach.

— No proszę! — wykrzyknęła Delia. — Nie do wiary!

Soraya objęła ją i przytuliła, świadoma, że tuli ją wraz z dzieckiem. Nie chciała jej puścić. Wytarła łzy i wycalowała ją w policzki. Serce miała przepełnione wzruszeniem.

Tylko jedna myśl zakłócała jej powrót z zaświatów.

— Słuchaj, muszę zobaczyć się z Peterem. Pomożesz mi?

Delia bez słowa wyszła i wróciła z wózkiem. Kilka godzin wcześniej, podczas swojej ostatniej wizyty w szpitalu, Hendricks uprzedził ją, że Petera postrzelono. „Nie wiadomo jeszcze, jak ciężko — powiedział — ale chcę, żebyście były przygotowane. Kula utkwiała w pobliżu kręgosłupa”. „On wie?” — spytała Delia. Hendricks kiwnął głową. „Nie ma czucia w nogach”.

Przed wyjściem sekretarz dał jej znak i wyszli z pokoju Sorai, a teraz Delia wiozła ją cichymi szpitalnymi korytarzami.

— O czym rozmawiałaś z Hendricksem?

Delia zawahała się i to ją zdradziło.

— Rayu, skup się na Peterze. To nie pora...

Soraya położyła ręce na kołach i zahamowała.

— Deel, stań przede mną, chcę cię widzieć. — Delia obesła wózek. — Powiedz prawdę. Czy to ma coś wspólnego z moim dzieckiem?

— Nie, skąd! — wykrzyknęła Delia. Ukucnęła i wzięła ją za rękę. — Nie, dziecku nic nie jest. Chodzi... — Znowu się zawahała. — Rayu, Charles nie żyje.

Wstrząśnięta Soraya poczuła silny zawód, nic więcej.

— Co takiego? — spytała.

— Ann go zastrzeliła.

Soraya pokręciła głową.

— Nie... nie rozumiem.

— Pokłócili się. Charles się na nią rzucił i musiała się bronić. Ale to nie jest oficjalna wersja. Oficjalnie zabito go podczas próby włamania.

Soraya milczała. Mijały je pielęgniarki, popiskując butami na gumowych podszewkach, cicho dzwoniły telefony, pilnie wzywano jakiegoś lekarza. Wszystko inne znieruchomiało.

— Nie wierzę — szepnęła.

Delia sondowała jej twarz.

— Jak się czujesz? Hendricks dał mi wolną rękę, ale nie wiem, czy wybrałam dobry moment.

— Nie ma dobrych momentów. Jest tylko chwila obecna.

Soraya przeszukała korytarze swojego umysłu i stwierdziła, że jedynym uczuciem, jakie wzbudziła w niej śmierć Thorne'a, jest rozczarowanie, że ich współpraca dobiegła końca. O informatorów było trudno, zwłaszcza o informatorów usytuowanych na samym środku autostrady informacyjnej. Z drugiej strony, jeśli Charles miał rację co do grożącego mu śledztwa, jego użyteczność i tak była na wyczerpaniu. Dominowało w niej uczucie ulgi. Kłamstwo o dziecku napawało ją odrazą. Mogła odpuścić sobie przynajmniej ten grzech.

— O czym myślisz?

Soraya kiwnęła głową.

— Chodźmy do Petera.

•••

Operacja skończyła się przed ponad godziną i już się obudził. Ucieszył się na ich widok.

— Hej! — rzuciła Soraya teatralnie wesołym głosem.

Blade ramiona, wbite w ciało igły, płatanina rurek — wyglądał upiornie. Twarz miał wykrzywioną bólem, chociaż próbował to ukryć. Jego krzywy uśmiech rozdzierał serce.

— Dobrze wyglądasz — powiedział.

— Ty też. — Soraya wstała, przytrzymując się poręczy łóżka.

— Muszę lecieć — odezwała się Delia.

Objęły się na pożegnanie.

— Na razie — szepnęła jej do ucha Soraya.

— Łziesz jak najęta — rzucił Peter, gdy Delia wyszła. — Jak zawsze.

Soraya roześmiała się i dotknęła jego kolana pod prześcieradłem, chcąc nawiązać z nim tak ważny dla niej kontakt.

— Cieszę się, że wciąż tu jesteś.

— Szkoda tylko, że nie mogę powiedzieć, że wyjdę stąd jak nowo narodzony.

Jej serce zmieniło się w bryłę lodu.

— Jak to? Co mówią lekarze?

— Że kula nie trafiła w kręgosłup.

— To świetnie!

— Nie bardzo.

— Jak to?

— Rozerwała się przy uderzeniu. Odłamki tkwią wszędzie, w kręgosłupie też.

Sorai zaschło w gardle i spazmatycznie przełknęła ślinę. Spojrzała mu w oczy.

— Nie czuję nóg — ciągnął Peter. — Są sparaliżowane.

— Przestań. — Jej serce biło coraz szybciej, żołądek podchodził do gardła. — To pewna diagnoza? Jest za wcześnie. Kto wie, co będzie za tydzień albo nawet jutro.

— Nie ma wątpliwości.

— Nie możesz się poddać.

— No, nie wiem. Prezydent dobiera się nam do tyłka, ty chcesz odejść, a teraz to. — Roześmiał się cichym, głuchym śmiechem. — Do trzech razy sztuka, nie? To już koniec.

— Kto mówi, że odchodzę? — Powiedziała to, zanim zdążyła pomyśleć.

— Ty. Pamiętasz nasz spacer? Powiedziałaś, że...

— Daj spokój, chlapięłam coś kumpłowi, i tyle. Nigdzie się nie wybieram. — Ku swemu zdumieniu stwierdziła, że naprawdę tak jest. Chociaż wyjazd do Paryża wydawał się czymś wspaniałym, był jedynie mrzonką. Jej miejsce było tutaj, w Treadstone, z Peterem. Patrząc na niego, wiedziała, że nie może go zostawić, nie w tym stanie, że nie zostawiłaby go, nawet gdyby mu się to nie przydarzyło.

— Sorayo... — Uśmiechnął się do niej.

I trochę się odprężył. Wyraźnie widziała, jak bardzo ciąży mu myśl o jej odejściu, i było jej przykro, że w ogóle o tym wspomniała.

— Usiądź. — Do jego twarzy znowu napłynęła krew, wracał do siebie. — Mam ci dużo do powiedzenia.

•••

Don Fernando śnił, że idzie brzegiem morza. Dziwne było tylko to, że szedł po wodzie, a nie po piasku, który burzył się i gotował jak w wielkim kotle. Był na bosaka, spodnie miał podwinięte do łydek. Jego stopy były białe i niewyraźne, jakby patrzył na nie przez wodę. Szedł i szedł, lecz krzywizna krajobrazu nie ulegała zmianie, tak że nigdzie nie mógł dojść.

Nagle obudził się, czując, że pada na niego coś jakby cień wielkiego ptaka. Ptak przeleciał tak blisko, że don Fernando poczuł jego zapach — zapach Marthy. Przez chwilę unosiła się nad nim, a on był jak sparaliżowany, jakby utknął między dwoma światami ze snu, tym, w którym chodził po wodzie, i tym, w którym leciała nad nim Martha z szeroko rozłożonymi skrzydłami.

Po chwili cień zniknął, a ona wraz z nim i usłyszał — wyraźnie jak bicie katedralnego dzwonu — trzask pękającego drewna i brzęk szkła. Jedno uderzenie serca później do pokoju wpadł podmuch chłodnego wiatru znad rzeki.

Wciąż rozespany odwrócił się i zobaczył wydęte zasłony: szyby i rama okna były roztrzaskane, jakby coś uderzyło w nie z wielką siłą. Zaciekawiony wstał dopiero wtedy, gdy dobiegły go krzyki z ulicy, a kiedy podszedł do zniszczonego okna, jego ciekawość zaczęła ustępować miejsca coraz większemu przerażeniu.

— Martho — rzucił przez ramię. I głośniejszym głosem powtórzył: — Martho!

Martha nie odpowiedziała. Oczywiście. Wyjrzał przez okno, nie zważając na to, że odłamki szkła ranią jego dłonie. I wtedy ją zobaczył. Z szeroko rozrzuconymi rękami leżała na bruku wąskiej ulicy. Wokół niej, niczym usiane brylantami królewskie łożo, skrzyły się mokre okruchy szkła. Wyływała spod niej krew, strużki krwi. Zbierało się coraz więcej gapiów. Ich przeraźliwe krzyki nie ustały nawet wtedy, gdy w oddali zawyła syrena karetki pogotowia pędzącej nabrzeżem.

•••

— Droga pani senator — powiedział Li Wan — pozwoli pani, że jako jeden z pierwszych złożę pani szczerze wyrazy współczucia.

Ann Ring posłała mu blady uśmiech. Ucieszyła się, że przyszedł.

— Dziękuję — wymruczała, myśląc: jak głupie są słowa. Jak nieadekwatne i kłamliwe. Zawsze mierziły ją te pogrzebowe przedstawienia, te wszystkie mowy i żałoby. Zmarli odeszli i trzeba dać im spokój.

Li Wan był w czarnym garniturze, jakby to on był w żałobie, a nie ona. Poniewczasie przypomniało jej się, że kolorem śmierci jest w Chinach biały. Cóż, pomyślała cierpko, ma przynajmniej białą koszulę, tak sztywną, że rogi kołnierzyka lada chwila mogą zrobić mu krzywdę. Ona była w czerwono-brunatnym supełkowym kostiumie od St. Johna. Należała do kobiet, które nawet rano emanują powabem i seksem.

Siedzieli w odosobnionym pokoju rodzinnym domu pogrzebowego Vineyard przy Czternastej Ulicy. Otaczali ją tylko najbliżsi współpracownicy i garstka znajomych. Oficjalne wystawienie zwłok, które przyciągnie setki kolegów, przyjaciół i wrogów z całego miasta, miało się odbyć nazajutrz. I dzięki Bogu. Teraz było cicho i spokojnie. W pokoju pachniało wielkimi wieńcami i kwiatami, które stały w wazonach na stole, leżały pod ścianami, a nawet na wolnych krzesłach.

— Łączyła nas historia — mówił Li cichym, monotonnym głosem — a historia jest wszystkim.

— Dla mnie również — powiedziała spokojnie Ann. — Widzę, że mamy z sobą coś wspólnego.

Li lekko pochylił głowę, uśmiechnął się niepewnie i podał jej zawiniętą paczuszkę.

— Zechce pani przyjąć ten jakże nieadekwatny wyraz mojego smutku.

— Jest pan bardzo miły. — Obserwując jego twarz, Ann położyła paczuszkę na kolanach. Czekwała, wiedząc, że Li o tym wie.

Wreszcie spytał:

— Czy mogę na chwilę usiąść?

Zaprosiła go gestem ręki.

— Proszę.

Usiadł sztywno na brzegu krzesła, jak żółw, który próbuje schować się do skorupy. Albo jak kobieta, co ją odpychało.

— Czy mogę coś dla pani zrobić, pani senator?

— Nie, ale dziękuję. — Ciekawe, pomyślała. Zachowuje się jak rodowity Chińczyk, a nie jak Chińczyk urodzony i wychowany w Stanach. Ponieważ Chris Hendricks zawsze podkreślał jego wyjątkowość i charakter łączących go z nim układów, postanowiła zbadać to głębiej. — I proszę mówić mi Ann.

— Jest pani bardzo miła. — Li pochylił głowę.

Co mówi ci jego zachowanie? — pomyślała.

Wan spojrział na kwiaty zdobiące stół.

— Mam wiele wspomnień o pani mężu... — Zrobił pauzę, jakby zastanawiał się, czy mówić dalej. — Wspomnień, którymi z czasem mógłbym się podzielić.

Nareszcie trochę światła, pomyślała. Ale wciąż nie było jasne, czy Li przybył tu z oficjalną misją. Przyszło jej do głowy, że może chodzić o coś osobistego, że między Charlesem i nim wydarzyło się coś, co zmieniło dynamikę łączących ich układów, a jeśli nie, to może zmianie uległy jego cele i zamiast swojego rządu, reprezentował teraz samego siebie.

— Ja też mam wspomnienia — powiedziała. — Miło by było wysłuchać innych.

Prawie niezauważalnie drgnęły mu ramiona.

— W takim razie bardzo bym chciał zaprosić panią na herbatę. Oczywiście dopiero wtedy, kiedy poczuje się pani na siłach.

— Dziękuję. — Musiała być ostrożna, bardzo ostrożna. — Niestety, harmonogram posiedzeń komisji i spotkań budżetowych poszedł w rozsypkę i mam teraz bardzo wypełniony kalendarz, rozumie pan...

— Oczywiście, pani senator.

Ann zrobiła smutną minę.

— Z drugiej strony, rozmowa o sprawach niezwiązanych z Kapitołem na pewno podziałałaby na mnie odświeżająco. — Dotknęła paczuszki. — Może wieczorem, po czuwaniu. Przeznaczyłam sobie trochę czasu na posiłek.

— Może więc da się pani zaprosić na kolację? — spytał z nadzieją Li.

— Chętnie — odparła z jeszcze większym smutkiem. — Byłoby miło.

— Mógłbym po panią przyjechać — zaproponował Wan z półksiężycem uśmiechu. — Proszę tylko powiedzieć o której.

•••

Sam Anderson zmarnował kwadrans, każąc swoim ludziom przetrząsnąć budynek w poszukiwaniu Richardsa. Ponieważ go nie znaleźli, odwołał ich i wysłał za Richardsem list gończy, powiadamiając FBI i policję metropolitalną.

Potem zajrzał do informatyków, gorączkowo pracujących nad identyfikacją wirusa, który zaatakował serwery Treadstone, wyłączając je z obiegu. Jeden z nich, Timothy Nevers, miał sprawdzić dane zebrane przez keyloggera zainstalowanego w komputerze, przy którym pracował Richards.

Peter Marks wybrał zastępcę doskonałego. Anderson nie był ani ambitny, ani ustępliwy. Całkowicie skupiał się na powierzonym mu zadaniu i robił to lepiej niż ktokolwiek inny w Treadstone. W przeciwieństwie do wielu kolegów z tajnych służb, umiał rozmawiać z ludźmi i był wzorowym menadżerem. Podwładni wypełniali jego rozkazy bez pytania. Wierzyli w niego, wierzyli, że wyciągnie ich z każdego kłopotu.

A wirus Richardsa był kłopotem narastającym wykładniczo. Kiedy tylko informatycy rozgryźli jego podstawowy algorytm, parł dalej, burząc kolejne przeszkody. Serwery zaczynały wyglądać jak szwajcarski ser. Nie dałoby się nic z nich wydobyć, nawet gdyby technicy zdołali go obejść albo się przez niego przebić, co, jak się szybko okazało, było niemożliwe.

— Pracujcie dalej — rozkazał Anderson i spojrzał na Neversa. — Dobra. Powiedz mi to, czego nie chcę usłyszeć.

— Ja też bym chyba nie chciał — zaczął Nevers. — Ten skubaniec to genialny programista. Wciąż przyglądam się trojanowi, którego, nawiasem mówiąc, na pewno sam wpuścił do naszego systemu.

— A ten wirus?

Nevers podrapał się w czoło. Dopiero co przekroczył trzydziestkę i już golił głowę, bo szybko łysiał.

— To, kurczę, prawdziwy welociraptor wśród wirusów, nic więcej nie wiem.

— Kiepsko. Musisz dać mi coś, co mógłbym przekazać reszcie.

— Staram się, staram. — Palce Neversa znowu zatańczyły na klawiaturze.

— To postaraj się bardziej — mruknął Anderson.

Tak mówił do niego ojciec, ale nie bez życzliwości, w taki sposób, że Anderson naprawdę chciał się postarać nie tylko ze względu na niego, chociaż on liczył się oczywiście najbardziej. Dzięki temu odnosił sukcesy i dowiedział się o sobie czegoś ważnego. Ojciec był wojskowym — służył w wywiadzie — i trafił w końcu do CI. Ulepszył wiele tajnych i oficjalnych metod zbierania informacji i w nagrodę wyrzucono go z pracy, bo zachorował na serce. Nie znosił siedzieć w domu i próżnować i szesnaście miesięcy później zmarł. „A nie mówiliśmy?” — jego szefowie powiedzieli tylko tyle, ale ojciec na pewno wiedział swoje: w domu nie mógł się „bardziej postarać”. Czując się zupełnie bezużytecznym, pewnego wieczoru poszedł spać i już się nie obudził. Anderson był przekonany, że myślał o tym, zasypiając.

— Mam coś! — wykrzyknął Nevers. — Wyodrębniłem z trojana algorytm wirusa. Ciągłe się regeneruje. Niesamowite.

— Nevers, ja chcę wiedzieć, jak można go powstrzymać.

— Interwencją wewnętrzną. — Nevers kiwnął głową. — Ale nie tak, jak zwykłego, dlatego ten jest taki sprytny. Trzeba go wyłączyć od środka. Wejść do algorytmu i pstryknąć wyłącznikiem.

Anderson przysunął się z krzesłem bliżej, żeby lepiej widzieć.

— No to zrób to.

— Nie tak szybko. Pełno w nim pułapek, mechanizmów zabezpieczających i ślepych zaułków.

Anderson jęknął.

— Krok do przodu, dwa do tyłu.

— Lepsze to niż błędzenie w ciemności. — Nevers nacisnął Enter. — Wysłałam wszystko reszcie. — Uśmiechnął się szeroko. — Zobaczymy, czy oni się postarają.

Anderson tylko chrząknął.

— Przed aktywowaniem wirusa — ciągnął Nevers — Richards skasował keyloggera. To nasz główny problem, bo zapisał się tylko fragment kodu. Bez całego nic nie zdziałamy.

— Nie masz dość informacji, żeby zrobić jakieś założenie, zainterweniować i pstryknąć tym wyłącznikiem?

— Mógłbym, ale nie pstryknę. Ten wirus jest najeżony kolcami, mechanizmami wyzwalającymi, i jeśli nie będę wiedział, co robię, mogę niechcący uruchomić coś sto razy gorszego.

— Sto razy gorszego? — powtórzył z niedowierzaniem Anderson. — Czy może być coś gorszego niż strata wszystkich danych?

— Może — odparł. — Jeśli przeciążą się płyty główne, z serwerów zostanie kupa krzemu, ziem rzadkich i przepalonych bezpieczników. Zakodowana łączność padnie na Bóg wie jak długo.

I z uśmiechem dodał:

— Ale z drugiej strony, tej bardziej optymistycznej... — Sięgnął pod biurko i wyjął malutki podłużny przedmiot. — Richards nie znalazł Bluetootha. Jeśli ściągał coś z zewnątrz, wszystko jest tutaj. Co więcej, to maleństwo powie nam, z jakiego źródła to brał.

• • •

Na widok don Fernanda Nicodemo zastygł bez ruchu jak posąg. Herrera nie żył — przynajmniej według Marthy Christiany. Ale Martha kłamała, a teraz sama nie żyła, bo jej trup leżał na bruku. Trudno było powiedzieć, czy wyskoczyła przez okno, czy ktoś ją wypchnął. Niepodważalne było jednak to, że Herrera rozmawiał w tej chwili z policjantami, podczas gdy technicy robili zdjęcia i zbierali odciski palców na miejscu zdarzenia.

Wyciągając szyję, mógł dostrzec kręcących się na górze detektywów; byli pewnie w mieszkaniu don Fernanda. Nocny mrok znowu rozświetliły flesze i zebrano jeszcze więcej odcisków, tym razem w jego apartamencie. Nicodemo nie miał pojęcia, czego tamci szukali, i zupełnie go to nie interesowało. Do tej pory całą uwagę skupiał na Marcie Christianie, kobiecie, którą na rozkaz Encarnaciona miał przywieźć do samolotu, lecz teraz skoncentrował się na don Fernandezie. W sprawie Christiany nie mógł już nic zrobić, ale na pewno mógł zrobić coś w sprawie Hererry.

Wycofał się za róg pograżony w cieniu, wyjął telefon i zadzwonił do Maceo Encarnaciona.

— Stoję na rogu ulicy kilka kroków od mieszkania don Fernanda Hererry — zaczął. — Nie wiem, jak to powiedzieć, ale Martha Christiana nie żyje.

Tyrada przekleństw była tak głośna, że odsunął komórkę od ucha.

— Wypadła albo ktoś ją wypchnął, nie wiem — ciągnął, gdy Encarnación w szoku wyraził już całą swoją wściekłość. — Bardzo mi przykro, naprawdę. Ale mamy na głowie inne sprawy. Martha skłamała, Herrera żyje... Wiem, ja też, ale stoi tu przede mną cały i zdrowy... Oczywiście, że to on.

Przez chwilę słuchał uważnie każdego wypowiedzianego przez Encarnaciona słowa.

— I jest pan pewien, że mam to zrobić...

Kolejna tyrada i Nicodemo zaczął się przygotowywać do kolejnego zlecenia.

— Załatw to — zakończył don Maceo. — Masz dwadzieścia cztery godziny. Jeśli do tego czasu się nie zjawisz, odleczę bez ciebie. Jasne?

— Całkowicie. Wrócę przed czasem. Może pan na mnie liczyć.

Rozłączył się i wrócił na miejsce zdarzenia. Ciało Marthy Christiany zabrała już karetka. Herrera wciąż rozmawiał z detektywami. On mówił, oni kiwali głowami. Jeden z trudem nadażał z notowaniem.

Nicodemo wyjął papierosy, zapalił i zaciągnął się leniwie, lustrując okolicę. Kiedy detektywi w końcu skończyli i dali Hererze swoje wizytówki, ten odwrócił się, podszedł do wielkich drewnianych drzwi strzegących wyjścia na ulicę i wprowadził czterocyfrowy kod na panelu po ich prawej stronie.

Nicodemo zaczekał, aż policjanci odjadą i stanąwszy w rzednącym tłumie gapiów, przyjrzał się panelowi, na którym było dziesięć mosiężnych przycisków, ponumerowanych od jednego do zera. Wyjął z kieszeni małą fiolkę i dmuchnął na nie proszkiem drobniejszym od talku. Proszek przywarł do tłuszczu w pozostawionych przez Hererę odciskach palców, ujawniając cztery pobielone cyfry. Przy trzeciej kombinacji zamek otworzył się z cichym kliknięciem i Nicodemo wszedł do środka.

Przystanął na brukowanym wewnętrznym dziedzińcu, gdzie przed wiekami zajeżdżały konne karety i gdzie ubrani w liberię lokaje wychodzili ze skóry, aby pomóc patrycjuszowskim gościom wejść do domu. Oczywiście teraz mieszkało tu wielu lokatorów, lecz historia pozostała, unosząc się nad brukiem jak para nad błyszczącymi od potu końskimi bokami.

Pod ścianą za drzwiami stały dwie kobiety, młodsza i starsza. Rozmawiały o niedawnej tragedii. Starsza paliła. Nicodemo wyjął papierosa, podszedł do nich i poprosił o ogień.

— Coś strasznego. — Ta młodsza zadrżała. — Kto może po czymś takim zasnąć?

— Teraz pełno tu będzie gapiów. — Starsza pokręciła głową. — Chorobliwa ciekawość.

Nicodemo ze współczuciem kiwnął głową.

— Rzucić się z okna? — zastanawiał się na głos. — Dlaczego ludzie to robią?

— Kto ich tam wie. — Starsza kobieta wzruszyła mięsistymi ramionami. — Wszyscy powariowali, tak uważam. — Zaciągnęła się dymem. — Znał pan tę biedaczkę?

— Dawno temu — odparł Nicodemo. — Przyjaźniliśmy się w dzieciństwie.

Kobieta posmutniała.

— Musiała być bardzo nieszczęśliwa.

— Przyjechałem, żeby jej pomóc, ale już za późno.

— Chce pan wejść na górę? — spytała młodsza, jakby nagle ją olśniło.

— Nie wiem, czy nie przeszkadzałbym panu Hererze...

— Och, na pewno przyda mu trochę współczucia. Proszę. — Podeszła do drzwi, wyjęła klucze z kieszeni i przytknęła identyfikator do metalowej tarczy przy futrynie. Kliknął zamek.

Nicodemo podziękował jej i wszedł do wysokiego holu z dużymi, krętymi żelaznymi schodami. W domu panował stężyły bezruch, jakby przerażeni lokatorzy wstrzymali oddech. Opustoszałe schody, szczelnie zamknięte drzwi — jakby zaraz miała tu dotrzeć gwałtownie rozprzestrzeniająca się zaraza.

Piętro Hererry też było opustoszałe. Nicodemo bezszelestnie przeszedł przez podest i stanął pod jego drzwiami. Wyteżył słuch, lecz niczego nie usłyszał, więc przytknął ucho do starego drewna.

• • •

Mieszkanie wciąż wypełniał stęchły zapach ubrań policjantów i detektywów i don Fernando czuł się tak, jakby ktoś włamał się do jego domu. Do tej pory wszędzie unosił się wyraźny zapach Marthy i wizyta policjantów wzbudziła w nim głęboki sprzeciw. Stał sztywno wyprostowany, próbując oddzielić myśli od emocji.

To on odpowiadał za jej śmierć, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Rzucając wyzwanie Encarnacionowi, zmanipulował ją, postawił w sytuacji, z której nie było wyjścia. Dociskał śrubę, dla pewności bardzo powoli, lecz u kresu podróży nie miało to znaczenia. U kresu podróży Martha nie była w stanie podążyć ani za nim, ani za swoim zleceniodawcą. Wybrała jedyną drogę, która mogła przynieść jej ulgę. Może było to jej przeznaczone od chwili, gdy przyszła na świat

w pozbawionym miłości domu, z którego uciekła, żeby się ratować? Ale zamiast tego, nieustannie parła ku swemu przeznaczeniu, zmierzając tutaj, do mieszkania w domu na Île Saint-Louis, do śmierci na bruku Quai de Bourbon.

Być może on sam niewiele miał z tym wspólnego, lecz w to nie wierzył. To pożądanie nadało kształt jej przeznaczeniu. I już nie żyła. Obracając się powoli dookoła, don Fernando jeszcze bardziej odczuł jej brak, jakby mieszkanie, które tak dobrze znał, wypełniało coraz więcej cieni, jakby nagle odkrył, że jest tu jeszcze jeden pokój, którego nigdy nie zauważył i do którego nigdy nie zaglądał, pokój wypełniony przerażającą zawartością.

Jeszcze raz sprawdził, czy na pewno jest sam, chociaż część mózgu odpowiedzialna za racjonalne myślenie mówiła mu, że jest. Wszedł po cichu do łazienki, przyklęknął z lekkim trzaskiem stawów i wyciągnął torebkę Marthy Christiany ze szpary między stojącą na szponiastych łapach wanną i wyłożoną marmurem podłogą, gdzie ukrył ją przed przyjściem policjantów.

Opuścił klapę sedesu, usiadł i położył torebkę na kolanach. Siedział tak długie minuty, muskając palcami miękką skórę i rozszerzonymi nozdrzami wdychając bijący z torebki zapach, od którego oczy wezbrały mu łzami.

Chociaż kierował nim instynkt przetrwania, szczerze Marthę polubił. Tkwiła w potrzasku i bardzo jej współczuł. Ale co ta empatia jej dała? Pchnęła ją tylko do skoku, pokierowała ostatnimi metrami jej przeznaczenia.

Don Fernando westchnął i gwałtownie podniósł głowę. Usłyszał jakiś dźwięk i wyteżył słuch z nadzieją, że to odgłos jej bosych kroków, że Martha żyje, że ostatnie godziny były tylko koszmarem sennym, z którego właśnie się obudził z torebką na kolanach. Potem spojrzał w dół i już ponad wszelką wątpliwość wiedział, że to, co trzyma w rękach, jest jedyną rzeczą, jaka mu po niej pozostała.

Powoli otworzył torebkę i z pełną niepokoju ciekawością zajrzał do środka. Zobaczył drobiazgi typowe dla każdej kobiety: szminka, puderniczka, tusz do rzęs, paczuszka chusteczek higienicznych, zaskakująco cienki portfel, jakby jego zawartość rozpląnęła się tak szybko jak jej życie. Otworzył go, zamknął i wyjął komórkę.

Była zablokowana, ale wiedział, co Martha lubiła, i wypróbował kilka haseł, w końcu odkrył właściwe, a wtedy telefon otworzył się przed

nim, tak jak wiele razy przed nią. Głęboko go to poruszyło. Poczł się tak, jakby Martha zapraszała go do strzeżonej części siebie.

— *Mea culpa* — powiedział. — Żałuję, że cię tu nie ma.

• • •

Słowa te usłyszał stojący na korytarzu Nicodemo, który jeszcze mocniej przytknął ucho do drzwi. Zaskrzypiało stare drewno.

Nicodemo wstrzymał oddech i zamarł.

• • •

Don Fernando zadrżał i poderwał głowę jak wystawiający zwierzynę pies. Ciche skrzypnięcie przeszło mieszkanie jak strzała i niczym przecucie śmierci ugodziło go w serce.

Odłożył torebkę, wstał i przeciąwszy sypialnię, wszedł do salonu. Stał tam przez chwilę zupełnie nieruchomo, wężąc nowy trop. Patrzył na drzwi, które na szczęście zamknął po wyjściu ostatniego policjanta. Wbijał wzrok w drewniane panele, jakby mogły mu powiedzieć, kto lub co jest po drugiej stronie.

Potem ostrożnie podszedł bliżej, pochylił się i przytknął ucho do starego drewna. Słyszał czyjś oddech, lecz nie wiedział, czy to dom oddycha, czy człowiek. Odczuwał jeśli nie strach, to na pewno głęboki niepokój. Nie trzymał w mieszkaniu broni palnej, i na szczęście. Policjanci by ją skonfiskowali i od razu powstałyby podejrzenia, że nie było to samobójstwo, lecz zabójstwo. Ale teraz żałował, że nie ukrył w domu jakiegoś pistoletu. Nie czuł się bezpiecznie.

Jeszcze raz wytężył słuch i niczego nie usłyszawszy, wrócił do łazienki. Wziął torebkę, by kontynuować melancholijną podróż przez jej zawartość.

Najpierw sprawdził rejestr rozmów w komórce. Ostatni telefon odebrała mniej więcej pięćdziesiąt minut przed śmiercią. Zważywszy na późną godzinę, uznał, że to ważne, zwłaszcza że dzwoniło do niej z numeru, który miała na liście kontaktów. Zamiast pełnego nazwiska były tam tylko inicjały, lecz nie miał wątpliwości, do kogo należą. „ME”: Maceo Encarnación.

Co takiego jej powiedział, że załamała się i postanowiła odebrać sobie życie? Wiedział, że tkwiła między nim a Encarnacionem jak

w potrzasku.

Sprawdził pocztę głosową, SMS-y, wszystko to, co zatyka każdą komórkę, ale niczego nie znalazł. Nie, Martha była zbyt ostrożna. Gdy przeglądał listę kontaktów, zabuczał jego telefon. Don Fernando odebrał. Dzwonił Christien.

— Ciągłe nie żyjesz? — spytał, tłumiąc śmiech.

— Niestety, nie. — Don Fernando wziął głęboki oddech. — Ale Martha nie żyje.

— Co się stało?

Hererra powiedział mu co.

— Cóż, przynajmniej nie będzie już zagrażała ani tobie, ani nikomu innemu. Wyślę sprostowanie do prasy i oficjalnie pojawisz się wśród żywych. — Christien zrobił krótką pauzę. — Wiesz, gdzie jest Bourne?

— Myślałem, że go pilnujesz.

— Jego nikt nie upilnuje, ty wiesz o tym najlepiej.

Don Fernando odruchowo schował komórkę Marthy do torebki. Jego palce natrafiły na puderniczkę, gładką i ciepłą, jakby Martha przed chwilą jej dotykała. Była z lazurytu i pocierając ją kciukiem, stwierdził, że to go uspokaja.

— Nasi wrogowie się ruszyli — mówił Christien. — Encarnación i Rowland opuścili Mexico City. Godzinę temu wylądowali w Paryżu. Pomyślałem, że lepiej cię ostrzegę.

— Coś się dzieje.

— Tak, i mam nadzieję, że nie to, co myślimy.

Don Fernando potarł ręką twarz.

— Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

— Encarnación jest w Paryżu, boję się o ciebie.

— Nie jest aż tak głupi, żeby się tu pokazywać. Mam w Paryżu za dużo oczu i uszu. Ale Rowland to inna sprawa.

— Bourne go śledził. On i ta z Mossadu, Rebeka.

Don Fernando spojrział na swoje boscie stopy. Bardzo podobały się Marcie. Mówiła, że są seksowne.

— W takim razie zawiedli.

— Nie wyobrażam sobie, żeby Jason mógł zawieść.

— Ja też nie. — Don Fernando spojrział na puderniczkę i ogarnął go jeszcze większy smutek. — Na pewno można mu jakoś pomóc.

— Za daleko to zaszło, za szybko i za gwałtownie. Wymknęło się z rąk. Pozostaje nam tylko wierzyć, że Bourne z tego wyjdzie.

— Jeśli w ogóle da się z tego wyjść... *Vaya con Dios, hombre.* — Don Fernando rozłączył się.

Poczuł się zmęczony — bardziej niż zmęczony. Wstał i z torebką w ręku wrócił do sypialni. Był wczesny ranek, pora, gdy miasto, wciąż jeszcze śpiące, zaczynało drzeć od warkotu pierwszych samochodów, gdy ludzie ustawiali się w kolejce przed piekarniami, by kupić świeże bagietki i croissanty na śniadanie, gdy na mostach pojawiały się rowery wiozące do pracy swoich właścicieli.

Położył się na zmiętej pościeli, ale leżąc, znowu musiał patrzeć na okno, które Martha zniszczyła w drodze na tamten świat. Przewrócił się na bok, usiadł i spojrzał na puderniczkę. To dziwne, pomyślał. Nosila puderniczkę, chociaż ani razu nie widział śladu pudru na jej czole czy policzkach. Używała tylko szminki i tuszu do rzęs, jej naturalne piękno nie wymagało niczego więcej. Mimo to...

Kilka razy obrócił puderniczkę w ręku. A potem, pod wpływem nagłego impulsu, szybko ją otworzył. Wnętrze chronił delikatny krążek z aksamitu, lecz gdy go wyjął, zamiast pudru zobaczył cieniutką złotą kryzę. Podważył ją paznokciem, a wtedy dno odskoczyło, odsłaniając ośmiogigabajtową mikrokartę SD.

Nagle zeszywniał i przekrzywił głowę, znowu słysząc ten sam cichy dźwięk. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości: ktoś był na klatce. Po cichu wstał, wszedł do kuchni i wyjął ze stojaka duży nóż do krojenia mięsa.

Wrócił do salonu i stanął pod drzwiami. Znowu ten odgłos, przytłumiony chrobot podeszew na podłodze w korytarzu. Zrobił krok do przodu, położył rękę na uchwycie zasuw i przesunął ją, cicho i powoli.

Potem, z wycelowanym w drzwi nożem, chwycił za gałkę klamki, przekręcił ją szybko i gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi.

Rozdział 24

Czekając, aż zaproszą go do pałacowych biur Toma Bricka w siedzibie Core Energy przy Szesnastej Ulicy, Richards czuł się tak, jakby uciekł nie tylko z Treadstone, ale i od samego życia. Wydawało mu się, że czeka od wielu godzin, patrząc, jak paradują przed nim ludzie, których wprowadzano do przeróżnych gabinetów, a potem z nich wyprowadzano.

Po raz ósmy czy dziewiąty wstał z fotela, żeby przypomnieć się recepcjonistce za ladą. Miała w uchu bezprzewodową słuchawkę i, co typowe dla młodych dziewczyn, potrafiła ją nosić jak duży kolczyk, dzięki czemu wyglądała jak człowiek, a nie jak przybysz z obcej planety. Uśmiechnęła się do niego ustami napuchniętymi jak po użądleniu osy.

— Panie Richards... — Zdziwił się, że zapamiętała jego nazwisko. — Pan Lang chciałby zamienić z panem kilka słów.

Stephen Lang był zastępcą dyrektora do spraw operacyjnych. Richards zastanawiał się, czego od niego chce.

— Ale ja czekam na pana Bricka.

Recepcjonistka z uśmiechem dotknęła słuchawki.

— W tej chwili go nie ma.

— Wie pani, gdzie jest?

Uśmiech nie zniknął. Był kolejnym elementem postmodernistycznej biżuterii.

— Myślę, że o tym właśnie chce porozmawiać z panem pan Lang. — Podniosła kształtne nagie ramię. — Trafi pan?

— Tak — odrzekł Richards.

Otworzył wysadzane kamyczkami przezroczyste drzwi, skrzył w prawo, potem jeszcze raz w prawo. Kilka kroków dalej zobaczył przestronny narożny gabinet Langa. Był tam parę razy, kiedy Brick wprowadzał go w szczegóły tego czy innego projektu.

Stephen Lang, były sportowiec, zaczynał tyć. Wciąż imponował posturą i muskulaturą linebackera z Michigan, ale miał nalaną twarz i coraz większy brzuch. Kiedy Richards zajrzał do gabinetu, Lang energicznym krokiem wyszedł zza biurka. Uśmiechnął się szeroko,

mocno uściśnął mu rękę i ruchem głowy wskazał tapicerowany fotel przed postmodernistycznym biurkiem z blatem z przydymionego szkła.

— Słyszałem, że komputery Treadstone szlag trafił. — Przysiadł na brzegu biurka. — Dobra robota, Richards.

— Dzięki, ale mam teraz przesrane. Nie mogę tam wrócić.

— Niech się pan nie martwi. Pomógł nam pan osiągnąć cel. Pora ruszać dalej. — Lang klasnął w dłonie. — Tom chce pogratulować panu osobiście. W ostatniej chwili musiał wyjść, dlatego prosił, żebyśmy podstawili panu samochód z szoferem.

— Jest w tym domu, tej kryjówce?

— Ta kryjówka nie jest już bezpieczna. — Lang znowu klasnął w dłonie. — Tak jak powiedziałem, pora ruszać dalej. — Wstał, dając mu do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca. Wyciągnął do niego rękę. — Szerokiej drogi. Jest pan dla nas bezcenny. Czeka pana duża podwyżka, nie wspominając już o premii. Tom wszystko panu wyjaśni.

Richards wyszedł z gabinetu z zaczerwienionymi policzkami. Ledwo czuł, że dotyka nogami podłogi. Nareszcie zdobył uznanie, na które od dawna zasługiwał. W windzie powitała go uśmiechem pulchna blondynka. Był tak zaskoczony, że się do niego odezwała, że prawie nie słyszał, co mówiła. Jakby skądś ją znał, ale zamiast odpowiedzieć, zdołał tylko się głupio uśmiechnąć. Inne też będą się do mnie uśmiechały, pomyślał, patrząc, jak blondynka idzie przez hol. Nawet te najpiękniejsze, bo te najpiękniejsze reagowały galwanicznie na pieniądze i władzę, zwłaszcza tutaj, w Waszyngtonie.

Tak jak mówił Lang, czekał na niego czarny lincoln navigator. Było chłodne, ponure popołudnie, zaciął lekki deszcz. Richards podbiegł do samochodu. Nie musiał się przedstawiać. Bogdan poznał go i z uśmiechem otworzył drzwi. Potem usiadł za kierownicą i popędzili zatłoczonymi ulicami.

Richards delektował się pierwszymi chwilami nowego życia. Dokonał dobrego wyboru. Służba dla rządu była dla głupców zadowolonych z bezsensownie długich godzin pracy, którzy co tydzień odbierali skromną pensyjke, by w końcu, gdy byli już znużeni i dobici przez niekończącą się biurokrację, odejść w niebyt.

Za mostem Woodrowa Wilsona przekroczyli granicę Wirginii i skręcili na północ. Dziesięć minut później limuzyna wjechała do ciągnącego się nad Potomakiem parku Founders w Alexandrii. Bogdan wysiadł, otworzył drzwi i poprowadził go w kierunku długiego mola. Na jego końcu była duża altana z podniszczonego przez pogodę drewna,

gdzie Richards zobaczył Toma Bricka rozmawiającego z kimś stojącym w cieniu.

Gdy weszli do altany, odwrócił głowę.

— Aaa, dojechałeś! Świetnie. — Wskazał swego rozmówcę, którym okazała się pulchna blondynka z windy.

Richards nie zdążył zarejestrować własnego zaskoczenia, ponieważ w tym samym momencie poczuł upiorny ból w boku. Otworzył usta, by krzyknąć, lecz gruba ręka szofera zasłoniła dolną połowę jego twarzy. Z głowy odpłynęła mu cała krew, ugięły się pod nim nogi. Szofer musiał go podtrzymać.

Spojrzał na Bricka i blondynkę, którzy patrzyli na niego beznamiętnie.

— Co... — wykrztusił. — Dlaczego?

Brick westchnął.

— Już samo to, że o to pytasz, potwierdza, że twoja użyteczność się wyczerpała. — Podszedł bliżej, chwycił go za podbródek, podniósł mu głowę i spojrzał w oczy. — Ty idioto, ogłosiłeś wszem wobec, że jesteś sabotażystą. Coś ty sobie myślał?

— Ja... ja... — Powoli drętwiejący mózg, który wyłączał się już na peryferiach, rozpaczliwie próbował zrozumieć, co się dzieje. Kątem oka Richards zobaczył, że blondynka uśmiecha się do niego i nagle uświadomił sobie, że to pracownica Treadstone, asystentka, ktoś, kto zajmując tę wyjątkową pozycję, może swobodnie obserwować wszystkich pracujących tam ludzi. Jezu, pomyślał. Jezu Chryste.

— To cena, jaką płaci się za słuzenie wielu panom. — Brick mówił głosem łagodnym, smutnym i wyrozumiałym. — Inne zakończenie nie wchodziło w rachubę.

Pozbawiony krwi mózg z każdą sekundą pracował wolniej. Mimo to Richards zrozumiał. Nareszcie.

— Od samego początku wiedziałeś, kim jest Marks.

Brick kiwnął głową.

— Dzięki obecnej tu Tricii.

— To dlaczego pozwoliłeś mu...

— Kiedy odkryłem, że mnie śledzi i wie dużo więcej, niż myślałem, musiałem sprawdzić, w co gra. — Brick uszczypnął go w policzek. — Nie powiedziałaś mi, kim on jest. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

— Myślałem... — Richards zamknął oczy i z trudem przełknął ślinę. Umierał, więc w cholerę z tym. — Myślałem, że jeśli on i Soraya mnie polubią, jeśli mnie przygarną, to...

— To co? To zostaniecie przyjaciółmi? Kolegami? — Brick pokręcił głową. — Ty nikogo nie obchodzisz, Richards. Nikt nie chce z tobą pracować. Masz dar, ale nie jesteś dla nas aż tak użyteczny, by zbilansował twoje wady. Nie można ci ufać.

— Przecież wybrałem. Wybrałem ciebie. — Głos Richardsa brzmiał żałościwie nawet dla niego samego. Z oczu popłynęły mu łzy, zaczął szlochać. — To niesprawiedliwe. To niesprawiedliwe.

Wyraźnie zde gustowany Brick zabrał rękę, podniósł wzrok i dał znak szoferowi. Ten wbił nóż głębiej i przekręcił go tak gwałtownie, że Richardsowi oczy omal nie wyszły z orbit. Odgłos, jaki wydobył się spod zatykającej usta ręki, przypominał kwiczenie szlachtowanej świni.

• • •

Kiedy tylko otworzyły się drzwi i błysnął nóż, Bourne chwycił Hererrę za zaciśniętą pięść.

— Spokojnie, don Fernando.

Hererra spojrzał na niego wstrząśnięty.

— To byłeś ty? Pod drzwiami, parę minut temu.

Jason wszedł do mieszkania i trzasnął zasuwą.

— Nie, dopiero co przyszedłem. — Przekrzywił głowę. — Ktoś próbował tu wejść?

— Albo ktoś mnie obserwuje.

— W budynku nie ma monitoringu. — Bourne odebrał mu nóż. — Sprawdziłem.

— Encarnación i Rowland są w Paryżu. Myślę, że to Rowland tu był.

— Don Fernando, Rowland to Nicodemo.

— Co takiego? Jesteś pewny?

— Tak. Jest z Encarnacionem. Przyleciałem za nimi z Mexico City.

— A ta kobieta?

— Rebeka. Była agentką Mossadu. — Bourne usiadł na sofie. — Nie żyje.

— W takim razie obaj kogoś straciliśmy. — Don Fernando usiadł ciężko obok niego. — Przykro mi.

— Co się stało?

Don Fernando opowiedział mu pokrótce, jak Maceo Encarnación nasłał na niego Marthę i co wydarzyło się po tym, gdy się poznali.

— Kiedy spałem, rzuciła się z okna. Przeskoczyła nade mną i... Mogła mnie zabić, ale nie zabiła.

— Miał pan szczęście.

— Nie, Jasonie. Nie czuję się ani trochę szczęśliwy. — Splótł palce. — Miała udręczoną duszę. Może potrzebowała księdza. Ja księdzem nie jestem. Mógłbym co najwyżej odgrywać rolę adwokata diabła.

— Wszystkich nas ścigają cienie. I czasem doganiają. Nic więcej nie można zrobić. Trzeba iść dalej.

Don Fernando kiwnął głową. Wyjął puderniczkę Marthy, otworzył ją i pokazał Bourne'owi mikrokartę SD ukrytą pod fałszywym dnem.

— Nie mogę oprzeć się myśli, że zostawiła to dla mnie. — Wzruszył ramionami. — Ale może to tylko pobożne życzenie.

— Sprawdzał pan, co na niej jest?

— Jeszcze nie.

Jason wyjął kartę.

— Cóż, w takim razie pora sprawdzić.

• • •

Maceo Encarnación wszedł do kabiny swojego prywatnego samolotu. Drzwi były otwarte, chiński pilot sprawdzał listę przedstartową.

— Myśli pan, że zdąży? — Nawet nie podniósł wzroku.

Encarnación precisnął się na fotel nawigatora.

— Trudno powiedzieć.

— Wszyscy wiedzą, że jest pan do niego bardzo przywiązany.

Don Maceo przyglądał mu się przez chwilę.

— Chce pan powiedzieć — mruknął w końcu — że minister Ouyang tego nie pochwała.

Pilot, który był również agentem Ouyanga, milczał. Siedział nieruchomo, jakby próbował zakłąć prądy powietrzne.

— Nicodemo jest moim synem. Wychowałem go i wykształciłem.

— Odebrał go pan jej.

Chińczyk powiedział to zupełnie neutralnym głosem, bez osądzania. Mimo to Encarnación poczuł się urażony. Nie mogło być inaczej, taką miał naturę.

— Jego matka była żoną innego mężczyzny — powiedział bardziej do siebie niż do niego. — Kochałem ją, ale jej mąż był potężnym człowiekiem i potrzebowałem jego władzy. Ona nie mogła zatrzymać

dziecka, nie mogła nawet być z mężem, kiedy w niej rosło. Kiedy zaczęło być widać, że jest w ciąży, na pięć miesięcy wyjechała do Meridy, do ciotki. Zabrałem chłopaka i go wychowałem.

— Już pan mówił.

Encarnación nienawidził tych ludzi, lecz musiał robić z nimi interesy. Nikt nie miał takiej władzy, takiej wiedzy, tak głębokiej kieszeni, takiej wizji. Mimo to bardzo często, jak choćby teraz, jedynie żelazna siła woli powstrzymała go przed zrobieniem z nich krwawej miazgi. To, że nie mógł traktować ich jak swoich ludzi, było jak cios nożem w brzuch. Często wyobrażał sobie tego Chińczyka na brzegu Pacyfiku, jego miotaną przez fale obciętą głowę z rybimi oczami, tułów drgający i tryskający krwią jak fontanna w parku Chapultepec.

— Powtórzyłem to, bo bez tego nie da się zrozumieć, dlaczego jestem do niego przywiązany, poza tym nie wiem, jak dobrze zna pan hiszpański. — Encarnación nie czekał na odpowiedź; wiedział, że żadna nie padnie. Ekstrawertyczny Meksykanin i introwertyczny Chińczyk: czy da się znaleźć gorzej dobranych współników?

Pilot miał jakieś nazwisko, lecz on nigdy go nie używał, zakładając, że jest fałszywe. W myśli nazywał go pogardliwie „chłopaczkiem”, co niezmiernie go bawiło. Postanowił opowiedzieć mu swoją historię — jej część, którą Chińczyk weźmie za całość — bo to też go bawiło. Nie powie mu tylko tego, co uważał za swoją prywatną sprawę. Tożsamość matki jego dwojga dzieci, Nicodema i Maricruz, pozostanie tajemnicą. Constanza Camargo urodziła Nicodema na początku ich wieloletniego romansu. Maricruz przyszła na świat trzy lata później. Constanza była jedyną kobietą, którą kochał, i jedyną, której nie mógł mieć najpierw dlatego, że miała męża, a potem z powodu samej Constanzy, która kochała i jego, i ich dwoje dzieci, ale poprzysięgła sobie, że nigdy ich nie odwiedzi, nie zakłóci ich życia prawdą, nie skomplikuje i nie wypaczy ich przeznaczenia w imię swoich pragnień.

— I tak — mówił — odebrany matce Nikodemo stał się mój, ciałem i duszą. Kiedy podrósł, wysłałem go do specjalnej szkoły w Kolumbii. Uznałem, że musi nauczyć się fachu.

— Handlu narkotykami — wtrącił pilot z niepotrzebną zjadliwością. Na początku dziewiętnastego stulecia handel opium wyrządził niepowetowane szkody w Państwie Środka. Chińczycy mieli pamięć sięgającą wieki wstecz.

— I bronią. — Encarnación ściągnął usta. — Jak minister Ouyang dobrze wie, moim głównym celem jest uzbrojenie tych, którzy

najbardziej tego potrzebują. — Rozmawiając z pilotem, zawsze zakładał, że rozmawia z ministrem, pajakiem na środku pekińskiej sieci.

— Jest pan wielkim altruistą.

Encarnacionowi drgnęła lewa ręka. Nie pierwszy raz chłopaczek przekroczył granicę, za co w innych okolicznościach zapłaciłby głową, i to dosłownie. I znowu musiał przypomnieć sobie, jak niezwykle ważni są dla niego Ouyang i jego sługusi. Bez ich pomocy interes z pułkownikiem Ben Davidem nigdy nie doszedłby do skutku.

— Mojemu altruizmowi dorównuje tylko altruizm pana ministra — odparł, cedząc słowa. — Radzę to zapamiętać.

Chińczyk spojrział w okno.

— Kiedy startujemy?

— Kiedy każę zapuścić silniki. — Don Maceo rozejrzał się po kabinie. — Gdzie to jest?

Pilot spojrział na niego skośnymi mandaryńskimi oczami. Jego długie kościste palce wyciągnęły spod fotela brązową walizkę z zamkiem na odcisk palca. Encarnación przytknął do skanera palec wskazujący i zamek odskoczył.

Don Maceo otworzył wieko i spojrział na ciasno ułożone pliki tysiąc dolarowych banknotów.

— Trzydzieści milionów. Taki widok zadziwia nawet mnie.

— Pułkownik Ben David będzie zadowolony — powiedział ze śmiertelną powagą Chińczyk.

Don Maceo roześmiał się cicho.

— Wszyscy będziemy.

•••

Soraya właśnie miała wyjść, gdy do pokoju wpadł sekretarz Hendricks.

— Cieszę się, że jesteś już na nogach — rzucił. Spojrział na Petera. — Jak się czujesz?

— Odrętwiały — odparł Peter. — W każdym znaczeniu tego słowa. Sekretarz roześmiał się szczekliwie.

— Posłuchaj, czas mnie goni. W firmie źle się dzieje...

— Sieć padła.

— Owszem — potwierdził Hendricks i w tym samym momencie Soraya spytała:

— Co takiego?

— Richards. — Peter spojrział na Hendricksa, a ten skinął głową. — Kazałem Samowi go zdjąć.

— Anderson postanowił zbadać sprawę i ostatecznie powiązać Richardsa z Core Energy. — Sekretarz machnął ręką. — Brick jest cholernie ostrożny. Pomijając to, co ci podobno powiedział...

— Cholera jasna, nie podobno, tylko powiedział! — przerwał mu zapalczywie Peter.

Hendricks pozwolił mu się wygadać.

— Żaden sąd nie orzeknie na twoją korzyść — stwierdził, gdy Peter skończył. — Próbowaliśmy pójść tropem pieniędzy, ale jeśli Richardsa opłaca Core Energy czy któraś z jej filii, to jak na razie nie znaleźliśmy na to dowodów. Anderson o tym wiedział, dlatego zainstalował keyloggera w jego terminalu.

— Niech pan tylko nie mówi — wtrącił gorzko Peter. — Nie wypaliło.

— Dlaczego?

— Rozumiem, że go zatrzymaliście.

Po raz pierwszy Hendricks dał wyraz swojemu niezadowoleniu.

— Nie. Zniknął, uciekł.

— Znajdźcie Bricka. Będzie u niego, gwarantuję.

Sekretarz powiedział cicho kilka słów do telefonu i gdy rozmowa dobiegła końca, przeniósł na nich wzrok.

— Z jakiegoś powodu Brick chce rozwalić naszą sieć. Z jakiego?

— Zakładając, że to prawda — myślała na głos Soraya — może chce, żebyśmy stracili kontakt z naszymi zagranicznymi agentami.

Peter strzelił palcami.

— Otóż to! Boi się, że czegoś się dowiemy? — Zagryzł kciuk. — Tylko czego?

Hendricks przestąpił z nogi na nogę.

— Peter... — Czuł się wyraźnie nieswojo. — Zważywszy na to, co się stało, na twój poważny stan, myślę, że lepiej by było, gdybym zwolnił cię z obowiązków dyrektora Treadstone.

— Co takiego? — nie zrozumiał Peter.

Soraya zrobiła krok do przodu.

— Nie może pan...

— Mogę — przerwał jej sekretarz. — I właśnie to zrobiłem.

— Mam sparaliżowane nogi, nie mózg! — zaprotestował Peter.

— Przykro mi, ale już postanowiłem.

— Jeśli on odejdzie, odejdę i ja — oświadczyła Soraya.

Sekretarz odwrócił się i spojrział na nią ciężkim wzrokiem.

— Nie bądź głupia. Nie przekreślaj swojej kariery tylko dlatego, że...

— Że co? Że jestem lojalna wobec przyjaciela? Peter i ja służymy razem od samego początku. Tworzymy zespół, koniec i kropka.

Hendricks pokręcił głową.

— Mylisz poświęcenie z lojalnością. To straszny błąd, możesz się z tego nie pozbierać.

— To Treadstone nie pozbiera się po stracie obydwu dyrektorów! — powiedziała z mocą Soraya.

Sekretarz robił wrażenie zaszokowanego.

— Mówisz o Treadstone jak o rodzinie. Treadstone nie jest rodziną, Sorayo. To firma.

— Z całym szacunkiem, panie sekretarzu, ale Treadstone jest rodziną. Prowadzę wszystkich zagranicznych agentów. Jeśli odejdę, odejdą wraz ze mną...

— Nie odejdą.

— ...tak jak odeszli, gdy po zmianie dyrekcji zwolniono mnie z CI. — Soraya nie bała mu się postawić, nie miała nic do stracenia. Bez Petera nie chciała zostawać w Treadstone. — Powiedziałam panu wtedy, że to błąd, i okazało się, że miałam rację. Centrala Wywiadu jest teraz cieniem dawnej siebie. Jest nieskuteczna, a panujące tam morale jest gorsze niż przed zamachem na WTC.

— Źle znoszę, kiedy ktoś mi grozi — ostrzegł ją Hendricks.

— To nie ja tu komuś grożę.

— Posłuchajcie, Anderson jest już w terenie. Peter przekazał mu obowiązki i...

— Bardzo lubię Sama — przerwał mu Peter — ale ma za mało doświadczenia, żeby kierować dłuższą operacją.

— A wy dacie radę? Spójrzcie na siebie. Ani jedno, ani drugie nie może nawet wyjść stąd o własnych siłach.

— Zawsze możemy założyć tymczasową bazę tutaj — powiedziała Soraya. — Nasze serwery padły i najlepszym rozwiązaniem byłaby sieć zastępcza...

— Zaraz, moment! — wtrącił się Peter, który obserwował ich jak kibic na meczu tenisa. — Te trzydzieści milionów dolarów, które znalazłem na łodzi. Założyłem, że pochodzą z handlu narkotykami, a jeśli nie?

Soraya zmarszczyła brwi.

— Jak to?

— Jeśli mieli zapłacić nimi za coś innego?

— Są fałszywe — zbył go Hendricks.

— Fałszywe? — Peter poderwał głowę. — Naprawdę?

— Uhm.

— To bez sensu. Facet, który omal mnie nie zabił...

— Tulio Vistoso — poinformował ich sekretarz. — Alias Aztek. Jeden z największych meksykańskich baronów narkotykowych.

— Nie rozumiem — wymamrotała Soraya.

— Uważamy, że to była podpucha — oświadczył Hendricks. — Klasyczna zmyłka Maceo Encarnaciona. Kiedy Encarnación jest w Mexico City, ci dwaj są praktycznie nierozłączni.

— No nie wiem. — Peter pokręcił głową. — Aztek zrobił wszystko, żeby te pieniądze odzyskać.

Zapadła cisza.

— Czy to możliwe — zastanawiała się Soraya — że Vistoso nie wiedział, że są fałszywe?

— To by znaczyło, że ktoś mu tę kasę podebrał — skonkludował zaintrygowany Peter.

— Odpada — wtrącił Hendricks. — Vistoso należał do tak zwanej Wielkiej Trójki. Kto śmiałby go oszukać?

— Ktoś, kto miał więcej szwungu — odparł Peter. — Ktoś taki jak Encarnación.

— Śledzicie go? — spytała Soraya.

— Kilka dni temu był w Waszyngtonie. Udzielił wywiadu „Polityce Jak Zwykle”.

— Ciągle myślę o tych pieniądzach — mówił Peter. — Trzydzieści baniek, coś tu nie gra... — Strzelił palcami. — Musimy ściągnąć kogoś, kto powie nam, gdzie je podrobiono, jakiegoś eksperta.

— Już nad tym pracujemy — powiedział Hendricks. — Ale niby dlaczego powinno nas to interesować?

— Trzydzieści milionów to olbrzymia kwota. To musiała być dobra, bardzo dobra robota. I świetny fałszerz. Gdybyśmy go zgarnęli, mógłby wsypać Encarnaciona.

Soraya skrzyżowała ręce na powiększonych piersiach, czując, że są teraz dużo wrażliwsze.

— À propos Encarnaciona. Wiemy, dokąd pojechał po wywiadzie?

— Wrócił do Mexico City — odrzekł Hendricks.

— I wciąż tam jest? — spytał Peter.

Sekretarz już rozmawiał z kimś przez telefon, już wydawał rozkazy. Czekał przez chwilę, patrząc na Petera, w końcu dostał odpowiedź.

— Nie, jest w Paryżu, ale nie wysiadł z samolotu, co jest dziwne, bo wylądował ponad sześć godzin temu.

— Dobra — rzucił Peter. — Ponieważ Vistoso był jego głównym przybocznym i ponieważ trzydzieści milionów dolarów, nawet fałszywych, to olbrzymia kwota, zakładam, że Encarnación maczał w tym palce.

— A ja ciągle się zastanawiam, dlaczego Brick chce rozwalić naszą sieć — powiedziała Soraya. — Czy to możliwe, żeby między nim a Encarnacionem istniał jakiś związek?

— Ta sieć — zauważył Peter — jest naszą najlepszą placówką nasłuchową na Bliskim Wschodzie.

— A z Paryża — dodała Soraya — jest tam dużo bliżej niż z Mexico City.

Hendricks kiwnął głową.

— Jego pilot musi przedstawić plan lotu.

— Zdobędziemy plan i będziemy wiedzieli, dokąd dokładnie leci — podsumował Peter. — Jeśli na Bliski Wschód, to znaczy, że jest w to zamieszany.

Sekretarz, wciąż z komórką przy uchu, zaczął wydawać im rozkazy.

— Chwileczkę — powstrzymała go Soraya. — Zapomniał pan, że już u pana nie pracujemy.

— A kto tak, do diabła, powiedział? — Hendricks uśmiechnął się lekko i wyszedł z pokoju.

Rozdział 25

— Trójprzymierze — wymruczał Bourne, przeglądając informacje z mikrokarty Marthy Christiany. — Maceo Encarnación, Tom Brick i Chińczycy.

Don Fernando Herrera pokręcił głową.

— Nie rozumiem tylko, po co Martha to trzymała.

— To był jej hak. Gromadziła te informacje, żeby coś na nich mieć.

Don Fernando zamilkł, patrząc na ekran laptopa z melancholią i smutkiem. W końcu ciężko westchnął.

— Ale tego nie wykorzystała. — Spojrzał na Bourne'a. — Dlaczego?

— To było wyjście, lecz tylko jedno z wielu. Musiałaby żyć, ciągle oglądając się przez ramię.

— Wątpię, żeby chciała.

— Z tego, co o niej opowiadałeś, chyba nie. Z drugiej strony, nie jestem przekonany, czy naprawdę pragnęła z tym zerwać. Na tym polegał jej największy dylemat. Nie mogła iść naprzód i nie miała odwrotu. Nie wyobrażała sobie innego życia, innego wyjścia.

— Mówiłem jej o tym. Wszystko jej wytłumaczyłem.

— Nie słyszała cię albo nie mogła w to uwierzyć.

Herrera westchnął i kiwnął głową, jakby chciał podkreślić nieodwracalność tego, co zaszło.

— Dobry z ciebie przyjaciel, Jasonie. Niewielu takich jest.

Ulicą sunął niekończący się sznur pojazdów. Elektronicznie wzmocniony głos przewodnika, dochodzący z przepływającego Sekwaną statku wycieczkowego, odbijał się od kamiennych ścian i zniknął, jakby zabrała go fala przypiływu. Nagie drzewa smagał wiejący znad rzeki wiatr. Na Quai de Bourbon wciąż stali gapie, rozmawiając cicho o wydarzeniach ostatniej nocy. Cyrk jeszcze nie wyjechał.

Jason wskazał ekran.

— Wynika z tego, że Encarnación pierze brudne pieniądze Chińczyków.

— Za te trzydzieści milionów chcą kupić coś na Bliskim Wschodzie. — powiedział Don Fernando. — Coś bardzo ważnego. Tyle że Martha nie

wiedziała, co ani od kogo.

Ale Bourne wiedział, ponieważ Rebeka wyszeptala pewne nazwisko, kiedy niósł ją do taksówki, w której wykrwawiła się na śmierć.

Hererra usiadł prosto.

— Nie rozumiem tylko, co Encarnación z tego ma. Dziesięć procent za usługę? Nie opłaca się ryzykować.

Jason przewinął ekran. Utkwiło mu w pamięci coś, co widział chwilę przedtem. Wskazał to palcem.

— Jest! Dowód na to, że siedzi w tym Brick. Co Core Energy zyska na układzie z Encarnacionem i Chińczykami?

— Zależy, co Chińczycy chcą kupić.

— Coś związanego z energią. Nie rozumie pan? To energia ich łączy, wszystkich trzech.

— Tak. Gwałtowna ekspansja gospodarcza, wzrost produkcji, infrastruktury i ludności zmusza Chińczyków do ciągłego poszukiwania alternatywnych źródeł energii. Zgoda, Brick na pewno chciałby uszczknąć z tego coś dla siebie. — Don Fernando pokręcił głową. — Ale Encarnación?

— Trójprzymierze miałoby sens tylko wtedy, gdyby był w jakiś sposób powiązany z Core Energy.

— Niemożliwe. Christien i ja byśmy o tym wiedzieli.

— Na pewno?

— Mielibyśmy oko i na niego, i na Core Energy. Znaleźlibyśmy dowody na przepływ pieniędzy.

— Jeśli Brick i Encarnación dobrze to rozegrali, nie ma żadnych dowodów. Pierwszą rzeczą, o jaką by zadbali, byłoby zatarcie śladów przepływu pieniędzy. Z tego, co czytałem, Core Energy ma na całym świecie tyle filii, że bez trudu by to zrobili.

— Nie, przed nami by się nie ukryli — upierał się don Fernando. — Christien opracował program, dzięki któremu można przedrzeć się przez każdą sieć fikcyjnych korporacji i holdingów. Nie ma żadnych śladów, uwierz mi.

Bourne roześmiał się.

— No jasne! Bo tu wkraczają na scenę nasi baronowie. To oni piorą na odwyrtkę pieniądze przepływające między Encarnacionem i Core Energy.

— Na odwyrtkę?

— Otóż to. Zamiast prac brudne pieniądze w legalnych źródłach, Brick i Encarnación robią odwrotnie. Biorą czyste pieniądze, te, które

przeplývają między ich firmami, przekazują je baronom, a oni je „brudzą”, dzięki czemu nie sposób ich wytropić. Gotówka tam, gotówka z powrotem. Program Christiena może być zmyślny i wyrafinowany, ale takich transakcji nie wychwyci. Ani jego program, ani żaden inny.

— Genialne. — Don Fernando potarł ręką czoło. — Że też o tym nie pomyślałem.

— Maceo Encarnación i trzydzieści milionów dolarów lecą do Libanu, żeby sfinalizować umowę.

Hererra odrobinę poweselał. Było widać, że śmierć Marthy bardzo go przybiła.

— W takim razie musimy jak najszybciej tam dotrzeć.

Bourne przyjrzał mu się z rezerwą.

— Nigdzie nie pojedziemy, dopóki nie zajmiemy się Nicodemem. Zadałeś sobie wiele trudu, żeby upozorować swoją śmierć. Ale jeśli Nicodemo rzeczywiście był pod twoimi drzwiami, możliwe, że widział cię na ulicy. Encarnación wie, że żyjesz. Nicodemo nie pozwoli ci opuścić Paryża. Chce cię zabić.

•••

— Tyle rzeczy może pójść nie tak...

Minister Ouyang, z malutką, prawie przezroczystą filiżanką, którą trzymał czubkami palców, stał w wielkiej sali wspaniałego Zhong Hua Gongu, prywatnej komnacie Qianlonga, cesarza z dynastii Qing, ukrytej w sekretnym centrum Zakazanego Miasta. Tylko garstka ludzi miała prawo wstępu do izb, gdzie pyszniły się oszałamiające zbiory kosztownych figurek z jadeitu i prastarych zwojów kaligraficznych, lecz nikt nie mógł tu wejść o tak późnej porze — nikt z wyjątkiem ministra oraz kilku członków Komitetu Centralnego. Płomienie stojących rzędami grubych żółtych świec rzucały rozedrgane, chybotliwe światło, tak że skarby Państwa Środka częściowo tonęły w mroku.

Kobieta, do której Ouyang skierował te słowa, leżała zwinięta jak kot na mandaryńskiej kanapie, przyniesionej tu specjalnie na tę okazję, i śledziła go oczami koloru kawy. Nawet w tej pozycji smukłość jej długich nóg była aż nadto oczywista. W błyszczącym szlafroku z pomarańczowego szantungu wyglądała jak wysłanniczka słońca.

— Kochanie, jeśli będziesz tak myślał, na pewno tak się stanie.

Ouyang odwrócił się gwałtownie i herbata sparzyła mu czubek palca. Nie zważając na ból, spojrział na swoją żonę.

— Nigdy cię nie zrozumieję, Maricruz.

Maricruz lekko pochyliła głowę, przyjmując komplement z rezerwą typową dla Chińczyków z wyższej kasty, wśród których żyła od przyjazdu do Pekinu przed dziesięciu laty, i kaskada gęstych włosów przesłoniła jej oko.

— I tak powinno być.

Ouyang, w tradycyjnym mandaryńskim szlafroku, podszedł bliżej.

— Zupełnie nie przypominasz mieszkanki Zachodu.

— Gdybym przypominała — powiedziała Maricruz głosem stężalym i głębokim — nigdy byś się ze mną nie ożenił.

Minister przyglądał się jej jak malarz modelce, która ma pozować do jego najważniejszego dzieła. Transformacja, umiejętność przynależna artystom, była również jego umiejętnością.

— Wiesz, co zawsze mnie w tobie pociągało?

Maricruz lekko otworzyła oczy.

— Twoja cierpliwość. — Ouyang upił łyk herbaty, potrzymał ją w ustach i przełknął. — Cierpliwość jest największą z cnót. Na Zachodzie niemal zupełnie nieznana. Jej wartość doceniają Arabowie, ale w porównaniu z nami to prymitywni ludzie.

Maricruz roześmiała się.

— Właśnie to najbardziej lubię u Chińczyków, wasze nieprawdopodobnie wysokie mniemanie o sobie. — Roześmiała się jeszcze raz. — Ach, to Państwo Środka...

Minister wypił łyk herbaty, delektując się zarówno napitkiem, jak i słownym pojedyńkiem z żoną. Nikt inny nie miał odwagi przemawiać do niego tak bezpośrednio.

— Mieszkasz w Państwie Środka, Maricruz.

— I uwielbiam tu mieszkać.

Ouyang podszedł do wąskiej niszy i wyjął z niej małą jodeitową szkatułkę z misternymi grawerunkami smoków stojących dęba na tle stylizowanych chmur. Ujął ją obiema rękami.

— Państwo Środka zawsze było bogatym źródłem mitów. Chyba o tym wiesz. W waszej cywilizacji także roi się od mitów i legend. — Błyszczały mu obsydianowe oczy. — Ale nasza historia jest tak długa i skomplikowana, że kilka razy przeżyliśmy poważny regres. Pierwszy miał miejsce wiele stuleci temu, w roku dwieście trzynastym przed naszą erą, gdy cesarz Shi Huangdi z dynastii Qin kazał spalić wszystkie

książki o tematyce innej niż medycyna, prorocstwa i rolnictwo. Tak Państwo Środka straciło wiele źródeł mitów. Jak to często się u nas zdarza, w sto dziewięćdziesiątym pierwszym roku przed naszą erą rozkaz cesarza cofnięto i odtworzono sporą część literatury. Jednakże zrobiono to w taki sposób, by nagłaśniała idee propagowane przez cesarza, który nakazał ją odtworzyć. Tak więc znowu mitologia została wskrzeszona przez zwycięzcę. Nieoszacowanej wartości informacje przepadły na wieki.

Ouyang podszedł do żony ze szkatułką, którą trzymał jak bezcenny artefakt.

— Rzadko się jednak zdarza, aby fragment drogocennej przeszłości został odkryty dzięki losowi lub pragnieniu tego, kto jej szuka.

Podał żonie szkatułkę.

Maricruz przyjrzała się jej nieufnie.

— Co to?

— Proszę. — Ouyang pochylił się, stojąc przed żoną.

Szkatulka była zaskakująco ciężka, chłodna w dotyku i gładka jak szkło. Maricruz otworzyła ją jedną ręką. Drżały jej palce. W środku leżała złożona kartka. Maricruz spojrzała pytająco na męża.

— Nazwisko twojej matki.

Żona Ouyanga otworzyła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

— Gdybyś chciała ją odszukać.

— Ona żyje? — tchnęła z błyszczącymi oczami.

— Tak.

Maricruz bardzo powoli zamknęła szkatułkę i postawiła ją obok siebie. Wyprostowała nogi z prężną gibkością, która zawsze go odurzała. Kojarzyła mu się z amerykańskimi gwiazdami filmowymi z lat czterdziestych. Gdy wstała, rozchylił jej się szlafrok. Czarodziejska sztuczka, pomyślał. Jak ona to robi? Widział wewnętrzne półkule jej jędrnych piersi, pięknych jak wazy z brązu. Przywarła do niego całym ciałem.

— Dziękuję, mężu — powiedziała oficjalnie.

— Co zamierzasz zrobić?

— Nie wiem — szepnęła. — Chcę ją poznać. I nie chcę.

— Masz okazję zrewidować i naprawić swoją przeszłość.

— Musiałabym przeciwstawić się ojcu. — Maricruz potarła czołem o jego ramię. — A jeśli matka nie zechce mnie widzieć? Dlaczego nie próbowała...?

— Znasz swojego ojca lepiej niż ktokolwiek inny — przerwał jej łagodnie Ouyang.

— Musi być jakiś powód. Wiesz, co nim jest?

— Osiągnąłem granice wiedzy w tej kwestii. — Oczywiście minister ten powód znał, tak jak miała go poznać Maricruz, kiedy tylko przeczyta nazwisko swojej matki, niegdyś żony potężnego barona narkotykowego, przyjaciela i współnika, któremu Maceo Encarnación bez skrupułów przyprawił rogi. Pożądał Constanzy Camargo. Cały don Maceo.

— Potrzebuję czasu. Muszę skupić się na tym, co ma niebawem nastąpić.

Chociaż jego zmysły ożyły, umysł wrócił do tego, co powiedziała.

— Zgoda. Ale pamiętaj, że mam doskonałych współników. Nic nie może pójść nie tak.

Uśmiechnęła się i oplótła go ramionami.

— Ten plan nie powiodłoby się bez ciebie. — Ouyang musnął nosem jej ucho. — Bez udziału twojego ojca i brata.

Maricruz zaśmiała się gardłowo.

— Mojego biednego braciszka Juanita, którego ojciec obarczył imieniem Nicodemo i przydomkiem Dżina, Który Oświeśla Drogę, aby jeszcze bardziej pogрузić się w cieniu.

— Robiąc legalne interesy jako prezes SteelTrap, twój ojciec porusza się w kręgu światła. W kręgu cienia porusza się, robiąc nielegalne interesy z największymi baronami narkotykowymi i handlarzami bronią.

Wsunął palce pod śliski szlafrok i potarł jej nagie ramiona.

— Ale znam również innego Maceo Encarnaciona, tego, który krąży w ciemności, planuje jak mistrz szachowy, scala rozproszone elementy bez ich wiedzy czy zgody, tego, który jest dla mnie cenny.

Maricruz wtuliła głowę w zagłębienie jego ramienia. Oddychała cicho i równo.

— Jego przebiegłości i bezwzględności, umiejętności wykorzystywania wszystkich i każdego, kto służy jego celom, nie ma końca.

— Twój ojciec i ja — powiedział z uśmiechem Ouyang — nie łudzimy się co do natury łączących nas relacji. Wykorzystujemy siebie nawzajem. Jak w symbiozie. Tym sposobem możemy osiągnąć dużo więcej.

— A Ben David?

— To środek do osiągnięcia celu.

— Będziesz miał nieprzejednanego wroga.

Ouyang otoczył dłonią jej pierś.

— To nie problem. Ben David nie wyjdzie z tego żywy.

Maricruz cofnęła się i cichutko wciągnęła powietrze.

— Jest pułkownikiem Mossadu. Naprawdę myślisz, że zabójca da radę tak blisko podejść?

— Ja już swoje zrobiłem. — Ouyang przyciągnął ją do siebie. — Twój ojciec zorganizował resztę. — Uśmiechnął się ciepło. — To Jason Bourne go zabije, skutecznie i z premedytacją.

• • •

Po rozmowie z sekretarzem Hendricksem Sam Anderson miał parszywy humor. Zawiódł Petera. Złościł się na siebie, że nie może być w dwóch miejscach naraz, że nie zlecił komuś części swojej roboty, nie rozkazał któremuś z podwładnych obserwować Dicka Richardsa.

Wsiadając do samochodu z Jamesem, jednym z agentów, przeklinał złych bogów, którzy wyżywali się na Treadstone. Organizacja miała pecha od samego początku. Czasem, jak choćby teraz, wydawało mu się, że zatrudnieni tam obecnie ludzie płacą za potknięcia i grzechy jej założycieli. Bo jak inaczej można było wytłumaczyć to, że stracili nagle oboje dyrektorów?

— Dzwon — rzucił, pędząc przez zatłoczoną ulicę.

James wyjął komórkę, wybrał numer i włączył głośnik. Gdy odezwał się kobiecy głos, spokojny i kompetentny, jak głos robota, poprosił do telefonu Toma Bricka.

— Mogę spytać, kto dzwoni?

James spojrzał na Andersona, a ten skinął głową.

— Herb Davidoff, zastępca redaktora naczelnego „Polityki Jak Zwykle”.

— Chwileczkę.

Anderson wyprzedził wlokącą się ciężarówkę. Wpadł na chodnik i zatrąbił klaksonem, rozpędzając przechodniów.

Spokojnie, powiedział bezgłośnie James.

— Panie redaktorze?

— Tak?

— Boję się, że pan Brick jest w tej chwili niedostępny...

— Proszę mu przekazać, że chcemy zacytować go w naszym głównym artykule — przerwał jej pospiesznie James. — Goni nas czas.

— Obawiam się, że nie mogę. Przełączę pana na pocztę głosową. Pan Brick sprawdza ją kilka razy dziennie.

— Bardzo dziękuję. — James rozłączył się i zerknął na przełożonego. — Co z jego domem? — Chodziło mu o dom w Wirginii, do którego Brick zawiózł Petera Marksa.

— Przekręć do TZTK, niech wyślą tam najlepszych. — Anderson dodał gazu.

TZTK, Tajny Zespół Techników Kryminalistycznych — James już wybierał numer.

Wtedy zadzwoniła komórka Andersona.

— Odbierz — rzucił Sam; nie był w nastroju do podejmowania biurowych decyzji.

— Szeffie? Mówi Michaelson. Jestem trzy ulice na południe od parku Founders w Wirginii. Policja znalazła przed chwilą ciało w Potomacu. To Dick Richards.

— Niech to szlag! Niech to szlag! — Anderson wprowadził samochód w kontrolowany poślizg, gwałtownie zawrócił i popędzili w przeciwnym kierunku.

•••

— Dlaczego centralną postacią tego trójprzymierza jest akurat Ben David? — spytał don Fernando.

— Zaczęło się od SILEX-u. — Bourne usiadł wygodniej na większej z dwóch sof. — W metodzie tej chodzi o selektywne wzbudzenie izotopów uranu światłem laserowym. Identyfikuje się potrzebny izotop, bierze się go na cel i wyodrębnia. Jeśli wszystko zadziała, proces ten będzie przełomem. Wytworzenie wzbogaconego uranu dla elektrowni atomowych będzie trwało nieporównywalnie krócej i kosztowało ułamek tego, ile kosztuje teraz. Problem polega na tym, że SILEX ułatwi również wytwarzanie uranu do broni jądrowej. Wyprodukowanie głowicy nuklearnej zajmie ledwie kilka dni.

— Ale metoda nie działa — zauważył don Fernando.

— GE kupiła prawa do SILEX-u w dwa tysiące szóstym, ale jak dotąd nie udało im się udoskonalić procesu.

Bourne spojrział przez okno na statki spacerowe płynące leniwie po rzece. Wydawało się, że zawsze wygląda ludzi żyjących spokojnym codziennym życiem, podczas gdy świat pędził ku krawędzi wojny.

— SILEX był tylko początkiem. Trzy lata temu Izraelczycy założyli podziemny ośrodek badawczy w pobliżu miasteczka Dahr El Ahmar. Strzeże go mała, elitarna grupa agentów Mossadu pod dowództwem pułkownika Ben Davida. To właśnie tam skierowała mnie Rebeka po tym, jak oberwaliśmy w strzelaninie w Damaszku półtora miesiąca temu. To było najbliższe bezpieczne schronienie, przynajmniej dla niej. Miała gorączkę, była ciężko ranna, nie mogła trzeźwo myśleć. Tym, że kazała mi lecieć do Dahr El Ahmar, naruszyła przepisy bezpieczeństwa Mossadu. Pułkownik kazał mnie zabić. Udało mi się uciec helikopterem, którym tam przylecieliśmy, i zaraz po starcie zobaczyłem bunkry. Resztę powiedziała mi Rebeka. Izraelscy naukowcy dokonali przełomu. Ich wersja SILEX-u działa.

Zapadła głęboka cisza. Don Fernando odchrząknął.

— Zaczekaj, chcę to dobrze zrozumieć: Ben David zgodził się sprzedać tę technologię Maceo Encarnacionowi?

— Chińczykom — odparł Jason. — Myślę, że Encarnación odgrywa w tym drugorzędną rolę, jest kimś w rodzaju pośrednika, który skontaktował Ben Davida z Chińczykami.

— Możliwe... — Zamyślony don Fernando postukał się palcem w czoło. — Ostatecznie SteelTrap zatrudnia niemałą grupę izraelskich techników. Ma wielu dużych klientów, w tym izraelski rząd, któremu sprzedaje opatentowane oprogramowanie komputerowe. — Pokręcił głową. — Nie rozumiem tylko, dlaczego Ben David chce zdradzić swój kraj.

— Bo dostanie za to trzydzieści milionów dolarów. Pomachaj takimi pieniędzmi przed nosem kogoś takiego jak on, niezadowolonego oficera, który zarabia pięćdziesiąt tysięcy rocznie, i wyzbędzie się wszystkich skrupułów.

— Trzydzieści milionów? Skąd to wzięłeś? Z powietrza?

— Tak jakby — odparł Bourne, bawiąc się komórką.

Don Fernando cicho zagwizdał.

— Nawet dla Christiena i dla mnie to góra pieniędzy. Pewnie nie mógł się oprzeć. — Usiadł ciężko na mniejszej sofie. — Sęk w tym, że utknęliśmy w pułapce. Kiedy tylko wyjdę na ulicę, Nicodemo zastrzeli mnie ze snajperki.

— Nie. To tradycjonalista, zabija gołymi rękami. To dla niego kwestia honoru. Strzał z dużej odległości nie da mu satysfakcji. Będzie chciał obciąć ci głowę.

— Pociuszające — mruknał don Fernando.

— Ale to działa na naszą korzyść. — Bourne znowu spojrział w okno, na prawy brzeg rzeki. — Muszę wciągnąć go na swój teren. — W oddali widział białą jak cukier kopułę bazyliki Najświętszego Serca na szczycie Montmartre. — Kiedy ostatni raz byłeś w Moulin Rouge?

• • •

Po wyjściu Hendricksa spojrzeli na siebie i Peter spytał:

— Dlaczego to zrobiłaś?

Soraya uśmiechnęła się i usiadła na brzegu łóżka.

— Nie ma za co.

— Mówiłaś poważnie?

Kiwnęła głową.

— Nie chcę odchodzić.

— Ze względu na mnie.

Wzruszyła ramionami.

— To taki straszny powód?

Peter przyjrzał się jej i wypił łyk wody z plastikowego kubka. Nad czymś się zastanawiał.

— Zadaję sobie jedno pytanie... Okłamywałaś mnie.

— Tylko coś zataiłam, to nie to samo.

— Jeśli nie możemy sobie zaufać, jaki sens zostawać razem?

— Och, Peter... — Soraya nachyliła się i pocałowała go w policzek. — Ufam ci, powierzyłabym ci moje życie. Tylko... — Uciekła wzrokiem w bok. — Tylko nie chciałam, żeby ktoś dowiedział się o mojej ciąży. Bałam się, że to narazi na szwank moją pozycję.

— Myślałaś, że powiedziałabym Hendricksowi?

— Nie, ale... Naprawdę nie wiem, co myślałam. — Dotknęła zabandażowanej głowy. — Chyba mnie zaćmiło.

Peter wziął ją za rękę i przepełnieni emocjami umilkli. Po korytarzu jeździły wózki, biegały pielęgniarki, wzywano lekarzy. Wszystko to należało do świata niemającego z nimi nic wspólnego.

— Chcę ci pomóc — powiedziała w końcu Soraya.

— Nie potrzebuję pomocy.

Jednak była to tylko spontaniczna, odruchowa reakcja i oboje o tym wiedzieli. Ta wiedza przełamała nowo powstałe lody i powrócili do czasów, kiedy byli sobie bliżsi niż brat i siostra, kiedy wszystkim się dzielili.

Soraya nachyliła się ku niemu i cichym, łagodnym głosem opowiedziała mu o tajnej misji, którą powierzył jej sekretarz obrony.

— Posłuchaj — zakończyła — Charles nie żyje i sprawa jest zamknięta, ale ten romans był pomysłem Hendricksa. Przyszedł do mnie, powiedział, że chodzi o bezpieczeństwo kraju, i poczułam, że... że nie mogę odmówić.

— Nie powinien był cię o to prosić.

— Rozmawiałam z nim o tym. Wie, że przekroczył granicę.

— A jednak to zrobił i zrobi ponownie, oboje o tym wiemy.

— Pewnie tak.

— Co mu powiesz następnym razem?

Soraya dotknęła brzucha.

— Teraz muszę myśleć o dziecku. Będzie zupełnie inaczej.

— Myślisz?

Spojrzała w dal.

— Masz rację. Nie wiem.

Peter ścisnął jej rękę.

— Nikt tego nie wie i nie będzie wiedział bez względu na okoliczności.

Jej usta wykrzywił słaby uśmiech.

— To prawda. — Objęła go. — Przepraszam, Peter, strasznie mi przykro.

— Nie przepraszaj. Nic nie dzieje się bez powodu.

Wyprostowała się.

— Naprawdę tak myślisz?

Roześmiał się smutno.

— Nie, ale kiedy tak mówię, mam lepszy humor.

Przyjrzała mu się uważnie.

— Będzie ciężko, nawet jeśli odzyskasz władzę w nogach.

— Wiem.

— Ale będę przy tobie.

— Wiem. — Westchnął. — Pewnie skierują mnie na badania psychologiczne, żeby sprawdzić, czy nadaję się do pracy.

— To co? Mnie już skierowali. Nadajemy się. Koniec i kropka.

Znowu zapadła kojąca cisza. Po jego policzku spłynęła łza.

— Cholera — mruknął i Soraya ścisnęła jego rękę.

- Powiedz coś. Coś optymistycznego.
- Zaczniemy od Jasona Bourne'a, od tego, jak możemy mu pomóc.

Rozdział 26

La Goulue była pierwszą słynną królową kankana w Moulin Rouge. Co wieczór wślizgiwała się tam dobrze ukrytą, prawie nikomu nieznaną *entrée des artistes*, małą klatką schodową prowadzącą do nieba z brudnych nizin Montmartre. Mocno wytarte schody, którymi przez ponad sto lat wchodziły pokolenia tancerek i artystów kabaretowych, zostały w końcu zastąpione nowym wejściem. Jednak don Fernando wiedział nie tylko to, że te stare w ogóle istnieją, ale i że jest to doskonała droga do cudownego wnętrza Moulin Rouge, gdy zawiodą wszystkie pozostałe albo gdy w przerwie między występami któraś z jego znajomych tancerek zechce przemycić go za kulisy, aby z nim pofiglować.

Zadzwoił do swojej obecnej znajomej, girlsy imieniem Cerise, zapewniając Bourne'a, że można jej całkowicie zaufać.

Kilka minut po ósmej wieczorem wyszli z domu. Na dole czekał samochód z szoferem z jego ulubionej firmy.

— Powiedz mu, że się rozmyśliłeś — rzucił Jason.

Gdy don Fernando odprawił samochód, bez żadnego incydentu przeszli mostem na prawy brzeg Sekwany.

— Nie widzę go — powiedział Herrera.

— I nie zobaczysz — odparł Bourne. — Ale jest bardziej niż prawdopodobne, że przekupił kogoś z tej firmy samochodowej.

Aby uniknąć tłumów, poszli na przystanek taksówek *tête de station* przed Hôtel de Ville. Wsiedli, don Fernando podał kierowcy adres i mercedes włączył się do ruchu.

— Jesteś bardzo pewny siebie — rzucił Herrera.

— Pewność siebie opłaca się tylko w jednym przypadku — odparł Bourne. — Kiedy krok za krokiem idzie się w ciemności.

— Nie pytałem cię o tę dziewczynę z Mossadu... — powiedział don Fernando, patrząc na tył głowy taksówkarza.

— O Rebekę. Ścigaliśmy tego samego człowieka, Semida Abdul-Qahhara, przywódcę Meczetu w Monachium i członka Bractwa

Muzułmańskiego. Połączyliśmy siły, pomagaliśmy sobie. Była porządną dziewczyną. Chciała dobrze, chociaż mogli wyrzucić ją za to z Mossadu.

Don Fernando westchnął.

— Dobro kosztuje, pytanie tylko ile. — Potarł pięścią policzek. — Za zło też się płaci. Takie jest życie.

— Zwłaszcza nasze.

Musieli przerwać, bo wpadł na nich jadący z tyłu samochód. Poruszali się wolno i szkody były zapewne niewielkie, mimo to taksówkarz przesunął dźwignię biegów na parkowanie, wysiadł i wdał się w kłótnię z kierowcą wozu, który spowodował stłuczkę.

— Wysiadaj! — syknął nagle Bourne, próbując wypchnąć Hererę z samochodu. — Szybko!

Pociągnął za klamkę, ale zamek był zablokowany. Kierowca stojącego za nimi samochodu podał taksówkarzowi małą paczuszkę.

Jason skoczył do przodu, chcąc precyzyjnie się między fotelami, lecz w tym samym momencie ktoś otworzył drzwi i wycelował w niego z SIG-a.

— Teraz już nie uciekniecie. — Nicodemo usiadł za kierownicą.

Dał znak i taksówkarz wrócił. Wciąż trzymając ich na muszce, otworzył centralny zamek. Taksówkarz szarpnął za klamkę tylnych drzwi i plastikowymi kajdankami skuł im z tyłu ręce, najpierw Bourne'owi, potem Hererze.

— Do bagażnika z nimi — rozkazał Nicodemo.

— Za mocno mnie pan stuknął, klapa się zablokowała.

— Dobra, to zmiataj.

Taksówkarz zamknął drzwi i wsiadł do stojącego za nimi samochodu.

Nicodemo uśmiechnął się do nich.

— Teraz nadejdzie prawdziwa ciemność, Jasonie.

Bourne milczał. Sprawdzał wytrzymałość plastikowych kajdanek. Nie, bez pomocy nie dałby rady ich zdjąć.

Nicodemo położył pistolet na siedzeniu pasażera.

— Na rzeź — dodał, obserwując ich w górnym lusterku — o wiele łatwiej prowadzi się zwierzęta oswojone niż dzikie.

•••

— Kiedy tu jechałem, przydarzyło mi się coś zabawnego — powiedział Anderson. — A raczej dziwnego.

— Naprawdę?

— Z Potomacu wyłowiono ciało, właśnie stamtąd wracam. Leżało w wodzie najwyżej parę godzin.

Tom Brick, który siedział swobodnie przy dużym męskim biurku w wielkim narożnym gabinecie na najwyższym piętrze siedziby Core Energy, rozłożył ręce.

— Tak? No i co?

— Ofiara została dwa razy dźgnięta nożem w bok.

— Co to ma wspólnego ze mną?

— On pyta: „co to ma wspólnego ze mną” — powtórzył Anderson, stojąc z Jamesem na środku gabinetu; Brick nie poprosił ich, żeby usiedli. Gdy okazali dokumenty falandze sekretarek, sekretarzy i asystentów i gdy w końcu ich tu wprowadzono, okazało się, że szef Core Energy konferuje z mężczyzną, który siedział teraz na sofie naprzeciwko biurka. Anderson spojrzał na jego ogoloną, starannie wypielęgnowaną twarz i przeniósł wzrok z powrotem na Bricka. — Ciekawi mnie, dlaczego nie spytał pan o nazwisko ofiary.

Brick spojrzał na niego oczami martwej ryby.

— Jego nazwisko mnie nie interesuje.

— Jego? Powiedziałem tylko „ofiary”.

— Niech pan nie bawi się ze mną w *Agentów NCIS*.

— Ale i tak panu powiem, bo go pan znał. To Dick Richards.

Brick znieruchomiał. Nagle wstał i wskazał mężczyznę na sofie.

— Chyba pora już, żebyście się poznali. To jest mecenas Bill Pelham.

— Ten od Pelhama, Noble’a i Gunna?

Brick nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Ten sam.

Kancelaria Pelham, Noble i Gunn należała do najbardziej uznanych w Waszyngtonie. Jej klientami było wielu prezydentów, byłych prezydentów i senatorów, nie wspominając o dyrektorze FBI, burmistrzu i najwyższych oficerach policji dystryktu. Dzięki znajomościom w miejscach najświętszych ze świętych miała wielkie wpływy. Był to niespodziewany atak z flanki i Anderson robił, co mógł, aby go zignorować.

— Tak czy inaczej, musimy porozmawiać.

— Nie będzie żadnych rozmów. — Pelham wstał. — Ani teraz, ani nigdy.

•••

— Nie znoszę trzech rzeczy — mówiła Ann Ring. — Zamętu, komplikacji i udawania.

Wokół nich, w przestronnej postmodernistycznej restauracji, którą wybrał Li Wan, pobrzękiwały sztucze i kieliszki. Od czasu do czasu ktoś podnosił głos w towarzyskiej sprzeczce. Pograżeni w rozmowach przez telefon goście nie zwracali uwagi na nic i na nikogo.

Ann spojrzała w jego obsydianowe oczy.

— Niestety, życie jest tego pełne. — Uśmiechnęła się pąsowymi ustami. — Lubię schludność, a przynajmniej schludne początki.

Li pochylił głowę.

— Podobnie jak ja, pani senator.

— Mimo to oboje trafiliśmy do Waszyngtonu. — Śmiała się przyjemnym śmiechem, który odprężał i uspokajał słuchacza.

Ale z Li Wanem nie poszło jej tak łatwo.

— Życie w ośrodku władzy jest jak życie w burzy magnetycznej. — Li upił łyk wina. — Ekscytujące i dezorientujące zarazem.

— Tak jak w Pekinie? — spytała i zrugła siebie w duchu, widząc jego minę.

— Nie wiem. — Wan z przesadną ostrożnością odstawił kieliszek. — Nigdy tam nie byłem. Czyżby myślała pani, że...

— Tysięczne przeprosiny, panie Li. Nie chciałam pana...

— Ależ oczywiście. — Wan zbył jej słowa machnięciem ręki. — Śmiem przypuszczać, że Pekin jest dla mnie równie obcym miastem, jak dla pani.

Ann roześmiała się cicho.

— Kolejna rzecz, która nas łączy.

Li sondował ją niezgłębionymi oczami.

— Wspólnota dusz to rzadkość, zwłaszcza w burzy magnetycznej.

— Całkowicie się z panem zgadzam. — Ann zajrzała do menu, dużej, sztywnej podwójnej karty z nazwami posiłków wydrukowanymi czcionką imitującą odręczne pismo.

— Co zamówimy? — spytała, ukrywając twarz za jadłospisem.

— Proponuję stek — odparł, nie zaglądając do swojego. — A na początek sałatkę Cezara.

— Do tego szpinak i krążki cebuli?

— Czemu nie?

Dopiero odłożywszy menu, zobaczyła, jak uważnie się jej przygląda. „Pamiętaj — ostrzegł ją Hendricks — to bardzo niebezpieczny człowiek. Na pierwszy rzut oka bardzo skromny i nierzucający się w oczy, ale to tylko pozory”.

Li przywołał kelnera i zamówił. Kelner zabrał menu i odszedł.

— Dzisiejszy wieczór przypomina mi ciekawą historię — powiedział Wan, gdy zostali sami. — W Chicago żył kiedyś pewien biznesmen. Ożenił się z kobietą, która miała głowę na karku tak zmyślną, że idąc za jej radami, podwoił, a wkrótce potroił wielkość swojej firmy. Oczywiście bardzo się z tego cieszył. Ponieważ interes kwitł, jego pozycja w miejscowej społeczności szybko rosła. Służył swoją opinią w sprawach związanych z fuzją spółek, udzielał rad. Za każdym razem konsultował się z żoną i jej wskazówki przynosiły mu coraz większą sławę i bogactwo.

Dolał im wina.

— Jego znajomi i ci, którzy o nim słyszeli, zazdrościli mu pozycji i pieniędzy. Można by pomyśleć, że wiódł życie idealne. Ale nie, wprost przeciwnie. Był nieszczęśliwy. Zamiast ogrzewać jego łożę, żona ogrzewała inne.

Spojrzał na kieliszek.

— Pewnego dnia umarła, nagle i niespodziewanie. Biznesmen ją opłakiwał, ale bardziej niż żony żałował tego, że stracił tak cennego doradcę. Kilka tygodni później jego brat spytał: „Co teraz zrobisz?”. A on po namyśle odparł: „Będę robił to co zawsze z nadzieją, że mi się uda”.

Ann uśmiechnęła się beznamiętnie. Nie była to zwykła historyjka, którą Wan gdzieś usłyszał. Mógł nawet wymyślić ją na poczekaniu. Tak czy inaczej, coś ilustrowała: Li pytał ją o to, o co brat spytał biznesmena.

Celowo czy nie, wybrał idealny moment: podano sałatkę w białych ceramicznych miseczkach i zyskała trochę czasu, kosztując jej, prosząc o świeżo zmielony pieprz i dziękując kelnerowi.

— Podoba mi się pierwsza część jego odpowiedzi — powiedziała ostrożnie — ale druga już nie. Nie warto siedzieć z założonymi rękami i mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

— Wysłuchawszy tej historii, zastanawiałem się, kto tak naprawdę rządzi w rodzinie. Wygląda na to, że pozory często mylą.

Mówił o niej i Charlesie, dlatego postanowiła zignorować ukryte pytanie; wolała trzymać się planu. Zjadła trochę sałatki, rozgryzając czosnkowe grzanki jak kości.

— Jestem zaskoczona, że zna pan tyle szczegółów z naszego prywatnego życia.

Wan odłożył widelec.

— Niełatwo mi to mówić, pani senator, ale pani mąż nie był szczęśliwym człowiekiem.

Ann obserwowała go z enigmatyczną miną.

— Chce pan powiedzieć, nie był człowiekiem zadowolonym. — Uśmiechnęła się lekko. — To nie to samo.

Li po raz pierwszy okazał zdenerwowanie.

— Bardzo panią przepraszam.

•••

Niczym miniaturowe słońca, śmigają obok nich wspaniałe połączone latarnie na moście Aleksandra III i patrząc w okno, Bourne widział, że Nicodemo wiezie ich na lewy brzeg Sekwany. Chciał ich zabić i pewnie wybrał już jakieś miejsce. Jason nie zamierzał mu na to pozwolić.

Centymetr po centymetrze, przesunął się ostrożnie w lewo i gdy znalazł się dokładnie za nim, zaparł się plecami o oparcie. Podniósł nogi na wysokość jego fotela i gwałtownie je złączył, obejmując go za szyję.

Aby wyrwać się z uścisku, Nicodemo odruchowo wygiął się do tyłu. Wtedy don Fernando kopnął go w prawą skroń tak mocno, że zachybotła mu głowa.

Nicodemo pomacał na oślep w poszukiwaniu pistoletu, ale Jason, który wciąż trzymał go w żelaznym uścisku, szarpnął łydkami w lewo i mężczyzna uderzył ramieniem w niezablokowane drzwi. Drzwi się otworzyły.

Mercedes jechał teraz zygzakiem, coraz szerszymi zakosami i SIG spadł na podłogę. Roztrąbiły się klaksony, zapiszczały hamulce, opony zostawiały czarne ślady na biegnącej przez most jezdni. Nicodemo miał wytrzeszczone oczy: próbował się uwolnić, usiłując jednocześnie zapanować nad samochodem. Zwyciężył ślepy instynkt i chcąc się uwolnić, puścił kierownicę, lecz gdy znowu odchylił się do tyłu, nadepnął przypadkowo na pedał gazu. Mercedes wystrzelił do przodu, pędząc prosto na barierkę. Jego prędkość w połączeniu z wagą cisnęła go na chodnik i wbiła w prastarą, miejscami już nadwątloną kamienną balustradę.

Siła uderzenia rzuciła ich do przodu i Bourne rozluźnił uścisk, lecz ułamek sekundy później lekka ciężarówka, która próbowała ominąć korek, grzmotnęła ich w bok, wgniatając mercedesa w pękniętą balustradę.

Samochód przebił ją, zawisł nad rzeką z otwartymi drzwiami i runął w dół. Uderzył w wodę, która bezlitośnie wdarła się do środka, zalewając wnętrze i grożąc im śmiercią.

• • •

Ann zamruczała jak kotka i odsunęła miseczkę.

— Wie pan, pomyślałam właśnie, że nic o was nie wiem, o panu i Natashy Illion. Oczywiście nie licząc tego, co można przeczytać w „W”, „Vogue’u” i „Vanity Fair”, ale to tylko image, reklama.

Li uśmiechnął się. Wrócili na bezpieczny teren.

— Każde z nas prowadzi zupełnie inne życie. — Wzruszył ramionami.

— Ale kiedy się spotykacie... — Ann uśmiechnęła się leciutko. — Przepraszam.

— Tasha nie jest łatwym człowiekiem — ciągnął Li, jakby jej nie słyszał. — Izraelitki są opryskliwe i bezpośrednio, często denerwujące. Tak jak wszyscy jej rodacy, służyła w wojsku. Moim zdaniem to bardzo zmienia.

— Naprawdę? — Ann oparła łokieć na stole i wsparła podbródek na otwartej dłoni. — Pod jakim względem?

Kelner zabrał miseczki, zademonstrował im duże noże do steków i teatralnym gestem ułożył je na stole.

— Stała się nieufna, zamknięta w sobie. Uważa, że jej życie to jedna wielka tajemnica.

— A pana to intryguje i fascynuje, prawda?

Podano danie główne i przystawki. Wan posypał stek pieprzem, wziął sztucę i rozkroił mięso. Było krwiste, dokładnie takie, jakie zamówił.

— Jestem samozwańczym ksenofilem. Tak jak pani raczyła wspomnieć, fascynuje mnie wszystko to, co jest inne, egzotyczne i niepoznawalne.

— Sądzę, że nie ma nic bardziej egzotycznego niż izraelska modelka.

Wan żuł mięso powoli i dokładnie.

— Przychodzi mi na myśl kilka rzeczy, ale jestem całkiem zadowolony z tego, co mam.

— W przeciwieństwie do mojego zmarłego męża. — Ann przeciągnęła kilka krążków cebuli na chrupką skórkę steku. Nagle podniosła głowę i przeszła go wzrokiem. — Charlie zwierzał się panu ze swoich romansów.

To nie było pytanie i Li tego tak nie odebrał.

— Charles miał chyba niewielu przyjaciół, nie mówiąc już o powiernikach.

— Nie licząc pana. — Ann nie odrywała od niego oczu. — A powinien był zwierzać się mnie.

— Nie zawsze dostajemy to, co chcemy, pani senator. — Wan ujął zębami kawałek mięsa, przez chwilę delikatnie je żuł, po czym połknął. — Ale możemy próbować.

— Ciekawe, dlaczego wybrał akurat pana.

— To bardzo proste. Z kimś obcym łatwiej jest rozmawiać o intymnych sprawach.

Jednak Thorne wybrał go nie dlatego i oboje o tym wiedzieli. Ta zgodna z chińskim zwyczajem okrężna konwersacja zaczynała ją nużyć. Chociaż Li był z urodzenia Amerykaninem, pod tym względem zachowywał się w sposób bardzo tradycyjny. Może Chińczycy, myślała, krążą słownymi ścieżkami po to, by zmęczyć rozmówcę, zmiękczyć go przed rozpoczęciem właściwych negocjacji.

— Nie wierzę. Dzieliliście się sekretami.

— Tak — odparł. — To prawda.

Była tak zaskoczona tym odważnym wyznaniem, że przez chwilę nie mogła oddychać.

— Zawarliśmy układ, pani senator. Układ obopólnie korzystny.

Ann nawet nie mrugnęła.

— Słucham.

— Wydaje mi się, że słuchała pani przez cały wieczór.

Ann roześmiała się śmiechem suchym jak drewno.

— W takim razie chyba się rozumiemy.

Wan lekko pochylił głowę.

— Ale się nie znamy. — Podkreślił tę różnicę subtelnie, lecz wyraźnie.

— Owszem, nie uszło to mojej uwagi. — Ann uśmiechnęła się; miała nadzieję, że bez cienia fałszu. — Dlatego chciałabym coś panu dać.

Li siedział zupełnie nieruchomo, ani spięty, ani odprężony. Po prostu czekał.

— Coś cennego, coś, co to naprawi. — Wyjęła z torebki małą złotą kopertę i położyła ją na stoliku.

Li patrzył jej prosto w oczy. Dopiero po dłuższej chwili spuścił wzrok. Wziął kopertę, otworzył ją i wyjął pojedynczą kartkę, kopię oficjalnego dokumentu. Jak przyciągnięte magnesem, jego oczy powędrowały w stronę pieczęci na górze kartki.

— To... potworne — wymamrotał. — To jakiś obłąd... — Pod linią jego starannie uczesanych włosów pojawiły się krople potu. Spojrzał jej w oczy.

— Pańska ukochana Tasha jest nie tylko piękna, panie Li — powiedziała Ann. — Jest również bestią. Agentką Mossadu.

• • •

Złożywszy się wpół, Bourne wypłynął za Nicodemem przez otwarte drzwi, ale musiał natychmiast zawrócić, żeby pomóc Hererze, który utknął między przednimi fotelami. Jason miał skrępowane z tyłu ręce, więc pociągnął go zębami za koszulę. Wdzięczny za pomoc don Fernando dalej poradził sobie sam.

Pod wodą było ciemno, dlatego żeby się nie zgubić, przywarli do siebie plecami i splekli dłonie. Gdy wypłynęli na powierzchnię, usłyszeli przeraźliwe krzyki przechodniów na moście i dochodzące z oddali wycie syren. Bourne skierował się w stronę olbrzymich podpór, grubych i porośniętych czarno-zielonymi wodorostami. Pod wodorostami czały się pąkle w ostrych jak brzytwa skorupach. Oparłszy się plecami o podporę, Jason potarł o nie plastikowymi więzami.

Don Fernando spokojnie pływał w miejscu tuż obok niego.

— Jeszcze chwila — rzucił Bourne.

Hererra kiwnął głową. I gdy Jason chciał podać mu rękę, coś wciągnęło don Fernanda pod wodę.

Nicodemo!

Bourne odbił się od podpory i zanurkował z potężnym wyrzutem nóg. Jak rekin wyczuł obecność miotającego się Hererry i gwałtowne ruchy atakującego go Nicodema. Wymacawszy ręce przyjaciela, przeciął krępujące go więzy zerwaną z podpory skorupą i pchnął do góry.

Ten manewr dużo go kosztował, bo Nicodemo wykonał pod wodą zwrot i zadał mu cios w skroń. Bourne zdryfował w bok i z jego ust wypłynął strumień pęcherzyków powietrza. Nicodemo uderzył ponownie, tym razem w splot nerwowy na szyi i Jason omal nie stracił przytomności. Próbował się poruszyć, lecz mięśnie odmówiły

posłuszeństwa. Wyczuwając, że Nicodemo skrada się od tyłu, chciał go kopnąć, lecz w tej samej chwili na jego szyi zacisnął się śliski sznur. Paliło go w płucach, bolało gardło. Nicodemo wyciągnął rękę, zamierzając zmiażdżyć mu grdykę. Gdyby jego plan wypalił, Jason utopiłby się w ciągu kilku sekund.

Czuł, że powoli traci świadomość, czuł też dotyk ostrej muszli w dłoni, zastanawiał się tylko, czy będzie miał siłę jej użyć. Ucisk na grdykę był nie do zniesienia. Wiedział, że Nicodemo lada chwila ją przebije, a wtedy woda wedrze się do gardła, do żołądka i płuc, a on jak liść opadnie na muliste dno rzeki.

Z ogromnym wysiłkiem dźwignął rękę. Wszystko poruszało się jak w zwolnionym tempie, chociaż część mózgu zdawała sobie sprawę, że czas ucieka o wiele za szybko. Skupiając się na tym, jeszcze mocniej zacisnął palce na ostrej muszli i zatoczywszy ręką łuk, przeciągnął ją najpierw przez jedno oko przeciwnika, potem przez drugie.

Buchnęły kłęby krwi. Nicodemo konwulsyjnie, z nieczłowiecką wprost siłą zacisnął sznur, omal nie pozbawiając go przytomności. Ale muszla cięła ponownie, tym razem w szyję, od lewej strony do prawej.

Wyłynęły woale krwi, czarniejszej niż rzeczna woda. W przebłysku dochodzącego z mostu światła Nicodemo otworzył i zamknął usta. Potem zwolnił uścisk i z ramionami rozłożonymi w geście straszliwej tęsknoty zniknął z kręgu mdłego światła, pogrążając się w brudnych głębinach Sekwany.

Rozdział 27

Gdy gibka stewardesa cicho jęknęła, Maceo Encarnación pchnął jej głowę między nagie ramiona, odsłaniając delikatny kark i długą szyję. Jej zmięty żakiet leżał na podłodze, cienka perłowobiała bluzka była rozpięta do pasa, dając mu dostęp do rozkołysanych piersi. Wąską, obcisłą spódnicę miała podwiniętą na biodra, figi spuszczone do kostek.

Encarnación dźgał ją rytmicznie od tyłu, a przed oczami przesuwaly mu się obrazy starych azteckich bogów i bogiń Tenochtitlanu, w tym tej najważniejszej, Tlazolteotl, bogini przyjemności i grzechu. Bano się jej i ją kochano. Bano się dlatego, że kojarzyła się z ofiarami z ludzi. Kochano, ponieważ poprawnie wezwana pożerała grzechy i jej poddani mogli żyć dalej z nieskazitelnie czystą duszą.

Ale myśląc o niej, don Maceo zawsze widział nie jej kamienne czy nefrytowe posążki w Muzeum Narodowym, tylko Constanzę Camargo. Bo tylko ona potrafiła pożreć jego liczne, jakże liczne grzechy, oczyścić go i ponownie scalić. Jednak Constanza wiele razy dawała mu do zrozumienia, że tego nie robi. Grzech, który popełnił, był tak wielki, że nie pożarłaby go nawet Tlazolteotl, prastara i potężna.

Dźgnął stewardesę ostatni raz i drżąc, opadł spocony na jej nagie plecy. Walilo mu serce, czuł ostry ból wewnętrznego rozkładu, bezbrzeżną pustkę, która nadciągała jak armia wiecznej nocy, nieprzejednana i przerażająca. Jedyłą rzeczą, jaka napawała go grozą, była otchłań, wiekuista nicość. Nie dla niego była msza, puste komunały cotygodniowych kazań, zdradziecka strawa duchowa „Boskiego planu”. Bóg nie miał żadnych planów, Bóg nie istniał. Istniał tylko służalczy strach przed nieznanym i niezgłębionym.

W tych nieznośnie długich i pustych chwilach po spełnieniu tęsknił za Constanzą jak za nikim innym. To, że nie mógł jej mieć, że był jak na wygnaniu, napełniało go bólem, którego nie mógł umiejscowić ani wyleczyć. To, że była to kara, że na nią zasługiwał, nie znaczyło, że łatwiej go znosił. Przeciwnie, ten ból doprowadzał go do wściekłości. Na nic całe bogactwo, jego mroczne wpływy i destrukcyjna władza. Dla Constanzy Camargo równie dobrze mógł być najnędzniejszym

zebrakiem z jakiegoś zadupia, włóczęgą w uwalanej łąnem koszuli, kimś biednym i odrażającym. Nie mógł się jej przypochlebić ani do niczego zmusić, w żaden sposób nie mógł jej dosięgnąć.

Cofnął się i zapiął spodnie. Czuł się lepki i spocony. Pachniał intymnymi częściami ciała stewardesy. A ona ubrała się przodem do obitego tkaniną przepierzenia i nie oglądając się przez ramię, odeszła na długich, sprężystych nogach, by zająć się swoimi sprawami.

Patrząc na przepierzenie, zobaczył plamę w miejscu, gdzie popychana siłą jego dźgnięć opierała wilgotne czoło. Uśmiechnął się i pieszczotliwie przesunął po niej palcami. Był to znak uległości, znamię grzechu.

Constanza Camargo też miała znamię: grzechu wielokrotnej zdrady. Tydzień po śmierci męża spadła ze schodów w swoim domu, po tym, jak w środku nocy zbudził ją upiorny głos Aceveda, wytwór jej wyobraźni albo nocny koszmar. Źle postawiła swoją piękną bosą stopę i spadła.

Czołgając się po dywanie, dotarła do telefonu i zadzwoniła do niego. Ich romans już dawno się wypalił i nie kontaktowała się z nim od wielu miesięcy. Ale on nie wahał się ani chwili. Znalazł dla niej najlepszego neurochirurga w kraju, który szybko zoperował przepuklinę kręgosłupa powstałą na skutek upadku. Niestety, jak ma to miejsce w nielicznych przypadkach, rozwinęła się neuropatia obwodowa, bolesne, nieuleczalne zwyrodnienie. I teraz wózek nieustannie przypominał jej o tym, że zdradziła Aceveda, swojego męża. Pożądanie skrzyżowało się z przeznaczeniem i je zmieniło.

A co się stało z chirurgiem, który ją operował? Pół roku po tym, gdy oznajmił, że jej stan jest nieodwracalny, pojechał na tydzień do Punta Mita z kochanką. Młody człowiek, który mglistym rankiem poszedł pobiegać po plaży, znalazł dwie ludzkie głowy, gładko odcięte od ciała. Policja myślała początkowo, że należą do handlarza narkotyków i jego metresy, że to członek gangu, który próbował rozkręcić interes na wrogim terenie. Gdy ich w końcu zidentyfikowano, władze nie mogły się doszukać żadnego motywu, nie mówiąc już o tym, że nie miały pojęcia, kim może być sprawca. Incydent pogrzebano pod stertą papierów i szybko o nim zapomniano.

Encarnación wrócił myślą do terażniejszości. Spojrzał na zegarek, minął w przejściu stewardesę, która zaczęła już przygotowywać kolację, i zajrzał do kabiny, gdzie pilot i nawigator słuchali *cumbii* na iPodach, czekając na rozkazy. Pilot zauważył go jako pierwszy i wyjął z uszu słuchawki.

— Już pora — rzucił don Maceo.

Pilot spojrział na niego z niemym pytaniem w oczach. Wiedział, że Nicodemo jeszcze się nie pokazał.

Encarnación skinął głową.

— Pora — powtórzył. Wrócił do fotela, usiadł i zapiął pas, słysząc, jak piloci sprawdzają listę startową.

Pilot wywołał wieżę, zameldował się, odebrał stosowne wskazówki i samolot pokołował na start.

•••

— Szczerze mówiąc, nie wiem, dlaczego tu jestem.

Generał Hwang Liqun rozejrzał się po apartamencie Yanga Deminga. Starzec był największym mistrzem feng shui w Pekinie i jako taki cieszył się ogromnym wzięciem. Generał był cokolwiek zaskoczony, że siedzi w przestronnym salonie w ultranowoczesnym wieżowcu w pobliżu stacji metra Dongzhimen. Mieszkanie, pełne lśniących powierzchni, wypolerowanego na błysk drewna, marmuru, lazurytu i nefrytu, tonęło w refleksach światła. Za oknem, w brązowym pekińskim smogu przypominającym zastygłą w czasie burzę piaskową znad pustyni Gobi, majaczyła sylwetka CCTV, gmachu zaprojektowanego przez Rema Koolhaasa.

Generał nigdy by się do tego nie przyznał, ale zaimponowało mu to, że Yang Deming raczył przyjąć Maricruz — w dodatku prawie bez uprzedzenia! Tak, oczywiście, Maricruz była żoną ministra Ouyanga, ale była również cudzoziemką, chociaż jej znajomość delikatnych zawłości i niuansów języka mandaryńskiego znacznie przewyższała biegłość tych, z którymi miał na co dzień do czynienia.

— Myślę — powiedziała, przyjmując z poprzecinanej niebieskimi żyłkami chudej ręki starca filiżankę żelaznej guanyin — że dobrze pan wie, dlaczego tu pana zaprosiłam.

Yang Deming uśmiechnął się, skinął głową i ku zdumieniu generała ucałował ją w policzki. Potem wyprostował się jak papierowy bocian origami i na bosaka wyszedł z salonu.

Maricruz wskazała mały, pękaty czajniczek.

— Nie przyłączy się pan do mnie?

Generał kiwnął głową sztywno i oficjalnie, co wskazywało, że czuje się nieswojo. Przyjął poczęstunek i przez jakiś czas w milczeniu pili

herbatę. Rosło napięcie, cisza się przedłużała. Wreszcie powiedział:

— Czy zechce pani...

Przekroczył już sześćdziesiątkę i był dwadzieścia lat starszy od Ouyanga. Ich przyjaźń zrodziła się z konieczności, która stopniowo ukształtowała swoje aż nadto realne granice. Łączyła ich głęboko zakorzeniona praktyczność, istotny trend we współczesnych Chinach, oraz wizja kraju w nadchodzących stuleciach. Jednak tym, co łączyło ich najbardziej, było znaczenie nowych, innowacyjnych źródeł energii i przekonanie, że szukać ich należy w Afryce, na kontynencie, który dzięki ich wysiłkom szybko stawał się chińskim bastionem. Oczywiście napotykali na swej drodze przeszkody zagrażające zarówno ich ambicjom, jak i samym Chinom. Ta największa i najbliższa była powodem, dla którego organizując to spotkanie, Maricruz wybrała tak nietypowe miejsce: o ich rozmowie nie mógł dowiedzieć się żaden z pekińskich polityków.

— Spotykamy się w tym całkowicie bezpiecznym i względnie odosobnionym miejscu z powodu Cho Xilana — zaczęła.

Cho był aktualnym sekretarzem partii w potężnym Chongqing. Po ostatnim posiedzeniu Komitetu Centralnego zaczął otwarcie atakować status quo, twierdząc, że natarczywe żądania zwiększenia obecności Chin za granicą doprowadzą do rozkładu ideologii komunistycznej. Przez „zagranicę” rozumiał Afrykę i głosząc takie poglądy, rzucił jawne wyzwanie ministrowi Ouyangowi i generałowi Liqunowi. Postanowił trzymać się linii partyjnej kładącej akcent na potrzebę „budowania umiarkowane zamożnego społeczeństwa, podążającego drogą socjalizmu”. Chciał w ten sposób uniknąć niepokojów kulturowych poza granicami Państwa Środka, ekonomicznej przepaści między wyższymi i niższymi klasami.

— Nadchodzi wojna, panie generale.

— To są Chiny. Tu nie ma wojen domowych.

— Czuję to w kościach.

— Naprawdę? — spytał generał z uśmiechem pełnym szyderstwa i wyższości.

— Pochodzę z kraju skąpanego we krwi wojen klasowych.

Uwaga ta tylko ten uśmiezek utrwaliła.

— A więc o to chodzi w handlu narkotykami? — Hwang Liqun roześmiał się kąśliwie. — O walkę klas?

— W Chinach handel narkotykami zainicjowali obcokrajowcy, narzucając się ludności wybrzeża, uzależniając ją od owoców maku.

Natomiast my, Meksykanie, kontrolujemy nasz handel od samego początku. My sprzedajemy go cudzoziemcom i wydajemy pieniądze na obronę przed niemającą końca korupcją władz stanowych i *federales*. Urodziliśmy się w nędzy. Jedliśmy ziemię ze skrawkami tego, co udało nam się splądrować, lecz z każdym oddechem marzyliśmy o wolności. Teraz, gdy wreszcie nadeszła, nie wiemy, jak ją utrzymać. Czy może pan powiedzieć to samo o Chinach, generale?

Hwang Liqun siedział sztywno, patrząc na to piękne, jednocześnie potworne stworzenie, które rzucało mu wyzwanie niczym bogini półświatka. Skąd ona się wzięła? — myślał. Gdzie Ouyang ją znalazł? On i Ouyang byli przyjaciółmi, tak, ale przyjaźń miała swoje granice, obszary, gdzie nikt nie powinien się zapuszczać. Właśnie dlatego generał tak mało o niej wiedział, choć wiele razy spotykali się na bankietach, oficjalnych przyjęciach, a nawet prywatnych kolacjach. Jednak nic, co zauważył podczas tych spotkań, nie wskazywało, że Maricruz jest zdolna do prowadzenia takich rozmów. Co Ouyang powiedział żonie o ich planach? Skąd miał pewność, że można jej zaufać? Ouyang nie ufał nikomu oprócz niego.

Założył, że zaprosiła go na spotkanie na polecenie męża i że nie straci twarzy, godząc się tu przyjść. Teraz zrozumiał, że Maricruz, mocno i nierozzerwalnie związana z interesami ministra, a tym samym jego własnymi, przemawia w imieniu Ouyanga, że przyjaciel wysłał ją w charakterze emisariuszki, ponieważ stawka jest wysoka, a wojenna strategia zbyt wąta, by ryzykować wpadkę. Maricruz była cudzoziemką, dlatego współpracownicy ministra, a co ważniejsze, jego wrogowie, ignorowali ją i mieli w pogardzie. Tak, zasługiwała na zaufanie, z czego generał bardzo się cieszył.

— Żałuję, ale nie. Proszę kontynuować.

Dolała im herbaty.

— Ponad pięć lat temu pan i minister Ouyang przeforsowaliście projekt budowy infrastruktury i dróg w Kenii. Widzieliście w tym kraju źródło nieskończonego bogactwa i byliście zdecydowani opanować je dla naszych rosnących potrzeb energetycznych. Minister przewidywał, że Kenijczycy nie zapytają o cenę czegoś, czego tak rozpaczliwie potrzebowali, i miał rację. Dzięki temu dostaniemy od nich to, co zechcemy: diamenty, rudę uranu i ziemie rzadkie.

Generał kiwnął głową.

— Tak, to było ryzykowne przedsięwzięcie, ale, jak się okazało, bardzo opłacalne.

— Mimo czekających nas w przyszłości niezwykłych zysków — ciągnęła Maricruz — nadgorliwy Cho Xilan robi wszystko, by je zminimalizować. Przez niego Zimbabwe wciąż czeka, aż Chiny spełnią obietnicę i ulepszą tamtejszą infrastrukturę, a Gwinea zastanawia się, czy przekazać nam prawa do eksploatacji złóż ropy naftowej w zamian za dziewięć miliardów dolarów, które mielibyśmy zainwestować w budownictwo, transport i przedsiębiorstwa użyteczności publicznej. Wszystko przez Cho, który wzywa do odwrotu, żeby, jak to ujął, Chiny „posprzątały we własnym domu”, chwyciły nową miotłę i zmiotły nią skorumpowanych i zasiedziały hierarchów politycznych. — Pokręciła głową. — Strzela do was waszą własną amunicją. Znalazł kilku afrykańskich polityków, którzy podbierają pieniądze i chowają je do własnej kieszeni.

— Tak robi się tam interesy — powiedział lekko poirytowany generał. — To nic nowego.

— Tylko że Cho przedstawił dowody Komitetowi Centralnemu i wszystkie inwestycje zostały wstrzymane, prawda? Zbił na tym kapitał polityczny.

Aby ostudzić atmosferę, Maricruz upiła łyk herbaty i odstawiła pozbawioną uszka filiżankę.

— Przepraszam, że mówię prosto z mostu, panie generale, ale nie mamy czasu. Prawda jest taka, że Cho chce powrotu do epoki Mao, powrotu naczelnego wodza, uczciwego, sprawiedliwego i dogmatycznego. Chce władać całymi Chinami, rządzić żelazną ręką.

Generał też wypił łyk herbaty, żeby uspokoić skołatany umysł. Myśli i koncepcje ścigały się w jego głowie jak ławice ryb na rafie koralowej. W końcu powiedział:

— Dla potrzeb naszej rozmowy załóżmy, że zgadzam się z tą pesymistyczną oceną sytuacji.

— Proszę wysłać do Libanu oddział komandosów Ouyanga. Nasz projekt wkroczył w fazę końcową. Ilość energii, jaką zyskają Chiny, jest wręcz nieobliczalna. Cho nie chce, abyście zdobyli taką władzę. — Przeorała mu wzrokiem twarz. — Zrobi wszystko, żeby projekt nie doszedł do skutku.

Oczy generała zaszyły mgłą, jakby stracił zainteresowanie.

— Wszystko to jest mi znane — powiedział. — Ośrodek w Libanie jest wystarczająco zabezpieczony. Zgodziliśmy się co do tego wiele miesięcy temu.

— Sytuacja uległa zmianie — zauważyła Maricruz.

Hwang Liqun przekrzywił głowę i jeszcze bardziej zmarszczył czoło.

— Pod jakim względem?

— Pojawił się Jason Bourne.

Generał cicho wypuścił powietrze.

— Tak. Podróżował z agentką Mossadu. Ale to nic nie znaczy. — Jego ręka przecięła powietrze w geście podkreślającym nieodwracalność tego, co powiedział. — Poza tym ona nie żyje.

— Bourne był już w Dahr El Ahmar i uciekł — drążyła niezrażona Maricruz.

— O tym też wiem. Pan minister poczynił niezbędne kroki, żeby usunąć go, gdyby znowu się tam pojawił.

— Rozumiem, że mówi pan o pułkowniku Ben Davidzie. Problem w tym, że Ouyang mu nie ufa.

To Hwanga zaskoczyło. W przeblysku olśnienia nareszcie zrozumiał, dlaczego minister przedsięwziął aż tak wyrafinowane środki bezpieczeństwa, każąc żonie przekazać mu to osobiście. Spojrzał jej w oczy. Miała rację, zostało im mało czasu. Umowę planowano sfinalizować za dziewięć godzin. Skinął głową.

— Natychmiast podpiszę rozkaz. Proszę przekazać Ouyangowi Jidanowi, że za godzinę na jego ludzi będzie czekał nieoznakowany samolot.

•••

— Dasz radę?

— Jestem stary, Jasonie, nie martwy. — Don Fernando spojrział w górę na tłumy gapiów i światła migoczące na moście Aleksandra III. — Policja urządziła niezłe przedstawienie.

— Musimy stąd zniknąć, zanim będzie ich więcej i ściagną pletwonurków. Popłyniemy w dół rzeki, do mostu Inwalidów. Widać go stąd, to niedaleko.

— Nic się nie martw, lubię pływać. Poza tym, nie ma to jak szybka ucieczka. Przypomina mi się moja zmarnowana młodość.

— To ruszajmy.

Bourne oderwał się od oślizgłej podpory, do której przywarli jak ślimaki; musieli uważać na skupiska pąkli żyjących tuż pod linią wodną. Powierzchnię rzeki przecinały reflektory, oświetlając miejsce, gdzie

utonął samochód. Wstrzymano ruch łodzi i statków. Nadpływały dwa policyjne kutry, pewnie z płetwonurkami.

Don Fernando bezszelestnie zsunął się do wody. Ramię w ramię popłynęli czarną rzeką, byle dalej od reflektorów, tłumów i coraz liczniejszych obserwatorów.

Na piechotę do mostu było niedaleko, ale woda bardzo ich spowalniała. Była zimna i przebywali w niej już od jakiegoś czasu. Dodatkowo obciążało ich nasiąknięte ubranie, nie chcieli jednak tracić czasu na rozbieranie się. Poza tym, nie mogli wyjść na brzeg w samej bieliźnie.

Bourne płynął szybko i ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że don Fernando trzyma tempo. Był stary, mimo to wciąż silny jak marlin. Im dalej w dół rzeki, tym bardziej oddalali się od jaskrawych reflektorów.

Ale niemal natychmiast napotkali inną trudność. Wpadli w objęcia grasujących za mostem prądów, które obracały nimi i spychały ich z kursu, a nawet wciągały pod wodę. Jason zaczynał tracić czucie w kończynach. Zlodowaciały mu czubki palców u rąk, przemarzły palce u nóg. Choć chronione przez skarpetki i buty, stopy były w wodzie, odkąd samochód wpadł do rzeki.

Powoli, jedno pociągnięcie ramienia za drugim, płynęli w kierunku mostu Inwalidów. W pewnej chwili Bourne odwrócił się, i w samą porę: Herrera zniknął właśnie pod powierzchnią wody. Jason chwycił go i doholował do podpory najbliższej brzegu.

Z głową na piersi don Fernando dyszał jak pływak, który właśnie pokonał kanał La Manche. Bourne objął go i podtrzymał.

— Musisz odpocząć. Jeszcze tylko kawałek.

— Jeszcze kawałek? Więc to nie koniec?

— Widzisz? — Jason wskazał brzeg. — W skarpie są schody, prowadzą do samej rzeki. Łatwo wejdziemy na górę.

Herrera pokiwał głową. Jego długie włosy zwisały jak grzywa z boku ściągniętej z wyczerpania twarzy.

— Jestem wykończony. — Trzęsły mu się ręce. — Chyba nie dam rady.

— Trochę odpoczniemy. Ty obejrzysz pokaz świateł na moście. Ja muszę zadzwonić.

To go ożywiło.

— Zadzwonić? Jak? Wszystko przemokło.

— Mam telefon satelitarny. — Jason sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął mały, podłużny aparat w gumowej obudowie. — Wodoszczelny.

W gardle Hererry zagulgotał śmiech. Pokręcił głową i gwałtownie się odwrócił. Długo milczał. Chlupotała omywająca podpory woda. Nocny wiatr niósł krzyki policjantów na przeszukujących rzekę łodziach.

— Ludzka rasa ma nieskończone zdolności racjonalizatorskie... — Znowu zamilkł. — Wiesz, miałem kiedyś nadzieję, że mój syn będzie taki jak ty. Ale mnie zawiódł. Robił wszystko nie tak, obrócił na nice wszystkie wartości albo postawił je na głowie, sam nie wiem...

— Don Fernando, nie pora na...

— Pora, Jasonie, pora. Chyba nie będę miał odwagi tego powtórzyć. Nie zawsze dobrze cię traktowałem. Często nie mówiłem ci prawdy, czasem coś zatajałem.

— Don Fernando...

Hererra powstrzymał go gestem ręki.

— Nie, pozwól mi skończyć. — Zdawało się, że z każdą chwilą odzyskuje siły. — Żałuję, że cię tak traktowałem. Chciałbym zawrócić czas. Chciałbym...

Dobiegło ich charakterystyczne dudnienie helikopterowego silnika, odbijający się od wody hałas. Niebo przeciął potężny snop światła, które po chwili rozorało rzekę.

— Musimy uciekać — ponaglił go Bourne. — Pomogę ci.

— Wiem. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. — Jason już miał odpłynąć, gdy Hererra chwycił go za rękę. — Zaczekaj. Zaczekaj.

W mroku widać było jego oczy, w których tańczyło odbijające się od wody światło.

— Teraz już wiem — powiedział. — Wiem, że nigdy mnie nie zawiedziesz.

• • •

Sam Anderson nie należał do ludzi, których łatwo zastraszyć, dlatego obecność prawnika z najbardziej prestiżowej waszyngtońskiej kancelarii nie zrobiła na nim wrażenia. Zresztą był przygotowany na każdą ewentualność. Wyjął z kieszeni dokument, podał go Pelhamowi, a gdy adwokat zaczął czytać, spojrzął na Bricka i powiedział:

— Pójdzie pan z nami. Chodzi o bezpieczeństwo narodowe. Nie pomoże panu nawet batalion adwokatów.

Brick zerknął na Pelhama, a ten kiwnął głową.

— Przed kolacją będzie pan wolny.

Brick wyszedł z za biurka, potem z gabinetu i na korytarzu skręcił w stronę windy. Anderson i James szli tuż za nim.

— Technicy znaleźli na zwłokach interesujące ślady — powiedział Sam, gdy jechali na dół.

Brick bez słowa patrzył przed siebie.

— Nie wróci pan na kolację — dodał z uśmiechem Anderson. — Długo nie będzie pana w domu.

Otworzyły się drzwi, ale Brick nie ruszył się z miejsca, nawet gdy James przytrzymał je, żeby się nie zamknęły.

— Pieprzycie aż miło.

— Będzie pan miał okazję powtórzyć to sekretarzowi Hendricksowi. — Anderson odwrócił się, żeby widzieć jego minę. — To on chce pana widzieć.

James usiadł za kierownicą, oni z tyłu.

— Co do jednego ma pan rację — powiedział Anderson, gdy włączyli się do ruchu. — Nasi kryminolodzy nie ustalili jeszcze niczego konkretnego. Jest za wcześnie.

Brick uśmiechnął się.

— To pierwsza mądra rzecz, jaką powiedział pan, odkąd wtargnęliście do mojego biura.

— Ale z drugiej strony — ciągnął Anderson — elektroniczny przekaźnik, który zainstalowałem w terminalu wraz z keyloggerem rejestrującym wszystko to, co Richards robił z naszymi serwerami, doprowadził nas do sieci Core Energy, gdzie dla bezpieczeństwa przechowywano kody aktywacyjne wirusa.

— Nie miałem nic wspólnego z...

— Zamknij się, Brick — warknął Anderson. — Miałeś i gwarantuję, że ci to udowodnimy.

•••

— I co pan teraz zrobi? — spytała Ann Ring.

Li Wan, którego mózg powoli eksplodował, odkąd zdradziła mu prawdziwą tożsamość Natashy Illion, był w koszmarnej tarapatce. Nie mógł pójść z tym do Ouyanga. Minister już nigdy by mu nie zaufał, i słusznie. Li rozpaczliwie próbował przypomnieć sobie, co — ile informacji — niechcący przekazał Natashy w łóżku i we wszystkich miejscach, w których się kochali. Straszliwa prawda była taka, że nie

pamiętał. Jego kariera legnie w gruzach, groziła mu nie tylko degradacja, ale i śmierć. Potrzebował pomocy, i to natychmiast.

Spojrzał na Ann, otworzył usta, zamknął je, wreszcie powiedział:

— Moja sytuacja jest nie do zaakceptowania.

— Całkowicie się z panem zgadzam. — Ring nie odrywała od niego wzroku.

Zapadła krótka cisza, w której kipiało od myśli i pomysłów. Wan był wstrząśnięty i gdy w milczeniu skończyli jeść, Ann zaproponowała mu drinka w nocnym barze, gdzie usiedli w staromodnym boksie, całkowicie odseparowani od innych gości, którzy i tak woleli pić i oglądać mecz piłkarski na ESPN.

Li na próżno czekał, aż Ann coś zasugeruje.

— Jest tylko jedno wyjście. — Zrobił pauzę. — Musi mnie pani ochronić.

Ann rozszerzyły się oczy.

— Jestem senatorem Stanów Zjednoczonych, panie Li. Nic nie muszę. Wan przełknął ślinę.

— Mogę pani pomóc, tak jak pomagałem pani mężowi.

— Naprawdę? — Ann rozejrzała się. — A jak mu pan pomagał?

— Przekazywałem mu informacje, które wykorzystywał w swoich sensacyjnych artykułach. Dzięki nim wyrobił sobie nazwisko.

— Dlaczego o tym nie wiedziałam?

— Umiał dochować tajemnicy.

— Tak, to prawda. — Ann przekrzywiła głowę. — A co przekazywał panu w zamian?

Li potarł ręką oczy. Nie odpowiedział.

— Boję się, że nie mogę panu pomóc. — Ann odsunęła kieliszek i zebrała swoje rzeczy, przygotowując się do wyjścia.

— Niech pani zaczeka! Proszę. — Li poczuł się nagle bardzo znużony. Miara jego tragicznego położenia było już samo to, że zastanawiał się, czy zdradzić jej, czego chciał od Charlesa.

— Pani senator, czy słyszała pani o SILEX-ie?

Ann w skupieniu ściągnęła usta.

— Tak, ale w tej chwili nie pamiętam gdzie.

— SILEX to separacja izotopów poprzez wzbudzenie laserem. Przełomowa metoda szybkiej produkcji paliwa do reaktorów nuklearnych.

— Tak, teraz pamiętam. Kupiła ją General Electric, która nawiązała współpracę z Hitachi. Twierdzą, że rocznie będą mogli wyprodukować

ilość wzbogaconego uranu wystarczającą do obsługi sześćdziesięciu reaktorów. Można by tym zapewnić energię jednej trzeciej Stanów Zjednoczonych.

— Ale potem wtrącił się do tego rząd — dodał Li.

— Baliśmy się, że jeśli ktoś wykradnie tę technologię, dojdzie do niekontrolowanego rozprzestrzenienia broni jądrowej.

Wan kiwnął głową.

— Przedmiotem mojego zainteresowania był jedynie postęp prac nad tym projektem.

Ann zmarszczyła brwi.

— Dlaczego chiński rząd miałby się tym interesować?

— Tego pani nie powiem, bo po prostu nie wiem. — Li mówił prawdę. Minister go nie wtajemniczył. Jak nigdy dotąd, Wan doceniał mądrość takiej kompartmentalizacji.

Zapadła krótka cisza, która dla niego ciągnęła się w nieskończoność. W końcu Ann skinęła głową.

— Dobrze. Jak mogłabym panu pomóc?

•••

— Na skróty nigdzie nie dojdziemy — powiedziała Soraya.

— Naokoło też nie — odparł Peter. — Bezpieczny telefon satelitarny nic tu nie pomoże, nie mamy czasu kontaktować się z każdym agentem.

— Wiem. Dlatego próbuję połączyć się z naszym serwerem na Gibraltarze... — Soraya nie odrywała wzroku od ekranu laptopa, który przysłano jej z Treadstone. Zespół informatyków, przydzielonych im na czas pobytu w szpitalu, podłączył go do szybkiego internetu. Za pomocą Bluetootha podłączyli również komórkę. — Ale jak dotąd nic z tego.

— I bardzo dobrze. Ten serwer ma być odporny na każdy atak, chociaż nie wie o nim nikt spoza firmy.

— Spokojnie — mruknęła ponuro Soraya. — Jest odporny jak cholera.

— Martwi mnie tylko...

Podniosła głowę.

— Peter? Co się stało?

— Nie, nic. — Odwrócił głowę.

— Przestań. — Odsunęła laptop i podeszła do jego łóżka. Przeniesiono ich do dużego, jasnego pokoju, gdzie technicy z Treadstone zainstalowali

sprzęt. Usiadła i wzięła go za rękę. — Co się stało?

Spojrzał jej w oczy.

— Bola mnie... nogi. To bóle fantomowe.

— Skąd wiesz, że nie prawdziwe?

— Lekarze...

— Pieprzyć lekarzy. Myślisz, że wszystko wiedzą?

— Moje nerwy nie reagują. Mam martwe nogi.

Ścisnęła jego rękę.

— Nie mów tak!

Miał mocno podkrążone oczy, czego nie widziała u niego bez względu na to, jak długo pracował i jak bardzo był zmęczony. Pękało jej serce.

Peter znał ją i pewnie rozumiał, co czuje.

— Im szybciej się z tym pogodzę, tym lepiej.

Nachyliła się ku niemu i szepnęła:

— Nie poddamy się.

— Nigdy, obiecuję. — Uśmiechnął się przez łyżę. — Dobra. Co jeszcze tam znalazłaś?

— Próbuję wywołać Jasona na Skypie. Może on wie, dlaczego Core Energy rozwalila naszą sieć.

— No i?

— Jest poza zasięgiem. Zostawiłam mu wiadomość na poczcie głosowej.

— Dlaczego nie skupimy się na tym, na co mieliśmy wpływ? Jakim cudem Richards przeszedł przez nasze sito?

— Może zwerbowali go, kiedy już u nas pracował?

— Odpada. Nie zapominaj, że byłem z nim u Bricka. Znali się od dawna.

— Co znaczy, że dostarczał mu informacje z NSA, może nawet od samego prezydenta.

— Musimy przesłuchać Bricka, gdy tylko Sam go aresztuje.

— Żartujesz? — Soraya zatoczyła ręką łuk. — Rozejrzyj się. Tutaj? W naszym stanie? Nie. Sam nas zastąpi. Możemy podłączyć się do sieci telewizyjnej w Treadstone. Sam włoży słuchawki bezprzewodowe i będziemy z nim w stałym kontakcie. Co ty na to? Może być?

Peter niechętnie kiwnął głową. Miał szarą, pustą twarz, jakby omijało go słońce. Przypomniała mu o jego stanie. Było jej przykro, lecz nie miała wyjścia. Co gorsza, wiedziała, że będzie się to powtarzało w przyszłości.

Obserwowała go przez chwilę.

— Moje dziecko musi mieć przy sobie mężczyznę, kogoś, kto zastąpi mu ojca.

Peter roześmiał się szyderczo.

— Jasne! Znakomicie się do tego nadaję.

— Nadajesz się. — Siłą woli zmusiła go do tego, by spojrzeć w jej jasne oczy. — Myślisz, że chciałabym, aby poznało kogoś innego?

• • •

Kiedy zadzwonił telefon, Jacques Robbinet, francuski minister kultury, siedział na tylnym siedzeniu opancerzonego renaulta. Prowadził jego szofer i wieloletni ochroniarz. Była dokładnie 21.32. Robbinet jechał na kolację do swojej kochanki, dlatego mało brakowało, żeby nie odebrał. Ale pancerny renault i tak utknął w korku, a on był podenerwowany i znudzony zarazem.

— Jason? — spytał ze szczerą serdecznością. — Skąd dzwonisz?

— Ze schodów na prawym brzegu Sekwany, naprzeciwko mostu Inwalidów.

Robbinet, dla którego ministerialne stanowisko było jedynie przykrywką — tak naprawdę sprawował funkcję szefa Quai d'Orsay, francuskiej odpowiedniczki Centrali Wywiadu — natychmiast wszystko zrozumiał.

— Ten incydent na moście Alexandra III to twoje dzieło? — Zameldowano mu o tym przed dwudziestoma minutami i wysłał tam dwóch agentów, którzy mieli pomóc policji w śledztwie. Nie co wieczór z paryskiego mostu spadał samochód i Robbinet chciał to dokładnie zbadać.

— To była próba zabójstwa i uprowadzenia — odparł Bourne. — Popłynęliśmy w dół rzeki.

— My?

— Jestem z przyjacielem. Z don Fernandem Hererrą.

— Boże święty.

— Znasz go?

Robbinet klepnął szofera w ramię, kazał mu zawrócić, włączyć syrenę i ominąć korek, w razie konieczności chodnikiem. Aby szybciej.

— Tak, znam. Zostańcie tam. Będę za kilka minut.

— Jacques, potrzebuję samolotu.

Robbinet roześmiał się z niedowierzaniem.

— Tylko tyle?

— Muszę jak najszybciej dostać się do Libanu.

Minister znał ten ton głosu.

— Sytuacja jest aż tak poważna?

— Bardziej niż poważna. Porwano nas, żebym tam nie dotarł.

— Dobrze. Najpierw wyciągniemy was z wody i przebierzemy w coś suchego. — Umysł ministra pracował na najwyższych obrotach. — Do tego czasu przygotuję samolot. — Znał Bourne'a na tyle, by wierzyć mu na słowo. — Myśliwiec. Na wszelki wypadek uzbrojony.

— Dzięki, Jacques.

— Nie dziękuj — odparł krótko Robbinet. — Lepiej nie daj się zabić.

Rozdział 28

— To była podpucha? — powtórzyła Soraya.

— Od samego początku. — Bourne usłyszał nutkę niedowierzania w jej głosie, co wcale go nie zdziwiło. — Encarnación zrobił wszystko, żebym wpadł w potrzask.

Jason przyłożył telefon do drugiego ucha; aparat satelitarny był dużo cięższy od zwykłego. Siedział w kabinie wojskowego mirage'a. Myśliwiec, który zorganizował dla niego Robbinet, nie należał do wygodnych, ale taki miał właśnie być. Zbudowano go dla potrzeb wojny.

— Byłem ich celem od chwili, kiedy Constanza Camargo znalazła się w sali odpraw na lotnisku w Mexico City.

— Ale skąd wiedziała, że przylecisz?

— Od Encarnaciona.

— Jakim cudem dostała się do strefy bezpieczeństwa?

— Byłem tam — odparł powoli Bourne — przeżyłem i wiem, jak potężne wpływy ma Encarnación w stolicy Meksyku.

Soraya umilkła.

— A to, co ci opowiadała, ta historia o mężu? — spytała po chwili.

— Mąż naprawdę istniał, sprawdziłem. I zginął tak, jak mówiła.

— Ha! Najlepsi kłamcy dodają do łgarstw jak najwięcej prawdy.

— Gdybym wiedział, co łączy Constanzę i Encarnaciona, wiedziałbym wszystko. — Bourne spojrział w dal przez owiewkę kabiny. Miał rachunki do wyrównania nie tylko z Maceo Encarnacionem, ale i z Ben Davidem. Mirage pędził przez eter jak włócznia zemsty.

— A więc ci wszyscy ludzie są z sobą powiązani — powiedziała Soraya. — Encarnación, Nicodemo, Core Energy i pułkownik Mossadu w izraelskim ośrodku badawczym pod Dahr El Ahmar.

— Jest jeszcze coś — dodał Jason. — Element tak ważny, że jego istnienie tylko się sugeruje.

— To znaczy?

— Chińczycy. Konkretnie ktoś nazwiskiem Ouyang.

— Zaczekaj. — Soraya odezwała się już po chwili: — Według moich informacji, Ouyang Jidan jest szefem Państwowego Zarządu Zbożowego.

— Raczej Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego.

— Całkiem możliwe. Tylko po co miałyby węszyć w Dahr El Ahmar?

Kiedy Bourne opowiedział jej o izraelskim SILEX-ie, omal nie wyszła z siebie.

— I co teraz? Jeśli Ben David w tym siedzi, Mossad jest dla nas spalony.

— Zostaw to mnie. Będę tam za parę godzin.

— To może być zasadzka. Wziąłeś to pod uwagę?

— Tak.

Soraya czekała, aż Bourne powie coś więcej, ale nie powiedział.

— Jeśli potrzebujesz zabezpieczenia logistycznego...

— Wszystko mam.

— Nie daje mi spokoju te trzydzieści milionów dolarów, które znalazł Peter. Nie wiem, może Aztek próbował po prostu okantować swojego szefa. Za takie pieniądze ludzie zrobią prawie wszystko.

— Fakt.

— Rzecz w tym, że te fałszywki wcale nie są takie dobre. Daleko im do banknotów podrabianych przez Chińczyków, które, co smutne, są prawdziwymi dziełami sztuki. — Zrobiła pauzę. — Szczerze mówiąc, dlatego pomyślałam, że te pieniądze nie mają z tym nic wspólnego. Encarnación mógł na przykład podejrzewać, że ktoś z jego organizacji podbiera kasę. To powszechna praktyka. Podejrzewał i rozegrał to tak, że nawet gdyby złodziejowi udało się zwiać, zostałyby z niczym.

— Trzyma się kupy. Może to zbadajcie?

— Już zbadalam. Wygląda na to, że podano mu na tacy głowę najważniejszego przybocznego Azteka, i to dosłownie.

— A więc wszystko jasne.

Soraya chciała mu powiedzieć o Peterze, o tym, w jakim oboje są stanie, ale ugryzła się w język. Nie powinna go dodatkowo obarczać. Powie mu, kiedy to się skończy. Może Jason wpadnie nawet do Waszyngtonu. Bardzo by chciała.

Odchrząknęła.

— Dobra. To by było na tyle. Bądź w kontakcie.

Powiedziała to tak nerwowo, że gdyby natychmiast się nie rozłączyła, Bourne na pewno zacząłby ją wypytywać. Ale tymczasem usiadł wygodniej, zamknął oczy i przypomniała mu się ostatnia rozmowa z don Fernandem.

Szofer Robbineta zawiózł ich do luksusowego hotelu butikowego w Trzynastej Dzielnicy i gdy weszli do położonego na najwyższym

piętrze apartamentu, okazało się, że czeka tam na nich elegancka, nie więcej jak czterdziestoletnia kobieta. To cudowne stworzenie w małej czarnej od Diora miało na imię Stephanie, było aktualną kochanką ministra i zdążyło już przygotować dla nich ubranie — prawdziwe czary. Bourne nie miał pojęcia, kiedy Robbinet do niej zadzwonił, ale był mu bardzo wdzięczny.

Podczas gdy Hererra brał prysznic, Jason usiadł obok szefa Quai d'Orsay i opowiedział mu o Meksyku i o tym, co przytrafiło im się w Paryżu.

— Trup, którego wyłowicie z Sekwany, to Nicodemo — podsumował. — Ale jego prawdziwego nazwiska możemy się tylko domyślać.

— Trup to trup. — Jacques był jak zwykle bardzo rzeczowy. — Zajmę się tym. Dobrze, że nic wam się nie stało. Boże, co za dzień. Don Fernando po raz drugi zmartwychwstał, próbowano was uprowadzić... Udało mi się sprokurować raport o jego śmierci w tej katastrofie pod Paryżem. — Zmrużył oczy. — Dobraliście się jak w korcu maku.

Bourne spojrzał na Stephanie.

— Przepraszam, że zepsuliśmy wam wieczór.

— Już do tego przywykłam. — Stephanie posłała mu olśniewający uśmiech i lekko kołysząc biodrami, podeszła do barku. — Nic na to nie poradzimy. Poza tym noc jest jeszcze młoda.

Jason omówił z Robbinetem plan lotu. Jacques włączył Google Earth na iPadzie i znalazł Dahr El Ahmar.

— Nic tu nie ma.

— Obóz jest dobrze zakamuflowany. Poza tym Libańczycy zablokowali część terenu, żeby kamery Google nie wychwyciły szczegółów. Spróbuj znaleźć w tym programie Biały Dom. Nie zobaczysz ani kawałka.

— To samo robimy w Paryżu, dla bezpieczeństwa. — Robbinet postukał palcem w ekran. — W Rachaiya jest pas startowy. To odludzie, ledwie trzy kilometry od Dahr El Ahmar. Będzie na ciebie czekał samochód z kierowcą.

— Nie, nie trzeba.

— Ten człowiek, ma na imię Fadi, doskonale zna teren. Weź go, dobrze radzę.

Z łazienki wyszedł don Fernando, niezwykle elegancki w garniturze, który kupiła mu Stephanie.

— Leży jak ulał — ocenił Robbinet. — Dobrze, że znamy się tyle lat i że mam dobre oko.

Jason spędził w łazience dwadzieścia minut, zmywając z siebie brud, muł i zapach Sekwany. Odkrywszy w szafce paczkę maszynek jednorazowych, ogolił się, ubrał i poczuł się jak nowo narodzony.

W mirage'u było tylko jedno miejsce, co oszczędziło mu sprzeczek z Hererrą. Pożegnali się z Robbinetem i Stephanie, malutką windą zjechali na dół i wyszli na ulicę, gdzie czekał na nich podstawiony przez ministra samochód.

W milczeniu przejechali przez miasto, bez słowa przemknęli obwodnicą. Ale na pasie startowym wojskowego lotniska don Fernando spojrzął na Bourne'a i powiedział:

— Kiedy byłem młodszy, mocno wierzyłem, że jako starzec nie będę niczego żałował, zupełnie niczego. Co za idiota! Teraz, gdy jestem już stary, żałuję bardzo wielu rzeczy. Tak wielu, że wolę o nich nie myśleć.

Na lotnisku panował spokój. Nie licząc zgrabnego mirage'a, który z migającymi światłami pozycyjnymi i włączonymi silnikami przycupnął na początku pasa, nie było tam nikogo. Robbinet oczyścił teren, pewnie ze względów bezpieczeństwa.

— Ale jedno — ciągnął don Fernando — boli mnie bardziej niż troski związane z Maceo Encarnacionem. Chcę ci o tym opowiedzieć, zanim odlecis.

Wiatr potargał mu włosy. Noc była wyjątkowo ciepła, jakby za wcześnie nadeszła wiosna, budząc dawno zapomniane emocje.

Z premedytacją naruszając przepisy, wyjął cygaro i pstryknął zapalniczką. Jason wiedział, że palenie go uspokaja.

— Kochało mnie wiele kobiet — zaczął. — To nie przechwałki, po prostu tak było. Przychodziły i odchodziły. — Spojrzął na żarzący się koniuszek hawany. — I są teraz jak ten dym: pojawia się i zanim się spostrzeżesz, znika. — Pyknął z cygara i nad jego głową zawisła aromatyczna niebieskawa aureola. — Ale przez cały ten czas kochałem tylko jedną. — Jego oczy zaszyły mgłą przeszłości. — Poznaliśmy się w Mexico City. Była bardzo młoda, bardzo piękna i charyzmatyczna. Miała w sobie coś takiego, że... — Spuścił głowę. — Nie wiem. — Znowu popatrzył na czubek cygara, jakby próbował wskrzesić tamte czasy. — Nie urodziła się w Mexico City. Pochodziła ze wsi, ale poruszała się i mówiła tak, że nigdy byś się tego nie domyślił. Potrafiła naśladować akcent, słownictwo, styl i ruchy ciała każdej napotkanej osoby. Robiła to błyskawicznie, miała nieprawdopodobny dar.

Bourne'a naszły straszne przeczucia.

— Jak każda dobra aktorka — powiedział.

Don Fernando gwałtownie wydmuchał dym.

— Kiedy poprosiłem ją o rękę, roześmiała się, pocałowała mnie i powiedziała, że jest pisana komu innemu.

— Niech zgadnę. Acevedowi Camargowi.

Hererra obrócił się na pięcie.

— Skąd wiesz?

— Poznałem Constanzę w Mexico City. Zrobiła przysługę Encarnacionowi. Dałem się nabrać jak ostatni dureń.

Don Fernando uśmiechnął się smutno.

— Ona nabrała wszystkich, Jasonie. Po kolei, zaczynając od własnego męża. Wyszła za niego na polecenie Encarnaciona. Maceo nie ufał mu, a ponieważ Acevedo coraz bardziej rósł w siłę jako baron narkotykowy, uważał, że mu zagraża, a co gorsza, że w przyszłości może być jego rywalem. Nie mógł tego tolerować, więc wysłał lisa do kurnika, że tak powiem.

— Raczej lisicę. Constanzę.

— Właśnie. Powiedziała mężowi, że jest bezpłodna i przy każdej okazji sypiała z Encarnacionem. Wiek, w którym mężczyzna zaczyna myśleć o potomku, Maceo osiągnął dość wcześnie. I rozpaczliwie zapragnął dziecka. Miesiąc później Constanza stwierdziła, że jest w ciąży. Oczywiście Acevedo nie mógł o tym wiedzieć, dlatego wyjechała do ciotki i mieszkała z nią aż do porodu. Urodziła chłopca i zgodnie z umową oddała go na wychowanie Encarnacionowi.

Hererra rozgniółł butem niedopałek i ruszył w stronę mirage'a, co było znakiem, że rozmowa dobiega końca.

— Naturalnie dowiedziałem się o tym po fakcie. Wyjechałem z Meksyku tej samej nocy, kiedy ostatni raz się pieprzyliśmy. Wybacz ten wulgaryzm, ale Constanza to właśnie robiła: pieprzyła się. W jej słownictwie nie było miejsca na „kochanie się”. — Wzruszył ramionami. — Może dlatego tak mnie pociągała. Potrafiła wygadywać niestworzone rzeczy, nałogowo kłamała. I myślę, że we wszystko to wierzyła.

— Dlatego była taka przekonująca.

— Na pewno. — Don Fernando schował ręce do kieszeni. Był bardzo poruszony. — Mimo to pragnąłem jej jak żadnej innej kobiety. — Spojrzał w niebo przecięte snopem światła z wieży Eiffla. — Martha Christiana bardzo mi ją przypominała. Miała... Nie wiem. Jakby były zrobione z tego samego materiału.

— Bardzo przeżywasz jej stratę.

— Ja ją zabiłem, Jasonie. Dlatego tak się miotam. Może za bardzo jej pragnąłem. Może myślałem, że wiążąc się z nią, wezmę rewanż na Encarnacionie za to, że odebrał mi Constanzę.

Jason pomyślał, że zawiniła temu i Constanza Camargo, i Maceo Encarnación. Z drugiej strony, ten ludzki dramat rozegrał się w Mexico City, a tam wszystko było możliwe.

Stanęli przy krągłej burcie mirage'a i doszedł ich zapach spalin i paliwa.

— Na mnie już pora — powiedział Jason.

— Wiem.

Uścisnęli sobie ręce. Bourne wsiadł do kabiny, sprawnie zdjęto drabinkę i don Fernando odszedł na bok, by popatrzeć, jak samolot mknie po pasie, zadziera nos, odrywa się od ziemi i znika na tle nocnego nieba niczym Księżyc w cieniu Ziemi.

•••

— Aresztujecie ją?

— Tak jak powiedziałam, tak.

Li przeszył ją wzrokiem.

— Nie ma innego sposobu?

— Na przykład jakiego?

Stali przed drzwiami jego apartamentu, twarz przy twarzy, rozmawiali szeptem.

— Przecież pani wie. — Wan oblizał usta. — To, co przydarzyło się Charlesowi. Włamanie, śmierć...

Ann zrobiła krok do tyłu.

— Nie przyłożę ręki do morderstwa, panie Li. Nie mogę uwierzyć, że pan to zasugerował.

Wan oddychał płytko, pochrapując jak koń.

— Niektórzy mają dobry słuch, pani senator. Grozi mi kompromitacja i nie mogę na to pozwolić.

— Nie dopuszczę do tego, proszę mi zaufać. — Ann ruchem głowy wskazała drzwi. — Ona na pewno tam jest?

— Śpi między sesjami. Pracuje non stop od dwóch tygodni.

— A więc dobrze.

Li zawahał się, przekręcił klucz w zamku i weszli do środka. W mieszkaniu było ciemno i cicho. Jeden pokój, drugi, wreszcie

sypialnia. Natasha Illion rzeczywiście spała. Leżała na boku i w łagodnym świetle lampki nocnej widać było jej policzek, na który padał cień rzęs.

— Jest jak dziecko — szepnął Wan. — Po ciemku nie może zasnąć.

Ann dała mu znak i wrócili do salonu, skąd zadzwoniła do Hendricksa, prosząc go, aby przysłał agentów, którzy mieli aresztować Natashę. Li poszedł do kuchni napić się wody. Ann wciąż rozmawiała z Hendricksem, gdy Wan minął ją, idąc do sypialni.

— Li, niech pan zaczeka... — Nie rozłączając się, pobiegła za nim i wpadła do sypialni w chwili, gdy Wan dźgnął Natashę długim nożem do mięsa, który musiał wziąć z kuchni.

Przeraźliwie krzyknęła, gdy ostrze wbiło się między idealne łopatki modelki. Ból i szok wyrwały ją ze snu i wygięła się w łuk. Ann podbiegła do Wana, ale on wyszarpnął już nóż z rany i wbił go w bok szyi.

Ann krzyczała, próbując go odciągnąć. Z Natashy w zastraszającym tempie lała się krew. W ciągu kilku sekund dziewczyna była w niej skąpana i Ann wiedziała, że jest już za późno. Mimo to przez długie cztery minuty próbowała ją ratować, podczas gdy nieruchomy jak posąg Li stał tyłem do nich.

W końcu zsunęła się z łóżka. Ociekała krwią. Podniosła z podłogi komórkę i wyszła z sypialni.

— Natasha Illion nie żyje — powiedziała do telefonu. — Li zadźgał ją nożem.

— Nagrałaś to? — Hendricks oddychał jak po ciężkim biegu.

Ann dotknęła miniaturowej kamery na pasku.

— Wszyściutko — odparła. — Li jest nasz.

• • •

— Podchodzimy do lądowania.

Słyszając w słuchawkach głos pilota, Bourne otworzył oczy. Spojrzał za owiewkę kabiny i nie zobaczył nic, nawet pojedynczego światła. Liban w pobliżu granicy z Syrią. Pustynia. W oddali góry. Suchy wiatr. Pustka.

Poczuł się, jakby wracał do domu.

Rozdział 29

Rozmyślając w swoim prywatnym samolocie, Maceo Encarnación doszedł do wniosku, że pozostawił za sobą bardzo wielu ludzi. Teraz mógł dodać do tej listy Nicodema. Nicodemo. Chociaż nie tak miał na imię, z trudem myślał o nim inaczej. Nicodemo został w Paryżu, żywy lub martwy, i don Maceo nareszcie zrozumiał, dlaczego tak jest. Zawsze łatwiej mu było porzucić kogoś, od kogo mógł się w taki czy inny sposób zdystansować.

Żywy lub martwy. Myślał o tym, chociaż gula w ściśniętym żołądku mówiła mu, że martwy. Musiał być martwy. Tylko śmierć nie pozwoliłaby mu wrócić.

To on go stworzył. Nicodemo był całkowicie jego dziełem, w przeciwieństwie do Maricruz. Bo Maricruz zawsze była panią siebie. Mimo że Nicodemo często mu się przydawał, bardzo różnił się od swojej siostry. Don Maceo kochał ją tak, jak nigdy nie mógłby pokochać syna. Nicodemo był narzędziem, środkiem do osiągnięcia celu. Natomiast Maricruz była całym warsztatem, celem samym w sobie. Wiedziała, kto jest jej ojcem. Nicodemo nie wiedział. Ani jedno, ani drugie nie wiedziało, kto jest ich matką.

Zdrzemnął się, śniąc o Constanzie Camargo, która ukazała mu się w postaci wielkiego węża-założyciela Tenochtitlanu. Otworzyła usta i wysunęła rozdwojony język, symbolizujący przeznaczenie i pożądanie, a on, mały chłopiec imieniem Maceo, wiedział już, że musi wybrać jedno albo drugie. Przeznaczenie albo pożądanie. Wybrał to pierwsze i całe pożądanie zostało mu odebrane. Dlatego pozostawianie ludzi za sobą przychodziło mu łatwo i na swój sposób było przyjemne, jak łyk starej, łagodnej tequili.

Gdy obudził się kilka godzin później, samolot, niczym wielki orzeł, zaczynał już spływać z nieba, podchodząc do lądowania na małym lotnisku na skraju górskiego miasteczka Rachaiya. Mocno pochylona maszyna drżała i dygotała, więc zapiął pas. Spojrzał w okno i stwierdził, że pogoda się zmieniła. Na równinach i wzgórzach leżał nawiany przez wiatr śnieg. Śnieg sypał również z szaroniebieskiego nieba. Pułkownik

Ben David nie zawiódł. Miał do dyspozycji dwa helikoptery szturmowe AH-64 Apache i jeden z nich już czekał, by zawieźć Encarnaciona do ośrodka Mossadu pod Dahr El Ahmar.

Don Maceo sięgnął przez przejście między fotelami i przyciągnął bliżej walizkę z zamkiem na odcisk palca. Kiedy koła dotknęły pasa i samolot zaczął zwalniać, skręcając w kierunku helikoptera, otworzył walizkę i po raz ostatni popatrzył na trzydzieści milionów dolarów.

•••

Komórka zapiszczała, gdy Soraya i Peter, oboje bardzo zmęczeni, zapadli w głęboki, prawie narkotyczny sen. Czuwała przy nich Delia, która wzięła trochę wolnego. Podeszła do stolika przy łóżku i podniosła komórkę. Dzwonił Hendricks.

Nachyliła się i potrząsnęła Sorayą. Widząc, że przyjaciółka nie chce się obudzić, nachyliła się jeszcze bardziej i pocałowała ją w czoło. Soraya otworzyła oczy, zobaczyła ją, zobaczyła ekranik, na którym widniało nazwisko sekretarza, i wzięła od niej komórkę. Delia z uśmiechem kiwnęła głową i wyszła.

— Dzień dobry, panie sekretarzu — zaczęła oficjalnie Soraya.

— Witaj. Jak się czujesz?

— Świetnie. Spałam.

— Nikt nie ma do tego większego prawa niż ty, ale mam pilne wiadomości o Tomie Bricku. Sam Anderson aresztował go parę godzin temu. Technicy znaleźli na jego spodniach ślady krwi Richardsa.

Soraya usiadła prosto.

— No i?

— No i pękł. Nie chce iść do więzienia.

— Dogadaliście się.

— Podał nam nazwisko osoby, która dźgnęła Richardsa nożem. Ale powiedział więcej, dużo więcej. Na pewno pamiętasz te tajemnicze trzydzieści milionów, które znalazł Peter.

— Tak, oczywiście.

Hendricks streścił jej spisane przez Bricka zeznanie, które doręczył mu Anderson.

— O Boże — szepnęła, gdy skończył.

— Właśnie. Jak najszybciej przydziel tę sprawę swoim libańskim agentom.

— Tak, natychmiast. Dziękuję, panie sekretarzu.

— Przy okazji podziękujesz Andersonowi. Odwalił kawał dobrej roboty.

Soraya rozłączyła się i wybrała numer Bourne'a. Gdy odebrał, powiedziała:

— Wiem już wszystko o tych trzydziestu milionach.

•••

— Nie usiądziemy — zameldował pilot. — Na pasie stoi samolot, prywatny odrzutowiec.

Encarnación, pomyślał Jason.

— Możliwości? — rzucił.

— Tylko jedna. Niecałe dwa kilometry na wschód stąd jest równina.

— Da pan radę?

Pilot rozciągnął usta w uśmiechu.

— Siadałem w gorszych warunkach.

Bourne kiwnął głową.

— Więc lądujemy. — Wyjął telefon satelitarny, wybrał numer, który dostał od Robbineta, i po wymianie haseł podał kierowcy nowe współrzędne.

— Poinformowano pana, że nie będę mógł czekać, prawda? — spytał pilot, gdy odbili na wschód. — Minister ma duże wpływy, ale im krócej pozostaniemy w libańskiej przestrzeni powietrznej, tym lepiej. — Ukazała się równina i mirage zaczął gwałtownie schodzić w dół. — Ich rząd jest ostatnio bardzo nerwowy, ale to zrozumiałe.

— Długo ten samolot może tam stać?

— Nie więcej niż dwadzieścia minut. Wystartował z Paryża dziewięćdziesiąt pięć minut przed nami, ale jesteśmy szybsi. Zwykła maszyna pokonuje tę trasę mniej więcej w cztery godziny. Nam zajęło to dwie godziny i czterdzieści pięć minut. Tamten samolot jest dużo wolniejszy. Przed startem porównałem nasze prędkości.

— Dobra robota.

— Dziękuję. — Pilot wypuścił podwozie. — Proszę się trzymać, będzie trochę trzęsło.

Mirage schodził do lądowania bardzo szybko, ale, wbrew słowom pilota, jak na te warunki przyziemienie było w miarę łagodne. Kiedy zaczęli zwalniać, Jason rozpiął pasy i sięgnął po przygotowany przez

Robbineta plecak. Gdy samolot się zatrzymał, otworzył owiewkę, zsunął się po wypukłej burcie na ziemię i pochylony popędził przed siebie, aby pilot mógł jak najszybciej wystartować. Zanim dobiegł na skraj równiny, mirage zdążył już zawrócić. Maszyna przystanęła, rozpedziła się i szybko wzbiła w powietrze.

Bourne ruszył w kierunku rzadkiej kępy rachitycznych sosen, za którymi miał czekać samochód. Spadło parę centymetrów chrzęszczącego pod nogami śniegu, lecz między drzewami leżało tylko kilka białych splachetków, jakby resztę wchłonęła poduszka z sosnowych igieł. Żałośnie zawodził wiatr. Powietrze było suche i rzadkie, przesycone wyraźnym zapachem żywicy.

Przez lukę między drzewami spojrzął na północny zachód. Tak, stał tam samochód, stary wojskowy jeep, bez drzwi i z płóciennym dachem. Paląc papierosa, opierał się o niego Fadi, człowiek Robbineta, drobny, śniady, muskularny mężczyzna o bujnych czarnych włosach. Musiał słyszeć, jak lądowali, bo patrzył w kierunku równiny, jakby lada chwila się go spodziewał.

Bourne ściągnął usta i zagwizdał jak ptak. Fadi spojrzął w stronę drzew i uśmiechnął się na jego widok. Wsiadł, odpalił silnik, zawrócił łagodnym łukiem i podjechał bliżej.

— Punktualnie jak w zegarku — powiedział, gdy Jason wsiadł. Sięgnął za fotel i podał mu kurtkę z owczej skóry. — Niech pan włoży. W górach jest dużo chłodniej niż w Paryżu.

Bourne zdjął plecak, włożył kurtkę i Fadi wrzucił bieg.

— Następny przystanek Dahr El Ahmar.

I wtedy coś metalicznie zabzyczało. Bourne wyskoczył z samochodu, rzucił się na ziemię, potoczył po śniegu i w tej samej chwili wóz przekoziółkował w powietrzu trafiony dokładnie w środek pociskiem wystrzelonym z przenośnej wyrzutni naramiennej. Huk eksplozji odbił się echem od wzgórz i pochylił rosnące w kępie sosny. Wierzchołki najbliższych szerniały, buchnął z nich dym. Jeep spadł i wyrzucone ze zwęglonego wraku ciało Fadiego, poskręcane, nadpalone i okopcone dymem jak pobliskie drzewa, legło na topniejącym śniegu.

• • •

Przyczał się za płonącym jeepem, który zasłaniał niskie wzgórze, miejsce, skąd nadleciał pocisk. Był prawie pewien, że nieprzyjaciel czyha

właśnie tam. Atak dawał do myślenia, ale najważniejszym wnioskiem, jaki z tego wysnuł, było to, że się go spodziewano. Może tamci usłyszeli ryk silników lądującego mirage'a, może śledzili Fadięgo. Tak czy inaczej, Soraya miała rację. Był przygotowany na zasadzkę w Dahr El Ahmar, ale nie tutaj, nie po tym, jak zmienili kurs. Było jednak możliwe, że pilot Encarnaciona wypatrył mirage'a i dał znać Ben Davidowi.

Ze wzgórza padły strzały, więc schronił się w kępie sosen. Gdy jedna z kul świsnęła tuż obok jego lewego ramienia, głośno krzyknął i zgiął się w pół, jakby oberwał. Zagryzł wewnątrz policzka, zczekał, aż usta wypełni ciepła krew i wpełzając między drzewa, kilka razy splunął.

Ukrywając się, wyjął z plecaka silną lornetkę polową; Robbinet dopilnował, żeby jego ludzie spakowali wszystko, czego zażądał. Przytknął ją do oczu i zlustrował najbliższą okolicę, wypatrując ludzi Encarnaciona. Jego uwagę znowu przyciągnęło wzgórze. Tamci wiedzieli, że przeżył, a teraz myśleli, że jest ranny. Nie wypuszczą go żywcem, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Ale poza drzewami nie było tu żadnego innego schronienia, ani z lewej strony, ani z prawej. Natomiast tamci, dobrze ukryci, byli odporni na każde uderzenie: wybrali doskonale miejsce na atak i obserwację. Nieważne. Myśleli, że jest ranny, i sami do niego przyjdą. Musiał tylko zachować cierpliwość, wytężyć słuch i wzrok i zczekać, aż ruszą.

Zastanawiał się, jak tu dotarli. Wątpił, żeby przyszli na piechotę, a wzgórze było za małe, żeby dali radę ukryć tam samochód. Znowu podniósł lornetkę, szukając jakiegoś kamuflażu. Znalazł go po lewej stronie, mniej więcej kilometr od miejsca, gdzie się zasadzili.

Ledwie pomyślał, że tak, że to siatka i sylwetka samochodu, gdy usłyszał chrzęst śniegu. Nie wiedząc, ilu ludzi nasłał na niego Encarnación, poczołgał się w stronę źródła dźwięku, który powtarzał się z ostrożnymi przerwami.

Tamten szedł po jego krwawym śladzie. Jason rozejrzał się i zerknął w górę. Gałęzie sosen są dość wiotkie i trudno się na nie wspiąć, ale wypatrył drzewo, które nadawało się do tego, co zamierzał zrobić. Zanurkował w las igieł, wspinając się szybko i energicznie, aby zbytnio nie obciążać konarów.

Tamten pojawił się wreszcie w polu widzenia. Trzymał w pogotowiu karabinek szturmowy QBZ-95. Bourne nie musiał nawet patrzeć na jego mundur: mężczyzna był chińskim żołnierzem. A więc zawitali tu również ludzie ministra Ouyanga.

Zaczekawszy do ostatniej chwili, zebrał się w sobie, skoczył, uderzył żołnierza pięścią w kark i gdy ten zatoczył się do tyłu, chwycił go za głowę i grzmotnął nią o pień drzewa. Chińczyk runął na ziemię jak kłoda, krwawiąc z nosa i oczu. Krew sączyła się również z pękniętej czaszki. Bourne przyjrzał się jego ubraniu. Będzie pasowało? Nie, żołnierz był za niski.

Podniósł z ziemi karabin i poszedł zapolować na pozostałych, którzy, jak przypuszczał, nadchodzili z trzech stron naraz. Szybko stwierdził, że QBZ-95, najnowszy chiński karabinek, jest dość nieporęczny, głównie ze względu na sterzący tuż za kabłąkiem duży magazynek na trzydzieści nabojów. Wiedział jednak, że dzięki kutej lufie, co prawda krótkiej, jest to broń wyjątkowo celna.

Oparł się plecami o pień sosny i wyteżył słuch. Cisza. Nie zamierzał bawić się z nimi w kotka i myszkę — Encarnación miał nad nim przewagę czasową.

Wypuścił krótką serię w drzewa po prawej i pobiegł w lewo. Tak jak się tego spodziewał, wystrzały przyciągnęły tamtych. Rozpoznali charakterystyczny trzask QBZ-95 i założyli, że ich towarzysz namierzył cel.

Zdjął jednego z nich drugą serią, ale trzeci uniknął gradu kul. Element zaskoczenia szlag trafił, lecz Bourne wiedział teraz, że w kępie sosen jest ich tylko trzech.

Wbił wzrok w miejsce, gdzie mignął mu ten ostatni. Ponieważ wyższy i roślejszy od pozostałych Chińczyk smyrgnął w prawo, on poszedł w lewo, chcąc zająć go z przeciwnej strony.

Gdyby w ostatniej chwili nie rzucił się na igliwie, długa seria skosiłaby mu głowę. Znowu strzały, coraz bliżej, więc czym prędzej przetoczył się na bok. Chińczyk musiał rozgryźć jego strategię i zniknąwszy z pola widzenia, natychmiast zawrócił i poszedł w lewo, by zająć mu drogę. Manewr prawie wypalił, lecz teraz Bourne znał dokładnie jego pozycję. Wycelował, pociągnął za spust i kilka poszatkowanych kulami gałęzi jak deszcz spadło na przycupniętego pod sosną przeciwnika. Gdy stamtąd wyskoczył i otworzył ogień, Jason był gotowy i trafił go w ramię. Chińczyk zatoczył się, lecz wpadł na drzewo, które go podtrzymało, i gdy Jason wystrzelił ponownie, zaczął uciekać. Bourne wystrzelił jeszcze raz, ale skończyła mu się amunicja. Nie miał zapasowego magazynka. Odrzucił karabinek i ruszając za uciekinierem, wyjął z plecaka nóż.

W kępie sosen zapadła cisza. Zapach prochu wisiał w powietrzu jak mgła. Nisko pochylony Jason przemykał od drzewa do drzewa. Nagle znowu zaświstały kule tak blisko, że poczuł na twarzy ich podmuch. Pobiegnął w stronę rozbłysków z lufy i kiedy tylko dostrzegł żołnierza, rzucił nożem.

Chińczyk wypalił, lecz pociski poszły w niebo, bo padał już na ziemię z nożem wbitym po rękojęć w lewą stronę piersi. Bourne ostrożnie podszedł bliżej, odsunął nogą jego broń i przykucnął. Sprawdziwszy, czy żołnierz na pewno nie żyje, szybko zdjął z niego mundur i się przebrał. Mundur w miarę pasował. Bluza była zakrwawiona, ale po tak zaciętej walce łatwo mógł to wytłumaczyć.

Zarzucił karabin na ramię i poszedł w kierunku drzew rosnących najbliżej wzgórza, z którego Chińczycy zaatakowali jeepa. Wszedł na szczyt lewym zboczem i zobaczył przenośną wyrzutnię, załadowaną na wypadek, gdyby pierwszy pocisk chybił. Podniósł ją z ziemi i zlustrował okolicę. Nikogo nie wypatrzywszy, ruszył w stronę zakamuflowanego samochodu. Był w mundurze i nie mógł wrócić do obozu piechotą.

Dotarł na miejsce i rozmyślając o dziwnej obecności Chińczyków tak blisko tajnej izraelskiej bazy strzeżonej przez Mossad, ściągnął z samochodu siatkę maskującą... by spojrzeć prosto w lufę izraelskiego karabinu szturmowego Tavor TAR-21, niewielkiego, celnego i — tak jak wszystko w Mossadzie — śmiertelnie skutecznego.

Rozdział 30

Pułkownik Ari Ben David patrzył na Maceo Encarnaciona i w jego gardle, jak trująca rtęć, bulgotała cała niechęć, poniżenie i uraza, jaką chował w sobie, odkąd rozpoczął rozmowy z tym meksykańskim przedsiębiorcą. Nie znosił pośredników, a Encarnación nim był, ale jeszcze bardziej nie znosił robić interesów z Chińczykami, których reprezentował Ouyang. Niestety, nie miał wyboru, co pełen gorczy musiał zdradzić Encarnacionowi podczas ich drugiego czy trzeciego spotkania.

To Meksykanin przyszedł do niego z tym pomysłem. Już samo to powinno nastawić go przychylnie, lecz nie nastawiło. Przeciwnie, zaproponowane przez Encarnaciona rozwiązanie było tak genialne, tak doskonałe, że ogarnęły go tylko uraza i żal, że nie wpadł na nie sam. Od tej chwili stał się dłużnikiem don Macea.

Zgorzkniały z urodzenia, paranoidalny z natury i prześladowany zarówno ze względu na swoją narodowość, jak i religię nie był zdolny do żadnych pozytywnych uczuć. Był wściekły, że Ouyang wszedł w posiadanie obciążających go dowodów, które — gdyby trafiły do Daniego Amita czy dyrektora — nie tylko zniszczyłyby mu karierę, ale i na resztę życia wpakowały go do więzienia. On i Ilan Halevy założyli spółkę specjalizującą się w usuwaniu niewygodnych osób poza zakresem działania Mossadu. On organizował zlecenia, Babilończyk zabijał i zarobili w ten sposób dziesiątki tysięcy dolarów. Popełnili tylko jeden błąd: po pierwszym zabójstwie zostawili za sobą papierowy ślad. Jak Ouyang zdobył te informacje, tego pułkownik nie wiedział. Faktem było, że Chińczyk je miał i go zaszantażował: albo Ben David przekaże mu wszystkie materiały na temat SILEX-u, zmodyfikowanego i udoskonalonego przez naukowców z Dahr El Ahmar, dzięki którym Chiny będą mogły szybciej produkować paliwo nuklearne i broń jądrową, albo...

Wróciwszy do teraźniejszości, przeniósł wzrok na pułkownika Hana Conga, dowódcę sześciu komandosów, których Ouyang przysłał do Libanu w charakterze swoich przedstawicieli.

— Słucham, panie pułkowniku.

— Jeep nieprzyjaciela został zniszczony — zameldował Han.

— A Bourne i kierowca? — spytał Encarnación.

— Ich śmierci jeszcze nie potwierdziliśmy.

— Nie? — spytał Ben David. — Dlaczego?

Han odchrząknął.

— Nie mogę nawiązać kontaktu z moimi ludźmi.

Ben David natychmiast przestał się nim interesować i spojrzał na Encarnaciona.

— Oni nie żyją. Bourne tu idzie.

— Przepraszam — spytał Chińczyk — ale skąd pan wie?

Ben David uśmiechnął się powoli, jakby czekał na to pytanie.

— Stąd, że go znam, panie pułkowniku.

Han zmarszczył czoło.

— Ale trzech żołnierzy, dobrze wyszkolonych i uzbrojonych...

— Wiem, do czego jest zdolny. — Ben David dotknął czerwonej blizny na twarzy. — Z pierwszej ręki.

Powątpiewanie ustąpiło miejsca obojętności i Chińczyk wzruszył ramionami.

— W takim razie powinniśmy jak najszybciej sfinalizować transakcję.

Dał znak Encarnacionowi, który podszedł do stołu na kozłach i położył na nim twardą walizkę. Przytknął kciuk do zamka i otworzył ją, demonstrując pułkownikowi trzydzieści milionów dolarów.

— Wszystko — powiedział Han. — Co do centa. Ma pan słowo ministra Ouyanga. — Wyciągnął rękę. — A teraz schemat poproszę.

Pułkownik sięgnął do kieszeni munduru, wyjął pendrive i położył go na dłoni Chińczyka.

— Wszystko — rzucił oschle. — Co do ostatniej cyfry. Słowo pułkownika Ben Davida.

•••

Dzięki temu, że agent Mossadu zawahał się na widok chińskiego munduru, Bourne mógł zejść z linii strzału.

Rzuciwszy wyrzutnię, chwycił go za kamizelkę, wyciągnął z samochodu i w fontannie śniegu rzucił na ziemię. Izraelczyk przetoczył się na bok, pociągnął za spust i omal nie odstrzelił mu głowy. Bourne uderzył go w pierś kolbą karabinu i w tej samej chwili gorąca kula sparzyła mu policzek. Uderzył, a raczej chciał uderzyć, bo agent zablokował cios swoim taworem i kolba QBZ zsunęła się z żeber w śnieg. Wtedy Izraelczyk kopnął go w biodro i Jason stracił równowagę.

Agent błyskawicznie wstał i zdzielił go lufą w bok szyi tak mocno, że Jason zatoczył się na samochód. Izraelczyk zarzucił mu od tyłu karabin na szyję i szarpnął, wyginając jego ciało w łuk i odcinając dopływ powietrza do płuc. Obnażył z wysiłku zęby, pochłaniało go tylko jedno, to, że jego ofiara zaraz umrze.

I ponieważ był tak niecierpliwie, tak gorączkowo skupiony, nie zauważył, że prawa stopa Bourne'a zahaczyła powoli o jego stopę. Kiedy Jason gwałtownie cofnął nogę, Izraelczyk upadł, ale padając, zdążył jeszcze obrócić karabin i wycelować w jego pierś. Pociągnął za spust, lecz kule poszły w powietrze, bo w tym samym momencie Jason zmiażdżył mu twarz kolbą QBZ. Drugi cios złamał mostek i żebra. Jedno z żeber musiało przebić płuca, ponieważ na ustach agenta wezbrała różowa piana, a potem buchnęła z nich krew, gęsta i częściowo już skrzepła.

•••

Zignorowawszy docinek Ben Davida, Han wetknął pendrive do tabletu.

Encarnacionowi drgnęły usta.

— Trudno w to uwierzyć, ale pułkownik Han jest fizykiem, specjalistą od wzbudzania cząsteczek światłem laserowym.

Obydwaj patrzyli, jak Han przegląda zapisane na pendrivie pliki.

Zadzwoił telefon satelitarny Ben Davida. Izraelczyk odebrał i coraz bardziej marszcząc brwi, wysłuchał meldunku.

— Nie, nic nie róbcie — powiedział. — Miejcie go tylko na oku. — Rozłączył się i spojrzał na współników. — Zauważono nasz wóz. W środku jest tylko jeden człowiek.

— Bourne? — domyślił się Encarnación.

— Ktoś w mundurze Dova. — Ben David pokręcił głową. — Ale wątpię, żeby to był Dov. — Przeniósł wzrok na Chińczyka. — Panie

pułkownika, najwyższy czas.

Han spojrział na niego znad wypełnionego równaniami ekranu i wyłączył tablet. Schował pendrive do kieszeni, krótko skinął im głową i sprężystym krokiem wyszedł z namiotu.

•••

Bourne jechał w kierunku izraelskiej bazy pod Dahr El Ahmar. Był w mundurze agenta Mossadu, za fotelem miał wyrzutnię. Ponieważ podczas pierwszego pobytu w ośrodku widział teren z powietrza, dobrze znał rozkład zabudowań.

Był tam wtedy z Rebeką i choć zwykle pragmatyczny i wyrachowany, znowu wrócił do niej myślą. Pamiętał chwilę, gdy podczas lotu zwykłymi liniami do Damaszku zobaczył ją pierwszy raz, stewardesę z tajemnicą, którą bardzo chciał poznać. Dopiero dużo później wyjawiała mu, że jest agentką Mossadu. Podczas ich wspólnego ataku na bastion Semida Abdul-Qahhara okazała się dziewczyną waleczną, inteligentną i odważną. Odczuwał jej stratę tak boleśnie, jakby Maceo Encarnación osobiście wbił mu nóż w serce. Constanza Camargo powiedziała, że strzegą go prastarzy azteccy bogowie, ale prawda była bardziej przyziemna i złowieszcza. Encarnaciona chronili ludzie, których zwiódł i nakłonił do przestępstwa, których szantażował, oszukiwał i bił, aż mu ulegli. Chroniła go zbroja współczesnego świata.

Jadąc, dostrzegł ostry promień światła odbitego od obiektywu lornetki. Obserwował go Mossad, Encarnación albo niedobitki chińskich komandosów.

•••

Maceo Encarnación wyszedł z namiotu, by odprowadzić Hana do samolotu, którym pułkownik i jego ludzie mieli wrócić do Pekinu, gdzie minister Ouyang czekał na zdobycz, za którą dał Encarnacionowi trzydzieści milionów dolarów, aby ten przekazał je Ben Davidowi.

— Dobrze odegrał pan swoją rolę — powiedział Han jak mandaryn Cesarstwa Chińskiego.

Encarnación zacisnął zęby. Wyobraził sobie, że jego maczeta zatacza poziomy łuk i obcina żółtkowi głowę.

— Poproszę o moje honorarium — powiedział.

Wciąż patrząc przed siebie, jakby był sam, Han sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął grubą kopertę. Trzymał ją w ręku, jakby się nad czymś zastanawiał.

— Czym pan sobie zasłużył na tak sowite wynagrodzenie?

Czując, że do głowy gwałtownie napływa mu krew, Encarnación ucisnął palcami skroń, gdzie niczym drugie serce pulsowała wybrzuszona żyła. Zapanował nad sobą i odparł:

— Byłem pośrednikiem. Poznałem Ouyanga z pułkownikiem Ben Davidem i doglądałem negocjacji. Beze mnie Ouyang nie nawiązałby z nim kontaktu.

— Nie wiadomo. — Han uderzył kopertą w dłoń. — Pan minister Ouyang — ciągnął, podkreślając dwa pierwsze słowa — jest zarówno potężny, jak i przedsiębiorczy. — Wzruszył ramionami, jakby musiał wypełnić rozkaz, z którym się nie zgadzał, i podał Encarnaciónowi kopertę nie jak współnikowi, tylko jak służącemu.

Ten, w jego obecności, zaczął liczyć banknoty.

— Pięć milionów — powiedział Chińczyk dokładnie takim samym głosem jak w namiocie Ben Davida. — Co do centa.

— Pytanie tylko, czy są prawdziwe. — Encarnación wybrał na chybił trafił trzy banknoty i za pomocą pipetki oraz kilku małych fiolek przeprowadził dwa testy chemiczne.

— Zadowolony? — spytał Han z szyderczym uśmiechem. — Są prawdziwe. W przeciwieństwie do tych, które przekazał pan temu syjoniście Ben Davidowi. Sprzedał bezcenny skarb za walizkę fałszywych pieniędzy.

Encarnación uśmiechnął się leciutko, potwierdzając swój udział w oszustwie.

— Są tak dobrze podrobione, że minie sporo czasu, zanim się zorientuje.

— A wtedy — dodał triumfalnie Han — będzie już za późno.

Doszli do samolotu. Chińczyk dał znak i jego żołnierze, trzech pozostałych, weszli na pokład.

— A tamci? — spytał Encarnación. — Nie chce pan nawet wiedzieć, czy żyją?

— Byli martwi, odkąd Bourne ich wypatrzył.

— Przecież mieliście się go pozbyć.

— To była tylko część naszej misji. — Han wszedł na schodki. — Mam schemat SILEX-u, to najważniejsze.

— Nie dla ministra Ouyanga.

— Nie — przyznał Chińczyk. — Ale moim zwierzchnikiem jest generał Hwang Liqun.

Co powiedziawszy, zniknął w trzewiach samolotu. Chwilę później jeden z komandosów zamknął drzwi i zablokował je od środka. Ruszyły silniki i Encarnación musiał się szybko cofnąć. Nie zdążył i w twarz uderzył go silny podmuch spalin. Odwrócił się z załzawionymi oczami i pobiął z powrotem do namiotu.

•••

Bourne usłyszał ryk silników i skręcił w tamtą stronę. Skoro samolot startował, tamci musieli dobić targu. Było za późno.

Wcisnął pedał gazu, roztrzaskał drewnianą barierkę i wpadł na teren ośrodka, nie zważając na rozpiezchających się agentów Mossadu, którzy natychmiast otworzyli ogień. Zobaczył samolot i szarpnął kierownicą. Maszyna była cywilna, z chińskimi emblematami.

Myśli przelatowały mu przez głowę jak pikujące ptaki. Sięgnął do plecaka. Zbliżał się do samolotu, który stał już na skraju prowizorycznego pasa startowego, dysząc jak spętane łańcuchami niecierpliwe zwierzę, które czeka, aż je wreszcie uwolnią. Skręcił ostro w lewo i ustawił się równolegle do maszyny. Agenci wciąż do niego strzelali i słysząc metaliczny stukot zasypujących karoserię kul, schylił głowę.

Dojeżdżał już do ogona samolotu, gdy z lewej strony dobiegł go ryk silnika. Nadjeżdżał jeep z kierowcą i uzbrojonym agentem na siedzeniu pasażera. Gdy agent wycelował w niego z tavora, Jason szarpnął kierownicą w prawo i jego wóz otarł się o kadłub samolotu — gdyby Izraelczyk wystrzelił, musiałyby trafić w poszycie.

W tej samej chwili maszyna zwolniła hamulce i ruszyła. Bourne zbliżył się do niej jeszcze bardziej i właśnie wyjmował z plecaka granat, gdy uderzył w niego jeep z bazy. Jason odwrócił się, wystawił w bok rękę, trafił siedzącego obok kierowcy agenta i siła ciosu odrzuciła Izraelczyka do tyłu. Natychmiast skręcił w prawo i zaraz potem ostro w lewo, taranując ich wóz, lecz tuż zanim kierowca jeepa odbił w bok, agent zerwał się z fotela i wskoczył do samochodu Bourne'a. Pokiereszowany jeep przyhamował i uciekł w lewo. Izraelczyk uderzył Bourne'a w tył głowy.

Samolot nabierał rozpędu.

•••

Gdy Maceo Encarnación zajął do namiotu, Ben David śmiał się jak obłąkany, garściami wyjmując z walizki banknoty.

— Widział pan? — spytał wesoło. — Samo gównno.

— Gównno, ale pierwszorzędne. — Encarnación podszedł do stołu. — Prawdziwe dzieło sztuki.

— Zgoda. — Ben David kiwnął głową. — Chińska robota. Te gnojki mają świetnych fałszerzy. — Uśmiechnął się szyderczo. — Schemat SILEX-u za trzydzieści milionów w podrobionych banknotach. Ouyang myśli, że mnie wykiwał.

— Beze mnie mogło mu się udać.

— To prawda. A tak, kiedy podłączą wszystko według naszego schematu, całe laboratorium wyleci w powietrze. Ot, taki niewinny żarcik. — Pułkownik niechętnie skłonił głowę. — Jestem pańskim dłużnikiem.

— Pan nie lubi być dłużnikiem — zauważył chytrze Encarnación.

— Zwłaszcza pańskim — mruknął Ben David z kwaśną miną.

— Nie jest tak źle. Mógłby pan być dłużnikiem Ouyanga.

•••

Izraelczyk był tak silny, że prawie wyciągnął Bourne'a z fotela, lecz gdy samochód gwałtownie skręcił, agent stracił równowagę. Zamiast stawić opór, Jason odchylił się do tyłu, chwycił przeciwnika za splecione ręce i zrobił przewrotkę przez jego plecy. Izraelczyk obrócił się i w chwili, gdy wóz ponownie zarzucił, grzotnął go łokciem w bok. Na wpół wyrzucony z samochodu Jason zawisł z nogą i biodrem tuż nad ziemią.

Izraelczyk już miał zdzielić go w głowę kolbą karabinu, gdy wóz raptownie skręcił, tym razem zataczając szerszy łuk i ocierając się o kadłub samolotu. Agent błyskawicznie przeskoczył na przednie siedzenie i usiadł za kierownicą, by zapanować nad szalejącym pojazdem.

Bourne zdołał przerzucić nogę za burtę samochodu, tak że leżał teraz mniej więcej poziomo. Tuż przed sobą, nad głową agenta, zobaczył dyszę wylotową silnika — samolot był bardzo blisko. W oparach paliwa nie mógł oddychać, łzawiły mu oczy. Wiedział jednak, że bliżej nie

podjedzie. Wyciągnął zawleczkę, wziął zamach i wypuścił granat tuż za szczytem łuku. Granat pokoziołkował w powietrzu jak piłka futbolowa, lecz bijący z silnika podmuch odrzucił go daleko do tyłu i eksplozja nawet nie uszkodziła kadłuba.

Widząc, że wybuch odwrócił uwagę agenta, Bourne wdrapał się na tył samochodu. Samolot już wystartował, wciąż przyspieszając i nabierając wysokości, aby przelecieć nad kępą drzew. Jason chwycił wyrzutnię, zarzucił ją na ramię, wycelował i pociągnął za spust. Pocisk odpalił i poszybował w kierunku maszyny.

Zaszokowany Izraelczyk obejrzał się za siebie i zdążył jeszcze zobaczyć, jak Bourne wyskakuje z samochodu. Jason potoczył się po ziemi, zwinął w kłębek i osłonił rękami głowę. Ułamek sekundy później pocisk wybuchł, rozrywając bok samolotu, który stanął w płomieniach i runął w dół w kłębach czarnego oleistego dymu. Samochód znalazł się za blisko i podmuch eksplozji dźwignął go w powietrze. Płonąc, kilka razy pokoziołkował, wyrzucając Izraelczyka jak z katapulty, by w końcu spaść na niego w plątaninie gorącego metalu i palącej się tapicerki. Wybuchł zbiornik paliwa i fala uderzeniowa przetoczyła się przez pas, ogarniając płonący wrak. Wtedy z ogłuszającym hukiem wybuchło również paliwo w samolocie, paląc na popiół wszystko i wszystkich w pobliżu.

•••

Ben David spojrzął na Encarnaciona.

— A moja zapłata?

— A mój SILEX? — spytał z uśmiechem Meksykanin.

Pułkownik pokazał mu trzydziestodwugigabajtową kartę SD.

— Tym razem prawdziwy.

Encarnación otworzył kopertę i wysypał jej zawartość na dno walizki.

W świetle lampy zaskrzyły się brylanty.

— Trzydzieści milionów absolutnej doskonałości.

Ben David kiwnął głową i podał mu kartę.

— Wystarczy włożyć do komórki.

Meksykanin zacisnął na niej palce.

— Core Energy podbija rynek paliw nuklearnych i broni jądrowej.

Wtedy usłyszeli grzmot pierwszej eksplozji. Wybiegali już z namiotu, gdy podmuch drugiej i trzeciej zwałił ich z nóg.

•••

Z pożogi wytoczyła się płonąca opona, pędząc prosto na Bourne'a. Jason padł na śnieg, żeby nie zajęło się ubranie. Gdy ukląkł na jedno kolano, by wstać, zobaczył, że biegnie ku niemu trzech uzbrojonych agentów. Kiedy otworzyli ogień, skoczył za metalowy barak, magazyn na skraju pasa startowego.

Ogień trawiący samolot płonął tak intensywnie, że Izraelczycy nie mogli podejść bliżej i wykorzystując tę sytuację, Jason pochylił się i pobiegł do sąsiedniego budynku kilkaset metrów dalej, gdzie mieściły się kwatery naukowców pracujących w zakamuflowanym laboratorium.

Chociaż był dobrze uzbrojony, nie chciał strzelać do agentów, chyba że w samoobronie. Dużo bardziej wolałby zejść im z drogi i pozostać w ukryciu. Polował na ich dowódcę i Maceo Encarnaciona.

Gdy tylko wszedł do środka, zatrzasnęły się drzwi. Jedno z okien wyleciało z futryny, trysnął jęzor ognia i łóżko stanęło w płomieniach. W powietrzu rozszedł się silny chemiczny zapach: ktoś wygarnął do niego z miotacza ognia.

Płomienie niemal natychmiast ogarnęły całe wnętrze. Jason odwrócił się, ale drzwi były zablokowane od zewnątrz. Próbował dotrzeć do innych okien, lecz ogień rozprzestrzenił się tak szybko, że nie zdołał dojść nawet do sąsiedniego. Zerwał z poduszki poszwę, zasłonił nią usta i nos i położył się na podłodze, gdzie było kilka stopni chłodniej. Gryzący dym buchał kłębami, przesłaniając sufit.

Wtem usłyszał coś ponad trzaskiem i sykiem płonącego drewna. Okno wypełniła sylwetka człowieka, który po chwili przecisnął się do środka. Był w ognioodpornym kombinezonie i miał aparat do oddychania. Z miotaczem ognia w rękach spojrzał najpierw w prawo, potem w lewo. Ukryty pod łóżkiem Bourne dostrzegł w wizjerze karabinu zarys twarzy pułkownika Ben Davida.

Widział już pierwszy jęzor ognia i wiedział, że to miotacz na paliwo ciekłe — prawdopodobnie napalm — podpalane propanem. I rzeczywiście, gdy szukając go, pułkownik się odwrócił, na jego plecach zobaczył dwie butle: butla z napalmem była ukryta pod tą z propanem, tak że widać ją było tylko z boku. Bourne przytknął do ramienia kolbę karabinu: wystarczyłoby wpakować jedną kulę w butlę z propanem

i Ben David usmażyłby się żywcem. Ale w płonącym już, zamkniętym pomieszczeniu on usmażyłby się wraz z nim.

Stłumił kaszel, patrząc, jak pułkownik zagląda pod łóżka. Kiedy tylko odszedł od wybitego okna, Jason wyslizgnął się spod swojego łóżka i pobiegł na skos przez wypełnione dymem i popiołem pomieszczenie. W chwili gdy wyskakiwał przez okno, Ben David odwrócił się i pociągnął za spust. Płomień uderzył w ścianę, przesunął się, wystrzelił na zewnątrz i liznął Bourne'owi plecy.

Czując, że kurtka zajęła się ogniem, Jason rzucił się na ziemię i przetoczył po śniegu. Ben David wygramolił się przez okno i wycelował w niego dyszę miotacza w chwili, gdy on wymierzył w niego z karabinu.

— No i pat. — Pułkownik zdjął ognioodporny kaptur. Zdawało się, że nie zwraca uwagi na płonący budynek. — Ciągłe wchodzisz mi w paradę, jak nie tak, to inaczej. Co zrobiłeś z Rebeką?

— Tworzyliśmy dobry zespół. Próbowałem ją uratować.

Ben David zmarszczył brwi.

— Co to znaczy?

— Rebeka nie żyje. Zadzgano ją w willi Maceo Encarnaciona w Mexico City.

Pułkownik zrobił groźnie krok do przodu.

— Niech cię szlag. Nie powinieneś być jej tam zabierać.

— Myślisz, że zginęła przeze mnie? Robiła swoje. Jej misja zbiegła się z moją. Poza tym nasłałeś na nią Babilończyka. Chciałeś ją zabić, bo wpadła na trop waszego małego szwindlu.

— Co o tym wiesz?

— Chcesz mi wmówić, że wciąż coś do niej czujesz?

— Pytałem, co...

— Wiem wszystko, o podrobionych przez Chińczyków banknotach też.

Pułkownik nachylił się ku niemu.

— Nie znasz jego nazwiska.

— Ministra Ouyanga?

Ben David przeszył go wzrokiem.

— Dlaczego on cię tak nienawidzi?

Bourne patrzył mu prosto w oczy. Milczał.

— Nie zepsujesz mi tego, Bourne.

Gdy zacisnął palec na spuście, Jason spytał:

— Nie chcesz wiedzieć, kto ją zabił?

— Wszystko jedno. Ona nie żyje.

— Nicodemo. Zabił ją Nicodemo, syn Encarnaciona.

Pułkownik znieruchomiał.

— Co takiego?!

— Nie wiedziałeś, że był synem twojego współnika, prawda?

Ben David nie odpowiedział. Oblizął usta.

— Co znaczy, że to Encarnación kazał ją zabić. Przydałby mi się taki współnik. — Bourne roześmiał się ponuro. — Ale proszę bardzo, możesz go sobie wziąć.

— On z panem pogrywa, pułkowniku.

Odwrócili się.

— Dlaczego go pan jeszcze nie zabił? — W jednym ręku Encarnación trzymał pistolet, w drugim potężną maczetę ze złowieszczym ostrzem.

Pułkownik przeniósł na niego wzrok.

— Dlaczego kazałeś zabić Rebeke?

— Spadaj. Nie będę się przed nikim tłumaczył.

Ben David pokręcił głową.

— Mogłeś coś zrobić, mogłeś ją zatrzymać...

— Oszalałeś? Była zbyt niebezpieczna. Poza tym miałem na karku Bourne'a.

— ...ale kazałeś synowi ją zabić.

Encarnación zeszywniał.

— Ja nie mam syna.

— Nicodemo. To twój syn.

— Kto ci to powiedział?

Ben David ruchem głowy wskazał Bourne'a.

— I ty mu wierzysz?

— On nie kłamie, to za bardzo logiczne.

Encarnación splunął.

— Nie słyszałeś, co mówiłem? Chyba nawdychałeś się za dużo dymu. Rebeka nie żyje, Nikodemo też. Przeszłość to przeszłość. Trzeba myśleć o przyszłości. Na drodze stoi nam tylko Bourne i...

Ben David skierował na niego złowrogą dyszę miotacza, pociągnął za spust i strumień napalmu chybił ledwie o pół metra. Jason błyskawicznie wstał i kopniakiem posłał pułkownika w roztrzaskane okno, z powrotem w płomienie.

Nie oglądając się za siebie, Encarnación popędził za róg budynku. Bourne pobiegł za nim. Na rogu musiał się szybko cofnąć, bo Meksykanin do niego strzelił. Usłyszał chrzęst szybkich kroków na śniegu i wypadł z za węgła, otwierając ogień.

Encarnación zniknął. Jason poszedł jego tropem. Agenci Mossadu, ci, którzy wcześniej do niego strzelali, rozpaczliwie próbowali teraz ugasić ogień, który podpełznął niebezpiecznie blisko siatki maskującej laboratorium zarówno z ziemi, jak i powietrza.

Ślady prowadziły właśnie tam, do laboratorium. Bourne wkraczał na otwarty teren i musiał zachować większą ostrożność. Był w połowie drogi, gdy zauważył, że jeden z agentów wyjmuje telefon satelitarny i kuca, aby jak najmniej rzucać się w oczy. Osmolony, poparzony, w nadpalonym ubraniu kiwnął głową i zostawiwszy kolegów, pobiegł w przeciwnym kierunku. Jason śledził go wzrokiem, dopóki Izraelczyk nie zniknął za płonącym budynkiem, wtedy wstał i wciąż idąc po śladach Encarnacióna, dotarł do drzwi laboratorium. Już miał je otworzyć, gdy kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Zza rogu wściekle płonącego budynku wyszedł agent Mossadu, w dodatku nie sam. Był z nim pułkownik Ben David.

•••

Maceo Encarnación przeklinał dzień, w którym Tom Brick namówił go na plan zakupu SILEX-u od tego chciwego Ben Davida. Przekonało go to, że dzięki SILEX-owi Core Energy miała jakoby podbić rynek paliw nuklearnych, które, mimo pewnych niepowodzeń, wyprą w końcu paliwa kopalne, stając się bez wątpienia głównym źródłem energii w wolnej od spalin przyszłości.

Może Brick miał rację. Encarnación tego nie wiedział i było mu wszystko jedno. To on wpadł na pomysł, żeby wciągnąć w to Ouyanga — z cotygodniowych raportów Maricruz wiedział, że Chińczycy rozpaczliwie potrzebują energii, zwłaszcza teraz, gdy ich wielka machina postępu zaczynała zwalniać z powodu coraz większego w całym kraju zanieczyszczenia środowiska. Chińczycy budowali reaktory atomowe w zadziwiającym tempie. Ich apetyt na wzbogacony uran, niezbędny do zasilania nowych elektrowni, wzrastał wykładniczo. Encarnación nienawidził Chińczyków jak nikogo innego. Byli symbolem wszystkiego, czym pogardzał, tego, przeciwko czemu przez całe życie walczył: represji, odgórnym regulacji, dławienia wolnego ducha mieszkających tam ludzi. Dlatego okazja, aby zrobić zółtków na szaro, była zbyt kusząca. Ale teraz, gdy krył się w mroku za drzwiami

laboratorium, zrozumiał, że jego przeznaczenie weszło w konflikt z pożądaniami.

Uciekać przed Jasonem Bourne'em? Nie to było mu pisane. Powinien być teraz w Mexico City, z Anunciata. A tak musiał stawić czoło chwili, gdy władza wyslizguje się z rąk, gdy instynkt przetrwania bierze górę nad żądzą wielkości, bogactwa i wpływów.

Zesztywniał, kiedy drzwi zaczęły otwierać się centymetr po centymetrze. Laboratorium, z miejscem pracy dla pięciu naukowców, było podzielone na pomieszczenia, w których dopracowywano i udoskonalano poszczególne fazy SILEX-u, by następnie połączyć je w całość w największej sali z drugiej strony budynku. Sala ta była wyłożona ołowiem, ponieważ wytwarzano w niej materiały radioaktywne. Naukowcy przeprowadzali ostatnie próby i wszyscy byli właśnie tam.

Drzwi otworzyły się jeszcze szerzej. Encarnación sprawdził pistolet i stwierdził, że wystrzelał wszystkie naboje. Odrzucił go na bok i podniósł maczetę, gotów rozplatać Bourne'owi głowę, gdy tylko się pokaże.

Na podłogę padł cień człowieka i przez ramiona aż po dłonie zaciśnięte po katowsku na rękojeści Encarnaciona przebiegł lekki dreszcz.

Uważnie obserwował wyłaniającą się zza drzwi sylwetkę: nos, usta, czoło, podbródek, wreszcie cała głowa — jak zdjęcie skazańca. Maczeta przecięła ze świstem powietrze i jej straszliwe ostrze błysnęło w świetle dnia, by znowu zniknąć w mroku, przeciąć szyję i odrąbać Bourne'owi głowę.

Głowa potoczyła się po podłodze, korpus zatańczył, z każdym uderzeniem oszalałego serca tryskając krwią i Maceo Encarnación przeniósł się na chwilę do Meksyku. Znowu stał na omywanym przez łagodne fale brzegu morza, w różowej pianie znowu płasała odcięta głowa, w piasek wsiąkała woda i krew.

A potem z prędkością rakiety wrócił do teraźniejszości. Czubkiem buta zahaczył o nos i odwrócił głowę. Spojrzała na niego tępyimi oczami wyrzuconego na brzeg rekina. Dobrze znał tę twarz, lecz nie była to twarz Bourne'a.

Zaskoczony głośno zaskamlał, gdy Jason chwycił go znienacka i rzucił plecami na ścianę tak mocno, że zakrwawiona maczeta zaklekotała na podłodze. Spojrzał na niego, potem na obciętą głowę.

— Myślałem, że Ben David spłonął.

— Pułkownika uratował jeden z agentów, a ja go od niego uwolniłem. Chciałem, żeby jego śmierć coś znaczyła.

Encarnación jeszcze raz spojrział na głowę pułkownika Ben Davida, na wpatrzone w niego oczy. Tu nie było morskiej wody, która zmyłaby wnętrzności i krew, która oczyściłaby śmierć i ją oporządziła, by mógł potem śnić sen o umieraniu doskonałym.

— Myślałem, że to ty — powiedział.

— Wiem.

Meksykanin zadrżał.

— Wypuść mnie. Znam tajemnicę SILEX-u. Wiesz, jacy możemy być bogaci?

Bourne nie odpowiedział.

— Zabiłeś Nicodema? — Encarnación zadał to pytanie tak, jakby znał już odpowiedź.

— Zadźgał nożem Reбекę. Miała długą, bolesną śmierć.

— To przykre.

— Patrzyłem jej w oczy. Widziałem w nich cierpienie. Widziałem nadchodzący koniec i nie mogłem nic zrobić.

— Rzeczywiście, dla kogoś takiego jak ty to musiało być straszne przeżycie.

Bourne grzmotnął go pięścią w brzuch. Encarnación zgiął się w pół, lecz Jason chwycił go za włosy i wyprostował.

Meksykanin miał rozszerzone i zaczerwienione oczy.

— Zabiłeś mojego syna.

— Sam się zabił.

Encarnación splunął mu w twarz.

— Jak śmiesz!

— Próbowałem obezwładnić Nicodema pod wodą, ale za dobrze go wyszkoliłeś. Gdybym tego nie zrobił, zabiłby mnie i don Fernanda.

— *¡Asesino!* — syknął Encarnación, wyciągając sztylet z ukrytej pod ubraniem pochwy. Błyskawicznie wyrzucił rękę, mierząc w serce.

Jason chwycił go za nadgarstek, wykręcił mu rękę i złamał jak patyk. Kantem drugiej dłoni Meksykanin uderzył go w gardło. Z dochodzącym z trzewi głuchym zwierzęcym warkotem Bourne chwycił przeciwnika za głowę obiema rękami i szybkim ruchem skrzył mu kark. Encarnación upadł, jego głowa odchyliła się do tyłu pod nienaturalnym kątem, jakby prosiła, by odciąć ją od ciała.

Epilog

Tel Awiw, Izrael

— Dyrektor chciałby z panem porozmawiać — powiedział Dani Amit, szef Biura Wywiadu.

— Ale porozmawiać — upewnił się Bourne. — Nie zabić.

Amit roześmiał się, lecz jego bladoniebieskie oczy pozostały nieruchome i poważne. Siedzieli przy stoliku w Entr'acte, restauracji na zakrzywionej jak szabla plaży.

— Rozkaz likwidacji był błędem, to oczywiste.

— Patrząc wstecz — powiedział Bourne takim samym tonem — w naszej branży niemal wszystko jest błędem.

Amit spojrzał na morze, na rzędy leżaków na plaży.

— To, co nie zabija, przyprawia o siwiznę.

— Albo o szaleństwo.

Amit gwałtownie odwrócił głowę.

— Szaleństwem było nasyłać kogoś na Rebeke — dodał Jason.

— Zniknęła. Naruszyła protokół.

— Bo nikomu nie ufała.

Amit westchnął i złożył ręce jak do modlitwy.

— Wracając do Dahr El Ahmar. Mamy panu za co dziękować.

Ale Bourne nie odpuścił.

— Podejrzewała, że Ben David jest skorumpowany. Miała rację.

Amit obliznął usta.

— À propos Rebeki. Władze Meksyku przekazały nam jej ciało.

— Wiem. Ma być pochowana ze wszystkimi honorami. Chcę być na pogrzebie.

— Osobom postronnym nie wolno... — Odpowiedź była machinalna, lecz Amit nie dokończył. Kiwnął głową. — Oczywiście.

Delikatna bryza potargała Bourne'owi włosy. Bolało go całe ciało. Czuł każde miejsce, gdzie poparzyły go płomienie, każde miejsce, gdzie uderzył go Encarnación.

— Miała rodzinę?

— Jej rodzice nie żyją. Na pogrzebie pozna pan brata.

— Pewnie też agenta Mossadu.

— Niech pan dopije kawę — powiedział Amit. — Musimy już iść.

•••

Z łodzi widać było panoramę całego miasta. Z błękitnego nieba, usianego pierzchającymi przed wiatrem obłoczkami, lało się słońce. Ośnieżone wzgórza Libanu zdawały się na drugim końcu świata.

— Jest pan dobrym żeglarzem — powiedział dyrektor. — Ukrywa pan przed nami jeszcze jakieś talenty?

— Tylko jeden: nigdy nie wybaczam.

Dyrektor zmrużył oczy.

— To cecha typowa dla Mossadu. — Jego wybrylantowane włosy były odporne na wiatr. — Co znaczy, że wszyscy jesteśmy ludźmi.

— Nie — zaproponował Jason. — Wy jesteście z Mossadu.

Dyrektor ściągnął czerwonobrazowe usta.

— Nie da się zaprzeczyć, ale jak pan sam stwierdził, nie jesteśmy nieomylni.

Bourne spojrzał na oślepiająco białe miasto i nagle uświadomił sobie, że są tam pogrzebane setki lat historii. Wyjął cienki złoty łańcuszek z gwiazdą Dawida.

Dyrektor usiadł obok niego.

— Rebeki.

Jason skinął głową.

Dyrektor zrobił głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze.

— Kiedy któryś z moich ludzi ginie, zawsze wypływam w morze.

Bourne milczał. Gwiazda Dawida kołysała się między jego palcami i wolno obracała, odbijając promienie słońca.

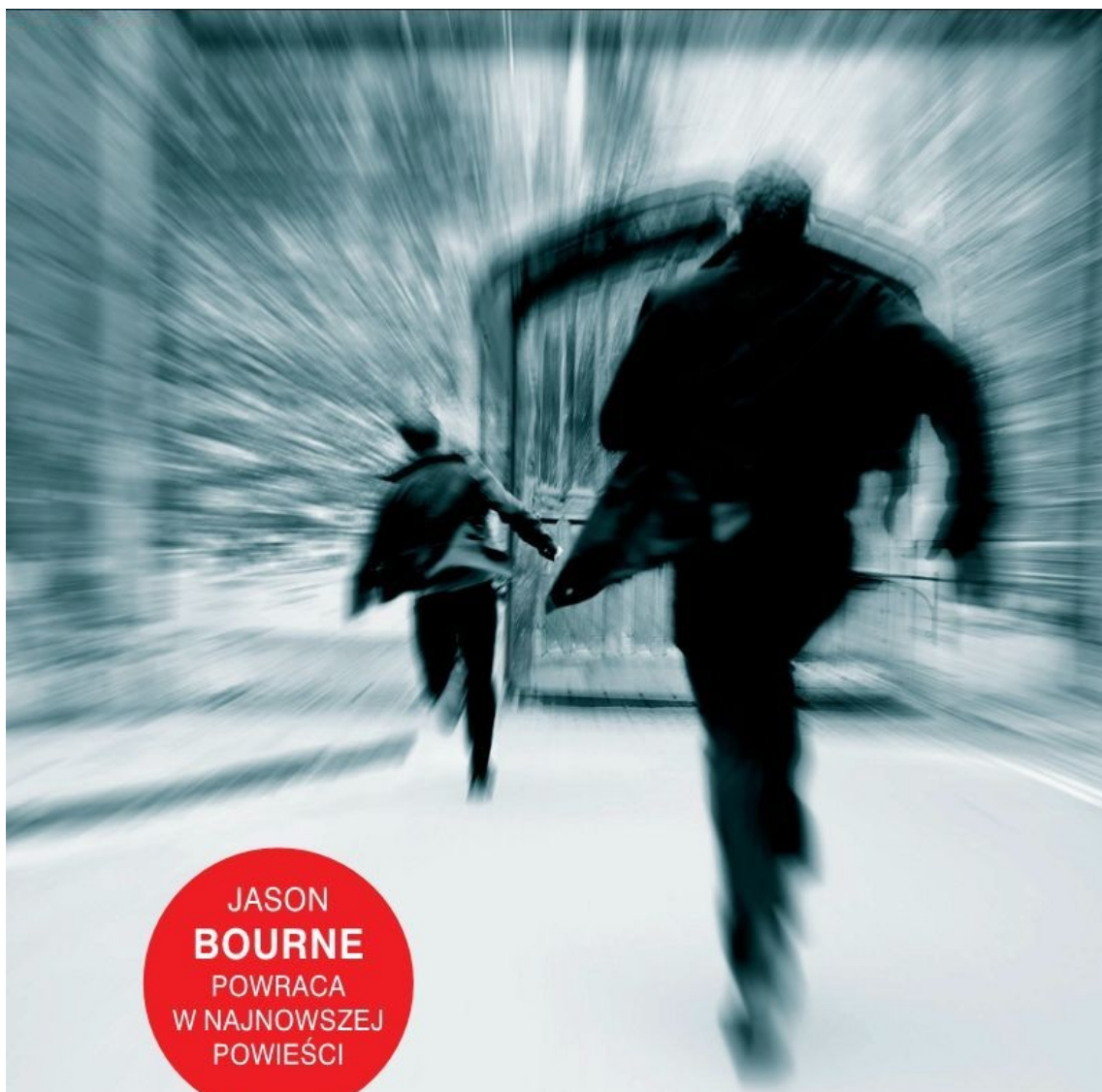
— To pomaga? — spytał po dłuższej chwili.

— Tu, na świeżym powietrzu i spokojnej wodzie, bez ciężaru miasta na barkach, mogę wreszcie poczuć, jak bardzo jestem zagubiony. — Spojrzał na swoje silne, sprawne dłonie. — Czy to pomaga? — Wzruszył ramionami. — Nie wiem. Pan wie?

Przypominając sobie, jaki był bezradny, gdy z Rebeki uchodziło życie, poczuł, że — niczym małe trzęsienie ziemi — rozbrzmiewa w nim echo takich samych smutków, i ze strasliwą ostatecznością zrozumiał, że jest równie zagubiony jak siedzący obok mężczyzna.

¹ Biblia, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1990.

² Biuro ds. Alkohol, Tytoniu, Broni Palnej i Materiałów Wybuchowych.



JASON
BOURNE
POWRACA
W NAJNOWSZEJ
POWIEŚCI

ERIC VAN LUSTBADER

ROBERT
LUDLUM

IMPERATYW BOURNE'A